

# W wąwozach bałkanów

Kaol May



calibre 0.9.27

Karol May

„W wawozach balkanow”

Pasjonująca książka przygodowa znanego klasy , ~ ~a..

teratury podróźniczej, której akcja rozgrywa się w

jach imperium tureckiego, w dzikiej scenerii gór Pół-

wyspu Bałkańskiego. Bohaterowie powieści: Kara ben

Nemsi w towarzystwie Hadzi Halefa Omara, Osko

i Omara ben Sadeka wyruszają z Adrianopola na

spotkanie z groźnym i tajemniczym „świętym” Muba-rekiem. W czasie wyprawy są świadkami zaskakują-cych zdarzeń, przeżywają chwile pełne emocji i na-pięć, jak np. w Melniku, kiedy Halef zakrada się do „gołębnika” lub w Ostromczy, kiedy bohaterowie stają oko w oko z Mubarekiem.

Powieść W w~wozach Balkanów to książka z tzw. cyklu arabskiego Karola Maya.

ISBN 83-85696-70-9 aes~s

KSIĄŻKI KAROLA MAYA

z tzw. cyklu arabskiego

Przez pustynię [1990j

Przez dziki Kurdystan [1990j

Z Bagdadu do Sambułu [w przygotowaniu]

W wąwozach Bałkanów [1993j

Przez krainę Skipetarów [1991 j

Szut [w przygotowaniu]

I. PO~ZA~TEI~ POŚCIGU

Po opuszczeniu Adrianopola nie ujechaliśmy daleko, ja, Halef, Omar i Osko w towarzystwie trzech saptije, gdy usłyszeliśmy za sobą tętent kopyt. Obróciwszy się do tyłu ujrzeliśmy jeźdźca; który starał się nas dopędzić galopem. Natychmiast powściągnęliśmy wierzchowce, żeby go dopuścić bliżej, i niebawem rozpoznaliśmy Malhema, odźwiernego Hulama. Jechał na ciężko objuczonym koniu, w końcu jednak dotarł do nas i zeskoczył na ziemię.

- Sela drowił nas krótko.

Odpowiedzi tym samym pozdrowieniem, a na nasze pytające spojrzenia wyjaśnił mi, co następuje:

- Wybacz, efendi, że przerywam waszą śpieszną podróż! Mój pan przykazał mi pojechać za wami.

- W jakim celu? - zapytałem.

- Żeby wam doprowadzić tego konia.

- Czym go tak objuczylesz? - dociekałem dalej.

- Żywnością i innymi rzeczami, których być może będziecie potrzebować.

- Jesteśmy zaopatrzeni na wiele dni!

- Pomimo to. Mój pan uważał, że ludzie, których ścigacie, mogą zbaczyć z drogi. Jeśli ruszą w góry, to znajdziecie tam tylko paszę dla koni, a dla siebie nic.

- Twój pan jest bardzo łaskawy. Ale ten ciężko objuczony koń nadaje się tylko do tego, żeby opóźniać naszą podróż.

- Przyprowadziłem go wam, bo taki miałem rozkaz. Afietde kalyn! Allah sefer inisi chairli eileje - bywajcie zdrowi, niech Allah da wam dobrą podróż! - Mówiąc te słowa, Malhem zarzucił koniowi lejce na szyję, wykonał w tył zwrot i ruszył śpiesznym krokiem z powrotem do Edirne.

Halef natychmiast zwrócił swego konia w stronę miasta i zapytał:

- Mam za nim jechać, sihdi?
- Po co?
- Żeby schwytać Malhema i sprowadzić go tutaj, by poznał twoją wolę!
- Zostaw go! Nie możemy tracić czasu.
- Ciekaw jestem, co zapakowano w te derki i maty!
- Nie musimy tego wcale wiedzieć teraz. Przekonamy się, co w nich jest, wieczorem. Łap luzaka za cugle! Naprzód! Podjęliśmy na nowo przerwana podróż. Ja jechałem przodem, pozostali za mną, a to dlatego, że musiałem szukać śladów, choć zajęcie to wydawało się beznadziejne.

Drogę trudno było nazwać gościńcem, choć panował na niej do-syć ożywiony ruch. Mały Hadzi miał rację mówiąc, że łatwiej by było odnaleźć ślady ściganego na Saharze niż tutaj. Dlatego też zwracałem uwagę nie na samą drogę, lecz na jej lewy skraj. Drugą stronę drogi tworzył brzeg Ardy. Dopóki nie odkryłem tutaj śladów wskazujących na to, że trzej jeźdźcy zoczyli z kierunku, w którym podążaliśmy za nimi, mogłem być raczej pewny, iż ma-my ich przed sobą. Spotykaliśmy jeźdźców, ciężkie wozy ładowne i wędrowców pieszych, lecz nikogo nie wypytywałem. Ponieważ uciekinierzy przejeżdżali tędy jeszcze wczoraj wieczorem, nie mógł ich widzieć żaden z napotkanych ludzi. Nie zatrzy się również przy małych skupiskach domów przy trak e odchodziła tam żadna droga, którą mógłby obrać Barud e . Kiedy jednak dotarliśmy do miejscowości zwanej Ortaktij, gdzie odbijało na ~ki parę ścieżek, zatrzymałem się i zagadnąłem pierw-szego napotkanego człowieka:

- Selam! Czy jest może w tej miejscowości, którą niech Allah błogosławi, jakiś bekezi 1?

Zapytany nosił przy boku ogromną ciężką szablę, w prawicy trzymał potężną pałkę, fez obwiązał kawałkiem szmaty, sztywnym od brudu, i był boso. Przypatrywał mi się przez chwilę, po czym przystąpił do bliższych oględzin moich towarzyszy podróży.

- No więc? - zn.iecierpliwiłem się.
- Jawasz, jawasz - powoli, powoli! - napomniał mnie łach-maniarz.

Wsparł się na swoim kiju i zaczął poddawać dokładnym oględzi-nom niewielką postać Hadziego. Halef jednakże sięgnął do kluczki u siadła i wyciągnął swój bicz.

‘ noCny strażnik

6

- Wiesz może, co to jest?

Zapytany wykonał szybki ruch i chwycił za szablę.

- A ty, lilipucie, wiesz, co to jest?

Lilipucie! Żadne inne słowo nie mogło tak głęboko obrazić Ha-lefa. Odchylił rękę do zadania ciosu, ale szybko wcisnąłem szę swoim koniem pomiędzy obydwu i ostrzegłem go:

- Tylko bez pośpiechu, Halef! Ten człowiek odpowie na moje pytanie.

Wyciągnąłem z kieszeni kilka drobnych monet, pokazałem czło-wiekowi z szablą i powtórzyłem:

- No więc, jest tutaj jakiś bekcz?

- Czy dasz mi te pieniądze? - zapytał:

- Owszem.

- No to dawaj! - odrzekł krótko mężczyzna i wyciągnął rękę.

- Najpierw odpowiedź!

- Tak, jest tutaj bekcz. A teraz dawaj pieniądze!

Było tego zaledwie kilka miedzianych para.

- Masz! - powiedziałem. - Gdzie mieszka bekcz?

Schował pieniądze, przechylił głowę w bok i zapytał z krzywym iechem:

Czy zapłacisz też za to pytanie?

- Już dostałeś zapłatę!
- Za pierwsze pytanie, ale nie za drugie.
- Dobrze, masz tu jeszcze dwie monety po pięć para! No więc gdzie mieszka bekcz?
- Tam, w ostatnim domu - wyjaśnił mężczyzna, wskazując na budowlę, która nie zasługiwała nawet na miano chaty, lecz najwyżej stajni.

Ruszyliśmy w podanym kierunku. Kiedy dotarliśmy do walące-go się domostwa, zsiadłem z konia, by zbliżyć się do dziury, która służyła za wejście i wyjście. W tej samej chwili w otworze poja-wiła się kobieta, którą wywabił ze środka tętent kopyt naszych koni.

- Wai atasz g~sunu - oj, biada! Zamknij oczy! - zawołała i czym prędzej wycofała się.

Jej twarzy nie zasłaniał bowiem czarczak i stąd owa płochliwość. Także ona była boso. Ciało miała owinięte w jakąś starą obszar-paną sukienkę, a włosy wyglądały tak, jakby były fabryką filcu. Jej twarz nie oglądała wody przypuszczalnie już od miesiący. Są-dziłem już niemal, że kobieta nie pokaże się więcej, ale po kilku niecierpliwych okrzykach z mojej strony pojawiła się jednak.

# Twarz zasłaniała teraz dnem jakiegoś połamanego kosza. Poprzez

?

szpary w splocie ona mogła nas widzieć, tymczasem nam nie było dane radować oczu jej urodą.

- Czego chcecie? - zapytała nieśmiało.

- Czy tutaj mieszka bekci? - musiałem zapytać znowu.

- Tak.

- Jesteś jego kobietą?

- Jestem jego jedyną kobietą - odparła z dumą. Przykładała do tego wagę i chciała podkreślić fakt, że on, a jedna posiadała serce swego nocnego paszy.

- Czy on jest w domu?

- Nie.

- Gdzie w takim razie jest twój pan?

- Wszedł.

- Dakąd?

- Na ścieżki swojego urzędu.

- Ale przecież nie ma jeszcze nocy!

- Mój pan czuwa nad poddanymi padyszacha nie tylko nocą, ale i w ciągu dnia. Nie jest zwyczajnym bekci, lecz także sługą kjai, którego rozkazy musi wykonywać.

Kjaja to naczelnik wioski. Wtem przypomniałem sobie mężczyźnę, z którym rozmawialiśmy przed kilkoma minutami. Odwróciłem się i słusznie, gdyż właśnie powoli i dumnie zbliżał się do nas. Tego jednak było już dla mnie za wiele. Przybrałem najbardziej marsową minę i wyszedłem mu na spotkanie parę kroków.

- Ty sam jesteś bekci? - zapytałem człowieka z wielką szablą.
- Jestem - oświadczył z pewnością siebie.

Hadżż Halef Omar zauważył, że nie jestem już w dobrym humorze, i napał blisko koniem na strażnika nocy i dnia, cały czas przy tym patrząc na mnie. Wiedziałem, o co mu chodzi, i przyzwyczajając skinąłem głową.

- Dlaczego nie powiedziałeś tego od razu, kiedy poprzednio z tobą rozmawiałem? - zapytałem surowo.
- Nie czułem takiej potrzeby. Masz jeszcze pieniądze?
- Dla ciebie będzie dosyć. Uważaj, wypłacę ci z góry za wszystkie następne pytania.

Ponownie skinąłem głową, i na plecy strażnika poddanych padyszacha spadł z kłaśnięciem bicz Halefa. Strażnik chciał uskoczyć na bok, ale mały Hadżż tak pewnie naprowadził konia, ściskając go jedynie udami, że przyparł tamtego do ściany i wymierzał mu coraz to nowe baty. Chłostany nawet nie myślał o tym, żeby zrobić użytek ze swojej szabli czy pałki. Krzyczał tylko we wszelkich możliwych tonacjach, a jego „jedyna” niewiasta mu wtórowała.

Kobieta zapomniała przy tym o zasłanianiu twarzy dnem kosza:

odrzucała daleko tę tarczę swojej godności niewieściej, doskaczyła do konia Hadżżiego, złapała go za ogon i zaczęła ciągnąć ze wszystkich sił, krzycząc przy tym:

- Wai baszyna, wai baszyna - biada ci, biada ci! Jak możesz tak obrażać sługę i ulubieńca padyszacha? Cofnij się, cofnij się! Bre bre, he he - na pomoc, na pomoc!

Na dźwięk jej skrzeczącego głosu ożywiło się przed drzwiami domów i chat. Wylegli z nich mężczyźni, kobiety i dzieci i podbiegli do nas, chcąc ustalić przyczynę tych krzyków. Skinąłem na Halefa, żeby przestał. Spełnił moje życzenie. Nocny strażnik zdążył już chyba dostać ze dwanaście batów, wypuścił pałkę z prawej ręki, wyciągnął z pochwy szablę i rozcierał lewą ręką obolałe plecy.

- Jak śmiałeś to zrobić? Czy mam cię skrócić o głowę? Na-puszczę na ciebie całą gminę, która cię rozerwie na strzępy!

Halef roześmiał się tylko. Chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdą-

żył, gdyż przez krąg gapiów przecisnął się jakiś człowiek i zwrócił



się do mnie, pytając ostrym tonem: , ‘

- Co tu się dzieje? Kim jesteście?

Tak czy owak miałem przed sobą dostojnego naczelnika wioski, na wszelki wypadek zapytałem jednak:

- A kim ty jesteś?

- Jestem kjąją tej wioski. Kto wam dał prawo targnąć się na mojego policjanta?

- Jego zachowanie dało nam do tego prawo.

- Dlaczego?

- Domagałem się od niego informacji, a on mi odmówił.

Zażądał, żebym mu płacił za każdą odpowiedź z osobna.

- Może sprzedawać swoje odpowiedzi tak drogo, jak uważa.

- A ja mogę płacić za nie tyle, ile uznaję za stosowne. Teraz dostałem zapłatę z góry i będzie mi musiał odpowiedzieć.

- Nawet słowa! - wykrzyknął strażnik.

- Nawet słowa nie odpowie - potwierdził kjąją. - Targnęliście się na moją służbę. Natychmiast macie pójść za mną! Zbadać całą sprawę, i otrzymacie zasłużoną karę!

Na te słowa mały Hadzi wyciągnął bicz i zapytał:

- Sihdi, czy mam dać temu kjąi Ortakój do skosztowania piękną skórę z krokodyla?

- Teraz jeszcze nie, ale może później - odrzekłem.

- Co, psi synu, chcesz kazać wychłostać? - zawołał naczelnik wioski.

- Niewykluczone - oświadczyłem spokojnie. - Ty jesteś kjąją tej wioski. A czy wiesz kim i czym ja jestem? Zwierzchnik wioski milczał. Moje pytanie wydawało mu się bardzo nie na rękę. Ciągnąłem więc dalej:

- Nazwałeś tego człowieka swoim policjantem?

- Tak, bo jest nim.

- Nie, nie jest. Jest mieszkańcem tej miejscowości, a ty uczy- niłeś go swoim sługą, lecz policjantem nie jest. Przyjrzyj się na- tomiast tym trzem jeźdźcom, którzy noszą mundury sułtana! Ty masz nocnego strażnika, a ja mam przy sobie trzech prawdziwych saptije. Czy domyślasz się już, że jestem kimś zupełnie innym niż ‘~S’?

Żeby dodać moim słowom powagi, Halef trzasnął biczem przed samym nosem kjai, który cofnął się wystraszony. Również osoby stojące za nim odsunęły się do tyłu. Poznałem po ich minach, że zaczynają mnie uważać za wielkiego pana.

- No, odpowiedz! - rozkazałem.

- Czelebim - mój panie, powiedz wpierw, kim jesteś! - po-prosił kjaja, całkiem zbity z tropu.

- Nędzniku! - ofuknął go Halef. - Jak możesz żądać, żeby tak wielki pan mówił ci, kim jest? Ale ja ci wspaniałomyślnie wy-jawię, że stoisz przed dostojnym i szlachetnym Karą ben Nemsibejem, któremu oby Allah dał jeszcze wiele tysięcy wiosen, zim rzecz jasna nie licząc. Mam nadzieję, że o nim słyszałeś!

- Nie, nigdy! - zapewnił zgodnie z prawdą zastraszonego czło-wiek.

- Co? Nigdy? - zgromił go mały Halef. - Mam może tak długo ścisnąć twój mózg, aż wyjdzie z niego właściwa myśl? Przy-pomnij sobie!

- Tak, słyszałem o nim - wyznał kjaja w najwyższym stra-chu.

- Tylko raz?

- Nie, wiele, bardzo wiele razy!

- Twoje szczęście, kjajo! Inaczej bym cię uwięził i wysłał do Stambułu, żeby cię utopiono w Bosforze! A teraz posłuchaj, co ten czcigodny efendi ma ci do powiedzenia!

Mówiąc te słowa, mój mały towarzysz odsu~ął się z koniem od napastowanego. Jego oczy z pozoru płonęły jeszcze gniewem, lecz 10 kąciki ust drgały zdradziecko. Dzielnym Hadzi musiał się bardzo starać, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Oczy wszystkich zawisły teraz na moich ustach.

- Nie przybyłem tutaj po to, żeby wam wyrządzić jakieś zło - uspokoiłem kjaję. - Przywykłem

jednak do tego, że na moje pytania odpowiada się natychmiast. Ten człowiek odmówił mi udzielenia informacji z dobrej woli, chciał wymusić ode mnie pieniądze! Dlatego kazałem go wychłostać. Od niego zależy, czy dostanie jeszcze bastonadę!

W czasie gdy ja zwróciłem się do nocnego strażnika, naczelnik wioski dał śpiesznie znak swojemu podwładnemu i szepnął do niego:

- Na Allaha, odpowiedz prędko!

Nocny opiekun poddanych padyszacha przybrał tak wyprężoną postawę, jakby ujrzał we mnie władcę wszystkich wiernych.

- Efendi, zadaj mi pytanie!

- Czy czuwałeś ostatniej nocy? - zapytałem.

- Tak.

- Jak długo?

- Od wieczora do rana.

- Czy przez Ortakój przejeżdżali jacyś obcy?

- Nie:

Zanim jednak bekci udzielił odpowiedzi na to pytanie, posłał kjai pytające spojrzenie. Wprawdzie nie widziałem twarzy tego ostatniego, ale zobaczyłem już dosyć i mogłem nie dawać wiary słowom odpowiadającego. Dlatego powiedziałem surowo:

- Kłamiesz!

- Mówię prawdę, panie!

W tej samej chwili obróciłem się szybko do kjai i spostrzegłem, że ostrzegawczym gestem położył rękę na ustach. Najpierw szepnął do strażnika, by prędko odpowiedział, a teraz polecił mu milczeć. To było zastanawiające. Zapytałem strażnika:

- I nie rozmawiałeś z żadnym obcym?

- Nie.
- Dobrze! Kjajo, gdzie jest twoje mieszkanie?
- Ten dom po drugiej stronie - odpowiedział zapytany.
- Ty i bekczi pójdziecie tam ze mną, tylko wy dwaj. Muszę z wami porozmawiać.

Nie oglądając się na nich, skierowałem się do wskazanego mi domu i wszedłem do środka. Zbudowany był na bułgarską modłę i składał się tylko z jednego pomieszczenia, podzielanego jednak 11 przy pomocy wiklinowych mat na kilka przegród. W przedniej części znalazłem niski taboret na trzech nogach i usiadłem na nim. Obydwaj wymienieni nie mieli odwagi mi się oprzeć. Prawie od razu podążyli za mną. Przez dziurę w murze, która służyła za okno, zauważyłem, że na zewnątrz dalej trzymają zgromadzonych ludzi, ale w pełnej szacunku odległości od moich towarzyszy. Kjaja i jego podwładny wyraźnie byli w kwaśnych humorach.

Obydwaj się bali, i musiałem to wykorzystać.

- Bekczi, czy w dalszym ciągu podtrzymasz to, co powiedziałeś przedtem? - zapytałem.
- Tak.
- Mimo że mnie okłamałeś?
- Nie kłamałem.
- Kłamałeś, a to tylko dlatego, że tak chciał kjaja.

Naczelnik wioski zerwał się przerażony z miejsca.

- Efendi!
- Ca? Co chcesz powiedzieć?
- Nie powiedziałem przecież słowa do tego człowieka! - za-pewnił kjaja.
- Ale dałeś mu znak ruchem głowy!
- Nie, efendi.
- Powiadam wam, że łąecie obydwaj. Znaie to przysłowie o Żydzie, który się utopił, bo położył się spać w studni?

- Znamy.

- W takim razie może was spotkać to samo, co tamtego Żyda.

Wystawiacie się na niebezpieczeństwo, które podobnie jak woda w studni może was zalać i udusić. Nie pragnę jednak waszego nie-szczęścia i chcę was ostrzec. Rozmawiam z wami tutaj, żeby wasi podwładni i przyjaciele nie dowiedzieli się, że powiedzieliście nie-prawdę. Jak widzicie, obchodzę się z wami łagodnie i jestem ży-czliwie nastawiony. Za to spodziewam się teraz usłyszeć od was prawdę.

- Powiedzieliśmy już - zapewnił gorliwie kjąja.

- A więc tej nocy nie przejeżdżali przez Ortakój żadni obcy?

- Nie.

- Jak chcecie. Życzyłem wam dobrze, ale gorzej jednak życzy-cie sobie sami. Ponieważ mnie okłamujecie, każę was odstawić do Edirne, do samego wali ~. Dlatego wziąłem ze sobą tych trzech saptije. Tam szybko się z wami załatwią. Pożegnajcie się ze swoimi rodzinami!

s namiestnik

12

Zauważyłem, że obaj mocno się wystraszyli.

T- Efendi, żartujesz! - wyjąkał naczelnik wioski.

- Co ei przyszło do głowy? - odrzekłem, wstając ze swojego miejsca. - Nie mam wam nic więcej do powiedzenia, a teraz przy-wołam policjantów.

Ruszyłem w stronę drzwi, lecz kjąja szybko zastąpił mi drogę i zapytał:

- Efend~i, czy to prawda, że chciałeś nas uratować?

- Z pewnością.

- I teraz też jeszcze chcesz?

- Hm! Czy ja wiem. Wyparliście się!

- A gdybyśmy się teraz przyznali?
- Może nie byłoby jeszcze za późno.
- Będziesz wyrozumiała i nie uwięzisz nas?
- Macie odpowiadać, a nie pytać. Zrozumiano? Dowiedcie się, co potem postanowię. Okrutny jednak nie jestem. Spojrzeli nawzajem na siebie. Nocny strażnik jakby w geście niemej prośby uniósł nieco rękę.
- I tutaj, efendi, też nikt się nie dowie, cośmy ci powiedzieli?
- zapytał kjaja.
- Nie przypuszczam.
- Więc dobrze, zatem usłyszysz „prawdę”. Nie wychodź! Zostań tutaj i powiedz nam, co chcesz wiedzieć. Teraz odpowiemy ci szczerze.

Usiadłem z powrotem na swym poprzednim miejscu i zwróciłem się do nocnego strażnika:

- A więc, w nocy przejeżdżali przez wioskę obcy?
- Tak.
- Kto?
- Po północy wóz zaprzężony w woły. Później jeszcze trzej jeźdźcy.
- Na jakich koniach?
- Na dwóch siwkach i na jednym kasztanie.
- Rozmawiali z tobą?
- Tak. Stałem na środku drogi, i wtedy mnie zagadnęli.
- Wszyscy trzej?
- Nie, tylko jeden.
- Co powiedział?
- Poprosił mnie, żebym nie mówił, że widziałem trzech jeźdźców, gdyby mnie ktoś pytał. I dał mi bakszysz.

- Ile?

- Dwa piastry.

- Ach, to faktycznie bardzo dużo pieniędzy! - roześmiałem się. - I za te dwa piastry zgrzeszyłeś przeciwko przykazaniu Pro-roka i okłamałeś mnie?

- Efendi, nie tylko piastry są temu winne.

- A co jeszcze?

- Spytali mnie, jak się nazywa nasz kjaja, a gdy wymieniłem jego nazwisko, kazali się do niego zaprowadzić.

- Znałeś ich wcześniej lub przynajmniej jednego z nich?

- Nie.

- Ale oni wydawali się znać kjaję, skoro zażyczyli sobie z nim rozmowy. Zaprowadziłeś ich do niego?

- Tak.

Usłyszawszy tę odpowiedź, obróciłem się do naczelnika wioski, który najwidoczniej był w znacznie większym kłopotcie niż jego podwładny. Jego niepewne spojrzenie pozwalała przypuszczać, że ma coś na sumieniu.

- Czy w dalszym ciągu twierdzisz, że nikt nie przejeżdżał przez wioskę? - zapytałem.

- Efendi, bałem się - wyznał naczelnik wioski.

- Kto czuje strach, ten popełnił jakąś nieprawość. Sam wystawiasz sobie w ten sposób niedobre świadectwo.

- Panie, nie przypominam sobie żadnej nieprawości!

- Skąd więc ten strach? Czy wyglądam na kogoś, kogo trzeba się bać?

- Och, ciebie, efendi, się nie obawiałem.

- W takim razie kogo?

- Manacha el Barszy.

- Ach, więc znasz go?



- Tak.
- Gdzie go poznałeś?
- W Mastanly i w Ismilanie.
- W jakich okolicznościach zetknąłeś się z nim?
- Był poborcą pogłównego w ~skub i wtedy przybył też do Seres, żeby rozmówić się z tamtejszą ludnością. Stamtąd zaś wy-brał się na słynny jarmark w Melniku.
- Kiedy to było?
- Przed dwoma laty. Wtedy to Manach el Barsza działał w Ismilanie i w Mastanly, i widywałem go w obu tych miejscowościach.
- Czy rozmawiałeś z nim kiedyś?
- Nie. Ale słyszałem niedawno, że Manach ściągał wyższe po-datki, niż należy, i że dlatego teraz uciekł. Poszedł w góry.

„Pójść w góry” znaczy tyle samo co, jak już wspominałem, zo-stać rozbójnikiem. Dlatego rzekłem teraz surowo:

- Twaim obowiązkiem było go zatrzymać, gdy tylko zjawił się u ciebie!
- O efendi, czegoś takiego nie mogłem zaryzykować!
- Dlaczego?
- Bo oznaczałoby to moją pewną śmierć. W górach mieszka tylu ludzi. Siedzą we wszystkich wąwozach, a ich sprzymierzeńcy liczą się na setki. Znają się wszyscy między sobą i trzymają się razern. Gdybym go uwięził, przyszliby jego przyjaciele i mnie za-bili!
- Jesteś tchórzem i boisz się wypełniać swoje obowiązki. Ani chwili dłużej nie powinieneś już być naczelnikiem.
- Mylisz się, panie! Nie chodzi mi tutaj o własną osobę. Ale ci iudzie zrównaliby z ziemią całą naszą wioskę.

Wtedy otworzyły się drzwi i w otwarze ukazała się głowa ma-łego Hadziego.

- Sihdi - powiedział - muszę z tobą porozmawiać.

Powiedział to, żeby nie zrozumieli go kjaja i strażnik nocny, w swoim ojczystym dialekcie z zachodniej Sahary.

- W czym rzecz? - zapytałem.
- Chodź, pośpiesz się! - nalegał, nie wdając się w żadne wy-jaśnienia.

Podszedłem więc do niego. Na pewno miał mi coś ważnego do przekazania.

- Teraz mów! - szepnąłem do niego.
- Sihdi? - wyjaśnił cichym głosem, tak żeby tamci dwaj nie mogli g~o usłyszeć - jeden z mieszkańców dał mi ukradkiem znak i zniknął za domem. Wymknąłem się za nim, starając się

nie zwrócić niczyjej uwagi, i wtedy powiedział mi, że może nam coś zdradzić, jeśli zapłacimy mu za to dziesięć piastrów.

- Gdzie on teraz jest?

- Czeka za domem.

- Nic więcej ci nie powiedział?

- Ani słowa, sihdi.

- Pójdę do niego. Tymczasem ty zostań tutaj, żeby ci dwaj nie uknuli czegoś przeciwko nam.

Dziesięć piastrów, mniej więcej dwie marki, nie było zbyt wygórowaną sumą za cenną informację. Nie wyszedłem od frantu na wiejski gościniec, lecz opuściłem pomieszczenie przez wąskie tylne wyjście. Na tyłach domu ujrzałem czworokątne ogrodzenie, za którym znajdowało się kilka koni. W pobliżu stał mężczyzna, 15 który najwidoczniej na mnie czekał. Kiedy mnie zobaczył, szybko podszedł do mnie i zapytał cicho:

- Zapłacisz, efendi?

- Owszem.

- Więc daj pieniądze!

- Masz!

Podąłem mu żadaną drobną sumę. Schował pieniądze, po czym szepnął do mnie:

- Było tutaj trzech jeźdźców!

- Wiem o tym.

- Kjaja wymienił im jednego konia, na siwka. Chcieli mieć trzy siwki i zostawili tutaj kasztana. Zobacz, stoi tam w rogu. Spojrzałem we wskazanym kierunku. Maść konia zgadzała się z tym, co mi powiedziano.

- Czy to wszystko, co chciałeś mi przekazać? - zapytałem.

- Nie, wiem jeszcze więcej. Wczesnym popołudniem zjawił się człowiek, który dowiadywał się o nich.

- U kogo?

- U mnie. Dlatego wiem o tym. Akurat stałem przy drodze, gdy nadjechał. Dopytywał się o trzech jeźdźców, z których dwóch miało jechać na białych koniach. O niczym nie wiedziałem, więc ode-słałem go do strażnika, a ten zaprowadził go potem do kjai.
- Czy ten obcy zatrzymał się dłużej?
- Nie. Wyglądało na to, że bardzo mu się śpieszy.
- Potrafisz go opisać?
- Tak. Jechał na starym bułanku, który okropnie się pocił. Na głowie miał czerwony fez, a ponieważ zawinął się w długi szary binisz a, mogłem dostrzec jedynie jego czerwone kundura’.
- Czy ten obcy nosił jakiś zarost?
- Z wyjątkiem małego bijika s nie miał żadnego zarostu.
- Dokąd pojechał?
- W kierunku Mastanly. Ale nie usłyszałeś jeszcze rzeczy naj-ważniejszej. Otóż kjaja ma w Ismilanie siostrę, której mąż jest bratem Szuta.

Faktycznie, była to tak ważna wiadomość, że zaskoczony zro-biłem krok do tyłu.

Na Półwyspie Bałkańskim nigdy nie udało się położyć kresu  
rozbójnictwu. Sam wszakże, począwszy od Damaszku, zebrałem

~ rodzaj płaszeza

~ tureckie buty

~ wąsik

16

w tej materii własne doświadczenia. Z początku uważałem Stam-buł za główną siedzibę tych przestępców, a Ustę Dawuhd Arafima lub Abrahima Mamura za najwyższego przywódcę. Potem jednak zmieniłem ten pogląd. Akurat ostatnimi czasy gazety donosiły niemal bez przerwy o rebeliach, napadach, podpaleniach, morder-stwach i innych wydarzeniach, które nalażało tłumaczyć niepewną sytuacją w krajach bałkańskich pod panowaniem tureckim. Teraz z kolei głośno było w górach Szar Dag pomiędzy Prizren a Kal-kandelen o niejakim Skipetarze, który zebrał wokół siebie bandę niezadowolonych, kontrolował teren aż po Kurbaczką Plani-nę z jednej i doliny Babuny z drugiej strony. Opowiadano, że widziano go nawet w wąwozach Perin Dag i że miał swoich zwo-lenników

w adludnej Despoto Planinie.

Nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska. El Asfar, Sary, Szut, tak go nazywano w zależności od języka, jakim się posługiwano. Wszystkie te trzy słowa znaczą to samo. Żółty. Może miał taką cerę wskutek żółtaczki. Szuta to żeńska forma od Szut w języku serbskim i znaczy Żółta. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że ten Szut jest przywódcą wszystkich band rozbójników od wybrzeża Czarnogóry po Bosfor. A więc żona tego herszta bandytów, Szuta była krewną kjai Ortakój. Dało mi to wiele do myślenia, lecz oczywiście nie mogłem zdradzić swemu informatorowi, jakie wyciągnąłem z tego wnioski.

- Chciałbyś jeszcze coś dać? - zapytałem spokojnie.

- Nie. Jesteś zadowolony?

- O tak. Ale powiedz mi, dlaczego zdradzasz mi fakty świadczące przeciwko twemu przełożonemu?

- On nie jest dobrym człowiekiem, efendi. Nikt go nie lubi, i wszyscy cierpią z powodu jego niesprawiedliwości.

- Czy ktoś jeszcze wie, że rozmawiasz ze mną?

- Nie. Ciebie też proszę, żebyś nikomu o tym nie mówił.

- Będę milczał jak grób.

Po tym zapewnieniu chciałem już skończyć rozmowę, nagle jednak przypomniałem sobie o czymś bardzo ważnym, co omal nie uleciało mi z pamięci.

- Znasz Ismilan? - zapytałem.

- Tak.

- W takim razie znasz pewnie też szwagra kjai, o którym twierdzisz, że jego siostra jest kobietą Szuta?

- Tak, znam go.

- Kim jest z zawodu?

- Sila;hdzi s, a oprócz tego ma kahwehane', gdzie wystawia swoją broń na sprzedaż.
- Gdzie mieszka?
- W uliczce, która wychadzi w kierunku wioski Czatak.
- Dziękuję ci. Ale teraz milcz również ty, tak jak i ja zachowam milczenie.

Następnie wróciłem do wnętrza domu. Po minach kjai i nocnego strażnika nie mogłem poznać, czy przerwa w naszej rozmowie wzbudziła ich nieufność, czy nie. Halef natychmiast się wycofał.

- A teraz - podjąłem przerwana rozmowę - chętnie bym się dowiedział, czego chciał od ciebie ów były poborca podatków z ~skiip.
- Pytał o drogę - odparł kjaia.
- I?okąd?
- Do Sofali.

Sofala leżała na południu, tymczasem byłem przekonany, że uciekinierzy pojechali na zachód. Ów zacy kjaia chciał mnie zatem sprowadzić z właściwego tropu. Nie dałem po sobie poznać, że nie wierzę jego słowom, i zapytałem:

- Manach el Barsza przybył z Edirne, nieprawdaż?
- Owszem.
- W takim razie jechał stamtąd przez Samankę i Czingerly dokładnie w kierunku zachodnim, a tutaj zupełnie niespodziewanie skręcił na południe. Jeśli chciał się dostać z Edirne do Sofali, mógł przecież wybrać krótszą drogę przez Tatar, Adę, Szahandzę, Demotikę i Mandrę. Dlaczego zrobił takie koło i nadłożył najmniej szesnaście godzin drogi?
- Nie pytałem go o to.
- Nie potrafię tego pojąć.
- Manach el Barsza nie może się pokazywać. Jest ścigany. Może chciał wprowadzić w błąd saptije. Ty też go szukasz, efendi? Chcesz go schwycić?
- Owszem.
- W takim razie musisz się trzymać tego kierunku, który ci podałem.

- Bardzo dobrze, że mi to powiedziałaś. Czy w tym południo-wym kierunku mieszka może jakiś twój krewny lub znajomy, do którego w razie potrzeby mógłbym się zwrócić?

e płatnerz

~ kawiarnia

18

- Nie.

- Ale masz chyba jakichś krewnych?

- Nie.

Było to kłamstwo. A strażnik, który na pewno znał stosunki rodzinne zwierzchnika wioski, nie wykonał najmniejszego gestu, żeby mi zdradzić prawdę. Obydwaj uważali mnie za wielkiego pa-na, a mimo to oszukiwali mnie. Będąc w tym kraju jedynie cu-dzoziemcem, zdanym tylko na własne siły, nie miałem w rękę przeciwko nim żadnego atutu. Jedyne, co mogłem zrobić, to użyć podstępny, który zresztą w tym wypadku polegał wyłącznie na tym, że udałem, iż daję wiarę słowom kjai.

Wyciągnąłem z kieszeni notes i zacząłem go kartkować, jakbym czegoś szukał, pa czym zrobiłem minę, jakbym to znalazł, i po-wiedziałem:

- Tak, zgadza się: kjaja Ortakój, surowy, bezwzględny i nie-sprawiedliwy urzędnik. A teraz na dadatek pozwalasz ujść zbiegom zamiast ich zatrzymać. Nie ominie cię...

- Surowy? Bezwzględny? niesprawiedliwy? - przerwał mi.

- Efendi, niemożliwe, żeby chodziło o mnie!

- A o kogo innego? Dziś nie mam czasu zajmować się tobą dłużej; ale możesz być pewny, że ka'zda niesprawiedliwość dosię-gnie zasłużona kara. Słyszałeś, co powiedział Prorok o Ujun Ullah e?

- Tak, efendi - odrzekł potulnie kjaja.

- Są ostrzejsze niż sztylet, który przenika twoje serce, żeby cię zabić. Przenikają jeszcze głębiej, wnikają w głąb duszy i nie ukryje się przed nimi żadne kłamstwo. Myśl zawsze o oczach Wszechwiedzącego, bo inaczej twój los będzie gorszy od losu abid elasnama ř, pomimo salawat Iř, które zwykłeś punktualnie odma-wiać! Niechaj Allah kieruje uczuciami ' twego serca i myślami w twojej głowie! Allah jisellimak - niech cię Allah strzeże!

Sklonił się głęboko, z pełnym szacunkiem, i odpowiedział:

- Nesinin sa'id - niech twoje dni będą błogosławione!

Nocny strażnik uklonił się tak nisko, że jego twarz dotykała nie-mal podłogi, i rzekł po turecku:

- Akibetiniz chajr ola sultanum - oby wasz koniec, panie, był dobry! Bekci obdarzył mnie więc liczbą mnogą, a nie pojedynczą, to była duża uprzejmość; jednakże ledwo wychodząc przestąpiłem

~ Oczy Allaha

~ poganie

‘~ modlitwy

19

próg, usłyszałem, jak kjaja, który jeszcze przed chwilą życzył mi błogosławionych dni, mruknął ze złością: - Idź do diabła! Naturalnie było do przewidzenia, że moje pobożne napomnienie wywrze na niego niewielki wpływ.

Dosiadłem konia, i opuściliśmy wioskę, ale nie w kierunku za~chodnim, tylko w stronę Demotiki. Dopiero kiedy całkiem zniknę-liśmy im z oczu, zjechali'smy z powrotem na drogę, która musiała nas zaprowadzić do Geren, wioski oddalonej mniej więcej o dwie godziny jazdy.

Wtedy dopiero spostrzegłem, że zostało z nami tylko dwóch po-licjantów.

- Gdzie twój podwładny? - zapytałem onbaszego 11 saptije.

- Zawrócił do Edirne:

Wypowiedział te słowa tak spokojnie, jakby chodziło o rzecz najoczywistszą pod słońcem.

- Dlaczego?

- Dostał deniz tutmasy'Q. Nie mógł już dłużej wytrzymać.



= Skąd się u niego wzięły zawroty głowy?

- To dlatego, że koń biegł - odpowiedział z pawagą onba-szy.
- A mówiłeś przecież, że potraficie świetnie jeździć!
- Tak. Ale konia trzeba przecież od czasu do czasu zatrzymać.

Bo kiedy tylko biegnie, o~krutnie trzęsie, kołysze i huśta. Coś takie-go znieść może tylko żołądek jakiegoś Kozaka. Moje behyrsak !3 zniknęły, po prostu ich nie ma. Obsunęły się w dół do końskich trzewi. Przestałem je czuć, czuję tylko szarawary, które lepią mi się do ciała w tym miejscu, gdzie zdarłem sobie od jazdy własną skórę. Gdybym miał ukarać diabła, skazałbym go na jazdę z wami do Melnika. Dojechałby na miejsce be~z skóry i kości i wolałby się~dzieć w piekle na największym ogniu niż dalej na koniu. Ta jeremiada wzbudziła naszą wesołość, lecz tak ezy owak było mi go żal. Miał taką boleściwą minę. W tym krótkim czasie, od kiedy wsiadł na konia, skóra zeszła mu już w paru miejscach. Jego kolega nie miał się chyba lepiej, gdyż mruknął pod nosem:

- Hallahi, ójle dir - na Allaha, tak właśnie jest!

# Poza tym głębokim westchnieniem nie odezwał się wprawdzie

i? kapral

12 ~horoba morska

ła wnętrzości

20

słowem, ale po jego twarzy wyraźnie można było poznać, że do-znawał takich samych fizycznych odczuć jak jego przełożony.

- Kto dał waszemu towarzyszowi pozwolenie na to, żeby za-wrbciał? - zapytałem dowódcę trzech bohaterów.
- Ja - odpowiedział, najwyraźniej zdziwiony, że w ogóle mogłem zadać takie pytanie.
- Wydaje mi się jednak, że to mnie powinien zapytać o zgodę!
- Ciebie, efendi? Czy to ty jesteś onbaszy, czy ja?
- Naturalnie, że ty; ale wiesz chyba, czyje rozkazy masz teraz wykonywać!
- Rozkazy kadiego. Ten jednak nie polecił mi, żebym wrósł całkiem w grzbiet tego konia i miał w końcu tylko oczy na wierzchu. Gotów jestem śpiewać i wznosić hymny pochwalne jak anioł, gdy znajdę się z powrotem w swoich koszarach w Edirne.

W tym miejscu wtrącił się mały Hadzi:

- Nędzniku, jak śmiesz mówić tak bez szacunku z efendim!

Będzie on twoim panem, jak długo mu się spodoba. Skoro ci roz-kazuje, żebyś jechał, to masz jechać, choćby cały mundur miał ci przyrosnąć do skóry. Jak ośmieliłeś się twierdzić, że potraficie tak wspaniale jeździć konno!

- Co mówi ten mały człowiek? - adparł rozeźlony podoficer.

- Jak on mnie nazywa? Nędznikiem? A jestem przecież kapralem w służbach władcy wszystkich wiernych. Po powrocie złożę na niego skargę u kadiego!

Halef chciał odpowiedzieć, ale uprzedził go Osko, który złapał za uzdę konia onbaszego i w swoim ojczystym (serbskim) języku odparł ze śmiechem:

- Bardzo proszę, preuzwischenost! 14 Proszę się trzymać mocno w siodle, wysoko blagorodni gospodine! 15 Zaczyna się wyścig! I w następnej chwili pomknął razem z onbaszym galopem. Jednocześnie Omar, schwyciwszy konia za uzdę, porwał drugiego sap-tije i popędził wraz z nim za tamtymi.

- Do stu piorunów! Łotr! Łajdak! Diabelskie nasienie! Niechaj cię piekło pochłonie! Obyś skisł! Oby ci ta bokiem wyszło! Te i jeszcze wiele innych okrzyków słyszeliśmy z ust obydwu stróżów bezpieczeństwa, trzymających się rękami siodła lub wczepionych w końskie grzywy. Szybko podążyliśmy za nimi, gdyż „ Wasza Ekscelencjo!

‘~ szlachetnie urodzony panie!

21 żał mi było nieszczęśników. Kiedyśmy ich dogonili, ledwo mogli złapać oddech.

Teraz dopiero obydwaj słudzy padyszacha zaczęli prześcigać się w złożeńiach zaczerpniętych z języka arabskiego, tureckiego, perskiego, rumuńskiego i serbskiego. W tej dziedzinie mieszkańcy Wschodu, zwłaszcza żołnierze, są pod względem językowym bardzo wszechstronni. Z wielkim trudem udało mi się ułagodzić ich gniew i minęła dobra chwila, nim w spokojnym nastroju mogliśmy ruszyć dalej.

Mieliśmy też wreszcie czas, żeby wymienić poglądy na temat wydarzenia w Ortakój. Halef podobnie jak ja zwrócił uwagę na fakt, że dziś po południu pytał o uciekinierów jakiś jeździec.

- Musi ich znać, sihdi - rzekł Hadzi. - Musi wiedzieć o ich ucieczce. Dlaczego jednak od razu nie pojechał z nimi?

- Bo pewnie w ogóle nie miał zamiaru jechać razem z nimi.

- Dlaczego więc potem za nimi podążył?

- Przypuszczalnie, żeby ich poinformować o tym, co się wydarzyło jeszcze dzisiaj.

- Co na to powie Barud el Amasad?

- Będzie ezuł strach i w~ciekłość, zakładając, że temu jeźdźco-wi uda się go dogonić i przekazać mu wiadomość.

- Dlaczego miałyby się mu nie udać? Jechał przecież tak szyb-ko, że jego koń się spocił!
- Ten bułanek jest stary, jak słyszeliśmy. I właśnie dlatego, że się już spocił, długo nie wytrzyma. Nawiasem mówiąc, ja też nie mam zamiaru pozwolić temu człowiekowi, by osiągnął swój cel.
- Dlaczego?
- Uciekinierzy mogliby się od niego dowiedzieć, że jestem wol-ny i że są ścigani. A to bynajmniej nie byłoby nam na rękę. Im bardziej będą się czuć bezpieczni, tym mniejszą ostrożność zachowywać będą podczas ucieczki, i tym prędzej i łatwiej ich do-gonimy. Dlatego chciałbym szybko doścignąć jeźdźca, o którym mowa, żeby udaremnić jego zamiary.
- Ma nad nami dużą przewagę.
- Czyżbyś sądził, że Rih nie potrafi już biegać?
- Kary, sihdi? Och, Rih znaczy wiatr i pędzi jak wiatr. Dawno nie miał okazji pokazać, że ma stalowe ścięgna. Ależ by się cieszył, gdyby mógł znowu iść z wiatrem w zawody. Tyle że my wtedy nie byłibyśmy w stanie dotrzymać ci kroku.
- Nie ma wcale takiej potrzeby. Pojadę sam.
- Sam, sihdi? A co z nami?
- Będziecie podążać za mną możliwie jak najszybciej.

- Dakąd?

- Będziecie jechać dalej drogą w kierunku Mastanly. Również ja dojadę do tej drogi, ale posuwał się będę możliwie po linii prostej. Ponieważ nie wiem, gdzie spotkam tego jeźdźca, nie mogę wam podać miejsca, gdzie będę na was czekał.

- A wiesz przynajmniej, czy jeździec na bułanku też obrał drogę po linii prostej?

- Na pewno tego nie zrobił. Ta droga jest bez wątpienia zbyt uciążliwa dla jego starej szkapy.

- Co jednak, jeśli go wyprzedzisz?

- Wtedy poczekam na niego.

- A będziesz wiedział, czy jesteś za nim, czy przed nim?

- Mam nadzieję.

- Ale nie znasz przecież okolicy. Łatwo możesz zabłądzić albo może ci się przytrafić jakieś nieszczęście. Weź mnie ze sobą, sihdi!

- Nie martw się o mnie, drogi Halefie! Mam dobrego konia i dobrą broń. Żadną miarą nie mogę zabrać cię ze sobą, bo przecież musisz być przywódcą pozostałych.

Pogłaskało to jego dumę. Zgodził się zatem na mój plan; dałem więc instrukcje jemu, Osko i Omarowi. Ponieważ trzeba było przy tym uwzględnić i omówić wszystkie możliwości, przez jakiś czas nie zwracaliśmy uwagi na obu saptije. A gdy potem odwróciłem się do nich, zobaczyłem wprawdzie kaprala-woltyżera, jego ko-legi jednak już nie dostrzegłem.

- Gdzie twój towarzysz? - zapytałem zdziwiony.

Onbaszy obrócił się również i zawołał z najwyższym zdumieniem:

- Efendi! Jechał za mną!

Jego zdumienie nie było wcale udawane. Widziałem po jego minie, iż rzeczywiście trwał w wierze, że ma za sobą kolegę.

- Ale gdzie on jest? - dociekałem dalej.

- Zniknął, wyparował, ulotnił się, rozplynął, zapodział się, za-ginał! - wyjąkał policjant w stanie nieopisanego osłupienia.

- Ale musiałeś przecież zauważyć, że został w tyle!

- Jak miałem to zauważyć? A ty zauważyłeś? Natychmiast pośpiesz z powrotem i go przyprowadzę!

Wyglądało na to, że istotnie zamierza wykonać to postanowienie. W ten sposób i on łatwo mógłby się ulotnić.

- Stój! - nakazałem zatem, chcąc tego uniknąć. - Zostajesz!

Nie mamy czasu szukać dezertera albo czekać, aż go odnajdziesz!

- Ale on miał jechać z nami!

- Załatwisz to z nim po powrocie do Edirne. Teraz pojedziesz z nami! Hadzi Halef Omar i reszta, w czasie mojej nieobecności miejcie na oku tego onbaszego, żeby spełniał swoje obowiązki! To rzekłszy popuściłem cugli karemu ogierowi i już po krótkim czasie straciłem z oczu towarzyszy.

W tej okolicy osiedla ludzkie budowane są na modłę bułgarską. Taka bułgarska wioska albo sioło leży bardzo często w pewnej odległości od gościńca lub eze-goś, co zwykle się określać tą nazwą, i w związku z tym pozostaje niewidoczna dla większości podróżnych. Zazwyczaj sioło rozciągnięte jest na jakiejś łące wzdłuż strumienia, który służy za fosę i stanowi naturalną osłonę. Każda z owych wiosek, rozmieszczonych dosyć gęsto jedna za drugą, liczy niewiele zagród, oddzielonych od siebie kawałkami łąki. Sześć do dziesięciu chat stanowi zagrodę. Chaty te albo wykopuje się w ziemi i przykrywa stożkowatym dachem ze słomy lub gałęzi, albo buduje się je z wiklinowej plecionki. W tym drugim przypadku przypominają one wielkie kosze. W takich zagrodach każdy ma osobne mieszkanie. Są chaty dla ludzi, dla koni, dla wołów, świń, owiec i kur. Zwierzęta, kiedy tylko mają ochotę, opuszczają swoje mieszkania i wędrują sobie spokojnie między zagrodami.

Traktów bitych w sensie zachodnioeuropejskim nie ma. Już samo słowo trakt byłoby tutaj przesadą. Gdy człowiek chce się dostać z jednego sioła do drugiego, wtedy szuka przeważnie na próżno połączenia, które zwykliśmy nazywać ścieżką albo drogą. Kto zaś jest tutaj obcy i zdąża do niezbyt bliskiego celu, musi posiadać, jeśli chce odbić w bok od kolein pozostawionych przez wozy zaprzężone w woły, naturalny instynkt wędrownego ptaka, a i tak ma od niego trudniejsze zadanie, gdyż ptak może bez trudu polsćcieć w każdą stronę, człowiekowi natomiast stają na drodze tysiącne przeszkody. Podejmowałem więc naprawdę spore ryzyko, zbaczając z drogi prowadzącej do Adaczaly. Wiedziałem tylko, że Ma-stanly znajduje się w kierunku zachodnim, i mogłem się już przygotować na strumienie, których brzegów nie łączyły żadne mosty, ciasne doliny i większe połączenia lasu.

Pomiędzy rozproszonymi polami i ogrodami różanymi, po splelonych słońcem łąkach przejeżdżałem w pobliżu wielu wiosek, aż wreszcie odczułem potrzebę dopytania się o drogę. Za prymitywnym płotem z gałęzi wierzbowych ujrzałem starego mężczyznę zajętego zbieraniem płatków różanych. Skierowałem konia w stronę płotu i pozdrowiłem starca. Nie zauważył wcześniej, że się zbliżam, i wystarszył się na dźwięk mego głosu. Widziałem, że namyśla się, czy podejść bliżej, czy też ukryć się za krzakami róż, więc czym prędzej powiedziałem kilka słów, żeby wzbudzić w nim zaufanie. Odniosły one przynajmniej ten skutek, że powoli zbliżył się do mnie.

- Czego chcesz? - zapytał starzec.

Zlustrował mnie nieufnym spojrzeniem.

- Jestem dilendzi 1” - odpowiedziałem. - Czy nie zechciałbyś mi podarować jedną gul es semawat 1’? W twoim ogrodzie jest peł-no tych najwspanialszych róż.

Na te słowa uśmiechnął się do mnie życzliwie.

- Czy żebracy jeżdżą na takich koniach? Nigdy jeszcze cię nie widziałem. Czy jesteś tutaj obcy?

- Tak.

- I lubisz róże?

- Bardzo.

- Zły człowiek nie jest przyjacielem kwiatów. Dostaniesz naj-piękniejszą z moich róż niebiańskich, w połowie jeszcze pąk, w po-łowie już rozkwitła, wtedy jej zapach jest tak słodki i zachwyca-jący, jakby spływał wprost z tronu Allaha.

Po dłuższym zastanowieniu nad wyborem mężczyzna ściał dla mnie dwa kwiaty i podał mi ponad płotem.

- Proszę, cudzoziemcze! - rzekł starzec. - Jest tylko jeden zapach przewyższający woń tych róż.

- Jaki to zapach?

- Zapach dżebeli tiitiinii’s.

- Znasz ten zapach?

- Nie, ale słyszałem, jak mówiono o nim i wychwalano go jako najwspanialszy aromat. Allah nie pozwolił nam go po~znać. Pali-my tutaj tylko boh-daj tutunu lř.

- Hasza! Dehszet! - Boże uchronaj! Co za obrzydliwość!

- Tak, jesteśmy bardzo biedni - westchnął starzec. - Jestem starym dazorcą ogrodów różanych i muszę palić kiepski tytoń!

- A przecież wasz olejek różany jest drogi!

- Sus - nie mów o tym! Z pewnością nie bylibyśmy tacy biedni, ale Babi humajun, Babi humajun řř! Ona zawsze jest otwar-ta na to, co ma wpłynąć. Paszowie i ministrowie mogą sobie rzecz

‘ř żebrak



‘7 róža niebiańska

‘e tytoń dżebeli

‘ř machorka

yř Wysoka Porta

25

jasna pozwolić na palenie dżebeli. Gdybym choć raz mógł go po-wąchać!

- Masz fajkę?

- Na Allaha! Jasne, że mam czubuk!

- No więc dawaj go!

Wyciągnąłem woreczek naszony pod bluzą na piersi i otworzy-łem go. Stary adnosił się do mnie z taką ufnością; musiałem mu zrobić jakiś prezent. Jego oczy w napięciu wpatrywały się w mój woreczek.

- Tutun dżebi q’! - powiedział. - Nieprawdaż, masz ~,r .tym tytoń?

- Owszem. Podarowałeś mi dwie ze swych najpiękniejszych róż; ja za to dam ci trochę mojego tytoniu.

- Och, efendi, jesteś bardzo łaskawy!

Miałem przy sobie kilka kopert. Napełniłem jedną z nich tyto-niem i wręczyłem starcowi. Zbliżył ją do nosa, powąchał i uniósł brwi.

- To dobry tytoń! - wyraził się z uznaniem.

- Autentyczny dżebeli - powiedziałem z uśmiechem.

- Dżebeli! - zawołał. T Efendi, mówisz prawdę?

- Tak. Nie okłamuję cię.

- W takim razie nie jesteś efendim, tylko jakimś paszą albo nawet ministrem. Nieprawdaż?

- Nie, przyjacielu. Dżebeli pali się nie tylko w Wysokiej Porcie. Byłem tam, gdzie on rośnie.
- Szczęśliwcz! Ale jesteś jakimś wielkim panem!
- Nie. Jestem biednym pisarzem, lecz Wysoka Porta zostawiła mi trochę dżebeli.
- I z tej niewielkiej ilości dajesz mnie? Niech Allah cię błogosławi! Z jakiego kraju pochodzisz?
- Z Almanii.
- Nie spotkałem jeszcze żadnego Almana. Czy wszyscy ludzie u was są tacy dobrzy jak ty?
- Mam nadzieję, że są tacy sami jak ty i ja.
- A co robisz tutaj w Osmanly memleketi? Do kąd zmierzasz?
- Do Mastanly.
- W takim razie zboczyłeś z drogi. Powinieneś być po opuszczeniu Ortakóji jechać z biegiem Ardy, by potem skręcić w kierunku Geren, a następnie Derek.

q' kapciuch

26

- Celowo zboczyłem z tej drogi. Chciałbym pojechać do Mastanly możliwie w linii prostej.
- Dla obcego to bardzo trudne zadanie.
- Czy mógłbyś mi opisać drogę?
- Spróbuję. Tam - spójrz w kierunku południowo-zachodnim!

Tam gdzie słońce pada akurat na zbocza, tam są góry w sąsiedztwie Mastanly. Teraz znasz już kierunek. Będziesz przejeżdżał przez wiele wsi, także przez Koszikawak. Tam musisz przejechać na drugą stronę rzeki Burgas, i wtedy będziesz miał Mastanly dokładnie na zachodzie. Bliżej nie potrafię ci tego wyjaśnić. Jutro wieczorem będziesz na miejscu.

To było zabawne. Uśmiechnąłem się.

- Nie umiesz pewnie jeździć konno?

- Nie. ‘
- Więc powiem ci, że tak czy owak zamierzam dzisiaj dotrzeć do Koszikawak.
- To niemożliwe! Czyżbyś był czarownikiem?
- Nie. Ale mój koń pędzi jak wiatr.
- Słyszałem, że są ponoć takie szybkie konie.” Czy tej nocy zamierzasz zostać w Koszikawak?
- Prawdopodobnie.
- Bardzo mnie to cieszy. Nie szukaj więc żadnego hanu, gdyż przy wjeździe do wioski mieszka mój brat Szimin, kowal, który cię chętnie przyjmie.

Być może ta propozycja mogła być dla mnie pożyteczna. Odpowiedziałem więc:

- Dziękuję ci. Przejeżdżając na pewno przynajmniej pozdrowię od ciebie twego brata.
- Nie, tak nie maźna! Muszsz s,ię u niego zatrzymać. Dałeś mi swojego... Wallahi! Co za zapach! Jakby z Kaaby w świętym mie-ście Mekce.

W trakcie, naszej rozmowy strażnik ogrodu wyjął bowiem z kieszeni fajkę i nabił ją tytoniem, a teraz właśnie pociągnął po raz pierwszy dym z cybucha, wydając przy tym okrzyki zachwytu.

- Smakuje ci? - zapytałem.
- Czy smakuje? Czy smakuje? Przechodzi przez nos niczym światło słoneczne przez zorzę poranną. Unosi duszę sprawiedliwe-go do siódmego nieba. Efendi, poczekaj chwilę, coś ci przyniosę! Strażnik ogrodu pobiegł, najszybciej jak pozwalały na to jego stare nogi, do swojej chaty, lecz niebawem ukazał się z powrotem pomiędzy różanymi krzewami.

- Zgadnij, efendi, co tutaj trzymam w ręce! - powiedział, za-nim jeszcze dotarł do płotu.
- Niczego nie widzę.
- Och, to jest bardzo małe, ale też warte prawie tyle samo, co twój dzebeli.
- Pokaż mi!
- Spójrz, co to jest?

Wyciągnął do mnie rękę z zakorkowaną buteleczką.

- Co jest w tej buteleczce? Powiedz, efendi!
- Czyżby to była woda różana?

Tego tylko mogłem się wszak spodziewać po nim, biednym do-zorcy. On jednak odpowiedział urażonym tonem:

- Woda różana? Efendi, czyżbyś chciał mnie obrazić? To ole-jek różany, czysty olejek różany, jakiego jeszcze w życiu nie wi-działeś!
- Czyj jest ten olejek?
- Jak to czyj? Mój!
- Wszak jesteś tylko dozorcą tego ogrodu!
- Tak, jestem tylko dozorcą; masz rację. Ale mój pan pozwo-lił mi zasadzić róże dla siebie w jednym kącie ogrodu. Wybrałem najlepszy gatunek i przez długi czas oszczędzałem. Uzbierałem dwie takie flasze. Jedną zamierzałem dzisiaj sprzedać; oszu-kano mnie na tej transakcji. Druga jest twoja. Daję ci ją.
- Co mówisz? - zdziwiłem się.
- Jest twoja! - oświadczył z uśmiechem stary dozorca ogro-dów różanych.
- Jak się nazywasz?

- Mam na imię Jafiz.
- No więc posłuchaj, Jafizie, jesteś szalony!
- Dlaczego mnie obrażasz, efendi?
- Dlatego, że zamierzasz podarować mi ten olejek.
- Olejek? Olejek!? Och, nie wypowiadaj tego słowa! To esen-cja, a nie zwyczajny olejek. W tej małej buteleczce mieszkają du-sze dziesięciu tysięcy róż. Zamierzasz tym prezentem wzgardzić, efendi?
- Nie mogę go przyjąć.
- Dlaczego? - spytał Jafiz.
- Jesteś biedny. Nie mogę cię tego pozbawić.
- Jak możesz mnie tego pozbawić, skora ci to daję? Twój dze-beli jest równie cenny jak ta esencja.

Żeby uzyskać uncję takiego olejku, potrzeba trzystu kilogra-28 mów najlepszych płatków różanych. Wied~ziałem o tym, dlatego nie ustępowałem.

- Mimo to nie mogę przyjąć tego pre~zentu.
- Chcesz mi sprawić przykrość, efendi?
- Nie.
- Albo mnie obrazić?

~- Też nie, Jafizie.

- No więc powiadam ci: jeżeli tego nie przyjmiesz, wyleję za-raz olejek na ziemię! Widziałem, że starzec mówi to poważnie.
- Zaczekaj! - poprosiłem. - Wytłoczyłeś ten olejek, żeby go sprzedać?
- Tak.
- Więc dobrze; odkupię go od ciebie.

Ogrodnik uśmiechnął się do mnie z wyższością i zapytał:

- A ile byś mi zaproponował?

Wyciągnąłem tyle pieniędzy, ile w mojej sytuacji mogłem sobie pozwolić wydać, i podsunąłem mu.

- Tyle ci za niego daję.

Jafiz wziął je do ręki, policzył i rzekł z uśmiechem przekrzywiając głowę:

- Efendi, twoja dobroć jest większa niż twoja sakiewka!

- Dlatego proszę cię, byś zatrzymał swój olejek: Ty jesteś zbyt biedny, żeby mi go podarować, a ja nie dość bogaty, żeby go kupić. Uśmiechnął się.

- Jestem dostatecznie bogaty, żeby podarować ci olejek, bo mam twój tytoń, a ty jesteś dostatecznie biedny, żeby go ode mnie móc przyjąć. Masz tutaj z powrotem swoje pieniądze! Ten prezent był zbyt kosztowny, żebym mógł go przyjąć. Do-myślałem się, że sumka, którą mu zaproponowałem, była w jego sytuacji nie do pogardzenia. Wiedziałem również, że nie weźmie z powrotem buteleczki. Dlatego też stanowczym gestem odsunąłem od siebie pieniądze.

- Obydwaj chcemy się nawzajem obdarować, choć nie jesteśmy bogaci, dlatego lepiej będzie, jeżeli każdy z nas zatrzyma to, co dostał od drugiego. Jeśli szczęśliwie powrócę do swojej ojczyzny, opowiem pięknym kobietom, kiedy będą się rozkoszować wonią twojego olejku, o hodowcy róż Jafizie, który był dla mnie taki życzliwy.

Słowa te najwidoczniej sprawiły starcowi radość. Jego oczy roz-błysły. Z zadowoleniem skinął mi głową i zapytał:

- Czy kobiety w twoim kraju, efendi, są miłośniczkami miłych zapachów?
- Tak, kochają kwiaty, które są ich siostrami.
- A długo musisz jechać, zanim dotrzesz do nich?
- Być może wiele tygodni. A potem, kiedy zsiądę z konia, muszę jeszcze wiele dni płynąć statkiem i jechać koleją.
- To bardzo daleko. Trafisz może w niebezpieczne okolice, pomiędzy złych ludzi?
- Możliwe. Muszę jechać przez krainę ludzi, którzy poszli w góry.

Jafiz w zamyśleniu patrzył przed siebie z powagą, potem przyjrzał mi się uważnie i w końcu rzekł:

- Efendi, oblicze człowieka jest jak powierzchnia wody. Jedna woda jest czysta, jasna i przejrzysta i kąpiący ufnie zanurza się w jej błyszczące zwierciadło. Natomiast druga woda jest ciemna, gęsta i brudna, kto na nią spojrzy, przeczuwa niebezpieczeństwo i śpiesznie przechadzi obok. Ta pierwsza przypomina oblicze dobrego człowieka, a druga złoczyńcy. Twoja dusza jest miła i jasna, twoje oko czyste, a w twoim sercu nie czai się niebezpieczeństwo ni zdrada. Chciałbym ci wyjawić coś, co do tej pory bardzo rzadko mówiłem komukolwiek z moich znajomych. A ty jesteś obcym. Jego przemowa musiała mnie ucieszyć, mimo że nie miałem pojęcia, jakiego rodzaju rzeczy pragnie mi wyjawić.
- Twoje słowa są ciepłe i słoneczne jak promienie padające na wodę - powiedziałem. - Mów dalej!
- W którym kierunku pojedziesz z Mastanly?
- Najpierw do Melnika. Tam się rozstrzygnie, którą drogę wybiorę. Może będę musiał pojechać do I-skub, a stamtąd w góry i do Kiustendił.
- Sakyn - miej się na baczności! - wyrwało się Jafizowi.
- Uważasz tę drogę za niedobłą?
- Za bardzo niedobłą. Gdybyś był w Kiustendił i chciał potem dotrzeć do morza, musiałbyś jechać przez Szar Dag do Prizren, a tam ukrywa się wielu zbiegów. Są biedni. Mają tylko broń; muszą żyć z rabunku. Zabiorą ci wszystko, co masz, może nawet życie!
- Sądzę, że potrafię się obronić.

- Bir gencz kan mawar on bin ki.istachlyk - gdy młoda krew, walczysz jak lew! - odparował spokojnie Jafiz. - A ty jesteś jeszcze młody. Masz wprawdzie przy sobie różną broń, ale cóż ona ci pomoże wobec dziesięciu, dwudziestu czy wręcz pięćdziesięciu wrogów?

- Mam szybkiego konia!



- Nie jestem znawcą, lecz widzę, że twój kary to piękny wierz-chowiec. Ale mężczyźni, którzy idą w góry, też mają szybkie konie. Łatwo cię dościgną.

- Mój ogier jest czystej krwi. Nazywa się Wiatr i pędzi jak wiatr.

- W takim razie dosięgną cię ich kule, gdyż kula leci szybciej od najbardziej rączego konia. Rozbójnicy znajdują się na koniach. Od razu zobaczą, że twój wierzchowiec jest szybszy od ich koni i nie będą na ciebie czekać na otwartej przestrzeni, lecz zaczną strzelać do ciebie z zasadzki. Jak się przed nimi obronisz?

- Przewornością. ‘

i

- Również ona cię nie uratuje, gdyż przysłowie powiada:

Ichtiat dzurmun muawinidir ~. Jesteś uczciwym człowiekiem; oni będą dziesięć razy przeworniejsi od ciebie. Pozwól, że cię ostrzeżę!

- Czy to ostrzeżenie ma może jakiś związek z tym, co chciałeś mi powiedzieć?

- Tak, efendi.

- W takim razie bardzo chciałbym się tego dowiedzieć.

- No cóż, chcę ci wyznać, że istnieje specjalny glejt, który mają przyjaciele, znajomi i sprzymierzeńcy ukrywających się.

- Skąd o tym wiesz, Jafizie?

- Tutaj wszyscy o tyxn wiedzą. Ale, tylko nieliczni znają spo-sób, w jaki można go uzyskać.

- A ty wiesz, w jaki sposób można otrzymać ten glejt?

- Nie. Siedzę cicho w swoim ogrodzie i nie wychodzę między ludzi. Ale Szimin, mój brat, jest wtajemniczony. Mogę ci to po-wiedzieć, bo ci ufam, i dlatego, że przecież wkrótce opuścisz ten kraj.

- Dobrze by więc było, gdyby Szimin m~iał do mnie takie samo zaufanie!

- Mój brat będzie je miał, skoro ja cię posyłam.

- Czy nie mógłbyś napisać paru słów do niego?

- Nie umiem pisać. Ale pokaż Sziminowi olejek różany. Zna tę buteleczkę i wie, że nikomu niegadnemu nigdy bym jej nie sprzedał ani nie podarował. A kiedy mu ją pokażesz, powiedz, że posyła cię jego tiwej-kardasz albo jary-kardasz q3. Nikt nawet się nie domyśla, że mieliśmy różne matki. Jeśli przesyłam Sziminowi jakąś poufną wiadomość, to tiwej albo jary jest zawsze znakiem, że może posłańcowi zaufać.

~ Przewrotność jest warunkiem przestępstwa

~ brat przyrodni

31

- Dziękuję ci. Sądziś zatem, że on pawie mi coś bliższego na temat tego glejtu?

- Mam nadzieję. W tej okolicy...

Strażnik ogrodu przerwał i zaczął nasłuchiwać. Z głębi ogrodu dał się słyszeć głośny gwizd, który teraz rozległ się po raz drugi.

- Mój pan wzywa - ciągnął dalej. - Muszę do niego pójść.

Czy zapamiętałeś wszystko, co ci powiedziałem?

- Tak, wszystko.

- Tylko nie zapomnij po drodze! Niech Allah będzie z tobą i pozwoli ci zanieść pięknym kobietom w twojej ojczyźnie zapachy mojego ogrodu!

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Jafiz oddalił się od płotu, a w następnej chwili nie było już nawet słyszeć jego kroków. Czy mogłem nazwać spotkanie z dozorcą ogrodu szczęśliwym dla mnie zdarzeniem? Niestety ono w każdym razie nie było. Czy to, co powiedział o glejcie, opierało się na prawdzie? Na kłam-cę nie wyglądał. Na wszelki wypadek dobrze by było odwiedzić jego brata, którego kuźnia prawdopodobnie znajdowała się przy drodze, jaką musieli obrać nie tylko moi towarzysze, lecz także jeździec, którego zamierzałem schwytać.

Pojechałem dalej. Mój koń adsapnął trochę w czasie naszej rozmowy i tym szybciej rwał teraz do

przodu. Gdybym chciał dalej trzymać się linii prostej, musiałbym pokonać pasmo wzniesień, które tak czy owak nastęczyły spore trudności. Dlatego też postanowiłem jechać dołem wzdłuż ich podnóża.

## II. KOWAL SZIMIN

Spływając z płaskowyżu Tokaczyk, rzeka Burgas biegnie w kierunku północnym, zbliża się do Ardy, do której wprowadza swe wody w pobliżu miejscowości Ada. Nad tą małą rzeką leży Koszikawak. Kąt rozwarty, jaki tworzy ona z Ardą, zamyka nizina, która w kierunku południowym wznosi się coraz wyżej, a potem przechodzi w płaskowyż Taszyk. Tych wzniesień właśnie pragnąłem uniknąć. Udało mi się to, mimo że nie znałem okolicy, o prawdziwych drogach nie mogło być mowy i musiałem nie tyle przekraczać, ile przechodzić w bród liczne rzeczki, które ze wszystkich stron dopływały do Ardy.

Słońce opadało coraz niżej, aż w końcu zniknęło za górami w od-dali. I~Togłem liczyć jedynie na krótki ~zmierzch, więc puś.ciłem ka-rego w galop, póki nie dotarłem znowu do w miarę szerokiej rzeki, a wtedy spostrzegłem, że nieco dalej w dół jej biegu przerzucony jest przez nią most.

Pojechałem w tamtym kierunku i odnalazłem drogę. Po drugiej stronie mostu pierwszy raz w Turcji ujrzałem drogowskaz. Skła-dał się z wystającego z ziemi odłamka skały, na którym napisano kredą dwa słowa. Gdybyxn się nie domyślił, jakie ma przeznacze-nie ten kamień, naprowadziłoby mnie na to pierwsze ze słów, „ku-lagus”, gdyż znaczy ono właśnie: drogowskaz. Drugie słowo nata-miast brzmiało „Derekój”. Wiedziałem, że jest to nazwa wioski. Tylko gdzie ta wioska leżała? Był drogowskaz, było na nim wypi-~ sane słowo~, lecz niestety kamień był u góry spłaszczony i właśnie na tym poziomym spłaszczeniu widniały obydwie słowa. Dalej prosto wiodło to coś, co nazwałem przed chwilą drogą, i na Prawo, wzdłuż rzeki, wiodło coś takiego samego. Ale które z nich prowad~ziło do Derekotij? Jakiż pożytek przyniósł mi ten pierwszy drogowskaz?

Po namyśle doszedłem do wniosku, że rzeczka, nad którą się zatrzymałem, to nie może być chyba Burgas i że gdybym podążył z jej biegiem, zawiodłaby mnie za daleko na północ. Postanowiłem zatem pojechać prosto.

Tymczasem ściemniło się już zupełnie. Nie widziałem wcale, czy mój koń ma jeszcze pod kopytami to „coś”, wiedziałem jeci-nak, że mogę się zdać na karego. Przejechałem tak kłusem w górę więcej pół godziny, gdy koń parszając cicho szarpnął łbem w górę i w dół. Wyteżyłem wzrok i dostrzegłem na prawo od siebie sze-roki, ciemny przedmiot, nad którym górowała na tle mrocznego nieba jakaś wyniosłość. T~o był dom z wysokim kominem. Czyżby szukana przeze mnie kuźnia? W takim razie znajdowałem się w po-bliżu Koszikawak, którego szukałem. Podjechałem bliżej domu.

- Bana bak - jest tam kto? - zawołałem.

Nikt nie odpowiedział.

- Sawul, werda - hola, bacznosc!

Nic nie zmąciło ciszy, nie zauważyłem też żadnego światła.

Czyżby dom był niezamieszany, a może w ruinie? Zsiadłem z konia z podprowadziłem ga do samego muru. Rih zaczął znowu paraskać. Wydało mi się to podejrzanе. Mimo że ogier był arabem, otrzymał jednak ode mnie dodatkowo indiańskie prze-szkolenie. Kiedy paraskał w ten spo5ób, to znaczy kiedy tak ba-dawczo wciągał powietrze przez rzaszerzone, wystawione nozdrza, 3 W w~wozach Baikanów 33 a potem stopniowo, możliwie jak najciszej wypuszczał je w pew-nych odstępach, to nie ulegało

wątpliwości, że „złe się działo w państwie duńskim”. Wyjąłem rewolwer i zacząłem sprawdzać do~m od zewnątrz. Dom był parterowy i miał wydłużony kształt. Drzwi były zamknięte. Kilka razy zapukałem bez żadnego rezul-tatu. Na lewa od drzwi adkryłem trzy również zamknięte okien-nice, rzadkość w tej okolicy, a na prawo drugie, o wiele szersze drzwi zaopatrzone w kłódkę. Obok nich stały i leżały różne ~rolni-cze narzędzia i inne przedmioty, które dały mi pewność; że ten budynek to kuźnia.

Następnie ruszyłem dalej, za róg domu. Odkryłem nagromadzo-ne drewno, z całą pewnością przeznaczone na opał. Za damem znajdował się mały czworobok, ogrod~zony wbitymi w ziemię pa-likami, na wzór robionych w niemieckich wioskach wybiegów dla świń lub gęsi. Czworobok wydawał się pusty, gdyż nie można w nim było nic dostrzec. Ale akurat tutaj Rih parskął o wiele nie-spokojniej niż przedtem. Wyglądało na to, że boi się padejść do sa-mego ogrodzenia.

Skloniło mnie to do podwojenia czujności. Dom był zamknięty; a więc zamieszkaný. Czyżby pozostawiono w takiej okolicy mie-szkanie bez opieki, i to w dodatku w nocy? Bardzo możliwe; że stało się tutaj coś niezwykłego, postanowiłem więc zbadać ‘ rzecz do końca, choćby z uwagi na to, że chciałem z Sziminem omówić kwestię glejtu. Ponieważ koń utrudniał tylka moje ruchy i łatwo mógł się narazić na jakieś nieprzewidziane niebezpieczeństwo; mu-siałem jakoś zabezpieczyć cennego wierzchowca. Żeby go uwiązać, nie potrzebowałem palika ani lassa, żadnego sznura ani rzemienia, lecz po prostu kazałem mu wejść przednimi nogami w cugle. Tym sposobem spętany był tak, że nie mógł się oddalić na większą od-ległość, choćby nawet chciał ta uczynić wbrew swoim zwyczajom. A gdyby w czasie mojej nieobecności cokolwiek zagroziła jego bez= pieczeństwu, byłem przekonany, że potrafi się dzzelnie bronić tyl-nymi nogami.

Dopiero teraz podszedłem blisko do samego ogrodzenia i wy-ciągnąłem jedną z zapalek, których kupiłem sobie rnały ‘ zapas w Edirne. Zapaliłem ją i poświeciłem sobie, zaglądnąc do środka. Leżało tam jakieś ogromne zwierzę, porośnięte gęstą sierścią, przy-paminające niedźwiedzia. Płomyk zgasł. Z powrotem zrabilo się ciemno. Co to było za zwierzę? Czy było żywe, czy martwe? Wsa-dziłem za pas rewolwer, zdjąłem z pleców sztucer i trąciłem nim zwierzę. Nie poruszyło się. Szturchnąłem je mocniej, lecz mimo to pozostało nieruchome. A więc to nie był sen, tylko śmierć. Wy-34 d~ło mi się to podejrzane, przesadziłem zatem wysakie na więcej niż metr ogrodzenie z palików. Ostrożnie po~chyliłem się nad zwie-r~ęciQm i dotknąłem go. Było zimne i sztywne, a więc martwe. Si~erść w wielu miejscach była lepka. Czyżby to była krew? Obma-całem eiało zwierzęcia. Niedźwiedź to nie był, gdyż czułem pod palcami długi kudłaty ogon. Mówi się wprawdzie, że w górnych częściach Despoto Dag, Szar Dag; Kara Dag oraz Perin Dag tra-fzają się jeszcze pojedyncze niedźwiedzie. Nie zamierzam tego kwestionować; ale jak taki niedźwiedź miałby zabłąkać się akurat tutaj; żeby zdechnąć za tym ogrodzeniem? A gdyby gdzieś w oko-licy zastrzelono niedźwiedzia, to z pewno~ścią nie wrzucono by go tutaj;:nie ściągnąwszy zeń uprzednio skóry, że nie wspomnę o mię-sie nadającym się do spożycia.

Chcąc zbadać, z jakiego rodzaju zwierzęciem mam do czynienia, poszukałem palcami jego uszu i przeraziłem się. Łeb zwierzęcia by ,zmiażdżony, i to w ten sposób, że musiano użyć do tego celu jakiegoś bardzo ciężkiego narzędzia! Zapaliłem drugą zapalękę i stwierdziłem, że zwierzę było w rzeczywistości olbrzymim psem, jakiego jeszcze nie widziałem.

, Któ go zabił, i dlaczego to się stało? W każdym razie na pewno nie’ zrobił tego właściciel psa. A

ktos .obcy, dopuszczajacy sie ta-kiem~ czynu, moze miec tylko jakieś zle zamiary. ; Zostalо tutaj popełnione przestępstwo! Wprawdzie nasunęło mi się pytanie, co to wszystko akurat mnie obchodzi, ale kuźnia na-leżała : do brata hodowcy róż, wskutek czego czułem się w obo-wiązku zbadać całą sprawę do końca.

Ze pomyślałem przy tym o niebezpieczeństwie, było rzeczą naj-zupełniej słuszną. Sprawcy mogli jeszcze znajdować się w domu. Może zachowywali się cicho, bo usłyszeli uderzenia kopyt mojego kónia i zauważyli moje przybycie. Jak jednak miałem się do nich dobrać?' Czy miałem czekać, aż nadjadą moi towarzysze? Co do tego czasu mogło się jeszcze wydarzyć w środku budynku! Nie, rnusiavem działać.

~Nie sprawdziłemW jeszcze zacho~dniej szczytowej ściany budynku. Cicho padkradłem się do niej i zauważyłem jeszcze dwie okienni-ce. Jedna tak jak poprzednie była od środka zamknięta, drugą natomiast dałoby się otworzyć. Zastanowiłem się: jeśli chcę wejść do środka, w następnej chwili mogę dostać kulę w głowę. Jednakże fakt, że z pięciu w sumie okiennic - trzy znajdowały się od fron-tu ~ ,tylko ta jedna nie była zamknięta, pozwolił mi przypuszczać, iż wewnątrz nie ma nikogo. Żeby możliwie jak najdłużej odwlec to odkrycie, wszystko pozamykano, a następnie opuszczono budy-nek przez to okno. Wskutek tego okiennicę można było tylko mocno docisnąć, a nie zabezpieczyć od wewnątrz. Po cichu uchyliłem okiennicę na taką szerokość, że mieściła się tam moja ręka, i sięgnąłem do środka. Szyby okienne są w tej okolicy rzadkością, dlatego też znalazłem to, czego się spodziewa-łem: jedynie otwór, nie zasłonięty szklaną szybą ani czyxnkółwiek innym. Nastawiłem ucha. Odniosłem wrażenie, jakby ze środka dobiegał jakiś głuchy, przytłumiony adgłos. Czyżby w domu jed-nak ktoś był? Czy powinienem zawołać? - Nie.

Wróciłem pod drugą ścianę szczytową i wziąłem całe naręcze gałązek, które tam uprzednio zauważyłem. Zrobiłem z nich zbitą wiązkę, podpaliłem i wrzuciłem przez okno. Ostrożnie przywierając do muru, zajrzałem do środka.

Budynek nie był wysoki, otwór akienny znajdował się nisko. Wiązka chrustu płonęła jasno: zobaczyłem duże czworokątne po-mieszczenie z podłogą w postaci klepiska z mocno ubitej gliny, a w izbie różne sprzęty, jakie spotkać można w typowej rumel-skiej chacie. Ani śladu jakiegóś ludzkiej istoty. Dorzuciłem trochę chrustu do ognia, zdjąłem z głowy fez; na-ciągnąłem na lufę sztucera i wsunąłem go powali w otwór. Od wewnątrz wyglądało to tak, jakbym zamierzał wejść do środka. Mój podstęp miał wprowadzić w błąd ukrytych ewentualnie w do-mu ludzi i sprawokować ich da otwarcia ognia. Ale nic się nie po-ruszyło.

Wobec tego cofnąłem sztucer, oparłem go wraz z rusznicą na niedźwiedzie o ścianę i z powrotem włożyłem fez na głowę, na-stępnie błyskawicznym ruchem przechyliłem tułów do środka izby. Oczywiście byłem gotów natychmiast go cofnąć, lecz wystarczył mi jedn rzut oka, żeby się przekonać, iż w pomieszczeniu nie ma nikogo. Przerzuciłem zatem całe ciało do środka, sięgnąłem ręką za okno, by zabrać obie moje strzelby, i rozejrzałem się dokoła:

W tym momencie powtórzył się wspomniany uprzednio hałas. Zaniepokoił on mnie tyxn bardziej, że ogień, od którego nawiasem mówiąc rozchodził się ostry, gryzący dym, zaczynał przygasać. Ucieszyłem się zatem, spostrzegłszy w kącie mały stos długich drzazg, używanych tutaj do oświetlania.

Zapaliłem jedną z drzazg i wsadziłem ją do atworu w ścianie, który służył da tego celu, jak zorientowałem się po jega okopco-nym obrzeżu. Następnie zamknąłem okiennicę i przy pomocy znajdującego się przy niej sznurka związałem ze sobą obydwaj jej skrzydła, by zabezpieczyć się od zewnątrz.

Zapaliwszy drugie łuczywo zacząłem przeszukiwać pomieszcze-36 n,ie. Ściany zbudowane były z ubitej gliny. Otaczały one izbę z trzech stron, czwartą zaś tworzyła sięgająca od s~ąfitu do podłogi plecionka z wikliny, w której wycięty był otwór. Kiedy miną-łem te drzwi, znalazłem się w małym osobnym pomieszczeniu; w którego podłodze odkryłem klapę wykonaną z grubej plecio~nki wiklinowej. I teraz znowu usłyszałem hałas. Przypominał jakby chrobotanie i łomot, i dobiegał spod klapy w podłodze. Przyniosłem sobie jeszcze kilka łuczyw i wtedy uniosłem klapę. Wiklinowa plecionka wytrzymywała ciężar człowieka, ponieważ od spodu podpierały ją słupki. Poświeciłem w dół. Drzazga dawa-ła tak mroczne światło, że z trudem mogłem dostrzec, iż piwnica ma wysokość większą niż wzrost mężczyzny. Jednakże ledwo blask światła padł na dno piwnicy, dobiegły mnie z dołu wyraźne jęki. \_ - Aszagda kim - kto tam jest na dole? - zapytałem głośno.

Odpowiedziały mi podwójne jęki. Brzmiało to niebezpiecznie. Nie mogłem zwlekać i najpierw ~szukać drabiny. Wziąłem pło-nące łuczywo do jednej ręki, a kilka innych da drugiej i skoczy-łem w dół.

Spadając zahaczyłem o jakiś przedmiot i przewróciłem się. Światło zgasło. Po kilku sekundach zapaliłem jednak na powrót łuczywo i poświeciłem dookoła. Znajdowałem się w ezworokątnej, przypominającej piwnicę dziurze, a przedmiot, na który spadłem, okazał się drabiną. Dalej leżała przyzma węgla drzewnego, a abok niej sterta jakichś starych gratów, i odbydwa stosy, zarówno węgla drzewnego, jak drewnianych gratów, poruszały się. Znalazłem otwór przeznaczony na łuczywo, wetknąłem je w dziurę i zacząłem odgarniać węgiel na boki. Moje ręce natrafiły na ludzką postać, którą wyciągnąłem spod węgla. Był to męż-czyzna ze związanymi rękami i nogami, głowę miał okręconą jakąś szmatą.

Szybko rozwiązałem węzeł zaciągnięty na szmacie. Ukazała się granatowoczarna twarz, po której przy tak słabym oświetleniu nie mogłem poznać, ezy ten kolor był następstwem usmolenia sadzą i węglem, czy też oznaką bliskiej śmierci przez uduszenie. Męż-czyzna ciężko dysząc wziął głęboki oddech, utkwiał we mnie mocno wytrzeszczone, nabiegłe krwią oczy i jęknął:

- Ha, na pomoc! I~liej litość, litości!

- Bądź spokojny, jestem twoim przyjacielem! - odparłem. - Przynoszę ci ratunek!

- Najpierw ratuj szybko moją niewiastę! - wydusił.

Zacny człowiek dbał bardziej o swoją żonę niżv o siebie.



- Gdzie ona jest?

- Tam!

Mając związane ręce nie mógł wykonać żadnego ruchu, lecz jego pełne trwogi spajrzenie zwrócone było na drugą pryzmę węgla, przywaloną wspomnianymi gratami.

Usunąłem je na boki i wyciągnąłem spod węgla kobietę, która związana była tak samo jak jej mąż. Gdy zdjąłem z jej głowy szmatę, zauważyłem wokół ust gęstą pianę. Bliska więc była udu-szenia.

- Na pomoc, na pomoc! - wycharczała.

Jej ciałem wstrząsały spazmatyczne drgawki. Przeciąłem nożem sznurki. Kobieta niczym tonąca wyrzucała ręce na boki, wierzgała nogami i próbowała chwytać ustami powietrze. Ruchy te były jej pomocne w walce o oddech. Z jej piersi wyrwał się ochryply okrzyk, i wtedy już zaczerpnęła długi haust tak potrzebnego jej powietrza. Teraz mogłem przeciąć pęta także jej mężowi. On nie uczerpiał tyle co ona i natychmiast się podniósł. Kiedy zapalałem nowe łuczywo, wyjącał:

- O Boże! Byliśmy bliscy śmierci! Dziękuję ci, dziękuję!

~ Potem uklęknął przy swojej żonie, która żałośnie szlochała.

‘ - Uspokój się, nie płacz! - prosił ją. - Jesteśmy wolni! Wziął ją w ramiona i scałował jej łyzy z policzków. Ona objęła go i szlochała dalej. On zaś, nie zwracając na mnie uwagi, przemawiał do niej uspokajającym tonem, aż jej płacz przycichł, a w końcu całkiem umilkł. Wtedy mężczyzna zwrócił się ponownie do mnie, zajętego tymczasem podtrzymywaniem światła przy pomocy nowego łuczywa, które zapaliłem i wetknąłem w xniejsce starego.

- Efendi - powiedział - jesteś naszym wybawcą, naszym wyzwolicielem! Jak mamy ci dziękować! Kim jesteś i jak udało ci się nas znaleźć?

- To już kilka pytań - odrzekłem - na które wam odpowiem najgorzej. Czy twoja żona może już chodzić?

- Tak, sądzę, że już może.

- Wyjdźmy więc na górę, nie mogę zbyt długo zostać tu na dble.

- Czy oczekują cię na górze twoi towarzysze?
- Nie. Ale spodziewam się pewnego jeźdźca, którego nie mogę przepuścić.
- W takim razie wyjdźmy na górę, wtedy będziemy mogli dalej rozmawiać!

Przystawił drabinę, wspięliśmy się po niej na górę, jakkolwiek 38 kobieta z widocznym wysiłkiem. W większym pomieszczeniu zauważyłem posłanie, poradziłem jej więc, żeby odpoczęła. Kobieta była tak osłabiona, że natychmiast położyła się bez słowa.

- Witaj w moim domu! - rzekł do mnie mężczyzna. - Allah cię tu przysłał. Czy mogę wiedzieć, kim jesteś?
- Nie mam teraz czasu wiele opowiadać. Ty natomiast powiedz mi, jak się nazywasz!
- Nazywają mnie Szimin.
- W takim razie jesteś bratem Jafiza, hodowcy róz?
- Tak.
- To dobrze! Szukałem cię. Szybko rozpal ogień w swojej kuźni!

Spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem i zapytał:

- Masz dla mnie jakąś pilną pracę?
- Nie. Ale ogień z twojego paleniska powinien oświetlać go-ściniec.
- W jakim celu, efendi?
- Żeby jeździec, o którym mówiłem, nie mógł przejechać obok nas nie zauważony.
- Kim on jest?
- Potem, potem! Pośpiesz się!

Z małego pomieszczenia, gdzie znajdowała się kłapa do piwnicy; którą zamknęliśmy za sobą, drzwi wychodziły na zewnątrz. Zaopatrzone były tylko w zwykłą drewnianą zasuwę. Odsunęliśmy ją i wyszliśmy z budynku. Szimin wyciągnął z kieszeni jakiś klucz i otworzył nim kłódkę na drzwiach kuźni. Wkrótce w palenisku płonął ogień, który rzucał swój blask daleko w nocny mrok. O to właśnie chodziło mi w pierwszej kolejności.

W czasie kiedy kowal zajmował się paleniskiem, poszedłem za dam zajrzeć do swojego wierzchowca. Dalej stał w najbliższej odległości do domu, więc uspokojony wróciłem do kuźni.

- Ogień już płonie - powiedział Szimin. - Co jeszcze roz~ każesz?
- Odsuń się, wyjdź z kręgu światła! Usiądziemy tutaj obok drzwi, gdzie jest ciemno.

Rozglądając się uprzednio po obejściu, zauważyłem drewniany ~ kloc, który leżał w pobliżu drzwi i niewątpliwie służył za ławk~. Tam właśnie pociągnąłem mężczyznę. Usiedliśmy obok siebie i rozpocząłem rozmowę.

- Omówmy najpierw sprawy najniezbędniejsze! Będzie tędy przejeżdżał - może już niebawem - pewien jeździec, z którym chcę porozmawiać, lecz nie chcę, żeby weześniej domyślał się mo-

~9 jej obecności. Prawdopodobnie zatrzyma się tutaj, by zadać ci kilka pytań. Proszę, skłoń go do tego, żeby zsiadł z konia i wszedł z tobą do domu.

- Jesteś moim wybawcą. Spełnię twoje życzenie nie pytając, dlaczego tego ode mnie żadasz. Ale wiesz może, o co będzie się dowiadywał ten człowiek?
- Tak. Będzie chciał wiedzieć, czy przejeżdżało tędy trzech jeźdźców.
- Trzech jeźdźców? - zapytał prędko Szimin. - Kiedy?
- Zapewne dziś przed południem.
- A co to za jeźdźcy?
- Będzie pytał o dwa siwe i jednego ciemnego konia. Lecz oni po drodze zamienili tego ciemnego wierzchowca na siwka.
- A więc jadą na trzech siwkach?
- Owszem.
- Nie masz chyba na myśli tego Manacha el Barszy z Uskub?

Mó~iąc te słowa, Szimin zdenerwowany zerwał się ze swego miejsca. W następnej chwili ja również skoczyłem na równe nogi, tak bardzo zaskoczyło mnie to pytanie.

- Znasz go? - zapytałem.
- Czokdan beri, czokdan beri - od dawna, już od dłuższego czasu! A nie dalej jak dzisiaj był tutaj u mnie!
- Ach! Manach el Barsza był u ciebie?
- Tak. To przecież on i jego dwaj towarzysze napadli na mnie, zwięzali mnie i zanieśli na dół do piwnicy, gdzie razem z moją kobietą byśmy się pewnie udusili, gdybyś ty nie przyszedł!
- A więc to byli oni! To o~ni! Cóż, w takim razie powiem ci, że ten, na którego czekam, jest ich sprzymierzeńcem.
- Zabiję go! - mruknął, zgrzytając zębami.
- Zamierzam pojmać tego jeźdźca.
- Aga, efendi - jak mam cię nazywać? Wciąż jeszcze nie powiedziałaś mi, kim jesteś.
- Nazywaj mnie efendim!
- Efendi, pomogę ci, skoro chcesz go ująć.
- Dobrze! Wprawdzie dokładnie nie wiem, czy dane nam będzie jeszcze go tutaj widzieć; możliwe, że już przejechał. I ty pewnie też nie zwróciłaś na niego uwagi... ale, kiedy wsadzili was do piwnicy?
- Tuż przed południem.
- W takim razie nie mogłaś go widzieć, nawet gdyby przejechał i...
- Czy mam się dowiedzieć? - wtrącił szybko.

- Gdzie? Od kogo?
- Popędzę do Koszikawak i zapytam starego jemiszczu 24, który do zapadnięcia wieczoru siedzi przy drodze ze swoimi kozami.
- Ile czasu ci to zajmie razem z drogą powrotną?
- Tylko dziesięć minut. Do wioski jest bardzo blisko.
- Ale proszę cię, żebyś jeszcze nie wspominał o tym, co ci się dzisiaj przydarzyło.
- Nie będę o tym mówił, jeśli takie jest twoje życzenie.
- Dobrze. Pośpiesz się!

Opisałem Sziminowi w krótkich słowach jeźdźca, tak jak i mnie go opisano, i śpiesznie ruszył w drogę. Podany czas jeszcze nie upłynął, a Szimin był już z powrotem.

- Jeszcze nie przejeżdżał - oznajmił.

Najpierw wstąpił do kuźni, żeby podsycić ogień, po czym z powrotem usiadł obok mnie.

- Teraz opowiedz mi szczegółowo, co ci się dzisiaj przytrafiło! - zachęciłem go.
- Doprawdy nic dobrego! - odrzekł. - Stałem przy swojej pracy w kuźni, gdy zjawili się ci trzej jeźdźcy i zatrzymali się przy moim warsztacie. Jeden, którego nie znałem, powiedział, że jego koń zgubił nal. Musisz wiedzieć, efendi, że jestem nie tylko demirdzi, ale także nalband ys, więc byłem gotów natychmiast przybić mu nową podkowę. Z początku przyjrzałem się jedynie mówiącemu, lecz w trakcie pracy mój wzrok padł na obydwu pozostałych, i wtedy rozpoznałem w jednym z nich paborcę podatków Manacha el Barszę z CTskiib.
- Czy on też cię znał?
- Tak, efendi.
- A gdzieście się poznali?
- Przed czterema laty w Raslug. Musisz bowiem wiedzieć, że znam wszelkie choroby koni, a także lekarstwa na nie. W Rasiug i okolicy wybuchła wtedy wielka zaraza wśród koni i

zwierzęta zdychały, a ponieważ nikt nie umiał jej zaradzić, sprowadzono mnie. Mieszkałem jako gość u pewnego handlarza końmi, u którego stała w stajni przeszło sto zwierząt. Do niego właśnie przy-szedł Manach el Barsza, żeby kupić konia. Pokazano mu kilka do wyboru. Jeden z nich się przeziębził i toczył z pyska ślinę. Poborca oświadczył, że to nie katar, tylko złośliwa nosacizna i że złoży na z~ handlarz owocami =s demirc3zi - kowal, nalband - 1~owa1 podkuwający konie, od nal - pod-kowa policji sanitarnej doniesienie. Przypuszczalnie Manach el Barsza chciał wymusić od handlarza jakiegoś kania za darmo jako łapów-kę za swoje milczenie. Zostałem wezwany jako rzeczoznawca i po-wiedziałem, co to za choroba. Poborca wyklócał się ze mną, a w końcu nawet uderzył mnie szpicrutą. Oddałem mu z nawiązką potężnym policzkiem, jakiego nigdy pewnie nie dostał, gdyż ręka kowala jest twarda jak kamień. Wtedy Manach el Barsza odszedł wściekły i złożył na mnie skargę. On był poborcą podatkowym, ja tylko biednym kowalem. Dostałem dwadzieścia różg na gołe pięty, a oprócz tego musiałem jeszcze zapłacić pięćdziesiąt piastrow kary. Przez wiele tygodni leżałem chory, zanim mogłem wrócić w swoje rodzinne strony. Z pewnością mi uwierzysz, że nie mogę go lubić.

- Nietrudno się domyślić!

- Dzisiaj przybiłem koniowi podkowę. Manach el Barsza przy-glądał mi się ponurym wzrokiem, a gdy skończyłem, zapytał mnie, czy go jeszcze pamiętam. Powiedziałem, że tak, gdyż nie sądziłem, że może mi to zaszkodzić. Zamienił z po~zostałymi parę słów, a potem weszli do domu. Byłem sam, gdyż moja niewiasta p~zła na pole po szpinak na obiad. Co ci trzej mieli do szukania w mojej izbie? Zamknąłem kuźnię, mimo że palił się jeszcze ogień, i po-szedłem za nimi. Ledwo się znalazłem w środku, szubrawcy rzu-cili się na mnie. Odbyła się zażarta walka, efendi. Kowal ma twar-de mięsne i mocne ścięgna. Ale w końcu mnie jednak pokonali i związali sznurkami, jakie le~żały w domu. Z wściekłości ry-czałem jak byk: Wtedy obwiązali mi głowę jakąś. szmatą i znieśli mnie do piwnicy. Akurat kiedy mnie nieśli, wróciła moja kobieta. Ją spotkał taki sam los jak mnie. Przykryli nas węglem, żeby na górze nie było nic słyszeć, a potem szubrawcy sobie poszli. W ogó-le nie pomyślałem o mo~im Ajy, który był za domem, bo inaczej byłbym go odwiązał, zanim wszedłem do domu.

- Kto to jest Ajy?

- Mój pies. Nazywa się tak, bo jest taki duży jak niedźwiedź.

Słyszałem, jak szczekał, kiedy krzycząc zmagalem się z bandytami, ale nie mógł się wyrwać. Gdyby był przy mnie, rozszarpałby wszystkie trzech.

- Nie rozglądałeś się jeszcze za nim?

- Nie. Wiesz przecież, że nie byłem jeszcze za domem.

- Przykro mi, że muszę cię zasmucić.

- Zasmucić? Czy mojemu psu coś się stało?

- Tak. Nie żyje.

Kował zerwał się na równe nogi.

42

- Nie żyje? - wydusił z siebie. - Ajy był przecież całkiem zwawy i zdrowy! Czyżby ci trzej go zabili?

- Rozbili mu czaszkę.

Szimin milczał przez kilka chwil i nie ruszał się, po czym syknął przez zaciśnięte zęby:

- Po tyśiąckrac niech spadnie śmiertelny strach i przekleństwo na tych szubrawców!

Z tym okrzykiem na ustach pobiegł do kuźni, wyszedł z niej po chwili z kawałkiem płonącego drewna i pośpieszył za dom. Stamtąd dobiegał jego gniewny głos. Nie chciałem słyszeć tych dosadnych słów, więc siedziałem dalej na swoim miejscu do jego powrotu. Szimin był tak wściekły, że mimo wszystko dotarło do moich uszu dość owych mocnych wyrażen, pod względem których języki wschodnie wcale nie są ubogie.

Kiedy on wykrzykiwał przekleństwa, dając upust swemu bólowi, moje oczy i uszy zwrócone były w kierunku, z którego musiał nadjechać oczekiwany przeze mnie człowiek, lecz nie zauważyłem nic podejrzanego. Albo więc dzięki szybkości mojego Riha zyskałem nad nim tak dużą przewagę, albo coś go po drodze zatrzymało:

Rozgniewany Szimin uspokoił się znowu. Teraz i on zapragnął dowiedzieć się czegoś ode mnie i rozpoczął swoje indagacje pytaniem:

- Czy teraz będziesz miał czas, efendi, by zdradzić mi swoje imię?

- Nazywają mnie Kara ben Nemsy.

- W takim razie jesteś Nemczely, Alman.

- Owszem.

- Zapewne Awusturyały albo Prusyały?

- Nie.
- Albo Bawariały?
- Też nie. Jestem Saksaly.
- Nigdy jeszcze nie widziałem żadnego Saksaly. Ale nie dalej jak wczoraj był tutaj człowiek z miasta Triest w Awusturii, z którym długo rozmawiałem.
- Austriak? To ciekawe. Kim był z zawodu?
- Kupcem. Zamierza kupować tytoń i tkaniny jedwabne. Zła-mała mu się ostroga, którą musiałem naprawić.
- Mówił po turecku?
- Tyle tylko, że zrozumiałem, czego ode mnie chce.
- Powiedziałeś wszak, że bardzo długo z nim rozmawiałeś?
- Porozumiewaliśmy się przeważnie przy pomocy gestów.
- Czy powiedział ci, jak się nazywa?



- Jego nazwisko brzmi Madi Arnaud. Był bardzo wielkim śpie-wakiem, gdyż zaśpiewał mi wiele pieśni, które pokrzepiły moje serce.
- Skąd przybywał ten człowiek?
- Z Czirmen, gdzie zrobił zakupy.
- A dokąd się wybierał?
- Na wielki jarmark w Melniku. Bywają tam słynni płatnerze.

Od nich też zamierzał kupić ich wyroby.

- Może więc spotkam go po drodze.
- Czy ty także wybierasz się do Melnika, efendi?
- Owszem.
- Czy może też jesteś kupcem?
- Nie, jadę do Melnika, ponieważ myślę, że spotkam tam tych trzech łotrów, którzy tak cię dzisiaj urządzili.
- Co zrobisz, kiedy ich odnajdziesz?
- Zatrzymam ich i oddam w ręce policji, żeby ponieśli zasłu-żoną karę.
- Allahowi niech będą dzięki! Zamierzałem jutro rano złożyć na nich skargę.
- Możesz to uczynić swoją drogą. Zanim jednak coś wskórasz, szubrawcy będą się już pewnie znajdować w moich rękach. Wtedy wspomnę przed sędzią także o ich dzisiejszym przestępstwie.
- Słusznie postąpisz, efendi. Zdajesz się znać wszystkich trzech przestępców. Nie mogą uniknąć zasłużonej kary. Powiedz, kim byli ei dwaj pozostali w towarzystwie poborcy podatków!
- To długa historia, którą ci opowiem w krótkich słowach.

Na ile to było niezbędne, zaznajomiłem Szimina z tym, co się do tej pory wydarzyło. Wysłuchał mnie

z uwagą, a potem rzekł:

- Gdybym o tym wiedział! Wtedy zwabiłbym ich do piwnicy i kazał ich pilnować memu psu do czasu, kiedy się zjawisz.
- Czy nie wymknęły się im przypadkiem jakieś słowa, z któ-rych mógłbyś wywnioskować, w jakim kierunku zamierzają się stąd udać?
- Ani jedno. Tylko kiedy mnie wiazali, usłyszałem, jak ten, którego nazywasz Barudem el Amasadem, powiedział, że chcą mnie unieszkodliwić, żebym nie mógł ich zdradzić, gdyby zjawiał się ewentualnie jakiś pościg.
- Tak też sądziłem. Manach el Barsza dopuścił się względem was przemocy nie tylko z żądy zemsty, ale i z ostrożności. Nie chcieli was zabić, lecz jedynie usunąć was na jakiś czas, ponieważ rozpoznałeś poborcę podatków.
- A przecież mało brakowało, byśmy się udusili!

- Do tego dzięki Bogu na szczęście nie doszło. Jeździec, na któ-rego tutaj czekam, wyruszył śpiesznie za nimi lub został wysłany, żeby im przekazać, że znów jestem wolny i że tak czy awak są ścigani. Tym sposobem byliby ostrzeżeni, a do tego właśnie nie chciałbym dopuścić.

- Pomogę ci, efendi! Co z nim zrobimy?

- Wsadzimy go do piwnicy, a potem oddamy w ręce policji.

- Jak zamierzasz umieścić go w piwnicy?

- Czyż nie jest nas dwóch na je~dnego?

- Nie myśl, że się go boję - mruknął z całkowitym spokojem kowal. - Chciałem tylko wiedzieć, czy użyjemy podstępu, czy siły.

- Chyba nie da się tego zrobić bez użycia siły.

- Rad jestem z tego. Zbyt delikatnie na pewno nie będę się z nim obchodził. Ale, właśnie mi się przypomniało, że pytałeś mnie, czy jestem bratem Jafiza. Znasz go?

- Przejeżdżałem dzisiaj obok jego ogrodu, rozmawiałem z n~n i wymieniliśmy między sobą buteleczkę gul jagy i dżebeli.

- Na Allaha! A więc mój brat ma teraz ten tytoń nad tytonie?

- Niezbyt wiele! - zaznaczyłem.

- Czy ma go od ciebie?

- Tak.

- Miałeś taki tytoń?

- Naturalnie. W przeciwnym wypadku Jafiz nie mógłby go do-stać ode mnie.

Szimin milczał przez chwilę. Wiedziałem, jakie pytanie ciśnie mu się teraz na usta. W końcu nie wytrzymał:

- Ale teraz już ci się skończył?

- Niezupełnie. - I żeby trochę ułatwić mu sprawę, dodałem:

- Ty też palisz?
- Och, bardzo chętnie!
- Dżebeli?
- Nigdy jeszcze tego tytoniu nawet nie wachałem, a więc tym bardziej nie paliłem.
- W takim razie idź do domu i przynieś swój czubuk.

Nim zdążyłem wypowiedzieć te słowa, kowal zniknął już w drzwiach i równie szybko wrócił z fajką.

- Jak czuje się twoja żona? - zapytałem.

W przypadku prostych rzemieślników można zrobić wyjątek i zapytać o kobietę, co zwykle na całym Wschodzie jest surowo zabronione. Jednakże na równinach kobiety i dziewczęta często nie zasłaniają twarzy.

- Nie wiem - odpowiedział. - Pewnie śpi.

Tytoń leżał mu zatem bardziej na sercu niż jego niewiasta~, któ-rej okazywał przecież tak wiele miłości.

- Podaj mi fajkę! Nabiję ci ją tytoniem.

Wypuszczając potem powoli wonny dym przez nos, Szimin zau-ważył z zachwytem:

- Efendi, takie zapachy spotyka się tylko w raju! Czegoś ta-kiego nie palił chyba nawet Prorok!

- Nie palił. W jego czasach nie było dżebeli.

- Gdyby był, Muhammad zabrałby nasiona ze sobą na tamten świat, żeby zasiać je tam na polach w siódmym niebie. Co ~mam zrobić, jeśli teraz pojawi się jeździec? Palić dalej czy wstać?

- Powinieneś chyba wstać.

- I miałbym zrezygnować z tej wybornej fajki?

- Możesz ją przecież zapalić później na nowo, a poza tym dam ci jeszcze tro~chę tytanu.

- Efendi, twoja dusza pełna jest życzliwości jak morze kropel wody! Czy mój brat nie powierzył ci jakiegoś poz~drowienia?

- Owszem. Mam ci powiedzieć, żeby ci się wiodło równie dobrze jak jemu. Mam ci przekazać to pozdrowienie od tego, który jest twaim ówej-kardasz oraz jary,kardasz.

Kowal nastawił uszu.

- Co ja słyszę? Czy to jego słowa?

- Tak.

- W takim razie rozmawialiście o bardzo ważnych sprawach?

- Mówiliśmy o tych, którzy poszli w góry.

- I wtedy mój brat uczynił ci pewną obietnicę?
- Pewną obietnicę, którą ty jego zdaniem możesz spełnić.
- Jak długo z nim rozmawiałeś?
- Kwadrans.
- W takim razie stał się cud, efendi. Jafiz stroni od ludzi. Mówi niechętnie i niedużo i jest we wszystkim bardzo powściągliwy. Musiał cię szybko polubić i obdarzyć wielkim zaufaniem.
- Powiedziałem mu, że może będę musiał nawet pojechać w górę Szar Dag.
- W takim razie mówił o niebezpieczeństwach, jakie tam na ciebie czyhają?
- Twój brat ostrzegł mnie i zalecał ostrożność.
- I z pewnością wspomniał przy tej okazji o glejcie?
- Tak, mówił o nim.
- I powiedział, że ja mogę się dla ciebie wystarać o taki emniet kiagdi? 46
- Owszem.
- Był w błędzie.
- Ach? Naprawdę? Nie jest w twojej mocy zapewnić mi tego rodzaju ochrony?
- Nie.
- Ale Jafiz twierdził tak z pełnym przekonaniem!
- Mój brat sądził, że dalej jest tak jak za dawnych czasów.

~- ~A więc nie jesteś już wtajemniczonym?

~- To pytanie, na które mogę odpowiedzieć tylko wypróbowa-nemu przyjacielowi. Lecz ty uratowałeś nas, masz olejek mojego brata i zyskałeś jego przyjaźń, więc powiem ci prawdę: Tak, by-leiri' wtajemniczonym i jestem nim w dalszym ciągu. ~ : W takim razie zapewne wiesz dokładnie, że nie ma już żad-n-ych' glejtów.

~- Nie ma już żadnych glejtów, żaden zbieg nie wystawia już tego rodzaju dokumentów.

- Dlaczego?

-- Bo nie spełniają swojego celu. Nie gwarantują ochrony, jaką powinny dawać.

- Więc nie respektuje się ich?

- Tak też nie jest. Żaden straceniec nie będzie gardził listem żelaznym wystawionym przez innego straceńca. Ale kto ogląda papier?

- Czyż nie trzeba go pokazywać?

-- W miarę możliwości tak. Ale zdarzają się też inne sytuacje.

Jedziesz przez las. Dwóch albo trzech zbiegów widzi, jak się zbliżasz. Jesteś od nich lepiej uzbrojony, dlatego postanawiają nie podejmować otwartej walki. Napadają na ciebie z zasadzki. Nie wiedzą, że masz przy sobie chroniący cię glejt. Masz go w kieszeni

- i ufasz w jego skuteczność, a pomimo to dosięga cię zabójcza kula tych, którzy narażaliby dla ciebie swoje życie, gdyby wiedzieli, że jesteś osobą chronioną.

-- To zrozumiałe. Zbiegawie nie mogą jednak obejść się bez pomocy przyjaciół, a jeśli takowych mają, to muszą ich chronić. Przypuszczam zatem, że zamiast glejtu wprowadzono coś lepszego.

- Twoje przypuszczenie jest trafne. Pojmujesz już, że nie możesz się wystrząść o glejt?

- Tak. Nie możesz mi dać czegoś, co już nie istnieje. Ale czy mógłbyś mi może powiedzieć, jakim znakiem się teraz posługują?

- Zaryzykuję. Potrafisz milczeć, efendi?

- Tak samo jak każdy.

- Wiedz zatem, że ochraniający i chronieni rozpoznają się obecnie po kopczy Qs.

Słowa te wywołały natychmiast we mnie pewne skojarzenie.

- Czy ta kopcza jest ze srebra? - zapytałem.

- Ze srebra.

- I ma kształt obręczy, w której znajduje się czekan?

- Tak. Skąd o tym wiesz, efendi?

- Tak tylko przypuszczam, ponieważ noszą tę kopczę osooy, o których albo wiem, albo się domyślam, że są zbiegami lub przy-najmniej utrzymują z nimi kontakt.

- Czy mogę poznać nazwiska tych osób?

- Owszem. Manach el Barsza miał przypiętą do fezu kopczę:

Nosiło ją także paru mężczyzn, którzy w Edirne u kadięgo przy-słuchiwali się rozprawie przeciwko Barudowi el Amasadowi. A następnie dzisiaj, kiedy przejeżdżałem przez miasto z byłym derwiszem, spotkałem człowieka, który przyglądał mi się bardzo dziw-nie, a potem przypuszczalnie przekazał wiadomość sprzymierze~ń-com zbiegów, sprawiając, że do mnie i do Ali Manacha ben Baru-da el Amasada oddano dwa strzały. On także miał kopczę.

- To, że posiada ją były poborca podatk~w z ~skub, zauw,aży-łem dzisiaj.

- Być może - wtrąciłem - nie poturbowano by cię tak, gdyby ci przyszło na myśl, żeby im powiedzieć, że jesteś w posiadaniu tej odznaki.

- Nie sądzę - zaproponował kowal - i dlatego nawet nie pró-bowałem. Poborca żywi do mnie zapiekłą nienawiść, a człowiek taki jak on odrzuca wszelkie względy, gdy pragnie ją zaspokoić. Przed nim nie ochroniłaby mnie moja kopcza.

- Chyba nie każdy może ją dostać?

- O nie - oświadczył Szimin.

- Jakie wymagania się stawia?



- Ten, kto chce nosić kopczę, musi przede wszystkim być czło-wiekiem, który może przyjaciołom przynieść jakiś pożytek. Na-stępnie zaś musi dowieść, że nie potępia tych, którzy poszli w góry.

- Czyż nie każdy musi ich potępiać? Dotychczas spotykałem tylko przestępców. Zostali oni wykluczeni ze społeczeńs'twa, które pozostaje pod opieką prawa.

- Masz rację. Ale musisz to prawo porównać ze społeczeństwem.

Prawo jest dobre, tylko społeczeństwo jest do niczego. Allah dał nam mądre prawa i pożyteczne przepisy, lecz jego wyznawcy nie-ze guzik, agrafa, sprzączka, klamra

48

właściwie się nimi posługują. Czyż nie słyszałeś narzekań, że islam przeszkadza wiernym robić postępy w kulturze?

- Bardzo często - musiałem przyznać.

- Czyż zarzutu tego nie stawiają islamawi głównie niewierni?

- Możliwe.

- No cóż, nie znają islamu, nie znają duszy prawdziwego Tur-ka. Islam nie przeszkadza postępowi kulturowemu, ale władza, jaką daje jednemu nad drugim, jest niesprawiedliwa. Również Tu-rek jest dobry. Był i jest w dalszym ciągu zacny, wierny, miłują-cy prawdę i uczciwy. A gdyby się okazało, że jest inny, to kto go takim uczynił?

Ze zdumieniem słuchałem tych słów z ust prostego człowieka, wiejskiego kowala. Skąd się wzięły jego poglądy? Czy były owo-cem własnych przemyśleń, czy zetknął się może z ludźmi, którzy podciągnęli go do swojego poziomu?

- Turek podbił ten kraj - ciągnął dalej Szimin. - Czy to jest "':...:powód, żeby go stąd wypędzać? Odpowiedz mi, efendi!

- Mów dalej!

- Czy Anglik, Niemiec, Rosjanin, Francuz i wszyscy inni nie v:~dobyli swoich królestw w taki sam sposób? Czyż Prussia jeszcze "':...:niedawno temu nie była mała jak piaskownica, a teraz

stała się tak wielka, że mieści wiele milionów ludzi? Dzięki czemu stała się taka wielka? Dzięki prochowi strzelniczemu, dzięki bagnetom ‘ i mieczom, a pewnie także dzięki piórom dyplomatów. Wszystkie te państwa nie miały wcześniej tych ziem, które posiadają teraz. Co by powiedział Amerykany, gdyby przyszedł do niego Turek. i rzekł: Musisz stąd odejść, gdyż ten kraj należał do czerwonoskórego ludu? Wyśmiałyby Turka.

Szimin zrobił krótką przerwę, po czym z zapalem ciągnął dalej:

- Popatrz dokała! Policz przestępstwa, jakie się popełnia. Zbierz oszczerców, oszustów i wszystkich tych, którzy postępują wbrew prawu, ale są zbyt sprytni, żeby dać się złapać. Wejdz do ciemnych domów, w których cuchnie występkiem - kim oni są i skąd pochodzą, ci, których możesz policzyć? Dlaczego się tacy stali? Czyż cała Azja nie jest widownią potwornej kradzieży, będącej dziełem Inglis i Moskof? Czy nie zauważasz ciągłego ścieśniania i wycinania plemion, które trafiły pomiędzy tych olbrzymów? Tak czynią chrześcijanie; Turek jest rad, kiedy się go zostawia w spokoju. Szimin tak się zapalił w swoim wywodzie, że przestał nawet zwracać uwagę na fajkę, która mu zgasła. Podpaliłem zapalną i po-dałem mu ogień.

- Ciągnij! - przypomniałem mu.

# ! w w~wozach Bałkanów d~i~

Rozzarzył na powrót tytoń w swojej fajce, po czym rzekł:

- Widzisz, zapominam nawet o dżebeli! I co, mam rację czy nie mam racji?
- W jednym czy drugim punkcie mógłbym ci zaproponować.
- Więc uczyń to!
- Nie mamy na to czasu.
- Tacy jesteście, wy, chrześcijanie. Potępiaacie nas, nie chcąc nas pouczyć, i tak samo napadacie nie pytając. Kto ma najlepsze stanowiska w kraju? Kto posiada wpływy? Kto się ciągle bogaci? Grek, Anglik i Rosjanin. Kto żywi się naszym mięsem? Kto wy-sysa soki naszego życia, kto obgryza nasze kości? Kto roznieca nie~chęć, nieufność, niezadowolenie, nieposłuszeństwo? Dawniej byliś-ny zdrowi. Kto nas osłabił i uczynił chorymi?
- Sziminie, pod niejednym względem przyznaję ci rację, ale zostaw dziecko w kąpielni, kiedy wylewasz wodę! Skąd się wzięły ~woje poglądy?
- Wyrobiłem je sobie sam, patrząc i słuchając. Uczyniłem tak, jak robi się w waszych krajach, gdzie czeladnik wyrusza w świat, żeby się nauczyć więcej, niż mógł się nauczyć w domu u swojego majstra. Pracowałem w Wiedniu, Budapeszcie i Belgradzie. Tam dosyć się nasłuchałem i napatrzyłem, żeby się nauczyć myśleć sa-modzielnie. Czy potrafisz mi dowieść, ~e nie mam racji?
- Nie możesz mieszać religii z polityką. Szukasz przyczyny wa-szej choroby poza organizmem państwowym, w którym choroba tkwiła od samego początku.
- Czy możesz mi to udowodnić, efendi?
- Owszem.
- Więc uczyń to! - Zaczekaj!

Z oddali dały się słyszeć kroki pojedynczego konia.

- Słyszysz? - zapytał kowal.
- Tak.

- Może to ten, na którego czekasz!
- To bardzo prawdopodobne.
- Szkoda. Powinieneś mi najpierw odpowiedzieć.
- Przedstawię ci swoje dowody, gdy uporamy się z tym czło-wiekiem.
- Co jednak zrobimy teraz?
- Na razie nie może mnie zobaczyć, gdyż możliwe, że mnie zna. Musisz się postarać sprawić, żeby wszedł do środka domu.
- To nic trudnego, chyba że przejedzie nie zatrzymując się.
- W żadnym wypadku nie może tego zrobić. Jest wystarczają-

~0 co ciemno. Wyjdę na środek drogi. Jeśli przejedzie nie zatrzymu-jąc się, złapię jego konia za uzdę. Jeśli natomiast zsiądzie, zaraz za nim wejdę do domu.

- A jeśli to nie on?
- To włos mu z głowy nie spadnie.

Końskie człapanie zbliżyło się. Słysząc było wyraźnie, że po-chodzi od pojedynczego zwierzęcia. Przemknąłem na środek dro~gi i przykucnąłem tam.

Nadjechał jeździec. Zatrzymał się dokładnie w snopie ś,wiatła, jaki rzucał na drogę agień z kuźni. Twarzy mężczyzny nie mogłem dokładnie rozpoznać.

- Sawul - bacność! - zawołał głośno.

A gdy w następnej chwili nikt się nie pojawił, powtórzył swó~ okrzyk. Wtedy w drzwiach pokazał się kowal.

- Kto tam?- zapytał Szimin.
- Jestem obcy: Kto tutaj mieszka?
- Ja - odparł kowal niezbyt rezolutnie.

- Kim jesteś?
- Jestem właścicielem tego domu.
- Domyślam się, budala - głupiec! Naturalnie chcę poznać twoje imię.
- Nazywam się Szimin.

‘ - Kim jesteś z zawodu?

- Kowalem. Czyżbyś nie miał oczu, że nie poznajesz tego po~ ogniu, którego blask cię oświetla?
- Poznaje jedynie tyle, że jesteś, nie tylko głupcem, ale i gru-bianinem! Podejdz tutaj! Muszę cię o coś spytać.
- Czy jestem niewolnikiem albo twoim sługą, żebym miał cho-dzić do ciebie? Kto chce mówić ze mną, musi się do mnie pofaty-gować.
- Jestem konno.
- Więc zsiądź z konia i wejdz do domu!
- To nie jest konieczne!
- Sądzę jednak, że jest! Mam katar. Czy przez ciebie mam się nabawić poważnego przeziębienia i potem być chorym zamiast pra-cować? - uparł się Szimin i zniknął z powrotem w drzwiach do-mu. Jeździec rzucił kilka przekleństw, lecz zmusił swojego konia, żeby podszedł bliżej.

Do tej pory nie wiedziałem, czy to on jest tym, na którego cze-kam. Teraz jednak, kiedy zatrzymał się blisko kuźni, żeby zsiąść z konia, dostrzegłem wyraźnie, że jego wierzchowiec to bułanek.

Mężczyzna miał na głowie czerwony fez, ubrany był w szary płaszcz i nosił mały jasny wąsik. A kiedy teraz zsiadał, ujrzałem czerwone tureckie buty. Był zatem tym właściwym! Uwiązał konia u drzwi kuźni, a następnie wszedł do domu. Skradając się podążyłem za nim. Kowal wszedł do większego pomieszczenia w swoim domu. Ponieważ przybysz udał się tam za nim, mogłem wejść do środka i - ukryty za przepierzeniem uple-ci~onym z wikliny - mieć wszystko na oku i słyszeć każde słowo. Sbcy stał odwrócony do mnie plecami, kowal przed nim ze smol-ną drzazgą w ręku. Kobieta, jak się zdaje, przyszła już trochę do siebie; otworzyła oczy i podpierając głowę ręką przysłuchiwała się rozmowie obydwu mężczyzn.

Obcy czynił kowalowi wyrzuty, że zachował się względem nie-go tak nieuprzejmie. Jego słowa zirytowały Szimina, który uniósł-szy się gniewem, popełnił pewną nieostrożność.

- Jestem uprzejmy tylko wobec uczciwych ludzi - wyrwało mu się w złości.
- Czyżbyś uważał, że jestem nieuczciwy?
- Tak, tak uważam.
- Jesteś grubianinem, jakiego świat nie widział! Skąd możesz ~wiedzieć, czy jestem człowiekiem uczciwym, czy nieuczciwym? Znasz mnie może?
- Tak, znam cię - oświadczył Szimin.
- Gdzie mnie już widziałeś?
- Jeszcze cię nie widziałem, ale słyszałem o tobie.
- Gdzie i od kogo?
- Tutaj od pewnego efendi, który dobrze wie, że jesteś hulta-j em.
- Kiedy?
- Dzisiaj, niedawno temu.
- Kłamiesz! - wybuchnął obcy.
- Mówię prawdę. Mogę ci to udowodnić. Wiem mianowicie dokładnie, czego chcesz się od mnie dowiedzieć.
- To niemożliwe!

- Wiem to z całą pewnością! Chcesz mnie zapytać o Manacha el Barszę i Baruda el Amasada. Przybyszowi wyraźnie zrzędał mina.

- Skąd o tym wiesz?

- Właśnie od awego efendi - zatriumfował kowal.

- Gdzie on jest?

- Nie musisz tego wiedzieć.

- Gdzie jest ten efendi?

- Nie muszę ci tego mówić.
- Tak sądzisz? A jeśli cię do tega zmuszę?
- Nie boję się tego - nie ustępował Szimin.
- Tego też?

Przybysz wyciągnął sztylet i zwrócił go w stronę kowala.

- Nie, tego noża też nie - upierał się Szimin. - Nie jestem sarn.

Zbliżyłem się do otworu w plecionce, który służył za drzwi. Przy ostatnich słowach kowal wskazał na mnie. Obcy odwrócił się, zo-bacz~, ł mnie i zawołał:

- Niech mnie wszyscy diabli!

Zdawał się mocno wystraszony, a i ja zaskoczony byłem jego widokiem, gdyż rozpoznałem w nim owego człowieka, który tak dziwnie mi się przyglądał, kiedy szedłem z „Tańczącym” przez ulice Edirne. Teraz ten okrzyk wydał w języku rumuńskim. Czyż- ‘ by był Rumunem? W chwilach zaskoczenia ludzie posługują się ‘ .żewykle swoim językiem ojczystym.

To, co zepsuł kowal, musiałem teraz spróbować naprawić. Szi-vtnin nie powinien był zdradzić, co wiedział o obcym. Powinien był poczekać, aż tamten o coś zapyta; wtedy dopiero byłby czas po t~inu, żeby wyrazić swoje zdanie. v - Niestety, to prawda - odpowiedziałem także po rumuńsku - Jestem wcielonym diabłem!

Człowiek z Edirne opanował się i schował z powrotem sztylet, którym groził kowalowi.

- Czego chcesz? - warknął. - Nie znam cię.
- Nie jest to wcale konieczne. Wystarczy, że ja cię znam.

Zrobił zdziwioną minę, pokręcił głową i oświadczył najszczer-szym tonem:



- Nie znam cię! Bóg mi świadkiem!
- Nie bluźnij! On jest świadkiem, że mnie widziałeś!
- Niby gdzie?
- W Edirne.
- Kiedy?
- Ba! Potrafisz mówić po turecku?
- Tak.

- To zostaw w spokoju swój rumuński. Ten dzielny kowal po-winien także wiedzieć, o czym mówimy. Przyznasz jednak, że by-łeś obecny, kiedy Barud el Amasad został w Edirne skazany, po-nieważ wykroczył przeciwko prawu?

- Nie byłem przy tym i o niczym nie wiem.

Prawdę rzekłszy, nie widziałem go wśród publiczności. Dlatego też musiałem przyjąć jego zapewnienie bez protestu. Pytałem jed-nak dalej:

- Ale znasz Baruda el Amasada?

- Nie.

- A jego syna Ali Manacha też nie?

- Nie.

- Dlaczego więc tak sŻę wystraszyłeś, kiedy ujrzałeś go jako mojego więźnia?

- Nie widziałem ‘ani jego, ani ciebie.

- Ach tak! Zapewne nie znasz też handźiego Doksaty z Edirne?

- Nie znam - bezczelnie wypierał się dalej.

- I po zobaczeniu mn~ie i Ali Manacha nie oddaliłeś się śpiesz-nie, by ostrzec swoich i jego sprzymierzeńców?

- Nie pojmuję, jak możesz mi zadawać takie pytania. Powiem ci, że z tego wszystkiego o niczym mi nie wiadomo!

- A ja twierdę, że wiesz o ucieczce więźniów, że jesteś winny śmierci Ali Manacha, ale nie z twojej winy druga kula zamiast mnie trafiła polźcjanta, i że teraz wyruszyłeś w drogę, by ostrzee Manacha el Barszę i Baruda el Amasada. Takie są fakty.

- A mimo to jesteś w ‘błędzie. Mylisz mnie z kimś innym.

Gdzie niby miałoby się wydarzyć ta, o czym mówisz? Jak z twoich słów wnioskuję, w Edirne?

- Nie inaczej.

- I to niedawno temu? A tymczasem ja od przeszło roku nie byłem w Edirne.

- Jesteś wielk~im kłamcą! Gdzie byłeś w ostatnich dniach?

- W Mandrze.

- A skąd dziś przybywasz?
  - Z Bolczybak, gdzie byłem od wczoraj rano.
  - Powiadasz, że byłeś w Mandrze nad Maricą? Hm, owszem, byłeś nad Maricą, ale spory kawałek powyżej Mandry, a miano-wicie w Edirne.
  - Czy mam przysiąc, że się mylisz?
  - Twoja przysięga byłaby krzywoprzysięstwem. Czy Ortaktij leży może na trasie z Mandry przez Bolczybak tutaj?
  - Ortakój? Nie znam takiej miejscowości.
  - Nie byłeś tam?
  - Nie.
  - Nie pytałeś tam nikogo o trzech jeźdźców, którzy jechali na
- dwóch siwkach i na jednym kasztanie?

54

~.- Nie.

.- Czy żaden człowiek nie odesłał cię do strażnika, który po-;~m zaprowadził cię do kjai?

- Nie - zaprzeczył uparcie posłaniec, podobnie jak poprzednim
- Zadziwiająco My wszysc m lim si t lko t si nie m - y y y ę, y y ę y ~. Zechcesz mi może powiedzieć, kim jesteś z zawodu?
- Agentem od wszystkiego.
- A jak się nazywasz?

Pimosa.

- Dziwne imię. Nie spotkałem go jeszcze w żadnym języku.

‘~Czyżbyś je wymyślił?

Wtedy jego brwi ściągnęły się groźnie.

--~ Panie - zapytał - kto ci dał prawo rozmawiać ze mną w ten sposób?

- Sam je sobie dałem!

Kowal zaś dorzucił:

- To jest mianowicie ten efendi, o któryrn wcześniej mówiłem.

- Zauważyłem - odpowiedział rzekomy agent. - Ale choćby był efendim wszystkich efendi, nie pozwolę, żeby traktował mnie ‘:::.,,xzieuprzejmie! Znam bardzo dobrze sposób, w jaki się uczy grzech-~~ności ludzi jego pokroju.

- No, jak to się zaczyna? - uśmiechnąłem się.

- Tak.

P~ołożył rękę na pasie, za którym miał zatknietą broń, i wysunął do połowy pistolet.

- W porządku, taka jest twoja mowa, przed której wyrazistość-cią chylę czoła. Będę więc bardziej uprzejmy. Czy zechciałbyś mo-żę łaskawie powiedzieć mi, gdzie się urodziłeś?

- Jestem Serbem i pochodzę z Lopaticy nad Ibarem. :

- Będę udawał, że ci wierzę, ale w skrytości ducha uważam cię za Rumuna. Dokąd zmierzasz?

- Do Ismilanu - oświadczył rzekomy agent Pimosa.

- Zdziwiająca! Jesteś takim roztropnym człowiekiem, a nad-kladasz tyle drogi? Jakim sposobem znalazłeś się w Koszikawak, jeśli miałeś zamiar dostać się z Mandry przez Bolczybak do Ismi-lanu? Twoja droga prowadziaby o wiele bardziej na południe.

- Po prostu miałem interesy w miejscowościach, przez które przejeżdżałem. Teraz jednak wypraszam sobie wszelkie dalsze py-tania. Czyżbyś był urzędnikiem policji, że wypytyjesz mnie ni-czym jakiegoś przestępcę?

- Dobrze, także i w śym względzie zastosuję się do twojej wolia Powiedz mi jeszcze tylko, dlaczego zatrzymałeś się tutaj.
- A ezy chciałem się zatrzymać? Ten kowal zmusił mnie ei~a tego, bo przed domem nie chciał mi odpowiedzieć.
- Czy zadałeś mu już swoje pytania?
- Nie.
- W takim razie zrób to teraz, żebyś się dowiedział, co chcia-łeś wiedzieć!

Pimosa zmieszał się, prędko się jednak pozbierał i odparor~rał:

- Teraz przeszła mi na to ochota. Kiedy traktują człowieka w ten sposób, to strząsa z siebie robactwo i odchodzi. Uczynił przy tym gest, jakby otrzepywał kłapy płaszcza ż zhie-rał się do wyjścia.
- C~zy coś takiego nazywasz może grzecznością? - zaśmiałem się.
- Trafił frant na franta!

Znowu odezwał się po rumuńsku. Mimo wszystko nie wydawał mi się Serbem.

- Wygląda na to, że lubujesz się w przysłowia - zauważy-łem, zastępując mu drogę. - Postanowiłem być wobec ciebie uprzejmy i dlatego proszę cię, byś został jeszcze trochę.
- Po co? Nie mam czasu, muszę jechać.
- Powinieneś poczekać na innych gości, którzy niebawem przy-będą. Chcą się z tobą tutaj spotkać.
- Kim są ci ludzie?
- To saptije z Edirne.
- Idź do diabła!
- Ani myślę. Zostanę z tobą. Tam jest miejsce. Bądź tak dobry i usiądź!

- Czyś pastradał rozum? Z drogi!

Pimosa ruszył ku drzwiom, chcąc przejść obok mnie, ale złapałem go za ramię i przytrzymałem mocno, nie czyniąc mu jednak bólu.

- Naprawdę muszę cię prosić, byś został z nami - powiedziałem przy tym. - Policjanci, o których wspomniałem przed chwilą, chcieliby z tobą porozmawiać.

Wtedy jego oczy rozbłysły gniewem.

- Zabierz rękę - rozkazał.

- Phi! Bądź pewien, że zadba się już o to, żebyś nigdy nie dotarł do Manacha el Barszy!

Stałem teraz dokładnie przed Pimosą, a kowal, który umieścił 56 płonące łuczywo w przeznaczonym do tego celu otworze, za nim. Obcy nie zauważył tego. Pojął, że został zdemaskowany. Równocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że koniecznie musi ruszyć dalej, więc byłem przekonany, iż w tym celu nie cofnie się przed 1 użyciem siły. Jakkolwiek moja mina wyrażała obojętność, bacznie obserwowałem obydwie jego ręce.

- I~ie znam tego człowieka! - zawołał ze złością. - Chcę wyjść, muszę jechać. Zejdź mi z drogi!

Spróbował przejść obok mnie, lecz uprzedziłem go. Stałem pomiędzy nim a wyjściem.

- Bądź patępiony na wieki!

Przy tych słowach cofnął się o krok. W jego ręku błysnął szty~et, chciał zadać cios, lecz kowal szybko złapał go za ramię od tyłu.

- Psi synu! - ryknął Pimosa odwracając się do Szimina.

Tym sposobem ja znalazłem się za plecami agenta. Szybkim ruchem oplótłem go ramionami, przyciskając jego łokcie tak mocno do ciała, że nie mógł się ruszyć.

- Jakiś sznur, postronek albo rzemień! - zawołałem do ko~ala.

~ Nie uda wam się to! - wydusił rzekamy Serb, zgrzytając zębami.

Natężył wszystkie siły, chcąc się oswobodzić. Daremnie. Wierz-gał nogami, ale nie trwało to długo, ponieważ kowal be~zzwłocznie spełnił moje polecenie i niebawem zjawił się z czymś do wiązania. W kilka chwil potem mężczyzna leżał spętany na podłodze.

- Tak właśnie! - powiedział Szimin z satysfakcją. - To samo powinno też spotkać jego sprzymierzeńców, którzy podobnie spę~i mnie' i moją niewiastę.

~.—Nie mam żadnych sprzymierzeńców! - prychnął więzień.

- My o tym wiemy lepiej!

- Żądam, aby mnie natychmiast uwolniono!

- Nie ma pośpiechu! - uśmiechnął się Szimin.

- Bierzecie mnie za kogoś innego! Jestem uczciwym człowie-kiem! , - Udowodnij to!

- Zasięgnijcie o mnie informacji!

- Gdzie można by to uczynić?

- Udajcie się do Cznibaszły.

- Ach, nie byłoby to wcale tak daleko! Do kogo?

- Do farbiarza Boszaka.

5?

- Tego znam - oświadczył Szimin.

- A on zna mnie. Powie wam, że nie jestem tym, za kogo mnie uważacie. Kowal spojrzał na mnie pytająco.

- Aż tak nam się nie śpieszy - zaproponowałem. - Najpierw zobaczymy, co kryją w sobie jego kieszenie i pas. W trakcie przeszukiwania nie obeszło się naturalnie bez wście-klých przekleństw ze strony uwięzionego. Znaleźliśmy znaczną sumę pieniędzy i kilka niegodnych uwagi drobiazgów, po czym schowaliśmy wszystko z powrotem do pasa i do kieszeni: Kowal,

który miał miękkie serce, zapytał:

- Czy nie pomyliłeś się jednak, efendi?

- Nie, jestem pewny swego. Nawet jeśli niczego nie znajdziemy, zatrzymamy go. Najpierw jeszcze przeszukamy jego konia:

Do tej pory kobieta zachowywała się spokojnie. Teraz, kiedy ujrzała, że zamierzamy wyjść, zapytała:

- Czy mam go pilnować?

- Tak - odparł jej mąż.

Wtedy podniosła się z posłania, zapaliła nowe łuczywo i rzekła:

- Możecie spokojnie wyjść! Jeżeli tylko spróbujecie się ruszyć; zaraz go przypalę. Nie na darmo przecież siedziałam na dole w tej dziurze!

- Dzielna kabetka! - uśmiechnął się kowal.

Koń stał w dalszym ciągu przywiązany do drzwi kuźni. W torbach u siodła znajdowało się trochę prowiantu, ale nic poza tym.

- Co teraz zrobisz? - zapytał Szimin.

- Najpierw zaprowadzimy konia tam, gdzie stoi mój wierzcho-wiec.

- A potem?

- Potem umieścimy więźnia w piwnicy, w której siedziałeś wcześniej ze swoją żoną.

- A co dalej?

- Cóż, a potem poczekamy, aż nadjadą moi ludzie.

- A co się potem stanie z więźniem?

- Każę go odstawić do Edirne.

Kiedy zadbalimy o konia i żona kowala dowiedziała się teraz, co się stanie z agentem, okazała z



tego powodu wielkie zadowolenie. Więzień pomimo oporu z jego strony, który wyrażał się głównie tylko w postaci przekleństw i gróźb, został umieszczony w bezpiecznym miejscu. Potem zacna kobieta pomimo późnej pory nie odmówiła sobie przygotowania nam prostego posiłku i jeszcze raz wyszła na pole.

My dwaj natomiast usiedliśmy z powrotem przed drzwiami i ko-wal wypalił swoją drugą fajkę.

- Dziwna przygoda! - powiedział. - Nigdy jeszcze nie byłem więziony we własnej piwnicy i sam też nigdy nikogo tam nie trzy-małem. Taka musiała być wola Allaha!

. Czas upływał nam na rozmowie. Minęła także kolacja, a ja w dal-szym ciągu na próżno oczekiwałem Halefa i pozostałych. Kobieta położyła się z powrotem, my dwaj siedzieliśmy dalej przed drzwia-mi; nadeszła północ, upłynęła jeszcze godzina, ale czekaliśmy da-remnie.

- Pewnie analeźli po drodze jakiś han - próbował wyjaśnić nieobecność oczekiwanych gości Szimin.

.- Nie, dostali polecenie jechać aż do Mastanly. Zatrzymało ich iakieś nieprzewidziane wydarzenie. Ale na pewno nie zanocują ~gdzie po drodze.

- A może twai ludzie zmylił~i drogę?

- Nie sędzę, żeby zabłądzili, zwłaszcza mój Hadzi Halef Omar.

- No cóż, musimy więc czekać dalej. W każdym razie przyjdzie nam to o wiele łatwiej niż temu człowiekowi na dole w piwnicy. (~iekaw jestem, jak spędza ten czas.

- Dokładnie tak samo jak ty, kiedy siedziałeś tam przedtem.

- Nie wierzysz mu, że jest Serbem?

, - ~ Nie, on kłamie.

- Ani że nazywa się Pimosa?

- Również w to wąpię.

~- Pomimo to możesz się przecież mylić!

- Phi! Wyciągnął nóż i naprawdę gotów był uderzyć. Dlaczego nieazażądał, żeby go zaprowadzić da kjai? Tak uczyniłby każdy, ktb ma czyste sumienie. Jak słyszałem, znasz farbiarza, o którym niówił. Co to za człowiek?

- Gruby, opasły leń.

Dziwna to była odpowiedź. Farbiarz nazywany był Boszak, a bo-szak znaczy ospały, leniwy: Musiało to być jego przezwisko. Do-ciekałem dalej:

- Czy jest zamożny?

- Nie, właśnie dlatego, że jest leniwy. Nawiasem mówiąc, jest ni'e tylko farbiarzem, ale również piekarzem.

-,Czy jako piekarz bardziej się przykłada do pracy?

- Nie. Jego dom prawie się wali, bo on jest zbyt gnuśny, żeby coś naprawić. Jego żona zbudowała piec, zbiła dzieżę i roznosi także pieczwo wśród klientów.

- W takim razie pewnie też sama piecze?

- Tak, sama piecze.
- I sama farbuj?
- Nie inaczej.
- A co robi jej mąż?
- Je, pije, pali i zbija baki.
- W takim razie nic dziwnego, że jest biedny. Mieszka w Czni-baszly, nieprawdaż?
- Tak, efendi.
- Czy to wioska?
- Tak, dosyć duża wioska.
- Jak daleko stąd?
- Dwie godziny konno. Gdy tylko przejedzie się przez Koszi-kawak, trzeba dostać się przez most na drugą stronę rzeki. Stam-tąd droga prowadzi w kierunku południowym do Czni-baszly.
- Czy poza tym ten piekarz i farbiarz znany jest jeszcze z ja-kiejś złej strony?
- Hm! Czy ja wiem!
- Wyrażaj się jaśniej!
- Przed kilkoma laty nacięto mu uszy.
- I5laczego?
- Nie wiesz, kogo spotyka ta kara?
- Pewnie pieczywo Boszaka było za małe?
- Przeciwnie, za duże. Piekarza, który wypieka za małe wy-roby, przybija się za ucho do jego lady; nie ma natomiast mowy o rozcinianiu uszu.
- Ale skoro jest taki biedny, dziwię się, że piekł zbyt duże wyroby.
- Och, pomimo to nie brał za dużo mąki. Jego pieczywo prze-wożono przez granicę. Tam u~nano, że jest bardzo ciężkie. Rozła-mano bułki i okazało się, że zawierały wewnątrz różne

rzeczy, które trzeba ocieplić na granicy.

- A więc to tak! Boszak jest zatem przemytnikiem?

- Na to wygląda. A przynajmniej był nim.

- Hm! W takim razie chciałbym z nim porozmawiać.

- Po co? Sądziłem, że natychmiast zamierzasz ruszyć dalej, gdy tylko nadjadą twoi towarzysze?

- Rzeczywiście miałem taki zamiar. Ale nasz więzień powołał się na piekarza; niewykluczone więc, że będę mógł uzyskać od tego człowieka jakieś pożyteczne dla siebie informacje.

- W takim wypadku musiałbyś poczekać do rana.

- Istotnie. Tymczasem moi towarzysze mogliby jechać dalej.

A potem jeszcze w porę mógłbym ich dogonić.

60

- Dlaczego czekasz na nich tutaj? Mógłbyś przecież całkiem wygodnie przespać się trochę w domu!

- Wtedy przejechaliby tędy nie zatrzymując się, ponieważ nie wiedzą, że jestem tutaj.

- Ja będę czuwał efendi.

- Nie mogę tego od ciebie wymagać.

- Dlaczego nie? Czyż nie wyciągnąłeś nas z tej dziury? Gdyby e ty, umarlibyśmy tam z głodu albo się udusili. Czyż nie mógłbyś tu czuwać zamiast ciebie przez parę godzin? Jutro musisz iść dalej, więc nie będziesz mógł spać. Ja natomiast będę miał czas, żeby odespać nocne czuwanie.

Nie mogłem nie przyznać Sziminowi racji, a ponieważ nalegał, spełniłem jego życzenie. Jego żona przygotowała mi poślanie i gdy przyjechał mi, że będzie podtrzymywał ogień w kuźni, położyłem się III. ALI SPRZEDAWCA KSIĄŻEK :~:'“ Kiedy się obudziłem, dookoła mnie było jeszcze ciemno. Pomi~mo to czułem, że jestem całkowicie wyspany. Jednakże zagad~Ca wyjaśniła się, gdy wstałem i zauważyłem, że wszystkie otwory, ...~kienne są zasłonięte okiennicami.

‘~::~ Otworzyłem jedną z nich i spostrzegłem, że słońce stoi już do-syc wysoko na niebie. Według zachodnioeuropejskiego czasu mogło ‘’;być między godziną ósmą a dziewiątą.

Z zewnątrz dały się słyszeć adgłosy pilnego kucia i piłowania. ~Wyszedłem na dwór. Kowal stał przy swej pracy, a jego żona na-ciskała miech.

- Dzień dobry - zawołał do mnie z uśmiechem na powitanie.
- Bardzo smacznie spałeś, efendi.
- Niestety! Ale ty także!
- Ja? Dlaczego?
- Nie widzę swoich towarzyszy.
- Ja też ich nie widziałem.
- W takim razie przejechali w ~nocy obok twojego domu.
- Och, czyżbyś sądził, że spałem?
- Tak przypuszczam.
- Oka nie zmrużyłem! Zapytaj mają żonę! Kiedy ty spałeś, przyszła do mnie na dwór. Siedzieliśmy obok siebie i daremnie : wypatrywaliśmy oczekiwanych gości. ;
- I ogień cały czas się palił?
- Do tej pory, efendi; mówię prawdę!
- W takim razie niepokoję się a swoich towarzyszy. Wyjadę im ~ naprzeciw.
- Sądziłem, że chcesz jechać do Cznbaszly?
- Chciałem! Ale...
- Nie martw się, efendi! Zjawią się. Twój przyjaciele byli przy- ~ puszezalnie na tyle roztropni, żeby nie jechać nocą przez nieznaną okolicę.
- Nie, to nie to, spóźniają się z innego powodu. Albo natrafili na jakąś nieprzewidzianą przeszkodę, albo zmylili drogę. ~-- No cóż, w obydwu wypadkach lepiej będzie, jeśli pojedziesz do Cznbaszly. Twój towarzysze usuną przeszkodę i jeszcze przy-będą. A jeśli są na fałszywej drodze, to znajdą właściwą. Przez ja-kie miejscowości powinni przejeżdżać?
- Nakazałem im, żeby pojechali z Derekój do Mastanly.
- W takim razie twój przyjaciele muszą bezwarunkowo tędy . przejeżdżać. Jeśli ktoś ma im wyruszyć naprzeciw, to ja to chętnie uczynię. Wezmę konia naszego więźnia.

- Całkiem rozsądna propozycja. Ale - czy rozmawiałeś już z nim?

- Zglądnałem do niego.

- Co mówił?

- Pimosa okrutnie się pieklił. Chce być natychmiast uwolniony, a gdy mu oświadczyłem, -że nie mogę mu zwrócić wolności

zażądał rozmowy z tobą.

- To jego życzenie zamierzam spełnić. Chodź!

Mieliśmy już właśnie podnieść klapę do piwnicy, gdy nadeszła żona kowala.

- Już mam! - szepnęła.

- ' Co? - zapytałem; odsuwając rękę od klapy.

- Jego twarz, ta blizna.

- Masz pewnie na myśli twarz i bliznę więźnia?

- Tak, efendi. Zapomniałam o jednym i drugim.

- W takim razie chyba go już widziałaś?

- Tak. Ale gdzie i kiedy to było, wyleciało mi znowu z pamięci. Przez całą noc o tym myślałam. Zadręczałam swój umysł, ale nie mogłam sobie przypomnieć. Teraz jednak nagle na to wpadłam.

- Chodź do drugiej izby! Mógłby nas usłyszeć.

Obydwoje podążyli za mną do izby mieszkalnej i tam kowal nie ukrywając zdziwienia zwrócił się do swojej żony:

- Widziałaś go wcześniej? Zapomniałaś bliższych szczegółów i siedziałaś obok mnie przez całą noc, i rozmyślałaś nad tym? Dla-czego mi nic nie powiedziałaś?
- Nie chciałam zgubić wątku. Gdybym zaczęła o tym mówić, pewnie w ogóle bym sobie nie przypominała.
- Przypuszczalnie masz rację - rozstrzygnąłem wątpliwości.
- Dobrze, że teraz sobie przypominałaś. A więc, gdzie go widziałaś?
- W Topoklu.
- Kiedy?
- Ostatniej wiosny, u mojej przyjaciółki.
- Kiedy byłaś z wizytą w Topoklu?
- Tak, wtedy.
- A co on robił u twojej przyjaciółki?
- Kupował proch i sponki: - I zwróciwszy się do mnie ciągnęła dalej: - Otóż musisz wiedzieć, że mąż mojej przyjaciółki posiadał sklepik. Zostałam do nich zaproszona, bo była chora i nie miała nikogo, kto by się nią opiekował. Siedziałam przy niej, a wtedy ktoś wszedł do sklepu i zażądał amunicji. Od razu chciał ją wypróbować. Sklepikarz poprosił ją, żeby tego nie robiła, gdyż 'jego żona jest chora i nie znosi huków wystrzałów. Ale ten człowiek mimo jego prośby załadował pistolet i wystrzelił do końskiego łba na ścianie domu po przeciwnej stronie ulicy.

Bułgarzy lubią bowiem umieszczać nad drzwiami lub na kolumnach domu, jak również w rogach ściany szczytowej budynku koński łby i głowy innych większych zwierząt, jak woły czy muły.

- Moja przyjaciółka na dźwięk wystrzału głośno krzyknęła ze strachu. Tamten roześmiał się i oddał jeszcze kilka strzałów. A kiedy sklepikarz zabronił mu tego surowo, tamten zagroził mu, że strzeli do niego. W końcu zapłacił i poszedł sobie. Przedtem jednak powiedział, że właściwie wcale nie musi płacić, gdyż należy do sprzysiężonych.



- Co to za ludzie? - zapytałem.
- Nie wiesz tego? - zdziwił się kowal.
- Nigdy o czymś takim nie słyszałem.
- Sprzysiężony to taki człowiek, który nie chce się podporządkować sułtanowi i dąży do stworzenia bułgarskiego państwa z własnym niezależnym królem.

- Czy ktokolwiek może się ważyć publicznie przyznawać do tego, że jest sprzysiężonym?
- Czemu nie? Sułtan mieszka w Stambule, a im dalej jesteś od tego miasta, tym mniejsza jego władza. A jeśli takiemu czło-wiekowi grozi niebezpieczeństwa, to idzie w góry. - Opawiając ciałej! - nakazał Szimin swojej żonie.
- Patrzyłam na to zajście przez szparę w ścianie i widziałam tego człowieka - ciągnęła swoją relację. - Na prawym policzku miał duży plaster. Kiedy potem zapytałyśmy sklepikarza, kim jest ten obcy, powiedział nam, że człowiek ten należy do spisku nie-zadowolonych i mieszka w wiosce Palaca. Nazywa się Mosklan i właściwie jest handlarzem koni, lecz zrezygnował z tego zajęcia, ‘ ~y cały swój czas poświęcić tajnemu związkowi. Sklepikarz prosił nas jednak, byśmy nikomu o tym nie mówiły. Poza tym usłysza-łyśmy też, że ów handlarz rzadko bywa w domu, tylko ciągle w drodze.
- I uważasz, że rozpoznałaś go w naszym więźniu?
- Tak. Tyle że nie nosi już plastra; to mnie wprowadziło w błąd. ;

Aż wreszcie rzuciła mi się w oczy blizna, którą ma na prawym :’..

Policzku. Teraz wiem już na pewno, że to Mosklan.

- A nam powiedział, że nazywa się Pimosa, jest Serbem, agen- ~ ~em z Lopaticy nad Ibarem.
- To kłamstwo.
- Ja także mu nie wierzyłem. Mówił po rumuńsku z akcentem, :..., jaki słyszy się w okolicy Slatiny.
- Slatina? Tak, tak! - potwierdziła z zapalem kabieta. - Skle-pikarz zdawał się znać go lepiej, niż dał to nam poznać. Był na ; niego wściekły i nazywał go Wołochem, giaurem i kacerzem ze ‘.. Slatiny.
- Z tego można rzecz jasna wywnioskować, że zna go dobrze, ; a poza tym wie, że ten człowiek pochodzi ze Slatiny.
- A teraz mi się jeszcze przypomniało, że w gniewie przekli-nał go jako pieszego posłańca buntowników i konnego rebelian-tów .
- To bardzo ważne! Maże od grubego piekarza w Cz nibaszly ~da mi się dowiedzieć czegoś więcej.

- Naprawdę zamierzasz tam pojechać, efendi?
- Tak, teraz tym bardziej.
- A czy więzień może o tym wiedzieć?
- Oczywiście. Sam mnie przecież do tego zachęcał.
- Powiesz mu także, że dowiedziałeś się, kim jest naprawdę?

- Nie. Byłaby to nieostrożność, której nie chciałbym popełnić.

Macie jeszcze teraz jakieś uwagi?

- Nie - odrzekła kobieta. - Powiedziałam wszystko, co wiem.

Ale pozwól, że zapytam o coś, co mnie martwi!

- Pytaj spokojnie! Może twoje zmartwienie jest bezpodstawne.

- O nie! Skoro ten mężczyzna należy do niezadowolonych, to znajdujemy się w niebezpieczeństwie. Uwięziliśmy go, a on się zemści lub zostanie pomszczony przez swoich współników ze spi-sku.

- W rzeczy samej, niełatwo wam będzie opędzić się od tej myśli; ale może uda się pokierować tą sprawą tak, żebyście nie musieli niczego się obawiać. Jego sprzymierzeńcy obeszlą się z wami niegodziwie, mieliście więc wszelkie powody, żeby dostosować do tego swoje dalsze postępowanie. Przede wszystkim muszę z nim teraz jeszcze porozmawiać.

Po zapaleniu łuozywa, otworzyliśmy klapę do piwnicy i przystawili drabinę, a potem zszedłem na dół. Więzień leżał na stercie węgla i powitał mnie stekiem przekleństw.

- Sądzisz, że w ten sposób poprawisz swoją sytuację? - zapytałem.

- Wypuść mnie! - warknął. - Uwolnij mnie! Nie masz prawa więzić mnie tutaj.

- Jak dotąd jestem przekonany, że mam takie prawo!

- Czy farbiarz Boszak nie otworzył ci oczu?

- Jeszcze u niego nie byłem.

- Dlaczego jeszcze nie byłeś? Dlaczego zwlekasz? Teraz jest pewnie daleko po południu. Dawno już mogłeś pajechać do Czni-baszly.

- Mylisz się. Nie jest jeszcze tak późno, jak sądzisz. Ale zaraz wyruszę w drogę. Twierdzisz zatem, że on cię zna?

- Tak. Zapytaj tylko a agenta Pimose.
- Czy Boszak wie, że teraz nie byłeś w Edirne?
- Tak. Jeśli go zapytasz, poświadcz, że w ciągu ostatnich dni byłem w Mandrze i w Balczybak.
- Skąd o tym będzie wiedział?

Sprzysiężony zwlekał z odpowiedzią i po krótkiej przerwie oświadczył:

- Usłyszysz to od niego samego.
- Wolałbym od razu dowiedzieć się tego od ciebie.
- Po co?
- Byłby to najlepszy sposób, żeby zwalczyć moją nieufność.
- Nie pojmuję, do czego zmierzasz!

# W wawozach Bałkanów 65

- Czy rzeczywiście muszę ci to dokładnie wyjaśnić? Milczysz, ponieważ chcesz zapobiec temu, żeby jego zeznanie nie było sprzeczne z twoim. Powiedz mi zatem, czy był może z tobą w obydwu tych miejscowościach?
- Nie odczuwam takiej potrzeby. Jedź do niego i zapytaj go.
- Wygląda na to, że nie chcesz poprawić swojej sytuacji. Właściwie co mnie do tego skłania, żebym miał jeździć do tego Bo-szaka? Nic!
- Ale ja się tego domagam, żebyś przekonał się o mojej nie-winności.
- Gdybyś był niewinny, sam byś mi udzielił żądanej informacji.
- Masz powiedzieć farbiarzowi, że jestem tutaj.
- Żeby cię wyciągnął z tej piwnicy? Sądzisz, że moja głupota większa jest od twojej mądrości? A żeby uniknąć jednak wszelkich zarzutów, pofatyguję się do tego Boszaka. Może dowiem się od niego czegoś zupełnie innego, niż powinien mi powiedzieć zgodnie z twoim życzeniem. Jesteś głodny?
- Nie.
- Chcesz pić?
- Nie. Walę umrzeć z pragnienia niż przyjąć kroplę wody od takich ludzi jak wy!
- Jak sobie życzysz!

Zbierałem się już do wyjścia, gdy odezwał się ostrym tonem:

- Domagam się, żebyście mi zdjęli pęta!
- Nie możesz tego wymagać od ludzi, którzy nie są nawet godni podać ci kropli wody!
- Dają mi się we znaki!
- Nic nie szkodzi. Pragnienie też daje się we znaki, a mimo to chcesz je znosić, byle tylko nie musieć niczego od nas przyjmować. Nawiasem mówiąc wiem, że pęta nie sprawiają ci bólu. Czekaj cierpliwie, aż wrócę!

Mosklan wolał zachować milczenie.

Kowal wykorzystał czas mojej nieobecności, by przyprowadzić mi mojego konia. Równocześnie przywiódł wierzchowca więźnia.

- Rzeczywiście chcesz wyjechać naprzeciw moim towarzy-szo~m? - zapytałem.

- Jeśli tylko pozwolisz, efendi!

- Sądzisz, że twoja obecność nie będzie tutaj potrzebna?

- Zostaje moja żona i będzie pilnować więźnia.

- Nie wiadomo, co może się wydarzyć w czasie naszej nieobecności.

- Co ma się wydarzyć? Uważam, że twoi ludzie powinni się ko-

66 niecznie dowiedzieć, gdzie jesteś i że na nich czekasz. Pojadę tylko do Derekój; jeśli ich tam nie spotkam, to ,zawrócę.

- Możecie się minąć w dradze!

- Moja żona zadba o to, żeby nie przejechali tędy, nie wstępu-jąc do nas.

- No cóż, jak sobie życzysz. Przede wszystkim jednak niech zadba o to, żeby nikt nie dowiedział się o więźniu w piwnicy. Kobieta stała przy nas i wszystko słyszała.

- Efendi, możesz bez obaw jechać do Cz nibaszly - powiedzia-ła. - Wszystko będzie tak, jakbyś ty sam był na miejscu. Po tym zapewnieniu wsiałem na konia i krótka się pożegnaw-szy odjechałem. Wieś Koszikawak leżała w niewielkiej odległości od kuźni. Nie była duża, więc przejechałem przez nią szybko. Po-tem droga wiodła przez mostek i skręcała w lewo na południowy zachód, a nie, jak mówił kowal, na południe. Przecinała kilka pól kukurydzianych, następnie jakieś łąki, po czym znalazłem się w terenie nie zabudowanym. Żadnej przetartej drągi nie było. Każ-dy tutaj jeździ lub chodzi, jak mu się podoba. Dlatego nie zdzi-wiłem się, ujrzawszy po swojej prawej ręce, w sporej odległości, jakiegoś jeźdźca, który wydawał się zmierzać w tym samym kie-runku. Również on mnie zauważył i ruszył w moją stronę. Kiedy się trochę zbliżył, przyjrzał mi się uważnie i zdawał się wahać. Potem jednak podjął szybką decyzję i podjechał klusem całkiem blisko.

- Sabahak bilchejr - dzień dabry! - pozdrowił mnie ku me-mu zdziwieniu w najczystszy m języku arabskim.

- Allah jusabbihhak bilchejr - niech Allah da ci dobry dzień

- odpowiedziałem uprzejmie.

Jeździec spodobał mi się. W żadnym wypadku nie zaliczał się do ludzi bogatych. Jego koń wart był mniej niż dwieście pięćdziesiąt marek, a on sam miał na sobie niemal ubogie odzienie. Odzienie to świadczyło jednak o niezwykłej dla tych okolic czystości, kań zaś, jakkolwiek nie karmiony obficie, był utrzymany w bardzo dobrym stanie. Zgrzebło musiało pewnie zastępować brakujący owies. Robi to na znawcy koni zawsze dobre wrażenie. Paza tym młody człowiek był ładnie zbudowany, a jego twarz, ozdobiana wąsikami, miała tak poczciwy wyraz, że bynajmniej nie wziąłem mu za złe, że przerwał tok moich myśli.

- Mówisz po arabsku - podchwycił, z satysfakcją kiwając głową i dając w ten sposób paźnać, iż rad jest, że mnie właściwie ocenił.

- Oczywiście, nawet bardzo chętnie.

s' 67

- Czy zechciałbyś łaskawie mi powiedzieć, skąd przybywasz?

- Z Koszikawak.

- Dziękuję!

- Czy chciałbyś mi może towarzyszyć?

- Bardzo byłbym ci wdzięczny za pozwolenie!

Była to prawdziwie ujmująca uprzejmość. Z kolei zapytałem go, skąd przyszło mu do głowy, żeby zwrócić się do mnie po arabsku. Jego oczy rozbliły, gdy wskazał na mojego konia.

- Na takim niedzi może jeździć tylko Arab. To prawdziwy ogier pustyński! Na Allaha! Czerwone nozdrza! W takim razie jego matka była pewnie klaczą czystej krwi?

- Masz dobre oko. Jego drzewo rodowe wskazuje w rzeczy samej, że masz rację.

- Jesteś szczęśliwym i bogatym człowiekiem! Po kopytach i pięcinach można paźnać, że koń ten urodził się nie na pustyni piaszczystej, lecz skalistej.

- Również ta się zgadza. Czy tutejsza okolica to twoje strony rodzinne?

- Tak.



- Skąd masz takie bystre oko do koni arabskich?

- Jestem hadzi. Po odbyciu modłów w Mekce udałem się do Taif, gdzie wstąpiłem do konnicy wielkiego szeryfa Mekki. . Znałem ze słyszenia ten wyborowy oddział jazdy i wiedziałem, jak świetnie jeżdżą konno. Wielki szeryf posiada doprawdy wyśmienitą stajnię. Nic dziwnego zatem, że ten młody człowiek mógł tak wyćwiczyć swą bystrość.

To było jedyne w swoim rodzaju przeżycie widzieć na własne oczy byłego kawalerzystę wielkiego szeryfa Mekki.

- Dlaczego tam nie zostałeś? - zapytałem go.

Młody człowiek zaczerwienił się, spuścił wzrok i powiedział tylko jedno słowo:

- Mahabbi - miłość!

- Welak - oj, to niedobrze!

- Na'm, jakesa - tak, tak to bywa!

Wypowiedziałem swoje wyrazy ubolewnia żartem, on jednak przybrał tak poważną minę i spoglądał przed siebie tak zamyślo-nym wzrokiem, iż łatwo mogłem odgadnąć, co czuje. Ani mi jednak było w głowie niepokoić go pytaniami na ten temat. Skiero-wałem więc rozmowę na inne tory mówiąc:

- Co się tyczy konia, słusznie go oceniłeś, pomyliłeś się natomiast co do jeźdźca.

- Co? W każdym razie jesteś wszak Beduinem?

- Czy siedzę na koniu jak bedawi?
- Rzeczywiście nie. Od razu mi się to rzuciło w oozę.
- I dziwisz się?
- Tak.
- Jesteś szczery.
- A nie powinienem?
- Na Allaha! Obyś zawsze mówił otwarcie!
- Nie mogłem pojąć, dlaczego właściciel takiego konia tak źle jeździ.
- Tak to bywa na tym świecie!

Obrzucił mnie zatroskanym spojrzeniem.

- Wziąłeś mi to za złe?
- O nie! To samo co ty mówili mi już różni ludzie, a nie miałem im tego za złe.
- Dlaczego nie zadasz sobie trudu nauczania się jazdy konnej?
- Och, zadałem już sobie wiele trudu!
- Jumkin - przypuszczalnie! - uśmiechnął się z niedowierzaniem.
- Wątpisz w to? - zapytałem.
- Owszem.
- No cóż, powiem ci, że miesiącami nie opuszczałem siodła, żeby się przespać.
- Allah akbar - Allah jest wielki! Stwarza ludzi i obdarowuje każdego z nich jakimś szczególnym talentem, ale także jakąś szczególną ułomnością. Poznałem kiedyś człowieka, który nie potrafi gwizdać. Dokładał wszelkich starań, lecz nie mógł opanować tej sztuki. Inni gwizdzą już, kiedy jeszcze leżą w kołysce. Z twoją jazdą konną musi być tak samo jak z gwizdaniem w przypadku tamtego. Za to Allah z pewnością obdarzył cię innym talentem.

- Słusznie zauważyłeś - oświadczyłem życzliwie.
- Czy mogę zapytać, co to za dar?
- Oczywiście: picie.
- Picie? - zapytał ze zdumieniem mój towarzysz podróży.
- Tak. Piłem już, gdy jeszcze leżałem w kołysce.
- Żartowniś z siebie!
- Czy w ta też nie uwierzysz?
- Ależ wierzę, tę zdolność pewnie wszyscy posiadliśmy bardzo wcześnie, tyle że nie jest to powód do dumy. Jazda konna przychodzi już trochę trudniej.
- Nie przeczę!

Gdy na mnie spojrzał na jego twarzy pojawił się niemal wyraz współczucia. Po chwili zapytał:

- Czy twój kręgosłup jest zdrowy?
- Tak.
- I klatka piersiowa też?
- Bardza.
- Dlaczego tak garbięz plecy i wciskasz klatkę piersiową w koń-ską szyję?
- Podpatrzyłem to u setek innych jeźdźców.
- To byli źli jeźdźcy.
- Byli nie tyłka dobrzy, lecz nawet bardzo dobrzy! Jeździec, który kocha swojego konia, oszczędza go i stara się możl~iwie jak najwięcej go adciążać. Jak to osiągnąć, nie ma o tym pojęcia żaden Turek ani Arab.
- Tęga nae pojmuję. Czyżbyś nie był Arabem? - zapytał mój towarzysz.
- Nie.
- Kim więc?
- Almanem.
- Widziałem w Stambule ludzi z Almanii. Sprzedawali płótno, tkaniny workowe i ostrza noży. Pili piwo i przy tym śpiewali pia-senki. Ale konno żadnego z nich nie widziałem. Czy w Almanii jest dużo żołnierzy?
- Więcej niż w Osmanly memleketi.
- Ale z kawalerią pewnie tam kiepsko!
- Jeździ dokładnie tak jak ja.
- Smutne to, smutne!

Wypowiedział te słowa szczerze. Nawet mi do głowy nie przy-szło złościć się na niego z powodu tego żartu. Przypuszczalnie jed-nak pomyślał, że posunął się za daleko, gdyż zapytał:

- Jesteś tutaj obcy. Czy mogę wiedzieć, dokąd zmierzasz? Mo-ae mógłbym ci w czymś pomóc.

Możliwe, iż nie było rzeczą wskazaną wyjawić mu całej prawdy, odpowiedziałem więc wymijająco:

- Tymczasem do Czniabaszy.

- W takim razie jeszcze przez kwadrans będziemy jechać ra-zem, potem moja droga wiedzie dalej da Kabacz.

- Mieszkasz tam?

- Tak. Domyślasz się, kim jestem z zawodu?

- Nie. Dziwię się jednak, że w tak młodym wieku zdecydowa-łeś się wstąpić na służbę do wielkiego szeryfa i że tak szybko z niej zrezygnowałeś.

- Dlaczego tak się stało, już wiesz. Wcześniej byłem zegar-mistrzem, a teraz jestem sprzedawcą książek. 70

- Masz własny sklepik?

- Nie. Cały mój zapas jest tutaj w tej torbie. Sprzedaję tego rodzaju rzeczy.

Wyciągnął jakąś kartkę. Zawierała ona Fatihe, pierwszą surę Ko~ranu, napisaną pismem nes'chi przy pomocy rozszczepionej trzciny maczanej w rozpuszczonej gumie, a następnie ozdobioną złotem. A zatem był wędrownym sprzedawcą książek i miał, jak zauważyłem, spory zapas tych kartek.

- Czy zostało to napisane w Mekce? - zapytałem.

- Tak - oświadczył młodzieniec.

- Przez strażników Kaaby?

Mój towarzysz zrobił przebiegłą minę i wykonał nieokreślony ruch głową.

- Rozumiem - uśmiechnąłem się. - Twoi klienci w to wierzą.

- Owszem. Jesteś Almanem, a więc chrześcijaninem. Tobie mo-gę powiedzieć, że sam napisałem te kartki, ale naprawdę w Mekce. Wziąłem ze sobą duży zapas i robię na nich całkiem dobry interes.

- Ile kosztuje jedna?

- To zależy, na ile stać kupującego. Biedny daje piastra, może nawet dostać za darmo, gdy tymczasem od ludzi bogatych dosta- wałem już dziesięć i więcej piastów. Zarobione pieniądze prze-znaczam na utrzymanie dla siebie i dla mojego sparaliżowanego ojca i dokupuję części do mego zegara.

- A więc pracujesz dalej w swoim wcześniejszym fachu?

- Tak. Pracuję nad zegarem, który zamierzam zaproponować do kupienia sułtanowi. W całym kraju nie będzie drugiego takie-go. Jeśli sułtan go kupi, będę miał zapewniony byt do końca życia.

- Zatem ta arcydzieło?

- Owszem - uśmiechnął się z dumą zegarmistrz.

- Dasz sobie radę?

- Z całą pewnością. Z początku miałem obawy, ale teraz jestem przekonany, że się powiedzie. A wtedy - a wtedy porozmawiam z tym Boszakiem!

Ostatnie słowa wypowiedział niemal groźnym tonem. Zdziwiłem się, usłyszawszy to nazwisko. Boszak! Tak przecież nazywał się farbiarz i piekarz, do którego się wybierałem.

- Boszak? Kto to? - zapytałem z głupia frant.

- Ojciec mojej ukochanej.

- Dlaczego nie porozmawiasz z nim wcześniej?

- Wyrzuci mnie, jeśli pójdę do niego teraz. Jego zdaniem je-stem o wiele za biedny. 71

- Czyżby Boszak był bogaty?

- Nie. Ale ona jest najpiękniejsza w całej Rumelii.

Wskazałem ręką słońce i powiedziałem:

- Gorąco dzisiaj!

- Tutaj jest gorąco! - powtórzył, wygrażając zaciśniętą pię-ścią w kierunku, gdzie domyślałem się wioski Cz nibaszy. - By-łem u jej ojca, ale pokazał mi drzwi!

- Czy ta najpiękniejsza w całej Rumelii tej pokazałaby ci drzwi?

- Nie. Widujemy się wszak wieczorami i rozmawiamy ze sobą.
- Potajemnie?
- Tak, gdyż inaczej nie możemy.
- Kim jest z zawodu jej ojciec?
- Piekarzem i farbiarzem. Ona ma na imię Ikbala Q'.
- Bardzo ładne imię! Życzę ci, żeby w twoim wypadku okazało się prawdziwe.
- Tak się stanie, gdyż taka jest wola Allaha, jak również moja własna. Matka jest naszą sojuszniczką. .
- Bogu dzięki!
- Tak, czuwa nad nami, gdy spotykamy się, kiedy piekarz śpi. Oby Allah obdarzył ją za to długim życiem oraz wnukami w wielkiej obfitości! Stary natomiast niechaj gryzie czosnek i łyka atrament, póki nie zdecyduje się zostać moim teściem!
- Wtedy mógłbyś używać go jako kałamarza gdy skończą się twoje obecne zapasy i będziesz musiał pisać nowe kartki. Gdzie mieszka ów srogi ojciec tak wychwalanej córki?
- W Cz nibasz~ly.
- To wiem. Ale w którym domu?
- Jeśli wjedziesz do wioski z tego kierunku, będzie to piąty dom po prawej stronie. Nad drzwiami wiszą drewniany rogalik, żółta rękawiczka i czerwona pończocha, na znak, że Boszak jest piekarzem i farbiarzem. Dlaczego pytasz mnie, gdzie mieszka?
- Chciałbym poznać tego okrutnika - zażartowałem.
- To nic trudnego. Każ sobie u niego coś ufarbować.
- Nie bardzo mam co. Ostatecznie mógłbym kazać przefarbować na niebiesko mojego karosza, ale nie miałbym chyba czasu czekać, aż zupełnie wyschnie.
- Więc kup sobie u niego jakieś ciastko.
- Czyżby Boszak był również cukiernikiem?
- Tak. Piecze wszystko.

g~ Dajęca Szczęście

- Ale chyba nie pończochy i rękawiczki! Może się zdarzyć, że pomyli mu się jeden zawód z drugim. Stój! Słyszałeś coś? Powściągnąłem swojego konia i nasłuchiwałem.

- Nie - odpowiedział mój towarzysz podróży.

- Wydawało mi się, że słyszę z daleka jakieś wołanie - do-dałem.

Również on zatrzymał się i wyteżył słuch. Osobliwy dźwięk powtórzył się.

- Przypomina ta głos zamurowanego czławie~ka!

- Nie - odparł. - To skrzecząca żaba.

- Nigdy jeszcze nie słyszałem żaby skrzeczącej takim głosem.

- W takim razie to ropucha. Często słyszałem żaby kumkające ‘ w ten sposób. Odgłos dobiega stamtąd, z tych kolczastych zarośli po lewej stronie, które są tak niskie, że gdyby był w nich człowiek, musielibyśmy go widzieć. To jakieś zwierzę, nic innego. A teraz musimy się rozstać! Tutaj moja droga omija bokiem Cznibaszły i wiedzie dalej do Kabacz.

- Czy mógłbym przedtem poznać twoje imię?

- Nazywają mnie Ali sprzedawca książek.

- Dziękuję ci! A jak daleko jest z Cznibaszły do Kabacz?

- Dojadę tam w trzy kwadranse. Czyżbyś zamierzał potem wy-brać się do Kabacz?

- Możliwe.

- W takim razie proszę, zajdź do mnie i obejrzyj mój zegar.

Może wtedy ośmielę się wypowiedzieć pytania, których nie za-dałem ci teraz.

- Dlaczego nie pytasz?

- Czyż wolno być nieuprzejmym?



- Ostatecznie ja dowiadywałem się o twoje stosunki!

- Tobie wolno, gdyż jesteś kimś innym niż ja. Ty jesteś inco-gnito; to pewne!

Mówiąc te słowa, Ali uśmiechnął się do mnie z taką ufnością, że i ja musiałem się uśmiechnąć.

- Mylisz się!

- O nie! Nie umiesz wprawdzie jeździć konno, ale to nie ma nic do rzeczy. Być może jesteś wielkim uczonym albo jakimś in-nym efendi z sułtańskiego dworu, mimo że jesteś chrześcijaninem. Gdybyś był muzułmaninem, to biorąc do ręki moją kartkę z Fati-hą, oddałbyś jej cześć, wypowiadając pobożną formułkę. Wzem, że sułtan ma także na swoim dworze chrześcijan, a ponieważ nie jesteś jeźdźcem, więc ten karosz został pożyczony ze stajni pady-szacha. Czy mam rację?

- Nie.

- Cóż. Nie będę więc zgadywał.

- I słusznie postąpisz. Czy mógłbyś mi opisać, gdzie mieszkasz?

- To bardzo łatwe. Osobliwym trafem mój dom znajduje się w tym samym miejscu co tutaj. Gdy wjeżdżasz do Kabacz od strony Czarnobaszy, to jest to piąty dom po prawej stronie. Właściwie to tylko mała chata. Mój ojciec był biednym pasterzem. Matka jeszcze żyła, gdy wyruszyłem w pielgrzymkę do Mekki. Umarła, a w krótki czas potem ojciec został rażony apopleksją. Teraz nie może poruszyć żadną kończyną, a poza tym nie może mówić, tylko wydaje niezrozumiałe dźwięki. Modli się bez ustanku, by Allah położył kres jego męczarniom, ażeby przestał być dla mnie ciężarem. Ja natomiast modlę się do Najmiłosierniejszego, by jeszcze przez długie lata zachował mego ojca przy życiu. Ojca i matkę ma się tylko raz. Gdy oni umrą, wędruje do grobu to, co dziecko miało najlepszego, i nikt na świecie nie będzie już dla niego tak dobry i oddany mu całą duszą, jak ci, którzy odeszli. Przed laty, gdy byłem jeszcze małym chłopcem, przybył do naszej chaty pewien stary człowiek i poprosił o gościnnie. Dostał posłanie, mleko i chleb. Sami nie mieliśmy nic więcej. Akurat zrobiłem coś, co rozgniewało moją matkę. Wtedy gość wyciągnął kartkę papieru i ołówek. Był chrześcijaninem i mimo że nie rozumiał języka tureckiego, napisał mi na owej kartce werset z Biblii, która jest świętą księgą chrześcijan, i powiedział mi, że powinienem nauczyć się tych słów na pamięć, zawsze według nich postępować i nigdy ich nie zapomnieć. Nosilem przy sobie tę kartkę jako amulet, aż w końcu nic z niej nie zostało. Podarła się i zniknęła, lecz słowa te zachowałem po dziś dzień w swojej pamięci i w sercu, i tam pozostaną, dopóki anioł śmierci nie każe mi się rozstać z tym światem. Byłem do głębi wzruszony i zapytałem młodego człowieka, którego oczy zwilgotniały:

- Jak brzmią te słowa?

- Brzmiały one: Pederini istihsa eden we walidesine ita 'at etmeji chor g~ren g~si dere karghalari ~jeczek we kartal jawurile-ri je jedzikdir.

Były to słowa z Biblii: „Oko, co ojca wyśmiewa i gardzi posłuchem dla matki, niech kruki nad rzeką wydziobią lub niech je zjedzą orlęta!”

Kalejny przykład nieodpartej siły słowa Bożego, które ma moc

młota kruszącego skały”. Gdzie w Koranie, gdzie w Wedach

i gdzie (za przeproszeniem) w objawieniu „ostatnich świętych”, mam tutaj na myśli poronione dzieło owego Joe Smitha, który ?4 zatytułował je Book of the Mormons, znaleźć można fragment o podobnie wielkiej, bezpośredniej sile oddziaływania? Można przeczytać Złotą Księgę Buddy, zawierającą jego nauki na temat siebie, pokuty, obowiązku i końca wszystkich rzeczy, można zagłębić się poprzez straszliwe studia w świętych księgach Indii, w papi-rusach egipskich z wyobrażeniami bogów Ptah, Ra i Amona, by w końcu stwierdzić, że jest tylko jedno Słowo Boże, o którym powiedziano: „Twoje słowo jest lampą dla moich stóp i światłem na mojej ścieżce”, i którego karząca, niszczycielska moc nie może być także przedstawiana w bardziej wstrząsający sposób niż w owym straszliwym miejscu: „I zamienił się w kamień!” Uścisnąłem dłoń zegarmistrzowi i sprzedawcy książek w jednej osobie i zapytałem:

- Zatem kochasz swojego ojca?

- Dlaczego pytasz, efendi? Czyż może być syn, który nie kocha swego ojca? Czyż dziecko może zapomnieć rodziców, którym wszystko zawdzięcza?

- Masz rację. Moje pytanie było zbyt proste. Może dane mi będzie zobaczyć twego ojca, a wówczas i ja napiszę mu piewexx ~er-set. A jeśli pragnienie, które żywię teraz w skrytości ducha, się spełni, kto wie, może będę mógł sprawić prawdziwie wielką radość i jemu, i tobie. Pozostań w domu, ażebym cię znalazł, gdy przyjadę! Allah jisallimak - niech cię Allah strzeże!

- Fi aman Allah - niech Allah cię ma w swojej opiece! - odparł dotykając ręką czoła.

To rzekłszy, Ali odjechał klusem. Patrzyłem za nim, póki nie zniknął w oddali za kępą zarośli.

## IV. BLTŁGARSİ~I ~I~R;EM

Nie zdążyłem ujechać daleko, gdy ujrzałem na ziemi coś, czego w tym miejscu na pewno bym nie szukał, a mianowicie prawdziwą, rzeczywistą i realną bułkę, wypieczoną na piękny brązowy kolor i z wyglądu chrupiącą, składającą się z ni mniej, ni więcej, tylko ośmiu części zlepionych ze sobą. Fieczywo to trafiło do Turcji z Europy i dlatego bywa przeważnie nazywane franczela, czyli bułka francuska”.

Zsiadłem z konia i podniosłem bułkę, świeżo upieczone, pachną-75 ce wspomnienie mojej ojczyzny. Co począć z tą ósemką? Nie na-myślając się długo, ułamałem kawałek i - podsunąłem karemu. Nigdy jeszcze nie widział czegoś takiego, ale nie przejął się tym wcale. Czy to chas ekmek, czy franczela, pa niemiecku Semmel czy po angie~lsku roll, po francusku petit pain blanc czy po wło-sku piccoli pani, w języku polskim bułka pszenrceL, a w serbskim pletenica, czy po rumuńsku pane alba, czy po rosyjsku bullca, do-kładn,ie tak jak we wschodniej Palsce - karosz nie miał języko-wych ani żadnych innych wątpliwości. Najpierw obwąchał, wziął odłamany kawałek, a następnie wyrwał mi z ręki resztę bułki.

- Ma li handže fih, sufra daime, tajib heiwan - nie potrze-buję jej, smacznego, mój dobry zwierzaku!

Po skonsumowaniu rzadkiego smakołyku ogier potarł swój pięk-ny łeb wyrażający mocny charakter o moje ramię, wtedy dosiad-łem wierzchawca i - niespełna dwadzieścia kroków dalej leżała następna ósemka.

Co to było? Co to miało znaczyć? Tego rodzaju manna nie spa-da przecież z nieba ani nie rośnie na jesionie mannowym (Fra~i-nus ornus), ani też nie płazi się po ziemi jako porost mannowy (Lec~znora esculenta).

Pa raz drugi zsiadłem z konia, podniosłem znaleźisko i wsadzi-łem do torby u siodła. Ledwo znalazłem się z powrotem na koniu, ujrzałem z daleka na ziemi następną ósemkę. Zsiadać znowu? Nie! Popędziłem Karego. Wyciągnął się w biegu jak struna, ventre a terre; pochyliwszy się podniosłem z ziemi bułkę i spostrzegłem przy okazji kilka sztuk innych rodzajów pieczywa, obok których przemknęliśmy galopem.

Czyżby przejeżdżał tędy dziurawym wózkiem jakiś amerykań-ski roll-boy? Owi przedsiębiorczy džentelmeni chętnie robią inte-resy, lecz mimo wszystko nie zapędzają się przez pomyłkę tak daleko od rodzinnego baker's oven.

Ponownie powś~ciągnąłem konia i oto okazało się, że również dalej droga w różnych odstępach „usiana” jest pieczywem. Ta Rumelia była prawdziwą krainą obfitości! Poniechałem podnoszenia z ziemi następnych prezentów i postanowiłem czym prędzej dogo-nić dobrodzieja obdarowującego tymi pożywnymi „kommata”. Mała kępa zarośli pośród nie zabudowanej przestrzeni - okrąży-łem ją,

i patrzcie, oto stał ów dobroczyńca, i to w bardzo ziemskiej postaci. Było to jedno z owych stworzeń nazywanych przez Ara-bów barłż, przez Turków katyr, przez uczonych ludzi z Zachodu Equus hinnus, a przez nieuczonych Niemców w obraźliwy sposób mułem.

Tak, stał sobie i żarł. A co żarł? Bynajmniej nie bułki, które tak wyśmienicie smakowały mojemu szlachetnemu wierzchowcowi, lecz słodyczne, drogie słodkie ciasteczka, jakie zachodnie damy chrupią na deser, wschodnie piękności natomiast przez cały dzień nieustannie miały między czerwonymi wargami i czarnymi zębami. Pojawiają się jednak gołosłowne twierdzenia, jakoby te słodkości również na Zachodzie cieszyły się sporym uznaniem nie tylko jako deser.

Zeskoczyłem z konia, już po raz trzeci. Muł spojrział najpierw na mnie, potem na karego, po czym bezceremonialnie, nie poczuwając się do żadnej winy, odwrócił łeb na bok, jakby nie miał najmniejszego zrozumienia dla faktu, że przywłaszczenie sobie cudzej własności, a następnie obrócenie jej na własny użytek ścigane jest bezwzględnie przez prawo karne. A może liczył na znane mu okoliczności łagodzące? Dla mnie musiało to być obojętne, gdyż nieznaną mi była kara niechroniona przed karą. Zacząłem zatem, że posłużę się dyplomatycznym wyrażeniem, przyglądać się bliżej kwestii cukierniczej.

Muł miał na grzbiecie osobliwy przedmiot, w połowie jakby siodło juczne, a w połowie damskie. Po każdej stronie umocowany był kosz, podczas jazdy obydwa trochę się obluzowały i część ich zawartości została rozsypana. Potem zaś mułowi nie wiadomo skąd strzeliło do łba, żeby przedrzeć się przez sam środek zarośli, i przy okazji zahaczył o nie wlokącymi się z tyłu cuglami. Zwierzę w dalszym ciągu było zaczepione, prawdziwy obraz przestępcy przyłapanego na gorącym uczynku. Ja byłem karzącą sprawiedliwością. A przestępca zjadał słodczyki! Czyżby wyobrażał sobie, że kara go ominie, gdyż przypuszczalnie nie działał w złym zamiarze? Tego rodzaju wykrety chciałem mułowi wybić z głowy. Kosze zsunęły się na ziemię i leżały tuż obok resztek swej poprzedniej zawartości. Zdzieliłem wielce czcigodnego sir Asa szpicrutą przez uśpione sumienie, aż ze zdumienia odskoczył na bok i zaszczycił mnie pełnym wyrzutem pytającym spojrzeniem i przypominającym ruchy wiatraka kręceniem uszami. Następnie wypłatałem muła i odprowadziłem na bok, żeby uwięzić go tam w bezpiecznym miejscu.

Teraz przynajmniej uratowana była pozostała część pieczywa.

Nasunęło mi się jednak pytanie, czy muł opuścił swoje ognisko domowe sam, czy w towarzystwie. Czułem nieprzepartą chęć, aby przychylić się raczej do tego drugiego poglądu. Ale następne pytanie: Czy odnośna osoba była jeźdźcem, czy pieszym wędrowcem

- naturalnie zmieniając rodzaj męski na żeński, gdyby chodziło

77 o niewiastę. Ani przy siodle, ani na samym zwierzęciu nie można było znaleźć niczego, co by pozwoliło jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Jedno wszakże było pewne: Jeżeli muła ktoś dosia-dał, to zwierzę przypuszczalnie zrzuciło jeźdźca. Gdzie ów znaj-dował się teraz? Musiałem wrócić i poszukać śladów. Uczyniłem to bez wahania. Poprzednio nie z.wracałem uwagi, teraz jednak dostrzegłem wyraźne ślady muła. Po jakimś czasie odchodziły one w bok od linii prostej, na prawo, w stronę ciernistych zarośli, z któ-rych wcześniej, gdy był jeszcze ze mną sahha pa, rozbrzmiewało stłumione wołanie.

Teraz usłyszałem je znowu. Przypominało, jak już wspomnia-łem, wołanie kogoś zamurowanego. Pośpieszyłem bliżej i przed zaroślami zeskoczyłem z konia. Składały się wyłącznie z krzaków jeżyn i malin i wydawały się nie do przejścia.

- Jetiszin, jetiszin - pomocy, pomocy! - usłyszałem teraz dosyć wyraźnie.
- Kto tam jest? - zapytałem.
- Czileka! - odpowiedziano na moje pytanie.

To był głos kobiety. Także imię, które znaczy „truskawka”, wskazywało, że chodzi o istotę płci żeńskiej.

- Zaraz, zaraz! - odrzekłem.

Pobiegłem wzdłuż skraju zarośli i znalazłem miejsce, gdzie na-stąpiło „włamanie”. Tu więc została przynajmniej utworzona ja-kaś droga. Przedarłem się przez ten gąszcz, uciekając się do po-mocy noża i oto znalazłem się na skraju lejkowatego zagłębienia, którego nie wypełniały jednak, jak oczekiwałem, cierniste pędy, lecz - dywany i inne tego rodzaju przedmioty. Tutaj, po tej stro-nie, muł dostał się do środka, a wyszedł z tamtej strony. W dole zaś, na miękkim podłożu, siedziała niewiasta tak okazałej tuszy, jakiej nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć u nikogo w całym moim żyCiu.

- Pomocy, pomocy! - wołała dalej kobieta.

Ledwo mnie jednak spostrzegła, natychmiast z głośnym okrzy-kiem ukryła twarz, zasłaniając się koniuszkiem dywanu.

- Co tu się dzieje? - zapytałem.
- Hasz! Czakil! Jaszmagym, jaszmagym - tylko nie to! Odejdź!

Mój kwef, mój kwef!

Krzyczała wzywając pomocy, a mimo to odpędzała mnie teraz, bo nie miała kwefu. Rozejrzawszy się baczniej dokoła, zauważyłem wiszące na kolcach strzępy niezbędnej zasłony na twarz.

ps księgarz

78

- Burada; al mendilimŽ - proszę; weź moją chustkę do nosa!

- zawołałem do kobiety.

- Dón, bus butun - odwróć się, całkiem!

Uśluchałem jej rozkazu.

- Geri don - możesz się już adwrócić! - nakazała po chwili.

Gdy obróciłem się z pawrotem do kobiety, oblicze miała zasłonięte chustką do nosa, zupełnie zresztą niepotrzebnie, gdyż jej czerwaną twarz z obwisłymi paliczkami widziałem przecież już wcześniej. Gdyby Czileka była mężczyzną i pojawiła się na jakimś festynie sportowym, już przez samo pojawienie się przy przeciąganiu liny wypłoszyłaby z placu boju wszystkich pozostałych uczestników. Ponieważ jednak była damą, a poza tym lubię być uważany za „genteel”, podarujemy sobie bliższy opis jej postaci. Mieszkaniec Wschadu mierzy urodę swojej niewiasty według następującego wzoru: Promień razy promień razy pi, to pomnożone przez kwadrat średnicy daje, wyrażony w milimetrach, pierwiastek trzeciego stopnia piękności. Zgodnie z powyższym wzorem otoezone ciernistymi krzewami zagłębienie kryło skarb ogromnej wartości.

Czileka ubrana była w niebieski płaszcz z krótkimi rękawami, który jednakże trachę ucierpiał od kolców. Spod owych krótkich rękawów, wystawały bardzo długie ognis.torude rękawiczki, przypuszczalnie wyśmienitej roboty, ponieważ przylegały do rąk bez najmniejszej fałdki.

Nie wiem jak, ale kobiecie udało się wywiercić dziurę w chusteczce. Przez ten otwór abserwowała mnie dobrą chwilę. Po czym z potężnym, grmiącym jak grom westchnieniem powiedziała:

- Cudzoziemcze, uratujesz mnie?

- Tak - odparłem grzecznie.

- Możesz mnie podnieść?



Wystraszyłem się nie na żarty, jednak udało mi się jakoś wziąć w garść i zapytałem:

- Czy to konieczne?
- Tak.
- Nie możesz iść?
- Nie - jęknęła grubaska.
- Jesteś ranna?
- Tak.
- Gdzie?
- Nie wiem.

Przecież musisz to czuć!

Czuję to wszędzie! - oświadczyła pani

- Próbowałaś ws.tać?
- Nie.
- Dlaczego?
- Nie mogę.
- Spokojnie spróbuj! Ja ci pomogę.

W dół do dywanów było nie więcej niż metr. Zeskoczyłem na dno zagłębienia i chciałem jej podać rękę. Wtedy dopiero padnio-sła wrzask:

- Mussibet, mussibet - nieszczęście, nieszczęście! Nie dotykaj mnie! Nie jestem zasłonięta!
- Gdzie niby jesteś nie zasłonięta?
- Tutaj na rękach.

- Przecież masz na nich rękawiczki!

- Rękawiczki? Cudzoziemcze, czy jesteś ślepy? To tylko kysyl kok, czerwony barwnik z marzanny!

Rzeczywiście, owa Truskawka, która siedziała tutaj pośród jeżyn i malin, nie nosiła żadnych rękawiczek. Jej ręce były tak ognście czerwone od kraplaku. Tak, pojąłem teraz, dlaczego ta rzekoma tkanina przylegała bez żadnych fałdek!

Ale nie pojmowałem jeszcze czegoś innego: pani Truskawka była piekarką. Ręce miała ezerwone od kraplaku, a więc była zapewne również farbiarką. Miałem przed sobą żonę bojaczy Boszaka, którego zamierzałem odwiedzić, awą zacną kobietę, która osłaniała swoją córkę, kiedy ta spotykała się ze swoim adoratorem. O zacna Truskawko! Ten, którego miłość bierzesz po~d swoje mat-czyne skrzydła, niespełna kwadrans temu uważał cię za żabę, za jakąś dużą ropuchę, a twoje wołanie o pomoc za głos pokrytego lepkiemi brodawkami kumaka! Czyż miłość nie potrafi być bardziej damyślna? Czyż nie potrafi wyczuć bliskości opiekunki?

- Jak jednak mam cię podnieść, jeśli mi nie pozwalasz się dotknąć? - zapytałem.

- Złap mnie od tyłu!

Zatoczyłem półkole, żeby dostać się do jej pleców, i podłożyłem jej ręce pod pachy.

- Chajyr, chajyr! Stasik-im czabuk gyczyklanarim - nie, nie!

Mam łaskotki! - wrzasnęła tak, że z przerażenia cofnąłem się na bezpieczną odległość.

- Gdzie w takim razie mam cię złapać? - zapytałem bezradnie.

- Nie wiem.

- Musimy zatem inaczej zabrać się do rzeczy!

- Jak?

- Tam leży sznurek. Ludzie, którzy przywieźli tutaj te towa-

80 ry, zapomnieli go zabrać. Wyciągnę cię do góry przy pomocy tego sznurka.

- Ale chyba nie za szyję? - przeraziła się grubaska.
- Nie, obwiążę cię w pasie.
- Spró'a~j w~ęc~

Wziąłem sznurek, opasałem nim talię Truskawki, obróciłem się~ tak, że opieraliśmy się o siebie plecami, pochyliwszy się przeciąg~nąłem go przez ramię i policzyłem:

- Dikkat! Bir - iki-ucz - Uważaj! Raz - dwa - trzy!

Na trzy powoli się wyprostowałem. Sznur napiął się, i zacząłem ciągnąć. Nic z tego.

- Siżr, siir, siir - odpychaj się, odpychaj się, odpychaj się sa-ma! - dyszałem.

- Mumkindejis, mumkindejis; kajar-im - nie mogę, nie mogę” ślizgam się! - dyszała jeszcze mocniej niż ja.

Odwiązałem sznurek i odetchnąłem głęboko. Co za niezdarna kobieta! Przyznać trzeba jednak, że powierzchnia dywanów, na~ którą spadła ta ogromna truskawka, była bardzo gładka. Poza tym twarzyła równię pochyłą. Niełatwo jest wydzwignąć taki ciężar” który sam w sobie posiada dużą bezwładność, i wyznać muszę, że na widok kolczastych pędów przyszła mi do głowy pewna zbrodnicza myśl, którą jednak natychmiast odsunąłem od siebie.

- Czy przynajmniej teraz nie zauważyłaś, czy jesteś ranna? - zapytałem.

- Jestem ranna - zapewniła Czileka.

- W którym miejscu?

- Nie wiem - wszędzie. Na Allaha! Co będą mówić ludzie, kiedy się dowiedzą, że byłem tutaj z tobą zupełnie sam na sam?~

- Nie martw się! O niczym się nie dowiedzą.

- Nic nie powiesz?

- Nie. A poza tym jestem tutaj obcy.

- Obcy? Nie jesteś z tej okolicy?

- Nie.
- Skąd więc?
- Z dalekiego kraju na Zachodzie.
- A więc nie jesteś muzułmaninem?
- Nie. Jestem chrześcijaninem.
- Cóż, w takim razie nie muszę też nosić przed tobą zasłony.

Nie mogą mnie obrazić oczy chrześcijanina, który ogląda tysiące~ kobiet. Podaj mi rękę!

Podąłem jej. Czileka uchwyciła się, pociągnęłam i - oto stała:

6 w wąwozach Bałkanów przede mną na własnych nogach, wprawdzie posapując trochę, lecz ~nimo wszystko uszczęśliwiona.

- Jak długa już tutaj tkwisz? - zapytałam.
- Och, długo, bardzo długo.
- Jak jednak tu się ~alazłaś?
- Mój muł się spłoszył. Kolce kłuły go w nogi.
- Jechałaś na nim?
- Tak.

Biedny, biedny muł! Pożałowałam teraz, że przeszkodziłam mu w jego uczcie. Wystarczająco zasłużył na te słodycze.

- Dlaczego jednak wjechałaś nim w te zarośla? - daciekałam 4dale~.
- Chciałam... chciałam...

Czileka zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, niż była, i zamil-kła. Rozejrzałam się dokoła. Formalnie urządzono tutaj mały skład towarów.

- Do kogo należą te rzeczy? - zapytałem.
- Ja... ja nie wiem! - wyjąkała pani Truskawka.
- Ale wiedziałaś, że są tutaj?
- Nie.
- Jestem dyskretny, a do tego obcy. Nie musisz się mnie oba-~wiać. Dobrze przynajmniej, że nie zauważyłem cię wcześniej, gdy był jeszcze ze mną drugi człowiek.
- Nie byłeś sam?
- Nie. Był ze mną pewien młodzieniec z Kabacz.
- Gdzie on teraz jest?
- W drodze do domu.
- Znasz jego imię?
- Tak. To był hadzi Ali, sahhaf.
- Ten, ach ten! Nie, Ali nie może się dawiedzieć, co tutaj wi-~działeś. Znasz go dobrze?
- Zobaczyłem go dzisiaj po raz pierwszy, ale bardzo mi się ~spodobał.
- A jak mnie znalazłeś?
- Spostrzegłem na ziemi twoje pieczywo, a potem odkryłem twojego muła! Zaczepił się o krzaki. Uwiązałem go i podążyłem za jego śladami. Tym sposobem znalazłem się tutaj.
- Ten muł to głupie stworzenie. Muszę teraz pozbierać z ziemi pieczywo, a nie bardzo mogę się schylać. Pomożesz mi?
- Chętnie! - odpowiedziałem uprzejmie.
- Więc chodź!
- Dasz radę wspiąć się na górę?

- Nie. Ale ty mnie wyciągniesz albo wypchniesz.

- Sądziłem, że masz łaskotki? =i;

3(

- Teraz już nie, bo jesteś chrześcijaninem.

# Hm! Co za nerwy miała ta kobieta! Obszedłem dookoła skład

t” dywanów, by mu się przyjrzeć bliżej, po czym zapytałem:

- Czy to miejsce należy jeszcze do Koszikawak, czy już do” Cznibaszly?
- Do Cznibaszly.
- Jakim człowiekiem jest wasz kjaja?
- Nie powiem, żebym była jega przyjaciółką - odparła prosto

z mostu Czileka. ‘...~..

Wiedziałem już dosyć. Szczęśliwy traf podsunął mi atut, który ,,:

;

zdecydowany byłem wykorzystać na rzecz sprzedawcy książek.

- Idziesz ze mną? - zapytała pękata Truskawka. - WięC chodź~ Zostawiwszy skład dywanów; podszedłem wraz z nią do miej-sca, gdzie zaczynały się cierniste zarośla.
- Zaczepię się płaszczem o krzaki! - uderzyła w lament pie-karka Truskawka. !
- Utoruję ci przejście. Powycinam nożem trochę gałęzi.
- Nie, nie - zaprotestowała ze strachem farbiarka. - Nie wol— no ci tego uczynić!
- Dlaczego?
- To zabronione.
- Kto tego zabronił?
- Właśnie ten zły kjaja.

Przejrzałem kobietę. To miejsce nadawało się w sam raz do te— go, by ukrywać sprzeczną z prawem

działalność jej męża. Uważano, że zarośla są nie do przebycia, ale musiało być jakieś przejście. Gdybym utorował przez nie szeroką drogę, ktoś mógłby odkryć dół z cennym łupem. Temu właśnie Czileka pragnęła zapobiec.

- Dokąd jechałaś z tym pieczywem? - zapytałem.

- Do Gólczyk, i wtedy mój muł poniósł.

Truskawka wiedziała, że być może ostatniej nocy złożone zostały tutaj te towary, i z ciekawości, chcąc obejrzeć zapasy, zoczyła z drogi. Za daleko wjechała mułem w cierniste krzaki, i zwierzę poniosło, nieszczęśliwym trafem przez sam środek zarośli i przez. ~zagłębienie terenu ze składem dywanów.

- Skąd dzisiaj przybywasz? - spytała mnie Czileka.

- Z Koszikawak.

- A dokąd się wybierasz?



6' ó~

- Do Cznibaszly i do Kabacz.
- Po co jedziesz da Kabacz?
- Chcę odwiedzić hadzi Alego, sahhafa.
- Naprawdę? Powiedz, cudzoziemcze, czy wyświadczysz mi pewną przysługę?
- Bardzo chętnie.
- Chciałabym ci dać coś dla niego.
- Świetnie.
- Ale nie mam tego tutaj. Musiałbyś udać się ze mną do mojego adamu.

Bardzo mi to było na rękę. Mimo ta zauważyłem:

- Sądziłem, że wybierasz się do G~lczyk!
- Teraz już nie. Temu mułowi nie można dzisiaj ufać. Muszę ~ci jednak wyznać, że mój mąż nie może się dowiedzieć, że prze-każę ci wiadomość dla Alego.
- Będę milczał. Kim jest twój mąż?
- Na~zywa się Boszak i jest bojaczki oraz ekmekczy 2a. W ogóle rnu nie wspomnę, że byliśmy tutaj, i ty nikomu o tym nie powiesz. Ta kobieta założyła z góry moją dyskrecję jaka coś oczywistego.

Następnie ciągnęła dalej:

- Powiem mężowi tylko tyle, że mój muł poniósł i mnie zszu-~cił. Ty go złapałeś i odnalazłeś mnie na drodze. Potem odprowadzi-~eś mnie do domu.
- Co mam zanieść sahhafowi?
- To powiem ci później. Teraz chodźmy stąd.

Nie była to lekka robota wypchnąć tę oryginalną truskawkę po ~karpie na górę, a potem przez cierniste zarośla. Ale udało się.

- Teraz zamknij z powrotem przejście, z któregośmy korzysta-li - rozkazała Czileka. - Nikt nie ma prawa wiedzieć, że można ~ię przedostać przez te ciernie!

- Jesteś wielce przezorną panią. Masz rację.

Po tych słowach zabrałem się do żmudnej pracy, przy której vvbił mi się w skórę niejeden cierń.

- Tak dobrze! - pochwaliła mnie, gdy ku jej zadowoleniu upo-rałem się z tym zadaniem. - Jesteś bardzo zręczny w takich spra-wwach. Dziękuję ci. Teraz pozwolisz, że wsiądę na twojego konia.

- Czy nie wolałabyś pójść pieszo?

- Dlaczego?

- Mój koń nigdy jeszcze nie nosił na grzbiecie kobiety.

- Och, nic mu nie zrobię! - zapewniła masywna dama.

~ř iarbiarz i piekarz

~4

- Jestem o tym przekonany. Ale spójrz na siodło! Nie zostało zrobione z myślą o delikatnych członkach niewieścich. Jest tak ciasne, że się w nim nie zmieścisz.

- Więc zdejmij je! Usiądę na gołym grzbiecie zwierzęcia. Wte-dy sŻę zmieszczę.

- Zajęłoby to jednak zbyt wiele czasu. Musiałbym prowadzić konia, a w dodatku nie moglibyśmy pozbierać pieczywa, które roz-sypał twój muł. Do miejsca, gdzie ga uwiązałem, jest całkiem nie-daleko.

- Uwiązałeś go? To bardzo dobrze! Pójdę zatem, ponieważ uważasz, że tak będzie lepiej, pieszo, mimo że taki ruch może mi zaszkodzić. W czasie marszu często tracę oddech i potem zawsze muszę długo czekać, aż mi wrócv. Chodzenie powoduje u mnie silne bicie serca i potem muszę kaszleć i kichać, że bliska jestem śmierci.

Nie odpowiadając wziąłem karego za cugle: Czileka oparła się na moim ramieniu, i ruszyliśmy w drogę. Nie uszliśmy nawet trzydziestu kroków, gdy zaczęła dyszeć i sapać. Zatrzymała się i

oddychała głęboko.

- Widzisz, już się zaczyna. Muszę się mocniej wesprzeć na twoim ramieniu. Nie pędźmy tak.

Ruszyliśmy więc dalej w tempie o połowę wolniejszym od konduktu pogrzebowego. Kiedy dotarliśmy do miejsca, gdzie leżała pierwsza bułka, powiedziała:

- Tu leży franczela. Podnieś ją!

Uczyliłem ją. Niewielki kawałek dalej powiedziała znowu: - Tu leży druga franczela. Podnieś ją! - Ponownie spełniłem polecenie.

Niebawem musiałem dźwigać całe naręcze pieczywa, prowadzić konia, a na dodatek podpierać zasnęłą matronę. Kiedy uszliśmy jeszcze kawałek, zatrzymała się, wyciągnęła rękę spod mojej pachy, załamała rękę i wykrzyknęła:

- O Allah! Leży tutaj cały stos bułek maślanych! Ten muł musi mieć kielbie we łbie, że rozsypuje po ziemi to wyśmienite pieczywo! Podnieś je!

- Chętnie! Ale powiedz mi najpierw, gdzie mam to włożyć.

Nie mam już więcej miejsca.

- Wdź je do swojego kaftana!

- Allah! Czy nie widzisz, jakiego koloru jest mój płaszcz?

- Jest biały. Jest tak biały jak śnieg w górach. Przypuszczam, że jest nowy. 85

- W rzeczy samej. Kaftan jest nowy, i zapłaciłem za niego całe dwieście piastrow.

- To dobrze. Nie zniósłabym tego, gdyby moje bułeczki znalazły się w brudnym kaftanie.

- Allah obdarzył cię godnym pochwałą zamiłowaniem do czystości. Powinnaś mu być za to wdzięczna do końca życia, gdyż czystość jest najpiękniejszą ozdobą niewiasty. Ale powiem ci, że i ja cieszę się dokładnie tym samym darem bożym. Serce by mnie bolało, a duszę moją przepełniał smutek, gdybym musiał utłuścić sobie mój piękny, nowy płaszcz plamami z masła.

- Och, masło jest dobre! Taka plama na kaftanie to nie wstyd.

Masło to nie rybi tran ani koński łój.

- Ale nikt nie pozna po takich plamach, że pochodzą od two-jego masła!
- Panie, jesteś wytwornym człowiekiem; powinno ci być zupełnie obojętne, czy ludzie będą uważać plamy na twoim płaszczu za ślady po maśle czy tranie. Zdejmij go i wywróć na drugą stronę, .może wtedy w ogóle nie będzie ich widać.
- Czy nie wiesz, że nie wolno ściągać z siebie odzienia w obecności niewiasty?
- Och, jesteś moim przyjacielem, moim wybawcą, a pod kaptanem nosisz wszak jeszcze surdut i kamizelkę!
- Pomimo to nie chciałbym uchybić zasadom grzeczności i dobrym obyczajom. Pozwól, że włożę te produkty żywnościowe w końską derkę.
- Jest czysta?
- Tak. Trzepię ją codziennie.
- Muszę się przekonać. Trzepnij!

Pertraktacje te sprawiały mi niewymowną uciechę. Nie zdążyłem wyczyścić derki. Przytroczona była z tyłu za siodłem i wyka-zywała jeszcze wyraźne ślady kurzu, który osadził się na niej podczas wczorajszej jazdy. Odpiąłem derkę i rozwinąłem ją.

- Wytrzep derkę! - rozkazała nadobna Truskawka.

Spełniłem polecenie, wzbijając w górę widoczną chmurę kurzu.

Mimo to kobieta uznała:

- Zgadza się, jest czysta. Pozbieraj więc te bułki maślane i pochowaj do niej.

Utworzyłem z derki worek i powsadzałem do niego wszystkie bułki, które co chwila musiałem podnosić z ziemi. W ten sposób dotarliśmy do zarośli, gdzie uwiązany był muł. Na widok leżących na ziemi koszy załamała ręce i zawołała:

- O Allah! O Aisza! O Fatima! Ileż złego narobiło ta zwierzę!

86 i~osze na ziemi, a obok moje najlepsze ciastka! Jednak nie, nie ma tu wszystkiego. Sporo brakuje. Gdzie one są? Czileka spojrzała na mnie pytająco.

- Efendi, te rzeczy są bardzo słodkie w smaku i bardzo dobre!

- Wierzę.

- Lubisz słodkie?

- Czasami.

- Czy może zjadłeś to, czego tu brakuje?

- Nie.

- Powiedz mi prawdę! Nie będę się na ciebie gniewała, jeśli tylko zapłacisz!

- Nie zjadłem ich, nadobna Czileko.

- Gdzie się zatem podziały? Gdzie one leżą? Muszę się rozliczyć przed mężem z każdej sztuki!

- Powiadam ci, że nie zostały zjedzone.

- No więc co?

- Zeżarte! - roześmiałem się.

- Zeżarte? Przez kogo?

- Przez twojego muła.

- Co za nieszczęście, co za zuchwalstwo! Czy naprawdę sądzisz, że muł może zjeść ciastka?

- Przyłapałem go na tym.

- Widziałeś to na własne oczy?

- Na własne oczy - zapewniłem.

- A mnie nigdy nie dał poznać, że lubi słodkie! Co za obłudnik! Jaki świętoszek! Efendi, czy zechcesz mi wyświadczyć jedną przysługę?

- Tylko jedną? Czyż nie dowiodłem już, że chętnie ci służę pomocą?

- Tak, uczyniłeś wszystko, czego od ciebie chciałam. Teraz uczyn coś jeszcze! Weź swój pejcz i spierz to bydlę po łbie, aż mu uszy opadną!

- Nie zrobię tego - zaprotestowałem.
- Nie? Dlaczego?
- Bo byłoby to znęcanie się nad zwierzęciem.
- A co cię to obchodzi? Czy ten muł należy do ciebie?
- Nie - musiałem przyznać.
- Słusznie! Należy do mnie! A nad swoją własnością mogę się znęcać tyle, ile tylko mam ochotę. A więc bij!
- Wybacz, ale jednak tego nie zrobię. Czy powiedziałaś~ muło-wi, że nie wolna mu tego żreć?
- Nie.

- W takim razie popełniłaś wielki błąd. Zwierzę sądziło, że wolno mu zjeść słodczyce, ponieważ są własnością jego pani. Następnym razem przed jazdą nie omieszkaj mu tego wyjaśnić.

- Zrobię to od razu - odparła rozgniewana niewiasta - i mam nadzieję, że zrozumie moje słowa.

Wyciągnęła z kluczek u siodła swoją szpicrutę i podeszła z nią do muła, który spojrzał nieufnie na swą panią, poruszając przy tym z troskaniem uszami.

- Coś ty zrobił! - krzyknęła na niego. - Wiesz, czym jesteś?

Hultajem, wielkim hultajem! A to masz za karę!

Na łeb muła spadło soczyste uderzenie szpicrutą.

- Łakomczuch!

Czileka wymierzyła mu drugi cios.

- Podstępna bestia!

Trzecie uderzenie szpicrutą przeszło ze świstem powietrze. Muł, jednak przypuszczalnie nie otrzymał dobrego wychowania, a w dodatku zdawał się niezbyt cenić swoją panią. Wykonał nagły zwrot i wyrzucił w jej stronę tylne kopyta. Odbył się to tak szybko, że ledwo zdążyłem odciągnąć grubaskę na bok.

W jednej chwili przeszła jej cała złość. Teraz dygotała ze strachu.

- Efendi - wyjąkała trzęsąc się - co on zrobił? Chciał mnie kopnąć!

- Owszem.

- Nikczemnik! Niewdzięczne bydlę! Nie wiesz, czy mnie trafił?

- Nie sądzę. Boli cię gdzieś?

- Naturalnie! Całe moje ciało wydaje mi się jednym wielkim . siniakiem.
- Oj, to niedobrze! Tego rodzaju siniak trudno będzie wyle-czyć!
- No właśnie. A mimo to mam wrażenie, jakby kopyta mnie nie dosięgły. Nieprawdaż?
- Też odniosłem takie wrażenie.
- Allahowi niech będą dzięki! Gdyby muł trafił mnie w pierś, byłabym już trupem; albo w twarz! Mógłby mi wybić ząb, może nawet wszystkie. Nigdy więcej nie uderzę tego potwora!
- Słusznie uczynisz. Odradzałem ci to, ale nie posłuchałaś mo-jej rady.
- Bo muł jest moją własnością. Jak on w ogóle śmiał mnie za-atakować! - Ale chodźmy już! Nie mamy czasu do stracenia. Te-raz pozbierasz wszystko, co zostało, do koszy i poprawisz siodło. A potem ruszymy w drogę.



Posłuchałem~m również tego rozkazu, w głębi ducha jednak bardzo byłem ciekaw, jakim sposobem uda mi się ulokować ciężką kobie-tę w siodle. Niemało wysiłku kosztowało mnie już, gdy pomagałem jej wstać. Gdy umieściłem w koszach całe pieczywo, rozejrzała się bezradnie dokoła.

- Czego szukasz? - zapytałem.
- Schodów, małych schodów.
- Schodów? Skąd tutaj w szczerym polu miałyby się wziąć schody?
- Ale potrzebne mi są przecież do wsiadania!
- Oj, to niedobrze! Z tym to naprawdę większy kłopot!

Teraz z kolei ja popatrzyłem w krąg bezradnym wzrokiem.

- Tam - powiedziała Czileka - tam widzę jakiś pniak! Za-prowadź mnie do niego!

Z pewnym wysiłkiem udało mi się przetransportować grubą ko-bietę na pniak, a stamtąd na siadło. Biedny muł omal się nie zała-mał pod jej ciężarem, leez jakby wstąpiły w niego padwójne siły, gdy zorientował się, że droga wiedzie do domu. Już po krótkim czasie ujrzałem z daleka kilka rozproszonych na sporej przestrzeni budynków.

- Czy to Cznibaszly? - zapytałem.
- Nie, to dopiero Ma~łe Cznibaszly. Ale my mieszkamy tutaj
- odpowiedziała.

Przybyliśmy do wżaski i minęliśmy parę nędznych zabudowań, aż w końcu dotarliśmy do nieco większego domu, gdzie moja to-warzyszka skierowała muła na jego tyły. Znajdowało się tam kil-ka dołów, w które wpuszczono beczki. Owe beczki wypełnione były różnobarwnymi cieczami. Byliśmy zatem pod siedzibą farbiarza i piekarza Boszaka.

Amazonka wydała przeraźliwy okrzyk, który powtórzyła jeszcze parę razy. Wtedy otworzyły się drzwi małego, stojącego w pobliżu baraku z desek i zbliżyła się do~ nas jakaś męska postać o ptasiej twarzy. Całe odzienie tego człowieka składało się ze swego rodzaju spadenek kąpielowych. Ale nie

ta mnie zdumiało, lecz zabarwienie jego skóry. Ciała jego mieniło się wszystkimi kolorami od najmocniejszego adcienia ciemnego brązu po najbardziej krzyczący poma-rańczowy. A przy tym mężczyzna miał tak naturalną, poważną minę, jakby to malowidła było rzeczą samą przez się zrozumiałą. Zsiadłem z konia i z żywym zainteresowaniem oczekiwałem, co nastąpi.

- Sygyrezik, moje schodki! - rozkazała piekarka.

Sygyrczik znaczy szpak, tak się nazywał mężczyzna; zapewne było to jego przydomko. Hm, bywają ca prawda również kolorowe szpaki, o czym wie każdy znawca ptaków. Wezwany wkroczył z godnością przez tylne drzwi do budynku i rzeczywiście przyniósł rozkładaną drabinę z kilkoma stopniami, którą postawił obok muła. Amazonka zsiadła ze swojego wierzchowca.

- Co robi mój pan? - zapytała.
- Nie wiem - brzmiała odpowiedź.
- No, musi przecież coś robić!
- Nie.
- Budula - głupiec! Gdzie on jest?
- Nie wiem - odparł krótko pomocnik.
- Ale jest w domu?
- Nie.
- A więc wyszedł?
- Tak.
- Dlaczego nie powiedziałaś tego od razu? Odprowadź muła!

Mieniący się kolorami tęczy człowiek udzielał odpowiedzi z taką poważną miną, jakby chodziło o sprawy najwyższej wagi. Teraz chwycił muła za uzdę i chciał odejść.

- Najpierw wyładuj! - wrzasnęła na niego.

Pomocnik dał swojej pani znak, że zrozumiał, i zabrał się do zdejmowania koszy.

- Wejdz do domu, efendi! - zaprosiła mnie do środka.

Przywiązałem swego konia do wbitego w ziemię słupka i podążyłem za nią. W moje nozdrza

uderzył mocny zapach masła i gorącego roztwaru sody. Po lewej stronie spostrzegłem urządzenie, które skłony byłem uważać za piec piekarski, gdyż borsucza. jama nie mogła się wszak znajdować tutaj w domu. Po prawej była wejście do części mieszkalnej.

Kiedy weszliśmy do środka, stanąłem oko w oko z wykapany, jakkolwiek odmłodzony odbiciem mojej Truskawki. Nie mogłem wątpić, iż mam przed sobą jej córkę.

Dziewczyna była ubrana na bułgarską modłę, choć tylko w lekki strój domowy, nie miała tak pustych rysów twarzy i posiadała największy przymiot wschodniej kobiety, tuszę, niemal w takim samym stopniu jak jej matka. Stała przed kilkoma miskami z mlekiem i zamierzała właśnie wsadzić kałuż, trzymany w dwóch palcach wskazujących, do szeroko otwartych ust.

- Ikbała, co tutaj robisz? - spytała matka.
- Derisini czykarim - zbieram kożuch - odrzekła zapytana. 90
- Nereje - dokąd?
- Agys iczine - do ust.
- Ale te kożuchy powinnaś przecież dać na talerz albo do garnka, a nie do ust.
- Kiedy to takie smaczne!

W rzeczy samej, dziewczyna podała przekonujący powód. Zresztą matka uznała go całkowicie, poklepała ją czule po pełnym policzku i powiedziała pieszczotliwie:

- Oburczugum - moja łakomczuszka!

Owa korpulentna łakomczuszka obrzuciła z kolei mnie zdziwionym spojrzeniem. Matka udzieliła jej zatem niezbędnych wyjaśnień.

- Ten efendi odpacznie tutaj u nas.
- Dlaczego?
- Bo jest zmęczony.
- Więc niech się położy na zewnątrz w trawie. Jak możesz bez kwefu zadawać się z kimś obcym i przyprowadzać go do mnie, skoro wiesz, że nie noszę w domu kwefu?
- Och, on jest moim wybawcą.

- Byłaś w niebezpieczeństwie?
- W wielkim niebezpieczeństwie.

Teraz córka popatrzyła na mnie znacznie mniej surowo, a w końcu zwróciła się ponownie do matki:

- O tej porze nie mogłabyś być już z powrotem. Musiało ci się coś stać po drodze.
- Istotnie coś mi się przytrafiło.
- A co takiego? - zapytała ze zdziwieniem Ikbala.
- Nieszczęście. Nie pomyślałam wcześniej a tym, że dzisiaj jest jeden z pięćdziesięciu pechowych dni w roku, gdyż wtedy zosta-łabyxn w domu. Ledwo wyjechałam, może pół godziny byłam w drodze, gdy rozstała się przede mną ziemia...
- O Allah! - wykrzyknęła przerażona córka.
- W górę zaczął się unosić niebieski dym - ciągnęła Czileka.
- Wai - oj, oj!
- ...a z tego dymu wyłonił się duch, straszliwy duch, który wyciągnął ku mnie sto czterdzieści cztery ramiona...
- Niech Alalh ma cię w opiece! Nie brak na ziemi złych du-chów!
- W rzeczy samej, moje dziecko. Mój muł przeraził się tak sa-mo jak ja i uciekł, ile miał sił w nogach. Dobrze się przecież trzy-mam w siodle, lecz mimo to spadłam na ziemię.
- Ca za nieszczęs~cie! Czy muł uciekł?

- Nie. Nadjechał ten efendi, złapał muła i podniósł mnie z ziemi, po czym odprowadził do domu. - Gdzie twój ojciec?
- Poszedł do wioski.
- Co znowu go tam poniosło?
- Poszedł kupić rodzynki i migdały.
- Gzy powiedział, kiedy wróci?
- Powiedział, że nie zabawi długo.
- Usługuj więc temu efendi, póki nie wrócę. Muszę założyć inną szatę.

Czileka zamierzała już zniknąć w drugich drzwiach, lecz córka złapała ją za rękaw.

- Powiedz mi wpiery, co się stało z tym duchem.
- Nie mam czasu, zapytaj tego efendi, on ci opowie.

To mówiąc rezolutna niewiasta oddaliła się i pozostawiła mi do-kończenie swojej bajeczki o duchu.

Już po pierwszych słowach, jakie matka zamieniła z córką, usiadłem na jakiejś macie.

Młoda Truskawka, pozostawiona teraz ze mną sam na sain, wydawała się wyraźnie onieśmielona. Po chwili milczenia przemówiła:

- Jesteś głodny, efendi?
- Nie, dziecino.
- Ale spragniony?
- Jest ciepło. Czy zechciałabyś mi podać łyk wody, córo wszelkiego wdzięku?

Wtedy pochwyciła miskę z mlekiem, z którego swymi delikatnymi paluszkami ściągnęła kozuch, i podsunęła mi.

- Proszę, to krowie mleko! Jest świeże i będzie ci smakować.

A może walisz mleko kozie?

- Czy z koziego mleka też został już zdjęty kożuch?

- Tak, sama to zrobiłam.

- Więc daj mi wody! Mleko piję tylko wtedy, gdy jest jeszcze na nim kożuch.

Jędrna dziewczyna wyszła z pomieszczenia i przyniosła mi gliniany kubek pełen wody, która miała taki sam wygląd i zapach, jakby wyprano w niej stary kapciuch albo wymyło brudnego pudła.

- Skąd zaczerpnęłaś tej wody? - zapytałem nieufnie.

- Nabrałam jej z dzieży - brzmiała odpowiedź.

- Nie masz innej wody?

- Ależ tak, niedaleko domu mamy strumień.

- Czy nie mogłabyś mi przynieść wody ze strumienia?

- Mogłabym, efendi, ale pewnie jej nie wypijesz.

- Dlaczego?

rii.: . 92

- Pływają w niej żaby i rapuchy, takie wielkie jak nieźle spasiony jeź.

- Czy nie macie w pobliżu jakiejś studni?

- Mamy, ale są w niej salamandry, takie długie i grube jak węgorze.

- Oj, oj! W takim razie wolę nie pić.

- Mogłabym ci, efendi, przynieść dobrego moszczu.

- Naprawdę jest dobry?

- Jest tak słodki jak cukier i miód.

- Więc proszę, daj mi trochę!

Ikbala oddaliła się ponownie. Kiedy wróciła, podała mi połówkę~ wydrążanej dyni, w której znajdowała się jakaś ciecz o wyglądzie wręcz niebezpiecznym dla życia. Powąchawszy ją, utwierdziłem się~ w postanowieniu, żeby zachować maksymalną ostrożność.

- Z jakich owoców został wytłoczony ten moszcz? - zapytałem.

- Z owoców morwy, jarzębiny i z cytryn. Jest przyprawiony żółtymi grzybkami i dosłodzony syropem. Na pewno orzeźwi cię~ i wzmocni niczym rajski napój.

A więc owoce morwy, które same w sobie mają wstrętny smak, jarzębina stanowiąca pożywienie dla gili i innych ptaków, a w do-datku kwaśne cytryny! Daprawione to żółtymi grzybkami i dosło-dzone cukrem. Można się było domyślić smaku i wyobrazić sobie~ następstwa. Nieuniknioną konsekwencją musiało być rżnięcie w brzuchu lub coś podobnego. Ale naprawdę byłem spragniony i dlatego przytknąłem dynię do ust, zamknąłem oczy i pociągną-łem kilka łyków. Jednak dziewczyna prędko złapała mnie za ramię.

- Dur, dur - stój, stój! - zawołała. - Jalynys bir iczim, jalynys bir iczim - tylko jeden łyk, tylko jeden łyk!

- Dlaczego? - zapytałem.

Dopiero kiedy oderwałem naczynie od ust, poczułem ohydny smak zdradzieckiego napoju.

- Sanczi, dechszetli sanczi - rżnięcie w brzuchu, straszliwe rżnięcie w brzuchu! - wyznała Ikbala.

- Dlaczego zatem dałaś mi to do picia?

- Och, moszcz jest dobry. Ale wolna go wypić tylko jeden łyk.

Uważaj! Tak!

Ikbala wzięła ode mnie dynię i siorbiąc pociągnęła powoli dłu-gi łyk. Miała przy tym minę, jakby piła niebiański nektar. Ponie-waż jednak zawsze cieszyłem się dobrym zdrowiem i mój żołądek funkcjonował wysmienicie, zamach pięknej córki piekarza i far-biarza na moje życie nie pociągnął za sobą żadnych konsekwencji.





# Kiedy dziewczyna odstawiła dynię na ziemię, zbliżył się stary

9~

S

~trójbarwny kocur, który leżał do tej pory w jakimś kącie, przewornie umoczył najpierw w moszczu tylko wąsy, pokręcił z namiętności głową, ale w końcu zaczął pić, zrazu delikatnie i nieufnie

potem jednak z widocznym zadowoleniem.

- Isz, kedicigim - pij, kotku! - powiedziała piękna Pomaż-ka 3ř i pogłaskała zwierzę.
- Stój, stój! - zawołałem, i to tak głośno, że Ikbala ze strachu poderwała się w górę.
- Co się stało? Dlaczego tak krzyczysz? - zapytała.
- Nie pozwól swojemu ulubieńcowi pić tego moszczu!
- Dlaczego?
- Dostanie strasznych boleści, przed którymi mnie ostrzegałaś!
- O nie! Jest przyzwyczajony do moszczu.
- Ach, czyżby pijał ten moszcz częściej?
- Tak.
- Z tej dyni?
- Tak. Poprzednio pił tuż przed twoim przyjściem!

A więc to jeszcze! Najpierw pił „ulubieniec”, potem ja, a potem ~córka Truskawki. A w dodatku ta wzruszająca szczerłość, z jaką to powiedziała! O Ikbalo, jakże mało masz w sobie zachodnioeuro-

pejskiego poloru!

Powinienem był się rozgniewać, zamiast tego jednak, zaniechawszy wszelkich myśli o zemście, skierowałem rozmowę na te-mat, który z pewnością najmiłszy był jej sercu:

- Czy hadzi Ali, sahhaf, też czasem pije ten moszcz?

Ledwo wypowiedziałem to pytanie obojętnym tonem, Ikbala spojrzała na mnie, nie ukrywając zaskoczenia.

- Efendi, znasz sahhafa?

- Tak, znam go.

- Gdzie go poznałeś?

- W drodze z Koszikawak, kiedy jechałem tutaj, i to dzisiaj, ~przed mniej więcej dwiema godzinami.

- Czy Ali mówił o mnie?

- Owszem. Mam ci przekazać od niego pozdrowienia.

- Więc powiedział ci pewnie, że mnie kocha?

- Ali wyjawiał mi to i dodał, że ty także go kochasz.

- Tak, to prawda. Kochamy się z całego serca. Z mojego powodu Ali wrócił z Arabii.

- A mimo to nie wolna mu z tobą rozmawiać.

- Niestety! Ojciec sobie tego nie życzy.

8ř Bułgarka mahometańskiego wyznania (przyp, red.)

- Ale twoja matka jest duchem opiekuńczym, który nad wami~. czuwa.
- Och tak! Gdyby nie ona, nasza udręka byłaby tak wielka jak. najwyższy minaret w całym królestwie władcy wszystkich wier-nych.
- Może twój ojciec zacznie jeszcze patrzeć na Alego łaskawszym: okiem - powiedziałem.
- O nie! Mosklan do te~go nie dopuści.
- Kim jest ów Mosklan? - udałem naiwnego.
- Handluje końmi, a poza tym robi jeszcze różne inne rzeczy.

Al,e ty go przecież nie znasz. Ojciec chce mnie zmusić, żebym wy-szła za niego za mąż.

- Czy ten człowiek nie używa jeszcze innych nazwisk? - za-pytałem. Ikbala zwlekała z odpowiedzią.
- Możesz być ze mną szczerą; naprawdę dobrze ci życzę - po-wiedziałem.
- Nie, Mosklan nie używa żadnego innego nazwiska - oświad-czyła.
- Mówisz to ze strachu przed nim i przed swoim ojcem!
- O nie! Nic nie wiem o innych nazwiskach.
- A nie widziałaś kiedyś mężczyzny, który nazywa się Pimosa. i pochodzi z Lo~paticy?

Dziewczyna zmieszała się i jękając się zapytała:

- Gdzie miałabym go widzieć?
- Tutaj, u was, w tym domu.
- Nie. Mylisz się, efendi.
- W takim razie się pomyliłem; to niedobrze dla ciebie.
- Niedobrze? Dlaczego?

- Gdybyś wiedziała, kim jest ten Pimosa i czym się zajmuje, to, mógłbym nakłonić twojego ajca, żeby cię oddał za żonę hadži Alemu.

- Jakim sposobem miałbyś tego dokonać?

- Cóż, powiem ci, że przybyłem tutaj, żeby cię zobaczyć. Po-standziłem bawiem, jeśli mi się spodobaś, pojechać do Alego, żeby przyprowadzić go twojemu ojcu jako zięcia.

- To niemożliwe! - stwierdziła z żalem dziewczyna.

- Przeciwnie! To nawet bardzo możliwe.

- Jak miałbyś tego dokonać?

- Teraz nie mogę ci tego zdradzić, bo nie jesteś ze mną szcze-ra. Zamierzałem zmusić twojego ojca, by jeszcze dziś dał zgodę~ na wasze małżeństwo. Jeszcze dziś, rozumiesz?

- I sądzisz, że mój ojciec by ją dał?

- Tak, z całą pewnością. Ale ty mi nie ufasz, i dlatego jestem ‘. tutaj zbędny. Za chwilę wyruszę z powrotem w drogę. Chciałem się podnieść z miejsca, lecz Ikbala natychmiast znalazła się przy mnie i powstrzymała mnie.

- Efendi, nie adchodź! Kim jesteś, że wydaje ci się, że masz taką władzę nad moim ojcem?

‘ - Jestem efendim z Zachodu. Pozostaję pod pieczęcią samego pa-  
dyszacha i jeśli zechcę, mogę zmusić twojego ojca, żeby pogodził !  
się z uczuciem łączącym ciebie i Alega. Nie mam już jednak cza-  
su; muszę jechać!

- Zostań jeszcze! Będę z tobą szczerą.

- Mądrze postępuj. Chodzi o twoje dobro. A więc powiedz mi, ..

~czy znasz tego Pimosę.

- Tak, znam go. Wybacz, że przedtem mówiłam inaczej.

- Wybaczam ci. Wiem, że musiałaś zaprzeczyć ze względu na swego ojca.

- A czy możesz mi też obiecać, że nie zaszkodzisz mojemu ~jcu?

- Tak, obiecuję ta! - oświadczyłem. - Teraz jednak powiedz ani, kim jest Pimosa!

- On nie nazywa się Pimosa, tylko czasami używa tego nazwi- ‘ ska. To właśnie ów Mosklan, którego żaną mam zostać.

- Wiedziałem o tym wcześniej. A czym jeszcze zajmuje się oprócz handlu końmi?

- Jest przemytnikiem, a także posłańcem Szuta.

- Czy Szut posyłał go już też do twojego ojca?

- Tak, efendi.

- W jakiej sprawie?
- Tego nie wiem.
- Twój ojciec jest przemytnikiem?
- Nie.
- Powiedz prawdę!
- Nie jest przemytnikiem. Ale szmuglerzy przychodzą do niego ‘ a potem... Ikbala znowu się zacięła.
- No? I potem...?
- ... i potem ojciec ma zawsze bardzo dużo towarów.
- Gdzie? Tutaj w domu? ;:
- Nie, tylko za wioską, w polach.
- W którym miejscu?

łf „ ~,

- Nie wolno mi tego powiedzieć. Matka i ja musiałyśmy przy-siąc, że nie zdradzimy niczego.
- Wcale nie musisz tego czynić, gdyż znam to miejsce równie dokładnie jak ty.
- To niemożliwe, efendi. Jesteś tu przecież obcy!
- A mimo to znam to miejsce. To wyrwa w ziemi w kępie cierniowych zarośli.

Wtedy Ikbala ze zdumienia załamała ręce i zawołała:

- Na Allaha! Naprawdę wiesz!
- Widzisz! Akurat dzisiaj jest tam wiele towarów.
- Widziałeś je?
- Owszem. Same dywany - uśmiechnąłem się.

- Naprawdę, naprawdę, wiesz o wszystkim! Kto zdradził ci to miejsce?
- Nikt! Skąd są te dywany?
- Przypłynęły statkiem przez morze. Zostały wyładowane w Makri, a stamtąd nasze zwierzęta juczne przeniosły je do Gu-murczyny i dalej do nas.
- A jakie jest ich miejsce przeznaczenia?
- Mają trafić do Sofii, a stamtąd jeszcze dalej; nie wiem, dokąd.
- Czy Szut bierze udział w tym przemyśle?
- Nie. Głównym przywódcą jest pewien silahczy z Ismilanu.
- Ach tak! Ten człowiek ma również kahwehane?
- Tak - przyznała piękna Pomażka, wytrzeszczając na mnie
- Mieszka w uliczce, która wiedzie do wioski Czatak?
- Efendi, znasz i jego?
- Słyszałem o nim. Czy znane ci jest jego nazwisko?
- Nazywa się Deselim.
- Czy bywał niekiedy u was? - dociekałem dalej.
- Bardzo często! Przyjedzie też dzisiaj albo jutro.
- Pewnie w sprawie dywanów, które leżą tam w polach?
- Tak, trzeba je stamtąd zabrać.
- Czy Deselim przyprowdzi ze sobą ludzi?
- Kilku; inni mieszkają tutaj w pobliżu.
- W Cz nibaszly?
- Tutaj i w sąsiednich miejscowościach.
- Kto ich zwołuje?
- Mój ojciec.
- Chyba nie osobiście?



- Nie, tylko wysła naszego ezelandnika, który zna wszystkich zaufanych. 7 W wawozach Baikanów 97

- To ten człowiek, który pomaga twojej matce zsiadać z muła? ~'

- Tak. Ma na twarzy wszystkie kalory. To bardzo przebiegły p... i odważny człowiek. - Ale słyszysz? Ktoś nadchod~zi! Na zewnątrz przed wejściem rozległo się osobliwe sapanie i po- „, stękiwanie.

- A puff! A puff! - dobiegło zza drzwi.

- To mój ojciec - wyszeptała Ikbala. - Nie zdradź się przed :.'~: nim, że rozmawiałam z tobą!

W następnej chwili zniknęła w bocznym pomieszczeniu, do któ- ' . rego weszła poprzednio jej matka.

# V. WŚRÓD PRZEMYTNIKÓW

Zostałem więc w pokoju sam, nie licząc kocura, który wycofał się z powrotem do swojego kąta. Nie było mi to na rękę, ale nie dało się już zmienić. Usłyszałem kilka ciężkich człapnięć, do tego r jeszcze kilka „A puff”, po czym do środka wkroczył pan domu. Mało się n.ie przestraszyłem, kiedy go ujrzałem. Był prawie tak ‘ gruby jak wysoki i formalnie musiał się przeciskać przez otwór : drzwiowy. Nosił się na modłę bułgarską. Miał wełniane spodnie, „. wełnianą tunikę i krótki wełniany płaszcz z rękawami, gdy tym-czasem Turcy noszą zwykle w lecie lekkie, fałdziste szaty, płó-cienne lub bawełniane. Nogi piekarza zgodnie z bułgarskim zwy-ś czajem okręcone były grubymi owijaczami, które zasłaniały także . stopy. Starobułgarzy i Pomacy nie uznawali innego obuwia. Strój ten deformował piekarza jeszcze bardziej. Krótki płaszcz, „. owinięte nogi, szeroki prawie na pół metra pas, który otaczał jego ‘ brzuch, czyniły go jeszcze bardziej grubym i nieforemnym, niż był ‘ : w istocie. Do tego Boszak miał wygoloną głowę. Tylko u góry na „: środku czaszki pozostawiony był długi kasmyk włosów, który sple-ciony w dwa warkoczyki, zwisał ż tyłu głowy. Fezu nie nosił, lecz zamiast niego nasuniętą na kark krymkę. W rękę trzymał związa-ną w węzły chustkę, w której znajdowało się kilka papierowych torebek.

Gdyby mnie ktoś zapytał, jaki kolor miał jego strój, nie potra-fiłbym adpowiedzieć. Pierwotnie w każdym razie był tam jakiś : kolar podstawowy. Jednakże na ten kolor nałożyły się warstwy ; wszystkich możliwych barw, tak że właściwie nie sposób było roz-98 poznać koloru podłoża. Widać było tylko, iż mężczyzna po prostu wycierał palce w ubranie, choćby były powalane surowym ciastem przy pieczeniu czy farbą podczas farbowania. Jega dłonie wyglą-dały tak, jakby utłukł na miałko pudełko farb, utarł proszek z ale-jem i tym wymalawał sobie palce. Reszty rąk nie mogłem widzieć; przypuszczalnie podobne były do rąk jego nadobnej Truskawki, u której powłokę z farby wzięłem w pierwszej chwili za rękawi-czki.

A teraz wreszcie twarz! Była jedyna w swoim rodzaju. Najwi-doczniej Boszak miał dwa, a może nawet trzy przyzwyczajenia, które nie znosiły się za bardzo z jego zajęciem: zażywał tabaki, lubił przecierać oczy i zapewne chętnie drapał się za uszami, gdyż zarówno nos, jak i okolice oczu i uszu wydawały się natarte atra-mentem, musem śliwkowym, sokiem malinowym, żółtkiem i roz-drobnioną kredą.

Kiedy wschodnia piękność maluje rzęsy czarną szminką, to na-daje w ten sposób swemu spojrzeniu osobiwą, zastanawiającą ostrość. Piekarz zdawał się uważać, że on również zyska na urodzie dzięki nałożeniu warstwy czarnej farby. Przypuszczalnie z tego właśnie powodu - chyba że z lenistwa? - od dłuższego czasu za-niechał obrażania swojej twarzy wodą. Coś takiego na Zachodzie nie mogłoby się chyba zdarzyć. Policja byłaby zmuszona interwe-niować, ponieważ taki cz.łowiek budziłby publiczne zgorszenie! To było doprawdy zabawne, z jakim zdumieniem Boszak przy-glądał się mnie, jak gdyby nigdy nic siedzącemu sobie spokojnie dalej. Jega czoło zmarszczyło się, usta rozwarły szeroko, a uszy zdawały się uciekać do tyłu.

- Do stu piorunów!

Nie więcej grubas nie zdołał wykrztusić. Musiał głęboka odsap-nać, czy to z braku powietrza, czy ze zdumienia, nie wiem.

- Sabahynys chajir ola - dzień d~obry! - pozdrowiłem go, pawoli wstając.

- Ne istersin burada? Ne arasin burada? - ezego tutaj chcesz?

Czego tutaj szukasz? - wybuchnął grubas.

- Seni - ciebie - odparłem krótko.

- Beni-mi - mnie? - zapytał z niedowierzaniem.

- Ewwet, seni - tak, ciebie.

- Bierzesz mnie za kogoś innego!

- Nie s~dzę. Ciebie poznać od razu. ‘

Boszak zdawał się nie wyczuw~ć obrazy, jaka zawarta była w tych ostatnich słowach. Wciąż jeszcze wąpiącym tonem zapytał:

- Z kim chciałeś rozmawiać?

- Z pewnym bojaczi, który jest równocześnie ekmekczi i zwa-ny bywa Boszak.
- W istocie to ja.
- Widzisz zatem, że się nie myłę!
- Ale powiedziałeś, że rozpoznałeś mnie natychmiast! Widzia-łeś mnie już wcześniej?
- Nie. .
- W takim razie jak mogłeś mnie rozpoznać?
- Po oznakach godności twego stanu wypisanych na twojej twarzy.

Również właściwego sensu tych słów farbiarz nie zrozumiał, gdyż rozciągnął ową kolorowo poznaczoną twarz w szeroki przychylny, trśmiech.

- Jesteś bardzo uprzejmym człowiekiem, a poza tym masz ra-cję. Mój stan jest bardzo ważny. Bez nas ludzie pomarliby z gło-du, i nie kto inny jak my nadajemy dopiero strojom piękność. Co cię do mnie sprowadza?
- Chciałbym z tobą pomówić o pewnym interesie.
- Jesteś może handlarzem mąką?
- Nie.
- A może handlarzem farbami?
- Też nie. Mam na myśli zupełnie inny interes.
- W takim razie przedstaw go bliżej!
- Dobrze, ale najpierw poczuj się wygodnie. Zdejmij swój płaszcz i przysiądź się do mnie!
- Tak też uczynię. Poczekaj tutaj chwilkę!

Boszak wyszedł przez te same drzwi, w których zniknęły jego żona i córka. W każdym razie musiały tam być dwa pomieszczenia jedno za drugim, i z rozbrzmiewających głucho dźwięków trzech głosów wywnioskowałem, że wymienieni znajdują się w ostatnim :! pomieszczeniu. Po powrocie grubas

stał przede mną i rzekł:

- Burada-im. Isztihanis warmy? - Oto jestem. Masz ochotę ‘ coś zjeść?
- Nie - odpowiedziałem, mając w pamięci ślady ulepionych ;.. ciastem palców, które wycierał w spodnie.
- A może napić się czegoś?
- Nie, dziękuję!
- Cóż, w takim razie przejdźmy do naszego interesu.

Nie da się wprost opisać, w jaki sposób piekarzowi pośród wielu :

westchnień udało się zająć miejsce naprzeciwko mnie na podłodze. ::

Kiedy z wielką biedą uporał się z tym ćwiczeniem gimnastycznym, ‘;

100 ułożył czoło w poważne, władcze zmarszczki i klasnął głośno w tłu-ste dłonie.

Mało nie roześmiałem mu się w twarz, widząc, jak pragnie sobie nadać wygląd dostojnego pana, który zwykł rozkazywać. Kłaśnięcie zaś zostało usłyszane, gdyż pojawił się pomocnik z farbiarni, którego Ikbala nazwała przebiegłym, odważnym człowiekiem. Z pewnością kiedy znajdował się za domem, został przez okno poinstruowany, jak się ma zachować. Skrzyżowawszy ręce na pier-si złożył ukłon, spoglądając na swego pana i mistrza wzrokiem wyrażającym pokorę i oczekiwanie.

- Lulemi getir - przynieś fajkę! - rozkazał grubas tonem paszy z trzema końskimi ogonami.

Niewolnik po chwili spełnił polecenie. Przyniósł fajkę, która wyglądała tak, jakby już od dłuższego czasu leżała w szlamie ja-kiegoś stawu z karpami. Sługa oddalił się, pan sięgnął do pasa i nabrał z kapciucha garść tytoniu, który wsadził do główki fajki.

Następnie zapytał mnie:

- Sen tiitun iczermisin - palisz tytoń?
- Ewwet - tak - adpowiedziałem.

Obawiałem się już, że Boszak każe przynieść dla mnie podobną fajkę i nabije ją z tego samego kapciucha, przeżyłem jednak przyjemne rozczarowanie, kiedy zadał następne pytanie:

- Onun iczun kibrit warmy sende - czy masz zapalki?
- Nie masz hubki? - zdziwiłem się.

Przy tym pytaniu Boszak zrobił bowiem osobliwie przebiegłą lub raczej naiwnie chytrą minę. W owej okolicy nie wszędzie można dostać zapalki; można przeszukać wiele wiosek i nie znaleźć ani jednej. Kto ma je przy sobie, jest człowiekiem, którego na coś stać. Piekarz z pewnością chciał się przekonać, czy należę do tych uprzywilejowanych. Dlatego właśnie odpowiedziałem mu w ten sposób.

- Musiałbym znowu wstawać - rzekł. - A widzę po tobie, że masz przy sobie kibrit.
- Po czym, jak sądzisz, to poznać?
- Po twoim odzieniu. Jesteś bogaty.

Gdyby powiedział: „Jesteś schludniejszy od mnie”, miałby rację. Sięgnąłem do pasa, wyciągnąłem pudełko zapalek woskowych i podałem mu jedną. Przyglądał się jej ze zdziwieniem.

- To przecież nie jest z drewna?
- Nie. Nie lubię zapalek zrobionych z odun 31.

M drewno

101

- To przecież wosk?
- Tak. Zgadłeś.
- A w środku jest knot?
- Oczywiście.
- Adszaib, czok adszaib - zadziwiająca, w najwyższym stopniu zadziwiająca! Świeca do podpalania tytoniu! Nigdy jeszcze tego ‘ nie widziałem. Czy nie zechciałbyś mi od razu

podarować całej paczuszki?

Trudno uwierzyć, jakie wrażenie robi często taka drobnostka.

Postanowiłem wykorzystać okazję.

- Te świece do zapalania mają dla mnie dużą wartość - od-parłem. - Być może podaruję ci je, jeśli będę zadowolony z na-szej rozmowy.

- Zaczynamy więc. Wcześniej jednak podpalę sobie fajkę.

Kiedy to nastąpiło, poczułem, że piekarz pali całkiem niezły ga-tunek tytoniu.

- Tak, teraz możemy rozanawiać - oznajmił. - Najpierw po-wiesz mi, kim jesteś.

- Rzecz jasna musisz wiedzieć, z kim rozmawiasz. Może jednak będzie lepiej, jeśli później wyjawię ci swoje nazwisko.

--~ Dlaczego?

- Interes, który pragnę z tobą omówić, nie jest zwyczajnym interesem. Wymagane są do tego spryt i dyskrecja, a nie wiem jeszcze, czy posiadasz obydwie te dary.

- Ach, domyślam się już, czym jesteś.

- Tak, czym więc jestem?

- Uprawiasz potajemny handel - uśmiechnął się Boszak, mru-gając do mnie chytrze.

- Hm! Może niezupełnie rozminąłeś się z prawdą. Mam do sprzedania towar, który jest bardzo drogi, a mimo to chcę się go pozbyć po bardzo niskiej cenie.

- Co to za towar? - zapytał grubas i pochylił się ku mnie.

- Dywany.

- Ach, dywany! One zawsze mają łatwy zbył. Ale jakie to dy-wany?

- Autentyczne dywany smyrneńskie.

- Allah! Ile?

- Około stu.

- Jak chcesz je sprzedać?

- Hurtem. Życzę sobie trzydzieści piastrów za ka'zdą sztukę.

Na te słowa Boszak wyjął z ust fajkę, położył ją obok siebie na podłazie i splótł dłonie.



- Trzydzieści piastrow? Naprawde trzydzieści?
- Nie wiecej.
- Autentyczne dywany smyrneńskie?
- Z całą pewnością!
- Mażna je obejrzeć?
- Naturalnie kupujący musi je najpierw obejrzeć!
- Gdzie je masz?
- Naprawde sądzisz, że to zdradzę, zanim się dawiem, czy ku-piec jest pewnym człowiekiem?
- Jesteś bardzo ostrożny. Powiedz mi przynajmniej, czy miej-sce, gdzie je złożyłeś, jest daleko stąd.
- Niezbyt daleko.
- I powiedz mi też, dlaczego zwracasz się akurat do mnie?
- Jesteś farbiarzem, a więc znawcą, i będziesz mógł ocenić, czy towar rzeczywiście jest autentyczny, gdy chodzi o farby.
- To prawda - przyznał połaskotany tym pochlebstwem.
- I dlatego przyszedłem do ciebie! Nie liczyłem się z tym, że sam kupisz te dywany, lecz sądziłem, że może znasz kogoś, kto byłby gotów ubić ze mną tak korzystny interes.
- W takim razie nie omyliłeś się w swych przypuszczeniach.
- Znasz zatem takiego kupca?
- Znam takiego - podkreślił Boszak, mrugając oczami.
- Który w dodatku może zapłacić gotówką? Kto ta jest?
- Pewien płatnerz.
- Oj, to niedobrze! Nie sądzę, żeby jakiś płatnerz kupił tak wielką ilość dywanów.
- Ten, którego mam na myśZi, kupi. Jest zarazem właścicielem kawiarni i potrafi rozprowadzić

towar wśród ludzi.

- Gdzie mieszka?

- W Ismilanie.

- To niedobrze się składa; do Ismilanu jest daleko.

- Nie szkodzi. Dziś albo jutro przybędzie do mnie.

- Do jutra nie mogę czekać.

- Dlaczego?

- Możesz się domyślać.

- Z jakiego powodu?

- Jeśli tak drogi towar sprzedaję tak tanio, musi być jakiś po-WÓd.

- Hm! Zapewne - przyznał gruby piekarz.

- Muszę go czym prędzej sprzedać, bo inaczej łatwo może mi przepaść.

- Czy ktoś jest na twoim tropie?

1d3

Mówiąc to Boszak przymknął oczy, mrugnął do mnie znacząco i wykonał rękami gest chwytania, zatrzymywania.

- Nie, nic z tych rzeczy - oświadczyłem. - Do tej pory nikt nie domyśla się nawet, jakie mam zamiary. Ale towar leży w miej-scu bardzo niepewnym.

- Więc zabierz go stamtąd!

- Niech zrobi to kupujący.

- Czyżby człowiek, u którego umieściłeś swój towar, nie był godny zaufania?

- Nie trzymam go u żadnego człowieka.

- Nie? Więc gdzie?

- Pod gołym niebem.

- Allah! Jak na to wpadłeś?
- Nie ja na to wpadłem, lecz inni.
- Ale ty wyraziłeś na to swoją zgodę?
- Też nie. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby tak wartościowe przedmioty przechowywać bez żadnego zabezpieczenia.
- Więc nie rozumiem cię.
- Wyjaśnię ci to w zaufaniu. Robisz na mnie wrażenie człowieka, który nie wyda drugiego.
- Nie, nigdy tego nie czynię! - zapewnił Boszak, kładąc rękę na sercu.
- Dobrze. Wierzę ci. Przyznasz, że trzydzieści piastrów to bardzo mało?
- Hm! Tera~z jeszcze nie mogę tego powiedzieć, nie widziałem dywanów.
- Mówię ci, że cena jest bardzo niska. Nikt inny nie sprzedaje tak tanio.
- Ty z pewnością nabyłeś je jeszcze taniej?
- W rzeczy samej - potwierdziłem.
- Ile dałeś?
- Posłuchaj, ta pytanie jest niezbyt mądre. Żaden handlarz ci nie powie, ile w rzeczywistości zarabia. Ale, jak wspomniałem, z tobą będę szczery...
- No więc, ile na tym zyskujesz?
- Trzydzieści piastrów, tylko trzydzieści piastrów.

Farbiarz spojrział na mnie nie rozumiejącym wzrokiem.

- Na całym towarze?
- Jak rno~głeś tak pomyśleć? Nie będę przecież taki głupi, by ‘ zadowolić się tak małą sumą! Nie, zarabiam tyle na każdym dy-wanie.

- To przecież zgoła niemożliwe. Sprzedajesz po trzydzieści piastrów od sztuki i zarabiasz na każdej właśnie tyle?
- Dokładnie tak.
- W takim razie ktoś musiał ci podarować ten towar.
- Nikt tego nie robi.
- W takim razie mój rozum nie potrafi tego ogarnąć!
- Nie przejmuj się tym. Za to mój ogarnia tym więcej. Nie kupiłem dywanów ani nie dostałem ich w prezencie. Znalazłem je!
- Znalazłeś? - wydusił. - Ale gdzie?
- Tutaj, całkiem niedaleko.

Boszak wystraszył się mocno. Parę razy przełknął ślinę. Widać było; ile wysiłku kosztuje go następne pytanie:

- Tutaj niedaleko? Efendi, czy to możliwe? ~”
- Z pewnością. Przecież o tym mówię.
- Czy mogę się dowiedzieć, co to za miejsce?
- Znasz drogę do Koszikawak?
- Ma się rozumieć, że znam.
- Prowadzi ona obok kępy krzaków. Kiedy się je minie i skręci trochę na prawo, dotrzeć można do obniżenia terenu, które wydaje się zupełnie niedostępne, gdyż otoczone jest gęstymi zaroślami cierniowymi. Tam leżą dywany.

Grubas wydawał się zamienić w słup soli. Nie wykonywał żadnych ruchów, tylko jego pierś gwałtownie wznosiła się i opadała. Oddychał z trudnością. W końcu wydusił z siebie niemal chrapliwym głosem:

- Efendi, to prawie cud!

- Owszem, trudno przecież sądzić, że pod gołym niebem znaleźć można ot, tak sobie skład drogich dywanów. Ale tutaj rzadko pada deszcz. Akurat teraz jest sucha pora roku i towar nie powinien ucierpieć od niepogody.

- Ale od ludzi!

- Dlaczego?

- Ktoś łatwo może go odkryć!

- O nie. Wy tutaj jesteście jak dzieci. Dzisiaj robicie tylko to, co robiliście wczoraj i jeszcze wcześniej. Dzisiaj nie chcecie wiedzieć nic więcej ponad to, co wiedzieliście już wczoraj. Zagłębienie zawsze uchodziło za niedostępne, tak więc raczej nikomu nie przyjdzie do głowy sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest. Kolce kłują boleśnie.

- A jak ty dostałeś się do środka?

- Konno. Wiesz, że nie zawsze można utrzymać zwierzę w ry-

105 zach. Takie stworzenie czasem też ponosi i wtedy lądujesz nagle w samym środku ciernistych zarośli.

- Musibet - psiakrew! - wyrwało się farbiarzawi.

- Ca? - zapytałem udając zdziwienie. - Złościsz się, że dokonałem tego odkrycia?

- Nie, bynajmniej! Pomyślałem tylko, jakie to musi być nie-‘ miie dla kogoś, do kogo należą te rzeczy.

- Powinien był je lepiej ukryć.

- Ale, efendi, skąd przyszło ci do głowy, żeby te dywany sprzedać?

- Czyż nie jest to najkorzystniejsze, co mogę zrobić?

- Dla ciebie tak. Ale - czy one naprawdę należą do ciebie?

- Oczywiście. Znalazłem je.

- To jeszcze nie powód, żeby uważać je za swoją własność. Musisz je ~zostawić właścicielowi.

- Więc niech się zgłosi. Nie sądzę, żeby to uczynił.

- Właściciel je stamtąd zabierze.
- On albo ktoś inny. Jakże łatwo może się dabrać do nich ktoś, kto okaże się mądrzejszy ode mnie! Nie, sprzedam je. Boszak doszedł już do siebie po chwilowym strachu i dał się z wolna ponieść oburzeniu.
- Radzę ci, żebyś tego nie robił! - napomniiał mnie. - Prawowity właściciel zadba już o to, żeby nie stracić swego towaru. Stałbyś się złodziejem, a na takiego mi nie wyglądasz.
- Nie wyglądam? Hm! Możliwe, że masz rację. Wypowiedziałeś to słowo we właściwym momencie. Z całą pewnością nie chcę stać się złodziejem.
- A więc zostawisz dywany tam, gdzie leżą?
- Tak.
- Obiecujesz mi to?
- Dlaczego tobie? Czyżby należały do ciebie?
- Nie, ale nie chciałbym, żebyś obciążył swoje sumienie przestępstwem.
- Jesteś zacnym człowiekiem. Naprawdę życzysz mi dobrze!
- Owszem. A zatem daj mi obietnicę, że nie ruszysz tych dywanów!
- Dobrze! Spełnię twoje życzenie! Przyrzekam!

Farbiarz odetchnął z ulgą i sięgnął z powrotem po swój czubuk.

- Chwała Allahowi! Wyrwałem cię z drogi grzechu. Zgasła mi przy tym fajka. Podaruj mi jeszcze jedną ze swych zapalek wo-skowych!

,1'~,~i';-'.[:':.:; . - Proszę! Cieszę się, że nie pozwoliłeś mi opuścić ścieżki cnoty.

Pskusa była wielka. Teraz zadbamy o~ to, żeby nie uległ jej przy-padkiem ktoś inny.

- Jak zamierzasz tego dokonać?
- Zamelduję o tym znalezisku.
- Allah! Komu?
- Władzom.

Fiekarz czym prędzej odłożył z powrotem zapaloną fajkę i w ge-ście protestu uniósł do góry dłoń.

- To wcale nie jest konieczne!
- Ależ tak! Pójdę zaraz do kjai, żeby położył na dywanach areszt.
- Co ci przyszło do głowy? Ich właściciel wkrótce je zabierze.
- Nie może to zmienić mojej decyzji. Złożenie doniesienia jest moim obowiązkiem.
- Bynajmniej! Cała ta sprawa nie powinna cię nic obchodzić!
- Przeciwnie, bardzo mnie obchodzi. Kto odkryje jakieś prze-stępstwo, powinien o tym zawiadomić władze.
- Jakim sposobem miałyby tutaj chodzić o przestępstwo?
- Uczciwy człowiek nie ukrywa swojej własności w polach; nie ma co do tego wątpliwości. A poza tym domyślam się, dla kogo przeznaczone są te dywany.
- Będziesz w błędzie!
- O nie, jestem całkowicie pewny swego.
- Więc kto miałby nim być?
- Ten sam człowiek, którego zapropono~wałeś mi poprzednio jako kupca.
- Masz na myśli płatnerza?
- Oczywiście.

- Och, on z pewnością nie ma nic wspólnego z całą tą sprawą.

Czyżbyś go znał?

- Nie, jeszcze go nie spotkałem.

- Więc jak możesz rzucać na niego takie podejrzenie! Nie wymieniłem ci nawet jego nazwiska.

- Znam je. Nazywa się Deselim.

- Deselim? Nie jego miałem na myśli. Nie znam nikogo o takim nazwisku.

- Zatem nie znasz też pewnie człowieka, który nazywa się Pimosa?

- Pimosa? Och, jego znam:

- Skąd on pochodzi?

- Jest Serbem z Lopaticy nad Ibarem. Gdzie go poznałeś?

- Opowiem ci o tym później. Czy niekiedy cię odwiedza?



- Owszem.

- Czy był u ciebie ostatnimi czasy?

- Nie.

- A wiesz, gdzie był?

- Nie.

- Hm! Czy nie byłeś ostatnio w Mandrze i w Bolczybak?

Jego rysy z miejsca przybrały zupełnie inny wyraz niż poprzednio. Była to teraz twarz starego lisa. Ten grubas naprawdę był niebezpiecznym człowiekiem. W jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- Wyznam ci prawdę: byłem tam i Pimosa też - oświadczył Boszak.

Spojrzenie, jakim mnie przy tym obrzucił, było spojrzeniem zwycięzcy. Ja jednak obojętnym gestem położyłem mu rękę na ramieniu i roześmiałem się.

- Nieźle to zabiłeś, Boszak, stary spryciarzu!

- Nieźle? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Odgadłeś, że rozmawiałem z Pimosą?

- Mogłem się domyślić.

- Tyle że mało sprytnie zabrałeś się do rzeczy. Nie powinieneś się do tego przyznawać.

- Prawdę zawsze mogę powiedzieć.

- Niech i tak będzie! Poza tym odgadłeś, że Pimosa powiedział mi, iż był w Mandrze i w Bolczybak, więc natychmiast poświadczyłeś wszystko. Co jednak, jeśli ci dawiadę, że w ogóle stąd nie wyjeżdżałeś?

- Nie możesz tego dowieść.

- Wystarczy, że popytam tutaj ludzi. Na pewno cię widzieli i wiedzą, że nie wyjeżdżałeś. Ale nie uczynię tego; nie zadam sobie tego trudu. Pojadę do wioski Palaca; tam dowiem się, kim naprawdę jest ten Pimosa.

Odniosłem wrażenie, jakby grubas zbladł pod warstwą farby, która pokrywała jego twarz.

- Również tam nie dowiesz się niczego innego jak to; co ci powiedziałem - odparł możliwie najbardziej przekonującym tonem.

- Och, handlarz końmi Mosklan na pewno udzieli mi lepszych informacji. Widzę, że moja wizyta u ciebie dobiegła końca. Udam się teraz do kjai.

To mówiąc wstałem. Grubas uczynił to samo, i to tak szybko, że pewnie tylko strach mógł nadać tę niezwykłą prędkość jego ruchom.

~' :: ,N-' ::

- Efendi, nie odejdziesz pierwej; nim się dogadamy!

- Dogadamy? W jakiej sprawie?
- W sprawie dywanów.
- I w sprawie Szuta, nieprawdaż?
- Allah iszkyna - na Allaha! Dlaczego mówisz o Szucie?
- Dlaczego wpadasz w panikę, kiedy o nim mówię?. Dlaczego powiadasz, że musimy się dogadać w kwestii dywanów? Czyż na-leżą do ciebie?
- Nie, nie!
- A może wiesz przypadkiem, kto je ukrył?
- Też nie.
- Zatem możesz być zupełnie spokojny. Ja natomiast muszę pójść do kjai, żeby zawiadomić go o moim znalezisku.
- Nie będziesz miał przecież z tego żadnej korzyści!
- Należy spełniać swoje obowiązki, nie oglądając się na własną korzyść.

Boszak znajdował się w nadzwyczaj kłopotliwej sytuacji. Stał nawet przed drzwiami, żeby mnie nie wypuścić.

- Kim ty właściwie jesteś, że przybywasz tu jako obcy i mieszasz się w nasze sprawy? - nie ustępował.
- Potrafisz czytać? - zapytałem.
- Tak.
- Więc coś ci pokażę.

Wyciągnąłem swój paszport i podsunąłem mu, ale tak, że mógł tylko wyraźnie zobaczyć pieczęć, i zapytałem:

- Znasz to?
- Tak. To muhur sultana.
- W takim razie powiem ci też, że aresztowałem agenta Pimosę.
- Efendi! Czy jesteś policjantem? - wydusił Boszak z prze-rażeniem w oczach.
- Nie muszę odpowiadać na to pytanie. Ale zaaresztuję także ciebie i podobnie Deselima z Ismilanu, gdy tyiko przybędzie tutaj.
- Aresztujesz mnie? Z jakiego powodu?
- Z powodu dywanów i znajdzie się coś jeszcze.
- Efendi, jestem uczciwym człowiekiem!
- Naprawdę ośmielasz się tak twierdzić? Najwidoczniej prag-niesz przyśpieszyć swoją zgubę. I stanie się tak, jak chcesz. Wszczę-te zostanie przeciwko tobie śledztwo; będziesz zgubiony. A pamię-taj, że pragnąłem cię uratować. Przyszedłeni do ciebie; by w zau-faniu wskazać ci drogę wiodącą do ratunku.

Farbiarz nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

- Powinieneś teraz zobaczyć się w lustrze - ciągnąłem dalej.
- Wina i strach nie mogą wyglądać inaczej niż na twojej twarzy.

Pójdiesz teraz ze mną do kjai!

W tym momencie zjawiły się jego żona i córka. Podśluchiwały w sąsiednim pokoju i wszystko słyszały. Obydwie podniosły głośny lament i zaczęły na mnie nalegać. Piekarz zachowywał się spokojnie. Wydawał się rozważać, jaka droga postępowania będzie dla niego najlepsza. Słuchałem przez chwilę lamentów kobiet, po czym uspokoiłem je:

- Bądźcie cicho! Chciałem go wszak uratować, ale on sam mi to uniemożliwił. Jeszcze teraz byłbym gotów zrezygnować z doniesienia. Widzicie jednak, że nie potrafi się zdobyć na słowo prośby. To skłoniło Boszaka do mówienia.
- Efendi - zapytał - co wiesz o mnie?
- Wszystko! Nie muszę ci wyliczać poszczególnych punktów.

To sprawa sędziego.

- I sądzisz, że mógłbyś zrezygnować z doniesienia?
- Tak. Nie uważam cię za złoczyńcę. Uważałem tylko, że dałeś się sprowadzić na złą drogę. I dlatego chciałbym cię potraktować łagodnie.
- Co mógłbym zrobić w tym celu?
- Wyrzec się tych, którzy sprowadzili cię na złą drogę.
- Chętnie to uczynię! - przyrzekł piekarz.
- Tak mówisz teraz. Ale kiedy adjadę, nie dotrzymasz obietnicy.
- Dotrzymam jej. Mogę przysiąc.
- Domagam się zatem, żebyś zerwał przyjaźń z handlarzem końmi Mosklanem.
- Powiem mu to.

- Dobrze! Chciałeś mu oddać swoją córkę za żonę?
- Tak, efendi.
- Ikbala straci zatem narzeczonego. Poszukasz jej innego!

Boszak nadstawił uszu. Spojrzał badawczo na obydwie kobiety, a potem na mnie i zapytał:

- Rozmawialiście ze sobą przed moim przyjściem?
- Owszem - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.
- Uważasz może, że powinienem ją wydać za sahhafa Alego?
- Tak.
- Wallahi! W takim razie rozmawialiście o nim?
- Tak, i ja sam też z nim już mówiłem. To zacny człowiek.

Nie jest przestępcą jak ów Moskian. Ali uczyni twoją córkę szczęśliwą. Nie mam czasu trwonić tutaj jeszcze więcej słów. Powiem 110 ci zatem rzecz następującą: Wyjdę teraz na kilka minut, a ty w tym czasie porozmawiasz ze swoją żoną i córką. Jeśli po moim powrocie powiesz mi, że sahhaf ci odpowiada, natychmiast pojedę po niego i sprowadzę go tutaj. Wtedy dasz mu swój podpis i wszystko będzie w porządku. Jeśli natomiast admówisz, to pójdę do kjai i zabiorę cię ze sobą.

Farbiarzowi pot wystąpił na czoło, a mimo to wydawało mi się, jakby był teraz znacznie spokojniejszy niż przedtem. Obydwie nie-wiasty chciały już zasypać go prośbami, ale uciszył je gestem i zapytał mnie:

- Chcesz zatem sprowadzić sahhafa?
- Tak.
- Pajdziesz do Alego do Kabacz?
- Naturalnie, skoro zamierzam go sprowadzić!
- A kiedy potem dam sahhafowi mój podpis, o niczym nie powiesz?
- Będę milczał jak grób!
- Ani o Szucie, ani o handlarzu końmi?

- Tak.
- Nie powiesz też nic o dywanach?
- Jednej osobie tylko powiem.
- Kamu?
- Sahhafowi. A an uczyni potem, jak zechce.
- Ali będzie milczał, jeśli mu addam swoją córkę. Kiedy chcesz pojechać do Kabacz?
- Gdy tylko podejmiesz decyzję. Nie mam czasu do stracenia.

A więc daję ci kilka minut do namysłu. Przemyśl tę sprawę! Wyszedłem do swojego Riha. Ponieważ opuszczając izbę słyszałem, jak matka i córka ruszają na grubasa, by zmiękezyć go prośbami, byłem pewny swego. Moim zdaniem nie pozostało mu nic innego, jak ustąpić, i rad byłem niezmiernie, że tak szybko będę mógł zanieść sahhafowi radosną wiadomość.

Tak rozmyślając oddaliłem się kawałek od domu. Wtem wydało mi się, że słyszę jakieś wołanie. Kiedy się odwróciłem, ujrzałem, jak do jednego z otworów okiennych padchodzi pomocnik piekarza i rozmawia ze swoim przełożonym.

Co mnie to abchadziło? Baszak miał mu pewnie do przekazania jakieś polecenie w związku z jego pracą. Kilka minut później usłyszałem tętent kopyt. Ani mi przez myśl nie przeszło powziąć jakieś podejrzenie. Później miałem się przekonać, że byłem mała ostrożny. Piekarz wysłał swojego pomocnika, żeby zastawić na mnie pułapkę. Dziewczyna nazwała tego człowieka przebiegłym. Taki 111 też był w istocie. Szpak wyjechał z domu tak, że ten znajdował się pomiędzy nim a mną, więc nie mogłem zauważyć jego zniknięcia. Oczekałem mniej więcej kwadrans, po czym wróciłem do izby. Tam kobieta poprosiła mnie, bym dał jej mężowi jeszcze trochę czasu. Tak trudno mu podjąć decyzję, bo nie wie, jak bez szwanku uwolnić się od Mosklana. Spełniłem jej prośbę i ponownie wyszedłem na dwór. Tam zaczekałem, dopóki mnie nie zawołano: Piekarz wyszedł mi na spotkanie.

- Efendi, masz rację; uczynię tak, jak mi poradziłeś. Sprowadzisz sahhafa?
- Tak, zaraz po niego pojedę.
- I będziesz potem dziś i przez następne dni moim gościem?
- Dziękuję ci za zaproszenie, ale to niemożliwe. Muszę jechać.
- Dokąd pojedziesz później?
- Daleko stąd, na Zachód, gdzie jest moja ojczyzna.

Mówiąc to popełniłem wielki błąd, o czym miałem się później przekonać.

- Wejdz zatem jeszcze do środka. Muszę ci coś pokazać.

Był taki ustępliwy, a abie kobiety promieniały szczęściem: Nie mogłem odmówić jego prośbie. Ikbala oddaliła się na kilka chwil i przyniosła jakiś przedmiot, który zawinięty był w pakuły i obwiązany sznurkami.

- Zgadnij, co to jest, efendi - rzekł farbiarz:

- Któż mógłby to odgadnąć?

Boszak odwinął pakuły i ukazała się butelka.

- To jest sok z winnych jagód - oświadczył. - Czy wolno ci go pić?

- Walno. Ale nie atwieraj butelki! Sami go skosztujcie!

- Nam to jest zabronione. To wino pochodzi z Grecji. Dostałem je od pewnego handlarza i przechowywałem do czasu, aż kiedyś zjawi się ktoś, komu wolno będzie je wypić.

Podtrzymałem swoją odmowę; wydawał się tym obrażony. Na-myślał się przez chwilę, po czym rzekł:

- Skoro nim gardzisz, nie będę go trzymał dłużej u siebie. Czi-leko, czy damy je biednemu, choremu Szabanowi?

Natychmiast przychyliła się do jego zdania i zapytała, czy nie powinna też dołożyć trochę ciastek. Boszak zgodził się na to, a następnie zwrócił się do mnie:

- Ale, efendi, jeśli ten biedak ma dostać te dary, musisz nam wyświadczyć pewną przysługę!

- Chętnie, jeśli tylko będę mógł ją spełnić. Kim jest ów Sza-ban? 112

- Dawniej był szczotkarzem, teraz jednak został żebrakiem, ponieważ jest chory i nie może już pracować. Żyje z dobroczynno-ścei tych, których Allah pobłogosławił mieniem.

- Tak, Szaban jest żebrakiem i niekiedy dostaje od nas jakiś datek - powtórzyła Ikbala. -



Mieszka w chacie pośrodku lasu, który znajduje się między naszą wioską a Kabacz. Już samo to powtórzenie musiało mnie zaintrygować, a jeszcze bardziej ton, jakim zostały wypowiedziane te zdania. Ikbala szyb-ko wpadła ojcu w słowo; zmiarkowałem, że chciała zwrócić na sie-bie moją uwagę. Stała nieco z boku za piekarzem i gdy spojrzałem na nią, podniosła ostrzegawczo palec wskazujący prawej ręki, tak że nie widział tego jej ojciec.

- Co to za las? - zapytałem rzeczowo.

- Same dęby i buki - odparł piekar~z. - Tylko gdzieniegdzie pośród nich jakiś cyprys. Mam ci opisać drogę?

- Proszę cię o to.

- Pojedziesz stąd w kierunku południowo-zachodnim, cały czas za śladami kół, które zawiodą cię na płaskowyż. Tam koleiny od-chodzą na południe, w stronę Terzi bren i Irek.. Ty natomiast od-najdziesz ślady, które w prawo zaprowadzą cię nad potok wpły-wający do Soudlu poniżej Kabacz. Niedaleko miejsca, gdzie do-trzesz do potaku, znajduje się polana, na której skraju stoi chata żebraka.

- Sam tam mieszka?

- Tak.

Żebak i zupełnie sam w lesie, to było zastanawiające. Do tego zachowanie córki! Tak czy owak musiałem być ostrożny.

- I sądzisz, że go zastanę? - dopytywałem się.

- Tak. Szaban, jak słyszałem, nie może wychodzić. Podobno jest chory. Dlatego posyłam mu te dary. Wziąłbyś ze sobą te rzeczy dla niego?

- Chętnie. Zapakuj je!

Uczył to. W tym czasie córka wyszła na zewnątrz, dając mi przy tym potajemny znak. Podążyłem za nią i spotkałem ją za do-mem.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - zapytałem.

- Tak, efendi. Ostrzegam cię - szepnęła Ikbala.

- Przed kim?

- Przed żebrakiem. Szaban nie jest dobrym człowiekiem. Miej się przed nim na baczności!

- Sądziysz, że twój ojciec żywi względem mnie jakieś złe za-miary? 8 w wąwozach Bałkanów  
113

- O niczym nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że nie lubię tego żebraka, bo jest wrogiem sahhafa.

- Hm! Twoja matka chciała mi coś dać dla Alego bez wiedzy twojego ojca.

- To już się wyjaśniło, efendi. Nie chciała ci od razu mówić, że chodziło o przekazanie wiadomości. Ali miał...

Dziewczyna urwała nagle, zarumieniła się i wbiła wzrok w zie-mię.

- No, co on miał zrobić, nadobna Ikbalo?

- Miał dzisiaj wieczór...: przyjść... do... do matki.

- Do matki? Ale nie do waszego mieszkania?

- Nie, efendi.

- W takim razie dokąd? - zapytałem, co prawda nieco natar-czywie, ale z największą powagą.

- Ali miał czekać na nią nad strumieniem.

- Ach tak! Twoja matka zatem od czasu do czasu wy~znacza sahhafowi małe schadzki?

- Tak - odparła Ikbala w tak naturalny sposób, że nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

- A ty jesteś pewnie opiekunką tych uroczych spotk.ań? - za-żartowałem.

- Och efendi, wiesz bardzo dobrze, że Ali nie przychodzi do matki, tylko do mnie!

- Tak, domyślam się. A ponieważ zamierzam go dzisiaj do was sprowadzić, twaja matka nie musi już dawać mi wiadomości, któ-ra była przeznaczona dla niego?

- Tak właśnie jest, efendi. Twój plan jest dobry; napęlnia an moje serce radością. Oby Allah sprawił, żeby się powiadł!

- Z pewnością napęlni też radością sahhafa. Kiedy z nim roz-mawiałem, nazwał cię najpiękniejszą w całej Rumelii, a więc...

- Czy to prawda? - prędko wpadła mi w słowo Ikbala.

- Tak, tak powiedział.

- Och, wielki z niego pochlebca i lubi przesadzać.

- Nie, Ali nie przesadzał. Jesteś jeszcze słodsza niż moszcz, który przyrządzasz. Ale powiedziałaś, że pragniesz, aby Allah sprawił, żeby mój plan się powiódł. Możesz mieć jeszcze jakieś wątpliwości? Twój ojciec dał przecież swoją zgodę!

- Tobie dał. Ale wydaje mi się, jakby nie wziął sobie tego poważnie do serca. Och, efendi, przeczuwam niebezpieczeństwo! Opiekuj się moim Alim!

- Cóż mogłoby mu grozić?

- Nie wiem. Lecz ty i Ali, obaj musicie bardzo mieć się na bacz-

114 ności. Przelałabym wiele, bardzo wiele łez, gdyby stała mu się jakaś krzywda.

- Jemu! Z mojego powodu nie przelałabyś pewnie nawet jednej łzy?

- Ty przecież jesteś dla mnie obcy!

Ikbala wypowiedziała to tak szczerze i było to takie zabawne, że musiałem się roześmiać.

- 'No cóż - odparłem - skoro będziesz płakać tylko z jego powodu, to powiedz przynajmniej swojej matce, żeby także po mnie, gdyby spotkało nas jakieś nieszczęście, uрониła choćby dwie lub trzy łezki. Teraz jednak wracaj do domu, żeby twój ojciec nie zauważył, że potajemnie rozmawialiśmy ze sobą. Ja również mu nie ufam.

- Efendi, będę cię osłaniać z daleka!

Odeszła. Jej słowa wydawały mi się pozbawione sensu, jednak później przekonałem się, że mimo wszystko mogła dotrzymać tej obietnicy.

Odwiązałem swego konia i czekałem. Wkrótce zjawił się piekarz i przyniósł mi dary przeznaczone dla Szabana.

- Gdzie są twoja żona i córka? - zapytałem od niechcienia, przy tym jednak obserwując go ukradkiem. - Czy nie powinienem się z nimi pożegnać?

- Przecież wrócisz, efendi - odpowiedział.

Kiedy wypowiadał te słowa, po jego tłustej twarzy przemknął tak przebiegły i triumfalny uśmiech, że

natychmiast ostrzegawczo położyłem mu dłoń na ramieniu.

- Sądzisz, że nie zwróciłem uwagi na to, że w twoich słowach kryje się drwina? - rzekłem z powagą.

Jego twarz z miejsca przybrała wyraz zdziwionej lojalności.

Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

- Nie rozumiem cię. Nie przypuszczam, żebyś mnie uważał za kłamcę.

- Hm! W mojej ojczyźnie istnieje takie przysłowie, które mó-wi, że nie powinno się ufać nikamu, kta ma przecięte uszy.

- Pijesz do mnie? - zapytał Boszak obrażonym tonem.

- Widzę, że masz przecięte jedna i drugie ucho.

- Nie znaczy to wcale, że cię oszukuję. Wcześniej miałem uszy nie uszkodzone. Jestem wiernym wyznawcą Proroka i przysięgam ci na brodę Muhammada, że zobaczymy się znowu, jeśli ty nie zrezygnujesz z tego spotkania.

aQ matka

a^

!15

- Nie zrezygnuję z tego spotkania i mam nadzieję, że przebie-gać będzie ono przyjaźnie. Gdyby było przeciwnie, to łatwo mo-głoby ci się przytrafić coś, co będzie dla ciebie niemiłe. W trakcie tej przyjacielskiej rozmowy przytroczyłem pakunek ao siodła, wsiadłem na konia i odjechałem.

# VI. W CHACIE ŻEBRAKA

Po kilku minutach dotarłem do właściwej wioski Cznbaszly, przejechałem przez nią, a następnie znalazłem się znawu pośród plantacji kukurydzy i innych pól przechodzących w trawiastą równinę, która ograniczona była opisanym uprzednio lasem. Wyraźnie widoczne były ślady kół dużych, ciężkich wozów za-prężonych w woły. Podążyłem za nimi w podanym kierunku i prawie dotarłem na skraj lasu, gdy zauważyłem jeźdźca, który z lewej strony zbliżał się do mnie kłusem przez równinę. Ponieważ jechałem wolniej od niego, wkrótce mnie dogonił.

- Allah selamet wersin - niechaj Allah da ci dobrą podróż - wypowiedział słowa pozdrowienia.

- Teszekur ederim - dziękuję ci - odrzekłem ostrożnie.

Przyjrzał mi się badawczo, ja uczyniłem podobnie, lecz oględziny z mojej strony nie były tak nachalne jak z jego. Jeździec niczym szczególnym się nie wyróżniał. Jego koń był kiepski, jego odzienie było kiepskie, a i jego twarz nie robiła lepszego wrażenia. Jedyne pistolety i sztylet, wetknięte za pas, wydawały się dobrej jakości.

- Skąd przybywasz? - zapytał jeździec.

- Z Cznbaszly - odparłem lakonicznie.

- A dokąd jedziesz?

- Do Kabacz.

- Ja też. Znasz drogę?

- Mam nadzieję, że ją odnajdę.

, , - Masz nadzieję? Zatem jesteś tutaj obcy?

- Tak:

- Czy mogę ci towarzyszyć? Jeśli się zgodzisz, na pewno nie zmylisz drogi.

Nieznajomy niezbyt mi się podobał, lecz nie był to wcale powód, żeby go obrażać. Mógł być przecież porządnym człowiekiem. A gdyby było przeciwnie, odrzucenie jego propozycji nic by

mi nie dało. W ten sposób mógłbym co najwyżej sprowokować go do gniewu lub do jakiegoś odwetu. A wyglądał mi w zupełności na kogoś, kto w takim wypadku skłonny byłby przekonać mnie o dobrej jakości swojej broni. Dlatego też przystałem na jego propozycję.

- Jesteś bardzo uprzejmy, jedźmy więc razem!

Uśmiechnął się z zadowoleniem i skierował swego konia, by szedł bok w bok z moim wierzchowcem.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu obok siebie. Przyglądał się mojemu karemu i mojej broni z wyraźną ciekawością. W dodatku miałem wrażenie, jakby od czasu do czasu zatroskanym wzrokiem lustrował okolice. Czyżby było się tutaj czego obawiać? Uznałem za wskazane nie zadawać mu żadnych pytań. Później odkryłem przyczynę tych zatroskanych spojrzeń.

- Czy z Kaba zjedziesz jeszcze gdzieś dalej? - zapytał uprzejmie.

- Nie.

- A zatem zamierzasz tam kogoś odwiedzić?

- Tak.

- Czy mogę wiedzieć, kogo? Ty jesteś wszak tutaj obcy, a może będę ci mógł wskazać dom twojego znajomego.

- Jadę do hadzi Alego, sahhafa.

- Och, znam go! Będziemy przejeżdżać obok jego domu. Zwróć ci zawczasu uwagę.

Rozmowa znowu utknęła. Nie miałem ochoty wdawać się w jakąś pogawędkę, a on wydawał się w podobnym nastroju. Tym sposobem przebyliśmy spory kawałek drogi, a w tym czasie nie padło następne słowo. Droga prowadziła między drzewami lasu coraz bardziej pod górę. Dotarliśmy na wspomniany przez piekarza płaskowyż, a także do miejsca, gdzie ślady kół zwracały się na południe. Widać było jednak, że ludzie jeździli również na zachód. Płążyliśmy w tym kierunku, i niebawem ukazał się potok, o którym była mowa u Boszaka.

Po krótkiej jeździe dotarliśmy na małą polanę, na której skraju dostrzegłem niską chatę o wydłużonym kształcie. Zbudowana była z surowych kamieni i przykryta na podobieństwo gontów łupanym drewnem. W dachu znajdował się otwór, przez który zgodnie z jego przeznaczeniem miał uchodzić dym. Potężne dęby rozpościerały swe sękaty gałęzie nad tę prymitywną budowlą, która sprawiała wrażenie smutnego opuszczenia.

Jakby mimochodem mój towarzysz podróży wskazał na chatę.

- Tam mieszka pewien żebrak!

11?

Nie wykonał żadnego gestu, jakby zamierzał zatrzymać konia. Rozwiał to podejrzenia, jakie żywiłem względem niego. Po-wściągnąłem, swojego karego i zapytałem:

- Jak się nazywa ten żebrak?

- Szaban.

- Czy był wcześniej szczotkarzem?

‘ - Tak.

- Więc muszę zajrzeć do niego na chwilę. Mam mu przeka~zać pewien podarunek.

- Zrób to! Może go potrzebować. Tymczasem ja pojedę dalej, cały czas wzdłuż potoku. Kiedy podążysz potem za mną, nie bę~dziesz mógł mnie przeoczyć.

Mężczyzna rzeczywiście pojechał dalej. Gdyby skręcił w bok ra-zem ze mną, skłoniłoby mnie to do zachowania ostrożności. A tak czułem się uspokojony. Podjechałem zatem do chaty i raz okrą~żyłem ją, żeby sprawdzić, czy nie ma przypadkiem kogaś w pobli- ! zu. Dęby i buki, mimo że dotykały się gałęziami, rosły w tak dużej odległości od siebie, że pomiędzy potężnymi pniami mogłem za- : puścić spojrzenie daleko w głąb lasu. Nie natrafiłem na żaden ślad jakiejś ludzkiej istoty:

Niemal wstydziłem się, że byłem tak podejrzliwy. Biedny, chory żebrak - cóż mógłby mi zrobić? Żadnej zasadki nie było, przy-najmniej w otoczeniu chaty; sądziłem, że mam prawo być o tym ‘ przekonany. Gdybym miał jakikolwiek powód do obaw, ich źródła można by było jedynie szukać wewnątrz nędznej budowli, a wtedy ‘. nietrudno byłoby zażegnać niebezpieczeństwo.

Przed większym otworem, w którym nie było żadnych drzwi, zsiadłem z konia, nie uwiązałem go jednak, by w razie potrzeby móc na niego wskoczyć i odjechać. Z rewolwerem w dłoni gotowym ‘ : do strzału wszedłem do środka. Większa ostrożność wydawała się niemożliwa, a przypuszczalnie nie była też wcale potrzebna, o czym przekonałem się na pierwszy rzut oka.

Wnętrze chaty składało się z jednego tylko pomieszczenia, które było tak niskie, że mało nie uderzyłem głową w sufit. Spostrzegłem ; asmolony kamień, służący zapewne za palenisko, kilka oczyszczo- . nych z mięsa łbów wołów i koni, które spełniały funkcje krze~seł, a w lewym kącie z tyłu zrobione z listowia posłanie, na którym le-żała jakaś nieruchoma ludzka postać. Obok legowiska

na ziemi ja-k~ garnek, rozbita butelka, nóż i kilka innych nędznych drobiaz-gów - to była cała zawartość chaty. Czego miałbym się tutaj obawiać? Schowałem rewolwer za pas, przyniosłem pakunek i zbli-118 żyłem się z nim do Iegowiska. Mężczyzna nie ruszał się w dalszym ciągu.

- Guninis chajir olsun - d~zień dobry! - wypowiedziałem gło-śno pozdrowienie.

Wtedy żebrak obrócił się powoli w moją stronę, wytrzeszczył na mnie oczy, jakbym go zbudził ze snu, i zapytał:

- Ne istersinis, sultanum - co pan rozkaże, łaskawy panie?

- Adyn Szaban-mi - nazywasz się Szaban?

- ~jle, sultanum - do usług, łaskawy panie!

- Bojaczi Boszak taniormisin - znasz farbiarza Boszaka?

Na te słowa podniósł się razradowany do pozycji siedzącej.

- Ewwet, sultanum - tak, łaskawy panie!

Mężczyzna rzeczywiście wyglądał na bardzo chorego nędzarza. Jego ciało okrywały wyłącznie łachmany, a on sam wydawał się mieć tylko skórę i kości. Pożerał wręcz oczyma pakunek, który trzymał w ręce.

- Przysyła ci wino i ciastka.

Mówiąc te słowa, ukląknęłam litościwie obok posłania, żeby atwo-rzyć pakunek.

Płomienne oczy żerbaka utkwione były we mnie. Czy to był rzeczywiście głód, czy coś innego, groźnego dla mnie? Nie miałem czasu, by pójść do końca za wątkiem tej myśli. Za mną rozległ się jakiś hałas. Odwróciłem głowę. Przez otwór drzwiowy wdarło się dwóch, czterech, pięciu mężczyzn. Pierwszy miał w ręku strzel-bę trzymaną za lufę, jakby do uderzenia. Przyskoczył do mnie. Wyszarpnąłem zza pasa rewolwer i chciałem zerwać się na nogi, lecz wtedy długie, chude ramiona żebraka niczym macki polipa oplotły moją szyję i ściągnęły mnie na ziemię. Pamiętam tylko, że szybko skierowałem rewolwer w stronę zdrajcy i pociągnąłem za spust; wycelować już nie zdążyłem. I wtedy dostałem od tyłu straszliwy cios w głowę.

Umarłem; nie miałem już ciała; byłem jedynie duchem. Płyną-łem przez ogień, którego zar chciał



mnie strawić, potem przez hu-czące fale, których chłód mnie zmroził, przez nieskończone warstwy chmur i mgieł, wysoko ponad ziemią, z przerażającą szybkością. Potem czułem tylko, że w ogóle płynę, dokładnie tak jak księżyc krążący wokół Ziemi, nie z własnej woli. We mnie i wokół mnie była nieopisana pustka. Z wolna prędkość obrotów zmniejszała się. Nie tylko czułem, lecz także myślałem. Ale co myślałem? I nieskończenie głupie, ~zupełnie nieprawdopodobne rzeczy. Mówić jednak nie mogłem, choć wyteńczyłem wszystkie siły, aby wydobyć z siebie jakiś dźwięk.

Powoli uporządkowałem swoje myśli. Przypomniałem sobie na-zwisko, stan, ile miałem lat, kiedy umarłem. Ale gdzie i w jaki sposób znalazłem śmierć, tego nie potrafiłem sobie uświadomić. Spadałem coraz niżej. Nie krążyłem już wokół Ziemi, lecz zbliża-łem się do niej niczym lekkie piórko, które kołysane podmuchami , wiatru, opada powoli z jakiejś wieży. A im niżej się opus!zczałem, tym wyraźniejsze stawały się wspomnienia mej ziemskiej egzy-stencji. Coraz więcej osób i zdarzeń przesuwało się przed moimi oczyma. W moim wnętrzu robiło się coraz jaśniej. Przypomniałem sobie, że w ostatnim czasie podjąłem daleką podróż; byłem w Stam-bule, w Edirne, chciałem już wrócić w rodzinne strony, ale po drodze zostałem zabity w kamiennej chacie na przedgórzu Toka-czyk Dag. Następnie mordercy związali moje zwłoki i rzucili na posłanie, na którym prze~dtem leżał żebrak, a potem usiedli wokół paleniska i rozpalili ogień, by coś na nim upiec. Nie żyłem zatem i świadomie przeżyłem swoją śmierć. Słysza-łem nawet głosy morderców, ba, słyszałem je jeszcze teraz, gdy spadałem z powrotem na Ziemię, coraz wyraźniej w miarę zbliżania się do niej. I stała się rzecz zadziwiająca! Opuściłem się na dół przez dach chaty, na cuchnące posłanie z listowia, a mordercy jeszcze tam siedzieli. Słyszałem, jak rozmawiają, czułem zapach mięsa, które piekli na ogniu. Chciałem ich także zobaczyć, lecz nie mogłem otworzyć oczu, a poza tym nie mogłem się poruszyć. Czy rzeczywiście byłem tylko duchem? Tam, gdzie miałem wcze-śniej patylicę, czułem straszliwy piekący ból. Wydawało mi się teraz, jakbym posiadał jeszcze głowę, ale była ona dziesięć, sto, tysiąc razy większa niż przedtem i kryła w swoim wnętrzu morze płomieni, na którego wyspach w kuźniach Wulkanów waliły mło-tami miliony cyklopów.

Najpierw poczułem jedynie tę głowę, wkrótce jednak uświado-miłem sobie, że mam też jeszcze ciało, ramiona i nogi. Ale poru-szyć nie mogłem żadną kończyną. Bardzo wyraźnie docierało do mnie każde słowo, jakie wypowiedane było przy ogniu. Usłysza-łem nawet tętent kopyt kilku wierzchowców. Na zewnątrz chaty zsiadło z koni dwóch jeźdźców.

- Kalyn gelior - przyjechał gruby! - odezwał się ktoś.

Czy nie był to głos mężczyzny, który towarzyszył mi do tego zniejsca? Skąd wziął się tutaj? Pojechał przecież dalej.

- We birisi daha - i jeszc~e ktoś! - dodał jakiś inny głos.

- Kim-dir - kto to?

- Ismilanli silahczi Deselim - płatnerz Deselim z Ismilanu.

Usłyszałem, że znajdujący się w chacie ludzie wybiegli na ze-wnątrz i powitali nowo przybyłych żywymi okrzykami radości.

- Achmaki tuttunus-mu - złapaliście tego durnia? - zapytał przed chatą jakiś gruby głos.

Znałem ten głos; należał do grubego farbiarza i piekarza z Czni-baszly. Czy mówiąc o tym durniu, miał może na myśli m~ciie? Obu-dził się we mnie gniew. Gdybym mógł choć na chwilę dostać tego człowieka w swoje ręce, byłbym mu... - ach, nagle uświadomiłem sobie, że potrafię zacisnąć palce w pięść! Ileż to gniew potrafi sprawić!

- Ewwet, aldattyk onu - tak, wzięliśmy go podstępem.

Słowa te wypowiedział żebrak. Moja kula nie trafiła go zatem.

- Kene nerededir - gdzie jest ta barania gnida?

To było mocne! Jeśli Niemiec chce naprawdę dosadnie określić jakiegoś głupca, nazywa go baranim łbem. Turcy używają często słowa „kojunczi”, które oznacza w przybliżeniu pastucha bara-nów. Mnie jednak mówiący uważał za tak nieskończenie naiwne-go, że słowo kojunczi wydało mu się w moim wypadku niezasłu-żonym zaszczytem, nazwał mnie zatem kene, baranią gnidą. Zaświerzbiały mnie ręce, i patrzcie: udało mi się już zacisnąć dwie pięści miast tylko jednej, jak poprzednio. Odniosłem wraże-nie, że wcale jeszcze nie umarłem. W każdym razie pragnienie, ja-kie teraz żywiłem, było bardzo ziemskiej natury. Odnosiło się do bynajmniej nie ponadzmysłowej czynności, którą Turcy określają trzema różnymi słowami o jednakowym znaczeniu: dtjmek, wur-mak i dajak, Niemcy natomiast wdzięcznym wyrażeniem „spuścić łanie”. Jak to się stało, że głowa nagle przestała mnie boleć! Także jej rozmiary wydawały się znacznie mniejsze.

- Kulibede dir - jest w chacie - odparł żebrak.

- Sinczirli-mi-dir - jest związany? - zapytał człowiek, który nazwał mnie baranią gnidą i którego głosu nie znałem.

- Ewwet, lakin lusumi kalmady - tak, ale to niepotrzebne.
- Niczin - dlaczego?
- Czunku ólmusz - bo nie żyje.

Głosy zniżyły się do szeptu. Dopiero po jakimś czasie usłysza-łem znowu wyraźnie rozkaz:

- Góster onu bana - pokażcie mi go!

Ki.edy przestępcy weszli do chaty, żebrak powiedział:

- Bunda jarta - tutaj leży.

Jakaś ręka spoczęła na mojej twarzy i dotykała jej przez chwile, by stwierdzić mój stan. Czuć ją było smołą szewską i kwaśnym mlekiem.

Nie straciłem zmysłu powonienia. A więc nie byłem martwy!

- ~5lum gibi sonk - zimny jak trup! - oświadczył właściciel ręki.

- Nabsyny tut - Zbadaj mu puls! - usłyszałem grubego pie-karza.

Cuchnąca smołą i kwaśnym mlekiem ręka zsunęła się z mojej twarzy i uchwyciła mnie za przegub dłoni. Kciuk zacisnął się ba-dawczo na górnej części stawu, gdzie pulsowanie tętnicy prawie jest niewyczuwalne. Następnie mężczyzna stwierdził po chwili ogólnego napięcia:

- Nabsy jok - nie czuję u niego pulsu.

- El ile jiiiregini jokla - dotknij jego serca!

W następnej chwili poczułem na sercu dłoń mężczyzny. Odpięcie guzika wydawało mu się zupełnie zbyt ciężkie. Czyżby surdut i ka-mizelka były już rozpięte? A może ci zacni ludzie uwolnili mnie od tego odzienia? Chętnie bym się o tym przekonał, ale nie mogłem otworzyć oczu, a nawet gdybym był zdolny to uczynić, teraz aku-rat nie przyszłoby mi do głowy dać jakiś znak życia. Ręka tylko przez chwilę spoczywała na moim sercu, po~tem przesunęła się w okolice żołądka i tam się zatrzymała. Następnie wyrocznia ob-wieściła:

- Gtinulunun sesi kesildi - jego serce umilkło.

- Ć5lmuş demektir - znakiem tego nie żyje! - rozległo się w krąg.

- Kim onu öldürmüş - kto go zabił? - zapytał mężczyzna; którego głosu nie znałem.

- Ben - ja! - zabrzmiała krótka odpowiedź.

- Nasyl - jak?

- Tepeledim - zatłukłem go.

Mówiący powiedział to z satysfakcją, która dała mi uspokajające przekonanie, że krew jeszcze krąży we mnie. Czuję, jak uderza mi do skroni. Kto ma w sobie krew, która płynie w żyłach, ten nie może być martwy. A zatem żyłem jeszcze. W rzeczywistości leża-łem na kupie listowia i przez jakiś czas tylko byłem nieprzy-tomny.

Gruby piekarz zdawał się jednak żywić pewne obawy. Nie chciał zaniedbać żadnego sposobu, by się upewnić o mojej śmierci; dla-tego też zapytał:

- Solugu war-mi - oddy cha jeszcze?

- Kulak asajim - posłucham!

Poczułem, że ktoś pochyla się nade mną. Potem jakiś nos przy-122 warł do mojego. W moje nozdrza wdarł się zapach czosnku, tyto-niu i zgniłych jaj; po chwili badający oświadczył:

- Nefesi jok - nie oddycha.

- Sabusza lum - oddalmy się!

li,ozkaz ten uwolnił mnie wreszcie od troski, że ktoś jeszcze od-kryje we mnie życie. Ale czy nie byłoby może lepiej, gdyby rzezi-mieszki zauważyły, że nie jestem martwy? Nie władałem swoimi członkami, natomiast byłem w strasliwym niebezpieczeństwie, że zostanę pogrzebany żywcem.

Opadł mnie strach. Czuję, jak mnie przebiega najpierw lodo-waty, a potem gorący dreszcz. Zacząłem się pocić. Ludzie usiedli przy ogniu i zachowywali milczenie. Może byli zajęci mięsem, któ-rego zapach dobiegał aż do mnie.

Moje położenie było beznadziejne. Uderzenie kolbą trafiło mnie w potylicę. Miało to działanie paraliżujące. Nie jestem lekarzem i nie potrafię wymienić możliwych następstw takiego potężnego ciosu. Zachowałem słuch i powonienie, może także wzrok i smak, ale nerwy ruchowe nie funkcjonowały. Czy podejmą na powrót swą działalność, i to tak szybko, jak to było konieczne w moim położeniu? A gdyby to nawet nastąpiło, w co ufałem wobec swojej moonej konstytucji cielesnej, to i tak miałem niewielkie widoki na to, że uniknę swego losu. Ba, gdyby w pobliżu byli moi towarzysze! Gdyby przynajmniej dzielny Halef miał przeczucie, jakie grozi mi niebezpieczeństwo! Ogarnęło mnie uczucie, o którym nie potrafię powiedzieć, czy należałoby je nazwać wściekłością, czy rozpaczą. M~że jednak to pierwsze określenie jest właściwe, gdyż zawsze wiedziałem, że Bóg nawet w ostatniej chwili, tuż przed wybiciem dwunastej, może jeszcze pomóc.

Zacisnąłem pięści i zatrzymałem powietrze w płucach, jakbym dobrowolnie pragnął się udusić. Napiąłem wszystkie włókna, nad którymi miałem jakąś władzę, i wtedy, wtedy jakby patężne szarpnięcie przebiegło przez moje ciało; nagle mogłem poruszyć ręka-mi, nogami, karkiem i - dzięki Bogu - również powiekami.

Wprawdzie bardzo się wystrzegałem, żeby nie dać tego poznać po

sobie, lecz po kolei sprawdziłem ruchliwość wszystkich swoich

członków. Nie szło mi to łatwa; głowa wydawała się rozbita. Naprawdę musiałem zdobyć się na wysiłek, by móc logicznie myśleć, a w kończynach miałem uczucie, jakby były z ołowiu. Pomimo to miałem jednak nadzieję, że w razie potrzeby potrafię się podnieść i w pewnej mierze bronić. Może paraliż ustąpi jeszcze prędzej, niż rai się to teraz wydawało. A potem zufałem temu, co przyniesie

123

chwila, i wpływowi, jaki niezłomna wola wywiera na nieposłuszne ciało. Tyle przynajmniej było pewne, że nie dam się pogrzebać żywcem.

Dlatego też leżąc dalej wyciągnięty na wznak, zerknąłem ukrad-

kiem w stronę płonącego na kamieniu ognia. Siedziało przy nim ośmiu mężczyzn, którzy odcinali nożami mięso od kości barana

‘ i dużymi płatami brali je do ust. Byli wśród nich gruby piekarz, gościnny żebrak i czcigodny Urian 38, który zaofiarował mi swoje usługi jako przewodnik do Kabacz.

A więc to właśnie miał na myśli piekarz przysięgając mi, że się

jeszcze zobaczymy! Przypuszczalnie jednak nie sądził, że zostanę zabity. Poczekaj, góro mięsa, mam nadzieję, że „wybiję” ci z głowy przekonanie o mojej śmierci i dowiodę ci, że jeszcze żyję.

Z kolei mój wspaniały przewodnik potrafił się świetnie maskować! Tylko dlaczego z takim zatroskaniem rozglądał się między drzewami? Ach, wreszcie mi zaświtało! Kiedy stałem za domem farbiarza, jego czeladnik się oddalił. Został wysłany przez swojego pana, żeby skrzyknąć obecnych tutaj dżentelmenów i uprzedzić że-braka, że się zjawię. Mój przewodnik oczekiwał mnie wśród pól, a potem obawiał się, że możemy spotkać posłańca albo kogoś z doborowego grona, w którym to wypadku mogłem zacząć coś podej-rzewać. Przebiegły farbiarz-

piekarz wyprawiał mnie z misją do że-braka jedynie z wyrachowania. Tak właśnie było, nie inaczej!

A teraz był tutaj z płatnerzem i właścicielem kawiarni z Ismi-lanu. Oczekiwał go dziś albo jutro, i szwagier Szuta przybył w naj-bardziej odpowiednim momencie, żeby przez napad na mnie uwol-nić się od grożącego mu niebezpieczeństwa.

Jak miałem wydostać się z rąk bandytów? Ośmiu na jednego! A ten jeden był w dodatku związany i sparaliżowany! Dziura okien-na była za mała; nikt by się przez nią nie przecisnął. Przy wejściu w kącie leżała moja broń. Odebrano mi ją, podobnie jak wszystkie inne rzeczy, które miałem przy sobie. Leżałem na kupie liści w sa-mej koszuli i spodniach.

Teraz zbadałem ostrożnie swoje pęta. Okazały się rzemienne i solidne. Tutaj nie dało się nic zrobić. Gdybym wyteżył wszystkie siły, co najwyżej przecięłyby mi skórę. Zastanawiałem się i zacho-dziłem w głowę, chcąc odkryć jakąś szan:sę ratunku - daremnie!

Pozostała tylko jedna nadzieja, a i ona ni.e była wiele warta: mu-siałem udawać nieżywego. Wcześniej czy później opryszki będą

‘ musiały mnie do lasu przenieść, żeby mnie zakapać. Może wtedy I . . . .:

as Mistrz Urian - diabeł w ludzkiej skbrze, nieproszony gość

124

przyjdzie im na myśl, żeby zatrzymać rzemien5e, które bądź co bądź miały przecież jakąś wartość, jakkolwiek bardzo niewielką. Wtedy miałbym swobodę ruchów. A może bandyci pożałowaliby też obydwu sztuk garderoby, jakie miałem jeszcze na sobie, i nie wrzucili ich do grobu. Gdyby chciano mnie zupełnie rozebrać, mu-siano by mi wcześniej zdjąć pęta. Wówczas miałbym przynajmniej nadzieję na to, że jeśli nawet nie uda mi się zbiec, to nie zakończę w tym miejscu swojej ziemskiej wędrówki bez oporu. Zatem po-zostało mi jedynie cierpliwie czekać, co się jeszcze wydarzy. Na pewno ci ludzie nie będą trwać w milczeniu wiecznie. Rozmowa pomiędzy nimi mogła zawierać dla mnie jakąś pożyteczną wska-zówkę.

Wreszcie mężczyzna, którego głosu nie znałem i którego uważałem za płatnerza z Ismilanu, odłożył ostatnią kość. Wytarł nóż w spodnie, wsadził go za pas i powiedział:

- Tak! Zjedliśmy, a teraz możemy porozmawiać. Ja zapłacę za barana. Ile ko~sztował?

- Nic - roześmiał się żebrak. - Ukradłem go.



- Tym lepiej. Dzień zaczyna się tanio. Przyjechałem, żeby dać wam popłatną pracę, a w tymczasem wykonaliście inną, która być może jest jeszcze więcej warta. Nie wiem jeszcze dokładnie, jak właściwie do tego doszło. Przybyłem do Boszaka, gdy szedł akurat do drogi, a potem jechaliśmy tak szybko, że nie mogliśmy rozmawiać,
- Allah! Nigdy w życiu jeszcze tak nie pędziłem! - poskarżył się grubas. - Prawie nie eżuję, że żyję.
- Żyjesz, przyjacielu! Czy nie mogłeś jednak wyruszyć wcześniej-niej?
- Nie. Mam tylko tego jednego wierzchowca, a posłaniec, którego na nim wysłałem, wrócił bardzo późno.
- A zatem - kim jest ten obcy?
- Chrześcijaninem z kraju Franków - odparł Boszak.
- Niech Allah zgubi jego duszę, jak wy zabiliście jego ciało! - Jak trafił do ciebie?
- Spotkał po drodze moją niewiastę i zapytał a mnie. Znał wszystkie nasze tajemnice i chciał mnie kazać ukarać, gdybym nie oddał swojej córki za żonę sahhafowi.
- Ona należy do Mosklana, który jest naszym sprzymierzeńcem - oświadczył Deselirn. - Kto wtajemniczył tego obcego?
- Nie wiem, słowem o tym nie wspomniał. Mówił o Moskianie, o Szucie, o wszystkich; znał naszą kryjówkę w zaroślach pośród pól i grożąc mi zmusił mnie do tego, bym dał mu swoją zgodę.

- Nie zamierzasz jednak chyba dotrzymać tej obietnicy?
- Wobec wiernych Proroka dotrzymuję słowa, on natomiast jest chrześcijaninem. Udajcie się do Sztambułu i porozmawiajcie z niewiernymi. Jest tam wielu chrześcijan, którzy twierdzą, że nikt nie musi dotrzymywać danego słowa, jeśli czyniąc obietnicę po-stanowił w skrytości ducha ją złamać. Dlaczego miałbym nie mieć prawa postąpić względem chrześcijanina tak, jak oni sami nau-czają i między sobą przestrzegają tych zasad?
- Masz rację.
- Posłałem zatem potajemnie swojego pachółka do Szabana a obecnych tu przyjaciół i kazałem im powiedzieć, co należy zrobić. Szaban miał udawać chorego, Murad oczekiwał przy drodze cu-dzoziemca, żeby go tutaj sprowadzić, a pozostali ukryli się za gru-byymi pniami drzew, żeby wejść za nim do chaty. To wszystko, co wiem. Niech resztę opowie ci Szaban albo Murad.
- No więc, Szabanie, jak poszło dalej? - zapytał płatnerz.
- Bardzo pomyślnie i bardzo łatwo - odparł żebrak. - Obcy przybył z Muradem, który udał, że jedzie dalej, i zsiadł z konia. Obserwowałem go przez okno, a potem szybko położyłem się na legowisku. Obcy wszedł do środka i przyniósł mi to, ca piekarz dał mu dla mnie.
- Ale wino mi zwrócisz! - wtrącił grubas. - Posłałem je tylko dla pożaru, a mam tylko tę jedną butelkę. Ciastka możesz zatrzymać.
- Co? Posłałeś mu wino? - zapytał ismilańczyk. - Nie dosta-niesz go już z powrotem.
- Dlaczego?
- Bo je wypijemy!
- Jak możecie je pić? Jesteście prawowiernymi muzułmanami, a Prorok wszak zabronił picia wina.
- Nie, wcale nie zabronił. Powiedział jedynie: „Wszystko, co czyni pijanym, niech będzie przeklęte!” Tą jedną butelką wina nie upijemy się jednak.
- Ona jest moją własnością!

Ton, jakim wypowiedział te słowa, wskazywał, że grubas ma niezłomny zamiar uratować swoje wino. Wtedy jednak żebrak zau-ważył ze śmiechem:

- Nie sprzeczaście się o przykazania Proroka. Wina nie można wypić.

‘ - Dlaczego? - spytał piekarz.

- Bo zostało już wypite.

- Szabanie, co ty sobie myślisz? Kto ci dał da tego prawo? - zawołał Boszak.
- Ty sam. Jednoznacznie posłałeś to wino z przeznaczeniem dla mnie. Podzieliłem się nim z towarzyszami. Gdybyś przyjechał wcześniej, mógłbyś je wypić z nami. Tam leży butelka, weź ją sobie i powąchaj, jeśli twoja dusza tęskni za jej zapachem.
- Ty diable nasienie, ty łajdaku! Nigdy w życiu nic już ode mnie nie dostaniesz.
- Nie potrzebuję twoich podarków, choć uchodzę za żebraka.

Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Przestańcie się kłócić! - rozkazał płatnerz. - Opowiadaj dalej, Szabanie!

Wezwany spełnił polecenie:

- Obcy sądził pewnie, że śpię. Podeszedł do mnie i wypowiedział pozdrowienie tak głośno, że udałem, jakbym się przebudził. Za-pytał mnie, czy nazywam się Szaban i czy znam farbiarza Boszaka, który przesyła mi podarunek. Uklęknął obok mnie, żeby otworzyć pakunek, który zawierał dary Boszaka. Wtedy spostrzegłem towarzyszy, którzy po cichu weszli do środka. Szybko złapałem obcego i pociągnąłem go do siebie na dół, i wówczas dostał cios kolbą, który natychmiast pozbawił go życia. Rozebraliśmy ga, a teraz możemy podzielić między siebie wszystko, co miał przy sobie.
- Czy podzielimy jego własność, to jeszcze nie wiadomo. Jakie przedmioty miał przy sobie?

Wyliczono wszystkie. Nie zapomniano o najmniejszym drabiaz-gu. Wymieniono nawet szpilki, których miałem przy sobie małą paczuszkę, W tych okolicach były one niemal rzadkością i skutkiern tego stanowiły cenną zdobycz.

Przez szparki powiek widziałem, że płatnerz z Ismilanu przygląda się mojej rusznicy na niedźwiedzie.

- Taka strzelba niewarta jest nawet dziesięciu para - powie~ dział. - Kto by ją nosił? Jest cięższa niż pięć tureckich flint. To stary kulomiot sprzed dwustu lat.

Pocziwiec nie miał po prostu nigdy w ręku takiej strzelby. Je-szcze większą bezradność okazał, kiedy podano mu sztucer Hen-ry'ego. Deselim obracał go na wszystkie strony, obmacywał go przez chwilę, po czym z pogardliwym uśmiejem wydał swą opi-nię:

- Ten abcy ma chyba kielbie we łbie. Ta strzelba to nic inne-go, tylko zabawka dla chłopców. Nie można jej załadować, a więc nie można z tego w ogóle strzelać. Tu jest łoże, a tam kolba, a mię-

dzy nimi żelazna kula z wieloma otworami. Do czego miałyby służyć ten bęben? Czyżby do chowania naboji? Nie można go obrócić. Gdzie jest kurek? Spustu nie można nacisnąć. Gdyby ten człowiek jeszcze żył, kazałbym mu oddać strzał z tej broni. Nie potrafiłby tego zrobić i musiałby się wstydzić.

W ten sposób omawiano każdy przedmiot, a przy tym wydawały się być opinie, które wzbudziłyby we mnie śmiech, gdyby dało się to pogodzić z moją sytuacją. Ismilańczyk zamierzał właśnie podnieść się z podłogi, żeby obejrzeć mojego konia, gdy usłyszałem tętent kopyt. Usłyszeli go również mężczyźni w chacie i żebrak wyszedł przed drzwi.

- Kto to się zbliża? - spytał ismilańczyk.

- Jakiś obcy - odparł zapytany. - Młody człowiek, którego jeszcze nigdy nie widziałem.

I już w następnej chwili usłyszałem pozdrowienie:

- Neharak mubarak - niech twój dzień będzie błogosławiony!

- Neharak sa id - niech twój dzień będzie szczęśliwy! Kim jesteś?

- Podróżnym z daleka.

- Skąd przybywasz dzisiaj? - badał dalej Szaban.

- Z Assemnar.

- A dokąd zmierzasz?

- Do Gumurcziny, jeśli pozwolisz.

- Jesteś bardzo uprzejmy, gdyż nie potrzebujesz wcale mojego pozwolenia.

- Jestem uprzejmy, ponieważ pragnę, żebyś i ty był uprzejmy.

Chciałbym się do ciebie zwrócić z pewną prośbą.

- Przedstaw ją!

- Jestem zmęczony i bardzo głodny. Czy pozwolisz mi odpo- i znąć w twojej chacie i spożyć u ciebie posiłek?

- Nie mam dla ciebie nic do jedzenia; jestem biedny.

- Mam przy sobie chleb i mięso, i chciałbym to zjeść razem z tobą. Wystarczy dla nas obu.

Byłem ciekaw, co odpowie żebrak. Można sobie wyobrazić moją radość; natychmiast rozpoznałem bowiem głos obcego: był to głos mojego małego dzielnego Hadzi Halefa Omara.

Gdzie się podziewał przez całą noc? Skąd się tutaj wziął? W jaki sposób dowiedział się, że należy mnie szukać w tym kierunku? Te i podobne pytania chodziły mi po głowie. Tak czy owak Halef musiał przyjąć, że zatrzymałem się tutaj, gdyż widział na pewno przed ~ chatą mojego konia. Jak również musiał si zorientować że o-  
ę ‘

„ 128 traktowano mnie wrogo. Żebrak miał bowiem w ręce mój szty-let. Nietrudno było wywnioskować, że mi go odebrano. Bałem się o przyjaciela, a mimo to agarnęło mnie jakby uczucie bezpieczeństwa. Halef z całą pewnością bez wahania zaryzyko- wałby życie, żeby mnie uwolnić.

Ismilańczyk wstał z miejsca. Odsunął żebraka na bok, podszedł do wejścia, przyjrzał się Hadziemu i rzekł ze zdziwieniem:

- Co ja wiclzę, cudzoziemcze? Masz kopcę?

- Ach! A więc znasz ten znak? - spytał Halef.

- Czy nie widzisz, że i ja go noszę?

- W istocie, teraz widzę twoją odznakę. Jesteśmy zatem przy- jaciółmi.

- Od kogo masz odznakę?

- Czy sądzisz, że tak łatwo zdradza się tajemnicę?

- Masz rację. Zsiadaj i bądź nas~zym gościem, choć wejdiesz do domu żałoby.

- Po kim macie żałobę?
- Po krewnym właściciela tej chaty. Niedawno zmarł na apo-pleksję. Jego zwłoki leżą tam w kącie; właśnie zebraliśmy się, by odprawiać przy nim modły.
- Niech Allah pozwoli mu zaznać radości raju!

Mówiąc te słowa Halef, jak się wydaje, zsiadł z konia. Następnie usłyszałem, jak powiedział:

- Jaki piękny kań! Do kogo należy ten ogier?
- Do mnie - oświadczył płatnerz.
- W takim razie należy ci zazdrościć. Ten koń z pewnością y pochodzi od klaczy Proroka, która była obecna przy tym, jak nocą ukazali mu się pasłańcy Allaha.

Halef wszedł do środka, pozdrowił pozostałych, a następnie skierował wzrok na mój ką. Ujrzałem, jak jego ręka automatycznie ; ~ęga za pas. Na szczęście jednak posiadał dość opanowania, żeby się nie zdradzić.

- To jest ten zmarły? - zapytał, wskazując na mnie.
- Tak.
- Pozwólcie, że oddam mu hołd!

Mały Hadzi pragnął zbliżyć się do mnie, lecz wtedy żebrak zapro-‘testował:

- Zostaw go, niech spoczywa. Odmówiliśmy już nad nim mod-litwy pośmiertne.
- Ale nie ja - odparł Halef. - Jestem ortodoksem i zachowuję ;przykazania Koranu.



# Teraz już bez przeszkód Halef podszedł do mnie i ukłęknął obok

~ 1 w wąwozach Bałkanów

129

posłania jakby do modlitwy, zwrócony plecami do pozostałych. Słyszałem, jak zgrzyta zębami. Ponieważ mogłem się domyślać, że spojrzenia wszystkich obecnych zwrócone są teraz na nas, nie , otwierałem oczu, ale szepnąłem cicho, w sposób tylko dla niego „, dosłyszalny:

, - Halefie, ja żyję!

Odetchnął głęboko, bardzo głęboko, jakby zdjęto z niego wielki ..

ciężar, jednak pokłęczał jeszcze przez chwilę, po czym podniósł ,

się, ale pozostał przy mnie i rzekł:

- Ten zmarły jest przecież spętany!

- Przeszkadza ci to? - zapytał płatnerz.

- W rzeczy samej. Nie pęta się wszak nawet zwłok wroga.

Trup nie może już nikomu zaszkodzić.

- Słusznie mówisz. Ale musieliśmy związać tego biedaka. Kie-dy dostał ataku, miotał się jak sz~alony. Rzucił się wściekle po całej chacie, bił i dźgał nożem na wszystkie strony, tak że stał się w końcu niebezpieczny dla nas.

- Teraz jednak wasz przyjaciel nie żyje. Dlaczego więc nie zdejmiecie mu więzów?

- Nie pomyśleliśmy jeszcze o tym.

- To bezczeszczenie zwłok. Jega dusza w ten sposób nie będzie mogła opuścić ciała.

- Czy nie wiesz, że człowiek staje się nieczysty, jeśli dotknie zwłok?

- Wcale nie musicie dotykać zmarłego. Przetnijcie więzy nożem i chwycie go przez jakąś chustę. Czy mam to zrobić za was?
- Jak widać, bardzo troszczysz się o jego duszę.
- Jedynie o moją własną. Jestem zwolennikiem nauki i zakanu ~, Merdifah i czynię, co obowiązek nakazuje prawdziwemu wyznawcy!
- Rób, jak uważasz~r.!

Wtedy Halef wyciągnął nóż. Dwa cięcia - moje ręce i nogi były wolne.

- Tak! - oświadczył. - Teraz moja dusza jest już spokojna i mogę spożyć posiłek.

Hadzi wyszedł na zewnątrz do swojego konia. Mężczyźni szep-  
tali coś między sobą, póki nie wrócił i z mięsem i chlebem dosiadł

, ? ... się do nich.

- Nie mam wiele, ale się podzielimy.
- Zjedz sam. Jesteśmy syci - rzekł ismilańczyk. - Przy okazji możesz nam powiedzieć, kim właściwie jesteś i co cię spro-wadza do Gumureziny.

- Dowiedcie się. Ale ja jestem gościem, a wy byliście tu prze-de mną. Mam więc prawo dowiedzieć się wcześniej, u kogo jestem.
- U dobrych przyjaciół. Widać to po odznace, więc powinieneś nam zaufać.
- Nie mam co do tego wątpliwości. W przeciwnym razie nie byłoby to dla was miłe.
- Dlaczego?
- Bo to niebezpieczne mieć we mnie wroga.
- Naprawdę? - zaśmiał się płatnerz. - Czyżbyś był tak nie-bezpiecznym i strasznym człowiekiem?
- Tak - odparł Halef z powagą.
- Czyżbyś uważał się za olbrzyma?
- Nie. Ale nigdy nie bałem się żadnego wroga. Ponieważ jed-nak jesteście przyjaciółmi, więc nie musicie się mnie bać.

Odpowiedział mu gromki śmiech, a któryś z obecnych zapewnił:

- Och, w żadnym wypadku byśmy się ciebie nie bali.
- Więc powiedzcie mi, kim jesteście!
- Ja jestem rolnikiem z Kabacz, i pozostali tutaj też są rolni-kami. A ty?
- Moją ojczyzną jest Kurdystan. Jestem łowcą niedźwiedzi.

Nastąpiła krótka przerwa, a potem znowu wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Dlaczego się śmiejecie? - zapytał Halef bardzo poważnym tonem. - Już drugi raz wybuchnęliście takim śmiechem. W po-bliżu zwłok prawdziwy wierny powinien okazać najgłębszą powagę.
- Czy to możliwe? - podjął rozmowę Deselim. - Ty miałbyś być łowcą niedźwiedzi?

- Dlaczego nie? - odparł krótko Halef.

- Wszak jesteś niemal karłem. Niedźwiedź by cię pożarł, gdy-by cię tylko zobaczył. Lecz mimo to nie byłby jeszcze wcale syty. Żeby zaspokoić jego głód, potrzeba dziesięciu takich jak ty.

- To moja kula by go pożarła, a nie on mnie.

- Czyżby polowanie na niedźwiedzie było twoim powołaniem?

- Tak. Miałem dwie ciotki, jedną ze strony ojca, drugą ze stro-ny matki. Obydwie pożarł niedźwiedź. Wtedy poprzysięgłem wszy-stkim niedźwiedziom zemstę i wyruszyłem w świat, żeby je zabi-jać, gdzie tylko któregoś spotkam.

- Zabiłeś już jakiegoś?

- Nawet wiele! Moje kule nigdy nie chybiają celu.

- Czyżbyś był dobrym strzelcem?

- Tak o mnie mówią. Znam wszystkie typy broni i z każdej trafiam do celu. 131

Teraz domyśliłem się, dlaczego sprytny Hadzi podał się za my-  
śliwego. W ten prosty sposób starał się dostać do rąk moje strzel-  
by, nie budząc podejrzeń. Może miał również zamiar skłonić prze-  
ciwników do tego, by kazali mu oddać próbny strzał. W takim  
wypadku musieliby wyjść razem z nim przed chatę, a ja miałbym

, okazję się podnieść.

- Co mówisz? - spytał płatnerz. - Twierdzisz, że znasz wszy-

stkie typy broni?

- Owszem.

- Czy znasz też taką jak ta?

Deselim wskazał sztucer Henry'ego.

Halef wziął broń do ręki, przyjrzał się jej i odpowiedział:

- Oczywiście. To karabin wielostrzałowy z Ameryki.

- Nigdy jeszcze nie widzieliśmy takiej flinty. Myśleliśmy, że

to zabawka. Ty ,zaś twierdzisz, że można z niej wystrzelić wiele

razy bez ładowania?

- Dwadzieścia pięć razy.

- Bisi ojnatiorsun - przesadzasz! - uśmiechnął się płatnerz.

- Mówię prawdę. W Ameryce żył pewien sławny rusznikarz.

On wynalazł tę strzelbę. Był dziwakiem i myślał, że w krótkim czasie wytępiano by całą zwierzynę łowną, gdyby takich flint było więcej. Dlatego zachował tajemnicę dla siebie i sporządził tylko kilka egzemplarzy tej broni. Wkrótce potem umarł. Inni chcieli zgłębić jego tajemnicę, ale kto rozłożył strzelbę na części, ten nie' .., potrafił jej z powrotem złożyć. Strzelba stawała się bezużyteczna. I Nieliczni, którzy tę broń posiadali, zginęli w puszczy, a ich flinty przepadły. Ta strzelba tutaj jest być może jedyną, jaka się zachowała. Nazywana jest sztuczerem Henry'ego, i chciałbym się teraz dowieść, jak trafiła w wasze ręce.

- Kupiłem ją w Stambule od pewnego Amerykaly - oświadczył płatnerz.

- Postąpił bardzo niemądrze sprzedając ją. Ten bęben z tyłu

za lufą służy do chowania naboju. Przy każdym strzale obraca się samoczynnie, tak że następna dziura z nabojem przesuwa się na ..

wysokość lufy. Mam wam pokazać?

- Tak, pokaż nam!

- Jak to się jednak stało, że ten Amerykanin sprzedał ci strzel-

bę, a nie nauczył cię posługiwać się nią?

- Zapomniałem go o to zapytać.

- W takim razie jesteś człowiekiem, którego nie potrafię zro-

zumieć. Czyżbyś się urodził w Arkilik, gdzie buty są bez podeszew,~

a~, . . R.

Fl.;~, ::-. ^

‘ 132 wozy bez kbł, a garnki bez dna? Chodźcie ze mną przed chatę! Pokażę wam, jak się strzela z tej broni.

- Czyżby była naładowana?

- Tak. Wskażecie mi jakiś cel, a ja dziesięć razy z rzędu trafię w to samo miejsce. 1

Halef opuścił chatę i bandyci podążyli za nim. Tak byli ciekawi strzeleckiej próby, że w ogóle nie myśleli o mnie.

- A więc - w co mam trafić? - usłyszałem pytanie Halefa.

- Strzel do tamtej wrony siedzącej na gałęzi.

- Nie. Spadłaby martwa na ziemię, a chcę oddać kilka strzałów do jednego celu. Widzicie ten gont w górze, który wiatr prawie oderwał? Odstaje od dachu i stanowi dobry cel. Trafię w niego dziesięć razy.

Usłyszałem oddalające się kroki. Halef odciągnął naszych wrogów możliwie jak najdalej od chaty, żeby ułatwić mi zadanie. Tam leżały moje rzeczy: odzież, nóż, naboje, zegarek, portfel, sakiewka, wszystko w jednym miejscu, a obok stała oparta o ścianę moja rusznica.

Natychmiast zerwałem się na równe nogi i przeciągnąłem się. Co prawda wszystkie członki miałem jak z ołowiu, były ciężkie i sztywne, lecz mogłem nimi poruszać. Potwornie bolała mnie głowa, a gdy dotknąłem ręką bolącego miejsca, wyczułem palcami duże obrzmienie. Nie miałem jednak czasu, by się nim przejmować. Jak najszybciej narzuciłem na siebie ubranie, pochowałem swoje rzeczy z powrotem i chwyciłem rusznicę na niedźwiedzie. Naturalnie zajęło mi to więcej czasu niż zwykle, lecz Halef robił długie przerwy pomiędzy strzałami, tak że już przy piątym byłem gotów. Ilekroć pociągnął za spust, rozlegały się okrzyki uznania zdziwionych widzów. Stałem pośrodku pomieszczenia i mogłem obserwować małego strzelca przez otwór okienny. Właśnie oddał szósty strzał. Widziałem wyraźnie, że nie spogląda w górę na dach, tylko skierował wzrok na okno. Czyżby Hadzi czekał, aż dam jakiś znak? Szybko podszedłem do okna i pokazałem rękę, nie dłużej niż dwie sekundy, ale ją zobaczył. Pokiwał głową i zwrócił się do swoich widzów.

Nie dosłyszałem, co powiedział Halef, ujrzałem jednak, że zarzucił broń na ramię i ruszył w stronę chaty.

- Miało być dziesięć strzałów, dziesięć! - zawołał płatnerz.

- A wystrzeliłeś dopiero sześć razy.

- Wystarczy - odpowiedział Halef. Zbliżył się już na tyle, że mogłem wyraźnie słyszeć jego słowa. - Widzieliście przecież, że



za każdym razem trafiam do celu. Nie będziemy marnować kul, bi może będą mi bardziej potrzebne!

- Po co?

- Żeby wam, łotry, podziurawić głowy!

Mówiąc te słowa, zatrzymał się i przyłożył sztucer do ramienia

Nadeszła chwila działania. Dzielny mały Hadzi nie zdradzał an

śladu niepakaju czy strachu. Przesłępcy zostawili swoje strzelbJ

w chacie, mogli zatem bronić się jedynie nożami. Byli zupełniE

zaskoczeni - zarówno jego słowami, jak i postawą, jaką wobe~

nich zajął. Sądziłi pewnie, że to tylko żart, gdyż Deselim zaśmiał

się.

- Co? Chcesz nas zastrzelić, lilipucie? ~ Jeśli masz ochotę żarto.

wać, to wymyśl sobie coś lepszego! Jesteś bardzo dobrym strzel.

cem. Ale nie odważysz się chyba strzelać do nas. Halef wsadził palec do ust i wydał przenikliwy gwizd. Następ. nie odpowiedział:

- Żartować? Kto wam powiedział, że tylko żartuję? Spójrzcie w tamtą stronę. Stoi tam dwóch takich, którzy chcą wam poka-zać, że to poważna sprawa.

Halef wskazał skraj polany. Podążyłem wzro~kiem za ruchem

jego ręki. Stali tam w pewnej odległości od siebie Czarnogórzec

Osko i Omar ben Sadek, syn przewodnika znad Szott el Dzarid,  
obydwaj z bronią gotową do strzału przyciśniętą do policzków,

Wcześniej ukryli się za drzewami i gwizd Halefa był znakiem dla

nich, żeby ujawnili swoją obecność.

- Allah belaterini wersin - niech Allah zetrze ich w proch! - wyrwało się ismilańczykowi. - Kim są ci ludzie? Czego od nas chcą?

- Domagają się zwłok, które leżą w chacie.

- Co ich obchodzi ten zmarły?

- Bardzo wiele. Zmarły nie jest krewnym tego żebraka, leca naszym przyjacielem i dowódcą. Zabiliście go, a my przyszedliśmy wam za to zapłacić.

‘ Zaskoczeni bandyci sięgnęli po noże, jednak Halef natychmiast

im zagroził:

- Zostawcie te noże, nic wam nie pomogą. W tej strzelbie mam

jeszcze dziewiętnaście naboí, a kiedy oddam pierwszy strzał, wy-

; . strzelą także tamci dwaj. Nim podejdziecie do mnie, będziecie

martwi!

Had’zi wypowiedział te słowa tak stanowczym tonem, że bandyci

musieli być przekonani o powadze sytuacji. Stali w odległości nie

większej niż dziesięć do piętnastu kroków od niego. Lufę broni

~TZyml~ Z4VrÓGOIlc~ Wl~'h .511'OII=P. Ga'ybysię ria r~ieg-o rzueili, mógłby trafić tylko jednego, ale tym jednym nie chciał być żaden z nich. Spoglądali na siebie wścikli i bezradni. Po chwili Deselim zapytał:

- A kimże jest ten człowiek, którego nazywasz waszym przy-jacielem i dowódcą?
- On jest jeszcze lepszym strzelcem i myśliwym niż ja. Jest odporny na ciosy i nawet gdyby został zabity, jego dusza prędko wróciłaby do ciała. Jeśli mi nie wierzycie, spójrzcie w stronę chaty! Rze~zimieszki obróciły się w moją stronę. Stałem przy wejściu z uniesioną strzelbą. Osko i Omar wydali okrzyki radości.
- Widzicie już, że będziecie zgubieni, jeśli zaczniecie stawiać opór! - ciągnął Halef.
- Tufenklerimis bisde olsa - gdybyśmy mieli nasze strzelby!
- mruknął wściekle ismilańczyk.
- Ale ich nie macie. A gdybyście je nawet mieli, na nic by się wam nie zdały. Jesteście w naszych rękach. Jeżeli poddacie się dobrowolnie, potraktujemy was łagodnie.
- Jak możesz występować przeciwka nam, skoro masz kopcę?
- Nastawaliście na życie mojego towarzysza. To zaś, że posxa-dam kopcę, niech wam będzie gwaraneją, że będziecie mogli li-ezyć na pobłażliwość, jeśli się poddacie. Wchodźcie do chaty! Tam będziemy rozmawiać dalej.

Deselim omiół wzrokiem budynek. Wydawało mi się, że do-strzegłem w jego oczach krótki błysk.

- Tak - powiedział. - Wejdzmy do chaty! Tam wszystko się wyjaśni. Jestem niewinny. Kiedy przyjechałem, ten cudzoziemiec już nie żył, jak nam się wydawało, Wchodźcie do środka! No już, już!

Płatnerz jął popychać przed sobą swoich kompanów w kierunku wejścia. Halef opuścił sztucer, a ja szybko cofnąłem się do środka chaty, żeby zająć się bronią naszych przeciwników. Pozbierałem wszystkie strzelby i zaniósłem je do kąta.

W trakcie tego zajęcia ujrzałem, jak wchodzą do izby, na przedzie gruby farbiarz-piekarz z prawdziwą miną skruszonego grzesz~ nika. Zamierzałem właśnie wyjąć z ostatniej strzelby spłonkę,

gdy usłyszałem okrzyk. Na zewnątrz padły dwa strzały, kule stuknęły o mur, a równocześnie usłyszałem wołanie Halefa:

- Sihdi, sihdi, chodź tu szybko!

Natychmiast pośpieszyłem na jego wezwanie, lecz wtedy Murad, mój weześniejszy przewodnik, wykrzyknął:

- Stać! Nże wypuszczajcie go!

Rzezimieszki zastawiły mi drogę. Jednego jednak dźgnąłem lufą rusznicy w brzuch, aż z okrzykiem bólu zatoczył się do tyłu i runął na ziemię, drugiego powaliłem uderzeniem pięści w twarz i znalazłem się na zewnątrz. Wszystko to trwało tylko trzy sekundy, lecz płatnerz oddalał się już pędem przez polanę - na moim karym i wymachując trzymanym w ręku moim sztuczerem Hen-ry'ego.

Deselim zniecka wyrwał Halefowi sztucer, uderzył go kolbą w głowę, a potem błyskawicznie wskoczył na majego Riha. Osko i Omar zauważyli to i wystrzelili za nim, ale go nie trafili.

- Zostańcie tutaj! - zawołałem do nich. - Nikogo nie wypuszczajcie! Zastrzelcie każdego, kto by chciał uciekać! W pobliżu stał muł grubego piekarza oraz konie Halefa i ismi-lańczyka. Wierzchowiec Deselima wydawał się najświeższy. Wskoczyłem na niego, wbiłem mu ostragi, aż oderwał się wszystkimi: nogami od ziemi, zawróciłem go nagłym szarpnięciem i ruszyłem galopem za złodziejem.

Co działo się za moimi plecami, było mi w tej chwili obojętne, Musiałem odzyskać swojego konia! Miałem w ręku rusznicę na niedźwiedzie i zdecydowany byłem zastrzelić koniakrada, gdyby nie było innego wyjścia.

## VII. POŁOŻYWANIE Z NAGRONK~

Deselim wziął kierunek na Kabacz. Nie miałem go w polu wi-: dzenia. Ślady prowadziły przez las. Gdybym już na samym po-czątku pozwolił mu uzyskać przewagę, Rih byłby stracony. Popędziłem więc szkapę, której dasiadałem, do największego pośpiechu,:

Wydawało mi się wprawdzie, że słyszę przed sobą tętent kopyt, ~ jednak z pawodu drzew niczego nie mogłem zobaczyć. Jechałem . tak chyba przez pełnych pięć minut pod rzadko rosnącymi drze:

wami. Według moich obliczeń pokonałem w tym krótkim czasie J prawie pięć kilometrów. I nagle - to nie było złudzenie - rzeczy- . wiście usłyszałem przed sobą tętent kapyt. Przed sobą? Nie, to :; mogło być tylko za mną. Obróciłem się i ujrzałem Halefa, który pę; dził za mną pełnym galopem. Uniósł się w strzemionach i okładał:.

‘ swego biednego konia pejczem z krokodylej skóry, aż słycać było. :’

kłaśnięcia.

- Hakuddam! Serian, we illa, ja Rih, bihifs Allah - naprzódl N

Szybko, bo inaczej, o Rih, bywaj! - zawołał Halef po arabsku, co oznaczało, że był bardzo wzburzony.

- Dlaczego zostawiłeś chatę? - zapytałem w odpowiedzi. - Teraz bandyci uciekną!

- Osko we Omar hunak - Osko i Omar tam są! - podał na swoje usprawiedliwienie.

Dalej nie mogliśmy ze sobą rozmawiać. Das przerzedził się jeszcze bardziej i wreszcie wyjechaliśmy na wolną przestrzeń, która zapewniała swobodny widok. Znajdowaliśmy się na płaskowyżu. W dole leżała wioska, zapewne Kabacz, oddalona mniej więcej o pół godziny drogi. Z lewej strony płynął szeroki potok, który poniżej wioski łączył się z rzeczką Stiuclu. Powyżej tego miejsca przerzucony był drewniany mostek.

Teraz ujrzelśmy także ismilańczyka. Galopował daleko przed nami. Nie było mowy o tym, żeby dosięgnąć go kulą. Rih był po prostu wyśmienitym koniem wyścigowym, tyle że się nie wysiłał. Gdyby płatnerz był lepszym jeźdźcem, mógłby mieć da tej pory trzykrotnie lub pięciokrotnie większą przewagę. Deselim nie wziął kierunku na wioskę. Chyba nie chciał się tam pokazywać. Nie wiadomo dlaczego zbliżał się do potoku. Czyżby naprawdę zaryzykował przeskoczenie ga? Potok miał wysokie brzegi, znacznie od siebie oddalane.

- Za nim! - zawołałem do Halefa. - Nagoń go na mostek.

Sam skręciłem w kierunku wioski. Była to najkrótsza droga do mostu. Może udałoby mi się pomimo kiepskiego konia datrzeć tam przed złodziejem. Niestety mój wierzchawiec poruszał się tak ciężko. Starałem się jak mogłem zmniejszyć swój ciężar - na próżno! Musiałem się uciec do drastycznego środka: wyciągnąłem nóż i ukłułem nim konia w szyję na głębokość centymetra. Wydał głośny jęk i robił, co w jego mocy. Formalnie leciałem, zbliżając się do wioski jak na skrzydłach. Tyle że zwierzę, jak się zdaje, zupełnie straciło już głowę. Nie chciało mnie słuchać. Koń rwał na oślep da przodu, cały czas przed siebie, a ponieważ nie było tutaj mowy o żadnej drodze, miałem nie lada problem, jak uniknąć jakiegoś groźnego w skutkach upadku.

Daleko po lewej stronie jechał ismilańczyk. Obejrzał się za siebie i spostrzegł Halefa, ale nie mnie. Podniósł się w siodle, trzymając w górze ukradziony sztucer. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić szydery śmiech, jakim Deselim parsknął pewnie na ów widok. Jego przewaga nad Halefem powiększała się. Na szczęście jednak mój koń pędził teraz w stronę wioski ze znacznie większą szybkością.



Z dołu zauważano nas. Ludzie stali przed drzwiami chałup, W pobliżu pierwszych domów leżała długa, wysoka sterta kamieni, Nie miałem już czasu jej ominąć, więc przeskoczyłem przez nią, Podczas skoku koń wydał chrapliwe głuche rzenie. Zdawała się, że oślepl, i gdybym nie reagował, pewnie wpakowałby się łbem w pierwszy lepszy mur. Co prawda nie straciłem panowania nad zwierzęciem, ale też nie potrafiłem nim normalnie kierować. Mo- głem jedynie ograniczyć się do tego, by nie dopuścić do jakiegoś nieszczęścia.

Przemknąłem obok pierwszego domu. Stał przed nim ciężki wózek wyładowany owocami. Spięcie ostrogami, skok - i byliśmy po drugiej stronie. Widzowie wydali głośny okrzyk. Zbliżał się zakręt drogi, gdzie i ja musiałem zmienić kierunek jazdy. Z trudem naginając konia do swojej woli, spostrzegłem mężczyznę, który prowadził krowę. Ujrzał mnie, wydał okrzyk trwogi, zostawił zwierzę i odskoczył w bok. Krowa obróciła się tak, że stanęła mi w poprzek drogi. W następnej chwili przesadziliśmy ją jednym skokiem.

f

- Efendi, efendi! - usłyszałem wołanie.

W przelocie dostrzegłem mężczyznę, który do mnie wołał. To był Ali, sahha, który stał przed swoim domem. Usta miał otwarte i splótł dłonie. Uważał mnie za kiepskiego jeźdźca i sądził pewnie, że koń poniósł.

Wtem ujrzałem mostek. Ismilańczyk nie dojechał jeszcze do mego. Obróciłem się i zobaczyłem go, jak pędzi wzdłuż potoku, a Ha-t lef w sporej odległości za nim. Udało mi się zmusić moją krowę, i żeby zatrzymała i w cińłem rusznic na niedźwiedzie. Mo- , y ę y , y ą ą ę kary przedstawiał dla mnie większą wartość niż życie jeźdźca. ~: ‘ Gdyby koniokrad dobrowolnie nie oddał swego łupu, nie ominęłaby go kula. Tylko musiał się zbliżyć.

W tym momencie Deselim spostrzegł mnie i się zdziwił. Nie ~’.



E;

mógł zrozumieć, skąd wziąłem się nagle przed nim. Szybkim ru-~: chem skierował Riha na prawo. Przed sobą miał mnie, za plecami ~. Halefa a o lewej stronie otok nie zostało mu zatem nic in . , p j p , p nego jak uciekać na ukos przez wioskę. Natychmiast zawróciłern ~'. konia, dźgnąłem go po raz drugi nożem i popędziłem z powrotem ~ Ujrzałem złodzieja, jak wyłania się zza jakiegoś domu. WłasmeF miał zamiar przejechać obok domu stojącego naprzeciw. Cztery:: albo pięć susów mojego Riha, a wierzchowiec i jeździec zniknęliby ~ z moich oczu. Podniosłem się zatem w strzemionach, przyłożyłem ~~:.; do ramienia rusznicę na niedźwiedzie i galopując dalej, wycelowa-~ łem. Szybko jednak odłożyłem rusznicę, gdyż spostrzegłem, że na.:

138

drodze uciekiniera stoi przeszkoda, której przedtem albo nie zauważył, albo nie docenił. Przy domu, obok którego~ chciał przejechać płatnerz, był wysoki płot z wikliny. Mnie na jego miejscu nie powstrzymałaby ta przeszkoda; jeśli by nie dało się jej pokonać górami, można by ją przecież przebić na wylot. On jednak miał wątpliwości i zwrócił konia w inną stronę, ku wjazdowi do wioski

skąd przybyłem. Nie pojechałem za nim. Moim zadaniem było odciąć uciekinierowi drogę na otwartą równinę i zapędzić go nad potok. Teraz wprawdzie byłem wystarczająco blisko Deselima, żeby go trafić kulą, ale koniokrad był przecież człowiekiem i musiałem przynajmniej spróbować odzyskać swoją własność bez przelewu krwi.

Dlatego też naprowadziłem swojego konia akurat na ten płot, który odstraszył Deselima. Dla Riha taki skok nie byłby za wysoki, moja chabeta jednak nie potrafiła się na niego zdobyć. Wskoczyłem możliwie najwyżej i przełamałem płot. Na ogrodzonym placu wykopany był jakiś otwarty dół. Przesadziłem go i pa drugiej stronie placu znowu przebiłem się przez ogrodzenie. Mój koń pędził teraz w kierunku wylotu wioski, jakby diabeł w niego wstąpił, i gdy znalazłem się na wysokości pierwszego domu, w polu widzenia pojawił się także płatnerz. Ujrzawszy drogę odciętą, pojechał w linii prostej na prawo, w stronę potoku, który chciał przedtem ominąć. Nieco niżej ukazał się również Halef, któremu nie pozostało nic innego, jak także zawrócić.

Jechałem teraz za uciekinierem w odległości pięćdziesięciu długości konia. Popędzał karego do

szybszej jazdy, spinając ga ostro-gami, do czego ogier nie był przyzwyczajony. Rih stawał dęba i odmawiał mu posłuszeństwa.

- Rih, wakkif, wakkif - Rih, stój, stój! - zawołałem w nadziei, że dźwięk mojego głosu skłoni dzielnego wierzchowca do dalszego o~poru.

Wtedy jednak ismilańczyk uderzył konia lufą strzelby w głowę, i ten z głośnym rzeniem popędził dalej naprzód, a ja naturalnie za nim. Kary rwał mocno do przodu. Odległość między nami zaczęła znowu rosnać. Było rzeczą jasną, że zatrwożony jeździec będzie chciał przesadzić potok, co wydawało mu się jedyną szansą ucieczki. Gdyby ryzykowny skok mu się powiódł, mój kary byłby dla mnie stracony, jeśli bym nie strzelił. Wyjąłem zatem znowu rusznicę na niedźwiedzie i przyłożyłem broń do ramienia. I gnaliśmy tak do przodu. W chwili, kiedy płatnerz znalazłby się po drugiej stronie, zamierzałem wypalić. Jeszcze pięć - cztery - trzy długości konia dzieliło go od brzegu. Rih podciągnął tylne 139 kopyta przed przednie nogi i nienagannym łukiem przefrunął na drugi brzeg. Jeździec jednak nie utrzymał się w strzemionach i uderzył ze straszliwą siłą w ziemię i leżał nieruchomo. Nie miałem już czasu powstrzymać swego konia; pędził jak szalony. Był kiepsko wyszkolony, podenerwowany i mało brakowało a wpadłby mi do potoku, żeby złamać kark i nogi. Głośnym okrzykiem zachęciłem go do skoku - skoczył, wylądował wprawdzie na drugim brzegu, ale potknął się i przewrócił. Wiedziałem, skacząc przez potok ryzykuję życiem. Dlatego już podczas okrzyku, którym dodałem koniowi odwagi, wysunąłem nogi ze strzemion, trzymając dalej cugle, wparłem się obiema rękami w końską kłęb i kiedy zwierzę się potknęło, odepchnąłem się od jego grzbietu. Zeskok utrudniła mi rusznica, upadłem na ziemię i przez kilka chwil leżałem bez ruchu.

- Allah! - zawołał podążający za mną mały Hadzi. - Sihdi żyjesz jeszcze czy umarłeś?

Leżałem tak, że mogłem go widzieć. Był już bardzo blisko brzo-

gu i zamierzał rozpędzić swego konia do skoku. Mógł przy tym skręcić kark. To przywróciło mi natychmiast zdolność ruchu. Ostrzegawczo uniosłem ramię.

- Zostań po tamtej stronie, Halefie! Nie bądź głupi!

- Prorokowi niech będą dzięki! - ucieszył się Hadzi. - Mój sihdi uważa mnie za głupiego, a zatem nie umarł!

- Nie. Jestem tylko mocno potłuczony.

- Nie sobie nie złamałeś? - dociekał dalej.

- Mam nadzieję, że nie. Zobaczymy!

Powoli się pozbierałem i wyciągnąłem się na trawie. Kończyny miałem całe, ale w głowie mi huczało jak w ulu od ciosu kolbą i upadku. Halef zsiadł z konia, zszedł na dół po nadbrzeżnym sto-ku i przeskoczył przez wodę. Potok nie był szeroki, ale ponieważ płynął tak nisko w dale pomiędzy stromymi brzegami, skok w sio; dle był bardzo niebezpieczny.

- Allah jest wielki! - stwierdził Hadzi. - To było polowanie z nagonką! Nie sądziłem, że na tych koniach dogonimy twojego Riha.

- Dosiadał go kiepski jeździec.

- Tak, siedział na nim niczym małpa na wielbłądzie, jak to widziałem w Stambule u pewnego człowieka, który pokazywał tak-że niedźwiedzia. Tam stoi Rih. Przyprawdzą go. Kary stał spokojnie i skubał ze smakiem soczystą trawę. Nie było widać po nim żadnego wysiłku, gdy tymczasem kań ismilań-140 ; czyka, którego dosiadałem, zatrzymał się obok nas, robiąc bokami. ,t' ..Jakoś się pozbierał i nie odniósł żadnego obrażenia.

- Niech kary stoi sobie dalej! - odparłem. - Przede wszy-stkim musimy zobaczyć, co z jeźdźcem.

- Chciałbym, żeby skręcił kark! - oświadczył gniewnie Hadzi.

- Nie życzymy mu tego - uspokoiłem go.

- Dlaczego nie? To koniakrad!

- Lecz mimo wszystko człowiek. Nie rusza się. Stracił przy-,,, tomność.

- Może nie tylko przytomność go opuściła, ale i dusza. Oby trafiła do dżehenny! - srożył się nieprzejednany Halef. Uklęknąłem obok Deselima i zbadałem go.

- No i co? Widzisz, gdzie siedzi jego dusza? - zapytał.

- Nie ma jej już w nim. Rzeczywiście skręcił kark. Niech ‘;,: Allah będzie mu łaskawym sędzią!

- Sam jest temu winien i nie ukradnie już żadnego konia, a na ~ewno nie twojego Karego! - mruknął mały Hadzi. Mówiąc to podszedł bliżej i wskazał nakrycie głowy płatnerza.

- Weź sobie jego kopcę! - powiedział.

- Masz rację. Nie pomyślałem o tym.

- A to przecież bardzo ważne! Kto wie, czy mógłbym cię ura-tować, gdybym nie miał tej odznaki.

- Od kogo ją masz?

- Od więźnia kowala.

- Więc byłeś u Szimina?

- Tak. Ale opowiem ci o tym później. Teraz mamy ca innego ‘ do roboty. Spójrz tam, na tych ludzi!

Zdawało się, jakby wszyscy mieszkańcy wioski przybiegli nad potok. Mężczyźni, kobiety i dzieci w wielkiej liczbie stali na brze-gu i prowadzili głośne rozmowy. Tak rzadkie wydarzenie pochła-niało całą ich uwagę.

Dwie osoby zeszły na dół po stoku i przeskoczyły przez wodę.

Pierwszą z nich był sahhaf Ali.

- Efendi, co się stało? - zapytał.. - Dlaczego ścigaliście tego jeźdźca?

- Czy nie zauważyłeś, na którym koniu jechał?

- Na twoim. Zrobiłeś z nim jakiś zakład czy chciał go od ciebie odkupić, a wcześniej wypróbować ręczość karego?

- Ani jedno, ani drugie. Ukradł mi wierzchowca.

- Ależ, efendi, nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Przecież nie umiałeś jeździć konno!

- Teraz też nie umiem inaczej niż przedtem.

- Ależ tak! Jeździsz niczym koniuszy sułtana. Nikt by się nie: odważył na taki skok na tym koniu.

- No cóż, może tymczasem się nauczyłem.

- Nie. Wprowadziłeś mnie w błąd i zażartowałeś sobie ze mnie.

Poprzednio siedziałeś na koniu niczym chłopiec, a teraz, kiedy widziałem, jak skaczesz przez potok, pomyślałem, że skęcisz kark.

- Pazostawiam to innym, na przykład temu człowiekowi.

Wskazałem przy tym na ismilańczyka.

- Allah! Czy on nie żyje?

- Niestety - przyznałem.
- W takim razie drogo zapłacił za kradzież! Kim jest ten człowiek? ' wiek?

Ali podszedł do nieboszczyka, pochylił się nad jego twarzą i za- .. wołał ze zdziwieniem:

- Allah czyni cuda! Przecież to płatnerz Deselim z Ismilanu!
- Znasz go?
- Tak. Jest zarazem kahwedżim; wypłem u niego niejedną ; filizankę i wypaliłem wiele fajek.
- A więc był twoim przyjacielem?
- Nie, tylko znajomym.

Wtedy zbliżył się także drugi mężczyzna, który za Alim prze- ; skoczył przez potok. Również on przyjrzał się twarzy zmarłego, a po czym zapytał mnie:

- To ty ścigałeś tego człowieka, a on przy tym stracił życie? ‘
- Tak.
- W takim razie jesteś zabójcą. Muszę cię aresztować!
- Nie uczynisz tego - wtrącił się sahhaf. - Ten człowiek nie ~ podlega twojej jurysdykcji.

Wtedy tamten przybrał pełną godności minę i oświadczył z po- ~ wagą:

- Ty jesteś sahhaf Ali i masz milczeć! Ja natomiast jestem kjażą tej miejscowości i mam prawo głosu. - A więc, kim jesteś? Pytanie to było skierowane do mnie.
- Cudzoziemcem - odpowiedziałem.
- Skąd?
- Z Almanii.
- Czy jesteś także podwładnym jakiegoś kjai?
- Jestem podwładnym potężnego króla.

- To jest to samo. Ja jestem królem Kabacz, a więc tym sa-mym, czym tamten. Zatem chodź za mną! 142

- Jako więzień?

- Oczywiście! Jesteś zabójcą.

- Czy nie zamierzasz mnie wcześniej zapytać, jak do tego do-;zło, że ścigałem tego człowieka?

- Stanie się to jutro, gdy będę miał czas i skupienie.

- A ja już teraz mam czas i skupienie, natomiast jutro nie będę miał.

- Nic mnie to nie obchodzi. Naprzód!

Władca wioski wskazał przy tym rozkazującym gestem na potok. Wtedy podszedł do niego mały Halef, pokazał mu, jak ta miał w zwyczaju, swój bicz z krokodylej skóry zatknięty za pas i za-

- A więc to ty jesteś kjąją tej wioski?

- Tak.

- Widziałeś już kiedyś taki bicz?

- I to nieraz.

- Czy wiesz już także, jak taki bicz smakuje?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Och, chcę powiedzieć tylko, co następuje: jeśli rzekniesz jeszcze choćby jedno nieuprzejmie słowa do tego sihdi i efendi, który jest moim przyjacielem i towarzyszem, to dostaniesz tym biczem po twarzy, tak że pomylisz swój ciekawski nos z meczetem w Edirne, który zbudował sułtan Murad, oby Allah go błogosławił. Sądzisz może, że przybyliśmy do Kabacz, żeby napawać się twoim majestatem? Sądzisz, że uważamy jakiegoś kjąję za największego dostojnika na kuli ziemskiej? Widzieliśmy dziobatych stajennych i oszustów, którzy wyglądali piękniej i czcigodniej niż ty! Dla-czego Allah obdarzył cię krzywymi nogami i czerwoną brodawką na nosie? Czyżby po to, żeby cię wyróżnić spośród innych wier-nych? Strzeż się mojego gniewu i miej się na baczności przed moją złością! Tym swoim biczem nauczyłem grzeczności zupełnie innych ludzi niż ty!



Kjaja bardziej był zdumiony niż wystraszony. Zmierzył małego Halefa od stóp do głów, a następnie zapytał:

- Cudzoziemcze, czyś ty oszalał?

- Nie, ale jeśli chcesz poznać wariata, to przejrzyj się w tej wodzie! Tylko wariat może się ośmielić traktować grubiańsko mojego efendi, potężnego Karę ben Nemsi.

- A kim ty jesteś?

- Ja jestem Hadzi Halef Omar aga, opiekun niewinnych, mściciel wszelkiej niesprawiedliwości, pan i mistrz wszystkich kjajów pod słońcem.

Teraz poczciwy sołtys naprawdę już nie wiedział, jak się ma \_ chować. Przechwałki małego Halefa zrobiły wrażenie. Zwrócił si” do mnie:

- Efendi, czy naprawdę jesteś tak dostojnym panem?
- A czy na takiego nie wyglądam? - zapytałem surowo.
- Z pewnością wyglądasz jak efendi. Ale wszak goniąc teg” człowieka, przyprawileś go o śmierć.
- Deselim sam jest temu winien. Ukradł mi konia i ścigałem g ‘ by odebrać mu swojego wierzchowca.
- Płatnerz z Ismilanu byłby złodziejem koni?
- Czyżbyś nie wierzył w to, co mówi efendi? - zapytał Hal i zbliżył się do kjai, znacząco pokazując na swój pas.
- Och, nie wątpię w to - odpowiedział szybko władca miej;’ ‘ scowości. - Ale czy efendi potrafi też dowieść, że ten karosz na prawdę jest jego własnością?
- Tutaj jest dowód! - To mówiąc Halef poklepał swój bicz~

# Ja jednak wskazałem na sahhafa. ‘

- Zapytaj hadzi Alego! On wie, że ten koń jest moją wła’ snością.
- Skąd miałby to wiedzieć? Nie zna cię przecież. Wszak jest ‘ tutaj obcy!
- Hadzi Ali zna mnie i widział, jak jechałem na tym karoszu’
- Czy to prawda?
- Tak - potwierdził sahhaf, do którego było skierowane ostat’ nie pytanie.

Wtedy kjaja złożył mi głęboki ukłon i rzekł:

- Wierzę w to. Pomimo to, efendi, będziesz musiał pójść ze~ mną:
- Jako więzień?
- Nie całkiem, lecz tylko w połowie.
- Dobrze! Którą połowę chcesz aresztować? Bo druga nie ma ~ czasu iść z tobą i jedzie dalej.

Naczelnik wioski spojrział na mnie z otwartymi ustami. Zebrani ~ na drugim brzegu mieszkańcy Kabacz wybuchnęli natomiast głoś-‘ nym śmiechem. Wtedy kjaja odkrzyknął im gniewnym głosem:

- Z czego się tak śmiejecie? Zgraja głupców, poddanych, nie-wolników! Czyż nie wiecie, że jestem pełnomocnikiem i przedsta-wicielem sułtana? Każę was zamknąć i wymierzyć każdemu ba-stonadę!

Po czym zwróciwszy się do mnie, władca Kabacz ciągnął dalej:

- Dlaczego ośmieszasz mnie przed moimi ludźmi?

- Dlaczego ośmieszasz się przede mną? Czy to nie śmieszne ówić mi, że jestem półwięźniem?
- Twoja niewinność jest dopiero w połowie dowiedziona!
- Więc dowiodę ci jej w całości! Czy widzisz ten nóż i tę strzel-~? Każdemu, kto mi przeszkodzi odjechać, wpakuję kulę w łeb bo sztylet w brzuch. A oto drugi dowód. Umiesz czytać?
- Tak.
- Więc przeczytaj ten ferman, który nosi pieczęć sułtana!

Podałę mu dokument. Ujrzawszy pieczęć, kjaja przycisnął pa-er do czoła, ust i piersi.

- Efendi, masz rację: jesteś niewinny i możesz jechać.
- Dobrze! Pochowacie godnie tego Deselima i zawiadomicie go krewnych o śmierci, ażeby przyjechali odwiedzić jego grób. a się połączyć ze swymi przodkami w godny sposób. Jeśli się iwiem, że postąpiliście inaczej, zamelduję o tym naczelnemu sę-aemu Rumelii.
- Jesteś jego przyjacielem?
- Jak śmiesz o to pytać? - odpowiedział zamiast mnie Halef.

~ Kadi-asker Rumelu jest naszym przyjacielem i krewnym. Mo-ulubioną kobietą jest córka jego ulubionej żony. Biada wam, śli nie spełnicie polecenia!

Oddalił się, żeby przyprowadzić Riha. Kjaja natomiast uklonił ~ nisko i rzekł do mnie:

- Oby Allah dał ulubionej kobiecie twego towarzysza sto lat ~cia oraz tysiąc dzieci, wnuków i prawnuków! Uczynię, co mi
- Oczekuję tego. Oddasz także konia zmarłego i wszystko, co a przy sobie, jego krewnym.
- Otrzymają wszystko, efendi!

Byłem przekonany, że będzie na odwrót, ale cóż mnie to wszy-l~o obchodziło. Mogłem się tylko cieszyć, że pozwolą mi odjechać ~z przeszkód, i wsiadłem na karosza, którego omal nie straciłem tak

haniebny sposób.

Cmoknąłem na niego i - jednym susem przesadził potok. Ludzie ~zpierzchli się na boki z głośnym okrzykiem strachu. Halef po~żył za mną pieszo i po drugiej stronie dosiadł swego konia.

- Efendi, czy nie zamierzałeś mnie odwiedzić? - zapytał sahha.

- Owszem, prowadź nas! Chciałbym przywitać się z twoim Pojechaliśmy przodem, a wszyscy ludzie ruszyli za nami, z wy-tkiem strażnika, którego kja postawił przy zwłokach. Przed ~mkiem sahhafa zsiadliśmy z koni i weszliśmy da środka. Wnę-w wawozach Bałkanów 145 trze chaty podzielone było na dwa pomieszczenia różnej wielkości:

W większym ujrzałem na posłaniu starego człowieka, który po ~ witał nas oczami, nie mogąc mówić ani się poruszyć.

- Ojcie, to jest efendi, o którym ci opowiadałem - wyjaśni Ali.

Zbliżyłem się do starca i wypowiedziałem przyjazne pozdrowie nie. Podziękował oczami, które razbłyły na chwilę. Posłanie był , ' schludne, a i wygląd starca świadczył o niezwyčajnej w tych stro' nach czystości. Bardzo mnie to ucieszyło.

- Rozumiesz, ca mówię? - zapytałem ojca Alego.

.A::

Skinął powiekami.

- Przyjechałem tutaj, żeby złożyć uszanowanie czcigodnemu~ ojcu dobrego syna i uszczęśliwić Alego.

Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem, więc by to wyjaśnie;~ ciągnąłem dalej:

- On kocha Ikbale, najpiękniejszą z wszystkich cór RumeliąM;

Jej ojciec nie chce mu jej oddać, ale zmuszę go, żeby to uczynił:~~ Ali pojedzie teraz ze mną.

- Efendi, czy to prawda? - spytał zaskoczony sahhaf. - Roz-~~~ mawiałeś z Ikbal ~

- Także z jej matką i z jej ojcem.

- Co obydwójce powiedzieli?

- Obydwójce powiedzieli „tak”, ale piekarz obmyślił zdradę ~ Potem ci o tym opowiem. A teraz pokaż mi swój zegar!

- Czy przedtem nie zechcesz coś zjeść, efendi?

- Dziękuję ci. Nie mamy czasu. Muszę szybko wracać.

- Więc chodź!

Zaprowadził mnie do mniejszego po~mieszczenia, gdzie stał stół~~ w tych stronach rzadkość. I wtedy ujrzałem to arcydzieło. Brako-wało jeszcze cyferblatu. Kółeczka wycięte zostały ręcznie z drew-na, co wymagało z pewnością wiele pracy.

- Wiesz, na czym polega cała sztuka? - zapytał.

- Tak - odpowiedziałem, wskazując na wodzidło wskazówek:.

- Owszem, odgadłeś. Ten zegar będzie pokazywał nie tylko go-dziny, ale i minuty. Widziałeś już taki zegar?

Oj, oj, najdroższy sahhafie, niezbyt wielka ta twoja sztuka! po-myślałem.

Na głos odpowiedziałem natomiast:

- Tak. Obejrzyj sobie mój zegarek! Pokazuje on lata, miesiã-ce, dni, godziny, minuty i sekundy.

Ali wziął z mojej ręki zegarek i przyglądał się z wielkim zdu-mieniem cyferblatom.

- Efendi - zapytał - czy on w dodatku dobrze chodzi?
- Owszem, nawet bardzo dobrze.
- Ale nie potrafię na nim nic przeczytać - oświadczył przygnębiony zegarmistrz.
- Bo nazwy i cyfry napisane są nie znanym ci pismem. Za to możesz go posłuchać.

Uruchomiłem repetier. Usłyszawszy ostry, jasny dźwięk wybijanej godziny, Ali wzdrygnął się.

- Allah akbar! - zdumiał się zegarmistrz z Kabacz. - Ten zegarek jest dziełem Allaha albo diabła!
- Bynajmniej! Ten, który go wykonał, był pobożnym człowiekiem z Almanii. Stworzył prawdziwe arcydzieło, lecz nigdy go nie sprzedał. Kiedy umarł, zegarek otrzymał jego spadkobierca, a po śmierci tego ostatniego dostałem go ja.
- Czy można go otworzyć?
- Owszem.
- Otwórz go, żebym zobaczył, jak jest zbudowany.
- Teraz nie, ale w Cznibaszly będziesz go mógł obejrzeć. Tam niedługo mieli na to czas. = A więc już zaraz chcesz wyruszyć?
- Tak. Weześniej jednak dotrzymam danego słowa i napiszę twojemu ajcu werset, który powinien przynieść mu pociechę w jego cierpieniu.
- Werset z Biblii?
- Tak.
- Chodźmy zatem. Przeczytam ojcu napisane przez ciebie słowa, i sprawią mu one wielką radość.

Wróciłem z Alim do pomieszczenia od frontu. Tam zwrócił się tio chorego:

- Ojczy, pamiętasz jeszcze tego starego chrześcijanina, który napisał mi piękny werset?

Sparaliżowany przytaknął skinięciem powiek.

- Ten efendi też jest chrześcijaninem i też napisze ci werset.

Przeczytam ci go potem.

Wyrwałem kartkę ze swajego notesu, zapisałem ją i podałem sahhafowi.

- Jaszarsam Allahda jaraszym, tilursem Allahda tilurum, o hal-da jaszajajym ólejem, Allahda mensub kaladżagym - przeczytał.

Znaczy to w naszym języku:

„Bo jeśli żyję, żyję dla Pana, jeśli umieram, umieram dla Pana; bo czy żyję, czy umieram, należę do Pana”.

Starcowi oczy zwilgotniały. Otarłem łzy ojcu Alego.



- Allah jest łaskawy, mądry i sprawiedliwy - rzekłem przy\$ tym. - Spętał twoje członki, by twoja dusza tym więcej mogła;~ z nim obcować. Gdy kiedyś twój duch odchodząc z tego świata~~ napotka na maście do wieczności dwóch aniołów, którzy badaj ~ czyny zmarłych, twoje cierpienie ważyć będzie w ich rękach wię: cej niż to wszystko, czym zgrzeszyłeś na tym świecie. Oby świa.” tłość wiekuista wskazywała ci drogę!

Starzec zamknął oczy i na jego pomarszczonej twarzy zajaśnia jakby spokój po szczęśliwie zakończonej walce duchowej. Ni otworzył ich także, kiedy opuszczaliśmy izbę.

- Efendi - powiedział na zewnątrz sahhař - dlaczego ni~ napisałeś tych słów w języku, którym się obecnie mówi? ,

- Koran też nie został napisany we współczesnym języku arab-‘~ skim - odparłem. - Ale teraz przyprowadź już swego konia. Je:~‘ dziemy do Czhibaszly.

Kiedy czekaliśmy na Alego, chętnie zapytałbym Halefa o jego’~, przygody, ale otaczał nas tłum ludzi, którzy głośno krzycząc wy-; mieniali poglądy na temat tego, co się stało, i poświęcali nam tyle natrętniej uwagi, że nie mogło być mowy o jakimkolwiek dia:~; logu pomiędzy nami.

Potem zjawił się sahhař na swoim koniu, i śpiesznym kłusem~ rozpoczęliśmy powrót, gdyż niepokoił się o los Osko i Omarar, W czasie jazdy mogłem się wreszcie zwrócić do małego Hadzie~j go z prośbą o wyjaśnienia.

- Tak długo czekałem na was, a wy nie przyjeżdżaliście. Czyż-‘. byście zmylili drogę?

- Nie, sihdi. Posuwaliśmy się dokładnie tą drogą, którą nam wyznaczyłeś. Ale...

Urwał i spojrzał na mnie z boku, chcąc zbadać, czy jestem w od-:. powiednim nastroju, by mógł zaryzykować nieprzyjemną wiado-mość.

- Keifin jerde-ni - jesteś w dobrym humorze? - dociekał Halef.

- Jok - nie, Hadzi - odparłem, by sobie z niego zażartować.

Zabrzmiało to tak obco, że się przestraszył.

- Aj hai - oj, oj!

- Dlaczego tak lamentujesz?

- Bo muszę cię rozgniewać, sihdi.

- Czym?

- Spotkało nas nieszczęście - wyznał Halef i znów spojrzął na mnie z boku.

- Jakie nieszczęście?

- On uciekł.
- Kto?
- Ostatni.
- Jaki ostatni? Gadaj wreszcie! - powiedziałem, udając złość.
- Ostatni policjant.

Halef wypowiedział te słowa z westchnieniem, które było słyszalne pomimo uderzeń kopyt naszych koni.

- Lilla elhamd - ‘ Bogu dzięki! - wyrwało mi się po arabsku wyrzekłem to tak radosnym tonem, że Hadzi spojrzał na mnie ~ boku z bezbrzeżnym zdumieniem.
- S’lon - co? - zapytał z wyraźną ulgą.
- Hada jislah li, hada ja’ dżibni - bardzo mi to odpowiada; jest ni nawet na rękę!
- Sihdi, czy dobrze cię zrozumiałem? Nie gniewasz się, że
- Nie. Przeciwnie, jestem tobie i jemu bardzo wdzięczny za ‘ ~o - uśmiechnąłem się.
- Ale dlaczego?
- Bo ten onbaszy był dla nas tylko ciężarem i nieprzyzwoicie ;opóźniałby naszą jazdę.
- Dlaczego więc wziąłeś go ze sobą?
- Paru saptije mogłoby się nam przydać. Ponieważ jednak ci ludzie nie umieli jeździć konno, a ich dowódca wolał rozkazywać ~iż spełniać rozkazy, lepiej, że nie musimy już użerać się z nimi.
- Sarif, tajib - świetnie, bardzo dobrze! Zdjąłeś mi z serca ‘vvielki ciężar!
- A więc zwiął?
- Tak, właśnie zwiął - wyznał Halef.
- Ach, przeczuwałem to. Naturalnie z jucznym koniem?

- Tak, razem z koniem, który niósł dary, jakie dostarczono ~am przez zacnego odźwiernego Malhema.

- Daj sobie spokój z tym onbaszym, niech ucieka!

Na te słowa mały Hadzi zrobił niemal rozgniewaną minę.

- Co? Jemu pozwolić uciec? - zapytał. - Daleki byłem od ~ego, żeby tak postąpić. Jechaliśmy za nim spory kawałek. Chcie-liśmy go złapać. Ale była noc i nie mogliśmy widzieć jego śladów!

- Jechaliście więc na ślepo. Oj, oj! W ten sposób zmarnowaliście tylko cenny czas.

- Niestety! Cofnęliśmy się prawie do Geren. Możesz się więc ~omyślić, ile czasu straciliśmy. Tak przeklinałem i złorzeczyłem, r że Allah pewnie się dziwił, gdyż poza tym jestem pobożnym czło-'. ~uwiekiem. Wczoraj w nocy byłem jednak tak wściekły, rozjuszony

149 i pełen złości, że zabiłbym tysiąc olbrzymów, gdyby któryś stanął mi na drodze.

- Pocieszmy się! Powinniśmy pomyśleć o czymś innym.

- Pocieszyć się? Sihdi, nie poznaję cię. Czy wiesz, co to były za prezenty, które ofiarował nam nasz przyjaciel Hulam?

- Prawdopodobnie żywność.

- Otworzyłem je! - przyznał się Halef.

- Ach, byłeś ciekaw?

- Ciekaw? Nie mów tak! Zawsze warto wiedzieć, co się dostaje w prezencie i co się ze sobą wiezie. Było tam wyśmienite ciasto, tak wielkie jak duży kamień młyński. Niestety było już jednak roz-v gniecione. Następnie dwa cenne czapraki, na pewno dla ciebie i dla mnie. Poza tym znalazłem sporo jedwabnych chustek, bardzo pięknych, w sam raz ku ozdobie głowy. Jakże chętnie wziąłbym' jedną z nich dla mo~jej Hanneh. A teraz została jej po~zbawiona!. Ja szema'dan el mahabe, ja szems el amel, ja warde el benat - o światło miłości, o słońce nadziei, o różo wszystkich cór! Nagle odezwała się w nim miłość do jega zacnej Hanneh! Pró-,,  
bowałem go pocieszyć:

- Nie uskarżaj się! To, że mamy stracić ciasto, czapraki i chu-.: sty, zapisane było w księdze życia. Gdzie indziej też są jedwabne' chustki, i zadbam o ta, żebyś nie wracał z pustymi rękami do naj-y piękniejszej z wszystkich cór!

- Oby Allah to sprawił! Cieszę się tylko, że uratowałem przy- .. najmniej sakiewkę!

- Jaką sakiewkę?

- Kiedy otworzyłem pakunki, znalazłem także sakiewkę z ko- ~ ciego futerka. Była zawiązana i zapieczętowana, ale przy tym tak - ciężka i wydawała taki srebrzysty dźwięk, że byłem przekonany,-; iż w środku są pieniądze.

- Ach tak, i schowałeś ją? - zaśmiałem się.

- Tak, mam ją tutaj w przegródce pasa. Doczepiony jest do niej kawałek pergaminu, na którym napisano: Dostuma Kara ben Nem-si Ef fendyn. Sakiewka jest przeznaczona dla ciebie - proszę, oto ona, weź ją!

Halef wyciągnął sakiewkę z przegródki pasa i podał mi. Zwa-żyłem ją w dłoni. Tak, w środku były pieniądze. Dostuma znaczy:

Mojemu przyjacielowi. Czyżby chodziło o prezent w dowód przy-jaźni? Hm! Schowałem sakiewkę i oznajmiłem:

- Otworzy-my ją później. W każdym razie postąpiłeś bardzo mądrze zabierając sakiewkę. Teraz musimy porozmawiać o czym

„inny, gdyż mamy już za sobą prawie połowę drogi. A więc, jakim sposobem onbaszy mógł wam uciec?

- Było ciemno. Zatrzymaliśmy się przy pewnym domu, w pobliżu którego znajdowała się studnia. Chcieliśmy napić konie. Policjant czerpał wodę. Ja wszedłem do domu, żeby się dowiedzieć u właściciela o drogę. Osko i Omar też weszli do środka, a kiedy potem wróciliśmy do studni, onbaszy zniknął razem ze swoją szkapą i z naszym jucznym koniem.

- Nie słyszeliście tętentu kopyt?

Nie. Lecz mimo to pośpieszyliśmy za nim.

- O nie, nie zrobiliście tego - zaśmiałem się.

- Nie? Ależ ruszyliśmy galopem z powrotem za nim, lecz nie, zdołaliśmy go już dogonić.

A skąd wiesz, że policjant pojechał z powrotem? Na pewno był dość mądry, żeby obrać inną drogę.

- Ach! To dopiero oszust! Co za obłudnik!

- A może tylko odprowadził konie gdzieś na bok i poczekał, co zrobicie. Potem mógł postąpić stosownie do sytuacji. Och, o tym nie pomyślałem! Czyżby naprawdę był taki mądry? Zawsze miał taką głupią minę! Oeh, chciałbym go mieć teraz przed sobą! Ależ dałem się oszukać, ja Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah!

„Wyciągnął zza pasa bicz i ciał nim powietrze, jakby miał przed sobą winowajcę.

Nie przejmuj się! - powiedziałem. - Kiedy w końcu idziecie do Koszikawak?

- Godzinę po twoim odejściu. Opisałeś nas kowalowi, a on nas od razu rozpoznał i zatrzymał. U niego dowiedzieliśmy się, co zaszło. Pokazał nam więźnia. Czekaliśmy. Nie przyjeżdżałeś, więc zacząłem się niepokoić. W końcu postanowiłem pojechać za tobą do Czniebaszly. Przy tym przyszła mi do głowy pewna myśl, która pewnie i tobie się spodoba.

Jaka to myśl?

Szimin opowiedział mi o kopczy. Więzień nosił taką. Odzna-ka ta jest znakiem rozpoznawczym i mogła mi oddać wielką przy-sługę. Zabrałem ją zatem temu człowiekowi, który twierdził, że jest agentem Pimosą, i przypiąłem ją so~bie do turbanu.

- Znakomicie! Widziałem wszak, jaką siłę przekonywania ma ta odznaka.
- Czy teraz powiesz jeszcze, że jestem niemądry?
- Nie, jesteś uosobieniem mądrości - zaśmiałem się.

- Tak, ale od czasu do czasu pozwalam uciekać policjantom!

Potem w Czhibaszy pojechaliśmy prosto do piekarza. Zastaliśmy tylko jego żonę i córkę. Wiesz, sihdi, kiedy zobaczyłem tę starą, omal nie zemdląłem!

- Ale ma za to dobre serce!

- Tak. Czileka i Ikbala ostrzegły mnie. Najpierw pomocnik został wysłany z jakąś misją. Potem przyjechał płatnerz z Ismilanu i rozmawiał z piekarzem o tobie, po czym niezwłocznie wyruszyli w drogę. O tym wszystkim opowiedziała nam Ikbala. Bała się także o Alego, który jedzie teraz za nami. Prosiła mnie, żebym podążył za tobą, co i tak bym uczynił.

- Przybyłeś w samą porę, drogi Halefie!

- Tak. ~pieszyłem się. Lecz mimo to zachowałem ostrożność.:

Usłyszałem rzenie jakiegoś konia. Dlatego sam pojechałem przodem. Zabaczyłem polanę z chatą, ujrzałem też twojego Riha i jeszcze kilka innych koni. Byłeś zatem w chacie pośród wrogów. Zapewne cię uwięźli. Trzej jeźdźcy obudziliby czujność twych przeciwników, podczas gdy jeden człowiek nie mógł im się wydać po—dejrzanym. Dlatego ukryłem Osko i Omara między drzewami i powiedziałem im, co mają robić. Następnie sam podjechałem do chaty. Co się działo potem, już wiesz.

- Tak. Teraz jednak zaczynam się martwić o naszych dwóch ‘towarzyszy.

- Niepotrzebnie. Są dzielni.

- Ale tamtych jest więcej. Ich wrogowie są w chacie bezpieczni. ‘

- W chacie są nie tylko bezpieczni, ale równocześnie uwięzieni: ‘.’

- Jak długo? Mogą trafić Omara i Osko, strzelając przez okno albo przez drzwi.

- Nie. Wszak dałeś naszym przyjaciołom wskazówki, a i ja, ,’ zanim podążyłem za tobą, krzyknąłem do nich, żeby schowali się ; za drzewami i strzelali do każdego, komu by przyszło na myśl -. opuścić chatę. Co zamierzasz uczynić z tymi ludźmi?

- To zależy od ich zachowania. Daj swojemu koniowi ostrogę!



Sahhaf skromnie trzymał się z tyłu. Teraz, gdy zauważył, że moja rozmowa z Halefem dobiegła końca, zbliżył się do mojego boku i zapytał:

- Efendi, czy mogę się dowiedzieć, co się stało i dlaczego mam ci towarzyszyć?

- Później! Mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj przywitasz się z Ikbala, najpiękniejszą w całej Rumelii, w obecności jej ojca. Te-raz musimy się pośpieszyć, więc nie możemy rozmawiać.

Tymczasem wjechaliśmy do lasu i w krótkim czasie znaleźliśmy się w pobliżu polany. Wtedy powściągnęliśmy konie, żeby zbliżyć się możliwie jak najciszej. Tuż przed skrajem polany zsiadłem ze swego ogiera i przekazałem go Hadziem.

- Zostańcie tutaj! - poleciłem. - Najpierw się rozejrzę. Ha-lefie, podaj mi sztucer!

- Taman - słusznie! Dalej go mam przy sobie! Proszę, sihdi!

Mamy zaczekać, aż wrócisz?

- Tak. Chyba że usłyszysz mój okrzyk.

Skradałem się naprzód od drzewa do drzewa, aż wreszcie mogłem objąć wzrokiem całą palanę. Konie stały w dalszym ciągu 'przed chatą. Z okna wystawały dwie flinty. Chwilowi mieszkańcy budynku zamienili go w twierdzę. Niestety nie udało mi się wcześniej usunąć ich broni.

## VIII. POJEDNANIE I ZARIECZYNY

Oddział oblężniczy składający się z Osko i Omara był niewidoczny. Obydwaj stali przypuszczalnie ukryci za grubymi pniami. Za~oczyłem łuk, aż w końcu znalazłem się w lesie naprzeciw chaty i tam ujrzałem poszukiwanych leżących z bronią gotową do strzału. Zbliżyłem się do nich na możliwie najmniejszą odległość w sposób niewidoczny dla ludzi wewnątrz chaty. Towarzysze spostrzegli mnie i okazali swoją radość wydając stłumione okrzyki.

- Czy któryś się wymknął? - zapytałem.

- Nie - odpowiedział Osko.

- Strzelaliście?

- Pięć razy.

- A ci ludzie w chacie?

- Trzy razy; żaden jednak nie trafił. Oni nie mogą wyjść, a my x~ie możemy wejść. Co w takiej sytuacji można zrobić?

- Zastaniecie tutaj, dopóki nie znajdę się przy chacie...

- Co? Chcesz tam podejść?

- Tak.

- Ci ludzie cię zastrzelą.

- Nie. Podkradnę się od tyłu. Z tamtej strony nie ma okna.

A zatem nie można będzie mnie zobaczyć. Halef jest ze mną. Kie-dy znajdziemy się po tamtej stronie, wtedy i wy podejdzicie, naturalnie też od tyłu. Co zrobimy potem, muszę najpierw obmy~ścić. Gdzie macie swoje konie?

- Przywiązane trochę dalej w głębi lasu.

- Zostawcie je tam, dopóki nie skończy się oblężenie!

Wróciłem do Halefa i powiedziałem mu, co postanowiłem. Zgo-dził się ze mną i przebiegle uśmiechnął się do mnie.

- Sihdi, widzisz te lufy wystające z okna?
- Tak, oczywiście.
- Te strzelby niedługo już będą takie ciekawskie!
- Ach! Sądysz? Ja te~ż myślałem o tym.
- Podkradniemy się, nagle chwycimy za nie i wyciągniemy flinty przez okno.
- Spróbujmy.
- A ja co mam robić? - zapytał Ali.
- Kiedy będziemy przy chacie, przyprowadzisz nasze konie

ale okrężną drogą. Za chatą przywiążesz je do drzew, a potem mo-żesz przyjść do nas.

Podaliśmy Alemu cugle naszych koni i szerokim łukiem zbliży- ‘ liśmy się do tylnej ściany chaty. Dotarliśmy do niej szczęśliwie i tam na razie zatrzymaliśmy się nasłuchując. Panował spokój.

- Teraz, sihdi! - szepnął Halef.

Wyrzałem ostrożnie za róg. Obydwie lufy wystawały mniej więcej ćwierć metra poza otwór okienny. Pochyliłem się - kilka cichych kroków, u mego boku Halef - chwyt, szarpnięcie, odskok; z powrotem byliśmy za rogiem i mieliśmy w rękach dwie długie ‘ tureckie flinty.

W środku chaty jeszcze przez kilka chwil panowała cisza, na ‘ pewno wskutek zaskoczenia. Osko i Omar nie powstrzymali się jednak od głośnego okrzyku:

- Aferin, aferin - brawo, brawa!

Wtedy również w chacie zrobiło się głośno. Usłyszeliśmy naj- . różniejsze przekleństwa, okrzyki strachu i zdumienia, bezradne pytania; nie odpowiadaliśmy.

- Obejdź chatę od tyłu i stań za drugim rogiem - szepnąłem ‘ do Halefa. - Wtedy będziemy mieli

drzwi pomiędzy sobą. Oddalił się ukradkiem.

Nagle dobiegły mnie z wnętrza chaty jakieś ciche szepty. Wy- . tężyłem słuch i zdało mi się, że usłyszałem: „Ukryty pod oknem!” Domyślałem się, co teraz nastąpi, i obserwowałem otwór okienny, ~wystawiwszy tylko połowę twarzy.

Słusznie! Ukazała się podwójna lufa pistoletu. Chciano oddać 154 strzał do domniemanego przeciwnika pod oknem. Nie można było ‘ tego zrobić przy pomocy strzelby, posłużono się więc pistoletem. Wziąłem do ręki swoją rusznicę na niedźwiedzie, chwytając ją za lufę i uniosłem kolbę.

Zrazu widziałem tylko lufy pistoletu, potem ukazał się zamek, a w końcu także ręka trzymająca br~ń. Człowiek, do którego na-leżała ta ręka, albo był bardzo odważny, albo bardzo lekkomyślny; łatwo mogłem mu ją strzaskać kulą. Zamiast tego jednak zama-chnąłem się kolbą i uderzyłem, wprawdzie niezbyt mocno, ale gdy trafiłem, w środku chaty rozległ się dziki wrzask. Ręka zniknęła, a pistolet leżał pod o~knem.

Halef obserwował całe zajście z za drugiego węgła.

- Eji, pek eji - dobrze, bardzo dobrze, sihdi! - pochwalił mnie na głos. - Ten głupiec na przyszłość wolał będzie trzymać rękę za pasem. Zdobyliśmy już trzy sztuki broni!

- Maszallah, aju awdzisi - łowco niedźwiedzi! - usłyszałem okrzyk ze środka chaty. Rozpoznano zatem Halefa po głosie.

- Tak, to ja - odpowiedział. - Wychodź! Jako że nie ma tutaj niedźwiedzi, zapoluję na śmierzące jeże.

Nastąpiła przerwa. Przeciwnicy naradzali się. Po chwili rozległo się pytanie:

- Jesteś sam?

- Nie.

- Kto jest z tobą?

- Efendi, którego uwięziliście, a poza tym jeszcze trzech innych ~~;‘;’ Ujrzeliśmy już bowiem zbliżających się Osko i Omara, ukazał ~~ się również sahraf zajęty wiązaniem koni. Halef nie powiedział „, zatem nieprawdy. Po chwili z wnętrza chaty zapytano:

Gdzie jest Deselim?

Nie żyje.

Kłamiesz.

Powiedz to jeszcze raz, a wrzucę wam ogień na dach i wszyscy się spalicie. Z taką hołotą jak wy nie żartuję!

- A w jaki sposób umarł?

- Płatnerz złamał sobie kark. Na skradzionym karoszu chciał przeskoczyć przez potok w pobliżu Kabacz, ale spadł z konia i skrę- ~ cił kark. W ten sposób odzyskaliśmy konia.

- Jeśli to prawda, niech odezwie się twój efendi.

- Nie widzę przeszkód - powiedziałem.

- Na Allaha, to on!

Człowiekiem, który ze strachem wykrzyknął te słowa, był gruby ‘’ piekarz. Znałem jego gruby głos.

- Tak, to ja! - ciągnąłem dalej. - Pytam was, czy się pod- ‘, dacie.

- Idź do diabła!

- Tego akurat nie zrobię, ale coś innego. Chcieliście mnie za- . mordować, a teraz zrxajdujecie się w moich rękach. Jestem chrze- ‘ ścijaninem i nie będę się na was mścił. Przyślijcie mi Boszaka. ‘ Będzie parlamentariuszem. Powiem mu, pod jakim warunkiem ‘ zrezygnuję z ze~nsty. Jeśli nie posłuchacie tego rozkazu, wyślę „. jednego z moich ludzi do kjai Cz nibaszły. On was uwięzi, i może- : cie się domyślić, co nastąpi potem.

W śradku rozległy się szepty.

- Wychodź - usłyszałem po chwili.

- O Allah! On mnie zabije! - bronił się grubas.

- Pomyślcie też o ukrytych dywanach! - ostrzegłem. - One też będą stracone, jeśli nie uczynicie tego, czego żądam!

- Co zrobisz z bojącym? - zapytał któryś.

- Powiem mu tylko, pod jakim warunkiem puszczę was wolno. .

- Nic mu nie zrobisz?

- Nie. Jeśli przyślecie mi Boszaka i będziecie się zachowywać spokojnie, gdy będę z nixn rozmawiał, włos mu z głowy nie spadnie i bez szwanku będzie mógł wrócić do was.

- A jeśli się z nim nie dogadasz?

- Wtedy też Boszak będ:zie mógł spokojnie adejść i opowiedzieć wam wszystko o przedmiocie naszych rokowań. Nawiasem mówiąc, jeśli będziecie cicho, usłyszycie każde słowo naszej rozmowy. Po-znacie wtedy, że jestem bardzo wyrozumiały, a nawet z radością spełnicie to, czego żądam.

- Niechaj więc wyjdzie do ciebie.

Grubas wydawał się nie chcieć, gdyż wywiązała się dłuższa, prowadzona półgłosem sprzeczka. Tymczasem postawiłem Osko i Oma-ra przy obydwu węglach, które obsadzaliśmy do tej pory ja i Ha-lef. Otrzymali instrukcję, żeby przy najmniejszych oznakach wrogości zrobili użytek ze swej broni.

- Niech Allah wam przebaczy! - usłyszałem grubego farbiera. - Muszę się dla was poświęcić. Jeśli zginę, zadbajcie o moją żonę i dziecko.

Wypowiedziane to zostało tak smutnym i zrezygnowanym tonem, że z trudem się powstrzymałem, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Potem wyszedł z chaty Boszak. Nieraz miałem przed sobą ludzi 156 ~dających obrazem wstydu, strachu i zakłopotania, a że taki obraz, który przedstawiał grubas, widziałem po raz pierwszy w życiu. Nie miał odwagi podnieść oczu i z drżeniem zatrzymał się w drzwiach.

- Podejdź tutaj na bok - rozkazałem. - Tymczasem ci dwaj aelni ludzie będą uważać, żeby twoi towarzysze nie podjęli przeciwko nam jakichś wrogich kroków.

- Będą spokojni i nie ruszą się z chaty! - zapewnił.

- Taką mam nadzieję dla twojego dobra! Nic ci się nie stanie, a przy najmniejszym uchybieniu z ich strony wbiję ci ten nóż między żebra - zagroziłem, wskazując swój sztylet. Farbiarz natychmiast złapał się obiema rękami za brzuch.

- Efendi, miej na względzie, że jestem ajcem rodziny!

- Czy wydając mnie tym mordercom, zapytałeś może o moją ~dzinę? - Chodź!

Schwyciłem grubasa za rękę i pociągnąłem go za róg chaty. Stali m Halef i Ali.

- Maszallah! - zawołał Halef. - Co za bryła mięsa! Już wcześniej, przy naszym pierwszym spotkaniu, nie mogłem się temu Farbiarz ujrzał drugiego z moich towarzyszy i zawołał ze str-

- Hadzi Ali, sahha!

- Tak, twój zięć, którego spotykasz~ tutaj na swoje szczęście - wyjaśniłem. - Przywitaj się z nim, jak to jest w zwyczaju między bliskimi krewnymi.

Sądziłem, że Boszak będzie się wzbraniał, ale pozdrowił krótko hha. Następnie powiedziałem, zwracając się do Boszaka:



- Usiądź, Boszak! Możemy rozpocząć nasze rokowania.

Rozejrzał się speszony dokoła.

- A jak potem wstanę?

# Wtedy mały Hadzi położył rękę na swoim biczu z krokodylej

- Oto, królu wszystkich grubasów, dobry środek na prędkie r~iadanie i szybkie wstawanie. Nie przynieśliśmy ci otomany. W jednej chwili piekarz klapnął na ziemię niczym warek mąki i poprosił:

- Zostaw swój bicz za pasem! Przecież już siedzę!

- Popatrz, jak to zgrabnie poszło! Ma~m nadzieję, że ze wsta~waniem pójdzie równie szybko. Sihdi, powiedz mu, czego od niego żadasz!

- Tak, powiedz mi! - powtórzył grubas, jęcząc ze strachu.

- Przede wszystkim domagam się od ciebie szczerości! -

157 oświadczyłem. - Gdy przyłapię cię na pierwszym kłamstwie, o ślę cię z powrotem do chaty i wezwę kjąję. Jestem efendim z chodu i nastawanie na życie takiego człowieka to nie drobnosł Wiesz, co by się z tobą stało, gdybym złożył doniesienie?

- Nie.

- Zaprowadzono by cię przed sędziego i skazano xxa śmiE

- Tak - wtrącił groźn:ie Halef. - Powieszono by cię odwx nie na szubienicy, głową w dół. Następnie dostałbyś do wyp: trzy wielkie butle trucizny, a na koxxiec odcięto by ci głowę, ri nieź odwrotnie, powiesiwszy cię za nogi.

Zastraszonemu człowiekowi nawet przez myśl nie przeszło,

pogróżki Hadziego to kompletna bzdura. Złożył dłonie i wyją~

- Aman - łaski! Ale nie zrobicie tego?

- Przypuszczalnie zrobię, jeśli odmówisz mi swojej zgody odrzekłem. - Odpowiedz mi teraz! Tylko pozornie dałeś sw~ zgodę na małżeństwo Alego i Ikbali?

- Nie - to znaczy tak, tak - dodał szybko Boszak, spostrze szy moją groźną minę.

- Potem wysłałeś swojego pomocnika, żeby zwołał ludzi, k rzy są teraz w chacie?

- Tak, efendi.
- Mieli mnie zabić?
- Tego im nie kazałem powiedzieć.
- Ale miałem zostać unieszkodliwiony?
- Tak - tak!
- No cóż, to dokła~dnie to samo. Następne pytanie: dywan które leżą w zaroślach, znajdują się tam wbrew woli zwierzc ności?
- Nie - tak, efendi!
- Posłuchaj zatem! W zasadzie powinienem zgłosić zamach moje życie, jak również powiedzieć kjai, gdzie leżą dywany. Ak wrogości względem mnie zamierzam wam wybaczyć, a ta histo~ z dywanami nic mnie nie obchodzi, ponieważ jestem cudzoziex cem. Ale opowiem sahhafowi o składzie dywanów. A wtedy ~ uczyni, co nakazuje mu obowiązek poddanego padyszacha.
- Och efendi, nie mów mu o niczym!
- Ali się o tym dowie, z całą pewnością! Teraz od ciebie zał ży, czy postępować będzie jak twój przyjaciel, czy jak twój wrć Przeznaczyłeś swoją córkę dla Mosklana z Palacy?
- Tak.
- No cóż, Mosklan jest uwięziony. Osobiście go schwytałem:

Ikbalu kocha Alego, a on ją. Oczekuję, że dotrzymasz teraz obietnicę, którą mi dałeś.

Boszak podrapał się za rozciętymi uszami.

- No więc? - zapytał.

- Dobrze, dotrzymam jej! - mruknął.

- Przysięgasz na brodę Proroka?

- Nie wolno mi tego uczynić!

- Dlaczego?

- Jesteś przecież chrześcijaninem!

- Ale twój zięć jest muzułmaninem. Jemu powśnienię to przyśiąć, nie mnie. Decyduj się!

- Efendi, ale gdy Mosklan znowu znajdzie się na wolności, to...

- Milcz! - zgromił go mały Hadzi. - Co nas obchodzi ten wójt! Nie ma się tu nad czym rozwodzić; streszczaj się, bo tak cię rozciągnę swoim biczem, że będziesz dłuższy niż dwa stulecia! 'Oddasz swoją córkę sahhafowi za żonę czy nie? - Tak czy nie?

- Tak - tak!

- Przysięgasz to Alemu? - pytał dalej Halef.

- Tak.

s'... - Na brodę Proroka i na brody wszystkich pobożnych kalifów i wiernych?

- Tak.

- Twoje szczęście. Nie czekałbym ani chwili dłużej.

- Efendi, czy już dobrze? - zwrócił się do mnie wystraszony farbiarz. - Puścisz nas teraz wolno?

- Nie. Nie skończyliśmy jeszcze.

- Czego jeszcze żądasz, efendi?

- Już raz dałeś mi słowo, choć nie zamierzałeś go dotrzymać.

~ym razem się zabezpieczę. Dasz sahhafowi swoją zgodę na piśmie.

- Jak to?

- Sporządzimy prawomocną masbatę 84, którą podpiszesz.

- Dobrze, sporządzimy ją w moim mieszkaniu. Ale najpierw nas uwalnij!

- Nie, nie uwalniaj go! - ostrzegł teraz sahhaf, który do tej ‘ pory nie odzywał się wcale. - Znam go. Jak wiesz, efendi, sprze-daję ś~ęte pisma. Zawsze więc mam w torbie u siodła papier, ‘.pióro i atrament. Niech od razu sporządzi masbatę.

- Też tak uważam! - zgodz~iłem się.

- Ale ja nie mogę! - sprzeciwił się farbiarz. - Jestem taki

# ~ dokument, protokół

zdenerwowany, ręce mi drżą. Moje ciało jest niczym trzęsąca się ziemia pełna ognia!

- Mam może uspokoić to trzęsienie ziemi? - zapytał Hadzi, wykonując znamienny ruch ręką w kierunku swojego bicia.

- O Allah, o Allah! - uderzył w lament grubas. - Jestem niczym krzak rzucony pomiędzy dwie skały, które go miażdżą!

‘ - Albo niczym owca, którą dwa lwy szarpia, każdy w swoją stronę! - roześmiał się Halef. - Efendi da ci tylko minutę do namysłu.

- Czy to prawda, efendi? - zapytał Boszak.

- Tak. Kiedy minie ~minuta, będziesz mógł wrócić do chaty, ja natomiast poślę po kjaję!

- Zaryzykuję! Niech Mosklan się na mnie gniewa; nie mam wyjścia! Podpiszę!

- To jednak jeszcze mi nie wystarcza!

- Nie? Czegóż jeszcze chcesz? - jęknął Boszak.

- Twoi towarzysze zgrzeszyli razem z tobą. Niech więc i oni’: zadbają teraz o to, żebyś dotrzymał danego słowa. Oni również’ mają przysiąc i podpisać jak ty. Mają pojechać z nami do ciebie’’; a ty przed swoim domem ogłosisz zaręczyny swojej córki z sahha-; fem.

- Moi przyjaciele nie podpiszą.

- Dlaczego?

- Nie potrafią pisać.

- Może tak samo jak ty. A jeśli rzeczywiście nie potrafią na-

pisać swojego nazwiska, to każdy zostawi pod pismem odcisk swe go palca. Tyle tylko od nich żądam, potem będą wolni.

- Mimo to nie zrobią tego, gdyż...

- Stój, Boszak! - przerwał mu jakiś głos ze środka. - Czyq~ z twojego powodu mamy się narażać na niebezpieczeństwo? Efen=;~ , di, czy to naprawdę wszystko, czego żądasz? ;

- Tak.

- I potem nie będziesz opowiadał o tym, co się tutaj stało? „~

- Nie.

Rozpoznałem głos żebraka. Był głównym winowajcą, więc star ~ się najgorliwiej odwrócić od siebie niebezpieczeństwo. Ledwo usły~ szął moje „nie”, zawołał:

- W takim razie niech bojaczi podpisze masbatę! My też pod=; piszemy.

- Co na to powie Mosklan? - upierał się grubas.

- Nic nie może powiedzieć. Wiesz, że musi się mnie obawiać Nie może się przeciwstawić. 160

- Dobrze! - zdecydowałem. - Doszliśmy do porozumienia. bżesz wrócić do chaty, bojaczi.

- Bez podpisywania? - ucieszył się.

- Sporządzdmy masbatę w środku. Pójdę z tobą.

- Na Allaha, zostań, sihdi! - ostrzegł Halef, chwytając mnie rękę.

- Phi! Ci ludzie nic mi już nie zrobią. Wejdę tam razem z nim.

~śli usłyszycie, że coś mi się stało, podpalcie dach i pilnujcie ~zwi z bronią gotową do strzału. Wtedy nikt się nie wymknie.

- Tak, wejdź, efendi! Nic ci nie grazi! - zawołał ze środka

- Sihdi, idę z tobą! - oświadczył Halef.

- Dobrze, przekonaj się, że nie musimy się już niczego oba-iać. Wstawaj, Boszak!

Bojaczki podniósł się postępując i chwiejnym krokiem wtoczył x do chaty. Podążyliśmy za nim. Halef wyciągnął pistolet, zaraz ~ jednak schował z pawrotem, g~dy spostrzegł, że mężczyźni, i sie~ą w jednym kącie, a swoje strzelby oparli o ścianę w drugim. ~łem znak Osko, Omarowi i sahhafovi i oni również weszli do Grubs znowu zaczął się wzbraniać. Bał się Mosklana, jednak po~:stali, zwłaszcza że brak, nalegali na niego, tak że w końcu oświad-~'ył, że się zgadza.

‘ Wtedy sahhafovi wielce zadowolony poszedł do swego konia i przy-(ósł przybory do pisania.

- Ty spiszesz dokument, efendi? - zapytał.

~--- Nie. To ty jesteś narzeczonym. Sam zadbaj o to, żeby narze~~na ci się nie wymknęła!

;Ali zaczął więc pisać swe stylistyczne arcydzieło. Trwało to bar~~o długo, zanim się z nim uporał, po czym wręczył mi dokument. ~zeczytałem go i stwierdziłem, że nie pozostawiał najmniejszej ąrtki do odwrotu.

Kiedy przyszła kolej na piekarza, żeby go podpisał, lamentsy częły się od nowa.

- Sihdi, czy nie byłoby lepiej od razu powiesić tego grubasa?”

~ zapytał Halef. - Stryczek go i tak nie ominie! Bo jeśli w tej wili nie podpisze, natychmiast wyruszę i ściągnę tutaj kjaję. y tymczasem przypilnujcie tego tłuszczocha!

- Już piszę - już piszę! - wrzasnął Boszak.

I wreszcie złożył pod dokumentem swój podpis. Następnie sahhafovi

irócił się do pozostałych, z których każdy szybko odcisnął swój

t?V wąwozach Bałkanbw 161

palec i potwierdził ustnie obietnicę. W końcu, kiedy wszystko było w porządku, Ali oświadczył:

- Teraz pojedziemy do Czniebaszly. Będziecie świadkami, , Baszak wkłada do mojej ręki dłoń Ikbali!

- Dajcie mi najpierw odsapnąć! - jęknął farbiarz. - Led się trzymam na nogach z tego...



- Posłuchaj! - przerwał mu Halef, wskazując na wejście.

Ja również usłyszałem galopującego kania. Przypuszczalnie j  
dziec był już na miejscu, gdyż przy miękkości leśnego podł~

ć . tętent kapyt słych.ać było tylko z najbliższej odległości. Nie zdą  
liśmy się jeszcze podnieść, gdy wszedł do środka. Można so  
wyobrazić moje zdumienie, kiedy rozpoznałem Mosklana, kt~  
padał się za agenta Pimosę.

Jak umknął kowalowi? Gzyżby - lecz na takie myśli zabra  
mi czasu, gdyż rozpoznał mnie ,natychmiast.

- Lanetli czapkyn, burada - przeklęty łotrze, masz! - ryk Mosklan, zwracając się do mnie.

Ujrzałem w jego rękę pistolet. Ukazał się błysk wystrzału. Sz; ko rzuciłem się w bok i - w  
następnej chwili rąbnąłem ko sztucera strzelca w głowę, tak że wypuścił swoją broń i z gard  
wym okrzykiem zakrył obiema rękami twarz, nie trafiłem go i wiem w czaszkę, tylko w twarz,  
panieważ handlarz koźmi zdć wykonać zwrot. Prawie w tym samym momencie Halef przewri go  
na ziemię i teraz klęczał na nim. Wszystko ta rozegrało się ~ błyskawicznie, że nikt z  
pozostałych nie zdążył się podnieść z zie:

Teraz naturalnie wszyscy zerwali się na równe no~gi. Halef pr trzymał bandytę, a Osko związał  
mu ręce. Mosklan nie stav~ prawie żadnego oporu. Trzymał się rękami za twarz i skowyc  
wydawał gardłowe jęki - cios kolbą zgruchotał mu przednie zę a może nawet dolną szczękę.

Ale jeszcze ktoś drugi wydawał odgłosy bólu, a właściwie wr szczał, jakby go nadziewano na  
pal: gruby farbiarz-pżekarz. Kiedy Mosklan strzelił, a ja szybko odsunąłem tułów w b grubas ze  
strachu mimawolnie ruszył ręką. Przy tym jego d znalazła się na linii strzału i kula trafiła go w  
mały palec.

- Parmagym, elim, kolum, wuczudum - mój palec, moja dł moja ręka, moje ciało! - ryczał. -  
Bana isabet etti beni wur beni, beni - zostałem trafiony, zastrzelił mnie, mnie, mnie!

Jednocześnie, pomimo swego ciężkiego ciała, grubas skakał

, całej izbie jak szalony.

- Pokaż! - rozkazałem.

~s‘’~:.. . ~ 6G

- Tutaj, tutaj! Tu płynie krew, tędy ucieka ze mnie żyGie! Je-em martwy, jestem trupem!

Stwierdziłem, że kula tylko drasnęła palec. Zdarła jedynie tro-ię skóry i mięsa.

- Zamilcz! - huknąłem na niego. - To nawet nie jest rana! ie boli przecież, prawie tego nie czujesz!

- Tego? Nie czuję? - zapytał zdziwiony.

Baszak obejr~zał palec dokładn;iej, odczekał chwilę, czy rzeczy-iście go boli, i odetchnął z ulgą:

- Allah kerim! Tym razem jeszcze szczęśliwie umknąłem nierci. Ale gdyby kula przeszła trochę bardziej w prawo, byłoby ,ż po mnie!

- Tak, dwie stopy bardziej w prawo!

- Tylko dwie stopy! Efendi, ta kula była przeznaczona dla cie-e! Dlaczego tak szybko adsunąłeś głowę?

- Naturalnie po to, żeby się nie dać trafić!

- I zamiast ciebie Mosklan trafił mnie! Ten nędznik mógł mnie izbawić życia! Ja mu obiecałem swoją córkę, a on do mnie strze-! Czy Mosklan nie mógł lepiej wycelować? Czy nie mógł bardziej ważyć? Pomiedzy nim i mną wszystko skończone, nieodwołalnie :ończone! Szabanie, chodź tutaj i opatrz mnie!

Żebrak jednak przykuenał już przy Moskianie, by zbadać jego rrażenia. Ranny chciał mówić, ale nie mógł. Wydawał tylko ja-eś gardłowe dźwięki. Tym wymowniejsze jednak były jego oczy, ~órymi by nas wszystkich najchętniej zasztyletował, gdyby to ~ło możliwe. Widział, że nie okazujemy sobie wrogości.

- Co z nim? - zapytałem Szabana.

- Jeszcze nie wiem. Szczęka też jest uszkodziona. Trzeba będzie ezwać prawdziwego lekarza. Mosklan musi tu zostać. ;Bardzo dobrze wiedziałem, o co mu właściwie chodzi, i odpar-A więc ty nie będziesz mógł pojechać z nami do Cz nibaszly, musisz zostać tutaj. My natomiast, mam na myśli wszystkich stałych, musimy natychmiast ruszać w drogę.

Co? - spytał Halef. - Sihdi, zamierzasz zostawić tego czło-a tutaj?

Tak.

Zważ, że handlarz końmi uciekł! Jak w ogóle udało mu się ? Może zamordował kowala?

Niebawem się tego dowiemy. Moskian nie może nam prze-umknąć. Szaban będzie się nim opiekował, dopóki nie przy-v wiadomości.

- A ja sprowadzę lekarza - oświadczył Murad.

, - Zrób to! - powiedziałem. - Pozostali natomiast jadą mną!

Żaden się nie apierał. Przejrzałem ich. Podporządkowali się x jej woli, ale nie chcieli zarazem zostawić na lodzie swego rann sprzymiex~eńca. Osko i Omar przyprowadzili swoje wierzcho~ ‘  
Wszyscy dosiedliśmy koni. Dziwnym trafem gruby farbiarz r szybciej znalazł się w siodle.

Inni podążali za nami wolno i coraz wolniej. Kiedy wyjechaliś z lasu, nie było już za nami żadnego.

- Sihdi, poczekamy na nich? - zapytał Halef.

- Nie. Rad jestem, że się pozbyłem tych ludzi!

- Ale przecież muszą jechać z nami do Boszaka!

- Nie potrzebuję ich! - mruknął grubas. - W ogóle nie trzebuję takich przyjaciół, którzy do mnie strzelają. - Tam z: wu ktoś nadjeżdża!

Już wcześniej spostrzegłem jeźdźca, któxy zmierzał w naszą st nę na nie osiodłanym koniu. Zauważyłem, że zwolnił, kiedy ~ zobaczył.

- Ach, a więc nic mu się xue stało - adetchnąłem z ulgą.

- Kto to? - zapytał Osko jadący za mną.

- Kowal. Dziś ciągle l~toś kogoś ściga. Prawdziwe polowa z nagonką!

Papędziliśmy swoje koxxie. Gdy Szimin mnie razpoznał, zawc z daleka:

- Hamdulillah! Żyjes~z! Bardzo się o ciebie martwiłem.

. - A ja o ciebie. Stała ci się jakaś krzywda?

- Nie.

- A twojej kabiecie?

- Mosklan uderzył ją pięścią w głowę, ale to mniej groźne, ; początkowo sądziłem.

Zatrzymaliśmy się naprzeciw siebie. Kowal był mocno zszany.

- Widzieliście Mosklana? - zapytał Szimin.

- Tak. Strzelił do mnie, ale nie trafił.

- Ciekaw jestem, skąd miał broń.

- Jak to się stało, że uciekł?

‘ - Najpierw przybyli twoi przyjaciele - powiedział kowal i wysłałem ich za tobą do Boszaka, którego widzę tutaj u twojego boku. Potem zająłem się pracą w kuźni. Nagle ujrzałem uciekać tego więźnia. Pobiegnąłem do swojej żony. Leżała w izbie i trzymała się rękami za głowę. Jeszcze całkiem nie oprzytomniała. Napadł na nią i powalił ją na ziemię.

- Jak to było możliwe? Jak Mosklanowi udało się wydostać z piwnicy? ~

- Efendi, popełniłem wielki błąd. Hadzi Halef Omar chciał zabaczyć więźnia. Spełniłem jego życzenie, ale potem zostawiłem opartą drabinę. Mosklan oswobodził się z więzów i wyszedł z piwnicy.

- Udało mu się podnieść klapę?

- To przecież tylko plecionka z wikliny. Więzień podważył ją barkiem. Hałas, jaki przy tym wywołał, nie mogłem usłyszeć, bo kułem. Za damem stał jego koń. Odkrył go tam i na nim uciekł.

- Jak to się jednak stało, że handlarz kałmi pojechał za nami?

Skąd mógł wiedzieć, gdzie jestem?

- Mosklan słyszał pewnie, o czym rozmawiałem z twoimi to-

- W takim razie byliście jednak bardzo nieostrożni.

- Masz rację. Dlatego też chciałem naprawić swój błąd. Dałem twojej kobiecie wody, żeby sobie robiła zimne okłady na głowę, ~obiegłem do wioski, wziąłem pierwszego konia, jakiego

znalazłem, : pojechałem do Czhibaszy. Tam dowiedziałem się od żony pie-ćarza, że pojechałeś do Kabacz, za tobą jej mąż z Deselimem, a za . ~imi twoi przyjaciele. Następnie zjawił się u niej zbieg, usłyszał ~o samo i podążył za wami. Natychmiast popędzałem więc dalej ciesząc się z całego serca, że widzę was powracających w dobrym ~rowiu. Teraz ja chciałbym się dowiedzieć, co się z wami działo. W krótkich słowach opowiedziałem Sziminowi nasze przygody. uedy skończyłem, stwierdził z zadumą:

- To wszystko zr~ządzenie Allaha. Moskian otrzymał swoją karę, t ja się go pozbyłem. Jak zamierzałeś zabrać ga ode mnie, efendi?

- Nie byłoby to wcale trudne, ale teraz nie jest już konieczne

- adpowiedziałem.

ř Mówiąc szczerze, byłbym jednak w wielkim kłopotcie. Moskian ie mógł przecież wiecznie siedzieć w piwnicy kowala. I jak go u uwolnić, żeby nie mógł się zemścić?

Właśnie o tej zemście powiedziałem tera2 kilka słów. Jednak zimin uspokoił mnie:

- Nie martw się o mnie! I?zięki wam dowiedziałem się teraz ;~le, że nie muszę się bać tego handlarza końmi. Teraz nie może ~ówić, więc chwilawo nie przysporzy ci kłopotów, a ja już sobie nim poradzę.

- Ja też - mruknął grubas. - Strzelił do mnie. Moje ż~ wisiało na jednym włosku.
- Nie na twoim włosku, tylko na mojej całej głowie!
- Może chciał jedną kulą zastrzelić ciebie i mnie! Ale, ef di, oto i wioska. Jedźmy wolniej. Chciałbym wcześniej jesz o coś zapytać.



Zostałem razem z Boszakiem nieco z tyłu, i wtedy  
rzekł do m~

- Opowiesz Alemu o dywanach?
- Tak.
- Zdradzisz mu także miejsce, w którym one leżą?
- Nawet mu je pokażę.
- Nie mógłbyś tego zaniechać?
- Nie. Chcę, żeby Ali złożył na ciebie doniesienie.
- Jesteś okrutny. Naprawdę chcesz, żeby to zrobił?
- Tak.
- I zmusisz sahhafa, gdyby chciał z tego zrezygnować?
- Muszę odjechać, nie mogę go zatem zmusić. Ale z pewno: to zrobi, jeśli nie dotrzymasz danego mu słowa. Postępuj stosownie do tego!
- Dotrzymam słowa.
- W takim razie sprowadź od razu kjaję i trzech sąsiadów jako świadków. Taka jest moja rada.
- Sądziysz?
- Tak. Musisz sahhafowi dowieść, że poważnie traktujesz zaręczyny.
- Spełnię twoje życzenie i - o Allah - jakże się ucieszą m żona i moja córka!

W ten oto sposób objawiła się wreszcie wro~dzona dobroduszn grubasa! Twarz jego błyskawicznie się rozpogodziła, i gdy pr; jego domem zeskoczyliśmy z koni, on zaś formalnie stoczył się swego muła, pośpieszył przodem, otworzył drzwi, i usłyszeliśr jak woła:

- Czileka, Ikbala, gelin, gelin, koszun, bis burda is - chodzi chodźcie, pośpieszcie się, już je~steśmy!

Przybiegły kobiety. Najpierw spostrzegły pana domu, pot mnie.

- Efendi, to ty! - zawołała najmilsza w całej Rumelii. - N ci się nie stało? Allahowi niech będą dzięki! Kazałam cię ostrze Czy ty także dotrzymałeś słowa?

- Tak, przyprowadziłem ci twojego upragnionego.

- Gdzie, gdzie?

- Tutaj!

Mówiąc to wskazałem małego Halefa, który wszedł za mną. Po-zostałych nie było jeszcze widać.

Inkali' min hon - idź do diabła! - zawołał na jej widok Halef, na szczęście jednak w swoim arabskim dialekcie, którego ' dziewczyna nie rozumiała.

Ikbala natomiast zapytała zdziwiona:

~: - Czy to ma być ten?

- Tak, słodka córa czerwonej~ barwy.

- Tego przecież w ogóle nie znam!

k - A on chce ci poświęcić życie! Ale, widzę że idzie jeszcze ' ; jede,n. Dokonaj wyboru między nimi dwoma!

Za Halefem wcisnął się do izby Ali. Ikbala spojrzała na ojca !; zmieszanym i pytającym wzrokiem.

- Hangisini taniorsun - którego więc znasz? - spytał grubas ' : ' .: ze śmiechem.

- Bunu - tego - adparła dziewczyna, wskazując sahhafa.

- Sana elwerirmi - wystarczy ci taki?

- Ewwet, biisbutun - tak, w zupełności!

- Al anu - weź go - zaśmiał się gruby piekarz.

Na te słowa Ikbala zasłoniła rękami twarz, wybuchnęła głośnym ,, szlochem, czy to ze wstydu, czy z zachwytu, nie sposób było orzec, ~. ~ uciekła przez te same drzwi, którymi weszła.

- Efendi, widzisz, jakie przyniosłeś nieszczęście? - rzekł do ~mnie w połowie z zatroskaniem, w połowie śmiejąc się piekarz.

- Poślij jej zatem szczęście - roześmiałem się i ja, wskazując ~na sahhafa.

- To niemożliwe - zaprotestował Boszak. - Żadnemu mło- ' ~dzieńcowi nie wolno być sam na sam z wybraną dziewczicą przed dniem ślubu.

Pacziwiec nie przeczuwał, że jego Ikbala spotykała się już nie~az ze swym wiernym Alim w cztery oczy, za domem, pod opieką ~‘ dyskretnej Czileki i jeszcze bardziej dyskretnego księżycy. Więc ty idź z nim - doradziłem.

- Nie mam czasu.

A Czileka nie mogłaby mu towarzyszyć?

- Ona też nie. Jesteście naszymi gośćmi i należy wam się po~częstunek. Mamy więc co rabić.

Poczęstunek? Czyżby chciał nas nakarmić i napoić? Czym? Czyż~‘::’ by smakołykami, które zdążyłem już poznać? Czym prędzej zatem ‘: pośpieszyłem z odmową.

- Niech ci wystarczy nasze pozdrowienie! Naprawdę mam bar~dzo mało czasu. Muszę jechać.

- Efendi, nie zrobisz mi chyba tej przykrości! Patrz, dzień i prawie już się skończył. Dokąd chcesz się jeszcze wybierać? Boszak miał rację. Było już późne popołudnie. Halef zresztą też zapytał cicha:

- Sihdi, czy naprawdę chcesz jeszcze dzisiaj wyruszyć?

- Jest to niemal niezbędnie konieczne.

‘ - Sam? Bez nas?

- Wolałbym tego znowu nie ryzykować.

- Zważ więc, że bez przerwy byliśmy w siodle i że nasze konie; potrzebują odpoczynku.

- No dobrze, w takim ra~zie zostaniemy jeszcze jakiś czas tu:~y taj, a noc spędzimy u Szimina, mojego przyjaciela.

Słyszając to dzielny kowal wydał radosny okrzyk i rzekł:

!

- Efendi, nie uwierzysz, jaką radość mi sprawisz
- Wiem o tym!
- Nazwałeś mnie swoim przyjacielem!
- Bo nim jesteś. Dowiodłeś tego. Kiedy już wrócę do swoje' ojczyzny, będziesz należał do tych, których zawsze chętnie będ wspominał.
- Muszę to powiedzieć mojej kobiecie. Ach, nawet nie wiem jak się czuje!
- Pażyczyłeś sobie konia i musisz go' oddać. Weź więc mojego zobacz, co z twoją żoną, a potem wróć tutaj.
- Niech mnie Allah broni! Takiego konia dosiadać może tylk dostojny człowiek. Bez trudu dostanę jakiegoś innego i zaraz d was wrócę.

Szimin wyszedł. Było mi to nawet na rękę, jako że właściwi mój Kary miał być mi jeszcze niezbędnie potrzebny. Dla naszego bezpieczeństwa musiałem się dowiedzieć, co tymczasem zdarzył”^ się w chacie. Kiedy wszyscy usiedli i farbiarz ze swoimi kabiet zajął się organizacją obiecanego „przyjęcia”, rzekłem do Halefa‘

- Nie przejmuj się, jeśli teraz zniknę na jakiś czas! Muszę zo: baczyć, jak się miewa Mosklan.
- Oszalałeś, sihdi? - Chcesz wrócić do chaty?
- Tak.
- Zabiją cię.

, - Phi! Teraz nie dam się już zaskoczyć. Poza tym jestem prze ; konany, że chata jest pusta. Na pewno zabran~a stamtąd Mosklanay żebyśmy go w razie potrzeby nie mogli znaleźć.

- Właściwie nie musi się ciebie obawiać. Nie miałeś prawa g uwięzić.
- To prawda. Mima to Mosklan boi się mnie, a i z innyc „„„

168 względów też ma nieczyste sumienie. Nie mów farbiarzowi, dokąd pojechałem.

- Ale jeśli wkrótce nie wrócisz, pojedę za tobą!

- Dobrze, niech tak będzie.

Wyszedłem na zewnątrz i ulotniłem się po cichu. Wolałem nie jechać wcześniejszą drogą. Łatwo mogło mnie tam czekać jakieś nieprzyjemne spotkanie. Dlatego ruszyłem nie na południe, lecz na zachód, ażeby dostać się do lasu od strony Kabacz. Mając po lewej ręce północny skraj lasu, galapowałem przez łąki i przy szybkości mego Riha wkrótce dotarłem do miejsca, gdzie las rozciągał się na południe w kierunku Kabacz. Wtem poza lasem, w bok od wspomnianego miejsca, spostrzegłem grupę jeźdźców, która zdawała się posuwać naprzód w bardzo wolnym tempie. Ludzie ci zatrzymali się przy samotnym domu i właśnie podjęli przerwana jazdę.

Domyśliłem się, że mam przed sobą poszukiwanych. Dzieliły mnie od nich niespełna dwa kilometry.

- Kawam, kawam - szybko, szybko! - zawołałem na swego karosza.

W przypadku Riha nie trzeba było stosować żadnych innych środków, chcąc skłonić go do większego pośpiechu. To była prawdziwa przyjemność tak frunąć przed siebie na jego grzbiecie. W nie~wiele minut dotarłem do domu i zsiadłem z kania. Jechałem tak, aby budynek przez cały czas był między mną a grupą jeźdźców, a zatem bym nie został zauważony.

Przed drzwiami siedziała kobieta w średnim wieku i kroїła arbuzy.

- Massalchair - dobry wieczór - pozdrowiłem ją w języku arabskim.

Kobieta bez słowa spojrzała na mnie przez szczelinę w swojej chustce zasłaniającej głowę. Powtórzyłem pozdrowienie po turecku i wtedy mnie zrozumiała. Podziękowała uprzejmie.

- Nie dałabyś mi do skosztowania arbuza? Chce mi się pić - paprosiłem.

- Bardzo chętnie, efendi.

Odkroїła spory kawałek i podała mi. Zauważywszy, z jakim smakiem zajadam owoc, rzekła z zadowoleniem:

- Sama je zasadziłam. Parę minut temu musiałam skroїć cały owoc innym ludziom. Oni nie

prasili tak uprzejmie jak ty.

- Ale zapłacili ci?

- Nie żądam 'zadnej zapłaty, choć jestem bardzo biedna i wyhodowałam niewiele owoców.  
Ale oni mnie w dodatku obrabowali.

- Niewdzięcznicy! Co ci zabrali?
- Moją najlepszą chustkę na głowę. Jeden z nich był ranny ‘ i zrobili mu z niej opatrunek.
- Nie znasz tych ludzi?
- Był wśród nich żebrak Szaban, który mieszka w lesie, i Mu- : rad, jego kompan.
- Nie wiesz, dokąd jechali?
- Zamierzali pojechać do Usundere. Tam mieszka jakiś krew- : ny Szabana, który jest znachorem. U niego~ mają umieścić cho- ‘ :. rego.
- Czy nie mówili o tym, w jaki sposób ten człowiek został ranny?
- ~ Spa~dł z drzewa i uderzył twarzą w jakiś kamień. Wybił sobie ‘ wszystkie zęby.
- Biedny człowiek!
- Och, nie ma kogo żałować! Znam go, tylko nie mogę sobie :’ : przypomnieć jego nazwiska. To on sprowadza na złą drogę naszych ; mężczyzn! ;
- Twojego też?
- Nie. Jestem wdową. Mój pan nie żyje.
- Masz dzieci?
- Troje. Najmłodsze leży chore na szkarlatynę, dwoje starszych ‘ e poszło nad wodę nałapać pijawek, które sprzedają znachorowi. :ł Płaci jedno para za dziesięć sztuk.

Biedna kobieta! Cóż za nędzna zapłata! Wyciągnąłem z kieszeni ;’ pięć piasstrów i dałem jej.

- Proszę, weź, kup za to swojemu dziecku jakąś miksturę.

Pięć piasstrów to była drobnostka, dla kobiety jednak już spora ‘ suma. Zapytała więc z niedowierzaniem:

- Chcesz mi to podarować?



- Tak.

- Efendi, jesteś tak bogaty?

- Tak.

- W takim razie dobroć twego serca jest tak wielka jak twój majątek. Niech Allah ci...

Dalej już nie słuchałem, gdyż wskoczyłem na siodło i odjechałem, żeby powrócić do swych towarzyszy. Dowiedziałem się dosyć i miałem teraz pewność, że nic nam nie grazi.

Kiedy w Czhibaszly zsiadłem z konia za domem naszego grubego gospodarza i ojca narzeczonej, spostrzegłem wiszącą na jakimś kołku zakrwawioną skórę, a równocześnie w moje nozdrza 170 uderzył zapach pieczeni. Jeszcze przed kilkoma minutami skóra ta była odświętnym strajem jakiejś owcy.

Pod jedną ze ścian szczytowych, gdzie podmuchy wiatru najmniej dawały się we znaki, zastałem piekarza i jego połowicę w trakcie osobliwego zajęcia. Na ziemi stało niskie drewniane naczynie, nazywane u nas w zależności od regionu cebrem, szaflikiem, kubłem itp. Ponad naczyniem przeciągnięto trzy grube pręty. Na środkowy nadziana była zabita owca. Na jej ciele oraz na obydwu pozostałych prętach ułożono bierwiona, a następnie podpalono ten stos. Z wierzchu owca spaliła się na węgiel, trochę poniżej po prostu się piekła, a jeszcze niżej jej ciało i dusza pozostały nietknięte przez ciepło. Z piekającej się warstwy natomiast tłuszcz kapał w potwornie rzadkich odstępach na dno naczynia, gdzie znajdowała się warstwa ryżu. Jednakże boczne ściany tej dziwnej brytfanny były zafarbowane kraplakiem tak pięknie na czerwono jak spodnie francuskich mundurów. I mimo najlepszych '.....' chęci nie mogłem się przemóc i musiałem pomyśleć o czerwonych rękach grubej Czileki, o mieniącym się wszystkimi kolorami płaszczyzny jej męża i nasunęło mi się wtedy podejrzenie, iż obecne naczynie do pieczenia służyło pewnie w innym czasie za kubek do farbowania.

- Gdzie byłeś, efendi? - zapytał grubas. - Dobrze, że jesteś.

Na waszą cześć zabiłem owcę. Sąsiad ~ni ją sprzedał.

- Mięso się przypala. Czy nie zamierzasz obrócić pieczeni?

- Widać, efendi, że jesteś tu obcy! W ten sposób Epozbaawiłbym mięso wyborowego smaku.

- Czy ryż zrobi się miękki od kapiącego tłuszczu?

- Wcale wszak nie musi. Czyż nie znasz przysłowia: „Pilaw musi trzeszczeć i chrupać”? Miękki nie smakuje.

- Czy nie wydaje ci się, że resztki spalonych bierwion wpa-;.dają do ryżu?

- Nic nie szkodzi. Popatrz, wyjąć to żadna sztuka.

Boszak sięgnął da środka i zadał sobie trud usunięcia palcami ‘; . z ryżu śladów popiołu. Mimo woli pomyślałem o mojej nadobnej Mersynie z Amadije, która cebulą pocierała swoje kaprawe oczy. Przez kogo przygotowany posiłek lepiej było spożyć, przez nią czy przez tę korpulentą, czerwoną od kraplaku parę małżeńską tutaj w Gznibaszy?

Zrezygnowałem z dalszego wnikania w tajemnice kulinarne far-biarzy i wzdrygnąwszy się wycofałem się do domu. W drzwiach pomieszczenia mieszkalnego spotkałem Halefa.

- Jesteś, sihdi! - zawołał z radością. - Wydawało mi się, że trwa to już za długo. Właśnie zamierzałem wsiąść na konia.

- Widzisz, że nic mi się nie stało. Co robiliście do tej pary?

- Och, nie nudziliśmy się wcale. Poszedłem z piekarzem kupić owcę, to dopiero była zabawa. Chciał dostać zwierzę w prezencie, bo miało być przeznaczone dla tak dostojnego pana, którego cała wioska powinna uważać za gościa. Z tego powodu wybuchła taka ‘ kłótnia, że trzeba było w końcu wezwać kjaję.

- A któż jest tym dostojnym panem?

- Ty, któż by inny? Może ja?

- Ach tak! I dla mnie miałyby być przeznaczone ta pieczeń?

Życzę smacznego! - Chodźmy do izby!

W śradku zamierzałem właśnie usiąść, gdy z pomieszczenia obok, które wydawało się przeznaczone dla dam, usłyszałem osobliwy ; odgłos. Brzmiało to tak, jakby ktoś dostawał naprawdę siarczyste policzki, a do tego słychać było jęki i westchnienia, które skłoniły mnie do niepokoju o znajdujące się tam osoby.

- Kto tam jest? - zapytałem sahhafa.

- Ikbala, gwiazda moich oczu.

- I kto jeszcze?

- Nie wiem.

- Co ona tam robi?

- Wiem ja to, efendi? Słyszę, jak jęczy. Obawiam się, że stało jej się coś złego. Chciałbym pomóc Ikbali, lecz jestem narzeczo-nym i nie wolna mi wejść do niej.

- Myślisz, że ja mógłbym wejść~ć?

- Tak. Ty jesteś chrześcijaninem, a poza tym widziałeś już jej twarz. Nie zawstydzisz mej nadobnej, jeśli do niej pójdziesz. , - Nie martw się! Najpiękniejsza w Rumelii nie ma się czego ‘ obawiać z mojej strony.

Podszedłem zatem do drzwi i zajrzałem do sąsiedniego pomieszczenia. Ikbala siedziała na ziemi. Po jej prawej ręce stało naczynie podobne do dzieży, w którym znajdowało się dziwnego koloru ciasto. Obydwie ręce po same łokcie i wyżej oblepione miała tą masą. Właśnie wyciągnęła z dzieży parofuntowy kawał tego ciasta i próbowała mu nadać okrągły kształt. Odbywało się to w ten sposób, że Ikbala obracała go w jednej dłoni, drugą natomiast, otwartą dłonią oklepywała go ze wszystkich stron. To były owe policzki, które słyszałem.

Dziewczyna wykonywała to zajęcie z takim oddaniem, że pot kapał jej ze wszystkich porów skóry. Całą twarz miała pąsową i mokrą od potu.

- Co tu robisz? - zapytałem ją.
- Piekę - odpowiedziała z ważną miną.
- Co?
- Kule armatnie.
- Dla kogo?
- Oczywiście dla was, naszych gości.
- Jak smakują te kule?
- Jak potrawa z rajskiej kuchni.
- Co wzięłaś do tego ciasta?
- Wiele składników: mąkę, wodę, rodzynki, migdały, oliwę ; oliwek, sól, pieprz i różne aromatyczne zi~ała.
- Jak długo to jeszcze potrwa, nim ciasto będzie gotowe?
- Kiedy pieczeń będzie gotowa, włoży się kule do tłuszczu pieczeni i ryżu i ugotuje się je na parze. ~ - To będzie przedsmak siedmiu nieb!
- Tak. Skosztuj ciasta! Na pewno nigdy jeszcze czegoś takiego je jadłeś.

Ikbala wsadziła palec do dzieży, po czym wyciągnęła go, oble-lony ciastem, i podsunęła mi z nadobnym uśmiechem.

- Dziękuję ca, kwiecie gościnności! Gdybym skosztował już te-~z, zepsułbym sobie całą przyjemność, z jaką będę jadł później woje kule armatnie.
- Ależ weź! Jesteś twórcą mojego szczęścia. Jedyne tobie zaw-~ięczam, że ojciec tak prędko zmienił zdanie.

Najpiękniejsza córka Rumelii skinęła na .mnie niecierpliwie. ~raniłem się jednak tak gorliwie, że w końcu dała za wygraną wsadziła palec do własnych ust, by za chwilę uwolnić go od cia-;a z głośnym mlaśnięciem.

Rodzynki, migdały, olej, pieprz! Tak czy owak musiało to dawać ! rezultacie jakiś potworny smak. A do tego woda, na której wi-bk trząłem się z obrzydzenia. I rozmaite zioła. Oj, biedny Ali, Gk twój żołądek będzie wyglądał za parę miesięcy! Natychmiast bardzo się ucieszył, usłyszawszy ode mnie, że wy-eance jego serca nie grozi żadne niebezpieczeństw~o. Poza tym rócił akurat kowal, i w tej samej chwili przed domem zeskoczył konia jakiś jeździec, w którym rozpoznałem jednego z ludzi oble-anych przez nas w chacie żebraka. Usłyszałem, że pyta o mnie, wyszedłem na dwór. Przybysz wziął mnie na bok i powiedział:

- Efendi, postąpiłeś względem nas wspaniałomyślnie, a poza zn jesteś bogaty. Chciałbym ci coś przekazać.

- Więc mów!

- Co mi dasz za bo?

- Nie wiem, czy to, co chcesz mi powiedzieć, ma dla mnie jakąś wartość.
- Och, bardzo dużą! - zapewnił mężczyzna.
- Jak dalece?
- Twojemu życiu grozi niebezpieczeństwo.
- Nie sądzę.
- Jeśli ci tak mówię, to jest to prawda, efendi.
- Właśnie dlatego, że ty mi to mówisz, to nieprawda.

Mężczyzna spojrzał na mnie ze zdziwie~niem.

- Rzeczywiście uważasz, że cię okłamuję?
- Tak. Chcieliście mnie zabić i obrabować. A mordercy i ra-busie są zapewne zdalni również do .kłamstwa.
- Teraz jednak życzę ci dobrze i mówię prawdę - zapewnił.
- Zachowaj ją dla siebie! Nie muszę jej znać.
- A więc nie chcesz mi nic dać. Zważ, że chodzi o twoje życie!
- Nie zapłacę za swoje życie nawet jednego piastra.
- Co? Nie ma ono dla ciebie żadnej wartości?
- Przeciwnie, nawet bardzo dużą, ale znajduje :ę ono w ręku Boga. Czyż wasz Koran nie mówi, że Allah każdemu człowiekowi' już w chwili jego narodzin przeznaczył określoną liczbę lat życia? Słowa te wyraźnie zbiły go z tropu. Nie wiedział, co odpowie-dzieć. Dlatego też ciągnąłem dalej:
- Widzisz więc, że byłoby niemal grzechem wydawać jeszcze pieniądze za moje życie. Dożyję do wyznaczonej mi godziny śmier-: ci bez względu na to, czy zapłacę, czy nie.

Wtedy przez jego twarz przemknął jakiś błysk. Pewnie zbaw-cza myśl przyszła mu do głowy.

- Efendi, jesteś wszak chrześcijaninem? Wobec tego możesz przedłużyć swoje życie.

- Jakim sposobem?

- Allah wyznaczył długość życia jedynie swoim prawdziwym „1 .. i prawowiernym wyznawcom.

- Mylisz się. Piąta sura Koranu, nazywana surą „Stół”; po-wiada, że z góry policzone są g.ziny wszystkich ludzi, wiernych i niewiernych. Znasz tę surę?

- Znam ją.

- Przyznasz mi zatem rację. Nie mogę i nie wolno mi płacić za swoje ‘zycie.

Potrzebujący pieniędzy kompan Szabana w zakłopotaniu skubał ~S brodę, jakby mógł z niej wyciągnąć jakąś dobrą myśl. Lecz naj-wid.zniej żadna nie chciała się pokazać.

- Efendi, ale ja potrzebuję pieniędzy.



- Ja też.
- Ty masz pieniądze, a ja nie mam.
- No cóż, przekonaj się, że nie jestem nieużyty. Wymusić od siebie nic nie dam, ale potrzebującemu chętnie zrobię prezent, kiedy się przekonam, że na to zasługuje. Jeśli powiesz mi, jakie niebezpieczeństwo mi grazi, gotów będę dać ci bakszysz.
- Ile proponujesz? - zapytał prędko.
- Proponować? Proponuje się tylko wtedy, gdy chodzi o interes, o cenę, a powiedziałem ci już przecież, że o żadnej zapłacie nie może być mowy. Natomiast wysokość sumy, która ma być prezen-tem, określa dający, a nie biorący. A zatem, co chcesz mi pa-
- Nic!

Chciał się odwrócić, jednak złapałem go za ramię i ostrzegłem:

- Powiedziałeś, że mojemu życiu grozi jakieś niebezpieczeń-stwo. Przypuszczalnie są ludzie, którzy nastają na moje życie. Wiesz o tym, a więc jesteś ich kamratem. Każę cię aresztować, jeśli nie zaczniesz gadać.
- Zażartowałem tylko.
- To kłamstwo!
- Efendi! - powiedział gniewnie tonem groźby.
- Phi! Chciałeś otrzymać pieniądze, bez względu na to, czy twoja informacja zawiera prawdę, czy nieprawdę. Czy wiesz, jak się karze wymuszanie?
- O żadnym wymuszaniu nie ma mowy.
- Dobrze! Nie chcę się denerwować z twojego powodu. Możesz Zostawiłem go i ruszyłem do drzwi, jednak nie dotarłem jeszcze do nich, gdy zawołał:
- Efendi, pożałujesz tego!
- Tak ci się tylko wydaje. W ogóle uważasz mnie za głupszego, ~;,.”...: n,iz jestem. To, co chcesz mi powiedzieć, wiem już od dawna.

- To niemożliwe.

- Phi! Posłaniec jest już w drodze.

Poznałem po jego minie, że mój domysł okazał się trafny.

Skąd o tym wiesz? - zapytał.

To moja tajemnica.

- W takim razie żebrak musiał to komuś zdradzić!

Uśmiechnąłem się z wyższością. Nawet mi w głowie nie powstało płacić za tajemnicę, której w połowę już się domyśliłem i miałem nadzieję, że podstępem wyciągnę z niego resztę. I nie martwi cię to? - pytał dalej.

Najpierw musiałem się dowiedzieć, kim jest posłaniec; dlatego roześmiałem się.

- Sądzisz, że boję się tego człowieka?

- Jeszcze nie znasz Szabana! Raz przechytrzyłeś go, drugi raa~ ci się nie uda.

A więc to żebrak! Zawiózł rannego do Usundere. Dlatego można było przypuszczać, że Mosklan polecił mu, by najpierw pojechał ‘ do Palacy, skąd pochodził ranny i być może miał także krewnych, a potem jeszcze dalej do Ismilanu do rodziny płatnerza, który skręcił kark.

Przechytrzeni przez nas ludzie zawarli z nami pokój. I oni sami! byłem tego pewny, dotrzymają słowa. Jednak poprzez innych mo= gli się na nas zemścić. Równocześnie ostrożność nakazywała im nie pozwolić mi się wymknąć. Ponieważ d~owiedzieli się od piekarza, w jakim kierunku zamierzamy kontynuować swoją podróż, reszty można się było domyślić bardzo łatwo.

- Wcale nie zamierzam go przechytrzać - oświadczyłem spokojnie.

- Więc co?

- Najchętniej nie chciałbym już mieć z Szabanem w ogóle do czynienia. Dał mi słowo, że przestanie mnie napastować.

- Szaban dotrzyma, słowa. Sam nie będzie cię już napastował, ale napuści na ciebie ixlnych. Związek jest duży.

- Nie boję się i ka’zdego, kto wystąpi przeciwko mnie we wro-gich zamiarach, przekażę sędziemu.

- Czy możesz złożyć doniesienie na kulę?

- Nie ośmieszaj się! Powiedz mi raczej, z jakiego powodu zamierzasz zdradzić Szabana, który był wszak twoim przyjacie-lem.

- Moim przyjacielem? Nie odpowiem ci na to pytanie. Zamy-kasz przede mną swe serce i swoją sakiewkę. Na próżno jechałem do ciebie.

Podszedł do swego konia, lecz tak opieszale, że widać było po nim, iż oczekuje jednak jeszcze ode mnie jakiejś propozycji. Ale ja zauważyłem tylko:

- Odjeżdżasz? Nie miałbyś ochoty zostać? Wiesz pewnie, że odbywa się tutaj uroczyste przyjęcie.

- Nie mam czasu na takie przyjęcia. A więc nic nie dasz?

Jego oczy spoczęły na mnie groźnie.

- Nie.

- Czy jeszcze dziś stąd odjeżdżasz?

ii:t;: Wypowiedzenie tego pytania było bardzo naiwne z jego strony.

W ten sposób zdradził mi tylko swoje zamiary. Chciał zarobić pieniądze, nie dostał nic i teraz zdolny był do każdego ataku wrogości.

- Czyżbyś sądził, że zrezygnuję z czekającej nas uczyty? - od-powiedziałem. - Nasze konie też muszą odpocząć przed dalszą jazdą.
- Niech więc Allah błogosławi cię tak, jak ty mnie!

To mówiąc wskoczył na siodło i odjechał.

Minąwszy wejście, natknąłem się na Halefa, po którego minie domyśliłem się z miejsca, że stał tutaj w ukryciu. W blasku zatkniętej w murze pochodni widać było od razu, że jest wściekły.

- Sihli, dlaczego pozwoliłeś temu człowiekowi odjechać? -
- Do niczego nie jest mi tutaj potrzebny.
- Ale gdzie indziej może ci zaszkodzić!
- Słyszałeś jego ostatnie słowa?
- Niestety tylko ostatnie: Stałem tutaj, żeby czuwać nad bą. Widziałem was, ale nżę mogłem słyszeć. W końcu jednak ~wiedziałem się, że żądał pieniędzy. Za co?
- Wyjdźmy razem na dwór, żeby nikt nie podsłuchał, o czym ~zmawiamy ze sobą!

Opowiedzi;alem Halefowi, czego się dowiedziałem i domyśliłem.

- Szykuje się napad na nas - mruknął mały Hadzi. ,
- Maże jednak nie, dragi Halefie.
- Więc co? Dlaczego ten żebrak, który nie jest żebrakiem, je-;ie przed nami?
- Przypuszczalnie ma podburzyć przeciwko nam krewnych osklana i Deselima. Kiedy dotrzemy później do Palacy czy jesz-e dalej, do Ismilanu, powinniśmy się liczyć z powitaniem, które oże być dla nas bardzo nieprzyjemne.

- Obierzmy zatem inną drogę.
- Nie chciałbym tego czynić. Po pierwsze chciałbym pozostać i tropie uciekinierów, a po drugie sądzę, że właśnie w Ismilanie domu Deselima możemy się dowiedzieć wielu pożytecznych
- Jeśli przyjmą nas tam jako wrogów, nie dowiemy się w ogóle .czego. Możliwe nawet, że uwięzi się nas jako morderców.
- Dlatego zamierzam uprzedzić tego żebraka.
- Ty? Jakim sposobem? - badał dociekliwie Halef.
- Będę tam wcześniej niż on.
- Sihdi, co ci przyszła do głowy! Chyba nie zamierzasz znowu j nocy pojechać przed nami przodem?
- To właśnie zamierzam.
- To niemożliwe. Nie puszczę cię! Zważ, jakie niebezpieczeń. stwo groziło ci dzisiaj, bo mnie zabrakło przy tobie!
- Jednakże uratowałeś mnie i jutro też mnie uratujesz, gdyb zaszła taka potrzeba. Słowa te pochlebiły dzielnemu Hadziem.
- Tak sądzisz? - spytał zadowolony z siebie.

‘ - Oczywiście. Powiem ci, co właśnie postanowiłem. Przenocu jecie u kowala i wyruszyście wezesnym rankiem. Obierzcie inn kierunek, niż ustaliliśmy wcześniej. Pojedziecie z Koszikawak prze Mastanly, Stajanową i Tapoklu do Ismilanu, ja natomiast pojed teraz bardziej na południe przez Gtilczyk, Maden i Palacę:

- Dlaczego przez te mżejscowości?
- Ponieważ jadąc z Usundere żebrak abierze tę właśnie drog~
- Noc jest ciemna, że oko wykal. Jeszcze zabłądzisz.
- Mam nadzieję, że nie zboczę z drogi.
- Ale żebrak ma nad tobą dużą przewagę.
- Rih jest szybki. Prześcignę Szabana.
- I w tych ciemnościach przy okazji skręcisz kark.

- Zobaczmy! W Ismilanie zajedźcie do kawiarni płatnerza Mieści się przy uliczce wychodzącej w kierunku wioski Czatak Tam mnie znajdziecie.

- A jeśli cię nie będzie?

- To poczekacie.

- A jeśli nie przybędziesz, sihdi?

- To następnego ranka wyjedziesz mi naprzeciw do Palacy Możliwe, że zatrzymam się tam z powodu Mosklana.

- Gdzie cię tam znajdę? ,

- Teraz jeszcze tego nie wiem. Wioska jest mała i pewnie wy~ starczy o mnie zapytać.

Halef starał się jak mógł odwieść mnie od mego przedsięwzięcia, lecz pozostałem nieugięty.

Kiedy potem inni dowiedzieli się, że ich opuszczam, natrafiłem na opór, któremu ledwo mogłem sprostać. Ikbala i jej matka Czi-leka załamały ręce nad głową, że nie chcę spróbować kul armat-nich i pieczeni. Również sahhał prosił mnie; bym został. Jego wła-śnie wziąłem jeszcze na stronę i przekazałem mu wszystko co trze-ba na temat dywanów.

- Efendi - oświadczył Ali - dobrze, że mi to powiedziałeś.

Inni wiedzą, że tutaj są zaręczyny; i w tym czasie po kryjomu będą chcieli opróżnić schowek. Ja jednak temu przeszkodzę.

- Złożysz doniesienie na swojego teścia?

- Tak zostanie powieszony - zaśmiał się sahhał.

~F ,

178

- Co zrobisz, nic mnie nie obchodzi. Przekaż swemu staremu ojcu pozdrowienia ode mnie i bądź nieskończenie szczęśliwy z Ikba-lą, najpiękniejszą w li,umelii.

Gdy Szimin zauważył, że nie sposób mnie nakłonić do poata-nia, zapytał mn,ie, jaką zamierzam obrać

drogę. Nie całkiem dowie-rzałem jednak grubemu farbiarzowi i dlatego wymieniałem nazwy kilku miejscowości, przez które w ogóle nie myś~lałem przejeżdżać. ~Kowal odprowadził mnie do mojego konia i tam powiadomiłem go o swoich prawdziwych planach. Przez chwilę zastanawiał się, po czym rzekł:

- Żebrak przybędzie wkrótce do Usundere. Zatrzyma się tam 3trochę, a potem ruszy dalej. Na pewno pojedzie do Maden i do Palacy. Stąd do Maden będzie dziesięć agacz ~, a powinieneś w za~Sadzie jechać przez Mastanly i Gólczyk, ale znam ten teren i umo~żliwię ci duża weześniejsze przybycie na miejsce. Pojedziemy mo~liwie w linii prostej.

- Co, chcesz jechać ze mną?

~:,~:: - Tak. Będę ci towarzyszył, póki się nie upewnię, że już nie - To bardzo miłe z twojej strony, ale...

~. - Milcz! - przerwał mi Szimin. - Wiesz, ile ci zawdzięczam.

- Ale ja muszę jechać bardzo szybko!

- Mój koń nie jest wcale zły. To najlepszy wierzchowiec czło-wwieka, od którego go sobie pożyczyłem. Będzie się musiał trochę ~vysilić. Kiedy się z tobą pożegnam, będzie się mógł oszczędzać. ~: ; Halef wyszedł za nami na dwór, żeby zwrócić mi uwagę na coś, 0 czyxn znów nie pomyślałem, a mianowicie na sakiewkę, o której ~yła mowa w czasie naszej jazdy z Kabacz do chaty Szabana. Sa~Ciewka została wyciągnięta na wierzch, a jej zawartość przeliczo~a w świetle płonącego łuczywa. Była w niej sto austriackich du~Catów i dziesięć tureckich funtów. Taki dukat wart jest, w zależ~rości od okolicy, 53 da 58 piastrów. Suma wynosiła zatem 1150 ~anarek albo w krajowej walucie 5300 do 5800 piastrów. Poza tym ~iyło jeszcze pięćdziesiąt bezlików - monet pięciopiastrowych. ~o sakiewki do~łączona była kartka, że złote monety są przezna-iezone dla mnie, a srebro dla Halefa. Jak się dawiedziałem później, ~imar ben Sadek otrzymał już w Edirne od naszego gościnnego go~spodarza większą sumę, która miała być również przeznaczona na ~abezpieczenie klejnotów Jakuba.

Niektórym taki prezent w postaci pieniędzy może się wydać mało

~ mila turecka = 5010 m, 22,22 mili tureckiej składa się na jeden stopień

t9lugości rbwnikowej



Po pierwsze ofiarodawca miał dobre intencje. Wiedział, że nie jestem milionerem. Po drugie główny prezent stanowiły inne przedmioty, które niestety prze-padły razem z jucznym koniem i zacnym sługą sprawiedliwości. A po trzecie w sakiewce znajdował się poza tym przezn.aczony dla ‘ mnie pierścień cudownej roboty z hiacyntem okazałej wielkości. Wprawdzie nie znoszę pierścieni na palcach - ozdoba mężczyzny powinna być innego rodzaju - jednakże pierścień ten należy do przedmiotów, które przechowuję jako miłe pamiątki. Halef naturalnie dostał od razu swoich pięćdziesiąt bezzlików.

Z uśmiechem schował je do kieszeni.

- Ten dobroczyńca, sihdi, jest człowiekiem wielkiego rozumu.

Ja na miejscu Hula~na byłbym może jeszcze rozumniejszy. Kaf jest lepszy niż nun ż w alfabecie także stoi na wcześniejszym miejscu.

Ka’zda litera arabskiego alfabetu oznacza bowiem również ja-kaś liczbę. Kaf (k) oznacza sto, natomiast nun (n), wypowiedane jednak w wytwardszej wymowie przed b jako m, tylko pięćdziesiąt. Mały Had’zi miał znowu powód do zadowolenia. Wpraw-dzie pięćdziesiąt marek to niezbyt wiele dla „przyjaciela i opie-kuna”, lecz jako bakszysz dla służącego to jednak spora suma. Podaruję sobie pożegnanie, które dało jeszcze okazję do paru nie-‘ codziennych scen. Gruba Czileka uroniła nawet kilka łez bolesne-go wzruszenia. Kiedy siedziałem już na koniu, podszedł także po- : mocnik i wyciągnął do mnie rękę. Czy miałem mu ją uścisnąć na pożegnanie, czy chciał ode mnie bakszysz? Moja szpicruta przy-:. troczona była zwykle do siodła mocniej niż bicz dzielnego Hadzi p Halefa Omara. Teraz jednak błyskawicznie miałem ją w rękę i wle-;~ piłem łajdakowi prze~z plecy kilka takich batów, że odskoczywszy;~ szybko schował się za swoją grubą panią.

- Waj! Biberli bu - oj, oj! To piecze jak pieprz! - wykrzyk ~ nął, pocierając plecy.

- Tusda ister-misin - życzysz sobie też soli? - zapytałem ~ z uśmiechem.

Natychmiast pojawił się za mną Hadzi, wyciągnął zza pasa biczy” i zapytał:

z

~ - Czy mam przysolić? Zasłużył na to!

r

- Czekildim, sawusztum - już mnie tutaj nie ma! - zawołał;. zagrożony i czym prędzej zniknął za rogiem damu. A potem wyruszyliśmy w drogę.

## IX. NOCNA JAZDA

Była ciemna noc, tak samo czarna jak poprzednia. Nieliczne wiazdy mrugały słabo na niebie. Dopiero teraz zrozumiałem, jak niałym przedsięwzięciem z mojej strony była jazda w taką noc, ~zez nieznaną okolicę, i ta tak szybko, jak to było konieczne, by ~gonić żebraka, a może nawet go wyprzedzić.

Przez kwadrans Szimin i ja jechaliśmy obok siebie w milczeniu. Każdy z osobna pogrążony był w swoich myślach. Nie mieliśmy ~d sobą żadnej drogi, lecz otwarte pole. Rih nic sobie z tego nie abił, jego oczy przyzwyczajone były nawet do takich ciemności.

W końcu mój towarzysz zapytał:

- Efendi, przypominasz sobie naszą rozmowę, która niestety istała przerwana, gdy zjawił się ten Mosklan?
- Nawet bardzo dokładnie.
- Wtedy chciałeś mi udowo~dnić, że wy chrześcijaniQ jesteście psi, niż sądzę.
- Wszędzie są dobrzy i źli ludzie, a więc również pośród chrze-,ijan i pośród muzułmanów. Nie o chrześcijanach chciałem mó-ić, lecz o chrześcijaństwie.
- Uważasz, że jest ono lepsze od naszej nauki?
- Tak.
- Niełatwo ci będzie to udowodnić.
- Wcale nie. Porównaj ze sobą Koran i naszą Biblię! Najwspa-;alsze objawienia wasz Prorok wziął z naszej księgi. Czerpał nauk Starego i Nawego Testamentu i przerobił te nauki stosow-,e do ówczesnej sytuacji swojego ludu i swojego kraju. Te sto-rnki zmieniły się. Jedyne wyznawcami islamu nie są już tylko ałesający się po pustyni Arabowie. Dlatego islam stał się dla as teraz za ciasny jak kaftan bezpieczeństwa, w którego pętach ~zradnie cierpicie. Nasz Zbawiciel przyniósł nam naukę miłości pojednania. Nie została ona zapożyczona ze zwyczajów małego du pustynnego, lecz spłynęła od Boga, który jest miłością. Mi-~ć ta jest wieczna, wszechobecna i obejmuje wszystkich ludzi, szystkie ziemie i słońca. Nigdy nie może ona krępować, lecz tylko ~zczęśliwiać. Walczy nie mieczem, ale łaską. Nie spędza narodów zy pomocy bicia, ale wzywa je głose~n kochającej matki, która ace przytulić wszystkie dzieci do swojego łana.

- Mówisz o miłości, a mimo to brakuje wam jej.
- Czy wyrzucasz cały zbiór tylko dlatego, że parę owoców stały robaki? 181
- Możliwe, że gdzie indziej zbiory wyglądają lepiej niż u nas. Dlaczego jednak akurat u nas nie rośnie pszenica chrześcijaństwa tylko chwast?
- Czy naprawdę jest tak? - odpowiedziałem pytaniem. - 7 źle? Jeśli tak, to powinieneś wiedzieć, że chwast najlepiej udaje na kiepskiej glebie. Wystawiasz w ten sposób islamowi niedolę świadectwo, gdyż byłby on tą kiepską glebą. Jesteśmy sami i ci su mamy pod dostatkiem. Czy opowiedzieć ci o Chrystusie, o prorokach, którzy go zapowiadali, i o cudach, jakie czynił?
- Opowiedz! Dowiedź, że jest większy od Muhammada! Ciepłe słuchać, nie obciążając mego sumienia. Nie jesteś łowcą djabła który chce mnie sprowadzić na złą drogę. Znasz islam i chrześcijaństwo. Nie będziesz mnie kusił, lecz powiesz mi prawdę. „Odtąd ludzi będziesz łowił!” O tych słowach Zbawiciela myślałem, kiedy zacząłem teraz mówić. Kowal miał rację; był wobec niego uczciwy. Należał do owych prostych ludzi, którzy nie odznaczając się szczególnymi darami dążą do poznania prawdy gdy tymczasem obdarowani bogato talentami ducha często trwonią swe siły na bezowocne dźwinięcie włosa na czworo:

Dziwna to była jazda. Ja opowiadałem, a Szimin w milczeniu słuchał. Tylko od czasu do czasu rzucał jakieś pytanie lub jakimś słowem wyrażał swoje zdziwienie. Jechaliśmy bardzo ostrym kątem i jego koń musiał się przykladać, żeby trzymać się mojej strony. Mimo to Szimin bardziej uważał na moje słowa niż na konia i drogę, i kiedy w pewnej chwili jego szkapę się potknęła i wykonała niespodziewany skok, noga wypadła mu ze strzemienia i rzucił jakieś mocne słowo, niezbyt pasujące do treści mego opowiadania. Fizycznie jednak posuwaliśmy się szybko do przodu a i na drodze duchowej lub raczej duchowej też robiliśmy zauważalne postępy.

Minęło parę godzin. Wspięliśmy się na szczyt wzniesienia - na bezdrożach i w takich ciemnościach nie było wcale łatwo. Na drugiej stronie wzniesienia zjechaliśmy na dół, przez rzadki las po stromej pochyłości. Dlatego też posuwaliśmy się wolniej do tej pory.

- I wierzysz, że Chrystus naprawdę zmartwychwstał i wstąpił do nieba? - zapytał kowal.
- Tak, całkowicie.
- Jak ziemskie ciało może się wznieść do nieba? Przecież nawet ciało naszego Proroka pozostało na ziemi!
- Czyż nie mówiłem ci o Górze Przemienienia? I czyż w

182 rorok nie powiada, że Chrystus na oczach swoich uczniów wstąpił do nieba?

- Tak, to wielki cud. I kiedyś powróci?

- Ażebym sądzić żywych i umarłych. Potwierdza to także Mu-ammad. I dawał będzie zbawienie wieczne lub skazywał na po~pienie. Czy w takim razie nie jest Bogiem? Czy nie musi być zęc większy, wspanialszy i potężniejszy od Muhammada, który zi razu nie mówi o~ sobie, że jest sędzią?

- Prawie w to wierzę! - wyznał Szimin.

- Prawie? Tylko prawie? Słowa Chrystusa są prawdą, tak jak n sam jest prawdą. Mówi o sobie: „Bende her kuwet sanada emde ersde - posiadam wszelką władzę tak w niebie, jak i na emi!” Czy wa5z Muhammad kiedykolwiek tak mówił?

- Nie, efendi. Opowiem mojej żonie i moim pr:zyjaciołom, co ~i opowiedziałeś. Chciałbym mieć wasze Pismo Święte. Wtedy ~ógłbym czytać i uczyć się, i może wtenczas ów Duch Święty, którym mówiłeś, zstąpiłby także na mnie, jak na wspólnotę iernych w pierwsze Zielone Świątki. Gdy człowiek jest sprag-lony, trzeba mu dać wady. Również dusza ma swoje pragnienie. dczuwałem je i sądziłem, że piję wodę odmawiając modlitwy chodząc do meczetu. Teraz jednak wydaje mi się, jakbym nie ~stawał czystej wody, gdyż twoje słowa są bardziej przejrzyste ~żywcze niż słowa naszego ixnama. Żałuję, że nie pochodzisz z tych ro~n i że dlatego nigdy cię już nie zobaczę.

- Pozostanę przy tobie, Sziminie, gdyż moje słowa cię nie opu-czą. Spoczywają w twoim sercu, tak jak nasienie spoczywa ziemi, i zakiełkują, wypuszczą pędy i wydadzą owoce. A po-eważ cię polubiłem i winien ci jestem tak wielką wdzięczność, iciałbym ci pozostawić prezent, który będzie ci przypominał tę ~c, ilekroć weźmiesz go da ręki. Umiesz wszak czytać. Ten pre~nt to książka. Kupiłem ją w Damaszku, żeby pamiętać o mieście ;rodów i tchnących chłodem fontann. Powinieneś słyszeć szmer ;ywczych zdrojów i pić z nich wodę życia, gdy czytał będziesz tę aążkę! Proszę, oto ona!

Otworzyłem tarbę u siodła,, wyjąłem książkę i podałem mu.

- Co w niej jest? - zapytał. - Czy to księga baś~ni?

- Nie. Nie znajdziesz tam żadnej baśni, lecz prawdę, która ~zetrwa wszystkie wieki. Twoja dusza jest jej spragniona, więc rzymasz ją. Ta księga to Nowy Testament, który zawiera wszy-l~o to, co ci opowiedziałem, i jeszcze więcej.

Wtedy Szimin wydał głośny okrzyk, w którym słychać było, k bardzo go ów dar uszczęśliwił.

- Efendi - powiedział - ten prezent jest tak cenny, że nie mogę go przyjąć!

- Zatrzymaj tę księgę w imię Boże! Nie kosztowała mnie ona wiele, a zawiera największe bogactwo, jakie może ofiarować zie-mia, a mianowicie drogę do zbawienia. Apostoł powiada, że trzeba ‘ w niej szukać i znajdować, ponieważ zawiera słowa życia wiecz-‘ . nego. Obyś i ty znalazł w niej owo życie! Życzę ci tego z całego serca!

Z trudem udało mi się położyć kres jego podziękowaniom. Pew-nie dziękowałby jeszcze dłużej, gdyby coś innego nie odwróciło jego uwagi.

Wjechaliśmy znowu na równinę i zauważyliśmy, że znajdujemy się na ledwo przetartej ścieżce, to znaczy na czymś, co tutaj nazy-‘ wane bywa ścieżką.

- To droga z Usundere da Maden - wyjaśnił Szimin, przery-:.; wając swoją mowę dziękczynną.

W tej samej chwili schwyciłem za cugle jego konia.

- Stój! Posłuchaj! Wydawało mi się, że słyszę przed nam~”b parsknięcie jakiegoś konia.

- Ja nic nie słyszałem i teraz też nie słyszę.

- Podłoże jest miękkie i tłumi odgłosy kopyt. Ale mój koń~~ strzyże uszami i badawczo wciąga powietrze przez nazdrza. Toř~ nieomylny znak, że mamy kogoś przed sobą. Wsłuchaj się!

- Tak, teraz słyszę. Koń nastąpił na kamień i kopyta ześlizgnę~”;; ło się z niego. Kto może tak późno jechać w tej odludnej okolicy?’~‘ - Może to żebrak?

- To bardzo mało prawdo~podobne - powątpiewał kowal. „,:~

- Dlaczego?

- W takim wypadku musiałby wyjechać dosyć późno.

‘ - Dlaczego miałoby to być niemożliwe?

‘ - Szaban chce przecież przybyć na miejsce przed tobą! - od-‘~!:

parł Szimin. ~.a~

- No cóż, sądził pewnie, że wyruszę tak czy owak dopiero ~utro rano, a więc się nie śpieszył. Czy moglibyśmy go gdzieś tutaj wy~~ przedzić bokiem, żeby nie zauważył, że jestem już przed nim?

- Bez trudu. Ale bym ci to odradzał.

- Rzeczywiście, jeśli zatoczmy łuk i będziemy mieli jeźdźca

za plecami, to nie dowiemy się przecież wcale, czy to faktycznie ‘ żebrak.

- Dlatego musimy do niego podjechać.

‘ - Ale co ja pocznę z Szabanem? Czy mogę mu przeszkadzić’

184

jechać dalej? Chyba tylko siłą. Nie chciałbym jednak przelewu krwi!

- To nie jest konieczne, efendi. Zostaw go mnie.

- Jakim sposobem?

- Ty zmusisz go, żeby zawrócił, a ja potem nie będę odstępował jego boku i zabiorę go do Koszikawak. Nie umknie mi.

- A jeśli Szaban cię spyta, jakim prawem go uprowadzasz?

- Czyż nie mam takiego prawa? Czyż nie chciał cię zamordować, efendi?

- To mógłby być powód. Ale napytasz sobie w nim wroga, który będzie się starał zemścić na tobie.

- Nie boję się żebraka. Już jest moim wrogiem. Szaban jest wrogiem wszystkich uczciwych ludzi. Pozwól, że wyświadezę ci tę przysługę, i nie musisz się o mnie martwić. Jeżeli to rzeczywiście on, to pojmiemy go i pożegnamy się, a on nawet się nie dowie, dokąd jedziesz.

- Jak biegnie dalej droga do Maden?

- Pozostaniesz przez cały czas na tej ścieżce i za pół godziny będziesz na miejscu. Gdy jesteś tutaj, nie możesz już zabić. Właściwie chciałem jeszcze z tobą porozmawiać w sprawie kop-ezy, ale twój mały Hadzi już ją ma, a ty wzięłaś kopcę Deselima. Dwie wystarczą. A teraz jedźmy, efendi.

Szimin popędził znowu swego konia, na znak, że nie chce już słuchać żadnych sprzeciwów. Nawet było mi to na rękę, bo żebrak w ten sposób, bez szkody dla mnie, nie mógł wypełnić swojej misji. W niedługi czas potem zbliżyliśmy się do nocnego jeźdźca na tak niewielką odległość, że musiał nas słyszeć. Zauważyliśmy, że przyspieszył, nie chcąc, żebyśmy go dogonili.

- Szybko za nim! - rzekł kowal. - Szaban nie jest dobrym jeźdźcem. Łatwo go doganimy, jeśli to rzeczywiście on, a nie ktoś inny.

- A jeśli zboczy z drogi?

- Będzie się wystrzegał. W taką ciemną noc nikt tego tutaj nie zaryzykuje. Ja też bym tego zaniechał, gdyby nie chodziło o to, by towarzyszyć tobie.

Szimin słusznie przypuszczał. Jeździec zdał sobie sprawę, że jesteśmy szybsi od niego. Nie miał odwagi zboczyć z drogi, tak więc za najlepsze wyjście uznał zatrzymać się i poczekać na nas. Kowal jechał przodem, ja zaś trzymałem się za nim w takiej odległości, żeby nie można było spostrzec od razu mojej postaci. Jeździec odsunął się trochę na bok, żeby nas przepuścić. Kowal jednak zatrzymał się przy nim i pozdrowił go:



- Sabahinis chajir olsun - dzień dobry!
- Chajir olsun - odpowiedział tamten krócej.
- Nereden geliorsun - skąd przybywasz?
- Deridereden - z Deridere.

To było kłamstwo, gdyż poznałem po głosie, że to żebrak.

- Nereje gidiorsun - dokąd zmierzasz?
- Here jere hicz bir jere - wszędzie i nigdzie.

Była to harda odpowiedź. Szabanowi nie udało się jedn.ak wyk-pić, gdyż kawal powiedział tonem, który wyraźnie zdradzał jego postanowienie, że nie pozwoli się odprawić:

- Będziesz jednak musiał mi to powiedzieć!
- Musiał? - burknął przekornie żebrak.
- Tak. Znasz mnie~?
- A ty mnie może znasz?
- Jesteś Szaban, żebrak.
- Ach! A ty?
- Noc jest tak czarna jak twoja dusza. Nie dostrzeżesz mojej twarzy. Jestem Szimin, kowal z Koszikawak.
- Dlatego twój głos wydał mi się taki znajomy! Jedź dalej! Nie mam z tobą nic do czynienia!
- Za ta ja z tobą. Znasz człowieka, który jest tutaj obok mnie?
- Nie. Wyońście się!
- Zaraz to uczynię - odparłem - najpierw jednak, Szabanie, zamienię z tobą dwa słowa.

Mówiąc te słowa zbliżyłem się do niego i skierowałem swego konia w sąsiedztwo jego wierzchowca, tak żeby Szaban mógł mnie rozpoznać. Staliśmy obok siebie tak, że głowa jednego konia znajdowała się przy ogonie drugiego.

- Szejtan! Cudzoziemiec! - zawołał żebrak.
- Tak, cudzoziemiec! Teraz już chyba wierzysz, że chciałbym z tobą porozmawiać.
- Ale ja z tobą nie!

Zauważyłem, że Szaban sięgnął za pas. Ująłem pośrodku swój ~ sztucer, tak że miałem kolbę przed sobą na końskim karku. Tym sposobem byłem przygotowany na cios z lewej strony na prawą.

- A zatem powiedz, dokąd zmierzasz! - rzekłem, starając się w ciemności bacznie obserwować jego ruchy. f
- Co cię to obchodzi, morderco? - najeżył się.
- Morderco?
- Tak. Kto przez ciebie skręcił sobie kark i komu zmiażdżyłeś twarz? 186
- A wy kogo zwabiliście do chaty, żeby go zabić? Wiem, dokąd zmierzasz, ale będziesz łaskaw zawrócić.
- Kto mnie zmusi?
- Ja. Zsiadaj!
- Oho! Mnie też chcesz zamordować? Będę się bronił. Idź do diabła!

Szaban uniósł ramię w moim kierunku. Natychmiast uderzyłem, a on równocześnie nacisnął spust. Pojawił się błysk wystrzału - lecz kula nie trafiła, ponieważ mój cios odbił jego ramię w bok. Nie zdążył jeszcze opuścić ramienia, gdy podjechałem koniem krok do przodu i pchnąłem go kolbą pod pachę, tak że stracił oparcie w strzemionach i po drugiej stronie wierzchowca wypadł z siodła. Chciałem jak najszybciej zeskoczyć, nie dotknąłem jednak je-~cze ziemi, gdy usłyszałem okrzyk kowala:

- Stój, łotrze, zatrzymaj się; bo cię stratuję!

Szkapa żebraka nie ruszyła się z miejsca. Chciałem właśnie szybko okrążyć zwierzę, gdy ujrzałem błysk drugiego wystrzału. W chwilę później koń kowala wykonał skok i Szimin momentalnie wypadł z siodła. Czyżby mój towarzysz został trafiony? Pośpieszyłem do niego.

Na ziemi leżało dwóch ludzi, jeden na drugim. Było tak ciemno, że na tle ziemi nie mogłem ich ~ozróżnić. Złapałem leżącego na wierzchu za ramię.

- Stój, efendi! - usłyszałem. - To ja!
- Ach, to iy, Sziminie! Czy Szaban cię trafił?
- Nie. Zobaczyłem, że chce się wymknąć i zabroniłem mu.

Wtedy wystrzelił, a ja go stratawałem. Bronił się, ale tylko jedną ręką. Kopyto mojego konia trafiło go pewnie w drugą.

- Nie, sprawiła to kolba mojej strzelby.
- Kąsa niczym kuna. Będę mu musiał zatkać czymś usta!

Nie mogłem widzieć, co robi Szimin, lecz usłyszałem gardłowe charczenie. Po chwili kowal podniósł się z ziemi.

- No, teraz jest cicho.
- Co mu zrobiłeś? Chyba go nie zabiłeś?
- Nie. Pamacaj, jak jeszcze się miota. Zatkałem mu tylko usta jakąś szmatą.
- Teraz zwiążmy mu ręce.
- Ale czym?
- Pasem.
- Rzeczywiście. Ma długi, wąski pas z materiału. Wystarczy nawet, żeby przywiązać go do kania. 187

Pomogłem kowalowi. Mało nie udusił Szabana. Zanim pokonan~ odzyskał oddech, siedział już na koniu. Sukienny pas nie pozwal~ mu zsunąć się z siodła, ponieważ przechodził pod końskim brzu. chem od jednej nogi da drugiej. Pozostałą częścią pasa związałem~ mu ręce. Okazało się,

że Szaban miał dwa pistolety: jeden wytrącił mu z ręki, a drugi mu wypadł, kiedy koń Szimina powalił go na ziemię. Obydwa były tylko jednolufowe, i odbywa wypaliły choć żadna kula nie trafiła.

Teraz Szaban zaczął przeklinać. Domagał się, żeby go uwolnili i groził, że złoży skargę u władz. Kawal wyśmiał go i powiedział;

- Ta, co zrobiłeś wcześniej, może mnie nic nie obchodzić; a;~ teraz chciałeś mnie zastrzelić i dlatego zabieram cię ze sobą, żeby ci dowiedzieć, że to ty powinieneś się obawiać władzy. Może przebarzę ci, jeśli po drodze będziesz się dobrze zachowywał. Jeżeli jednak dalej będziesz złorzeczył w ten sposób, nie możesz się spodziewać niczego dobrego.

- Zatrzymaliście mnie. Ja tylko się broniłem. Muszę jechać dalej.

- Na to będzie czas także później. A teraz milcz! Możemy jeszcze pogadać potem, kiedy pożegnam się z efendim.

Żebrał umilkł. Może myślał, że uda mu się dowiedzieć czegoś z następnego rozmowy. Szimin jednak postąpił mądrze, gdyż wprowadził go w błąd, mówiąc do mnie:

- A więc, efendi, od tej pory sam znajdziesz drogę. Jedź z powrotem i czekaj na mnie w kuźni. Ja wyruszę drogą w kierunku Gólczyk. Na pewno niełatwo będzie wytrzymać z tym człowiekiem;

‘ więc będę się starał możliwie jak najszybciej dotrzeć do jakiejś

wioski. Możesz powiedzieć swoim ludziom, że mamy Szabana, żeby;

go niepotrzebnie nie szukali. Zobaczymy się u mnie.

’ Mówiąc te słowa Szimin dosiadł konia. Pochwylił także cugle,

~T

drugiego konia i odjechał na przelaj. Jeszcze przez jakiś czas sły-

szalem tylko złorzeczącego żebra; potem znowu nastąpiła cisza,

,’ Jakoś nie mogłem uwierzyć, że Szaban uznał słowa Szimina za

prawdziwie. Ale pozbyłem się go, i to było dla mnie najważniejsze.' Jednocześnie kowal oszczędził mi pożegnania, które nigdy nie jest rzeczą przyjemną, chyba że człowiek rozstaje się z kimś, do kogo nie żywi sympatii.

Podążyłem teraz dalej w kierunku, któregośmy się do tej pory trzymali, i w podanym przez Szimina czasie dotarłem do Maden.

Właśnie świtało. Zastanowiłem się. W obecnym stanie rzeczy

nie musiałem już wcale jechać do Palacy, żeby zasięgnąć infor-

macji o ewentualnych krewnych rannego Mosklana. Wysłany przez

188

niego do nich umyślny został wszak zmuszony do zawrócenia z drogi i był pod opieką dzielnego kowala. A więc również w Ismi-lanie dziś jeszcze nie będzie nic wiadomo o śmierci Deselima. Po co zatem męczyć mojego ogiera po dwóch tak ciężkich nacznych jazdach? Postanowiłem pojechać do Tapoklu i tam oczekiwać swoich towarzyszy.

W Maden ludzie jeszcze spali. Wiedziałem, że Topoklu znajduje się mniej więcej w kierunku północnym, i pajechałem dalej. Droga prowadziła wzdłuż jakiejś rzeczki, co do której założyłem, że w pobliżu Topoklu wpadać będzie do Ardy. Nie mogłem zatem zablądzić.

Po pewnym czasie dotarłem do wioski, gdzie był han. Tutaj ludzie już się pobudzili, więc postanowiłem dać trochę odpocząć mojemu karoszowi. Zajazd znajdował się nieco w bok od drogi i otoczony był głębokim błotem. Położono na nim długie, sękaty dębowy pień. Następnie wjeżdżało się w szeroką i głęboką dziurę, w której tarzały się świnie. ~winie dowodziły, że handzi i jego ludzie są chrześcijanami. Z owej dziury trafiało się już bezpośrednio w szeroką bramę. Co znajdowało się za bramą, nie mogłem widzieć z powodu wysokiego glinianego muru, który zdawał się otaczać jakieś podwórze.

Właściwie należałoby być wiewiórką, żeby przedostać się po pnieniu na drugą stronę grzędzawiska, ale mojemu Rihowi dosyć się udało to ryzykowne przedsięwzięcie. Następnie zatrzymałem się przed zagłębieniem ze świniami. Rih przesadził dziurę jednym susem i wpadł w bramę. Na powitanie usłyszałem akryk strachu i w chwilę potem pawaliłem jakiegoś człowieka, który przechadzał akurat obok wejścia.

Znalazłem się na dość przestranym podwórzu, które zdawało się jednym wielkim gnajowiskiem. W jednym kącie stali ludzie, którzy wcześniej krzyczeli. Dwóch parobków trzymało niezbyt młodą dziewczkę. Przypuszczalnie zamierzali właśnie przywiązać swą ofiarę do opartej o mur drabiny. Do

mnie zaś padesięć słusznego wzrostu mężczyzna, który trzymał w ręku bicz i całą swą postawą wyrażał wielką pewność siebie. Jego szeroka pierś i pociągła twarz z wielkim orlim nosem wskazywały na to, że jest Ormianinem.

- Jesteś ślepy? - ofuknął mnie. - Nie możesz uważać, kiedy wjeżdżasz przez bramę?
- Usuń to błoto za murem i pozasypuj dziury, wtedy można będzie do ciebie przyjechać, nie łamiąc sobie i innym karku.
- Co! Jeszcze się stawiasz? - zgromił mnie rozdrażniony Ormianin. 189
- Czy mógłbyś być uprzejmy?
- Mam cię może wziąć w objęcia i ucałować, kiedy mi trącasz na śmierć mojego parobka?
- Na śmierć? Tam przecież stoi i wyczesuje sobie gnój z włosów. U ciebie ląduje się tak miękko, że to prawdziwa przyjemność być potrąconym przez konia. Czy ty jesteś handzi?
- Tak. A ty kim jesteś?
- Cudzoziemcem.
- To widzę. Masz paszport?
- Tak.
- Pokaż go!
- Najpierw umyj sobie ręce, bo go pobrudzisz. Co masz do picia?
- ftaki - śliwowicę.
- A abrok dla konia?
- Mieloną kukurydzę.
- Bardzo dobrze! Każ mu dać tyle, ile zdola zjeść. A mnie przynieś szklanekę rakii.
- Nie mam szklanek, dostaniesz garnek. Wejdź do izby.

Mężczyzna mówił krótkimi zdaniarni. Przywiązałem konia do jakiegoś słupka, po czym wszedłem do izby. Okazała się brudną norą z ławą z surowego drewna oraz ciężkim stołem. Zaintrygowało mnie kilka porostawianych wakół niskich drewnianych stojaków o dziwnych kształtach. Były to trójkątne deszczułki na trzech nóżkach. Mój bystry umysł pozwał mi odgadnąć, że to stołki. W izbie siedziała kobieta i w dużym drewnianym kubku mieszała kwaśne mleko. pozdrowiłem ją. Wytrzeszczyła na

mnie wielkie głupie oczy i nic nie odpowiedziała. Wszedł również właściciel za-jazdu. Zdjął z gwoździa mały garnek i nalał do niego z dzbanka płyn, który podał mi jaka śliwownicę.

- Czy to naprawdę rakija? - zapytałem wachając zawartość garnuszka.

- Tak.

- Nie masz nic innego?

- Nie. Ta wódka nie jest pewnie dla ciebie dość dobra?

- Jest kiepska.

- Więc wynoś się, jeśli ci u mnie nie smakuje! Nie kazałem ci tu zaje'zdzać. Czyżbyś był jakimś paszą, ie masz takie wymagania?

- Nie. Ile xosztuje ta rakija?

- Dwa piastry.

Skosztowałem wódki. Garnuszek mieścił więcej niż pół litra. Śliwownicy zawierał może na dwa palce. W dodatku na brzegach 190 Iepił się jakiś czarny osad, składający się zapewne z brudu, jaki pozostawiły na naczyniu wasy kilkuset pijących. Owa rakija była najpospolitszego gatunku, jaki kiedykolwiek wachałem i piłem. A kosztować miała dwa piastry! Trzydzieści osiem do czterdziestu fenigów! To był czysty szwindel w tym kraju dzew śliwkowych. Teraz jednak powstrzymałem się jeszcze od uwag.

- No i jak, smakuje? - zapytał handzi.

- O tak - i to jeszcze jak!

Niewłaściwie widać zrozumiał, gdyż rzekł:

- Jeśli chcesz więcej, to powiedz kobiecie. Ona ci doleje. Ja muszę wyjść, żeby adbyć sąd.

Po jego wyjściu przyjrzałem się bliżej izbie. Kilka nędznych obrazów, przyklejonych po prostu do ścian, potwierdziła moje przypuszczenie, że jestem u ormiańskich chrześcijan. A mężczyzna był w każdym razie jednym z owych chrześcijan, których zacmy Szimin określił mianem „chwastów”.

Kobieta mieszała w dalszym ciągu. Wyjrzałem przez jedną z dziur nazywanych tutaj oknami. Na zewnątrz słońce zaczęło już przygrzewać. Wnętrze izby natomiast było ciemne i zadymio~ne.

Pomyślałem o słowach perskiego poety Hafiza:

Gdy twoich loków mżył zapach  
owionie mc~ mogiłę,  
na mym pagórku wyrośnie z ziemi  
wiele tysięcy kwiatów.

Niewiasta, na której cześć Hafiz ułożył te słowa, z pewnością nie miała żadnego padobieństwa z siedzącą przede mną istotą mie-szającą w kubie kwaśne mleko. A miły zapach! Brr! Wstałem, postanowiwszy wyjść na zewnątrz i zaczerpnąć świe-żego powietrza. Długo w każdym razie nie zamierzałem tutaj zo-stać. Było to pewne jak amen w pacierzu.

Zrobiłem właśnie pierwszy krok w kierunku wyjścia, gdy na zewnątrz rozległ si.ę przeciągły ostry krzyk. Błyskawicznie znalaz-złem się przed drzwiami. Drugi równie straszliwy okrzyk, i prze-biegłem przez podwórze w ów kąt, gdzie rzeczywiście przywiąza-wno niewiastę do drabiny. Zwrócana do drabiny przodem, nagie plecy miała wystawione na ciosy bicza, który jeden z parobków padniósł właśnie da trzeciego uderzenia. Zanim zdołał uderzyć, wyrwałem mu z ręki bat.

Na plecach chłostanej widniały dwie grube pręgi, na których skóra lada chwila musiała pęknąć. Obok stał właściciel zajazdu z miną prawodawcy, który napawa się posłuszeństwem, jakie z~naj-dują jego rozkazy. Podszedł do mnie i wyciągnął rękę po bicz.

- Cudzoziemcze, co ci przyszło do głowy? - krzyknął na mnie.
- Oddaj bicz! Ona należy do mnie, nie do ciebie!

Kipiałem g.niewem, widząc tak haniebnny sposób karania nie-wiasty. Choćby dopuściła się nie wiem jakiego przewinienia, w mo-jej obecności nie mogła być tak bita. Czułem, że moja twarz pło-nie, i podniósłszy głos zapytałem handźiego:

- Co uczyniła ta dziewczka?
- To nie twoja sprawa! - odrzekł hardo. - Dawaj bicz, bo inaczej sam dostaniesz baty!
- Co? Grozisz mi chłostą? Oto moja odpowiedź!

Zdzieliłem go biczem przez plecy. Biedny Ormianin z miejsca zgiął się w pół, ale już w następnej chwili rzucił się na mnie, i to z taką siłą, że upadł na ziemię, ponieważ szybko odsunąłem się na bok.



- Ręce przy sobie, bo dostaniesz biczem po twarzy! - zagroził.

Pomimo to, pozbierawszy się, handzi zaatakował mnie znowu. Tym razem jednak nie adskoczyłem, lecz uniosłem prawą nogę i potraktowałem go kopniakiem w okolicę żołądka. Przy tym trzeba samemu stać mocno, pochylając się do przodu, bo można upaść na plecy. Ormianin runął ponownie na zaśmiecone podwórze, te-raz jednak miał już dosyć, gdyż podniósł się z widocznym wysiłkiem. Chciał coś powiedzieć, ale wydobył z siebie jakiś jęk i kulając poszedł do izby, nie obrzuciwszy mnie nawet jednym spojrzeniem.

To powiedziało mi dosyć. To było gorsze, niż gdyby obrzucił mnie najwymyślniejszymi pogroźkami. Podeszedłem do karego, wziąłem sztucer i wróciłem do drabiny. Tam sprawdziłem najpierw, czy mógłby mnie trafić strzał z jakiegoś okna. Okazało się, że jest to niemożliwe. Następnie ustawiałem się tak, że jeden z mężczyzn znajdował się zawsze pomiędzy mną a drzwiami.

- Odwiążcie tę kobietę! - rozkazałem parobkom.

Zdziwiłem się już wcześniej, że żaden z nich nawet nie drgnął, żeby przyjść z pomocą swemu panu. Natychmiast spełnili moje polecenie.

- Ubierzcie ją!

Kobieta ledwo mogła poruszyć rękami, tak mocno były związane i tak bolały ją rany na plecach.

- Dlaczego została wychłostana? - zapytałem.

W pobliżu mnie stały trzy kobiety i czterech mężczyzn, jeden z wyglądu bardziej nieokrzesany od drugiego.

- Handzi tak rozkazał - odpowiedział któryś.

= Dlaczego?

- Bo żartowała.

- Z kim?

- Z jednym obcym.

- Czy jest spokrewniona z waszym panem?

- Nie. Jest służącą.

- Skąd pochodzi?

- Ze Stojanowej.

- Ma krewnych?

- Matkę.

- I oberżysta nie zawahał się kazać ją wychłostać tylko dlatego, że była miła dla jakiegoś obcego?

Takie dochodzenie, w każdym innym miejscu krępujące, tutaj nie kryło w sobie żadnego podstępu. Nawiasem mówiąc, dziewczka natychmiast zniknęła za najbliższymi drzwiami.

- Tak, poza tym nie zrobiła nic złego - oświadczył mój rozmówca. - Handzi jest bardzo surowy i dziś już od samego rana okropnie się wścieka.

W tym momencie wymieniony pojawił się znowu na podwórzu. W rękach trzymał długą turecką flintę. Wydawało się, że doszedł od biedy do siebie po moim kopnięciu, odzyskał także mowę, gdyż już z daleka krzyczał do mnie skrzekliwym głosem:

- Psi synu, teraz się policzymy!

Handzi przyłożył broń do ramienia i zaczął do mnie celować. Za nim wyszła z domu jego kobieta. Krzyknęła głośno ze strachu i chwyciła za flintę.

--. Co chcesz zrobić? - jęknęła. - Nie chcesz go chyba zabić?

- Milcz! Wynoś się! - ryknął na kobietę i odepchnął ją tak, że przewróciła się na ziemię.

Wslutek tego lufa jego strzelby odchyliła się od kierunku, w którym mierzył. Również ja przyłożyłem broń do ramienia i wy-celowałem tak dokładnie, jak przy całym pośpiechu było to możliwe: Nie chciałem go zranić, mimo że on najwyraźniej zamierzał mnie poczęstować kulą. Mój strzał gruchnął wcześniej niż jego. Ormianin wydał okrzyk i wypuścił strzelbę. Moja kula, uderzając tuż obok jego nosa, trafiła w zamek flinty. Jemu samemu nic się nie stało prócz tego, że kolba mocno odbiła mu w twarz i że dłonie trzymające strzelbę bolały go od uderzenia mojej kuli.

# W wozach Bałkanów 1a3

Przeklinając wymachiwał rękami na wszystkie strony i ryczał:

- Widzieliście? Strzelił do mnie! To morderca! Łapcie go, za- ‘ trzymajcie go!

Oberżysta podniósł z ziemi uszkodzoną strzelbę, doskoczył do mnie i zamachnął się.

- Cofnij się! - ostrzegłem. - Bo strzelę znowu!

- Dwa razy chcesz wystrzelić? - szydził. - No to spróbuj!

Jego flinta była jednolufowa. Nie mógłby więc z niej oddać drugiego strzału i sądził, że ja znajduję się w takiej samej sytuacji. .., Powtórnie nacisnąłem spust, mierząc w rurę jego flinty, i ponaw- r nie wytrąciłem mu broń z ręki. Natychmiast oddałem jeszcze dwa dalsze strzały, tym razem w powietrze. Handzi miał znowu jakieś ..:;!.., przekleństwo na ustach, ale nie wypowiedział go. Oniemiały z prze- ‘. rażenia otworzył tylko usta.

- Bir szejtan tufengi - diabelska flinta! - wydusił w kancu

- Sibirbas-dir; bu sibirbaslyk-dir - to jakiś czarownik; to cza- ..~ rodziejska sztuczka! - odezwały się głosy pazostałych.

Dalej stałem z bronią gotową do strzału, nie powiedziałem ~ed-~ ~

nak sława. Ormianin podniósł swoją flintę i przyglądał się je~

- Aibdir, bosulmusz-dir - to niesłychane; jest zepsuta! =~:

- Do tej pory jedynie twoja strzelba jest zepsuta - oświad~...: czyłem. - Umyślnie celowałem nie do ciebie, tylko da twojej flin- ‘’: ty. Jeśli jednak zrobisz jeszcze krok, nie będę cię już oszczędzał;’ ,”~ i ty też zostaniesz zepsuty, gdyż strzelę wtedy do ciebie!

- Nie ryzykuj tego! - zagroził.

- Niczego przy tym nie ryzykuję! To ty zbliżyłeś się do mnie~~ ze strzelbą i wymierzyłeś we mnie. Działalem w obronie własnej .,< i miałem ws~zelkie prawo cię zastrzelić.

- Chciałeś mnie zastrzelić i tylko przypadkiem trafiłeś we flm-~‘~ tę. Nikt nie ma prawa mówić, że jeśli chce, to trafi w zamek flin-a:.: ty, kiedy cała moja twarz przylega do ko~lby!

- Chyba nie widziałeś jeszcze dobrego strzelca?

- A wcześniej mnie uderzyłeś. Wiesz, co to znaczy? Nikt nie ~” weźmie mi za złe, jeśli cię zabiję. Taką hańbę zmyć można tylko ;ń krwią.

- A kto zmyje hańbę na honorze tej dziewczki, którą wychłQ- ;:rd stałeś?

- Czy taka dziewczka ma honor? - adparł handzi z szyderczym ; ~.u uśmiechem. - Co cię w ogóle obchodzą moje sprawy? Magę swo- ‘?

!

ją służbę chłostać, ile mi się podoba

W tym punkcie według tutejszych zwyczajów miał rację. Moje ‘k poglądy na ten temat różniły się od nich. Poza tym skoro już coś ;,-194 zacząłem, musiałem z tym zrobić porządek. Dlatego pozostałem uparty.

- W mojej obecności nikt nie ma prawa nieludzko traktować drugiego człowieka. A na ciebie użyłem bicia, bo obraziłeś zasady uprzejmości, którą mi jesteś winien. Na takie zniewagi odpowia-dam tylko biczem. Taki mam zwyczaj.

- A właściwie jaki to z ciebie wielki pan? Ile końskich ogonów nadał ci sułtan? Każę to natychmiast zbadać.

I zwracając się do parobków, ciągnął dalej:

- Ostrzegam was! Nie wypuszczajcie tego cudzoziemca! Zaraz wracam!

- Chcesz sprowadzić kjaję? - zapytałem.

- Tak. Oddam cię w ręce sędziego. On ci pokaże, jakie piękne mieszkania są w więzieniu.

- No to sprowadź kjaję! Poczekam z przyjemnością, a tych ludzi nie musisz mi tu stawiać jako strażników. Gdybym chciał odejść, nie pozwoliłbym się im powstrzymać. Ale zostanę, żeby ci dowieść, że sam jesteś na drodze do więzienia. Właściciel zajazdu pośpieszył przez śmieci i błoto do bramy i od-‘.; dalił się. Ja natomiast otworzyłem drzwi, za którymi zniknęła ;:dziewka. Ujrzałem pomieszczenie do przechowywania sprzętu rol-niczego i podobnych narzędzi. Dziewvka siedziała skulona z bólu ‘.na stercie słomy i płakała. Chciałem jej zadać kilka pytań,

kiedy : poczułem z tyłu dotknięcie. Gdy obróciłem się, zobaczyłem żonę řhandźiego, która próbowała mnie wyciągnąć na zewnątrz. Zdawała się obawiać tego, co mogła mi powiedzieć służąca.

- Czego tutaj szukasz? - zaskrzeczała gospodyni. - Wynoś się!

- Ani myślę, to ty się wynoś! - krzyknąłem na nią.

Kobieta cofnęła się wystraszona i zawołała:

- Taman bir jamjam - prawdziwy ludożerca!

- Tak - odparłem z mroczną miną - pożarłem już sporo męż-ezyzn i kobiet, ale ty nie jesteś dość czysta!

Była zastraszona i nie próbowała już mi przeszkadzać w wejściu do pomieszczenia.

- Jak widzisz, chcę ci pomóc - oświadczyłem dziewczce. - Te-raz więc musisz mi powiedzieć, dlaczego twój pan wymierzył ci tak straszną karę.

- Jeśli ci opowiem, każe mnie wychłostać jeszcze bardziej - poskarżyła się dziewczka.

- Już ja zadbam o to, żeby nie mógł tego uczynić. Kim był ten obcy, z którym żartowałaś? ia^

- To był pan z... z... zapomniałam nazwę miejscowości, któr mi podał. Pozostał tutaj na noc.

- Czym on był? Jak się nazywał?

- Zwał się Madi Arnaud i zamierzał tu jeszcze wrócić.

Madi Arnaud? To było nazwisko człowieka, o którym opowiadają mi Szimin.

- Czy twój pan rozgniewał się dlatego, że rozmawiałaś uprzejmie z tym obcym?

- Och, nie z tego powodu! Handźi jest zły z powodu portfela który odkryłam.

- Portfela? A do kogo on należał?

- Madi Arnaud go zgubił i szukał go. Znalazłam portfel w sy pialni pana i chciałam go zwrócić obcemu. Ale handźi zamknął mnie i wypuścił dopiero wtedy, gdy tamten odjechał, a kied~ potem

powiedziałam oberżyscie, że to nie jego portfel, kazał mni~ wychłostać.

- W takim razie handzi jest złodziejem. Co było w portfelu?

- Nie zdążyłam zobaczyć, bo nadszedł mój pan.

- Wiesz, gdzie trzyma go teraz?

- Tak, podpatrzyłam. Dał go swojej żonie, a ona schowała g~ za drewnem obok paleniska.

Wtem usłyszałem na zewnątrz piskliwy głos:

- Gdzie jest ten morderca?

Wyszedszy na dwór ujrzałem małego, chudziutkiego mężczy.. znę, który miał na głowie olbrzymią futrzaną czapkę, a na nogach ogromne buty z łyka. Ubrany był w szkarłatne spodnie i kamizel.~ kę oraz niebieski kaftan z krótkimi rękawami. To wierzchnie odzie4 nie wyglądało na mocno sfatygowane, a spodnie i kamizelka n,i~ miały guzików i związane były jedynie zwykłym konopnym sznur. kiem. Na nosie mężczyzny znajdowały się ogromne rogowe oku:: lary z jedną całą i połową drugiej soczewki, a w rękach trzymał kałamarz, gęsie pióro i kilka poplamionych tłuszczem arkuszy papieru.

- To on! - powiedział oberżysta, wskazując na mnie.

A więc ten dziwaczny człowieczek był władcą wioski! Robił na:

mnie takie samo wrażenie jak insygnia jego urzędu. Już na pierwszy rzut oka spostrzegłem, że gęsie pióro ma szeroko otwarty dziobek;. a kałamarz wydawał się zawierać smętnie zasuszony czarny szlam.

- A więc ty jesteś tym mordercą? - zwrócił się do mnie kja'a' z surową urzędową godnoś~cią.

- Nie.

- Ten handzi tak jednak mówi! ,

- Gdybym był mordercą, musiałbym przecież już kogoś zabić!
- Chciałeś zabić, to wystarczy. Chodźcie wszyscy do izby! Tam przeprowadzę surowe przesłuchanie, i niech się winnemu nie wy-daje, że zdoła mi się wymknąć spod krzyżowego ognia pytań. Weź-cie go między siebie!
- Wypraszam sobie! - oburzyłem się. - Nie wiemy jeszcze, kto jest winnym. Pójdę przodem.

W izbie usiadłem przy swoim garnku z rakiją. Była to zresztą najwygodniejsze miejsce.

- Wynoś się stąd! - rozkazał kjaja. - To moje miejsce.
- Czyż nie widzisz, że jest już moje? Wszak na nim siedzę!
- Więc wstań!
- Nie widzę wśród was nikogo, przed kim miałbym wstawać.
- Czyż nie widzisz mnie? Jeśli nie posłuchasz dobrowolnie, każę cię usunąć z tego miejsca siłą!
- Kto odważy się mnie datknąć, temu wpakuję natychmiast w brzuch tych sześć kulek!

Wyciągnąłem rewolwer i zwróciłem w jego stronę. Naczelnik wioski dał susa, którego by się nie powstydział wyczynowy gim-nastyk.

- Ten człowiek naprawdę jest niebezpieczny! - orzekł. - Na razie pozwolimy mu tam siedzieć.

Mały człowiek znalazł sobie inne miejsce, rozłożył przed sobą papiery, obok postawił kałamarz, z powagą zmarszczył czoło, obejrzał pióro pod światło i zbadał jego dziobek. Rezultatem tych aględzin był rozkaz:

- Podaj mi nóż!

Oberżysta wyciągnął kozik, którym można by rąbać drewno. Kjaja zaostrzył nim zgrabnie pióro, aż miło było popatrzeć. Następnie nakazał:



- Daj mi wody!

Kałamarz został napełniony, po czym naczelnik wioski zaczął dźgać i grzebać piórem w zasuszonym szlamie, który miękł bardzo wolno, tak energicznie, jakby chciał ugnieść ciasto. Bawiło mnie to wszystko. Podsunąłem mu swój garnuszek i za-chęciłem go:

- To ciężka praca. Napij się!

Stało się dokładnie tak, jak pomyślałem.

- Co tam jest? - zapytał kjaia.

- Rakija.

Wziął garnek, zajrzał do środka, pawąchał i wypił.

- Chcesz jeszcze? - zapytałem.

1:9?

- Masz pieniądze?

- Tak. Ja płacę.

- Każ go napełnić. Potem wszyscy się napijemy.

Garnek został napełniony po brzegi i wędrował o~d ust do ust.

Kiedy miała przyjść kolej na mnie, kjaia uznał:

- Ten to przestępca. Nie dostanie nic!

Było mi to na rękę, choć zauważyłem po minach parobków, że nie mieliby nic przeciwko temu, gdybym i ja pociągnął łyk. W ogó~le miałem wrażenie, że są po mojej stronie. Ostatni łyk wypił zno~wu czcigo~dny zwierzchnik wioski. Następnie poprawił okulary.

- A teraz zaczyna się przesłuchanie. Strzelałeś do tego czło-wieka? Nieprawdaż?
- Nie do niego, tylko do jego flinty.
- To dokładnie ta samo. Strzelałeś i przyznałeś się do tego.

Przesłuchanie skończone. Niczego nie muszę pisać. Zapłać za wód-kę, potem zostaniesz adprowadzony.

- Dokąd, kjajo?
- Dowiesz się w swoim czasie. Teraz masz spełnić polecenie bez zadawania żadnych pytań.
- Pięknie! Ale skoro już mnie nie wolno pytać, to życzę sobie, żebyś przynajmniej ty zadał mi kilka pytań.
- O cóż miałbym cię pytać? Skończyłem - zamknął spraw ę mały człowieczek.
- Jak sobie życzysz! W takim razie ja też skończyłem i poja-dę dalej swoją drogą.
- Nie uczynisz tega, gdyż jesteś moim więźniem.
- Posłuchaj, jeśli zamierzasz żartować, to zdobądź się przynaj-mniej na dobry żart! Chciałbym wiedzieć, kto mnie zatrzyma! Mo-że ty? ‘
- Tak, ja - nadał się mały człowiek.
- Więc podejdź tutaj i spróbuj! Kiedy cię schwycę w swoje ręce, w jednej chwili będziesz złamany jak trzcina. A gdyby chciał mnie czasem zatrzymać ktoś inny, to go zastrzelę.
- Słyszycie? - zawołał. - Będziemy go musieli związać.
- To niepotrzebne. Nic wam nie zrobię, gdyż wiem, że i wy mi nic nie zrobicie. Zakończyłeś swoje przesłuchanie nie zapytawszy, kim jestem. Czy nie musisz podać mojego nazwiska swoim przeło-żonyrn?
- Owszem. Kim jesteś i jak się nazywasz?
- Popatrz, teraz nagle potrafisz pytać!
- Nie chciałem tylko zaczynać, gdyż nie chciałem cię zupełnie

I98 pograć. Bo kiedy już zacznę pytać, to przy okazji wyjdą na jaw wszystkie inne przestępstwa, jakie popełniłeś.

- Pytaj więc dalej w imię Allaha! Wyznam ci wszystkie swoje grzechy, a ty zechciej je zanotować. Umiesz pisać?

Nie spodziewał się tego pytania. Dopiero po namyśle odrzekł:

- Ten atrament jest jednak za gęsty, pióro też jest o wiele za tępe. Muszę sobie ugotować nowy atrament. Słyszę, że jesteś cu-dzoziemcem?

- Jestem nim.

- Czy masz teskere za dziewięć piastrów?

Teskere to zwyczajny paszport, jaki musi posiadać każdy po-dróżny. Trzeba go stemplować w każdej miejscowości.

- Tak, mam coś takiego - odpowiedziałem.

- Pokaż!

Kjaja otrzymał teskere. Ledwo jednak rzucił na ów paszport okiem, powiedział:

- Przecież nie ma tu nawet jednej pieczętki! Dlaczego?

- Bo nikomu jeszcze nie pokazywałem teskere.

- W takim razie jesteś włóczęgą, jakiego świat nie widział.

Twoja kara staje się coraz cięższa!

- Nie zamierzasz spytać, dlaczego nigdy jeszcze nie pokazywa-łem teskere?

- No właśnie, dlaczego? - zapytał kjaja z namaszczaniem.

- Bo mogę pokazać coś innego, a mianowicie to.

Podąłem mu swój bujuruldu. Mały człowiek zrobił zakłopotaną minę.

- No, nie zamierzasz okazać hołdu pieczęci i podpisowi? - spy-tałem.

Kjaja skłonił się, przycisnął dokument do czoła, po czym rzekł:

- Dlaczego wcześniej nie wspomniałeś, że masz bujuruldu?

- Za szybko skańczyłeś swoje przesłuchanie. Nawiasem mó-wiąc, nie wysiliłeś się zbytnio przy oddawaniu czci. Podnieś się ze swego miejsca i zdejmij buty, gdyż pokażę ci jeszcze inny paszport!

- Allah! Masz również ferman?

- Tak - oto on!

Rozpostarłern złożony wielokroć dokument. Ferman to paszport najwyższej rangi. U góry pomiędzy wykalfigrafowanyrn ornamen-tem wypisane są wszystkie tytuły padyszacha. Zawiera on skiero-wane do władz polecenie, by uwzględniały wszelkie możliwe ży-czenia podróżnego. Z pergaminu można wyczytać także różne ko-rzystne dla jego posiadacza rozporządzenia, na przykład po jakiej ; cenie winien otrzymać konie, eskortę i przewodników. Ferman natychmiast odniósł pożądany skutek. Kjaja wydawał ‘ się zupełnie odmieniony.

- Ludzie, okażcie hołd godności, pieczęci i podpisowi władcy wszystkich wiernych! Z ust jego płynie prawda i błogosławieństwo,’ a co rozkaże, musi się stać w kaidym miejscu na ziemi. Pokłonom nie było końca. Tymczasem schowałem z powrotem wszystkie trzy paszporty do skórzanego portfela, po czym zapyta-łem kjaję:

- Co powie padyszach, jeśli mu napiszę, że zostałem . tutaj zel- .: żony i że nazwałeś mnie mordercą?

- Okaż łaskę, bej Hasretlerim! Nie wiedziałem, że tak się sprawy mają!

- Wybaczę ci, choć popełniłeś wielki błąd nazywając mnie’ przestępcą, jako że przybyłem tutaj po to, żeby odkryć przestęp.. ., stwo. Podejdz do pieca i odsuń na bok drewno! Znajdziesz tam coś;’ co nie należy do tego domu!

Naczelnik wioski natychmiast spełnił polecenie. Handzi nie po-; trafił ukryć swega strachu, a jego żona uznała, że najlepiej będzie y zniknąć i wymknęła się z izby. Kjaja faktycznie wydobył spod pie-;; ca portfel i podał go mnie. Po otwarciu portfela spostrzegłem, że’; w środku znajduje się również notes. Zawierał mnóstwo zapisków”~” i najróżniejsze luźne uwagi - w języku niemieckim.

Zawartość notesu sama w sobie była bezwartościowa. Może coś ~:

lepszego kryły w sobie przegródki portfela? Zacząłem poszukiwa~', nia i znalazłem starą wizytówkę, na której widniały dwie splecione ?" dłonie, a pod spodem słowa: „Nawet śmierć nie maże nas rozłączyć” -- przedziurkowany bilet kolejowy trzeciej klasy z St. Peter , w Krainie do Nebresiny - dwie kartki z jakiegoś słownika - wy-;. gładzony szczotką liść dębu z wymalowaną na nim różą i podpisem: ' . ; „Taka jesteś piękna” - mocno zniszczony zeszycik zatytułowany: ;

„17okładne obliczenie wygranych w skacie z podaniem koloru i bez” ‘ ...

- wykaz cen pewnej budapeszteńskiej winiarni i - wreszcie coś : konkretnego, a mianowicie zawinięte w papier osiemdziesiąt gul-‘ denów austriackich w banknotach! Z pewnością te pieniądze właś-ńie były powodem, dla którego handzi zatrzymał poza tym bez-wartościowy portfel.

- Skąd masz ten czusdan? - zapytałem go.

- Należy do mnie - odpowiedział Ormianin. .

-- Kto zapisał te kartki?

- Ja.
- Jaki to język?
- ~- To jest... to... - jąkał się oberzysta.
- Perski, nieprawdaż?
- Tak.
- W takim razie powiem ci, że tego pisma używa się tylko w Almanii. Tutaj, przeczytaj, co jest napisane na tej stronie! Jego zakłopotanie nie miało granic.
- Nie potrafisz przeczytać! Ten czusdan należy do pewnego człowieka, który nazywa się Madi Arnaud. Zadbam o to, żeby portfel trafił z powrotem w jego ręce. Co się tyczy ciebie, to zasłużyłeś na karę, ale od ciebie będzie zależeć, czy okażesz łaskę. Je-żeli przyznasz się otwarcie, że bezprawnie przywłaszczyłeś sobie ten portfel, kara zostanie ci darowana. A więc gadaj teraz! Czy naprawdę należy do ciebie?

Ormianinowi niełatwo przyszła odpowiedź, ale ferman zrobił na nim ogromne wrażenie. Uważał mnie teraz za wielkiego pana, którego należy się obawiać. Dlatego też ociągając się wyznał w końcu:

- Nie, należy do Madi Arnauda.
- Wiesz, dokąd pojechał?
- Do Ismilanu.
- Dobrze, niech będzie ci przebaczone! Ale stawiam warunek

że zafundujesz każdemu z obecnych garnek raki. Dostałbyś bastonadę i przesiedziałbyś w więzieniu wiele tygodni. Przyjmujesz mój warunek?

- Tak - mruknął przez zęby.

Wtedy kjaja z takim zapalem sięgnął po moją rękę, że przewrócił kałamarz.

- Efendi, twoja dobroć jest wielka, ale twoja mądrość jeszcze dużo większa! Karzesz go, wyświadczać mu dobrodziejstwo! Zawsze będziemy cię dobrze wspominać!

- Okażcie się zatem godni mojej dobroci i pociągnijcie tego trunku - ku pokrzepieniu i radości was wszystkich. Wychłostana dziewczka nie zjawiała się w izbie. Wyszedłem do niej na dwór. Dalej siedziała na słomie. Powiedziałem jej, że oberżysta przyznał się do kradzieży. Wzbudziło to jej niepokój.

- Efendi, nic dobrego dla mnie z tego nie wyniknie - zaczęła lamentować.

- Handzi nie wie, że to ty mi powiedziałaś. Ale dlaczego pozostajesz u niego, skoro jest takim złym panem? 201

- Muszę. Wyplacił mi ~z góry trzydzieści piastrów. Potrzebowa- ~łam tych pieniędzy dla mojej matki i nie mogę teraz odejść do ~ innego pana wcześniej, niż odśłużę tę zaliczkę.

- Dam ci pieniądze. Znajdziesz od razu służbę gdzie indziej~?

- Och, natychmiast! Ale handzi i tak nie pozwoli mi od razu ~ odejść.

- Pozwoli, gdyż ja mu tak rozkażę.

- Efendi, jak mam ci dziękować?

- Nie ma o czym mówić! Troszczyłaś się o swoją matkę, za to ~; należy ci się nagroda. Okazuj jej cześć w dalszym ciągu, gdyż kto ~ kocha i szanuje rodziców, w tym Allah ma upodobanie. Wręczyłem jej tę małą sumę i dołożyłem trochę ponadto. Zrobiła ~ zupełnie inną minę niż oberżysta, na którego natknąłem się ;~ w drzwiach domu. Szedł napełnić dzban i mruknął do mnie:

- Efendi, nie było potrzeby dawać raki w wszystkim tym lu- ~ dziom. Wystarczyłoby, gdyby kjaja dostał pełny dzbanek.

- Tak sądzisz? Chcę ci po~wiedzieć, że nikt z was nie jest wart ~ nawet jednego para. Twoja rakija natomiast jest jeszcze gorsza ~ niż ty sam. Karzę was w ten sposób, że musicie ją pić, i cieszyć się już na myśl o tym, jak zacziłnie działać. Teraz jednak chciałbym ~ jeszcze zamienić z tobą dwa słowa w związku z twoją dziewczką. Ra- e dę ci, żebyś jej pozwolił odejść,

- Winna mi jest pieniądze.

- Zwróci ci je.

- Dałeś jej pieniądze?

- Tak.
- W takim razie będzie mogła odejść. Nie chcę jej więcej wi- 5 dzieć, gdyż ona jest winna wszystkiemu, co się stało.
- Dobrze. Oświadczysz to w izbie przy wszystkich.
- Nie ma takiej potrzeby.
- Och, przeciwnie, uważam, że to bardzo potrzebne, gdyż nie ufam ci. Nie odjadę stąd, póki ona nie odejdzie.
- Powiedziałem, że może odejść. Uważasz mnie za kłamcę?
- Tak. Jesteś złodziejem i okrutnikiem. Dlatego też jestem prze- ‘. konany, że możesz także kłamać,
- Niechby mi powiedział to ktoś inny! Ale ścierpię tę obrazę. „„

Ponoszę wprawdzie wielką stratę, ale jestem przekonany, że zapła- ‘.. cisz mi za flintę, którą mi zepsułeś.

- Tak sądzisz? Skąd jesteś?
- Jestem ormiańskim chrześcijaninem.
- Więc wstydz się! Człowiek, którego okradłeś, też jest chrze-ścijaninem. Przez to twój postępek staje się jeszcze bardziej nie-

202 godziwy. Wy chrześcijanie winniście być dla muzułmanów wzorem wszelkich cnót. Czym jednak jesteście w rzeczywistości? Nie będę ci wygłaszał kazania, i tak okazałoby się bezskuteczne. Jedno ci jednak powiem: Nie zapłacę ani za twą strzelbę, ani za rakiję, której nie wypilem. Za obrak dla mojego konia dostaniesz pięć piasstrów. Oto one i tym samym jesteście kwita.

Handzi wziął pieniądze bez słowa i oddalił się. Usiadłem na ka-mieniu leżącym nie opadal drzwi i czekałem. Wkrótce zjawiała się dziewczka z małym tobołkiem w ręku. Powiedziała mi, że spłaciła dług swemu panu i otrzymała zwolnienie ze służby, po czym po-żegnała się wśród szczerych podziękowań.

Wtedy i ja opuściłem to miejsce, w którym omal nie ściągnąłem na siebie niebezpieczeństwa. Na końcu nikt się już o mnie nie troszczył. Wszyscy zajęci byli rakiją. Odjeżdżając bez pożegnania, żywiłem nadzieję, że duchy mieszkające w wódce może zrozumieją mój zamiar. Taka mała bijatyka we własnym gronie nie zaszkodzi-łaby mieszkańcom tego przytulnego zajazdu.



W Topoklu znalazłem inny han; którego właściciel był Turkiem. Tu panowała czystość i była dobra kawa. Ponieważ obok przebiegała droga z Mastanly i Stojanowej, pozostałem tutaj, żeby poczękać na swoich towarzyszy.

Sądziłem, że dotrą do Topoklu dopiero wieczorem, ale nadjechali jeszcze po południu. Ujrawszy ich, zapłaciłem rachunek i szybko ich dogoniłem. Niemało się zdziwili widząc mnie tutaj, jako że miałem zamiar pojechać do Palacy. Gdy potem opowiedziałem im, co przeżyłem, Halef bardzo ubolewał, że go przy tym nie było.

Moi towarzysze w ogóle nie spali i wyruszyli o świcie. Ich konie bardzo były zmęczone długą jazdą, ale do Ismilanu mogły wytrzymać, a tam przewidziany był dłuższy odpoczynek dla ludzi i zwierząt.

# X. STARY ZNAJOIWIY

Przybywszy do Ismilanu, zapytaliśmy o kawiarnię płatnerza Deselima. Dowiedzieliśmy się, że jest to nie tylko kawiarnia, ale również han i że zostaje tam na noc bardzo wielu podróżnych. Z pewnością nie było bezpiecznie zatrzymywać się w domu człowieka, który przeze mnie skręcił kark. Ale o tym wypadku nikt 203 przecież jeszcze tutaj nie wiedział, a ponieważ Deselim był szwa-grem Szuta, spodziewałem się, że nasi uciekinierzy też zawitali do ; niego: Może udałoby się tam dowiedzieć czegoś ważnego.

Za domem mieściło się dość duże podwórze wraz ze stajniami. :

oraz niskim budynkiem, w którym znajdowały się przeznaczone dla przyjezdnych gości pomieszczenia sypialne. Były to małe izdeb-ki wyposażone w bardzo prymitywne łoża. Koce i inne tego rodzaju rzeczy podróżny musiał mieć swoje.

Kiedy zsiadliśmy z koni, pojawił się przy nas mężczyzna o ponu-rej twarzy i po pozdrowieniu zapytał, czy chcemy przenocować.

Usłyszawszy ode mnie twierdzącą odpowiedź, rzekł:

- W takim razie będziecie musieli spać na podwórzu pod go-łym niebem. Wszystkie pomieszczenia są zajęte. Nie ma wolnego miejsca.

- Czy dla takich ludzi też nie ma?

To mówiąc wskazałem na swoją kopcę. Ciekaw byłem, czy zrobi odpowiednie wrażenie.

- Ach, jesteście braćmi - odrzekł szybko. - To co innego, w takim razie miejsce się znajdzie. Ale będziecie musieli spać po dwóch, bo mogę zwolnić tylko dwie izby.

Zgodziliśmy się i poszliśmy za nim do stajni, by ulokować swoje kanie: Przy tym zdawało mi się, jakbym słyszał z daleka jakiś niezwykle tutaj śpiew, lecz nie zwróciłem na to większej uwagi:

Najpierw wskazano nam drogę do kawiarni, gdzie czekała nas miła niespodzianka, gdyż zakomunikowano nam, że możemy dostać pi-law z kurzym mięsem. Chętnie przyjęliśmy tę propozycję. Oprócz nas w izlaie nie było nikogo, a chłopiec, który nas obsłu-giwał, uważał widać mówienie za grzech. Tym sposobem jedliśmy w milezeniu i w spakoju. Potem zjawił się mrukliwy osobnik, któ-ry nas przyjął, żeby nam wskazać nasze izby.

- Macie kopcze - powiedział - więc chętnie z wami poroz-mawiam. Ale teraz nie mam czasu, bo

w ogrodzie mamy śpiewa-jący teatr.

- A kto śpiewa? - zapytałem.

- Pewien cudzoziemski śpiewak, który przybył tutaj dzisiaj, żeby zostać na noc. Usiadł w ogrodzie i zaczął śpiewać, i wtedy wszyscy goście wyszli tam do niego. Śpiewa w dalszym ciągu, a oni dalej go słuchają. Musimy więc nosić im tytoń i kawę do ograda. Przez to mamy dużo pracy.

- Wiesz, skąd pochodzi ten śpiewak i jak się nazywa?

- Pochodzi z kraju, który zwie się Awusturja, i nosi jakieś obce nazwisko. Mówi, żebyśmy go nazywali Madi Arn,aud. Jeśli nie

204 jesteście zbyt zmęczeni, też możecie pójść do ogrodu. Ale niczego nie zrozumiecie, bo śpiewa w jakimś abcyjnym języku. Mimo to jego śpiew brzmi bardzo pięknie, tak pięknie, jak jeszcze nigdy nie słyszałem. Ma cytrę i przebierając palcami po strunach naśladuje głosy wszystkich ptaków.

Następnie poprowadził nas na drugą stronę podwórza i otworzył dwoje znajdujących się obok siebie drzwi niskiego budynku. Z pod-wórza wchodziło się bezpośrednio do izb sypialnych. Kazał tam rozścielić siano i rozłożyć na nim koce, to była grzeczność, którą na pewno zawdzięczaliśmy jedynie kopczy.

Omar i Osko otrzymali jedną izbę, a Halef miał spać ze mną w drugiej. Nasz przewodnik oddalił się, także Omar i Osko poszli po nasze rzeczy do stajni.

Zajmując się swoimi posłaniami, słyszeliśmy docierające do nas dźwięki cytry. Nasza sypialnia miała drzwi naprzeciwko otworu okiennego, który zamykała okiennica. Światło otrzymaliśmy z napelnionej łojem czarki, w której palił się knat. Najpierw dotarła do nas przygrywka, składająca się z ośmiu taktów, a następnie ku memu zaskoczeniu usłyszałem w języku niemieckim żartobliwą piosenkę:

Dziewczyna zółbeczki

rna białe jalc śnieg,

bo wszystkie wstawione

nie bolć już jej. ,

Dziewczyna też czepiec

złocisty swój ma,

a nosi per2ckę

szkaradnd, że strach!

Nastawiłem uszu. Naszło mnie pewne wspomnienie. Czy to mo-żliwe? Także Halef nasłuchiwał.

- Sihdi, wiesz, kto to śpiewa? - zapytał.

- No... kto?

- To człowiek, który był razem z nami w Dżiddzie u Maleka, szejka Atejbeja, i u Hanneh, mojej niewiasty, najpiękniejszej z wszystkich cór. Nosił u boku potężną szablę, a na szyi miał taki dziwaczny sztywny biały kołnierzyk.

- Tak, masz rację. Tamten człowiek śpiewał tak samo.

Raz matlca ma rzelcła,

że gdyby nie ja,

~nn babka babunid

nie byłaby wszak.

Tak brzmiała następna zwrotka, po czym śpiewak ciągnął dalej:

Kucharki zaś bźjc~

nie jedną wszak gęś,

bo wielka rodzinu

mieć musi co jeść.

Halef był zachwycony.

- Sihdi, idę tam - powiedział. - Muszę wiedzieć, czy to na-prawdę ten sam człowiek, który widział Hanneh.

- Tak, chodźmy - zgodziłem się.

Niedaleko od naszych drzwi znajdowała się furtka w murze, która prowadziła do ogrodu. Kiedy

weszliśmy przez nią, ujrzelśmy trawnik, a na nim palących się kilka lamp łożowych, których migotliwy blask oświetlał krąg słuchaczy. A naprzeciwko nich siedział - tak, rozpoznałem go od razu - Martin Albani, nasz znajomy z Dżiddy! Zobaczył, jak wchodzimy, obrzucił nas tylko krótkim spojrzeniem, po czym przestał na nas zwracać uwagę i śpiewał dalej:

Rosjanin niż Turek

nie wadzą ci dzisiaj, mnie,

i tylko ma Gretel

znów kłócić się chce!

Wolnym krokiem szedłem dalej, aż w końcu stanąłem za śpiewakiem. Chciałem go zaskoczyć tak samo, jak mnie zaskoczyła jego obecność tutaj. Nie zauważywszy, że za nim stoję, zaczął kolejną zwrotkę:

Gdy głuźzec na krzaku

tokuje co tchu,

dziewczyna buziaka

dostanie, o tu!

Widziałem, że trzymał akord F-dur. Pochyliłem się nad nim, wziąłem mu z ręki cytrę i zaśpiewałem w tej samej tonacji:

Dziewczyna jest czysta,

czyściutka jak łza,

na szyi ma wole,

poza tym bez wad!

Martin Albani zerwał się ze swego miejsca i spoglądał na mnie zdumionym wzrokiem.

- Co? - zapytał. - Też Niemiec?

- Tak. Niech będzie pochwalony, panie Albani!
- Zna mnie pan? Dziw nad dziwy!
- A pan mnie nie? Czy nie wybralibyśmy się na przejażdżkę na wielbłądach? Pamięta pan?
- Na wielbłądach? Tylko jeden jedyny raz zaryzykowałem coś takiego i wtedy - do kroćset, już sobie przypominałem! Czy to pan? Tak, pan! Z radości chciałoby się z miejsca rozwalić jakiś piec, gdyby znalazł się akurat pod ręką. Jakim sposobem zawędrował pan tutaj do Ismilanu?
- Szukam pana.
- Mnie? Dlaczego? Czyżby pan wiedział, że jestem w Ismilanie?
- Tak. Jedzie pan z Czirmen, a wybiera się potem do Melnika.
- Rzeczywiście, to prawda! Od kogo jednak dowiedział się pan o tym?
- Najpierw mówił o panu kowal Szimin w Koszikawak.
- Tak, byłem u niego.
- Ścisłej mówiąc, opowiadał o jakimś Turki czagyrydzi, który zawitał do niego, ale nie miałem pojęcia, że to pan jest tym czło-wiekiem.
- Turki cza... czy... czo... czu... - jak brzmiało to słowo? Co ono znaczy w naszym języku?
- Śpiewak.
- Ach tak! Niech lichy porwie ten turecki! Trudno mi się w nim połapać.
- A mimo to podróżuje pan?
- No, jakoś się dogaduję. Jeśli się nie da słowami, to od ezego

~';:: są gesty. Mimika to wszak język ogólnoświatowy, który każdy

rozumie. Ale niechże pan siada i opowie mi, co...

- Czy nie zechciałby się pan obrócić? Stoi tam ktoś, kto także chciałby powiedzieć panu dobry wieczór.

- Gdzie? Tam? Ach, to przecież pan Hadzi Ha... Hi... Ho...

- o takim długim nazwisku!

Halef domyślił się, że mowa jest o jego nazwisku. Rzekł więc z godnością:

- Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah.

- Już dobrze, już dobrze! Tylu hadżich nie potrafię spamiętać.

Pozostańmy przy prostym imieniu Halef. A więc dobry wieczór, panie Halef!

Albani wyciągnął do niego rękę, a Halef, nie rozumiawszy na-wet słowa, uścisnął ją.

- Niech pan sobie zechce przypomnieć, że zacny Hadži jest Arabem - powiedziałem. - Nie rozumie pana.
- Ach tak! A jakim językiem mówi?
- Po arabsku i po turecku.
- Akurat to są moje słabe strony. No cóż, jakoś się ze sobą dogadamy. Teraz jednak koniec już ze śpiewaniem. Pora teraz na opowieści!

Obecni w agrodzie goście zauważyli, że ma tutaj miejsce jakieś nieoczekiwane spotkanie. Z wyraźnym niezadowoleniem stwierdzili fakt, że cytra została odłożona. Albani nie chciał być już jednak podziwiany przez swoich słuchaczy; zrezygnował z tego zaszczytu.

Pociągnął mnie na dół do swojego stolika i nalegał:

- Proszę mi teraz opowiedzieć, co pan przeżył od tamtego czasu!
- Wypełniłoby to wiele wieczarów - odparłem. - Niech naj-pierw pan opowie, jak się panu wiodło!
- Dobrze i źle - odrzekł - na zmianę. Robiłem różne rzeczy, raz miałem szczęście, raz pecha. Teraz jestem swoim wła~snym to-warzystem i obracam się w tych stronach, żeby przekonać się; ja-kie możliwości robienia interesów stwarza ten kraj.
- Dokąd się pan stąd wybiera?
- Na jarmark do Melnika.

~ Ja także.

- To wspaniale. Pojedziemy dalej razem?
- Tak, pod warunkiem, że jest pan dobrym jeźdźcem. Sardzo się bowiem śpieszę.
- Och, jestem naprawdę dobrym jeźdźcem. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.
- Mam nadzieję, że jeździ pan lepiej niż wtedy na wielbłądzie, którego wypożyczyliśmy dla pana w Dżiddzie.



- Spokojna pańska głowa! - przechwalał się triesteńczyk. - Jeżdżę konno niczym Indianin, niczym Renz ss!

- Ma pan własnego konia?

- Nie.

- Oj, to niedobrze! A więc pożyczonego? - zapytałem z zadumą.

- Tak. Mam dwa muły; jeden dla siebie, a drugi na moje to~ wary. Właściciel mułów jedzie na trzecim jako przewodnik i poga-niacz.

- Ile pan płaci?

as Ernst Jakob Renz (1815-92), założyciel i dyrektor słynnego cyrku o tej samej nazwie.

- Naturalnie płacę tylko za moje o~bydwa zwierzęta, a miano-wicie od każdego dziesięć piasstrów za dzień.
- Tak. To tutaj zwyczajowa cena dla obcych, którzy nie znają miejscowych stosunków i dlatego łatwo dają się oszukać.
- Dlaczego? Czyżbym dawał za dużo?
- Tak. Krajowcy płacą tylko połowę tego.
- Ach! Poczekaj, łotrze! Od tej pory będziesz dostawał tylko pięć piasstrów za każde zwierzę!
- Proszę nie działać pochoPnie! Jaki ma pan paszport?
- Teskere.
- A zatem nie jest pan palecany urzędnikom? W takim razie nie może pan postępować nazbyt energicznie. Gdzie wynajął pan zwierzęta i przewodnika?
- W Mastanly.
- Proszę mu więc dalej płacić dotychczasową cenę, dopóki nie wynajmie pan innego. Z nowym ja będę pertraktował.
- Znakomicie! Wielce jestem panu zobowiązany! Jak daleko mamy stąd do Melnika?
- Mniej więcej dwadzieścia pięć tureckich agacz albo sto dwa-dzieścia kilometrów. Oczywiście w linii prostej.
- Byłyby to trzy dni drogi. Ponieważ jednak góry zmuszają wciąż do objazdów, będziemy potrzebować więcej.
- Hm! Ja na swoim karym byłbym tam w niespełna dwa dni:

Muły bywają często bardzo narowiste. Jak zachowują się pańskie?

- Och, bardzo dobrze!

Triesteńczyk wypowiedział te słowa tak przeciągle, że podejrze-wałem go, iż mówi mi małą nieprawdę, żeby nie zniechęcić mnie do swego towarzystwa.

- Proszę posłuchać, Albani, trochę pan chyba blaguje?

- O nie, wcale!

- Czyżby te wynajęte muły nie miały żadnych wad?

- No cóż - wyznał Martin Albani - muł, na którym jader jest lekko stuknięty. Ma zwyczaj stawać czasami na przednich nogach i wierzgać tylnymi. A zwierzę juczne nie zawsze idzie tam, gdzie by się chciało. Niekiedy się zatrzymuje, żeby ze zrozumieniem przyjrzeć się okolicy. Od czasu do czasu także się kładzie, żeby odbywać ćwiczenia umysłowe, i osobliwym trafem zawsze tam, gdzie jest najgłębsze błoto. Ale to nic nie szkodzi, gdyż za każdym razem nadrabia stracony czas. Kiedy mu bowiem przyjdzie potem na myśl, że trochę ruchu właściwie byłoby pożyteczne dla zdrowia, pędzi jak lokomotywa pociągu pośpiesznego. I wtenczas rzy z uciechy, widząc, że musimy się cofać, aby pozbierać rzeczy, które po-

14 W wąwozach Batkanów 209 gubił. Po prostu każde zwierzątko chce mieć swoją przyjemność, a ja jestem dość ludzki, żeby mu jej nie odmawiać.

- Serdeczne dzięki! Największą przyjemnością takiego zwierzątka musi być posłuszeństwo swemu panu.

- Proszę go nie osądzać zbyt surowo! Sprzeczności nigdzie nie brakuje. Zresztą są to jedyne wady, jakie mają moje muły.

- Coś mi się zatem zdaje, że pański przewodnik wybrał dla siebie najlepsze zwierzę?

- To prawda. Ale nie mogę brać mu tego za złe. Każdy myśli najpierw o sobie samym.

- Według tej zasady pan też winien pomyśleć najpierw o sobie samym. Ciekaw jestem, jak z takimi zwierzętami przebędzie pan. ciężkie odcinki drogi, jakie mamy przed sobą. Dokąd się pan wybiera z Melnika?

- To jeszcze nie postanowione. Albo pojedę w kierunku południowym do Salonik, albo na zachód do Morza Adriatyckiego, aże-ł~y stamtąd morzem powrócić do Triestu.

- Radzę panu to pierwsze.

- Dlaczego?

- Bo to mniej niebezpieczne.

- Uważa pan tutejszą ludność za złą?

- Za złą może nie, ale ludzie, którzy mieszkają tutaj w dorze~czu Ardy, miewają czasami osobliwe zwyczaje. Niekiedy lubią wspólnotę majątkową, to znaczy tylko wtedy, kiedy ktoś inny coś posiada. A poza tym często odbywają najróżniejsze ćwiczenia w strzelaniu i posługiwaniu się nożem i wówczas zadziwiającym trafem najchętniej obierają za cel jakąś istotę żywą.

- W rzeczy samej nie jest to przyjemne - przyznał Albani.

- Ma pan przy sobie różne towary, może także pieniądze. To bardzo kuszące dla ludzi o takich poglądach. Bardzo łatwo ktoś mógłby sobie pożyczyć pańskie rzeczy na wieczne nieoddanie. Albo mogłoby się nawet zdarzyć, że wsiadając na statek by pan spo-strzegł, iż zastrzelono pana w górach, a następnie zagrzebano w ja-kirnś dzikim wąwozie.

- Za takie uwagi z góry dziękuję: Nie tak sobie to wszystko wyobrażałem. Do tej pory nie stało mi się nic poza tym, że w Ada-ezaly zgodnie z wszelkimi regułami sztuki wygarbowano mi skórę, jakkolwiek nie w garbarni, i że potem straciłem portfel. To drugie niepowodzenie mogę jednak przypisać tylko swojemu niedbalstwu, a nie obciążać nim konta tutejszej ludności.

- A może jednak - uśmiechnąłem się.

- Sądzi pan, że ukradziono mi portfel?
- Możliwe. W przeciwnym wypadku znalazca mógł go panu przecież zwrócić.
- Hm? Czy mnie znał? Nie wiem nawet, gdzie mi się zapodział ten portfel.
- Mam nadzieję, że strata nie jest znaczna?
- Nie. Było w nim osiemdziesiąt austriackich guldenów w banknotach. To jeszcze nie tragedia. Niestety trzymałem tam także parę miłych pamiątek, których brak będę boleśnie odczuwał.
- Co to za pamiątki?
- Różne rzeczy, które pewnie by pana nie interesowały.
- Tak. - „Nawet śmierć nie może nas rozłączyć!”
- Co? Co pan mówi?
- „Taka jesteś piękna!”
- Nie rozumiem pana!
- „Dokładne obliczenie wygranych w skacie”. To w każdym razie na pewno cenna pamiątka po przegranym treflu solo z siedmioma atutami i trzema gołymi dziesiątkami. Jako Austriak studiował pan skata?
- Co pan tu opowiada! - zdziwił się Albani. - Gotów jestem uwierzyć, że wie pan, co znajdowało się w moim portfelu!
- Mniej więcej.
- A skąd pan to wie?
- Och, miałem przyjemność rozmawiać o panu z pewną ładną młodą damą.
- Młodą? Ładną? A gdzie to było?
- Wydaje się pan znać wiele takich dam?
- Mniej więcej.
- Tak. Podróżuje pan, żeby sobie znaleźć żonę.

- Ach, teraz już wiem, kogo ma pan na myśli: służącą gospo-dyni bełtającej w kuble kwaśne mleko w...
- Przy panu też bełtała kwaśne mleko?
- Od rana do wieczora. Zajęcie to wydaje się jej pasją.
- Każdy ma swoje słabości. Handzi też ma jedną.
- Jaką? Grubiaństwo?
- Nie, grubiański jest tylko z przyzwyczajenia. A jego słabość to nieoddawanie znalezionych przedmiotów.
- Czy coś znalazł?

Wyciągnąłem portfel i podałem mu.

- Mój portfel! - zerwał się z miejsca Albani. - To właśnie oberżysta znalazł portfel? 211
- Tak, i to jeszcze w czasie pańskiej obecności.
- A to łajdak! Jak to się jednak stało, że oddał go panu, ukryw-szy wcześniej znaleziony portfel przede mną?
- Zmusiłem go do tego. Dziewka zdradziła mi, że ukrył swój łup.

Następnie opowiedziałem Albaniemu w szczegółach całe zajście. Otworzył portfel i stwierdził, że nie brakuje niczego z jego -za-wartości.

- Z mojego powodu naraził się pan na niebezpieczeństwo - powiedział. - Dziękuję panu!
- Z pańskiego powodu? O nie! Kiedy stanąłem w obronie krzywdzonej niewiasty, nie domyślałem się jeszcze, że był pan tam wcześniej. Nie ma ^ pan zatem w stosunku do mnie żadnych zobowiązań.
- Biedna dziewczyna! Mówi pan, że ją zamknął? A ja szukałem dziewczki we wszystkich kątach, nie mogąc odnaleźć.
- Zapewne chciał się pan z nią pożegnać?
- Oczywiście. Jestem bowiem wielkim miłośnikiem pożegnań i w ogóle wszelkich wzruszających chwil. Nie zdziwił się pan, od-krywszy w notesie niemieckie pismo?

- Byłem zaskoczony. Ale dość już o tym! Jutro zamierzam wyruszyć bardzo wcześnie i chciałbym się już udać na spoczynek.

- Pójść spać? Ależ nie! Musi mi pan opowiedzieć, co się z panem działo przez cały ten długi czas.

- Na dzisiaj to za dużo. Poza tym będziemy przecież podróżować razem i wtedy będzie czas na takie opowieści.

- Gdzie pan śpi?

- Tam za furtką, pierwsze drzwi.

- A moje są trzecie.

- W takim razie jesteśmy sąsiadami, gdyż moi dwaj towarzysze mieszkają obok pana. Teraz się już pożegnam: dobranoc!

- Dobranoc!

Najpierw poszedłem jeszcze z Halefem do stajni zajrzeć do koni. Niczego im nie brakowało. Szepnąłem jeszcze Rihowi na ucho tę samą co zwykle surę i chciałem się już udać na spoczynek, gdy w podwórzu natknęliśmy się na małomównego mężczyznę, który nas przyjmował. Zatrzymał się przy nas i rzekł:

- Efendi, goście sobie poszli, bo skończyły się śpiewy. Teraz mam czas, żeby z tobą porozmawiać. Zechciałbyś pójść ze mną?

- Chętnie. Mój przyjaciel też pójdzie z nami.

- Ma kopcę, więc jest mile widziany.

Mężczyzna zaprowadził nas do frontowego budynku, a następnie do małej izby, gdzie usiedliśmy na leżących pod ścianami miękkich poduszkach. Przyniósł kawę w małych ozdobnych findżanach oraz fajki oryginalnej roboty. Sprawiało to wrażenie zamożności.

Kiedy podpaliliśmy tytoń w fajkach, usiadł obok nas i przemówił:

- Macie odznakę. Dlatego nie zapytałem o wasze paszporty.

Ale wymieńcie mi przynajmniej swoje nazwiska, żebym wiedział, jak się do was zwracać.

- Mój przyjaciel zwie się Hadzi Halef Omar, a mnie nazywają Kara efendi.
- Skąd przybywacie?
- Z Edirne: Musimy pilnie porozmawiać z trzema mężczyzna-mi, którzy przypuszczalnie zajęli tutaj.
- Co to za ludzie?
- Znasz zapewne Manacha el Barszę. Właśnie jego mam na myśli i jego dwóch towarzyszy. Zlustrował nas baczным spojrzeniem.
- Mam nadzieję; że jesteście przyjaciółmi?
- Czy przyslibyśmy do ciebie, gdybyśmy byli wrogami?
- Masz rację - przyznał.
- Albo mielibyśmy kopcze?
- Nie. A już na pewno ty byś nie miał swojej; znam ją dobrze.

Brzmiało to groźnie. Nie dałem jednak panać po sobie żadnego zakłopotania i zapytałem:

- ‘ Skąd?
- Ta kopcza jest odrobinę inna niż zwykle; to kopcza przy-wódcy. Była własnością mojego brata Deselima.
- Ach, jesteś bratem tutejszego kahwedzi?
- Tak.
- Rad jestem. Mam tę kopczę od twego brata.
- A więc też jesteś przywódcą i zamieniłeś się z nim. Przyja-‘: ciele zamieniają się niekiedy kopczami. Gdzie go spotkałeś? = Niedaleko Kabacz w lesie, w chacie Szabana.
- Właściwie wcale się tam nie wybierał!
- Nie, wybierał się do farbiarza i piekarza Boszaka z Cz niba-szly. Zawitałem tam jako gość.
- A gdzie jest teraz mój brat?
- W dalszym ciągu w Kabacz.



- Czy mogę wiedzieć, kim właściwie jesteś? Nie brakuje tutaj

najróżniejszych efendi.

~ turecka filiżanka bez uszka

213

- Zdradzę ci tylko jedno słowo, a wtedy będziesz wiedział, jak masz mnie oceniać, a mianowicie słowo „usta”.

Podjąłem tylko próbę wybrnięcia z sytuacji, ale powiodła się ona całkowicie. Mężczyzna wykonał gest radosnego zaskoczenia.

- Tak, to wystarczy. Nic więcej nie chcę wiedzieć. Czym mogę ci służyć?

- Powiedz mi najpierw, czy Manach el Barsza zjechał do ciebie.

- Był tutaj z dwoma ludźmi.

- Kiedy?

- Zatrzymał się tutaj na jedną noc i wyruszył dalej wczoraj w godzinach południowych.

- W takim razie jechał bardzo ostro. Był także u twojego krewnego, kjai Ortakój, i wymienił sobie konia.

- Ty też byłeś u kjai?

- Tak. Przyjmij pozdrowienia od niego. Manach el Barsza po-jechał do Melnika. Wiesz może, gdzie można go tam znaleźć?

- Tak. Powiedział nam, gdzie się zatrzyma. Mieszka tam pewien bogaty handlarz owocami nazwiskiem Gława. U niego będzie gościł Manach el Barsza. Każdy ci powie, gdzie mieszka Gława.

- Czy Manach el Barsza pytał o Szuta?

- Tak. Wybiera się do niego.

- I ja także.

- Wobec tego pojedziecie razem.

- Tak sędę. Ale drogi Allaha sę niezbadane, i często dzieje się inaczej, niż oczekujemy. Może Manach el Barsza wyruszy dalej, zanim do niego dotrę. Dlatego dobrze by było, gdybym wiedział, gdzie można znaleźć Szuta.

- Powiem ci. Jeśli jedziesz z Melnika do Isztib i na tej drodze dotrzesz do Radowicz, to musisz w tej miejscowości odbić na pół-noc i przez Plaszkawicę Planinę dostaniesz się do Szigancy. Miej-scowość ta leży pomiędzy rzekami Bregalnicą i Sletowską. Tam mieszka rzeźnik Czurak. Zapytasz go o chatę Szuta. On ci udzieli informacji. A kiedy dotrzesz potem do tej chaty, będziesz się mógł dowiedzieć o Szucie wszystkiego, co zechcesz i czego ja dziś nie wiem.

- Dziękuję! - powiedziałem krótko, po czym ciągnąłem dalej możliwie obojętnym tonem: - Myślałem, że spotkam w Palacy handlarza końmi Mosklana, ale nie było go tam.

- Co, znasz Mosklana?

- Znam wszystkich tych ludzi. Jest jednym z posłańców Szuta.
- O tym też wiesz? Efendi, widzę, że jesteś wybitnym członkiem związku. Wyświadczasz nam wielki zaszczyt goszcząc u nas. Rozporządzaj mą osobą według swojego upodobania. Gotów jestem spełnić każde twoje życzenie.
- Dziękuję ci! Nie potrzebowałem nic więcej oprócz tej informacji, a teraz pozwól nam udać się na spoczynek.
- Kiedy nas opuścisz?
- Jutro rano skoro świt. Nie musisz nas jednak budzić, sami obudzimy się o właściwej porze.

Pożegnawszy się z nim łaskawie życzliwym tonem, wyszliśmy.

- Sihdi - rzekł po drodze Halef cichym głosem - dowiedzieliśmy się tutaj wszystkiego, co chcieliśmy wiedzieć. Uważał cię za wielkiego hultaja, a mnie za twego przyjaciela i sprzymierzeńca. Są ludzie, którzy zamiast mózgu mają naleśniki w głowie. Gdyby wiedział, że jego brat skręcił sobie kark i że wybiłeś zęby Mo-sklanowi, pewnie zaniechałby życzenia nam szczęśliwej nocy.
- Drogi Halefie, nie cieszny się za wcześnie. Czy nie może się zdarzyć, że wiadomość o tym, co się stało, w jakiś sposób dotrze jeszcze tutaj w trakcie nocy?
- Fi aman Allah - niech nas Allah strzeże! Ten człowiek by nas udusił!
- A więc mi~no wszystko musimy się mieć na baczności. Wleźliśmy do kryjówki hieny, żeby spać razem z nią. Zobaczymy, czy szczęśliwie uda nam się ją opuścić!

Pomimo to sen miałem dobry i mocny. Obudziłem się dopiero, gdy usłyszałem na zewnątrz donośny głos Albaniego, który wyśpiewywał żartobliwe piosenki. Był to lekkomyślny, nieostrożny człowiek i niestety niedługo już jodłował. Z tej podróży wrócił szczęśliwie do domu, ale wkrótce potem utopił się podczas kąpieli w morzu.

Kiedy wyszedłem na podwórze, pertraktował z bratem właściciela zajazdu w sprawie zapłaty. Rachunek wydawał mu się o wiele za wysoki, lecz musiał zapłacić, ile żądano. Rzeczywiście zażądano od niego wygórowanej sumy. Wypomniałem to zastępcy handzkiego, ale ten wyjaśnił cicho:

- Czego chcesz? Jeśli domagam się od tego cudzoziemca więcej niż zwykle, to wychodzi to na

dobrze i tobie. To niewierny i musi zapłacić też za tych, co mają kopce, gdyż od nich nie biorę pieniędzy.

- A więc ode mnie też nie weźmiesz?

- Nie. Ty i twoi towarzysze jesteście moimi gośćmi i nie ‘pła’ cicie nic.

Pod pewnym względem było mi to nie na rękę, ponieważ nie:

chętnie korzysta się z gościnności wrogów. Tu jednak z ostrożnoś~l musiałem to tolerować.

Z Halefem, Osko i Omarem poszliśmy do kawiarni, gdzie do-staliśmy kawę. Następnie osiodłaliśmy konie, pożegnaliśmy się i ruszyliśmy w drogę.

# XI. OŁTARZ CHRZEŚCIJANKI

Jechaliśmy wzdłuż Ardy. Przewodnik Albaniego, jak się od razu:

przekonałem, wybrał sobie najlepszego muła i siedział w dobrym tureckim siodle. Albaniemu zaś dał krnąbrne zwierzę i okropne siodło. Gdyby to przynajmniej było juczne siodło, to jeszcze by uszło, ale siedzenie Albaniego miało ostre drewniane kandy i było tak szerokie, że nogi jeźdźcy zwisały po obydwu stronach daleko od boków muła. Musiało to jeźdźcowi sprawiać ból, chyba że woia podciągnąć kolana w górę i oprzeć je na siodle. ~adnych popręgów ani strzemion nie było. Zamiast nich po obydwu stronach narzę ~ ~ dzia katuszy zwisały sznurki, na których zawieszono kilka pętli ~; stopę; było to więc urządzenie wyróżniające się bardziej taniością materiału niż gwarancją bezpieczeństwa dla jeźdźcy. Nie ujechaliśmy jeszcze daleko od miasta, gdy naprzeciwko na~ pojawił się jakiś człowiek z psem. Kundel zaczął na nas szczekać;~ i zwierzę Albaniego natychmiast wyrzuciło tylne nogi w górę, A Widać było, że muł ma wprawę w tego rodzaju pokazach i wykonuje je z artystycznym zacięciem i smakiem.

- Ach, ech, och! - krzyczał jeździec. - Znowu zaczynasz; bestio?

Albani próbował utrzymać się w siodle, ale nie dał rady. Przez głowę zwierzęcia zsunął się na ziemię, zanim tylne kopyta panow~. nie dotknęły gruntu. Zerwał się na nogi i uderzył pięścią muła między uszy. Wtedy jednak obruszył się właściciel zwierzęcia:

- Czemu go bijesz? Należy do ciebie czy do mnie? Masz prawo dręczyć cudze zwierzę? 216

A czy to bydlę ma prawo zrzucać obcego człowieka? - mruknął Albani w swoim kiepskim języku tureckim.

- Zrzucać? Czy on cię zrzucił? Przecież powoli i ostrożnie pozwolił ci się zsunąć, żebyś sobie krzywdy nie zrobił. Winien mu jesteś zatem wdzięczność. A zamiast tego bijesz go!

- Wynająłem to zwierzę, żeby na nim jeździć, a nie żeby się zs~.~wać. I ma być posłuszne. Płacę za nie, a więc jest moje. Kiedy nie'jest posłuszne, karzę je!

- Oho! Jeśli jeszcze raz je uderzysz, zawracam i zostawię cię na środku drogi. Wsiadaj!

Albani wdrapał się na siodło. Ale teraz poczciwe bydlę nie chciało iść dalej. Nie ruszyło się z miejsca. Jeździec przeklinał i pioru-nował. Zwierzęciu ten wybuch gniewu zdawał się sprawiać radość. Machało ogonem i ruszało uszami, ale nie zrobiło nawet kroku. Albani nie odważył się ponownie go uderzyć. Zażądał od właściciela, żeby ruszył swoje zwierzę z miejsca, ale ten ani

myślał to uczynić.

- Daj mu spokój! - powiedział. - Chce sobie postać, więc niech stoi. Z czasem sam znowu pomyśli o bieganiu. My tymczasem pojedziemy dalej.

, I tak się stało. Na zakręcie drogi obejrzałem się za siebie. Upar-te stworzenie stało dalej w poprzednim miejscu i poruszało długimi uszami. Ledwo jednak minęliśmy zakręt, tak że nie mogło nas już widzieć, zerwało się do takiego galopu, że drewniane siodło, na którym podskakiwał Albani, trzeszczało w szwach. A ponieważ muł zdecydował się już bieć, więc nie dało się go też zatrzymać, i minawszy nas, pędził dalej.

To było zaraźliwe. Zwierzę juczne, które właściciel trzymał na uwięzi, nagle wyrwało się i pobiegło za uciekinierem; my naturalnie za nim. Zaraz jednak musieliśmy się zatrzymać, żeby pozbiierać przedmioty, które powypadały z juków. Kiedy potem dotarliśmy do Albaniego, znowu siedział na ziemi i pocierał część ciała, której miejsce właściwie było w siodle. Nie opodał stały obydwaj muły, chlastały ogonami, kręciły uszami i szczyrzyły zęby. Można by pomyśleć, że miał to być szyderczy, złośliwy uśmiech. Pozrzucone rzeczy zostały umocowane na nowo. Albani wsiadł na muła i pojechaliśmy dalej. Ale nie upłynęło jeszcze pół godziny, a kreatura zatrzymała się znowu i nie chciała się ruszyć z miejsca.

-- Dołączycie do nas. Jedźmy dalej - rzekł pan i władca.

Dotychczas milczałem, teraz jednak powiedziałem do niego:

-- Czyżbyś chciał, żeby juczne zwierzę poniosło znowu? Jeśli

217 się to powtórzy, daleko nie zajedziemy. Niech jeździec weźmie bicz.

- Nie pozwolę na to.

- Ach tak! Co ci powiedział ten cudzoziemiec, kiedy wynajmował zwierzęta?

- Zażądał dwóch koni albo mułów, jednego do jazdy, a drugiego do niesienia bagaży.

- Świetnie! A więc nie zażądał wyraźnie tego zwierzęcia, które mu dałeś?

- Nie.

- W takim razie zsiadaj i zamień się z nim!

Wynajemca mułów zrobił zdziwioną minę. Zdawał się uważać moją propozycję za absurdalną.

- Co masz na myśli? Miałbym mu oddać to zwierzę? Ono jest - przecież moje!

- To drugie też jest twoje, zrozumiano?

- Ale ja jeżdżę tylko na tym, na żadnym innym.

- Więc teraz zrobisz wyjątek. Cudzoziemiec żądał, jednego zwierzęcia do noszenia bagaży i jednego do jazdy. Do jazdy potrzebne jest także siodło. U ciebie jednak widzę tylko jedno siodło, właśnie to, w którym siedzisz. Kto płaci za zwierzę do jazdy, musi dostać również siodło. A więc zamienisz się z nim.

- Ani myślę.

- Ale ja myślę! - odpowiedziałem, podnosząc głos. - Posiadam ferman sułtana, a ten cudzoziemiec jest teraz moim towarzyszem i znajduje się pod moją opieką, a więc także pod opieką padyszacha. Kiedy ci wydaję rozkaz, masz słuchać. Zatem wyń z tego siodła!

Albani zsiadł ze swego muła, tamten jednak mruknął:

- Chciał mieć dwa zwierzęta i dostał je. Nie dam sobie nic rozkazywać!

- Halef!

Mały Hadzi z ręką na uchwycie biczu już od dawna czekał na to wezwanie. Ledwo wypowiedziane zostało jego imię, bicz z kodylej skóry spadł ze świstem na plecy nieposłusznego, i to z taką siłą, że ten z głośnym okrzykiem zeskoczył z siodła. Nie miał już żadnych zastrzeżeń wobec „przeprowadzki”. Trzeba umieć traktować ludzi tak, jak na to zasługują.

Albani naturalnie nie miał nic przeciwko tej zamianie. On na tym skorzystał, my niestety nie, gdyż zanim dotarliśmy do następnej miejscowości, jeden muł ze swoim panem na grzbiecie pojechał jeszcze dwa razy, a drugi z bagażem raz. Na szczęście znalazliśmy tam właściciela koni, który gotów był nam pomóc w tym kłopotcie. Poganiacz mułów został odprawiony. Kiedy odjeżdżaliśmy, wykrzykiwał jeszcze za nami rozmaite groźby, którymi jednak nie mieliśmy zamiaru się przejmować.

Gdybyśmy chcieli posuwać się w kierunku Melnika po linii prostej, droga zawiodłaby nas do Boltiszy, ale prosta droga nie zawsze jest drogą krótką. Na przeszkodzie stanęłyby nam wówczas najwyższe wzniesienia Kruszowej Dagi z licznymi wąwozami. Ażeby uniknąć niechybnych uciążliwości i straty czasu, skręciliśmy na północ.

W południe zrobiliśmy postój w Nastan, a wieczorem byliśmy w Kara Bulak, gdzie zatrzymaliśmy się na nocleg. Potem zwróciliśmy się znowu na południowy zachód, w kierunku Newreku. Około



południa znaleźliśmy się na płaskowyżu, który stromo opadał w dolinę rzeki Dospad Dere. Nie było tam żadnej drogi we właściwym sensie tego słowa i z trudem przeciskaliśmy się między licznymi i gęstymi skupiskami krzaków.

Gdy przejeżdżaliśmy obok jednej z takich kęp, Rih skaczył nagle w bok, do czego w jego wypadku w ogóle nie przywykłem. Uszanowałem jego wolę, a po chwili parsknął ostrzegawczo, zwracając przy tym nozdrza w stronę zarośli.

- Sihdi, w tych zaroślach ktoś jest - powiedział Halef.
- Być może. W każdym razie zaszło tam coś niezwykłego.

Hadzi zsiadł już z konia i wdarł się w środek krzaków. Usłyszałem głośny okrzyk, a po chwili Halef wrócił i oznamił:

- Sihdi, chodź! Tam leżą jakieś zwłoki.

Razem z innymi podążyłem za nim. Naszym oczom ukazała się mała polana otoczona gęstymi krzakami. Tu właśnie spoczywały zwłoki jakiejś kobiety, i to w pozycji klęczącej, z czołem opartym na osobliwej budowli. Kamienie zostały ułożone jeden na drugim w ten sposób, że tworzyły swego rodzaju ołtarz, ponad którym w niszy stał mały drewniany krucyfiks.

- Chrześcijanka - rzekł mały Hadzi.

Miał rację. W tych zaroślach znajdowała się ukryta świątynia, być może wzniesiona przez samą tę kobietę z wielkim mozolem. Zbudowała ją, by móc bez przeszkód służyć swemu Bogu przed ołtarzem. Ogarnęło mnie głębokie wzruszenie, także moi towarzysze stali obok pogrążeni w milczeniu. Miejsce, gdzie Bóg powołuje do siebie jakąś duszę, jest święte. Uklęknąłem, żeby się pomodlić. moi towarzysze zaś oddali cześć zmarłej na swój sposób. Następnie przyjrzałem się bliżej zwłokom.

Kobieta miała około trzydziestu lat. Jej twarz o szlachetnych, 219 delikatnych rysach była szczupłą. Mało ciała miały też złożone dłonie, trzymające różaniec. Na małym palcu prawej ręki tkwił złoty pierścionek z ametystem, ale bez żadnego wygrawerowanego znaku. Kobieta była ubrana jak Turczynka. Przed wizerunkiem Ukrzyżowanego odsłoniła twarz, Czarczaf leżał obok niej. W każdym razie kobieta była piękna, nawet jeszcze w chwili śmierci. Jej usta uśmiechały się, a rysy wyrażały spokój, który pozwalał przypuszczać, że anioł śmierci dotknął jej łagodną ręką.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Halef.

- Zrobić można tylko jedno: musimy odszukać krewnych zmarłej, Mieszkają gdzieś w pobliżu, gdyż kobieta sama nie może 'się zbytnio oddalić od swojego domu. Znajdujemy się pewnie w pa-bliżu Barutin. Chodźcie! Tymczasem zostawimy ją tutaj. Wsiedliśmy na konie i pojechaliśmy dalej.

Płaskowyż obniżał się teraz bardziej stromo, a kępy zarośli prze-rzedziły się. Wkrótce ujrzelśmy przypominający wieżę budynek, w pobliżu którego stało kilka małych domków. Na ów widok właściciel koni powiedział:

- To musi być karaul jusbaszego ae.

Karaule to wieże strażnicze, zwykle obsadzone przez wojsko;, służące do ochrony drogi i okolicy. Pochodzą z wcześniejszych czasów, nie straciły jednak jeszcze swojego znaczenia. Wieża wznosiła się wysoko, a nisko w dole obok niej rzeczy-wiście coś padobnego do drogi prowadziło ku miejscowości, którą ujrzelśmy w oddali.

- To Barutin - oświadczył przewodnik. - Nigdy jeszcze nie, byłem tutaj, ale słyszałem o tym karaule. Mieszka tu pewien l~a-pitan, który popadł w niełaskę. Niewiele się pokazuje i żyje jak~ pustelnik. On gardzi ludźmi, za to jego żona jest podobno przyja.^ ciólką biednych i nieszczęśliwych.

- Podjedźmy tam! .

Kiedy znaleźliśmy się pod wieżą, z drzwi wyszedł nam naprzeciw::!:

ciw starszy mężczyzna, po którym poznać było dawnego żołnierza. Nigdy jeszcze nie widziałem tak gęstych, długich wąsów jak u nie-go.

- Do kogo? - zapytał mało uprzejmie.

- Słyszałem, że mieszka tu pewien oficer?

- Tak.

- Czy jest w domu?

- Tak. Ale z nikim nie rozmawia. Ruszajcie dalej!

~ 7iisbaszy - kapitan

- Tak uczynimy. Powiedz nam jednak przedtem, czy tutaj w okolicy nie zaginęła może jakaś kobieta.

Jego twarz natychmiast przybrała wyraz napięcia.

- Tak, tak - odparł. - Pani zniknęła. Szukaliśmy jej od wczoraj rano, ale na próżno.

- Myśmy ją znaleźli.

- Gdzie? Gdzie ona jest? Dlaczego nie ma jej z wami?

- Zaprowadź mnie do swojego pana!

- Chodź, chodź!

Starzec zrobił się nagle uprzejmy. Zsiadłem z konia i poszedłem A:

za nim. Wieża była masywną budowlą. Na dole nie było pomieszczeń mieszkalnych. Wspięliśmy się po schodach na górę i trafiliśmy do małej komnaty, gdzie musiałem poczekać. Usłyszałem w sąsiedniej izbie kilka głośnych okrzyków, po chwili drzwi otworzyły się i w progu stanął jusbaszy. Nie miał chyba jeszcze pięćdziesięciu lat i był przystojnym mężczyzną. Oczywiście miał mocno zaczerwienione - pewnie wcześniej płakał.

- To ty odnalazłeś Harę? Gdzie ona jest? - zawołał szybko.

- Pozwól, że najpierw cię pozdrowię - odpowiedziałem. - Mogę do ciebie wstąpić na chwilę.

- Tak, wejdź!

Pomieszczenie, do którego wszedłem, było dosyć duże. Miało trzy wysokie okna, przypominające otwory strzelnicze. Pod ścianami leżały poduszki stanowiące całe umeblowanie pokoju, a ponad nimi wisiało wiele okazów broni i fajek. W kącie siedziało dwóch chłopców, trzymając się w objęciach. Widać było po nich, że oni także płakali. Opryskliwy starzec nie oddalił się. On też chciał usłyszeć, co mam do powiedzenia.

- Witaj! - powiedział kapitan. - A więc gdzie jest moja żona?

- Tutaj niedaleko.

- To niemożliwe! Szukaliśmy Hary wszędzie, ale nie znaleźliśmy jej. Do tej pory wszyscy moi ludzie są na nogach i prowadzą poszukiwania.

Nie chciałem się od razu wrywać z wiadomością o śmierci i dla tego zapytałem najpierw:

- Czy twoja niewiasta była chora?

- Tak, Hara już od dłuższego czasu była chora. Dlaczego pytasz? Czy ona nie żyje? Wiem że niedługo już może pożyć, gdyż

lekarz powiedział mi, że ma suchoty.

- Czy jesteś przygotowany na usłyszenie prawdy?

Oficer zbladł i odwrócił się.

- Jestem mężczyzną - powiedział. - Mów!

- Ona nie żyje.

Obaj chłopcy wybuchnęli głośnym płaczem. Ojciec ~milczał, lecz ~ o arł łow o ścian . Widziałem ak e o ierś wznosi si i opada. ,...;~ p g ę ę ,j j g p ę Walczył z płaczem, który udało mu się stłumić z wielkim trudem; ;~~~ Dopiero po dłuższym czasie obrócił się do mnie i spytał:

- Gdzie znalazłeś Harę?

- W zaroślach, dziesięć minut drogi stąd.

- Zaprowadzisz nas tam?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, za moimi plecami rozległ się od- ...:

głos, jakby ktoś był duszony. Szybko odwróciłem się. Za mną stał;~ starzec. Wsadził sobie do ust róg kaftana, żeby nie było słychae-‘= jego szlochu, lecz nie ud;ąło mu się. Wyciągnął koniuszek kaftana,:~ :i zaszlochał na głos.

Wtedy kapitan również nie potrafił się powstrzymać i rozplakał:

się, a obaj chłopcy im zawtórowali. Podeszedłem do okna i wyrza~: łem na zewnątrz, ale nic nie widziałem, gdyż ja także miałem,:’; , łzy w oczach.

Dopiero po dłuższej chwili obydwaj mężczyźni uspokoili się:’...;

Jusbaszy poprosił o wybaczenie:

- Nie wolno ci się z nas śmiać, cudzoziemcze. Bardzo kocha-‘.’ łem matkę moich dzieci. A on był moim sierżantem, kiedy zaśr;’ utraciłem łaski u sułtana, Risa nie opuścił mnie jak wszyscy inni;v;’~.. Hara była moją pociechą w samotności. Jak będę żył bez niej? Tego, co musiałem powiedzieć teraz, stary sierżant być może ‘’ nie powinien słyszeć, dlatego zapytałem Rise:

- Macie tutaj jakieś nosze?

- Tak, efendi - odpowiedział.

- Przygotuj je i znajdź ludzi do niesienia.

Kiedy Risa wyszedł, zapytałem kapitana:

- Czy twoja żona była chrześcijanką?

Zwrócił na mnie badawcze spojrzenie.

- Nie. Ale... masz może jakiś powód, by dowiadywać się o to? ‘:

- Tak. Sądzę, że była chrześcijanką.

- Hara była przyjaciółką niewiernych. Kiedy się tutaj spro- .!; wadziłem, potrzebowałem służącej. Wynająłem pewną starą ko-bietę. Nie wiedziałem, że Joka jest chrześcijanką. Później jednak Ź zauważyłem to i zorientowałem się, że chciała nawrócić na swoją ;‘: wiarę moją ionę. Wtedy przepędziłem Jokę. Od tego czasu Hara była coraz cichsza. Niekiedy płakała, a potem zachorowała. Zaczęła - kaszleć i tracić siły.

- Więc pewnie byłeś dla niej surowy?

Oficer odpawiedział dopiero pa chwili:

- Czyż mogłem pozwolić, żeby się stała niewierną?

- Twoja żona jednak nią została i ze zgryzoty, jaką wywołała twoja srogość, rozchorowała się i umarła. Tam w zaroślach zbudo-wała sobie ołtarz, by móc się modlić do Wszechmogącego na spo-sób chrześcijan. Umarła w trakcie modlitwy. Pozwól, niech teraz nastanie pokój między tobą a nią!

- Czyżbyś był chrześcijaninem?

- Tak.

Długo patrzył mi w oczy. Walczył ze sobą, w końcu rzekł:

- To nie twoja wina, że jesteś niewiernym i że ona także dała wiarę waszym naukom. Zaprowadź mnie do niej, mnie i moje dzieci.

- Nie zostawisz tutaj chłopców? Jeszcze zdążą zabaczyć w porę oblicze zmarłej.

- Masz rację. Chadźmy tam sami!

Moi towarzysze w dalszym ciągu stali pod wieżą. Ujrzawszy ich,. kapitan powiedział:

- Sądziłem, że jesteś sam, gdyż nie widziałem, jak się zbliża-cie. Jesteście moimi gośćmi. Z drugiej strony znajduje się stajnia oraz właściwy dam mieszkalny. W wieży mieszkam sam. Co praw-da w domu nie ma nikogo, ale wejdźcie i czujcie się jak u siebie.

- Gdzie jest sierżant? - spytałem.

- Risa nikogo nie znalazł i przypuszczalnie poszedł szukać nie-obecnych. Wszyscy wyruszyli w teren, by szukać zaginionej. Chodź-my tam sami!

Moi towarzysze podjechali do budynku mieszkalnego naprzeciw wieży. Halef trzymał za cugle





nigdy już nie zobaczę jej oczu, nigd; nie usłyszę jej głosu! Czuję się tak, jakbym ją zabił! Nic nie odpowiedziałem. Przyglądał się różańcowi.

- To nie jest muzułmański różaniec - odezwał się pa chwili. - Musiałby mieć trzydzieści trzy karaliki, ażeby przy trzykrotnym odliczaniu móc wymienić dziewięćdziesiąt dziewięć właściwość Allaha. Ten natomiast ma duże i małe koraliki. Co to oznacza? Wyjaśniłem mu.

- Czy możesz mi przytoczyć to pozdrowienie do ‘ Dziewic;

Maryi i słowa Ojcze Nasz?

# Uczyniłem to. Kiedy skończyłem, jusbaszy powtórzył powoli

- Oduść nam nasze winy! Sądzisz, że Hara odpuściła mi moją?

- Tak sądzę, gdyż była chrześcijanką i cię kochała.

- To różaniec starej Joki, którą wypędziłem. Zachowam go, gdy był w rękach Hary w chwili jej śmierci. A tam w górze jest także krzyż tej starej. Joka zostawiła jedno i drugie. To miejsce winno pozostać takie, jak jest, często będę je odwiedzał, ale nikt ni może go widzieć. Wyniosę stąd Harę, Chodź, efendi!

Nie położył zwłok na ziemi ~zaraz po wyjściu z zarośli, lecz po-niósł je jeszcze spory kawałek dalej, żeby nie można było tak łatwo odgadnąć miejsca, w którym zmarła jego niewiasta. Na-stępnie przykrył oblicze zmarłej kwefem i rzekł:

- Widziałeś jej twarz. To wbrew naszym zwyczajom, ale po-nieważ jesteś chrześcijaninem i Hara zmarła jako chrześcijanka, nie muszę się niepokoić. Ale nikt inny nie może jej widzieć. Owdowiały kapitan długo jeszcze siedział przy swojej zmarłej żonie i oskarżał samego siebie. Jego ból był szczery, jednakże z wol-na się uciszył. Potem zjawił się sierżant z dwoma ludźmi, którzy dźwigali nosze. Halef był z nimi, gdyż on ich przyprawił. Zwło-ki zostały przeniesione do domu i umieszczone w pakoju na wie-ży, gdzie rozmawiałem poprzednio z kapitanem. Chłopcy mieli dzie-więć i jedenaście lat i potrafili już w pełni pojąć ponie~sioną stratę. Ich płacz był wstrząsający. Musiałem wyjść, żeby nie płakać ra-zem z nimi.

Wrócili mieszkańcy budynków stojących wokół wieży. Pozosta-wali w stosunku zależności od kapitana, gdyż był człowiekiem za-‘.możnym i domy należały do niego.

Na jego rozkaz przyrządzono nam posiłek, on sam jednak nie pokazał się. Później palecilem mu powied~zieć, że wybieramy się ‘ już w drogę, a on przysłał do mnie człowieka z prośbą, bym się u niego zjawił. Kiedy wszedłem do pokoju na wieży, siedział przy zwłokach. Wyglądał na zmęczanego i zapytał:

- Chcesz mnie opuścić? .
- Tak, muszę kontynuować swoją podróż.
- Czy to konieczne? Czy nie możesz dzisiaj zostać u mnie?

Gdyby Hara jeszcze żyła, musiałaby mi opowiedzieć o wierze chrze-ścijan. Teraz jednak, kiedy ona nie żyje, nie ma nikogo prócz cie-bie, od kogo mogę się tego dowiedzieć. Zostań! Nie pozostawiaj mnie samego z dręczącymi mnie myślami.

Nie miałem czasu do stracenia, lecz wydawało mi . się, że nie mogę odmówić tej prośbie, tak więc zgodziłem się. Moi towarzysze raczej nie mieli nic przeciwka pozostaniu tutaj, i tym sposobem przesiedziałem u kapitana do wieczora i jeszcze dłużej. Nasza rozmowa była bardzo poważna. Nie mogłem rzecz jasna stać się jego misjonarzem, ale jego serce było otwarte, więc próbowałem, najlepiej jak potrafiłem, zasiać w nim ziarno, w na-d~ziei, że wszędzie i wyda owoce.

Przesiedziałem z nim całą noc aż do wezesnego ranka, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę. Przejechaliśmy przez Barutin, po południu przez Dubnicę, a pod wieczór przybyliśmy do Newrekup,

znanego dawniej z kopalni rud żelaza. Więcej nie mogliśmy wymagać od naszych już solidnie zmęczonych wierzchowców. Następnego dnia ruszyliśmy dalej. Znajdowaliśmy się w sławnej okolicy, gdyż właśnie w tych górach ;~:; według greckiej legendy Orfeusz siłą swego śpiewu dał życie i ruch drzewom oraz skałom. Około południa dotarliśmy wreszcie do Mel-nika.

## XII. W GOŁFBNIKU

Ze zrozumiałych względów nie pojechaliśmy tam, gdzie zatrzymał się Manach el Barsza. Szukaliśmy innej oberży, lecz wszystkie domy zajezdne były już zajęte. Rozpoczął się jarmark i napływ przybyszów był znaczny. Ponieważ Albani odprawił właściciela: koni i teraz był sam, szybko znalazł schronienie, my natomiast z~” swoimi końmi mieliśmy trudniejsze zadanie.

Właśnie odesłano nas spod kolejnego hanu, gdy podszedł do nas;.. jakiś człowiek i zapytał:

- Szukacie pewnie miejsca, gdzie moglibyście przenocować?
- Tak - odpo~wiedziałem. - Znasz może takie miejsce?
- Dla was tak, dla innych nie.
- Dlaczego tylko dla nas? - dociekałem.
- Bo macie kopcze. Jesteście więc braćmi. Mój pan przy~mW’ was u siebie. Jest przewoźnikiem i mieszka niedaleko stąd. Jesl~~ podążycie za mną, zaprowadzę was.
- Zaprowadź nas, będę ci wdzięczny!

Ruszył przodem, a my za nim.

- Tego człowieka już widziałem - rzekł do mnie Halef pół,~-ł~ głose~n. ‘’
- Gdzie?
- Przy wjeździe do miasta. Stał tam i wydawał się czekać kogoś.

Teraz i ja przypomniałem sobie, że przejeżdżaliśmy koło niego Z pewnością fakt ten nie miał żadnego znaczenia. Później jed~ przekonałem się, że czekał tylko na nas.

Zaprowadził nas pod dom, który miał tak szerokie i wysokie v~ ście, że bez zsiadania z koni mogliśmy wjechać na podwórze. St 226 tam wozy zaprzężone w woły, stanowiące zapewne własność rze-woźnika. Naprzeciwka nas, w tylnej części podwórza, znajdował się drewniany budynek, który nasz przewodnik określił mianem stajni. Powiedział, żebyśmy wprowadzili tam swoje konie.

- Czy nie uważasz, że powinniśmy najpierw porozmawiać z twoim panem? - zapytałem.

- Dlaczego?

- Jeszcze nie wiemy, czy w ogóle gotów jest przyjąć nas u siebie.

- Hamdi, mój pan, przyjmie was. Ma w domu dość miejsca, a ludzie, którzy noszą kopcę, są zawsze u niego mile widziani.

- Zatem Hamdi też jest bratem?

- Tak. Właśnie nadchodzi.

Na podwórzu pojawił się mały, gruby człowiek, który nie zrobił mi na mnie dobrego wrażenia. Miał zęza. Wprawdzie żadną miarą nie jestem uprzedzony do ludzi cierpiących na ten wrodzony defekt, ale ten miał skradający się, koci chód i kanciaste szczęki, co do tej pory było dla mnie zawsze niezawodną oznaką fałszywego charakteru.

- Kogóż to przyprowadziłeś, Esgarze? - spytał parobka Hamdi.

- To przyjaciele, noszą kopcę i nie znaleźli miejsca w żadnym haniu. Pozwolisz rzecz jasna, żeby tu zostali?

- Są tutaj mile widziani. Jak długo chcielibyście u mnie odpocząć? - zwrócił się do mnie Hamdi.

- Może kilka dni - odpowiedziałem. - Chętnie zapłacimy ci, tyle samo, ile musielibyśmy zapłacić w haniu.

- Nawet o tym nie wspominaj! Moi goście nie płacą nic. Dajcie swoje kanie do stajni, a potem przyjdźcie do mnie. Znajdziecie wszystko, czego będziecie potrzebować.

To rzekłszy Hamdi oddalił się. Wcześniej wydało mi się jednak, jakby wymienił z Esgarem bardzo zadowolone spojrzenie. Stajnia była długa i podzielona na dwie przegrody. W jednej stało kilka wołów, drugą wskazano nam. Parobek wspinał się po wąskiej drabinie na strych i powiedział:

- Przyniosę siana. Chyba że życzyacie sobie innej paszy dla waszych koni?

- Przynieś, co masz!

~ Kiedy Esgar zniknął, przyłożyłem oko do dziury po sęku w tylnej ścianie stajni i ujrzałem dosyć spore podwórze. Stał tam w wyczekującej postawie jakiś wysoki, barczysty mężczyzna i wydawał się nasłuchiwać adgłosów z naszej strony. Wtem parobek na strychu zakasłał, a tamten odpowiedział mu równie kasaniem. Następnie opuścił podwórze.

Zastanowiło mnie to, lecz nie dałem nic po sobie poznać, kiedy wrócił Esgar. Zaopatrzyliśmy w obrok swoje zwierzęta i udaliśmy się potem do izby, gdzie oczekiwał nas grubas. Hamdi siedział na poduszce przed trójnagiem, na którym stała taca z filiżankami do kawy. Powitał nas po raz wtóry, po czym klasnął w dłonie. Na ten znak zjawił się służący, który napełnił filiżanki. Wszystko przebiegało tak sprawnie, jakby się nas spodziewano. Stało nawet pudełko z tytoniem. Nabiliśmy swoje fajki i dostaliśmy żarzące się węgle do ich zapalenia.

- Masz bardzo dobrego konia - zaczął Hamdi. - Sprzedasz go?
- Nie - odparłem, zdziwiony takim zagajeniem rozmowy.
- Szkoda! Od razu bym go u siebie zatrzymał.
- W takim razie jesteś bogatym człowiekiem. Nie każdego stać na kupno takiego konia.
- Przewoźnicy muszą mieć pieniądze. - Następnie Hamdi zaczął z innej beczki. - Skąd przybywasz dzisiaj? - zapytał.
- Z Newrekup.
- A dokąd się stąd wybierasz?
- Do Seres.

Ani mi było w głowie mówić mu prawdę. Grubas zrobił minę:

kogoś, kto wie o pewnych sprawach lepiej, ale zachowuje to dla

‘ siebie, i dociekał dalej: ‘

- Czym się tutaj zajmujesz?
- Chciałbym kupić zboże i inne rzeczy. Czy jest tutaj ktoś u kogo można dostać coś takiego, jakiś handlarz owoców? Hamdiemu nie udało się stłumić chytrego uśmiechu.
- Tak, jest tutaj pewien mejweczi - odpowiedział. - Nazywam się Gława i dobrze cię obsłuży, gdyż on także jest bratem. Tym sposobem skierowałem więc rozmowę na temat owego Gławy, u którego miał się zatrzymać Manach el Barsza.
- Mieszka daleko stąd? - dociekałem dalej.
- Przy innej ulicy. Znam go dobrze. Byłem u niego nie więcej niż kwadrans temu.
- Bardzo jest zajęty.

- Tak. Dzisiaj cię nie przyjmie.

- Pewnie ma w domu dużo gości?

- Jeszcze nie, ale spadziwa się ich. Deselim, płatnerz i kah~ wedži z Ismilanu, też ma przybyć. Znasz może tego człowieka? -v'~ - Tak. On także jest bratem.

- Kiedy go poznałeś?



- Przed paroma dniami też zatrzymałem się w jego haniu.
- Widziałeś się także z jego bratem?

Hamdi starał się zachowywać jak najbardziej naturalnie. Jednak nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że swoimi pytaniami dąży do określonego celu. Pytał mnie o moje stosunki, a ja udzielałem mu informacji, jakie wydawały mi się wskazane. Kiedy po pewnym czasie wspomniałem, że teraz się przejdę po mieście, żeby zobaczyć Melnik i jarmark, tak skwapliwie zaproponował mi swoje tourarzy-stwo, że nie mogłem odrzucić jego propozycji, choć o wiele bardziej wolałbym pójść tylko z Halefem.

W mieście panował nadzwyczaj ożywiony ruch, ale taki targ nie wytrzymuje jednak porównania z niemieckim jarmarkiem. Milczący Turek przemierza w milczeniu rzędy straganów, których właściciele siedzą bez słowa obok swych towarów i nawet im nie przyjdzie na myśl, żeby jakoś przyciągnąć klienta. A kiedy już ktoś podchodzi, to transakcja odbywa się tak spokojnie, prawie ukradkiem, jakby chodziło o wymianę jakichś ważnych tajemnic. Różnica bierze się przede wszystkim z braku osób płci żeńskiej. Widać prawie wyłącznie mężczyzn, i tylko tu i ówdzie pojawia się baloniaste nakrycie głowy ze szczeliną do patrzenia, w której błyszczą czarne oczy. Żony niemuzułmanów nie są wprawdzie zobowiązane do takiej powściągliwości, lecz również w ich wypadku wystawianie się na widok ciżby jarmarcznej uchodzi za niestosowne.

Żadnych bud jarmarcznych, czy to służących występom, zabawom czy grze w kości, nie była. Dla prawowiernego Turka kości to ohyda, ponieważ zabrania ich Koran. Katarynek czy muzykantów, którzy tak ożywiają każdy targ w Europie, także nie było tutaj co szukać. Ale jedna rozrywka była, i to taka, w której Turek znajduje wielkie upodobanie, a mianowicie namiot z chińskimi cieniami. Tutaj nazywa się je Kara gós ojunu - przedstawienia-mi Kara gós 39.

Przed namiotem przepływały tam i z powrotem masy ludzi; wchodzący do środka z wyrazem najwyższego napięcia na twarzy, wychodzący z uśmiechniętą, wielce zadowoloną miną.

- Nie ma nic piękniejszego niż takie przedstawienie ciemności - oświadczył przewoźnik. - Wejźmy do środka!

Zdobycie miejsca wydawało się niepodobieństwem, ale przy pomocy łokci, które puściłem w ruch nie bacząc na nikogo, posunęliśmy się mimo wszystko kawałek do przodu. Potem jednak utknęła Kara gtis (dosłownie: Czarne Oko) to główna postać podobna do Kasperla albo Hanswursta, w tych

często bardzo rubasznych przedstawieniach 229 liśmy wciśnięci w ludzki tłum, który trwał w niemym oczekiwaniu upragnionej uczyty.

Już teraz zrobiło mi się niedobrze. Mieszkańcy Wschadu śpią w swoich szatach, które bardzo rzadko zdejmują. O regularnej zmianie bielizny osobistej nie mają pojęcia. Dlatego więc nie ma się co dziwić, że ich bliskość zauważa się nie tylko za pośrednictwem oczu, ale także nosa. A teraz ci straszliwie stłoczeni ludzie! Poeta przedstawiając piekło rozwinął cudowny talent imaginacyjny, ale pominął jednak jedną z najstraszliwszych kar - biedna dusza, wciśnięta pomiędzy mieszkańców Wschodu, w oczekiwaniu na przedstawienie cieni, niezdolna ruszyć ręką, by zatkać sobie nos. Całe szczęście, że nie miałem jeszcze wtedy pojęcia o bakteriach śpiączki i innych podobnych potworach. Jakież ocean bakterii musiał nas tam otaczać!

Wreszcie rozległ się przeraźliwy gwizd. Rozpoczęło się przedstawienie. To, co widziałem, było w najwyższym stopniu nieprzyzwoite, lecz nagradzane było wybuchami śmiechu, choć zwykle mieszkańcy Wschodu starają się nie śmiać głośno. Natychmiast chciałem wyjść, ale nie mogłem, gdyż zaklinowany byłem tak mocno, że nie mogłem ruszyć żadną kończyną, i tym sposobem musiałem wytrwać do końca, czyli do czasu, gdy drugi gwizd dał widzom do zrozumienia, że za ćwierć piasra zobaczyli już dosyć. ' Teraz wreszcie klębowisko ludzkie drgnęło i powoli rozsypało się na pojedyncze osoby. Na zewnątrz najpierw wziąłem głęboki ' oddech. Choroba morska to czysta przyjemność wobec tego, co tutaj na szczęście jakoś przetrwałem.

- Wejdziemy jeszcze raz? - spytał przewoźnik Hamdi.

Halef w obronnym geście wyciągnął przed siebie wszystkie dziesięć palców, a ja nie udzieliłem żadnej odpowiedzi. Poza tym w trakcie naszych wędrówek po mieście uczyniłem spostrzeżenie, że przewoźnik z przesadną gorliwością dbał o to, żeby nas nie zgubić. Bojaźliwie starał się także pilnować, żebym nie nawiązał z nikim rozmowy. Kiedy zagadnąłem kilka razy napotkanych ludzi, Hamdi natychmiast pojawiał się przy mnie i przewoźnik, starając się mnie odciągnąć od rozmówcy. To zachowanie czyniło go podejrzanym w moich oczach. Przeczynałem, że robi to w określonym zamiarze.

- Czy nie będziemy przechodzić obok domu mejwecznego Gla-wy? - zapytałem.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Bo chciałbym się dowiedzieć, gdzie mieszka, gdyż jutro przecież zamierzam go odwiedzić. Pokażesz mi jego dom?

- Tak.
- Czy mejweczi jest Serbem?
- Dlaczego tak sądzisz?
- Bo ma serbskie nazwisko.
- Słusznie się domyśliłeś. Chodź za mną!

W jakiś czas potem Hamdi wskazał mi pewien budynek jako dom handlarza owocami. Zapamiętałem sobie, który to. Kiedy wróciliśmy do domu, zapadał już zmierzch. Dowiedzieliśmy się, że parobek spadł ze strychu i tak się poturbował, iż posła-no po lekarza. Przewoźnik poszedł odwiedzić Esgara, a ja przez podwórze udałem się do stajni.

Kiedy tam wszedłem, zastałem konie bez żadnego dozoru, gdyż Osko i Omar też się gdzieś wybrali. Rih zwrócił głowę w moją stronę, zarżał, a następnie parsknął w taki sposób, jakiego nigdy jeszcze od niego nie słyszałem. Pogłaskałem go po łbie. Potem on zazwyczaj pocierał swój delikatny nos o mój policzek i całował mnie weń - gdyż koń także całuje - tym razem jednak tego nie uczynił. Ogier paraskał dalej i okazywał niezwykle zaniepokojenie. Przyjrzałem mu się. W stajni było już dosyć ciemno, lecz pomimo to zauważyłem, że koń stoi tylko na prawej tylnej nodze. Podnio-słem do góry lewe ko~pyto i zacząłem mu się przyglądać. Riń par-skał i cofał nogę, jakby go bolała.

- Kuleje - powiedział Halef. - Tego nam jescze~ze brakowało!

Gdzie mógł się skaleczyć?

- Zaraz się przekonamy. Weźmy Riha na podwórze. Tam jest jeszcze jasno.

Kary kulał tak mocno, że wydało mi się to bardzo dziwne. KiedS~ zsiadałem z nie~go, nie rzuciła mi się w oczy najmnies~za nawet nieprawidłowość w chodzie konia. Skąd więc nagle jakieś skaleczenie? Przejechałem delikatnie ręką w dół chorej nogi; tam nie czułem żadnych bólów. A więc źródło cierpienia tkwiło w kopycie. Podniosłem kopyto i przyjrzałem mu się uważnie, ale nie mogłem nic odkryć. Zacząłem je obmacywać czubkami palców, przez długi czas bezowocnie. Wreszcie koń wzdrygnął się, i pod sierścią wy~zu-łem małą wypukłość. Odsunąłem na bok sierść i ujrzałem - szpi-łkę wbłą w ciało biednego zwierzęcia na o~br~zeżu kopyta.

- Popatrz, Halefie, szpilka!

- Allah! Jak to możliwe? Gdzie Rih mógł ją sobie wbić?

- Wbić sobie? W tym miejscu nie ma mowy o tym, żeby sam sobie wbił. Popatrz!

Hadzi zobaczył główkę szpilki i w tej samej chwili wyrwał z za pasa swój bicz. Chciał już biec, lecz powstrzymałem go.

- Stój! Żadnych głupstw!

- Głupstw? Czy to może będzie robienie głupstw, jeśli wysma-gam człowieka, który tak dręczy zwierzę i chce je zmarnować?

- Zaczekaj jeszcze! Najpierw trzeba usunąć szpilkę. Potrzymaj mu nogę!

Rih zauważył, że chcę mu przyjść z pomocą. Żeby podważyć szpilkę, mogłem się posłużyć tylko nożem. Karego to na pewno bolało, ale cierpliwie znosił te katusze. Kiedy potem wyciągnąłem szpilkę, Halef wziął ją do ręki i rzekł:

- Daj mi ją! Odnajdę hultaja, który to zrobił, i wbiję mu ją wtedy... w... powiedz mi, sihdi, gdzie go będzie najbardziej bolało!

- Wbijanie mu gdziekolwiek szpilki nie byłoby żadną karą.

Wprowadźmy ogiera z powrotem do stajni.

Rih mógł znowu stąpać. Byłem nie mniej wściekły od Ha-lefa, lecz sprawę należało przemyśleć. W jakim celu okulawiono konia?

- Już wiem - oświadczył Halef.

- No, dlaczego?

- Żeby cię skłonić do sprzedaży karego.

- To raczej nie. Cyganie niekiedy stosują tę sztuczkę. Jeśli się nie znajdzie szpilki, uważa się, że konia nie można już urato-wać, i sprzedaje go za bezcen. Tutaj jednak mamy chyba do czy-nienia z innyxn motywem.

- Przecież Hamdi cię pytał, czy sprzedasz karego!

- Ale po mojej odpowiedzi musiał się zorientować, że ani mi to w głowie. A jeśli rzeczywiście sądził, że takim nikczemnym podstępem skłoni mnie do sprzedaży, to się pomylił. Nie potrafię się oprzeć pewnemu podejrzeniu, które jest jeszcze co prawda nieokreślone, ale przypuszczalnie okaże się uzasadnione. Dlaczego ten przewoźnik tak ostentacyjnie nie adstępował mego boku? Cze-mu starał się nie dopuścić do tega, bym porozumiał się z kimkol-wiek? W dodatku nie możemy zapomnieć o jękach, które usłyszeliśmy po powrocie do domu. Paro~bek Esgar

podobno jest ranny, jak stwierdził jego pan. Hm!

- Hm! - mruknął również Halef z zadumą. - Sihdi, coś mi przyszło do głowy!

- Co takiego?

- Zastanawiałem się nad tym, z jakiego powodu okulawia się konia, jeśli nie robi się tego w zamiarze nakłonienia właściciela do sprzedaży.

- I co?

- Jest tylko jeden powód: chodzi o to, żeby koń nie mógł bie-

232 gać. Chce się przeszkodzić jeźdźcawi w szybkim posuwaniu się do przodu.

- Bardzo słusznie. Ja też o tym myślałem. A jeśli jeden ma być zmuszony do wolniejszej jazdy, to jaki cel przyświeca wtedy bezwarunkowo drugiemu?

- Dogonić go albo przegonić.

- Tak jest. Bardzo prawdopodobne, że kiedy stąd odjedziemy, będzie się nas ścigać.

- Co jednak ma z tym wspólnego ten przewoźnik? Nie zrobi-liśmy mu nic złego. Hamdi jest naszym gospodarzem. Nłusi nas zatem ochraniać zamiast nam szkodzić.

- Chętnie przyjęliśmy gościnę u niego, bo nigdzie nie mogliśmy znaleźć miejsca, ale jego zachowanie wydaje mi się dzi-r,ne, tak jakby się nam narzucał. Jeżeli Esgar rzeczywiście czekał na nas przy drodze, to musieli być powiadomieni o naszym przyjeździe. Taka informacja mogła być tyłka przesłana z Ismilanu. Straciliś-my trochę czasu w karaule jusbaszego, a więc bardzo możliwe, że uprzedził nas jakiś posłaniec. W takim wypadku...

- Spójrz, sihdi! - przerwał mi Halef.

Zaprowadziliśmy Riha do stajni. W środku było dosyć ciemna, a i na dworze zapadał już zmierzch, lecz było jeszcze wystarczająco jasno, żeby widzieć, co się dzieje na podwórzu. Z przodu obok wejścia stała jakaś stara kobieta. Rozglądała się w taki sposób, jakby chciała coś zrobić po kryjaku, po czym śpiesznym krokiem przeszła przez podwórze i zatrzymała się na progu stajni.

- Esgar, jesteś tam? - zapytała.

- Nie ma go tutaj.

- Nie ma go? Ciemno tutaj. Kim jesteś?

- Gościem przewoźnika.

Wtedy weszła dalej w głąb stajni i powiedziała szybko:

- Powiedz, jesteś chrześcijaninem i przybywasz z Ismilanu?

- Tak.

- Efendi, uciekaj! Opuść ten dom i to miasto, ale prędko, je-szcze dziś wieczór!

- Dlaczego?

- Tobie i twoim ludziom grozi wielkie niebezpieczeństwo.

- Z czyjej strony? Jakie niebezpieczeństwo masz na myśli?

- Ze strony Gławy, handlarza owoców. Na czym ma polegać to niebezpieczeństwo, tego nie wiem. Najpierw chcą się w tej spr-awie naradzić. Mam powiedzieć Hamdiemu, żeby za godzinę, kiedy się całkiem ściemni, przyszedł na drugą stronę.

- Na drugą stronę? Do kogo?

- Do Gławy, mojego pana.
- Powiedziałaś „na drugą stronę”? Handlarz owoców nie mieszka przecież wcale w pobliżu!
- Czy zatajono przed tobą, gdzie mieszka? To dowód na to, że mam rację ostrzegając cię. Gława mieszka tuż obok. Jego podwórze przylega do tej stajni.
- Ach tak! Tu za tymi deskami jest jego podwórze?
- Tak. Uciekaj! Nie mam czasu. Wymknęłam się do ciebie, bo pomyślałam, że któregoś z was znajdę w stajni, ale nikt nie może mnie tutaj zobaczyć. Natychmiast muszę iść do przewoźnika. Stara kobieta chciała się oddalić. Chwyciłem ją za rękę i poprosiłem:
- Jeszcze tylko małą chwilę! Domyślaliśmy się już tego, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Dzięki tobie nasze domysły zamieniają się w pewność. Z jakiego powodu ryzykujesz jednak, chcąc nas ostrzec?
- Wracając z jarmarku, przechodziliście koło domu. Widziano was, i wtedy jeden z nich nazwał cię gjaurem. Ale ja też jestem chrześcijanką, i moje serce powiedziało mi wtedy, że muszę cię ostrzec. Wyznajesz tę samą wiarę i modlisz się do świętej Dziewicy Mirjam jak ja. Jestem twoją siostrą i nie mogę zostawić swojego brata w niebezpieczeństwie, żeby zginął.
- Bóg cię za to wynagrodzi! Ale powiedz mi, kim jest ten jeden, o którym wspomniałaś?
- Jest ich dwóch. Dziś przed południem przyjechali z Ismila-nu. Ich nazwisk nie znam. Starszego z nich nazywają zebrakiem, ale to przecież nie jest nazwisko. Ma taką złą twarz. Wydaje mi się, że go już widziałam. Musiał zatrzymać się kiedyś u mojego dawnego pana w starej wieży niedaleko Barutin.

Odwróciła się i chciała już odejść, lecz jej ostatnie słowa skłoniły mnie do tego, że zatrzymałem ją jeszcze.

- Stój! - powiedziałem. - Czy tam w zaroślach razem ze swoją panią zbudowałaś ołtarz z wizerunkiem Ukrzyżowanego?
- Tak. Skąd o tym wiesz?
- Stamtąd właśnie przybywam. Byłem gościem twojego poprzedniego pana. Panią znalazłem przed ołtarzem, gdzie poszła, żeby umrzeć. Nie żyła już.
- Nie żyje? Panie mój i Boże! Czy to prawda?



- Tak. Gdybyś miała czas, mógłbym ci o tym opowiedzieć. Ka-pitan mówił o tobie.
- Och - poprosiła usilnie Joka - musisz mi a tym opowiedzieć.

Nie mogę tutaj zostać ani chwili dłużej, ale skoro tak, gotowa jestem na wszystko. Mogą mnie nawet zabić, jeśli mnie przyłapią. Przyjdę jeszcze, ale nie tutaj. Pozostaniesz dłużej w tej stajni?

- Chcesz tego?

- Tak - o~dparła Joka. - Podejdę potem do tej ściany z de-sek. Wtedy będziemy mogli porozmawiać, ty tutaj, a ja na żew-nątrz.

- Możesz wejść do środka. Te deski nie są wielką przeszkodą.

Łatwo mogę usunąć jedną lub dwie, jeśli tylko wyciągnę gwoździe.

- Później ktoś może zauważyć.

- Nie; umocuję je z powrotem.

- Dobrze. Nie zdradz się przed nikim nawet słowem, że byłam u ciebie! Teraz już idę, a kiedy zrobi się na tyle ciemno, że nie będzie można mnie zobaczyć, wrócę tutaj.

Joka śpiesznie opuściła stajnię.

- Hada nasib - to zrządenie boskie! - rzekł Halef i miał rację. Akurat ta stara służąca, ta prawdziwa chrześcijanka, musia-ła mieszkać w domu po drugiej stronie u handlarza owoców!

- Sądzisz, że człowiek, o którym mówiła, to Szaban? - zapy-tał po chwili mały Hadzi.

- To bardzo prawdopodobne.

- Ale opowiadałeś przecież, że kowal zabrał żebraka ze sobą?

- Szaban musiał mu uciec w jakiś sposób. Tamtego wieczoru nie wyszedł przecież bez szwanku, w każdym razie to niezwykły wyczyn z jego strony, że dojechał do Melnika.

- Kim może być ten drugi, sihdi?

- Mam przecucie, że to nasz gospodarz z Ismilanu, brat kah-wedziego Deselima, który skreślił kark. Żebrak opowiedział mu o wszystkim, i teraz ścigają nas, żeby się zemścić.

- Niełatwa im to przyjdzie! - mruknął Halef.

- Przede wszystkim musimy postarać się dowiedzieć, jakie kroki zdecydują się przeciwko nam podjąć. Mam nadzieję, że służąca nam pomoże.

- Stara, poczciwa Joka! Muszę ją obdarować. Tylko co jej dać, sihdi? Jak sądzisz, może kilka z tych srebrnych monet, które były w sakiewce dla mnie?

- Pieniądze będą najlepszym prezentem. Z pewnością jest biedna. Ale zatrzymaj swoje pieniądze, Halefie. Ja obdaruję Jokę.

- Wiedziałem, że tak będzie - zachichotał Halef. - Ja mam tylko srebro, a ty masz złoto. I obie prezent z twojej kieszeni. Ty zaś jesteś hojny i zapłacisz, co twój przyjaciel i opiekun przezna-

czył innym. Ale podaruj jej tylko jedną ze swoich sztuk złota. Czeka nas jeszcze daleka podróż i nie możemy wiedzieć, jakich sum będzie,my potrzebować.

- Jesteś dzisiaj bardzo oszczędnym szafarzem! Zważ, że ta niewiasta jest naszą wybawczynią!

- Wybawczynią Joka nie jest. Ostrzegła nas, ale my wiedzie-liśmy już wcześniej, że znajdujemy się w niebezpieczeństwie i by-libyśmy ostrożni. Powiedz jednak, sihdi: dlaczego mamy czekać, jakie kroki przeciwko nam, zdecydują się podjąć ci .ludzie z kop-czami? Staniemy przed tym zradzieckim przewoźnikiem! Dam

‘ mu po nosie, a potem poszukamy sobie innego gospodarza.

- Tak nie można. Musimy mieć Manacha el Barszę i Baruda el Amasada, którzy znajdują się tutaj. Nie rnągą się nawet domy-ślać, że wiemy cokolwiek. Muszę się dowiedzieć, po co właściwie przyjechali do Melnika. Jeśli chcesz użyć swych pięści, to później też znajdziesz po temu okazję.

- Tak, chcesz czekać, aż oskarżą cię tutaj o morderstwo! Potem zostaniesz powieszony, a ja będę stał pod twaimi zwłokami i pła-kał. Jestem wprawdzie t,woim opiekunem, ale za wiele też nie mo-żesz ode mnie wymagać.

- To wielkie niebezpieczeństwo, o którym mówisz, Halefie, po-większyłoby się tylko, gdybyśmy użyli przemocy wobec przewoź-nika. Zresztą nie pora teraz na czczą gadaninę. Nie możemy dać poznać Hamdiemu, ca wiemy. JeŚZi pozostaniemy tutaj w stajni, łatwo może powziąć jakieś podejrzenie. A ponieważ zamierzam się tu spotkać z Joką, muszę przynajmniej na krótko zajrzeć do niego. Najpierw jednak zobaczymy, jak trzymają się te deski. Proces butwienia wykonał już za mnie część pracy. Nie potrzeba było żadnego wysiłku, żeby obluzować kilka desek. Następnie uda-łem się do izby.

#,-.-.

W pamieszczenu stał Hamdi ze swą żoną, która jednak ujrza-w-szy, że wchodzę, natychmiast się oddaliła. Przypuszczalnie roz-mawiali o czymś bardzo poważnym, mogłem to wywnioskować z miny pana domu.

- Czy Allah zesłał na ciebie.jakieś zmartwienie? - zapytałem.

- Jest ono wypisane na twojej twarzy.

- Tak, efendi, mam zmartwienie - potwierdził. - Mój paro-bek leży we krwi, która płynie mu z ust i z nosa.

- Zaprowadź mnie do niego.

- Jesteś lekarzem? Był już tutaj jeden. Chory ma jednak tak wielkie bóle, że kazałem jeszcze wezwać alchemika. Właśnie wy-

szedł przed chwilą.

236

czył innym. Ale podaruj jej tylko jedną ze swoich sztuk złota. Czeka nas jeszcze daleka podróż i nie możemy wiedzieć, jakich sum będziemy .potrzebować.

- Jesteś dzisiaj bardzo oszczędnym szafarzem! Zważ, że ta niewiasta jest naszą wybawczynią!
- Wybawczynią Joka nie jest. Ostrzegła nas, ale my wiedzie-liśmy już wcześniej, że znajdujemy się w niebezpieczeństwie i by-libyśmy ostrożni. Powiedz jednak, sihdi: dlaczego mamy czekać, jakie kroki przeciwko nam zdecydują się podjąć ci .ludzie z kop-czami? Staniemy przed tym zradzieckim przewoźnikiem! Dam mu po nosie, a potem poszukamy sobie innego gospodarza.
- Tak nie można. Musimy mieć Manacha el Barszę i Baruda el Amasada, którzy znajdują się tutaj. Nie mogą się nawet domy-ślać, że wiemy cokolwiek. Muszę się dowiedzieć, po co właściwie przyjechali do Melnika. Jeśli chcesz użyć swych pięści, to później też znajdziesz po temu okazję.
- Tak, chcesz czekać, aż oskarżą cię tutaj o morderstwo! Potem zostaniesz powieszony, a ja będę stał pod twoimi zwłokami i pła-kał. Jestem wprawdzie t,woim opiekunem, ale za wiele też nie mo-żesz ode mnie wymagać.
- To wielkie niebezpieczeństwo, o którym mówisz, Halefie, po-większyłoby się tylko, gdybyśmy użyli przemocy wobec przewoź-nika. Zresztą nie pora teraz na czcą gadaninę. Nie możemy dać poznać Hamdiemu, co wiemy. Jeśli pozostaniemy tutaj w stajni, łatwo może powziąć jakieś podejrzenie. A ponieważ zamierzam się tu spotkać z Joką, muszę przynajmniej na krótko zajrzeć do niego. Najpierw jednak zobaczymy, jak trzymają się te deski. Proces butwienia wykonał już za mnie część pracy. Nie potrzeba było żadnego wysiłku, żeby obluzować kilka desek. Następnie uda-łem się do izby.

W pomieszczeniu stał Hamdi ze swą żaną, która jednak ujrza-wszy, że wchodzę, natychmiast się oddaliła. Przypuszczalnie roz-mawiali o czymś bardzo poważnym, mogłem to wywnioskować z miny pana domu.

- Czy Allah zesłał na ciebie..jakieś zmartwienie? - zapytałem.
- Jest ono wypisane na twojej twarzy.

- Tak, efendi, mam zmartwienie - potwierdził. - Mój paro-bek leży we krwi, która płynie mu z ust i z nosa.

- Zaprowadź mnie do niego.

- Jesteś lekarzem? Był już tutaj jeden. Chary ma jednak tak wielkie bóle, że kazałem jeszcze wezwać alchemika. Właśnie wy-szedł przed chwilą.

-- Co sądzi o chorobie?

- Alchemik rozpoznał ją natychmiast; jest o wiele mądrzej-szy od tamtego. Znane mu są wszelkie choroby, wszelkie sposoby leczenia i medykamenty. Powiedział, że chory ma wrzód żołądka, który pochodzi od jedzenia kwaśnych pomarańczy. Wrzód przebił się pod samą skórę. To, że parobek upadł albo się uderzył, przy-czyniło się tylko do ujawnienia się tej choroby. Alchemik podeśle mu coś wzmacniającego na żołądek, a potem wytnie krwawiący wrzód z żołądka.

- Czy to się uda?

- Och, ma nóż, którym rzcina nawet najgrubsze kości, a żo-łądek jest wsz~ak o wiele miększy.

- Tak, ten alchemik wydaje się wielkim lekarzem, lecz mimo to pozwól mi zobaczyć charego.

Hamdi zgodził się. Pacjent leżał pojękując na jakimś starym kocu. Stracił wiele krwi. Ponieważ spodnie i kafta~n nosił na go-łym ciele, łatwa mogłem dotrzeć do bolącego miejsca. Kiedy go dotknąłem, Esgar krzyknął głośno.

- Znasz się na wrzodach żołądka? - zapytał Harndi.

- Oczywiście. Ale tutaj nie mamy do czynienia z takim wrzo-dem.

- Więc z czym? Na co cierpi Esgar?

- To bardzo niebezpieczna choroba zwana podkowicą.

Hamdi spojrział na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

- Podkowica? Nigdy jeszcze o takiej chorobie nie słyszałem.

- Spójrz! Ten guz tutaj wygląda dokładnie tak, jakby spowo-dawało go kopnięcie konia. Nabiegłe krwią miejsce ma kształt końskiego kopyta. Choroba ta wyróżnia się tym, że łamie żebra i spada tylko na takich ludzi, którzy nie nauczyli się ostrożnie obchodzić ze szpilką.

Przewoźnik nie wiedział za bardzo, jak potraktować moje wy-jaśnienie, więc pomógł sobie pytaniem:



- Sądzisz, że żebra są złamane?

- Tak. Płuca także są uszkodzone, jak dowodzi tego ta krew.

Twój alchemik jest głupcem, pierwszy lekarz był mądrzejszy. Je-śli nie wezwiesz najlepszego doktora, jakiego macie w Melniku, ten człowiek będzie musiał umrzeć. Jeżeli jednak twój parobek ujdzie jakoś z życiem, niech na przyszłość ma się bardziej na baczności przed cudzymi końmi.

- Esgar nie tknął żadnego cudzego konia!

- W takim razie koń dotknął jego, i to tak, że chyba zapamięta sobie moją dobrą radę. 237

- Czy znasz jakiś środek, żeby go wyleczyć?

- Tak, ale na takie wyleczenie potrzeba dużo czasu. Sprowadź lekarza, a tymczasem przyłóż choremu na pierś jakieś~ mokre chu-sty! To najlepszy środek.

- Mamy tutaj bardzo mądrego lekarza wojskowego, ale z po-wodu jarmarku nie będzie miał pewnie czasu. Czy ~nie powinienem dać choremu na razie napoju z rabarbaru i przyłożyć mu plastra gorczycznego?

- Sok z rabarbaru wypij sam, a wcześniej rozpuść w nim pla-ster gorczyczny! Jedno i drugie tobie nie może zaszkodzić, ale dla niego to za silne środki.

- Przemawiasz bardzo gorzko, efendi! Natychmiast sam wy-ruszę poszukać tego chirurga.

- Kiedy wrócisz?

- Dokładnie tego nie wiem. Przedtem muszę jeszcze pójść do pewnego przyjaciela, który nie wypuści mnie tak szybko. Kiedy wrócę, zjemy wieczerzę. Chyba że już teraz jesteś głodny?

- Nie. Twoja dusza pełna jest szczodroblewości. Ale mogę po-czekać do twojego powrotu.

Hamdi natychmiast się oddalił. Wiedziałem, że najpierw pójdzie do ha~ndlarza owoców Gławy. Było mi to na rękę, bo teraz mogłem rozmawiać ze służącą bez obawy o to, że on nam przeszkodzi. A więc to parobek wbił ogierowi szpilkę i został przez niego kopnięty. Nie musiałem go już dodatkowo karać.

Na dole spotkałem Osko i Omara, którzy wrócili z miasta. Osko wziął mnie pod rękę i rzekł:

- Efendi, oszukuje się nas. Ten przewoźnik Hamdi to kłamca i niebezpieczny człowiek.

- Dlaczego?

- Handlarz owoców Gława mieszka przecież tuż obok nas. Py-taliśmy o niego. I wiesz, kto u niego jest?

- No, kto?

- Człowiek, który gościł nas w Ismilanie. Stał w drzwiach do-mu.

- Widział was?

- Tak. Ale natychmiast się cofnął, żeby się schować. Może sądził, że nie zdążyliśmy go zauważyć. Co zrobimy?

- Może będziemy musieli jeszcze tej nocy opuścić miasto. Ota pieniądze. Kupcie chleb, owoce i trochę piezzonego drobiu i prze-każcie wszystko Halefowi! Ale wracajcie szybko! Ponownie wyruszyli do miasta, a ja udałem się do stajni. Tym-238 czasem już się ściemniło i nie musiałem długo czekać, by za ścia-ną rozległo się pukanie czubkami palców. Odsunąłem na bok oderwane na dole i tyłka u góry trzymające się na gwoździach deski i precisnąłem się przez otwór na sąsiednie podwórze.

- Allah! Ty wychodzisz tutaj? - zdziwiła się stara służąca.

- Tak, tak będzie lepiej. Jeśli ktoś nam przeszkodzi, szybko precisnę się z powrotem. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Czy przewoźnik jest już u was?

- Nie. Godzina jeszcze przecież nie minęła. Ale, efendi, miałeś mi opowiedzieć o Harze, mojej dobrej pani!

Właściwie miałem na głowie pilniejszą sprawę, ale Joka zasłu-żyła na to, bym spełnił jej życzenie. Złaziłem jej na tyle obszerną relację, na ile pozwalało na to obecne położenie. Joce omal serce nie pękło, gdy słuchała o śmierci swojej pani. Popłakiwała półgło-sem. Następnie opowiedziała mi, co się z nią potem działo, gdy została wypędzona od swego ówczesnego pana i po różnych przej-ściach trafiła w końcu do handlarza owoców Gławy. Te zwierzenia dobrze jej robiły i dlatego słuchałem cierpli-wie, choć walczyłem przy tym z wewnętrznym niepokojem. Nie-stety w końcu musiałem jednak przerwać zacnej kobiecie i przy-pomnieć jej o chwili obecnej.

- O Isa, Jussuf, Mirjam! - jęknęła wtedy. - Myślę tylk.c: a so-bie, a nie o tobie. Czy mogę ci wyświadczyć jakąś przysługę? Chętnie ją spełnię.

- Możesz. Czy słyszałaś może nazwisko Manach el Barsza albo Barud el Amasad?

- Tak. Obydwaj razem z jakimś trzecim byli do dzisiaj u mo-jego pana.

- Do dzisiaj? A gdzie są teraz?

- Tego nie wiem. Kiedy zjawili się ci dwaj, o któ~rych ci mó-wiłam, naradzono się potajemnie,

a potem ci trzej odjechali. Następnie ściągnięto przewoźnika. Nie wiedzieli dokładnie; kiedy i skąd przyjedziecie. Parobek Hamdiego musiał się ustawić przy drodze do Newrekup, a nasz przy drodze do Wesme i Wlakawicy. Tym sposobem nie mogli was przeoczyć. Dowiedziałam się, że jesteś chrześcijaninem i że chcą się na tobie zemścić. Miałeś mieszkać u przewoźnika, a potem zamierzali zdecydować, co należy zrobić. Tego wszystkiego dowiedziałam się stopniowo, podsłuchując przy różnych okazjach, i postanowiłam cię ostrzec. Teraz jestem szczęśliwa, że mi się to udało, i chciałabym, żebym mogła zrobić dla ciebie wiele więcej.

- Dziękuję ci, Joko! Nie wiem, jak długo tu zostanę i czy cię jeszcze zobaczę. Dlatego chciałbym ci coś dać na pamiątkę po ab-cym człowieku, którego obdarzyłaś swoją życzliwością! Włożyłem jej do ręki przygotowane prezenty. Milczała. Było ciemno, i drugi, oprócz monety, przedmiot musiała dopiero raz-poznać dotykiem. Wtedy jednak zawołała niemal za głośno:

- O Boże! Różaniec! Efendi, jesteś taki łaskawy! Będę cie ~^spo-minać w każdej madlitwie. Ale co dzisiaj mam dla ciebie uczynić? Prezent ten wprawił Jokę w uniesienie. Ogarnął ją taki zapal, że gotowa byłaby narazić się na niebezpieczeństwo, gdybym tego od niej zażądał.

- Sądzisz, że nie ma żadnej anożliwości dowiedzieć się, co po-stanowią ci ludzie u twojego pana?

- To będzie trudna sprawa. Musiałam zanieść maty i wino do wykuszu. Tam odbędą swoją naradę i nie da się ich podsłuchać. Mówiąc „wykusz” miała pewnie na myśli izbę na poddaszu. Hul-taje zachowywali największą ostrożność.

- Czyżby wyznawcy Proroka pili wino?

- Och, piją często aż do utraty rozumu, tylko nikt inny nie może się o tym dowiedzieć. Ta izba jest zupełnie ukryta. Trzeba wyjść po schodach na górę. Chętnie bym podsłuchiwała, ale stamtąd w razie poirzeby nie można szybko uciec. Gdyby ktoś otworzył drzwi, byłabym zgubiona. Pan zabronił nam tam dzisiaj wchodzić.

- Na takie niebezpieczeństwo nie musisz się wcale narażać.

Mimo to chciałbym się dawiedzieć, o czym będą mówić. Joka popatrzyła na mnie przez chwilę w zamyśleniu, po czym rzekła szybko:

- Właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł! Będę mogła jednak podsłuchiwać! Położę się na suficie tej izby.

- Ca masz na myśli, Joko?

- Na samej górze jest gołębnik. Wpełznę do niego i będę stam-tąd wszystko słyszeć. To było zabawne - gołębnik!

- Czy można się do niego dostać? - zapytałem.

- Tak. Od wielu lat nie ma tam już gołębi. Wejście jest na tyle duże, że wciśnie się przez nie człowiek.

- Z czego się składa podłoga?
- Z okrągłaków ułożonych jeden abok drugiego.
- Mocno się trzymają?
- Bardzo mocno - zapewniła stara służąca. - Ale pomiędzy nimi są też szpary, przez które można za jrzeć do izby i wszystko

240 słyszeć. Pójdę tam na górę, a potem wrócę tutaj, żeby ci donieść o wszystkim.

- Hxn! Nie chciałbym cię namawiać do tak ryzykownego przed-sięwzięcia, a poza tym...
- Efendi - przerwała mi Jaka - uczynię to bardzo chętnier
- Wierzę ci. Ale może być mowa o wielu rzeczach, których nie będziesz umiała właściwie ocenić. Twoja relacja mogłaby mnie wtedy wprowadzić w błąd zamiast mi pomóc. Gdybym sam dostał się do tego gołębnika, byłoby to o wiele lepsze rozwiązanie!
- Tam na górze jest bardzo brudno!
- To mnie nie maże powstrzymać. Pytanie tylko, czy mógłbym się szczęśliwie dostać na górę nie zauważony.
- Możesz bez trudności.
- Dlaczego?
- Gdyby nie było ciemno, zobaczyłbyś drabinę opartą o ten budynek. Po niej można się dostać na górę, a potem dojść da miejsca, gdzie mój pan przechowuje siano. Jeszcze jedna mała. drabina i jesteś na samej górze, gdzie też leży siano. Jeśli potem pójdiesz wzdłuż dachu, to dostaniesz się pod dach głównego bu— dynku, akurat pod drzwi gołębnika. Kiedy się wczolgasz do środ— ka i zamkniesz za sobą drzwi, to nikomu nie przyjdzie do głowy, że ktoś bam jest. Na lewo od tych drzwi schody wiodą w dół do-głównego budynku. Zaprowadzę cię na górę.
- Dvbrze. Drogę na dół znajdę później sam.
- Kiedy mężczyźni skończą naradę, będę wiedziała, że i ty wyszedłeś. Potem jeszcze raz tutaj wrócę. Mo'ze wtedy jeszcze będę~ mogła być ci w czymś pomocna. Zaprowadzić cię teraz na górę?' Wkrótce upłynie ta godzina, jaka pozostała do spotkania.
- Tak. Ale wcześniej poczekaj jeszcze chwilę.

Przelażłem z powrotem do stajni. Tam natknąłem się na Hale-fa, który czekał na mnie.

- Sihdi, wszystko słyshałem - powiedział.
- To dobrze. Więc nie muszę ci niczego wyjaśniać. Osko i Omar jeszcze nie wrócili?
- Nie.
- Wysłałem ich po prowiant. Nie wiem, jak się skończy ta eska-pada. Trzymaj w pagotowiu osiadłane konie, tak jakbyśmy mieli. natychmiast wyruszyć! Ale postaraj się zachować wszystko w ta— jemnicy.
- Przeczuwasz jakieś niebez.pieczeństwo?
- Nie, ale trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność.
- W takim razie idę na górę razem z tobą.

16 W wąwozach Batkanów 241.

~ - To niemożliwe.

- Sihdi, istnieje niebe~zpieczeństwo, a ja jestem twoim opieku~em!
- Najlepiej mnie ochronisz, wypełniając moje polecenia.
- Więc zabierz przynajmniej swoje strzelby!
- Strzelby w gołębniku? Nonsens!
- Widzę, że chcesz napytać sobie biedy. Ale ja będę czuwał ~nad tobą.
- Tak uczyn. Tylko nie oddalaj się od koni! Mam nóż i dwa ~ewolwery, to wystarczy.

Ponownie precisnąłem się przez otwór na podwórze. Służąca wzięła mnie za rękę i zaprowadziła pod drabinę. Bez słowa wspięła się pierwsza, a ja za nią. Na górze wymacałem ułożone warstwami siano. Następnie Jo~ka pociągnęła mnie kilka kroków dalej do drugiej drabiny, która jednak nie była taka wysoka. Wspiąw~zy się po niej znaleźliśmy się - jak to się u nas mówi - na grzędzie sąsiedniego budynku. Tam stara kobieta ponownie wzięła mnie za rękę i pociągnęła dalej, cały ezas wzdłuż kalenicy. Bro-dziliśmy w sianie. Ponieważ byłem wyższy od służącej, kilkakrot-nie zahaczyłem głową o belki i krokwie. Joka mówiła wprawdzie zawsze: „Tu była belka!”, ale za każdym razem dopiero wtedy, gdy zawarłem już z nią znajomość.

Nagle podłoże opadało tak stromo, że obydwójce straciliśmy grunt pod nogami i razem zsunęliśmy się

kawałek w dół. Nic nam się jednak nie stało, gdyż zjeżdżalnia była wymoszczona sianem. Moja przewodniczka ze strachu krzyknęła. Nasłuchiwalismy przez chwilę, czy akryk ten zwrócił czyjąś uwagę. Gdy jednak nic się nie poruszyło, powiedziała da mnie cicho:

- Tutaj na wprost nas jest gołębnik, a na lewo schody. Teraz vvróczę tą samą drogą, którą przyszlismy.

- Czy oni będą już na poddaszu?

- Nie. W przeciwnym razie bysmy ich słyszeli.

- To dobrze, gdyż usłyszeliby twój okrzyk.

- Otworzyłam ci drzwiczki. Pójdę już. Miej się na baczności, żeby ci się nic nie stało!

Usłyszałem, jak Joka wdrapuje się pa sianie na górę, a potem

wokół mnie zrobiło się cicho, cicho i potwornie ciemno~. Nawet nocą

w amerykańskiej puszczy na pewno nie czułbym się tak nieswojo

‘ jak tutaj w tym mrocznym, nieznanym, nieznośnie ciasnym po-

;

~nieszczeniu. Po prawej stronie była ściana, po lewej schody, za mną stryszek z sianem, a przede mną cienka drewniana ściana 242 z otwartymi drzwiczkami takiej wielkości, że ledwie mogłem się~ przez nie z wielkim trudem przecisnąć.

Wszystko dookoła było łatwopalne, a mimo to musiałem zoba-czyć, gdzie się znajduję. Dlatego też wyciągnąłem woskową zapał-kę i zaświeciłem ją. Szybko rozejrzałem się najpierw na zewnątrz: gołębnika, a potem poświeciłem w środku. Służąca jednak miała rację! Nieczystości było tam całe mnóstwo, ale jakoś musiałem ta wytrzymać. Na szczęście pomieszczenie było na tyle przestronne, że spokojnie się w nim zmieściłem. Tam, po prawej stronie, zda— wało się brakować kawałka podłogi, ale lewa połowa wyglądała~ mi na jako tako bezpieczną. Wczołgałem się więc do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Nie zdążyłem jednak jeszcze usadowić się wygodnie, gdy obrzydliwy zapach zaczął robić swoje. Zdał~m so-bie sprawę, że żaden człowiek nie wytrzyma tutaj dwóch minut, nie wykichawszy w tym czasie całej fugi Bacha. To było w naj-wyższym stopniu niebezpieczne. Pomacałem ręką dookoła siebie~ i znalazłem sznurek. Pociągnąłem i rzeczywiście otworzyły się dwa wyloty, i do środka wpływało przynajmniej tyle powietrza, ile po— trzebałem niezbędnie do oddychania.

Ten „luksus” podniósł moje wymagania. Wczołgałem się z po— wrotem i wziąłem sobie do

gołębnika parę garści siana, żeby mieć miękką podkładkę przynajmniej pod łokcie. Teraz miałem już tu-taj tak przytulnie, jak tylko mogłem mieć. Byłoby mi bardzo na rękę, gdyby oczekiwani przyszli już w tej chwili. Ale moja cierpliwość została niestety wystawiona na ciężką próbę. Zauważyłem przy tym, że bez podjęcia pewnych środków na dłuższą metę nie da się tutaj jednak wytrzymać. Świeże powietrze nie wystarczało. Zapach siana okazał się jeszcze mocniejszy od ostrej woni gołę-bich odchodów, w których leżałem. Dlatego uchyliłem na powrót drzwi. Żeby zapobiec kichaniu, wyciągnąłem chusteczkę i po złożeniu obwiązałem ją sobie wokół nosa, a poza tym starałem się trzymać usta możliwie jak najbliżej obydwu wylotów gołębnika. Ta~ przez te otwory ptaki gałązki oliwnej wlatywały i wylatywały.. Rzut oka na zewnątrz uświadomił mi, że znajduję się pod da-chem szczytawym. Aż tutaj docierały hałasy i światła jarmarku.. Przy okazji nawiedzały mnie i adchodziły różne myśli. Słynny Kara ben Nemsy, efendi mojego małego Halefa w gołębniku! Ro-ześmiałem się serdecznie w duchu. Śmiech ten spowodował jednak drgania mojego ciała, a ruch ten udzielił się także podłodze - roz-legł się trzask. Właściwie powinna to wzbudzić moją nieufność, lecz okrągłaki wytrzymały wcześniej moje o wiele mocniejsze ru-chy, tak więc nie było chyba żadnego powodu do obaw. Nawet. 24. jeśli trwałość gołębnika nie była obliczona na tysiąclecia - leża-łem przecież cicha; nie mogła się nic wydarzyć. W ten sposób wytrzymałem prawie nieruchomo niemal godzinę, .a położenie moje stawało się coraz bardziej niewygodne. Ponieważ ~obwiązałem sobie nos, powietrze musiałem wciągać przez usta. Ostry, gryzący pył wpadał mi do gardła i pobudzał do kaszlu. Nie mogłem sobie przecież zatkać na dodatek ust!

I oto - wreszcie - rozległy się pode mną kroki i głosy. Otworły ~ię drzwi, zapalono światło, i do śradka izby weszło dwóch, czte-rech; pięciu, sześciu mężczyzn, którzy usiedli na rozłożonych na podłodze słomianych matach. Teraz, kiedy światło z dołu p~ezie-~ało przez moją podłogę z klepek, nie wydała mi się ona już wcale taka bezpieczna. Po~rniędzy okrągłakami widać było niepokojące ~szpary: „Bardzo mocno”, powiedziała stara Joka. Absolutnie tak nie uważałem. Przez uszkodzony dach przeciekł do środka deszcz, roz-moczył gołębie odchody i uczynił z nich dosyć zwartą skorupę. Może dlatego w ogóle jeszcze były, a nie spadły już dawno da izby. Teraz jednak poruszyłem się na tej skorupie. Skutki tego mogły ~się okazać dla mnie zgubne, gdyż ku mojemu przerażeniu ujrzałem, jak przedmioty w dole pokryła białoszara, miejscami gruba na ~alec warstwa, a w dodatku z góry sypał się nadal bez przerwy ~drobny kurz. Widać to było wyraźnie, dopiero kiedy mężczyźni usiedli.

Ten, który trzymał w ręku światło, wysoki, chudy jak szczapa człowiek, z pewnością handlarz owoców Gława, spojrzał gniewnie ~do góry i zaklął:

- Przeklęty kot! Zatłukę go na śmierć!

Łatwo się domyślić, że nawet nie drgnąłem i ledwo odważyłem ę się oddychać.

Obok Gławy siedział mój łaskawy gospodarz, pr~zewoźnik Ham-di, a dalej żebrak Szaban i brat Deselima z Ismilanu. Żebrak miał ~obwiązaną rękę i solidny siniak na czole. Przypuszczalnie wyrwał aię dzielnemu kowalowi dopiera po ciężkiej walce. Obydwu pozo-stałych mężczyzn wcześniej nie widziałem. Nosili kopcze, byli za-tem wtajemniczeni, i mieli twarze, które najlepiej będzie określić jako „gęby zakazane”. Jeden z nich oprócz typowej broni miał ~jeszcze za pasem coś, co skłonny byłem uważać za procę. Wtedy nie wiedziałem, że ta broń jest jeszcze używana w owych ~okolicach.



Nie znani mi mężczyźni nie odzywali się, mówili tylko czterej !i ~pozostali.

Szaban opowiedział o wydarzeniach w leśnej chacie, a następnie a' - '... 244 zrelacjonował nasze nocne spotkanie, kiedy ta wpadł w ręce moje i kowala. Jako więzień przywiązany do konia nie mógł stawiać żadnego oporu, aż wreszcie rano dotarli do~ jakiejś wioski i zatrzy-mali się u pewnego znajomego kowala. Tam jednak był z wizytą przyjaciel żebraka i uwolnił go z więzów, dzięki czemu Szabanowi udało się odjechać na własnym koniu. Kowal ścigał go potem i zre-sztą dogonił. Doszło do walki wręcz, w trakcie której żebrak ober-wał wprawdzie parę soczystych ciosów, lecz mimo wszystko jakoś udało mu się uciec. Naturalnie potem w najwyższym pośpiechu kontynuował przerwana jazdę do Ismilanu i w zajeździe usłyszał, że tam byłem, ale już wyruszyłem w dalszą drogę. Kiedy brat Deselima dowiedział się, iż to ja ponoszę winę za to, że jego brat skręcił kark, żądny zemsty natychmiast wsiadł na konia, by razem z Szabanem podążyć moim śladem. Wiedział wszak, że w Melniku zatrzymam się u handlarza owoców i tam z pewnością można będzie mnie znaleźć. Po drodze spotkali odpra-wionego przewodnika Albaniego, który opowiedział im całą resztę. Dowiedzieli się, że wybraliśmy drogę okrężną, i śpieszyli się, by dotrzeć do Melnika przed nami, co im się zresztą udało, ponieważ zamienili konia żebraka na jakiegoś lepszego.

W Melniku u Gławy spotkali Baruda el Amasada, Nlanacha el Barszę i zbiegłego wraz z tymi dwoma strażnika więziennego i po-wiadomili uciekinierów o wszystkim. Wszyscy trzej natychmiast wyruszyli w drogę, żebyśmy ich nie dogonili, przedtem jednak wy-mogli solenną obietnicę, że przeszkodzi się nam w kontynuowaniu pościgu. Czekano na nas przy obydwu wschodnich rogatkach mia-sta, żeby nas zwabić do przewoźnika. Dalsze postępowanie miano omówić teraz.

- Jest rzeczą pewną - oświadczył Gława - że te psie syny nie mają prawa dotrzeć do naszych przyjaciół.

- Czyli ich dogonić? - rzekł gniewnie ismilańczyk. - Tylko temu chcesz przeszkodzić? I nic poza tym? Czyż ten cudzoziemiec nie zabił mojego brata? Czyż nie oszukał mnie i nie wy dobył ze mnie naszych tajemnic? Czyż nie wszedł w posiadanie kopczy, wskutek czego uważałem go za członka naszego związku, a nawet za jednego z przywódców? Zada nam wiele szkód, jeśli pozwolimy mu odjechać. Musi tu zostać!

- Jak chcesz go do tego skłonić?

- Jak? Jeszcze pytasz? Śmieszne! Pięknymi słowami i udawa-niem życzliwości niczego nie wskóramy. Musimy zastosować wzglę-dem niego przymus. Możemy to uczynić na dwa sposoby. Albo go oskarżymy, żeby został aresztowany, albo pojmiemy go sami.

- O co chcesz go oskarżyć?

- Czyż nie ma dość powodów?

- Żaden powód na nic się nie zda. Mówiłeś mi przecież, że ten gjaur ma trzy papiery: teskere, bujuruldu i ferman. Nie tylko znaj-duje się pod o~pieką władz, ale jest nawet polecany przez sułtana. Jeśli będą go chcieli aresztować, pokaże swaje paszporty, a wtedy złożą mu pokłon i zapytają, jakie ma życzenia. Znam to. A jeśli nawet zostałby uwięziony, mógłby się z tego tylko śmiać. Jest Frankiem i odwoła się do swojego kansula. A jeś~li wicekonsul się nas boi, to jest konsul generalny, któremu ani przez myśl nie przej-dzie, żeby się oglądać na nas.

- Masz rację. Będziemy zatem działać.

- Ale jak? - wtrącił Hamdi.

Wtedy Szaban wykonał energiczny ruch ręką i mruknął:

- Po co tracie tyle słów? Ten gjaur jest zdrajcą i rnardercą.

Wpakujcie mu nóż między żebra! Wtedy będzie milczał i nie będzie mógł niczego wygadać.

- Masz rację - zgodził się ismilańczyk: - Mój brat nie żyje.

Krew za krew! Okulawiliście konia, żeby gjaur nie mógł posuwać się szybka. Dlaczego miałby w ogóle stąd wyjeżdżać? Mój nóż jest ostry. Kiedy będzie spał, zakradnę się do niego i wbiję mu klingę w serce. Wtedy nasze rachunki zostaną wyrównane.

Na te słowa wtrącił się szybko przewoźnik ostrzegając:

- To niemożliwe! Jestem waszym przyjacielem i pomocnikiem.

Byłem gotów przyjąć go u siebie, żebyśmy mogli go dokładnie obserwować, i w dalszym ciągu chcę robić swo~je. Ale umrzeć u mnie nie może! Nie chcę, żeby mi kazano stawiać się przed sędzią, bo jakiś podopieczny sułtana został u mnie zamordowany.

- Tchórz! - mruknął brat Deselima.

~ Milcz! Wiesz, że nie jestem tchórzliwy. Poniosłem już dosyć strat, bo mój parobek jest ciężko ranny. Sądzę nawet, że ten cu-dzoziemiec domyśla się, cośmy zrabili.

- Jak może się czegoś domyślać?

- Wspominał o szpilkach. Może nawet odkrył tę szpilkę w no-dze konia. Te niewierne frankońskie psy mają oczy diabła. Widzą wszystko, czego nie powinni widzieć.

Wtem jeden z nie znanych mi mężczyzn odłożył czubuk i rzekł:

- Załatwcie to krótko! Słowa to coś dla dzieci i kobiet. My natomiast jesteśmy mężczyznami i chcemy przejść do czynów. Manach el Barsza będzie na nas czekał w ruinie pod Ostronnczą u pewnego sprzymierzeńca; tam mamy mu powiedzieć, jak unie-szkodziliśmy tych psich synów. Razem z moim bratem, który 246 tu obok mnie siedzi, muszę zawieźć mu wiadomość i nie mam ochoty czekać całą wieczność.

~łowa te miały dla mnie ogromne znaczenie, ponieważ mówiły mi, gdzie muszę szukać uciekinierów: Teraz w najwyższym na-pięciu oczekiwałem na to~, jaka zapadnie decyzja. W człowieku budzi się naprawdę osobliwe uczucie, kiedy ma usłyszeć, w jaki sposób planuje się go zgładzić. Dlatego uważałem pilnie, żeby nie umknęło mi żadne słowo.

Tym bardziej więc zirytowałem się, gdy akurat teraz usłysza-łem na zewnątrz w sianie jakiś szelest. Uniosłem głowę. Czyżby to był kot, o którym mówił pan domu? Zwierzę spacerowało sobie po strychu w porze, która nie mogła mi być bardziej nie na rękę. Na dole podniósł się głośny gwar. Niemal jeszcze głośniejsze zrobiło się jednak w tej samej chwili przed gołębnikiem. Usłyszałem od-głos poślizgnięcia się - pac - rozdrażnione „Ech!”, a potem na zewnątrz nastąpiła cisza, pode mną jednak także. Rzut oka w dół przekonał mnie, że wszyscy wytyżają słuch. Oni też usłyszeli hałas. Gałe szczęście, że akurat rozmawiali głoś-niej niż przedtem.

- Co to było? - zapytał Szaban.

- Pewnie kat - odparł handlarz owoców.

- Masz na górze tyle myszy?

- Myszy i szczury.

- A jeśli to był człowiek, który nas podsłuchuje?

- Kto by się odważył?
- Lepiej sprawdź!
- Okaże się to niepotrzebne, ale tak zrobię.

Gława wstał i opuścił izbę. Znalazłem się w niebezpieczeństwie.

W miarę możliwości podciągnąłem nogi jak najbliżej do siebie. Gława nie miał wprawdzie przy sobie światła, gdyby jednak po-czuł, że drzwi gołębnika są otwarte, z pewnością powziąłby podejrzenie i sięgnął ręką do środka. Usłyszałem skrzypienie schodów. Faktycznie wchodził na górę, na szczęście jednak nie dotarł do końca schodów.

- Jest tam kto? - zapytał pan domu.

Nikt nie odpowiedział, lecz z siana dobiegł cichy szelest, który i on musiał usłyszeć.

- Kto tam? - powtórzył.
- Miau! - rozległo się teraz.

Potem nastąpiło gniewne prychnięcie. To był rzeczywiście kot, któremu życzył wcześniej potępienia. Gława mruknął pod nosem kilka gniewnych słów, po czym wrócił do sali narad. 24?

- Słyszeliście? - zapytał. - To było to bydlę!

Rękę trzymałem już na uchwycie noża. Teraz poczułem się uspokojony, ale nie na długo, gdyż kiedy rozmowa rozpoczęła się na nowo, usłyszałem z tyłu odgłos tarcia, jakby ktoś obmacując podłogę badał przestrzeń przed sobą. Wytężyłem słuch. Nagle poczułem na swej nodze jakąś rękę.

- Sihdi! - rozległ się szept.

Teraz wiedziałem już, co to za kat!

- Halef? - odpowiedziałem najciszej jak umiałem.
- Tak. Czyż nie nasładowałem znakomicie miauczenia kota?

- Co ci przyszło do głowy? Narażasz siebie i mnie na największe niebezpieczeństwo!
- Czyż nie musiałem? Tak długo cię nie było, że zacząłem martwić się o ciebie. Jakże łatwo mogli cię złapać!
- Powinieneś był poczekać, aż to się stanie.
- Miałem może czekać, aż cię zabiją? Nie, jestem twoim przyjacielem i opiekunem.
- Który jednak pakuje mnie w tarapaty. Teraz zachowuj się całkiem cicho! ‘
- Widzisz naszych wrogów?
- Tak.
- I słyszysz ich?
- Tak, ależ tak! - odparłem niecierpliwie. - Ale nie będę mógł ich słyszeć, jeśli dalej będziesz gadał.
- Dobrze, już milczę. Dwóch jednak zawsze usłyszysz więcej niż jeden. Ja też będę podsłuchiwał, włączę.

Usłyszałem, że Hadzi szykuje się do wejścia do gołębnika.

- Oszalałeś? - szepnąłem do niego. - Nie potrzebuję cię tutaj. Zostań na zewnątrz!

Niestety w tym momencie ismilańczyk podniósł głos, tak że Halef nie mógł dosłyszeć moich słów. Czołgał się da mnie - naprawdę to rabił! Wprawdzie dałem mu solidnego sztux~chańca nogą, ale mały człowiek miał dobre intencje, za dobre jak na ist-niejące warunki. Rwał się wprost do szpiegowania i pewnie sądził, że to kopnięcie było nie zamierzonym ruchem z mojej strony. Teraz był już przy mnie. Wcisnąłem się maźliwie jak najdalej pod lewą ścianę.

- Allah! Ależ tu śmierdzi! - szepnął.

;’ - Przysuń się do mnie! Tutaj, tutaj, całkiem do mnie!

-

,

nakazałem cicho. - Tam po prawej sufit się pod tobą zawali! L: Hadzi wykonał gwałtowny ruch w moją stronę, zrywając za-248 pewne przy okazji niemało gołębich odchodów, gdyż z dołu do-biegło przekleństwo handlarza owoców:

- Do diabła z tym kotem! Teraz jest nad nami i zrzuca nam łajno na głowy!

- Puf! Ach... och... uch! - sapał Halef, któremu gryzący pył dostał się do nosa i płuc.

Posłuchawszy mojego wezwania przywarł do mnie blisko, dla-tego czułem teraz, jak jego ciało wykonuje konwulsyjne mimo-wolne ruchy.

- Acz gósunu - uważaj! - napomniałem go, gdyż mimo ob-wiązanego nosa czułem, że chce mi się kichać.

- Tak, sihdi! Nikt mnie nie usłyszy... och... ich... bhh... ghhh... dhhhh... Allah, pomóż mi!

Na próżno mały człowiek walczył z nieodpartym impulsem. Usłyszałem wprost nieopisany, stłumiony do wewnątrz jęk, sa-panie i dyszenie i mimowolnie sięgnąłem ręką w bok, żeby zatkać mu usta.

- O Allah... Al... il... el... a... ha ha... ha... hap... apsiiii, apsiik!

W końcu huknął, i to tak potężnie, że całe jego~ ciało się za-trzęsło, ale i pod nami rozległ się trzask. Czułem, że cały gołębnik chwieje się i drży.

- Si... si... sihdi, o Allah, o Muhammad, spadam!

Halef chciał wypowiedzieć te słowa cicho, ale panieważ stracił już grunt pod sobą, w strachu wykrzyknął je głośno niczym wołanie o pomoc. Złapał mnie za rękę. Zdałem sobie sprawę, że może mnie pociągnąć ze sobą, i wyzwoliłem się z jego uchwytu. W następnej chwili wokół mnie rozległ się taki trzask, jakby cały budynek miał się zawalić: straszliwy rumor, jeszcze straszliwsza gruba

chmura rozkruszonego łajna - pode mną głośne krzyki, przekleństwa, kaszel i kichanie - gdyż nadgorliwy Hadzi runął w dół razem z połową gołębnika.

Także ja połową ciała wisiałem w powietrzu. Szybkim wymachem nóg wyciągnąłem je z powrotem z dziury; po raz drugi wytężywszy wszystkie siły, znalazłem się całym ciałem poza gołębnikiem. Zerwałem chusteczkę z nosa i zacząłem kaszleć i kichać jak najęty. Było mi teraz wszystko jedno, czy ktoś mnie słyszy, czy nie.

Na dole powstał piekielny hałas. Halef ani chybi znajdował się w niebezpieczeństwie. Światło nie zgasło. Pochwycono go, czy zachował dość przytomności umysłu, żeby błyskawicznie uciec? Popędziłem schodami na dół tak szybko, jak pozwalały na to ciemności. Piekielna wrzawa była mi przewodnikiem. Obmacaw-249 przy drzwi izby odkryłem, że można je od zewnątrz zaryglować. Wystarczyło wsunąć w uszko wiszący na sznurku drewniany kołek: Od środka drzwi nie były zabezpieczone. Otworzyłem je. Buchnęły we mnie kłęby wirującego pyłu z ptasiego nawozu, które ledwo przebijało światło lampy.

Na ile mogłem otworzyć oczy, ujrzałem płataninę rąk, nóg i okrągłaków, które spadły z góry, a wszystko to w ruchu. Usłyszałem nieopisany harmider głosów kaszlących, kichających i przeklinających ludzi, a do tego chłaiście, jakby ktoś ze wszystkich sił wywijał biczem. Zauważyłem, że przeciwnicy mocują się między sobą, sądząc, że pochwycili nieoczekiwanego intruza. Wtem rozległ się głos Halefa:

- Sihdi, gdzie jesteś? Jesteś na dole?
- Tak, tutaj!
- Pomóż, pomóż! Teraz mnie mają!

Nie namyślając się dłużej, skoczyłem w sam środek kłębówiska. Rzeczywiście, mieli Halefa. Złapałem go lewą ręką, wyrwałem Hadziego spod uderzeń ich pięści i popchnąłem go w stronę drzwi. Kilka ciosów prawą ręką i cofnęli się. Natychmiast również ja znalazłem się na zewnątrz, zatrzaskałem drzwi i wsadziłem w skobel zatyczkę.

- Halef!
- Tutaj!
- Nie jesteś ranny?
- Nie. Uciekajmy!
- Tak, tędy schodami w dół!

Złapałem ga za rękę i pociągnąłem w kierunku, gdzie moim zdaniem powinny być schody. Wskazówką były mi przy tym głosy, które rozległy się na dole. Usłyszano hałas i niektórzy przy-szli sprawdzić, co on ma oznaczać.

Bardziej zjechaliśmy niż zbiegliśmy po schodach, przewracając przy okazji kilka osób, dotarliśmy szczęśliwie na dół i przez po-dwórce dopadliśmy do miejsca, gdzie obluzowałem deski. Kiedy precisnęliśmy się na drugą stronę i przystanęliśmy, żeby złapać oddech, mały Hadzi powiedział:

- Allahowi niech będą dzięki! Nikt mnie już nie namówi, że-bym wszedł do jakiegoś gołębnika!
- Nikt ci nie ro~zkazywał do niego wchodzić!

i..

Masz rację, sihdi. Wszystko to moja wina. Lecz mimo wszyst-ko było pięknie, ba dałem swojemu biczowi robotę, o której ci ludzie długa jeszcze będą pamiętać. Słyszysz, jak wołają? - Po-słuchaj!



- Tak. Szukają nas. Gdzie Osko? Gdzie Omar?
- Tutaj - odpowiedzieli obydwoj wymienieni tuż obok.
- Czy konie gotawe do wyruszenia w drogę?
- Tak. Czekaemy już długo.
- Więc ruszajmy ze stajni i z tego miasta!

Każdy chwycił za cugle swego konia. Jak stwierdziłem dotychczas, moje strzelby wisiały u siodła. Na podwórzu dosiedliśmy koni. Brama stała otworem, i nie nagabywani przez nikogo dostaliśmy się na ulicę.

Halef jechał obok mnie.

‘ - Dokąd wyruszamy? - zapytał. - Znasz drogę? Może byśmy kogoś zapytali?

- Nie. Nikt nie może wiedzieć, jaki obierzemy kierunek. Pojedziemy na zachód. Najpierw jednak wydostaniemy się z miasta! Potem na pewno znajdziemy jakąś drogę.

- Musimy uciekać? Czy to konieczne?

- Odjeżdżamy. Tak czy owak uważam to za słuszne. Jeśli chcesz, możesz to nazwać ucieczką! Wiem, gdzie ukrywa się Barud el Amasad. Nie ma go tutaj, więc odwiedzimy go i jego towarzyszy.

Wkrótce Melnik znalazł się za naszymi plecami. Kiedy dzisiaj wjeżdżaliśmy do miasta z przeciwnej strony, nie przeczuwałem, że tak szybko je opuścimy. Z Martinem Albanim nie mogłem się niestety pożegnać.

# XIII. WAMPIR

Kiedy Melnik zniknął za naszymi plecami, otoczyła nas ciemna noc. Mimo to stwierdziliśmy, że znajdujemy się na przetartym szlaku. Przed sobą mieliśmy rzekę Strumę, zwaną przez starożytnych Strymon, która na południe od Melnika wpływa na żyzną równinę w pobliżu miasta Seres. Poruszaliśmy się po nieznanym gruncie. Wiedziałem tylko, że muszę jechać do Ostromczy, noszącej także nazwę Strumnica řř, od rzeki, nad którą leży. Powinniśmy więc w zasadzie pojechać w kierunku Petridasz řł, lecz mogłem się ao również Strumica

41 petricz

251

domyślić, że nasi przeciwnicy tak właśnie będą przypuszczać i po-dążą za nami w tamtą stronę. Dlatego już po krótkim czasie obra-łem kierunek zachodni.

- Sihdi, dokąd zmierzasz? - zapytał Halef. - Przecież zba-czasz z drogi!
- Nie bez powodu. Uważaj! Szukam ścieżki, która w naszym dotychczasowym kierunku prowadzi do Strumy. Zamierzam wpro= wadzić w błąd tych, którzy będą nas ścigać.
- Rzeczywiście musimy uważać. Jest bardzo ciemno.

Mieliśmy obecnie przed sobą coś w rodzaju ugoru. Niebawem zauważyłem, że znów znajdujemy się na jakiejś drodze. Z lewej strony usłyszałem piskliwe skrzypienie kół ciężkiego wozu zaprzę-żonego w woły. Ruszyliśmy w tym właśnie kierunku i wkrótce dogoniliśmy zaprzęg. Wóz był ciągnięty przez dwa wielkie bawiały. Woźnica szedł przodem. Na ogromnym, pośrodku wygiętym do góry jarzmie wisi~ała papierowa latarnia.

- Dokąd? - zapytałem po krótkim pozdrowieniu woźnicę.

- Do Lebnicy - odpowiedział, wskazując ręką przed siebie.

Tym sposobem byłem już zorientowany. Droga ta prowadziła do Lebnicy, która leży nad rzeczką o tej samej nazwie, uchodzącą do Strumy.

- A wy dokąd się wybieracie? - zapytał.

- Do Mikrowej.

- Więc miejcie się na baczności. Droga jest kiepska. - Jesteś młynarzem?

- Dobranoc! - rzekłem nie odpowiadając na jego pytanie. Zadał je nie bez powodu. W świetle latarni spostrzegłem, że Halef i ja wyglądamy dokładnie tak, jakbyśmy siedzieli w worku po mące. Nie mieliśmy jeszcze czasu się oczyścić. Jeśli nie chcieliśmy sobie uszkodzić odzieży, musieliśmy z tym poczekać do rana. Po pewnym czasie usłyszałem przed nami uderzenia kopyt i do-goniliśmy samotnego jeźdźca, który pozdrowił nas uprzejmie.

- Też jedziecie z Melnika? - zapytał po pozdrowieniu z naszej strony. Trzymał na to pytanie odpowiedź twierdzącą.

- Ja jadę do Lebnicy. A dokąd wy?

- Też tam - odpowiedziałem.

- To dobrze. Właściciel promu nie chciałby mnie samego prze-prawić na drugą stronę. Dla jednego człowieka nie robi tego tak późno. Ponieważ jednak wy też musicie się przeprawić przez rzekę, na pewno uda się go nakłonić, bo więcej zarobi. Mogę 'się do was przyłączyć?

- Tak, jeśli masz ochotę.

Właściwie jego prapozycja była mi nie na rękę, ponieważ jed-nak służył nam za przewodnika, przychyliłem się do jego życze-nia. Nawiasem mówiąc w ogóle nie wiedziałem o promie. Dalszego ciągu rozmowy nie było. Jeździec jechał z boku za mną i za Halefem i obserwował nas. Pomimo ciemności musiał dostrzec nasze strzelby, jak również pokrywającą ubrania białą warstwę~ pyłu i nie wiedział pewnie, co o nas sądzić.

Dotarłszy do rzeki; skręcił w stronę promu, którego bez niego nie znaleźlibyśmy tak szybko. Po drugiej stronie rzeki rozstaliś-my się po krótkim pożegnaniu.

Nie zamierzałem bynajmniej pozostawać w Lebnicy. Drogę tuta~ wybrałem dlatego, żeby wprowadzić w błąd naszych przeciwników i ominąć Petridasz. Z Petridasz droga wied~zie pr~zez cały czas wzdłuż Strumnicy aż do Ostromczy. Tam znajdowała się ruina, gdzie miał czekać Manach el Barsza. Zamierzałem dotrzeć do tej drogi jeszcze w nocy. Dlatego od razu pojechaliśmy dalej, w kie-runku Derbend, które leży na południowy zachód od Lebnicy. Wkrótce jednak zauważyłem, że Rih ma trudności w chodze-niu. Czyżby wbicie szpilki pociągnęło za sobą przykre następstwa? Gdyby szlachetny wierzchowiec zachorował, miałbym związane ręce. Musiałem go oszczędzać i robić mu okłady. Dlatego nawet się ucieszyłem, spostrzegłszy po jakimś czasie w pewnej odległości od drogi jasny blask bijący od ognia. Podjechaliśmy do niego. W szczerym polu stała długa, niska drewniana chata, w której wnet rozpoznałem sahan. W owych sahanach szlachtuje się bydło, często w znacznej ilości, i wygatowuje tłuszcz. Turcy nie przepa-dają za mięsem wołowym. Do niedawna jeszcze nie potrafili do-ceniać wartości stad bydła. W tych sahanach gotowano tłuszcz i przewożono go do większych miast. Często przy tej okazji krojano w plastry tylko polędwice, a potem suszone sprzedawano. Przed jedną z owych chat zatrzymaliśmy się więc teraz. Więk-sza jej część przeznaczona była do uboju i gotowania tłuszczu, mniejsza wydawała się służyć rzeźnikom za pomieszczenie miesz-kałne. W pierwszej części znajdowało się kilka szerokich drzwi, które stały otworem. W środku paliło się parę ognisk, a nad nimi wisały olbrzymie kotły. Obok siedzieli rzeźnicy - dzikie, brudne, ociekające tłuszczem postacie. Ogniska oświetlały także duży szmat pola i ukazywały wszystkie przedmioty w zniekształconej postaci. Mężczyźni usłyszeli, jak się zbliżamy, i stanęli w drzwiach. Po-zdrowiliśmy ich, po czym zapytałem, czy moglibyśmy tutaj zna-leźć miejsce do odpoczynku.

Jeden z nich podszedł do mnie, przyjrzał mi się i rzekł ze śmiechem:

- Mącznik, który wylazł ze skrzyni na mąkę! Czy nie ma tu jakiegoś rudzika, który by go zjadł?

Pozostali zawtórowali mu śmiechem i również podeszli. Trudno ~sobie wyobrazić miłsze przyjęcie! Chciałem już w ostrych słowach ~odpowiedzieć, lecz Halef mnie uprzedził:

- Co mówisz, tłusty trznadlu? Zliż sobie z twarzy tłuszcz i le-;piej sobie posmaruj rozum łajem, zanim zaczniesz żartować z in-nych! Piękności ci nie przybywa, kiedy się śmiejesz, gdyż ukazujesz przy tym zęby krokodyla i pysk buldoga, który nażarł się ~hrzanu! Masz może syna?

Nastąpiło to tak szybko i niespodziewanie, wypowiedziane zo-rtało z taką siłą i pewnością siebie, że mężczyzna dał się złapać w pułapkę.

- Tak - adparł zaskoczony.

- Na cóż, w takim razie biedne dziecko jest potomkiem czło-^wieka, który nie ma w głowie mózgu, bo należy do małpiego ludu. Współczuję twojemu małemu!

Dopiero teraz do świadomości rzeźnika dotarło, co mu powie-.dziano. Sięgnął za wełniany strzęp opasujący jego ciało, gdzie trzy-~nał długi nóż rzeźnicki.

- Czy ja dobrze słyszę? - uniósł się gniewem. - Ca ty po-wiedziałeś?

- Widzę, że twój rozum jest za mały, żeby pojąć moje słowa, 'które były przecież bardzo wyraźne. Mam ci może powtórzyć?

- Ha dżudże sefil - nędzny pędraku! Mam ci wpakować w brzuch to ostrze?

Już chciałem wcisnąć się swym koniem pomiędzy niego i Ha-łefa, gdy jeden z jego towarzyszy złapał go za ramię i rzekł szybko:

- Sus, kapczalary war - milcz, oni mają kopcze!

To w jednej chwili sprawiło, że niebezpieczna sytuacja obróciła się na lepsze. Mężczyzna przyjrzał się nam bliżej, po czym rzekł usprawiedliwiając się:

- Af' edersin, górmadin - przepraszam, nie zauważyłem!

- Więc następnym razem otwieraj szerzej swoje nadobne oczę-ta! - powiedział Halef. - Widać przecież na pierwszy rzut oka, że ten efend i, który jest naszym przyjacielem i panem, nosi kopcę i' przywódców. Powitałeś nas obelżywymi słowami. Właściwie po-wi~nienem ci za to tak przyłożyć, żebyś wywinął kozio~łka do ostat-niego kotła z tłuszczem. Ale jestem ł.kawie usposobiony, więc ' ~ci wybaczymy. Dajcie nam miejsce do odpoczynku, paszę dla koni

254 i szczotkę do naszych ubrań, żebyście potem mogli rozróżnić, czy rzeczywiście jesteście mącznikami!

Halef był nieustraszonym człowiekiem. W dodatku miał do te~ pory zawsze szczęście, występując z takim tupetem. A jeśli kiedy-kolwiek wpadał z tego powodu w chwilowe tarapaty, moja inter-wencja za każdym razem wydobywała go z opresji. Dlatego także~ teraz nie okazywał żadnego strachu przed tymi mężczyznami, mi-mo że ich powierzchowność żadną miarą nie mogła budzić zaufa-nia.

Rzeźnik, do którego Halef zaadresował swoją reprimendę, ob-serwował go ze swego rodzaju mrukliwą wyrozumiałością, mniej więcej tak, jak amerykański posokowiec patrzyłby na pieska pokojowego, który na niego szczeka. Z jego twarzy wyraźnie można było wyczytać myśl: Biedny robaczku! Wystarczyłoby jedno kłap-nięcie zębami z mojej strony, a połknąłbym cię i pożarł na jeder~ raz! Ale nie zrobię tego, bo mi cię żal!

Zsiedliśmy z koni i otrzymaliśmy dla naszych wierzchowców mieloną kukurydzę. Dla nas było mięso w dowo~lnej ilości. Naj-pierw zająłem się ogierem i poprosiłem o jakąś starą szmatę, której~ potrzebowałem na mokry okład. Kiedy ją przykładałem karemu .

J ,

eden z rzeźników zapytał mnie, czy koniowi stało się coś w nogę.

- Tak - odpowiedziałem. - Został ukłuty powyżej kopyta.

- I robisz mu tylko okłady z wody? To wprawdzie chłodzi, ale znam lepszy środek.

- Co takiego?

- Jestem znany w całej okolicy jako weterynarz. Znam maść, która usuwa gorączkę i szybko goi wszelkie rany. Jeśli spróbu-jesz tego środka, będziesz chwalił moją sztukę.

- Dobrze, zrobimy próbę.

Nie było to bynajmniej nierozważne z mojej strony. Słyszałem, że w niektórych z tych sahanów przeprowadzano kuracje, których nie musiałby się wstydzić najbardziej doświadczony lekarz. Rów' - nież ja miałem nie pożałować swojego zaufania. Przez trzy dni Rih nosił maść na no~dze i po wbiciu szpilki nie pozostało ani śla-du.

Halef spał razem ze mną na dworze przy naszych koniach, Osko i Omar wybrali zaś nocleg w chacie. Tuż przed świtem zostaliśmy zbudzeni przez poganiaczy, którzy przyprowadzili stado powięza-nych ze sobą bawo~łów, sprzedanych sahanowi wcale nie ~z powodu wieku ani ich nieposkromionego temperamentu. O spaniu nie ma-gło już być mowy, mimo że położyliśmy się zaledwie przed dwie-ma godzinami. Zwierzęta miały być od razu zabite. Chciałem zo-25~ 'baczyć, jaką metodę się wówczas stosuje. Bawołu wiązano dwiema linami za rogi i wyciągano go do góry po grubym słupie. Na po-prze~cznej belce stał tam jeden z rzeźników, który tak długo walił toporerri w czaszkę biednego stworzenia, aż wreszcie zdechło. Ko-nanie było straszne!

Poprosiłem, żeby mi pozwolano zastrzelić przeznaczone na śmierć zwierzęta. Smiano się nie wierząc, że kula może przebić skórę któremuś z tych ogromnych stworzeń o grubych kościach. Dowiodłem rzeźnikom, że jednak może. Pierwszy bawół, którego dosięgnął strzał z rusznicy na niedźwiedzie, stał jeszcze przez chwi-lę bez ruchu z nisko opuszczonym łbem. Nie drgnął mu nawet koniec ogona. Wlepiwszy we mnie oczy, stał na szeroko rozstawio-nych nogach jak posąg z żelaza.

- Dawać topory! Topory i sznury! - krzyknął któryś. - Za-raz się wyrwie!

- Bądźcie spokojni! - powiedziałem. - Nie wyrwie się, tylko runie na ziemię.

I tak się stało. Zupełnie nagle, jakby dopiero w tej chwili tra-fiła go kula, potężny zwierz runął na ziemię i nie poruszył się już. Tak samo poszło z innymi. Rozstrzeliwanie zwierząt nie było

chwalebny zajęciami, ale miałem przynajmniej tę satysfakcję, że nie kończyły swojego żywota w męczarniach.

Dziwiłem się, że nie pytano nas, skąd ani dokąd jedziemy. Może działo się tak dlatego, że nosiłem kopcę przywódcy, i rzeźnicy nie ośmielili się zadawać żadnych pytań. Przed wyruszeniem w drogę zaopatrzyliśmy się w zapas pastyrmy, czyli plastrów suszonej polędwicy bawolej. Mięso to trzyma się bardzo długo, a poza tym jest smaczne i pożywne. Kiedy zapytałem, ile jesteśmy winni, usłyszałem, że nie ma mowy o żadnym płaceniu. Nie przyjęto od nas pieniędzy. Rozstaliśmy się z rzeźnikami wielce zadowoleni, choć powitanie, jakie nam zgotowano, żadną miarą nie było życzliwe. W ciągu godziny dotarliśmy do Derbend, a jeszcze przed południem byliśmy w Jenikój na lewym brzegu Strumnicy. Tutaj zrobiliśmy postój, a następnie pojechaliśmy dalej w kierunku Tekirlik.

Konie były zmęczone - nic dziwnego, jako że od Adrianopola nie zabrały dłuższego odpoczynku. Jechaliśmy zatem w wolnym tempie, mając po lewej stronie rzekę, a po prawej wzniesienia, które przechadziły w płaskowyż Plaszkawicej Planiny. Halef jeździł ze zwieszoną głową. Był w złym humorze, co zdarzało mu się bardzo rzadko i dlatego natychmiast rzuciło mi się w oczy. Za-256 pytałem go o przyczynę, na co odpowiedział mi, że czuje jakiś ból w piersiach.

Jego przyczyny należało pewnie szukać w naszej wczorajszej wyprawie do gołębnika. Może Hadzi, wpadając do izby w dole, przewrócił się nieszczęśliwie. Szczerze się martwiłem o zdrowie przyjaciela i postanowiłem skrócić dzisiejszą jazdę. W Tekirlik zapytałem o han. Wskazano mi pewną chatę, której wygląd był mało zachęcający. Mimo to zatrzymaliśmy się przed nią, zostawiliśmy konie pod opieką Omara i weszliśmy do środka. Tam ukazał się naszym oczom niezbyt przyjemny widok. W małym okopconym pomieszczeniu siedziało kilku mężczyzn. Jeden był właśnie gorliwie zajęty obcinaniem sobie paznokci u nóg przy pomocy sztyletu. Obok niego przykucnął drugi, trzymając w ręku przedmiot, który przed laty był przypuszczalnie szczotką, i pocierał nim część garderoby, nazywaną pewnie tylko przez niego spodniami. Odzienie to tak było zabrudzone, a jego właściciel pracował z takim zacięciem, że otaczała go gęsta chmura kurzu. Naprzeciwko nich trzeci osobnik umieścił między wyciągniętymi przed siebie nogami miskę z mlekiem i wkrawał do niego nożem czosnek. Pod trzecią ścianą siedział czwarty, trzymając na kolanach głowę piątego, którego golił. Owym piątym mężczyzną był brodaty Ar-naut. Jedyne na środku całkowicie namydlonej czaszki nosił kosmyk włosów. Balwierz spokojnie wycierał o ścianę wszystko, co zeskrobał z czaszki Arnauta i stroił w trakcie swojej pracy takie miny, jakich nie widziałem nawet w Stanach Zjednoczonych u mu-rzyńskich balwierzów. A mówi to bardzo wiele, gdyż owi czarni „barbers” słyną ze swoich fantastycznych grymasów. Ujrzawszy nas i odpowiedziawszy na nasze pozdrowienie, panowie ci najpierw bacznie nas zlustrowali. Następnie obcinający paznokcie i czyszczący spodnie wrócili do swoich zajęć. Mężczyzna z miską mleka wykarzystał przerwę, by wsadzić do ust naprawdę niebezpieczną dla życia ilość czosnku.

Balwierz natomiast zerwał się na nogi, uklonił się nisko i rzekł uprzejmie:

- Chosz geIdinis, bendenis elinisi - witajcie, panowie, wasz sługa ściele się do nóg!

Ponieważ nie byliśmy tak brudni jak mężczyzna czyszczący spodnie, balwierz uznał nas pewnie za



dostojnych gości.

- Handzi nerde - gdzie oberżysta? - zapytałem.
- Dyszardadir - na zewnątrz.
- Berber misi.n - jesteś balwierzem?

# 19 w wawozach Batkanów 257

- Hasza; hekimbaszjim - czemu nie; je5tem naczelnym le-karzem!

Powiedział to takim tonem, który nie mógł już być bardziej dumny i pewny siebie, wskazał na Arnauta i dodał z ważną miną:

- Onu hadżamat-da ededzejim - potem postawię mu jesz-cze bańki!

Zanim mogłem mu odpowiedzieć, że informacja ta natychmiast zwiększyła dziesięciokrotnie mój szacunek dla niego, Arnaut dał mu mocnego kopniaka i zawołał:

- Psi synu; kogo masz obsługiwać? Mnie ezy tego tam? ~Iy-ślisz, że mogę leżeć tak długo, jak ci się podoba? Pokażę ci, że mas przed sobą urzędnika padyszacha!

Naczelny lekarz” usiadł szybko z powrotem, ujął namydloną głowę i ko~ntynuował swoje zajęcie.

Właściwie rniałem zamiar od razu zawrócić, lecz wzmianka o „stawianiu baniek” skłoniła mnie do pozostania. Chciałem~n się przekonać, w jaki sposób słynny medyk zabierze się do dzieła. Usiedliśmy zatem, możliwie jak najciaśniej, byle tylko nie stykać się z innymi.

Kiedy wszedł handzi i zapytał a nasze życzenia, kazałem podać rakiję jako jedyną rzecz, na jaką można się było tutaj zdecydo-wać.

Balwierz skończył galenie i wytarł błyszczącą czaszkę swoim kaftanem. Następnie Arnaut obnażył tułów. Tak czy owak był to honor dla nas, że raczył wyjaśnić w formie usprawiedliwienia:

- Cierpię na swędzenie skóry.

W takim wypadku porządne mycie byłoby pewnie pożyteczniej-sze niż stawianie baniek!

Naczelny lekarz” przyniósł jakiś worek i wyciągnął z niego kilka przedmiotów, które uznałem za stare, puste w środku wagi zegarowe. Każda mogła mieć pojemność czterech dziesiątych litra. Do tego doszło narzędzie przypominające kubek w kubek nożyce do czyszczenia świec. Następnie podpalono rakiję i doktor potrzy-mał jeden z ciężarków nad płomieniem. Kiedy pod wpływem ciepła powietrze zostało rozrzedzone, Arnaut musiał się położyć na brzu-chu, i balwierz spróbował mu postawić ogromną bańkę na plecach. Brzeg naczynia był bardzo gorący. Arnaut poczuł ból i wymierzył naczelnemu lekarzowi tak potężny policzek, że ten padł jak długi na ziemię obok hojnego

ofiarodawcy.

- Co ci strzeliło do głowy? - ro~zgniewał się pacjent. - Masz mi postawić bańki, a nie spalić skórę! 258

- Czy to moja wina? - brzmiało usprawiedliwienie. - Bańka musi być gorąca, bo inaczej odpadnie.

Od tej pory jednak balwierz bardziej uważał i udało mu się przylepić dwie bańki. Obrzucił mnie triumfalnym spojrzeniem, lecz wyrwał go z tego zachwyty gniewny okrzyk Arnauta:

- Hekimie, chcesz mnie zgładzić? Kto by wytrzymał takie bóle?

- Zdobądź się tylko na chwilę cierpliwości! Swędzą cię jeszeze pl~y?

- Nie. To mnie pali, kłuje i gryzie!

- Widzisz, przyniosłem ci ulgę! Swędzenie ustało. Teraz we-źmiemy osełkę.

Wyciągnął z worka długi kawałek żelaza i zaczął ostrzyć to, co uznałem za nożyce do czyszczenia ś~wiec. Robił to z tak przedsię-biorczą miną, jakby chodziło o wbicie kordelasa krokodylowi. Sprawdził ostrość instrumentu na jednej z belek ściany, po czym uklęknął obok swej ofiary, W tym czasie bańki ostygły i dlatego odpadły od ciała, pozostawiając dwa okrągłe czerwone obrzmienia.

Medyk wykonał nacięcie i zaczął liczyć:

- Bir... iki,.. ucz... - raz... dwa... trzy! Allah, Allah! Co robis~z?

Czy to podziękowanie za to, że ci przywracam zdrowie? W chwili, kiedy ostrze zagłębiło się w plecach Arnauta, lekarz otrzymał drugi policzek. Pacjent zerwał się na równe nogi i zła-pał uzdrowiciela za kołnierz.

- Psi synu, prawie mnie zakłułeś na śmierć! - ryknął. - Jak możesz tak bez miary przelewać krew sługi sułtana? Mam cię na-dziać na pal czy udusić?

Ja także wstałem z miejsca, ale bynajmniej nie z powodu tego zajścia, które nie obchodziło mnie ani trochę, lecz z innej przy-czyny. Mężczyzna, który obrzynał paznokcie u nóg, właśnie skoń-czył to zajęcie i rozpoczął inne, niestety wcale nie milsze~ dla oka. Zdjął bowiem jasną chustę, no5zoną na głowie na podobieństwo turbanu, i rozpostarł ją przed sobą, następnie wyciągnął z za pasa wycięty z

drewna grubym grzebieniem i oddał się bez żadnego skrępowania zajęciu, które zalecać mieszkańcom Wschodu nigdy wprawdzie nie byłoby za często, byle nie robili tego w miejscu publicznym i w dodatku tak bezceremonialnie. Nie był mahometaninem, gdyż nosił pełne włosy - i to jakie włosy! I tenże kołtun przeczesywał z takim rozmachem - ale dość już o tym!

Kiedy zabieg lekarski zdawał się już zmierzać do tak ciekawego zakończenia, nie chciał sobie odmówić tego subtelного widowiska.

Podniósł się zatem i po prostu wytrzepał chustę, i to akurat w tym kierunku, gdzieśmy siedzieli.

W następnej chwili znalazłem się na zewnątrz, moi towarzysze zresztą też. Śmiejąc się Halef powiedział:

- Wybacz mu, sihdi! Nie mógł już dłużej wytrzymać!

Oberżysta otrzymał zapłatę, i opuściliśmy to miejsce, znaczące tylko dla zbieraczy insektów. Drugi han, jeśli nawet był tutaj, nie okazałby się zapewne bardziej zachęcający, dlatego też moi towarzysze zgodzili się ze mną, gdy zaproponowałem, żeby raczej spędzić noc pod gołym niebem niż w takim jak ten domu. Gdzieś poza miejscowością dogoniliśmy biednie odzianęgi męż-czyżnę krocącego obok dwukołowego wózka, który ciągnął mały, chudy osioł. Pozdrowiłem mężczyznę i zapytałem go, jak daleko ; jeszcze do Radowej i czy po drodze jest może jakiś dom zajezdny:

Jechać musimy godzinę, tak brzmiała odpowiedź, a hanu po drodze nie ma. Nawiązaliśmy rozmowę, w trakcie której za~howywał wiel'~ką skromność. Wyglądało na to, że niełatwo mu pr~yszło zdobyć ~ę ~ p~~e:

- Zamierzasz zatrzymać się w Radowej, efendi?

- Może nawet już wcześniej.

- W takim razie musiałbyś nocować pod gołym niebem!

- Nie szkodzi. Niebo jest najlepszym dachem.

- Masz rację. Gdybym nie był biedny i nie był chrześcijaninem, zaproponowałbym ci gościnę pod moim dachem.

- Gdzie mieszkasz?

- Bardzo niedaleka stąd. O parę minut drogi w górę potoku stoi moja chata.

- A kim jesteś z zawodu?

- Jestem kerpiszczci Jowo ř~.

- Właśnie dlatego, że jesteś biedny i jesteś chrześcijaninem, zatrzymam się u ciebie. Ja też jestem chrześcijaninem. ~ Ty, efendi? - zapytał równie zaskoczony, co uradowany: - Uważałem cię za muzułmanina.

- Dlaczego?
- Wszyscy chrześcijanie tutaj są biedni.
- Ja też nie jestem bogaty. Nie musisz się o nic troszczyć.

Mięso mamy swoje: Poprosimy cię tylko o wrzątek na kawę. Masz rodzinę?

- Tak, żonę. Miałem też córkę, ale umarła.

‘~ cegielnik Jan

260

Jego twarz przybrała przy tym wyraz takiej zgryzoty, że nie pytałem dalej.

Mogłoby się wydawać, że postępowaliśmy niesłusznie, zwalając się na głowę biedakowi, lecz przekonałem się już nieraz, że akurat ludzie ubodzy dumni są i szczęśliwi, mogąc gościć u siebie osoby lepiej sytuowane. Człowiek ten był bardzo biedny.: Widać to było po jego adzieniu, które składało się tylko z płóciennej bluzy i płóciennych spodni.

Już po krótkim czasie dotarliśmy do potoku, który wpadał do Strumnicy, i podążając jego doliną w górę strumienia, dojechaliśmy do chaty stojącej obok głębokiej glinianki. Chałupa miała tylko drzwi i jeden otwór okienny, ale za to prawdziwy komin, Obok drzwi znajdowała się ławka z cegieł. Za domkiem mieścił się mały ogródek warzywny, do którego przylegał młodziutki sad. Wszystko to robiło sympatyczne wrażenie. Z boku leżały poukładane warstwami na przemian długie rzędy cegieł; żeby schły na powietrzu, a z glinianki wyszła właśnie żona cegielnika. Usłyszała, że ktoś się zbliża, wydawała się jednak przerażona obecnością obcych ludzi.

- Podejdz, Stasa’~! - powiedział jej mąż. - Ci efendi zostaną dzisiaj u nas na noc.
- O nieba! Żartujesz! - wykrzyknęła.
- Nie, nie żartuję. Ten efendi jest chrześcijaninem. Zapewne chętnie go powitasz. Wtedy jej twarz rozpogodziła się.
- Efendi, pozwól, że się umyję! - rzekła Stasa. - Pracowałam właśnie w glinianie.

Kobieta podeszła do potoku, umyła sobie ręce, wytarła je w fartuch i powitała mnie mówiąc:

- Nigdy jeszcze nie widźzeliśmy u siebie tak dostojnych gości.

Jesteśmy tacy biedni; i nie wiem, czym znołabym was poczęsto-wać.

- Mamy wszystko, czego potrzebujemy - uspokołem Stasę.

- Pojechalibyśmy dalej, ale usłyszałem, że jesteście chrześcijana-mi i postanowiłem, że zatrzymamy się u was.

- Wejdźcie więc do naszej chaty! Wiemy, jaki zaszczyt dzi= siaj nas spotyka.

Brzmiało to szczerze, serdecznie i zachęcająco. Również kobieta

odziana była biednie, ale czysto pomimo brudnej pracy; jaką wy-

konywała. Spodnie, kaftan i fartuch, wielokrotnie podarte; były

~ Anastazja

261

stara~nie połatane. Na taką schludność patrzy się z przyjemnością. Twarze obydwójga były szczupłe, a ich rysy świadczyły o ducho-wym cierpieniu. Z miejsca poczułem do nich sympatię. Przez drzwi wchodziło się do małego pomieszczenia, które słu-żyło do przechowywania narzędzi, jak również jako stajnia osła. Stamtąd na lewo przechodziło się przez drugie drzwi do izby miesz-kalnej.

Stał tam prawdziwy piec zbudowany z cegieł. Poza tym był stół, ława i kilka taboretów, wszystko wykonane własnoręcznie przez ; mężczyznę i lśniące czystością. Na kilku półkach przy ścianie stały rozmaite naczynia. W tylnym kącie izby dostrzegłem łóżko obra-mowane żywicznymi, sięgającymi do samego sufitu gałęźmi, a obok urządzona niszę z obrazem świętego Bazylego, przed którym umieszczona była płonąca lampka. Wszystko było skromne, ale przy-tulne.

Stasa z zażenowaniem spojrziała na męża pytającym wzrokiem. Ten dał jej jakiś znak. W czasie gdy rozgaszczaliśmy się w izbie, podszedłem do okna ż ujrzałem, że kobieta z motyką w ręku idzie na ukos przez potok, co ułatwiały jej leżące na dnje kamienie, a następnie zaczyna kopać po drugiej stronie w pobliżu kępy za-rośli. Natychmiast domyśliłem się, o co chodzi. W owych akolicach i jeszcze dalej w głąb Grecji istnieje w chrze-ścijańskich kręgach zwyczaj zakopywania szczelnie zamkniętych dzbanów lub innych naczyń z winem w tym celu, by je odkopać dopiero na wesele córki. Wino osiąga wtedy rzadko spotykaną ja= kość. Bogate wesela bywają bardzo huczne, gdyż trzeba wypić wszystka do ostatniej kropli.

- Nie wyciągaj go! - rzekłem do Jowa. - Wolę się napić wo-dy, a dwaj moi towarzysze są

muzułmanami i nie wolno im pić wina. Nie wyciągaj zatem wina z ziemi!

- Skąd wiesz, że zakopałem wino, a teraz kazałem je przy-nieść?

- Domyśliłem się tego, Jowo.

- Mam tylko jeden mały dzban. Maja córka dostała go w pre-zencie od młodzieńca, który potem został jej narzeczonym. Zako-paliśmy wino, by na weselu mieć czym spełnić toast. Teraz jednak, kiedy ona nie żyje, chciałbym was nim poczęstować.

- Nie zgadzam się na to. Gdybym je pił, serce by mnie bolało.

- Efendi, proszę, przyjmij je! Dajemy je ze szczerą chęcią!

- Wiem o tym. Dar biednego człowieka ma stokrotną wartość.

Jest tak, jakbym je wypił.

Wyszedłem na dwór i przywołałem z powrotem kobietę, która 262 z wielkimi aporami posłuchała mojego wezwania. Poprosiłem ją, żeby zgotowała wady. W tym czasie zaprowad~ziliśmy kanie na porośniętą soczystą trawą kawałek łąki i spętaliśmy im przednie nogi. Potem dałem kobiecie kawę do zmielenia. Zauważyłem przy tym, że oczy jej radośnie rozbliły. Kto wie, ad jak dawna ci biedni ludzie nie mieli już naprawdę smacznej kawy! Kiedy napój był gatowy i wypełnił swoim aromatem całą izbę, wybawiliśmy naszych gospodarzy z kłopotu, wyciągając własne kubki. Następnie przyszła kolej na nasze zapasy mięsa. Kiedy wy-piliśmy kawę, zrobiła się już noc, a tu pieczeń zachęcała do jedze-nia.

Obydwoje mieli usiąść razem z nami da stołu, ale w żaden spo-sób nie dali się do tego nakłonić. Nie wzięli nawet kawałeczka mięsa.

- Wybacz, panie! - rzekł Jowa. - Nie wolno nam dzisiaj jeść:

- Dlaczego? Dziś nie ma żadnego postu.

- W poniedziałki, środy i piątki nie jadamy.

- Wiem, że mnisi u was poszczą w te trzy dni. Wy jednak jesteście przecież ludźmi świeckimi!

- Mimo to pościmy. Podjęliśmy takie postanowienie.

- Z racji jakiegoś ślubowania?

- Nie. Nie składaliśmy żadnych ślubów, tak umówiliśmy się między sobą.

- W takim razie dam wam trochę mojej mąki, żebyście sobie coś upiekli!



- Dziękuję ci. My w ogóle nic nie jemy!

- Ale przecież nawet wasi kapłani jedzą w dni postu przynajmniej owoce strączkowe, korzonki i zioła.

- My natomiast nie bierzemy do ust ani kęsa. Nie miej nam tego za złe, efendi!

Biedni ludzie! Oto siedzieli obok siebie na taborecie, z ich chudych twarzy wyzierało cierpienie, i wbrew własnemu przekonaniu nie mogli oderwać oczu od jedzących. Bolało mnie to, i każdy kęs rósł mi w ustach. Wstałem od stołu i wyszedłem. W obliczu jakiejś troski, wobec wyrzeczenia nie umiem pozostać obojętnym, spokojnym widzem.

Szukałem miejsca, gdzie moglibyśmy się rozłożyć na noc, i szybko znalazłem idealnie nadające się do tego celu. Noc była dzisiaj gwiazdzista i bardzo jasna, nie tak ciemna jak w poprzednie dni. Za domem wznosił się porośnięty z rzadka krzewami pagórek, na którym zaczynał się las. U góry, wśród pierwszych drzew, znajdowała się mała polana. Dostrzegłem ją już z dołu zaraz po naszym 263 przybyciu. Teraz udałem się na to miejsce. Porośnięte było miękką trawą, na której z pewnością można było wygodnie leżeć. Pod jednym platanem zauważyłem jakiś ciemny czworokątny kształt. Podeszedłem bliżej. To był grób. W głowach grobu umocowano na pniu drzewa krzyż. Czyżby miało to jakiś związek z widoczną zaobłą naszych gospodarzy? Z ich postem? - Na pewno. Zaintrygowało mnie to jeszcze bardziej, postanowiłem jednak o nic nie pytać: Niedobrze jest powiększać krwawiące rany, a za-bliźnione rozdrapywać. Zstąpiłem z pagórka i w pobliżu domu natknąłem się na cegielnika, który zapewne wyszedł mnie poszukać.

- Efendi, opuściłeś nas - rzekł Jowo. - Czy to ze złości na mnie?

- Nie. Dlaczego miałbym się na ciebie złościć?

- Bo nie przyjąłem twoich darów. - Wracasz z góry. Odkryłeś grób?

- Tak.

- To grób mojej córki. Chciałbym cię zapytać o coś bardzo ważnego. Czy mogę?

- Tak. Mam czas.

- Proszę, chodźmy tam, gdzie stoją konie: Nie chcę; by ktoś inny słyszał, co powiem.

Przeszliśmy na łąkę i tam usiedliśmy obok siebie na trawie. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim Jowo przemówił. Niełatwo mu było znaleźć stosowny początek. W końcu powiedział:

- Kiedy wyszedłeś, rozmawialiśmy o tobie. Usłyszałem, że jesteś pisarzem i piszesz książki, i posiadasz wszelką wiedzę, jaka tylko istnieje, i potrafisz odpowiedzieć na każde pytanie. A

więc ten trzpiot, mały Hadzi, znów zaczął się przechwalać! Wiadomo, w im jaśniejszych barwach mnie przedstawiał, tym więc-ciej światła mogło zarazem padać na niego. Dlatego zaopanowałem:

- To nieprawda. Jest tylko jedna mądrość, którą starałem się zdobyć. Zawarta jest ona w przykazaniu Pisma Świętego: Dążcie najpierw do królestwa niebieskiego, wszystko inne przyjdzie do ; was wtedy samo.

- Co do tego masz rację. Znasz Pismo Święte i je~go nauki?

- Badałem je, gdyż w nim są słowa życia wiecznego. Ale duch ludzki jest zbyt słaby, by ogarnąć boskie światło. Często całymi tygodniami zastanawiałem się nad jednym sławem z Biblii, uznając w końcu, że postępuję zuchwale. A potem czytałem sercem i znajdowałem o~d razu właściwy sens.

- Sercem? Czy można też czytać sercem? Czy znalazłeś, co Bi-blia mówi o śmierci i o życiu wiecznym? 264

- Tak - powiedziałem z naciskiem.

- Czy wierzysz w życie po śmierci?

- Gdybym nie miał tej wiary, byłoby lepiej; gdybym nie zo-stał stworzony. Już sama wiara w zbawienie wieczne jest począt-kiem zbawienia.

- Zatem dusza żyje dalej po śmierci?

- Z całą pewnością.

- I istnieje czyściec?

- Owszem - odrzekłem.

- My nie wierzymy w czyściec. Czy istnieją duchy?

- Nie.

- Och, czyż można w to nie wierzyć! Są dusze; które nie mogą zaznać spokoju i wracają jako duchy. Wiem o tym. Dlatego jestem taki nieszczęśliwy i poszczę razem z mą niewiastą. Sądzymy, że może dzięki temu będziemy mogli ją zbawić.

- Ją? Kogo?

- Tę, na której grobie byłeś. Moją córkę - wyznał Jowo.

- Czyżbyś chciał powiedzieć, że straszy jako duch?

- Tak.

= Nieszczęsny! Kto był aż tak złośliwy; że wmówił ojcu, iż jego córka straszy jako duch? .

- Wiem o tym dokładnie - zapewnił kerpiszezi..

- Czyżbyś ją już widział?

- Ja nie, ale inni.

- Nie wierz im!

- I słyszałem ją.

- Jesteś szalony! A ukazując się jaką przybiera postać?’

- Ukazywała się jako nietoperz - odpowiedział cicho Jowo; przystawiając usta do mojego ucha.

- Nie powinno się o tym mówić, przynajmniej na głos. Zamartwiam się na śmierć. Usłyszawszy, że jesteś wielkim uczonym, pomyślałem, że mógłbyś mi podać jakiś sposób, jak zapewnić spokój mojej córce.

- Laden uczony nie zna takiego sposobu, jaki masz na myśli.

Ale wystarczy, że będziesz wierzył mocno, że nie ma duchów, a od razu uwolnisz się od swojej zgryzoty!

- Nie mogę tego uczynić, gdyż słyszę przecież tego ducha! I to zawsze akurat w godzinie jej śmierci.

- O jakiej porze?

- Na dwie godziny przed północą. Wtedy to nadlatuje ze świstem i stuka w naszą okiennicę.

- Jako nietoperz? I wtedy stuka?

- Tego nie wiem. Do tej pory tylko ją słyszałem. Ale inni wi-

265 dzieli ją jako nietoperza, a teraz jej narzeczonemu leży śmiertelnie chory i musi umrzeć.

Coś mi nagle zaświtało.

- Czy sądzisz, że twoje dziecko może być wampirem? - spyta-łem.
- Tak, jest nim przecież!
- Baże! To stokroć gorsze niż myślałem!
- Prawda? Jeszcze teraz umieram ze zmartwienia! - jęknął ojciec.
- Tak, umieraj ze zmartwienia! Tyle że ze zmartwienia, któ-rego źródłem jest głupota! Zrozumiano?

To były twarde słowa. Ale nie każde lekarstwo ma słodki smak. Jowo siedział obok mnie i płakał. Najserdeczniej mu współczu-łem. Wiara w zabobony w tych okolicach jest tak głęboko zakorze-niana, że trzeba użyć radykalnych środków, jeśli chce się ją zwal-czyć. Ja natomiast zamierzałem tutaj pozostać jedynie kilka go-dzin, nie miałem zatem czasu na długie wywody.

- Efendi, oczekiwałem od ciebie paciechy - rzekł cegielnik stroskanym głosem - a nie takiego szyderstwa!
- Nie szydę z ciebie, lecz jestem oburzony na twoją ślepą wiarę w duchy. Idź do swojego popa i zapytaj go! On ci wyjaśni, jakim grzechem jest wierzyć, że twoja córka jest wampirem.
- Byłem już u niego!
- No, i co ci powiedział?
- To samo, co powiedział Wlastanowi, który też był u niego.
- Kto to jest Wlastan?
- Wcześniej mój najlepszy przyjaciel, a teraz mój najgorszy wróg. Jego syn był narzeczoną mojej córki. Teraz ona wstaje z grobu i wysysa krew z jego ciała, przez co on marnieje coraz bardziej i musi umrzeć.
- Hm! Więc Wlastan był u popa? I co mu pop powiedział?
- Przyznał, że moja córka jest wampirem.
- Niemażliwe! Czyżby umarła bez spowiedzi i rozgrzeszenia?

Powiada się, że tak jest z wszystkimi wampirami.

- Niestety tak właśnie było. Pop mieszka daleko stąd i nie mógł przyjść. A w Tekirlik nie

mogłem zwłok pogrzebać - z po-wodu ospy.

- Czy twoja córka umarła na tę chorobę?

- Tak. Wielu ludzi cierpiało wtedy na ospę. I moja córka była chora. Bolała ją głowa i nie mogła jeść. Poszła do Wlastana, żeby pielęgnować jego żanę, swoją przyszłą teściową, która chorowała na ospę. Wkrótce potem moja córka wróciła do domu. Miała go-

266 rączkę. Musiało jej się coś przytrafić, bo była taka przerażana. Nie mogłem jednak po~znać przyczyny jej strachu. Mając pow-tarzała tylko bez przerwy, że jej narzeczony, syn Wlastana, musi umrzeć. Potem także na jej ciele wyskoczyły krosty i umarła. A teraz moje dziecko jest wampirem i zabierze swego narzeczono-nego do siebie, jeśli nie zastosuje się środka zalecanego~ przez popa.

- Co to za środek? - dociekałem dalej.

- Trzeba otworzyć jej grób i wbić jej w serce ostry, poświęcony kołek, posmarowany tłuszczem świni zabitej na osiem dni przed Bożym Narodzeniem.

- Straszne, straszne! I wierzysz, że ten środek pomoże?

- Tak. Ale nie zgodzę się na to. Niech pop przychodzi i czuwa przy chorym, wtedy duch nie będzie miał do~ niego przystępu. Je-żeli potrwa to dwanaście nocy, wampir już nie wróci, i dusza mojej córki zostanie zbawiona. Natomiast jeśli przebije się zwłoki w gro=bie kołkiem, dusza zmarłej dostanie się diabłu. Podobno taki wam-pir, kiedy ma być przebity kołkiem, przeraźliwie krzyczy i obie-cuje wszystko na świecie. Dzieje się to zawsze około północy. Ciało wampira bawiem nigdy nie gnije. Leży w grobie, takie ciepłe i różowe, jakby jeszcze żyło. A ponieważ nie pozwałam otworzyć grobu swojej córki, Wlastan został moim śmiertelnym wrogiem.

-- Kim jest z zawodu ten człowiek? - zapytałem.

- Wlastan wypala dachówki, gdy ja tymczasem wyrabiam tyl-ko surowe cegły. Obydwaj pochodzimy z okolicy Drenowej i przy-byliśmy tutaj, żeby dzierżawić gliniarki. On był zamażny, a ja jestem biedny, ale r~ie wynosił się nade mnie, i jego syn miał ~ostać moim zięciem. Teraz to wszystko się skończyło.

- Czy Wlastan mieszka daleko stąd?

- Kwadrans drogi w górę strumienia.

- Jutro rano ga odwiedzę i powiem mu, co o tym sądzę. Oby-dwaj jesteście niewiarygodnie głupi!

- W takim razie pop też byłby głupi? - pawątpiewał w dal-szym ciągu Jowo.

- Może nawet bardziej niż głupi. Ale powiedz mi: nie wyszedłeś nawet raz z domu, żeby zobaczyć wampira?
- Nie. Jak mógłbym to uczynić! Kto spojrzy na wampira, tego czeka śmierć.
- No cóż, w takim razie chciałbym, żeby przyszedł dzisiaj!
- Dziś jest sobota i właśnie w soboty przychodził najczęściej.
- Świetnie! Zapytam wampira, dlaczego nie daje ci spać.
- Efendi, to szaleństwo! Musiałbym wtedy pogrzebać jeszcze jedne zwłoki. 26?

,, ...:

- Możliwe.
- Twoje zwłoki!
- Nie sądzę! Zakończmy już jednak naszą rozmowę. Słyszę głosy moich towarzyszy. Zjedli posiłek i szukają mnie.
- Ale niczego izn nie powiesz?
- Opowiem tylko małemu Hadziemmu, gdyż on pomoże mi wyleczyć wampira.
- Efendi, bardzo cię proszę, nie bądź lekkomyślny! Nierozważnie poświęcasz życie!
- Przeciwnie, będę postępował bardzo rozsądnie. Już od wielu lat pragnąłem spotkać ducha i bardzo bym się cieszył, gdyby życzenie to spełniło się dzisiaj.
- Widzę, że nie znasz strachu, i domyślam się, dlaczego. Czy zechciałbyś łaskawie pokazać mi tę czarodziejską moc, jaką posiadasz?
- Chętnie. Oto ona.

Podsunałem Jowo pod nos zaciśniętą pięść.

- Otwórz dłoń, żebym ją zobaczył!

‘ - Więc patrz! W mojej dłoni nic nie ma. To pięść jest tym ta-lizmanem. To miałem na myśli.

Nie rozmawialiśmy dalej, gdyż spotkaliśmy innych. Przed do~ mem odbyliśmy jeszcze krótką rozmowę, w trakcie której dałem kerpiszczemu do skosztowania mojego tytoniu, a następnie jema i jego żonie powiedzieliśmy dobranoc. Obydwoje byli niemało zdi~vieni, usłyszawszy, że zamierzamy się ułożyć do snu na pagórku abok grobu. Sprzeciwiali się najusilniej, ale nic nie wskórali. Tam gdzie zmęczona ludzka istota zasnęła snem wiecznym, można spo~kojnie przespać krótką noc.

Osko i Omar wspięli się na pagórek. Natomiast ja z Halefem zostaliśmy jeszcze pod pretekstem, że chcemy zajrzeć do koni.

- Sihdi, masz jakieś sekretne plany, o których ci dwaj nie po~winni wiedzieć? - zagadnął mały czławiek.

- Owszem. Halefie, czy widziałeś już ducha?

,.....

- Podobno są różne dżinny, na pustyni i w lasach, w górach i w dolinach, ale niestety żadnego jeszcze nie widziałem.

- Może znalazłby się jakiś, którego mógłbyś zobaczyć.

‘ - Gdzie? - zapytał Halef z ożywieniem.

- Tutaj. Wiezorami przylatuje duch i stuka u Jowo w okien-i~,... nice. j;v - Maszallah! Sądzisz, że dzisiaj też przyjdzie?

268

. - Nie wiem, ale chciałbym tego.

- Ja też. Moglibyśmy zapytać tego ducha, czy rna przy sobie jakiś paszport sułtana. Spróbujemy?

- Owszem. Za pół godziny nastanie pora, o której zwykle przy~chodzi. Jeśli się nie zjawi, stracimy tylko parę minut.

- Gdzie będziemy na niego czekać, sihdi?

- Tutaj nad strumieniem, za krzakami! Tam będziemy leżeć wygodnie w trawie i mieć dom tak blisko, że w razie potrzeby dotrzemy do niego w trzech susach. Zaczekamy, aż duch będzie

chciał zniknąć i wtedy złapiemy go z dwóch stron.

- Użyjemy broni, jeżeli będzie się opierał?

- Postaramy się tego uniknąć. We dwóch zdołamy chyba po-chwycić ducha!

- Jak najbardziej! Właściwie wcale cię da tego nie potrzebuję.

Jestem twoim przyjacielem i opiekunem. Tymczasem mógłbyś spokojnie sobie spać.

To mówiąc wczuł się za jeden krzak, a ja kawałek od niego położyłem się za drugim. Byłem przekonany, że wampir nie przyjdzie. Dlatego też nie myślałem wcale o zachowaniu należytej ostrożności i zapytałem z odległości kilku metrów Hadziego o jego bóle w klatce piersiowej i poprosiłem go, żeby się oszczędzał, gdyby doszło do walki wręcz.

- Bądźże cicho, sihdi! - odparł. - Kto chce schwytać dzin-na, ten nie powinien ostrzegać go głośnym gadaniem. Tym razem ty musisz się czegoś nauczyć ode mnie.

Podporządkowałem się temu rozkazowi, gdyż mój mały przyjaciel miał rację. Skoro już tutaj leżeliśmy, to musieliśmy też traktować sprawę poważnie. A poważna była ona z całą pewnością. Dużo słyszałem i czytałem o wierze w wampiry. Teraz zaś, gdyby się powiodło, można by zajrzeć pod błony lotne takiemu upiornemu krwiopijcy i wyleczyć dwoje zacnych ludzi z ich strachu i zgryzoty. Bez wątplenia miało tutaj miejsce poważne oszustwo. Tak czekaliśmy grubo ponad pół godziny. Już chciałem odejść, gdy coś podkradło się, szybko i zupełnie bezszelestnie, od tej strony, gdzie się znajdowałem. Była to ciemna męska postać, która zwinnymi ruchami prześlizgnęła się pod okiennicę i tam przez chwilę nasłuchiwała. Następnie osobnik wydał świszczący odgłos, jaki słyszałem już kiedyś w Wiedniu na Praterze, gdy w teatrze marionetkowym diabeł porywał doktora Fausta. Wydaje się wówczas głośny gwizd, moduluje dźwięk raz wyżej, raz niżej i do tego zawodzi mocnym głosem. Brzmi to tak, jakby wiatr wył głucho 269 w jakimś ostrym załamaniu skalnym. Potem człowiek pod domem uderzył mocno dwa, trzy razy w okiennicę i chciał już zmykać.

Wtedy jednak rozległ się głos Halefa:

- Stój, obłudniku, teraz cię mamy!

I skoczył na mężczyznę, żeby go ująć. Duch zachował jednak dużą przytomność umysłu. Zadał Hadziemiu cios w twarz i zawołał:

- Eredj a tatarba!



To mówiąc rzucił się do ucieczki.

Gdyby mały Hadzi trzymał język za zębami i nie krzyknął przed czasem, wszystko potoczyłoby się inaczej. Osobnik uciekał w przeciwną w stosunku do mnie stronę, tak że od razu miał przewagę większą niż pół szerokości domu. Mimo to popędziłem za nim, rzucając Halefowi w przelocie karcące, gniewne „Gamoń!”. Nie-ostrożny pomocnik pośpiesznie ruszył za mną.

Uciekający był dobrym biegaczem. W takim wypadku ważne było, żeby od razu w pierwszych sekundach mocno wyciągać nogi. Od Indian nauczyłem się bardziej odbijać się sprężystości od ziemi niż skakać, i szybko zbliżyłem się do ducha na tak niewielką odległość, że wyciągnąłem już rękę, żeby go pochwycić. Lecz również teraz nie opuściła go przytomność umysłu. Gwałtownie uskoczył w bok, zmieniając kierunek biegu, a ja minąłem go, jako że akurat obiema nogami byłem w powietrzu. Naturalnie natychmiast też zwróciłem się w bok. Uciekinier biegł na ukos na drugą stronę potoku i prawie już dotarł na przeciwległy brzeg. I~ozpędziłem się więc, by jednym potężnym susem przeskoczyć na drugą stronę. Udało się. Wylądowałem tuż za duchem i jednocześnie wyciągnąłem rękę przed siebie. Złapałem go za pas i wparłem się jedną nogą w ziemię, żeby go przewrócić.

- Az istenert! - wyrwało się mężczyźnie.

Czy tak błyskawicznie rozluźnił pas, czy też ten był już tak „słaby ze starości, w każdym razie trzymałem w ręku strzep i za-taczyłem się do tyłu, a duch wpadł w zarośla, gdzie nie musiałem go już ścigać.

- Masz go? - zapytał za mną Halef, również szykując się do skoku.

- Nie. Ale ciebie zaraz będę miał, i to za uszy! Wczoraj wypadłeś przez sufit z gołębnika, a dzisiaj swoim przedwczesnym krzykiem płoszysz mi tego człowieka!

- Sihdi, to był okrzyk czystego zachwyty! Dżinn naprawdę uciekł tylko ze strachu!

Brzmiało to tak zabawnie, że pomimo złości musiałem się ro-ześmiać.

- Naturalnie, że ze strachu, a nie z odwagi! Teraz możesz go sobie poszukać, jeśli chcesz go zapytać o paszport sułtana!
- O świcie odnajdziemy jego ślady.
- Tak, akurat wtedy, kiedy mu:simy stąd wyruszye.
- Przynajmniej masz coś z niego. Co to jest?
- Jak się wydaje, stara szmata, którą wyrwałem duchowi z pasa.
- Zrozumiałeś, co mówił?
- Tak. To było po węgiersku. Zapytam cegielnika, czy, zna tu-taj kogoś, kto mówi tym językiem.
- W tym strzępie pasa coś jest. Co to?

Coś wyczułem w kawałku szmaty, jakiś okrągły przedmiot z po-dłużnym uchwytem: Wyciągnąłem rzecz na wierzch i cheiałem ją ~ podnieść do góry, żeby lepiej widzieć na tle nieba. Jednak przenikliwy zapach, który uderzył mnie w nos, dowiódł mi nawet bez żadnych oględzin, iż trzymam w ręku starą, przesiąkniętą ty-toniowym sokiem, krótką fajkę.

- Co to jest? - spytał Halef.
- Frankońska fajka.
- Allah! Czy duchy palą tyt~oń?
- Jak widać, niekiedy palą, i to wcale nie najlepszy gatunek.
- Pokaż!

Hadzi wziął fajkę i powąchał.

- A fe! - zawołał. - Ale śrnierdzi!

Halef odchylił ramię, żeby wyrzucić fajkę, lecz przeszkodziłem mu w tym.

- Stój! Co ci strzeliło do głowy? Potrzebuję tej fajki!
- Niech cię Allah strzeże! Chcesz w niej palić tytoń?
- Nie. Posłuży mi ona do wykrycia, kim był duch.
- Masz rację - przyznał Halef. - Wyrzucając ten mały czu-buk, znów popełniłbym wielkie głupstwo.
- W rzeczy samej - roześmiałem się. - Wracajmy do Jówo!

Zabobonny człowiek usłyszał głośny okrzyk Halefa, słowa ta-jemniczego mężczyzny udającego ducha, a potem nasze kroki. Wy-straszył się śmiertelnie. Kiedy wstąpiliśmy do niego, twarz miał białą jak kreda, a jego żona drżała.

- Widziałeś wampira, efendi? - zapytał, szybko podnosząc się ze swojego miejsca.
- Tak.
- W takim razie będziesz musiał umrzeć. Kto zobaczy wampi-ra, ten nie może pozostać przy życiu. 271
- W takim razie umrę bardzo szybko, bo nie tylko go widzza-łem, lecz także go datknąłem.
- Wielkie nieba!
- Bardzo chętnie bym go złapał, ale niestety mi uciekł.
- Drogą powietrzną?
- Bynajmniej, całkiem normalną drogą, a potem przez stru-mień na drugą stronę. Przy tym wypowiedział nawet kilka słów.
- Jakich?
- Eredj a tatarba oraz az istenert.
- Żaden człowiek tego nie zrozumie. To na pewno język du-chów.
- Skądże znowu! To język Madziarów, o czym wiem dokładnie.

Duch był mocno wystraszony, i dlatego wyrwały mu się te du~a okrzyki po węgiersku. - Czy mieszka może w pobliżu ktoś, kto pochodzi z Węgier?

- Tak.
- Kto to jest?
- Parobek Wlastana.
- Ach tak, to dziwne! Znasz go dobrze?
- Oczywiście.
- Znasz także ten przedmiot?

To mówiąc pokazałem Jowo fajkę.

- Fajka należy do parobka - odpowiedział. - Znam ją . do-brze. Składa się z glinianej główki i cybucha z trzciny. Kiedy trzcina przesiąknięta jest mocno sokiem tytoniowym i parobek nie ma co palić, to odgryza zawsze kawałek trzciny i ją żuje. Powia-da, że to dopiero prawdziwa przyjemność. Jest moim wrogiem, gdyż upatrzył sobie moją córkę i pokazaliśmy mu drzwi. Czy on teraz też był na dworze?
- Nie wiem tego na pewno. Ale sądzę, że wampir już nie wróci.

Jutro rano ci go pokażę. Miałem zamiar wyruszyć stąd o świcie.

Zostanę jednak parę godzin dłużej, żeby pójść z tobą do Wlastana.

#, ...

- Skąd ci to przyszło do głowy, efendi? - zaproponował wy-straszony Jowo. - Wyrzuciłby nas za drzwi!
- Daję ci moje słowo, że Wlastan wprawdzie przyjmie nas nieuprzejmie, lecz potem pożegna się z nami w sposób bardzo uprzejmy. A ty pojednasz się z nim całkowicie.
- Jak zamierzasz tego dokonać? .
- Nad tym się jeszcze zastanowię i dlatego udam się teraz na spoczynek.

Jowo nie chciał się na to zgodzić. Nasza przygoda przed domem stanowiła dla niego zagadkę, a tego, co mu powiedziałem, nie 272 potrafił sobie wytłumaczyć. Poprosił więc o wyjaśnienie. Uznałem jednak, iż będzie lepiej, jeśli każę mu poczekać, aż opierając się na faktach będzie się mógł

przekonać, że duchów i wampirów nie ma. Dlatego nie podejmując żadnych pytań, wyszedłem razem z Halefem na dwór i wspiąłem się na wspomniany pagórek. Osko i Omar spali już w najlepsze. Nie rozmawialiśmy już. Byłem prze-komany, że ów parobek za to, że został adprawiony, wpadł na pomysł, by mści'c się, stwarzając pozory, że córka kerpiszczego jest wampirem. Rano zamierzałem wziąć gagatka w obroty i zmusić go do przyznania się.

Ponieważ Halef i ja byliśmy zmęczeni; zasnęliśmy natychmiast, lecz miałem lekki sen. Przeczuwałem, że coś jeszcze musi się wydarzyć. Czy śniło mi się, czy to była jawa, w każdym razie usłyszałem odgłos, jakby jakiś kamień został wyrwany ze swojego miejsca i staczając się potem w dół stoku przebijał się przez za-rośla. Podniosłem się i zacząłem nasłuchiwać. Tak, rzeczywiście zbliżały się kroki kilku osób.

Szybko obudziłem towarzyszy. Wystarczyło parę wypowiedzia-nych szeptem słów; żeby poinformować ich o sytuacji, i czym prędzej przemknęliśmy za kępę krzaków w kierunku przeciwnym do odgłosu kroków. Le.dwośmy tam przycupnęli, gdy naprzeciwko pojawili się ludzie, którzy tak niemile zakłócili nasz sen. Pod pla-tanem było ciemniej niż pod otwartym, jasnym otl gwiazd niebem, lecz mimo to udało mi się dość wyraź-nie rozpoznać cztery osoby. Idąca na przedzie zdawała się nieść kilka narzędzi, które przed grobem rzuciła na trawę. Dwie osoby za nią prowadziły trzecią, którą następnie ostrożnie posadziły na ziemi: Jedną z tych dwóch osób była kobieta.

- Zaczynamy od razu, panie? - zapytał pierwszy.

- Tak. Musimy się śpieszyć. Północ już blisko: Trzeba sprawić, żeby czarownica nie mogła już powstać z grobu.

- A nam to nie zaszkodzi? - zapytała lękliwie kobieta.

- Nie. Sto razy ci już mówiłem, że spełniamy w ten sposób dobry uczynek. Andras, bierz motykę!

Andras, po niemiecku Andreas, to węgierskie imię. Natychmiast się domyśliłem, kogo mamy przed sobą, a mianowicie starego Wła-stana z żoną, synem i parobkiem.

Nic nie mogło mi być bardziej na rękę. Postanowiłem nie cze-kać, aż posuną się do naruszenia grobu, lecz krótko się z całą spra-wą załatwić. Wystarczyło parę słów skierowanych do towarzyszy. Wskoczyliśmy zza krzaków - poczwórny okrzyk i każdy z nas trzymał za kołnierz jedną z czterech osób, ja parobka.

# 18 w wąwozach Batkanów 273

- Nagy Isten - wielki Boże! - ryknął.

Przewróciłem go na ziemię, wyciągnąłem nóż i przystawiłem mu jego szpic do gardła.

- Oh, en zserencsetlen, vege mindenek - och, ja nieszczęsny, wszystko stracone! - jęknął parobek.

Jest faktem opartym na doświadczeniu, iż każdy człowiek, choć-by władał wieloma językami, w takich chwilach mimo woli posługuje się językiem ojczystym. I podobnie teraz ów Węgier. Nie mogłem mu zostawić czasu na zastanowienie.

- To ty byłeś wampirem! - krzyknąłem na niego.

- Tak - wyjąkał przerażony Andras.

- Z zemsty za to, że córka cegielnika cię nie znosiła? W nocy stukales u Jowo w okiennice i udawales ducha?

- Tak.

To wyznanie było właściwie wystarczające, by przekonać innych. Pamiętałem jednak o tym, że syn Wlastana mizerniał coraz bardziej. Mogło to być wprawdzie skutkiem strachu przed wampirem, ale pytanie samo cisnęło mi się na usta.

- A swemu młodemu panu po kryjomu coś podawales?

- Łaski! - jęknął parobek.

- Co?

- Truciznę na szczury, ale codziennie po trochu.

- Miał więc powoli umierać?

- Tak.

- Dlaczego? Powiedz prawdę, bo inaczej wbiję ci nóż w gardło!

- Għciałem zostać synem - wyjąkał Andras.

Teraz już wszystko było dla mnie jasne. Córka Jowo wróciła do domu taka wystraszona, taka przerażona, i jeszcze przed swoją śmiercią powiedziała, że jej narzeczony umrze, nie wyznała jednak, skąd o tym wie. Zacisnąłem łatrowi jeszcze mocniej rękę na szyi i zapytałem:

- Narzeczona twojego młodego pana przyłapała cię na tym, jak wsypywałeś mu truciznę, a ty groźbami zmusiłeś ją do milczenia?

# Czy to był strach przed moim nożem, czy może Andras sądził

- tutaj w sąsiedztwie grobu i wskutek zamierzonego zbezczeszczenia zwłok - że ma do czynienia z jakąś nadludzką istotą, dość na tym, że się przyznał:
- Zagroziłem, że zabiję też jej rodziców, gdyby jej przyszło do głowy mnie zdradzić.
- To wystarczy. Chodźcie teraz wszyscy do Jowo i Stasy.

Poderwałem parobka na nogi i zmusiłem go, żeby schodził przede mną po stoku. Inni podążyli za nami. Nikt się nie odzywał. Zaćny właściciel chatki jeszcze nie spał. Był niepomiernie zdziwiony, ujrzawszy nas; jak wchodzimy do środka wraz z jego śmiertelnymi wrogami.

- Oto on - powiedziałem, popychając parobka w kąt - oto wampir! Przyjrzyj mu się dokładnie! Żywi się starymi trzcinowymi cybuchami i chce odgrzebywać zwłoki.

Jawa zmierzył nas wszystkich wzrokiem, jednego po drugim. Nie mógł wydobyć z siebie słowa. Włastan odzyskał mowę. Wyciągnął do Jowo ręce w geście prośby i powiedział:

- Wybacz! Zostaliśmy oszukani.
- Skąd się tutaj wzięłeś?
- Chcieliśmy otworzyć grób na pagórku. Mieliśmy ze sobą poświęcony kołek, żeby nim przebić serce twojej córce. Sam nie wiem, jak... jak... - Dłużej nie słuchałem. Nie czułem się upoważniony do narzucania naszej obecności jako świadków oczekiwanego z całą pewnością pojednania i wyszedłem. Halef, Osko i Omar podążyli za mną. Mały Hadzi ezynił najrozmaitsze uwagi na temat zdemaskowanego wampira. Od czasu do czasu słyszeliśmy z izby głosy mówiących, najpierw rozgniewane i groźne - przypuszczalnie wobec parobka - potem jednak uspokoiły się, a wreszcie stały się radosne. W końcu zawołano nas do środka.
- Panie - rzekł kerpiszczki, płacząc z radości - wam to zawdzięczamy! Zdjęliście z nas hańbę i zgryzotę. Jak mogę się wam za to odpłacić?

Również jego żona dziękowała nam ze szlochaniem. Powiedziałem jednak:

- Tylko sobie samym zawdzięczacie tę radość. Pomimo swego ubóstwa przyjęliście gościnnie



obcych ludzi. Teraz otrzymujecie nagrodę. Nie musicie już pościć, zamartwiając się z powodu nie-dorzecznego pomówienia, którym zatruwano wam życie. Gdybyś nie poskarżył się na swaje cierpienie, pomoc pewnie nie przyszłaby tak szybko.

- Tak, widzę, że jesteś biegły we wszelkich naukach. Znasz się też na truciznach?

Spojrzałem na syna Wlastana, który siedział blady, z zapadniętymi policzkami. Jego oczy jednak błyszczały teraz równocześnie radością i nadzieją.

- Na truciznach, ich działaniu i odtrutkach znam się tyle, że mogę was zapewnić, iż ten młody człowiek wkrótce wyzdrowieje, jeśli zwróćcie się do prawdziwego lekarza, a nie do jakiegoś szarlatana. Natomiast tego osobnika; który tam siedzi w łańcuchach, prze-każcie sędziemu! Niech Andras poniesie zasłużoną karę, Maja opinia wzbudziła wielką radość, również w chorym, lub raczej podziałała już na niego wzmacniająco, gdyż całkiem żwawo podszedł do mnie i podziękował mi.

Wlastan bez słowa wziął jakiegoś sznur, związał parobkowi ręce i wyprowadził go. Gestem wezwał żonę, żeby poszła za nim. Kiedy wrócili mniej więcej pół godziny później, kobieta niosła wielki kosz napełniony żywnością. Wlastan natomiast wtaszczył przez drzwi potężny dzban.

- Efendi - powiedział - wiem, że z powodu jego ubóstwa nie chciałeś pić weselnego wina mojego ubogiego wroga, który odtąd na zawsze będzie moim przyjacielem. Ja jednak jestem bogaty. I ode mnie mażecie wypić to wino, które właśnie wykopałem specjalnie dla was.

- Dobrze, niech tak będzie. Ale jeśli ma nam smakować, musisz nam obiecać, że będąc bogatym zajmiesz się swym biednym przyjacielem, żeby nie musiał jak dotąd pracować ponad siły, chcąc się utrzymać przy życiu.

- Z radością to abiecuję! Ilekroć będziemy razem siedzieć przy stole, radośnie będziemy wspominać was i ten wieczór. Następnie zaczęła się uczta radaści. Moi muzulmańscy towarzysze widzieli, jak bardzo smakuje nam stare wino. Halefowi i Omarowi ślina wręcz napływała do ust. Nagle Halef szepnął do mnie:

- Sihdi, ono jest takie czerwone i gęste i było zakopane w ziemi. Wydaje mi się, że to już nie jest wino.

- Więc co?

- Teraz to już jest krew ziemi. A krew chyba wolna pić?

- Z pewnością - uśmiechnąłem się.

- Pozwól zatem, że też sobie nalejemy. Chcemy się cieszyć jak wy. I nalał sobie - wiele, wiele

razy.

Może należy jeszcze tylko wspomnieć, że o śnie nie była mowy. A kiedy rano skręciliśmy znów na gościniec i zostawiliśmy za sobą dolinę, mały Hadzi oznajmił:

- Gdy wrócę do Hanneh, najpiękniejszej z wszystkich pięknych kobiet, nauczę ją robić z wina krew ziemi, gdyż kropla tego napoju koi wszelkie zmartwienia tego świata. Allah jest wielki, a Muhammad jest jego prorokiem!

## XIV. W HANIE W DABILA

Kraje znajdujące się pod berłem sułtańskim należą do tych rejonów, gdzie podróżny ku swemu ubolewaniu, a często ze szkodą dla siebie przekonuje się, że mapy, którymi z konieczności musi się posługiwać, nie zgadzają się z rzeczywistością. Nawet człowiek biegle czytający mapy wpada często w niemałe tarapaty, kiedy popełni ten błąd, że zaufa sprzecznemu z prawdą rysunkowi. Na przykład na wielu mapach narysowano podwójną linię, która prowadzi ze starego, słynnego rniasta Seres w kierunku pół-nocnym do Demir Hissar i Petridasz, a stamtąd przez Ostromczę oraz Isztib do Ktiprulu i ~I?skub. Z owej podwójnej linii wynika, że istnieje tam dobrze utrzymany, szeroki gościniec, a nawet trakt wojskowy - a jak wygląda to w rzeczywistości!

Drogi w naszym pojęciu nie ma nawet śladu: Kiedy z bocznej doliny wjechaliśmy w dolinę Strumnicy, wiedziałem, że według ~nap powinna się ciągnąć wzdłuż brzegu rzeki solidna droga bita. Natomiast to, co znaleźliśmy, w żadnym wypadku nie dało się porównać z niemiecką polną drogą. Drogi, którymi nasi chłopcy jeżdżą na swoje pola, są solidniejsze i lepiej utrzymane niż ten trakt wojskowy. Z miejsca, gdzie skręciliśmy na tak zwany trakt wojskowy, trzeba było jechać około czterech godzin, by dotrzeć do Ostromczy, jeśli się chciało oszczędzać zwierzęta. Miejscowość ta była naszym dzisiejszym celem podróży.

Swego czasu miałem w ręku stare geograficzne dzieło na temat Turcji. Dedykowane ono było Jego Królewskiej Wysokości Karolowi, księciu prymasowi Związku Reńskiego, wielkiemu księciu Frankfurtu, arcybiskupowi Ratzbony itd., „wspaniałomyślnemu niemieckiemu księciu, znawcy i przyjacielowi wszelkich nauk oraz wielkodusznemu opiekunowi uczonych”. Kiedy teraz zmierzaliśmy do Ostromczy, przypomniałem sobie, iż według wspomnianego dzieła miejscowość ta powinna leżeć na skraju wzgórza, na którego grzbiecie miał stać stary, zrujnowany zamek. W sąsiedztwie odbywały się wcześniej słynne jarmarki, a u stóp góry miały się znajdować gorące źródła. Ale kto by wierzył panoramie europejskiej Turcji, która ujrzała światło dzienne w roku 1812! Z nowszych zapisków było mi rzeczą znaną, że miasto liczy ponoć około siedmiu lub ośmiu tysięcy mieszkańców, przeważnie Turków i Bułgarów, którzy uprawiają duży tytoniu i bawełny. Byłem ciekaw, jak się będzie prezentować to miasto.

Niestety Halef w dalszym ciągu odczuwał bóle w piersi. Pod-277 czas zajścia w gołębniku odniósł przypuszczalnie jakieś lekkie wewnętrzne obrażenie. Nie skarżył się wprawdzie, ale pozwoliłem koniom iść stępa, żeby nie musiał się wysilać.

Po obydwu stronach rzeki rozpościerała się równina, która po-tem przechodziła stępniawo w pasmo Welica Dag, dalej zaś po prawej stronie apadały stromo w dół wzniesienia Plaszkawicej Plany.

Dotarliśmy do Radowej, smętnej miejsciny, której mieszkańcy zdawali się poświęcać uprawie szlachetnego tytoniu, a potem tak zwana droga prowadziła przez stary most na drugi brzeg rzeki. Ponieważ jechaliśmy wolno, dopiero po południu dotarliśmy do wioski Dabila, stanowiącej nasz ostatni postój przed Ostromczą. Zauważyłem, że Halef od czasu do czasu boleśnie zaciskał wargi. Kiedy przejeżdżaliśmy przez wioskę, rozglądałem się więc za miejscem stosownym do odpoczynku. Dostrzegłem długi, dosyć wysoki mur, za którym stały trzy budynki. Szeroka staroświecka brama

wiodła na podwórze. Górna część owej bramy otynkowana była na biało, i tam właśnie ku memu zdziwieniu ujrzałem napisane po turecku słowa „Mekjan i rahat we emnijet we refah”. Napis ten przypomniiał mi niemal ojczyste strony. Napis, nazwa firmy na tureckim hanie należy do rzadkości. Słowa wypisane tutaj znaczyły: „Zajazd Spokoju, Bezpieczeństwa i Wygody”. Tylko czy można było im zaufać?

- Zatrzymamy się tutaj? - zapytałem Halefa.

- Jak chcesz, sihdi - odpowiedział: - Postąpię zgodnie z two-im życzeniem. ‘ - Więc zajedźmy tutaj!

Skręciliśmy prze~z bramę na podwórze, które ataczały trzy nis-s kie budynki i wspomniany mur.

Pośrodku znajdowało się to, ca określa się zwykle mianem „rol- niczej kopalni złota”, a mianowicie gnojownik. Sądząc po jego wy- sokości i rozmiarach, można było założyć, że właściciel musi być bogaty we wspomniany szlachetny metal, zwłaszcza że w zasadzie

;’ ..

całe podwórze mogło rościć sobie pretensje do określenia „kopal- nia złota”, gdyż ledwo minęliśmy brarę, nasze konie z miejsca i;‘ zaczęły brodzić w głębokiej warstwie roślinnych i zwierzęcych od- padów, które w niezbyt miły sposób dały odczuć swoją obecność organorn powonienia.

- Co za aromat, co za rozkosz dla nosa! - zawołał Halef. - Tak, to prawdziwy zajazd wygody. Kto się tutaj położy, na pewno będzie miał miękkie posłanie. Chcesz wypróbować, sihdi?

- Ty jesteś moim przyjacielem i opiekunem. Będę postępował tak jak ty - odpowiedziałem.

W ten sposób nasza wymiana myśli dobiegła końca, gdyż rzuciła się na nas sfora zjezonych psów. Wyglądało to tak, jakby bestie zamierzały nas rozszarpać. Macisnąłem karego udami i wpadłem pomiędzy nie. Z miejsca rozszarpały się i uciekły. Za ludźmi rozglądaliśmy się nadaremnie. Budynek na prawo i lewo od nas służył pewnie celom gospodarczym, natomiast budynek znajdujący się naprzeciw wydawał się domem mieszkalnym. Ale też tylko się wydawał, gdyż nie było widać nic, co mogłoby to przypuszczalnie zamienić w pewność. Były dziury z akienicami, ale nie okna. Nie dostrzegłem także komina. Drzwi były ciasne i niskie, jednakże podjechaliśmy do nich i zsiadliśmy z koni. Dopiero teraz w wejściu pojawiła się jakaś ludzka istota. Nie potrafiłem powiedzieć, czy osoba ta jest mężczyzną, czy kobietą. Postać miała na sobie szerokie czerwone spodnie z nogawkami związanymi powyżej kostek. Czy stopy były obute, nie udało mi się rozróżnić. Na pewno jednak były czarne; nie ulegało to najmniejszej wątpliwości. Od szyi do kolan opadała ściągnięta ponad biodrami rzemieniem koszula, która, jak przypuszczałem, kiedyś była biała. Teraz jednak wyglądała tak, jakby od dziesięciu pokoleń służyła malarzom pokojowym z dziada pradziada za kitel roboczy, a potem jeszcze dodatkowo została wytaplana w szlamie jakiegoś stawu. Szyja i twarz były nieskończenie chude i rzadko chyba stykały się z wodą i mydłem. Głowa chwiała się na obie strony niczym u chińskiej figurki. Spod wystrzępionej chustki okrywającej głowę zwisało kilka siwych zmierzwianych kosmyków włosów.

- Guninis chajir olsun - dzień dobry! - pozdrowiłem. - Kim jesteś?

- Rasz beslemejixn - jestem pierwszą służącą - odpowiedziało mi z godnością.

- Gdzie jest pan?

- W środku.

To mówiąc, szafarka domu dla podróżnych wskazała kciukiem przez ramię w kierunku wnętrza budynku.

- Selamlaris onu - chcielibyśmy go pozdrowić.

- Pek eji, sultanum - bardzo proszę, łaskawy panie!

Wyszła na zewnątrz, żeby nam zrobić przejście. Musiałem się schylić, żeby nie uderzyć głową w futrynę. Jak zauważyłem, nie było żadnej sieni. Budynek składał się tylko z czterech ścian 279

zewnątrznych i przykrywającego go słomianego dachu. Wnętrze domu, zgodnie z tutejszym zwyczajem, podzielone była wiklino-wymi plecionkami na wiele pomieszczeń.

- Sol tarafda - na lewo! - zawołała za nami pierwsza dziewczyna.

Posłuchaliśmy tej rady i weszliśmy do wskazanego przez nią pomieszczenia, gdzie jednak nie zastaliśmy handziego. Światło wpadało tam do środka przez dwa otwory w murze z atwartymi okiennicami. Jak już wspomniałem, szyb nie było. Pośrodku stał duży stół, a dookoła niego cztery ławy. Wyszorowane były do białości i miał tak czysty wygląd, że mnie to zdziwiło.

Sądząc po wyglądzie pierwszej dziewczyny, nie spodziewałem się tej czystości. Również ławom, nie można było nic zarzucić. Ponieważ nie dostrzegłem żadnego świętego obrazu, przypuszczałem, że właściciel zajazdu jest muzułmaninem:

W otworach okiennych stało kilka kwiatów doniczkowych, które nadawały izbie przytulny wygląd, a drewniane naczynie z wodą w kącie pomieszczenia tak było wyszorowane do połysku, że z przyjemnością zaczerpnąłbyś chłodnego płynu z jego wnętrza. Zastukałem gałką szpicruty w stół. Natychmiast odsunięta została trochę na bok jedna z wiklinowych ścianek i pojawił się mężczyzna; który zapytał, czego sobie życzymy.

Ubrany był z turecka i nosił na głowie czerwony fez. Sylwetkę miał krzepką, a długa ciemna broda, która spływała mu prawie na piersi, nadawała mu dostojny wygląd.

- Czy ty jesteś handzi? - zapytałem.
- Tak, ale nie przyjmuję już na nocleg żadnych gości—odrzekł.
- Musisz zatem usunąć napis znad bramy.
- Jeszcze dziś to uczynię. Każę go zakryć świeżym tynkiem.

Powiedział to z takim rozdrażnieniem, iż należało przypuszczać, że jako oberżysta miał niedobre doświadczenia.

- Nie przybyliśmy tu po to, żeby u ciebie przenocować - wyjaśniłem. - Chcielibyśmy jedynie odpocząć i czegoś się napić.
- Nie mam nic przeciwko temu. Możecie też dostać posiłek.
- Co masz do picia?
- Rakiję i bardzo dobre piwo, które wam mogę polecić.

A więc miał piwo! To była niespodzianka.

- Kto je warzył? - zapytałem.

- Ja sam.

= Jak przechowujesz piwo?

280

- W dużych stągwiach. Codziennie warzy się nawe piwo, gdyż daję je do picia swoim ludziom.

To z kolei nie było raczej zachętą. Poznał ta pewnie po mojej minie, gdyż powiedział:

- Spokojnie możesz ga spróbować. Jest jeszcze całkiem świe-że, uwarzone dopiero dziś rano. giandzi uważał więc chyba, że piwo smakuje tym le~piej, im jest młodsze. Wyznawałem inny pogląd, lecz mimo to zamówiłem na-pój, gdyż byłem ciekaw, jaki produkt akreśla się tu mianem piwa. Przyniósł duży dzbanek i postawił go na. stole.

- Wypij! - zachęcił mnie. - Piwo daje siłę i odpędza troski.

Zebrałem całą odwagę, uchwyciłem dzban w obydwie dłonie i przytknąłem do ust. Pociągnąłem solidny łyk, jeszcze jeden - i piłem dalej. Cie~nkie to było, bardzo cienkie, monachijskie piwo rozcieńczone pięciakrotną ilością wody, ale smakowało całkiem nieźle. Dobrze gasiło pragnienie, nic poza tym. Również pozostali wzięli się do picia i wydali potem zadowala-jącą opinię, może tylko dlatego; że ja nie wyraziłem się ujemnie. Wyraźnie ucieszyło to handźiego. Jego posępna twarz rozpogo-dziła się na kilka chwil i powiedział z pewnością siebie:

- Tak, sam jestem piwowarem. Nikt oprócz mnie tutaj go nie warzy.

- Gdzie się tego nauczy~łeś?

- Od pewnego cudzziemca, który pochodził z kraju piwa. Pra-cował przez dłuższy czas w Stambule i ‘ właściwie był szewcem. Ale w owym kraju wszyscy warzą piwo, i dlatego on też znał się na tym bardzo dobrze. Człowiek ten był bardzo bied~ny i wrócił do swojej ojczyzny. Zlitowałem się nad nim i przez jakiś..czas da-wałem mu schronienie wraz z jadłem i piciem. Za to on z wdzięcz-ności dał mi przepis na warzenie piwa.

- Jak się nazywa ten kraj, z którego pochodził?
- Zapamiętałem jego nazwę: nazywa się Elanka.
- Jak się zdaje, nie zapamiętałeś jednak dobrze tej nazwy.

Brzmiała ona pewnie Erlangen?

- Erla... masz rację, efendi! Ten kraj nazywa się tak; jak powiedziałeś. Przypominam sobie. Niełatwo wymówić to słowo. Znasz ten kraj?
- Tak, ale Erlangen to nie kraj, lecz miasto w Bawarii.
- Tak, tak; ty wiesz to lepiej. On był Bawariały. Teraz sobie przypomniałem. Bawaria to część Almanni, gdzie wszyscy ludzie piją piwo, nawet już niemowlęta damagają się piwa.
- Ten szewc ci o tym powiedział?



- Tak, efendi.

- No cóż, nie znam go, więc nie wiem także, czy an już w tak wczesnej młodości pił .piwo. W każdym razie dowiódł ci, że ten napój nie czyni człowieka niewdzięcznikiem. Czy możemy też do-stać coś do jedzenia?

- Powiedz tylko, czego pragniesz, efendi!

- Nię wiem przecież, co masz.

- Gądaj tylko! Chleb, mięso, drób, jest wszystko.

- Hm! Czy moglibyśmy zjeść omlety?

- Tak, możesz je dostać.

- A kto je przygotowuje?

- Moja służba.

- Ale nie pierwsza dziewczka, która nas przyjęła przed drzwia-mi?

- O nie, efendi! Wiem, dlaczego pytasz. Ona jest najważniej-sza i najpilniejsza w aborze, ale z przygotowywaniem potraw nie ma nic wspólnego.

- W takim razie zaryzykujemy.

Handzi wyszedł, żeby złożyć zamówienie. Moi towarzysze wy-razili swe zadowolenie, że dziehza szafarka nie sprawuje zarazem obowią~zków ~kucharki.

Po powrocie aberżysta przysiadł się do naszego stołu i zlustro-wał nas teraz dokładniej niż przedtem.

- Przyjąłem was mało uprzejmie - powiedział. - Proszę, nie miejcie mi tego za złe, ale są goście, którzy odbierają człowiekowi chęć do nocowania kogokolwiek pod swym dachem.

- Miałeś z kimś niedobre doświadczenia?

- Nawet bardzo niedobre.

- Pewnie całkiem niedawno?

- Tak, efendi. Dziś w nocy zostałem okradziony.

- Przez gości? Jak to się stało?

- Uprawiam dużo tytoniu. W określonych terminach przyjeżdża do mnie handlarz z Salonik, żeby nabyć towar. Był właśnie wczoraj i zapłacił mi ostatnią ratę za zeszłoroczne zbiory. Było tego sto funtów w złocie. Akurat kiedy kładł mi je tutaj na stole, weszło trzech obcych, którzy zapytali, czy mogliby przespać się u mnie. Przyjąłem ich uprzejmie, po czym odniosłem złoto do swojej sypialni. I stamtąd mi je ukradli.

- Jak dokonali tego? Czyżby było tak łatwa dostać się do twojej sypialni? Czy ona też ma tylko takie ścianki z wikliny jak to pomieszczenie?

- O nie! Sypialnia położona jest w tylnym lewym rogu budyn-

282 ku i posiada dwa mury obwodowe oraz dwie grube ściany z cegły sięgające po sam dach. Drzwi są masywne i na dodatek okute żelazem. Zastosowałem ten środek bezpieczeństwa, ponieważ przechowuję tam wszystkie kosztowności.

- Jak więc złodzieje weszli do środka? Skąd w ogóle mogli wiedzieć, że przechowujesz tam pieniądze?

- Musisz pamiętać, że wszystkie ściany tutaj zbudowane są jedynie z plecionki i łatwo je przesuwają. I dlatego możliwe, że jeden z tych trzech skradał się za mną i podpatrzył, dokąd niosę pieniądze. Potem szybko wyszedł za dom, żeby zobaczyć przez okno, gdzie je chowam. Kiedy zamknąłem pieniądze, wydało mi się, że słyszę z zewnątrz jakiś odgłos. Podbiegłem do otwartej okiennicy i zacząłem nasłuchiwać. I wtedy doszedł do mnie odgłos oddalających się kroków. Gdy potem wróciłem do izby, brakowało jednego z trzech przybyszów. Wszedł do środka w kilka chwil po mnie.

- Nie zwróciło to twojej uwagi?

- Nie od razu, efendi. Słyszane przeze mnie kroki mogły pochodzić od jednego z moich parobków, którzy o tej porze mają zwykle coś do roboty za domem. Dopiero później, gdy zauważyłem zniknięcie pieniędzy, zbadałem całą sprawę i wypytyując służbę dowiedziałem się od jednego ze swoich najemników, że dokładnie w podanym czasie wszedł do położonej za domem zagrody dla owiec i spotkał wówczas abcego, który nadchodził od strony mojej sypialni.

- Wiesz może, w jaki sposób dokonano kradzieży?

- Do tej pory pozostaje to dla mnie zagadką. Kiedy szedłem spać, było bardzo późno, parę godzin po północy. Wygrałem w karty pieniądze i chciałem je dołożyć do pozostałych. Gdy otworzyłem szafkę, okazała się pusta.

- Hm! Czy przedtem była zamknięta? Chodzi mi o to, czy zamknięta była na klucz?

- Tak było.
- I sypialnia też?
- Nie, sypialnia nie. Prawie zawsze jest otwarta, bo często wchodzi tam mój harem i moje dzieci i byłoby dla mnie rzeczą kłopotliwą za każdym razem ją otwierać.
- Mówisz, że wygrałeś pieniądze. Z kim grałeś?
- Właśnie z tymi trzema mężczyznami.
- A handlarz tytoniem nie grał?
- Nie. Odjechał jeszcze przed zapadnięciem nocy. Goście nie byli jeszcze zmęczeni i zapytali mnie, czy nie zagrałbym z nimi

283 w karty. Zgodziłem się i wygrałem prawie funta. Musiałem z nimi pić rakiję, w głowie szumiało mi coraz bardziej i zrobiłem się taki senny, że w końcu musiałem zrezygnować z gry.

- I od razu poszedłeś do swojej sypialni, żeby schować wygraną do szafki?
- Nie. Wcześniej musiałem tym trzem otworzyć bramę. Uznali, że już za późno, żeby kłaść się spać. Ranek był blisko i woleli na tychmiast wyruszyć dalej. Zapłacili za wszystko, co zjedli i wypili, więcej, niż żądałem, i odjechali.
- . Dokąd? Czy powiedzieli ci to?
- Tak. Wybierali się do Dojran.
- Hm, a więc na południe, przez Furktij i Oliwecę. A skąd przybyli?
- Z Melnika.
- Aha, z Melnika! I było ich trzech? Przyjrzałeś im się dokładnie?
- Ma się rozumieć! Przecież prawie sześć godzin grałem z nimi w karty.

Tknęło mnie przeezucie, że ci trzej złodzieje to ścigani przez nas ludzie. Dlatego też pytałem dalej:

- W takim razie przypatrzyłeś się także ich kaniom?
- Tak. To były trzy siwki:

- Ne gusel - wspaniale! - wyrwało się małemu Halefawi. - Sihdi, od razu to przeczuwałem, od razu!

- Tak, jesteś bardzo bystrym przyjacielem i opiekunem swo-jego pana.

- Co on przeczuwał? - zapytał prędko handzi.

- Coś, o czym i ty dowiesz się nieco później - odpowiedziałem. - Najpierw chciałbym cię prosić, żebyś udzielił mi dalszych informacji.

- Czy chodzi o ludzi, którzy mnie okradli? W takim razie pytaj! Bardzo chętnie powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Jego twarz przybrała zupełnie inny wyraz. Słowa małego Handziego nasunęły mu przypuszczenie, że złodzieje nie są nam zupełnie obcy, i ciekaw był usłyszeć coś więcej. Widać było po nim, że zaczyna weń wstępować pewna, choć nieokreślona nadzieja.

- A więc ich już nie było, kiedy odkryłeś, że pieniądze zniknęły - powiedziałem. - Czy twoje podejrzenie padło od razu na nich?

- Nie. Najpierw zbudziłem wszystkich swoich ludzi i wypytałem ich. Wszyscy są uczciwymi ludźmi i nie ma wśród nich takiego, którego bym posądzał o podobne przewinienie. Miino to

284 przeszukałem rzeczy każdego z osobna; naturalnie nie znajdując niczego, co mogłoby wzbudzić choćby najmniejsze podejrzenie. Dopiero potem pomyślałem o tych trzech obcych. Zacząłem dochodzenie i wtedy dowiedziałem się od swego najemnika, że akurat w czasie, gdy niosłem do sypialni tę dużą ilość pieniędzy, jeden z tamtych był za domem.

- Lecz sama kradzież nie mogła mieć miejsca wtedy, musiano jej dokonać później!

- Z pewnością. Też tak uważam:

- Poza tym wydaje mi się, że do zgarnięcia pieniędzy nie wystarczył jeden człowiek. Potrzeba było do tego co najmniej dwóch. Nie przypominasz sobie, czy kiedyś równocześnie nie oddaliło się dwóch z nich?

- Nawet bardzo dokładnie. Z początku to również nie rzuciło mi, się w oczy, pomyślałem o tym dopiero później.

- Czy miało to miejsce wcześniej, czy dopiero późno w nocy?

- Zanim jeszcze moja rodzina poszła spać.

- Czy rodzina śpi w twoim pokoju?

- Oczywiście, wszyscy.

- W takim razie musiano dokonać kradzieży, zanim udali się na spoczynek. Złodzieje dobrze to obmyślili. Jak jednak udało im się odwrócić waszą uwagę, tak że nikt ich nie obserwował?

- Jeden z nich zaczął nam pokazywać sztuczki karciane. Po-nieważ bardzo mi się one podobały, pozwolił mi sprowadzić wszystkich moich ludzi. Także mój harem przyglądał się przez szpary w plecionce. W czasie gdy jeden nas tak pysznie żabawiał, oby-dwaj pozostali oddalili się, ca jednak, jak wspomniałem, w ogóle nie rzuciło mi się w oczy. Dopiero po ich powrocie sztukmistrz oświadczył, że pokazał nam już wszystko, co potrafi. Wtedy moi ludzie odeszli, a my graliśmy dalej.

Bynajmniej nie powinno nikogo dziwić, że tutaj w leżącej na uboczu tureckiej wiosce grano w karty. Nieraz już widziałem w Turcji karciarzy. Ba, byłem nawet świadkiem zręcznych sztuczek karcianych, prawie zawsze w wykonaniu Greków albo Or-mian. Turkom brak cierpliwości potrzebnej do nabycia niezbędnej wprawy w trakcie długich ćwiczeń. Teraz byłem ciekaw, który z trzech gości okazał się sztukmistrzem:

Kazałem oberżycie by opisał mi tego człowieka, i doszedłem do wniosku, że był nim dozorca więzienny. Kradzieży musieli zatem dokonać Manach el Barsza i Barud el Amasad, lecz należało przyjąć, że dozorca był poinformowany o ich przedsięwzięciu.

- Po przesłuchaniu swoich ludzi doszedłeś więc do przekonania, że to obcy są złodziejami? - dociekałem dalej. - Jakie kroki podjąłeś wtedy?
- Wysłałem za nimi kanno wszystkich swoich parobków.
- Tak! Dlaczego sam nie pojechałeś z nimi?
- Pośpieszyłem czym prędzej do naczelnika policji w Ostrom-czy, żeby złożyć doniesienie i poprosić o saptije. Saptije mudiri zgodził się spełnić to życzenie dopiero po długich pertraktacjach i po zapłaceniu przeze mnie pięciuset piastrów. Musiałem się zobowiązać, że pokryję wszelkie koszty, jakie powstaną w trakcie ścigania złodziei, i jeśli zostaną schwytani, wypłacę mu nagrodę w wysokości dziesięciu funtów.
- Ten, czcigodny człowiek jest mądrym administratorem swej własnej sakiewki. Oby Allah zachował go wam jeszcze przez dłu-gie lata!
- Niech diabeł go zabierze do siebie! - odparł handzi na moje błogosławieństwo. - Prorok pragnie, żeby na ziemi panowała sprawiedliwość. Urzędnicy sułtana mają nam służyć, nie żądając w zamian prezentów.
- Wiesz może, jakie środki zamierza przedsięwziąć saptije mud~iri? - dowiadywałem się dalej.
- Tak. Saptije mudiri zamierza wysłać w pościg za złodzie-jami wszystkich swoich policjantów. We wszystkich miejscowoś-ciach pomiędzy naszą wioską a Dojran ma być urządzone wielkie polowanie. On sam stanie na czele pościgu.
- Podejrzewam, że naczelnik policji siedzi te~raz w najlepsze u siebie w damu na poduszce, pali sobie czubuk i do tego popija kawę.
- Gdybym wiedział, że tak jest naprawdę, nie wyszłoby mu to na zdrowie!
- Dowiesz się tego, gdyż pojedziesz teraz z nami do Ostram-czy, żeby go odwiedzić.
- Ja? Dlaczego? - zd~ziwił się handzi.
- O tyan później. Najpierw powiedz nam jeszcze coś innego!

Sprawdziłeś, czy naczelnik policji dotrzymał obietnicy i rzeczy-wiście wysłał wszystkich swoich podwładnych?

- Nie miałem na to czasu, bo musi~ałem jechać do damu, żeby być obecnym przy powrocie

moich parobków.

- Czy są już z powrotem?

- Tak. Podzielili się i jedni dojechali do Furkój, a drudzy do Welicy, lecz nie odkryli żadnych śladów złodziei. Wtedy uznali za

286 słuszne zawrócić. Mocno ich za to zbeształem. Są najemnikami, którzy zaniedbują interesy swego pana.

- O nie, twoi ludzie mieli rację.

- Tak sądzisz? Dlaczego?

- Nawet gdyby dojechali do Dojran i jeszcze dalej, nikogo by nie znaleźli. Złodzieje wcale nie wybierali się do Dojran.

- Ale ci trzej tak właśnie mówili!

- Tak mówili, żeby cię wprowadzić w błąd. Czyżbyś sądził, że złodziej jest aż tak nieostro'zny; żeby kierować pościg na swój trop?

- Kiedy to mówili, jeszcze mnie nie okradli!

- Ale pawzięli już taki zamiar. Poza tym mieli jeszcze inny powód, żeby ukrywać przed tobą rzeczywisty cel swej podróży. ~cigani eą już za weześniejsze przestępstwa. Pomyśleli sobie, że ścigający ich ludzie, gdyby dotarli do Dabila, zatrzymają się u cie-bie. Dlatego też podali ci fałszywy kierunek.

Handzi zlustrował mnie badawczym spojrzeniem.

- Efendi - zapytał - czy jesteś urzędnikiem policji?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Twoja osoba pasuje do tego, i mówisz jak ktoś, kto dokładnie wie wszystko, zanim mu się pawie.

- Mylisz się - zaprotestowałem. - Jesteśmy zwykłymi po-dróżnymi, którzy jak każdy inny zdani są na opiekę policji. Ale przemierzyliśmy wiele ziem i krain i widzieliśmy i doświadczy-liśmy więcej niż tysiąc innych ludzi. i dlatego bez trudu możemy się wczuć w twoją sprawę.

- Pewnie tak jest, a poza tym... ale właśnie nadchodzi wasze jedzenie! Nie będę wam

przeszkadzał w trakcie posiłku. Potem, gdy skończycie, mażemy jeszcze porozmawiać o mojej wielkiej stracie. Życzycie sobie może, żeby napić i nakar~nić wasze konie? Mam piękną, dobrze śrutowaną kukurydzę.

- Tak, dopilnuj tego i powiedz któremuś parobkowi, żeby je rozkulbaczył, a następnie polał zwierzęta wodą. To je odświeży. Dźwigają nas na swoich grzbietach aż z Edirne, a po drodze nie miały nawet kiedy porządnie odpocząć.

- Niedaleko za domem mam piękny staw rybny, w którym woda jest jasna i czysta. Życzysz sobie, żeby parobcy wpędzili do niego wasze konie?

- Niech tak uczynią.

Nasz gospodarz wydawał się jak na tutejsze stosunki przedsiębior-czyxn i dzielnym rolnikiem. Skradzianych mu sto funtów, w wa-lucie niemieckiej oko-ło 1850 marek, było dochodem jedynie za 287 część jego zeszłorocznych zbiorów tytoniu. Z pewnością był czło-wiekiem bardzo zamożnym. To zaś, że założył nawet staw hodo-wlany, dowodziło, iż potrafił znakomicie wykorzystywać należącą doń ziemię.

Poza tym urniał też żyć inaczej nii duża część tamtejszych mieszkańców. Niebawem miałem otrzymać kolejny dowód na to; z którego zarazem wyciągnąłem wniosek, że nie uważał nas za zwykłych podróżnych.

Jedzenie przynieśli nam dwaj całkiem schludnie ubrani mło-dzieńcy. Składało się ono z dużych parujących i apetyeznie pa-chnących porcji amletów, do których podano melony w occie przyprawione pieprzem oraz inne świeże owoce. Omlety leżały, jak ze zdumieniem stwierdziłem, na czystciutkich białych, fajan-sowych talerzach, a tylko duże miski na melony wypalane były z żółtej gliny.

Handzi dopilnował~ żeby na stole ułożono wszystko jak należy, po ezym, kiedy postawiono przed nami nawet koszyczek z no-żami, widelcami i łyżkami, rozkazał:

- Przyniście cztery serwetki i tyle samo ręczników. Męż-czyźni, którzy spożywają tutaj posiłek, są ludźmi obytyrni w świe-cie i dostojnymi panami. Nie powinni potem mówić, że zostali źle obsłużeni u handziego Ibareka.

A zatem Ibarek nazywał się nasz uprzejmy gospodarz, który posiadał nawet serwetki do wycierania ustt Teraz oddalił się. Kiedy wzięłem serwetki i wręczyłem po jednej każdemu z mo-ich towarzyszy, w skrytości ducha bawił mnie niezmiernie widok zwróconych ku mnie pytających spojrzeń. Nie wiedzieli, co po-ezać z tymi białymi czystymi kawałkami tkaniny. Mały Hadzi jako jedyny zdecydował się wystawić na kpiny z mojej strony.



- Sihdi, co mamy zrobić z tymi płachtami? - spytał Halef. - Na stole jest już rozłożony duży obrus.

- Nie są to żadne obrusy.

- Maszallah! Czyżby to były chustki do nosa? Lecz przecież żaden z nas nie cierpi na katar!

- To także nie to. Te chustki wiąże się z przodu tak, jak wam pokażę, żeby nie powalać sobie ubrań jedzeniem.

- Allah akbar! Wytworni ludzie muszą być bardzo niezdarni, skoro potrzebują specjalnych zasłon, żeby wkładać pokarm do ust, nie brudząc sobie przy tym ubrań. Nauczyłem się jeść w przy-zwoity sposób, i moja kurtka będzie musiała obejść się smakiem, ' jeśli ma ochotę napić się tego wybornego soku melonowego. Celowo zawią~załem sobie serwetkę możliwie jak najbardziej 288 niedbale, a ponieważ pozostali idąc za moim przykładem uczynili to samo, wyglądaliśmy jak dzieci karmione przez mamę gęstą ka-szą z mlekiem. W głębi ducha bawiło mnie to ogromnie. W trakcie jedzenia zauważyłem, że nasze konie odprowadzono za dom. Handzi jako prawdziwy muzułxnanin uważał widać za grzeczność pozwolić nam spożyć posiłek bez świadków. Pojawił się znowu, dopiero gdyśmy skończyli, pa czym polecił młodzień-com sprzątnąć ze stołu i przynieść nam miskę do mycia rąk. Rów-nież ona był z białego fajansu i wtedy też przyszła wreszcie kolej na użycie ręczników.

Podczas mycia rąk Halef szepnął do mnie:

- Sihdi, nie boisz się?

- Czego?

- Jaki rachunek trzeba będzie zapłacić! Dobre jedzenie, zimne piwo, noże, widelce i łyżki, obrus, miska do mycia, ręczniki, a w do-datku jeszcze te zasłony z białego płótna związane pod szyją! Coś mi się zdaje, że ten dzielny Ibarek zażąda od nas dokładnie tyle, ile zażyczył sobie naczelnik policji.

- Nie martw się, jestem przekonany, że nie będziemy musieli tutaj nic płacić.

- Sądzisz, że oberżysta zdobędzie się na ten dobry, wspaniało-myślny gest?

- Z całą pewnością. Damy tylko bakszysz parobkom.

- Skoro Ibarek będzie taki roztropny, to dziś, jutro, a także pojutrze przed zaśnięciem będę prosić Proroka z całego serca, żeby wstawił się za tym dobrym handżim u anioła śmierci.

- Dlaczego tylko do pojutrzejszego dnia?

- Trzy razy wystarczy. A do tego czasu po~znamy pewnie in,-nych ludzi, którzy nas dobrze

ugoszczą i w ten sposób staną się godni mych modłów w ich intencji.

Mały Hadzi uśmiechnął się chytrze do siebie, jak było to w jego zwyczaju, gdy udało mu się pokazać, jaki to z niego szczwany lis. Po umyciu rąk oberżysta poprosił nas, byśmy usiedli z powrotem przy stole. Chciał ponownie napełnić opróżniony już w znacznej części dzban z piwem i zaapelował do nas, żebyśmy wcześniej wypili to, co zostało. Odmówiłem jednak.

- Uradowałbyś mnie pokazując mi szafkę, z której skradziono ci pieniądze. Czy byłbyś tak uprzejmy?

- Tak. Chodźmy! Pójdź za mną!

Halef nam towarzyszył. Jego wrodzony węż domagał się najwidoczniej zajęcia.

Wystarczyło, że Ibarek odsunął nieco dwie z cienkich plecio-

19 W wozach Bałkanów 289

nych ścianek działowych, i stanęliśmy przed drzwiami jego sypialni. Nie były zamknięte. Natychmiast przekonałem się, że mają rygiel od wewnątrz. W pokoju nie było żadnych łóżek. Wzdłuż ścian biegł morder, niska konstrukcja z listew, na której rozłożone były miękkie poduszki. Na nich właśnie spała rodzina handziego, latem w ogóle bez żadnego przykrycia, a zimą narzucając na siebie koce lub skóry. Zdejmowaniem do snu ubrań nikt nie zaprzętał sobie głowy.

‘ Ten zły zwyczaj mieszkańców Wschodu, ten brak jakiegokolwiek

‘ pościeli i rzadkie zmiany bielizny osobistej czynią ich nie tylko

podatnymi na wiele chorób, lecz są także przyczyną masowego

występowania owych dwóch gatunków krwiożerczych insektów,

które swego czasu pewien węgierski magnat, znający wprawdzie

łacińskie nazwy Pulex oraz Pediculus, lecz nie obydwu odnośne

niemieckie słowa, określił dziwnymi rzeczownikami „hophop” oraz

„pełzawka”.

‘ Ściany były otynkowane na biało. Ich jedyną ozdobę stanowił biegnący dokoła tuż pod słomianym dachem napis w języku arabskim.

„Nad snem sprawiedliwego czuwają aniołowie; przy łożu niesprawiedliwego wyrzuty sumienia zawodzą jęklivé swe trwożliwe skargi”.

Pomieszczenie miała tylko jeden otwór okienny. Naprzeciwko okna wisiała szafka będąca schowkiem na pieniądze.

- W niej leżały pieniądze - rzekł handzi, wskazując na szafkę. - Zamknąłem ją z powrotem tak, jak było, kiedy zdarzyła się kradzież.

- Otwórz ją! - powiedziałem na początek.

Iberek wyciągnął z kieszonki w pasie mały klucz i otworzył. Szafka była pusta. Zbadałem kluczyk i zamek. Nie był to łatwy do rozszyfrowania tuzinkowy towar fabryczny. Dociekając dalej dowiedziałem się, że zamek wykonał pewien ślusarz z Ostromczy. Moim zdaniem otworzenie go jakimś haczykiem czy gwoździem nie wchodziło w rachubę.

- Czy jesteś pewien, że rzeczywiście zamknąłeś szafkę? - za-pytałem.

- Tak, całkowicie pewien.

- Hm! Czy w środku były tylko pieniądze?

- Nie. Poza tym biżuteria oraz złote i srebrne drobiazgi.

- Czy je również skradziono?

- Tak, efendi, wszystko zniknęło.

- Wskazuje ta, że złodzieje nie mieli czasu dokonać wyboru.

Poza tym kradzieży dokonano w ciemności; hultaje nie mogli więc widzieć, co przedstawia dla nich jakąś wartość, a co nie.

- Och, ozdoby składały się w większej części z dużych i małych złotych monet. Tyle złodzieje pomimo ciemności na pewno zauważyli. Reszta to klamry, broszki i pierścienie, wszystko w każdym razie przedmioty wartościowe.

- Ale mogące też doprowadzić do adkrycia sprawcy - uzupełniłem. - Ostrożny złodziej nie bierze takich rzeczy. A skoro ci dwaj zabrali te przedmioty, dowiedli w ten sposób, że nie są ostrożnymi włamywaczami ani też zawodowcami w tym fachu. Koniecznie jednak musimy ustalić, jak otworzyli szafkę. Zamierzałem przyjrzeć się jej bliżej, ale mały Hadzi już to zrobił.

- Znalazłem, sihdi - uśmiechnął się. - Oto ślad!

Wskazał na wnętrze szafki. Kiedy zaglądnąłem do środka, spostrzegłem od razu, że tylna ścianka nie przylega dokładnie. Następnie zbadałem, w jaki sposób szafka została przymocowana do ściany. Nie uczyniono tego przy pomocy gwarantującej większe bezpieczeństwo stalowej taśmy, lecz pojemnik wisiał po prostu na gwoździu, z którego łatwo można go było zdjąć. Zdjąłem szafkę; nie ulegało wątpliwości, że tylna ścianka została wcześniej oderwana, Widać było ślady mocnego hartowanego ostrza noża.

Części skrzynki nie były wcale zbite gwoździami, lecz połączone na tak zwany wczep. Wyważenie tylnej ścianki musiała spowodować zatem znaczny hałas.

- Niczego nie słyszeliście? - spytałem.

- Zupełnie nic.

- Musiał się przecież rozleć głośny trzask. A może wy akurat robiliście duży hałas?

- Och, wcale. Z takim zaciekawieniem przyglądaliśmy się sztuczkom karcianym, że przeciwnie, zachowywaliśmy się bardzo cicho. Może złodzieje zamknęli za sobą drzwi.

- Z pewnością mieli się na baczności i nie zostawili drzwi otwartych. Przypuszczalnie zasunęli nawet rygiel u drzwi, żeby ich nikt nie zaskoczył.

- No właśnie, w takim razie nie mogliśmy nic słyszeć.

- Ależ powinniście! W domu pomiędzy izbą gościnną a sypialnią nie ma przecież żadnych ścianek działawych, tylko plecionki z wikliny. Musielibyście słyszeć o~dgłos wyważania tylnej

ścianki. Podejrzewam, że... hm!

# Podszedłem do okna. Było na tyle duże, że mężczyzna niezbyt

Is 291 silnej budowy mógł się przez nie przecisnąć. Również szafka była na tyle mała, że łatwo można ją było podać komuś stojącemu pod oknem.

- Wyjdźcie ze mną na zewnątrz! - powiedziałem i opuściłem pakój. Podążyli za mną dookoła domu.

- Czy szukałeś już na dworze pod oknem? - spytałem ober-żystę.

- Nie. Skąd miałbym wpaść na ten pomysł! Szafka wisiała w pokoju. Tam popełniono kradzież. Cóż można by tutaj znaleźć?

- Może jednak poszukiwania nie okażą się aż tak bezawocne, jak sądzisz. Sprawdzimy! Ale zostawcie to mnie! Nie podchodźcie za blisko do okna! Moglibyście mi zatrzeć ślady. Kiedy zbliżyłem się do miejsca pod oknem, obydwaj zostali nie-co z tyłu. Przy samym murze pleniły się bujne pokrzywy. Dokładnie pod oknami były zdeptane.

- Aha! - powiedziałem. - Widzisz, że ktoś wyszedł tutaj przez okna.

- Ale chyba już dłuższy czas temu. Może to był któryś z mo-ich chłopców.

- Nie. To nie był chłopiec, gdyż widzę tutaj odcisk dużego męskiego buta w miękkiej ziemi. I nie było to także dłuższy czas temu. Złamane pokrzywy jeszcze nie zwiędły, tylko zwiesiły bezsilnie liście. Sądzę, że zostały złamane nie dalej niż wczoraj. Również ślady stóp są świeże. Wysokie cienkie krawędzie odcisków musiałyby być suche, gdyby ślady były stare.

- Skąd możesz to tak dokładnie wiedzieć? - zdziwił się Ibarek.

- Żeby to wiedzieć, nie potrzeba nic oprócz otwartych oczu i odrobiny pomysłu. Spójrz tutaj! To miejsce, gdzie stała szafka. Zapewne została zabrudzona mokrą ziemią, ale złodzieje mimo ciemności wytarli ją do czysta.

- A skąd wiesz nawet to?

- Stąd, że na skrzynce nie zauważyłem żadnych śladów ziemi; to przecież bardzo proste. Rozejrzyjmy się dalej! Szukałem na ziemi - daremnie. Wyciągnąłem więc nóż i peści-nałem pokrzywy przy samej ziemi. Następnie zacząłem lustrować je, łysinę. Pomędzy nie ściętymi częściami łodyg mogło coś leżeć. I rzeczywiście, moje przypuszczenie okazało się słuszne. W

dwóch miejscach coś mrugało ku mnie złotym blaskiem. Podniosłem oby-dwa przedmioty. Były to cienki pierścianek z turkusem oraz gruby złoty kolczyk, jakie noszą kobiety w tamtejszej okolicy.

- Tu jednak coś hultajom wypadło - rzekłem do Ibareka. - Znasz te ozdoby?
- Ach! Przecież należą do nas. Czy nie ma tam też drugiego kolczyka?
- Pomóż szukać! .

Ibarek posłuchał mojej rady, ale wszelki trud okazał się da-remny. Nie odnalazło się nic więcej. Wiedzieliśmy już, w jaki spo-sób dokanano kradzieży. Złodzieje obawiali się, że ktoś może usły-szeć hałas. Dlatego jeden z nich wyszedł przez okno, żeby otwo-rzyć skrzynkę, którą podał mu drugi, na zewnątrz. To, co była jeszcze do ustalenia, mogliśmy omówić wewnątrz budynku. Dlatego też zamierzaliśmy już wrócić do izby. Wcześ-niej jednak zajrzeliśmy na chwilę do naszych koni. Zostały już wyprowadzone ze stawu i stojąc na brzegu z zawią-zanymi na szyi workami z obrokiem żarły mieloną kukurydzą. Powiedziałem parobkom, że mogą zwierzęta zostawić tutaj, gdzie pomimo bliskości stawu nie było tylu much i komarów co na brudnym podwórzu. Jak miało się niebawem okazać, całe szczę-ście, że wpadłem na ten pomysł.

Ledwo bowiem weszliśmy do izby i chcieliśmy właśnie usiąść przy stole, ujrzeliśmy, jak na podwórze wjeżdża dwóch jeźdźców. Ich konie były niewiele warte, a poza tym wyraźnie zmęczone, stare szkapy, za które nie dałbym nawet pię'cdziesięciu marek. A obydwaj mężczyźni doskonale pasowali do swoich zwierząt, tacy byli z wyglądu obszarpani i po~dupadli.

- Masz nowych gości - zauważył Fialef, zwracając się do han-dziego.
- Na gościach tego pokroju w ogóle mi nie zależy - mruknął Ibarek. - Odprawię ich.

Chciał wyjść, żeby wykonać swe postanowienie, lecz przytrzy-małem go za ramię.

- Stój! Wpuść ich do środka!
- Dlaczego?
- Muszę się dowiedzieć, o czym będą mówić.
- Czyżbyś znał tych ludzi?
- Tak. Ale oni w żadnym wypadku nie mogą się dowiedzieć, że tu jesteśmy. Dlatego nie powinni zobaczyć ani nas, ani naszych koni.
- Łatwo można tego uniknąć. Wystarczy, że pójdziecie do mo-jej sypialni i zaczekacie, aż



- Tak uczynią moi towarzysze. Ja natomiast chciałbym ich podsłuchać.

- Nie wiem wprawdzie, do czego zmierzasz, ale podsłuchiwanie nie będzie dla ciebie sprawą trudną. Chodź! Ukryję cię. Ibarek zaprowadził mnie za jedno z przepierzeń. Stało tam, opierając się nawzajem o siebie, wiele dużych wiązek odartych z kory gałązek wikliny, z których zrobione były plecione ścianki.

- Ukryj się za tymi wiązkami - powiedział. - Będziesz mógł mieć na oku izbę przez szpary w plecionce. Obcy będą siedzieć tak blisko ciebie, że usłyszysz każde ich słowo, nawet gdyby mówili niezbyt głośno.

- A gdyby chcieli sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje?

- Poustawiam wiązki tak, że nie będzie cię można zauważyć.

- Dobrze! Wiedz jednak, że muszę wyruszyć w drogę wcześniej od tych dwóch jeźdźców, którzy wybierają się do Ostromczy. A ty musisz pojechać razem ze mną!

- Ja? Dlaczego?

- Żeby odebrać złodziejom swoje pieniądze.

- Czyżby oni byli w Ostromczy?

- Mam wszelkie powody, aby tak przypuszczać. Każ zatem natychmiast osi~odłać wierzchowce i odprowadzić twojego konia razem z naszymi w takie miejsce, gdzie ci ludzie nie będą mogli ich widzieć. Gdy tylko uzyskam od nich potrzebne informacje, wyymknę się do twojej sypialni. Jeden z twoich parobków musi tam czekać, żeby nas zaprowadzić do koni, gdzie i ty potem szybko się zjawisz. A teraz oddal się, zanim oni wejdą. Udzielenie mu tych wszystkich wskazówek możliwe było tylko dzięki temu, że jeźdźcy nie śpieszyli się zbytnio do izby gościny. Powoli zsiadli z koni, po czym udali się do jednego z bocznych budynków, pewnie po to, „żeby zobaczyć, czy nie znalazłoby się tam coś, co mogliby zwędzić po kryjomu”, jak się wyraził Ibarek. Handzi oddalił się, a ja usiadłem wygodnie na ziemi pomiędzy ścianą z plecionki a wiązkami wikliny. Szczeliny w ścianie po-zwalały mi mieć na oku całą izbę.

Wtem usłyszałem zbliżające się kroki.

- Sihdi, gdzie jesteś? - rozległ się za wiązkami wikliny głos małego Hadzi Halefa.

- Tutaj siedzę. Czego chcesz? Co za nieostrożność z twojej strony!

- Phi! Jeszcze ich nie ma - stoją w stajni i przyglądają się koniom oberżysty. Powiedziałeś, że

ich znasz. Co to za ludzie - Czyżbyś ich nie rozpoznał? Przypomnij sobie gołębnik! Przy-

~,+ 294 głądałeś się przecież ludziom, którzy siedzieli tam pod nami w iz-bie?

- Na których zwalił się potem kot razem z okrągłakami, a tym kotem byłem ja! Tak, dokładnie przyjrzałem się tym ludziom.

- I tym dwóm obszarpańcom też, którzy siedzieli z lewej stro-ny pod ścianą? Byli braćmi!

- Ach, sihdi, teraz sobie przypomin:am. Jeden z nich miał pro- i""":~.. cę. Myślisz, że to oni?

- Tak, to oni. Dokładnie zapamiętałem ich twarze.

- O Allah! Mówili, że muszą jechać do Ostromczy, żeby za-meldować tym trzem łotrom, co się z nami stało, a może nawet; że wysłano nas na tamten świat.

- Taki mieli zamiar. Polecenie to otrzymali od Manacha el Barszy i Baruda el Amasada.

- A więc nie dotarli jeszcze do Ostromczy, a trzech bandyci, których ścigamy i którzy okradli Ibareka, wciąż jeszcze myślą,

1 że nie jesteśmy już na ich tropie. Sihdi, pozwól, że podsunę ci t S~ dobrą i mądrą propozycję! Czy nie moglibyśmy unieszkodliwić tych dwóch ludzi, których zamierzasz podsłuchiwać?

- I tak, i nie, drogi Halefie. Zabić ich nie możemy. Ale gdyby zaszła potrzeba, zadbamy a to, żeby nie zdążyli .w porę ostrzec uciekinierów w Ostromczy: A teraz odejdz, żeby cię przypadkiem któryś nie zauważył. Przekaż jednak handziemu, żeby postarano się zatrzymać tutaj tych gości możliwie jak naj-dłużej, kiedy on pojedzie z nami. Niech się ich tak ugości, żeby zabawili tutaj naprawdę dobrą chwilę. Chętnie zapłacę za wszyst-ko bez względu na koszty. Powiedz mu to, a teraz już idź!

- Tak, sihdi, już znikam, zdaje się, że ktoś nadchodzi.

Ostatnie słowa wypowiedział szeptem i wymknął się po cichu. I oto wreszcie pojawili się w izbie oczekiwani przybysze. Zastali pomieszczenie puste. Również Osko i Omar dawno się oddalili, a Ibarek zajął przed chwilą tylko po to, żeby zabrać dzban z pi-wem.

Teraz mogłem się przyjrzeć obydwu opryszkom lepiej niż przed-wczoraj wieczór. Mieli gęby prawdziwych szubieniczników. Są ludzie, po których natychmiast poznać, co powinno się o nich sądzić. I właśnie oni należeli do ludzi tego pokroju. Odzienie ich było nędzne, a poza tym brudne i podarte. Za to ich broń prezen-towała się tym lepiej i wydawała się utrzymana w dobrym stanie. Jeden miał zatkniętą za podarty pas procę, drugi natomiast nosił tak groźną swego czasu broń zbiegłych przed Turkami w lasy Serbów i Wołochów, a mianowicie hajducki czekan, któ-295 rego wygięty trzonek obciążony był skórą rekina. Znałem tę broń jedynie ze słyszenia, tu i ówdzie widziałem w zbiorach kilka okazów takich toporów, leez nigdy jeszcze nie byłem świadkiem ich użycia. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że w bardzo krótkim czasie stanowiąc będą dla ni.ej cel.

Rzezimieszki rozglądały się po izbie.

- Nikogo nie ma - burknął procarz. - Czyżby myślano, że nie możemy zapłacić za rakiję, której chcemy się napić?

- A czy musimy płacić? - zaśmiał się drugi. - Czyż nie ucie-kliśmy w lasy? Czyż nie posiadamy kopczy, których wszyscy się bają? Je'sli nie zapłacimy z dobrej woli, chciałbym widzieć takiego, który potrafiłby nas do tego zmusić!

- Nie wspominaj o tym! Jest nas tylko dwóch, a ten Ibarek to bogaty człowiek mający wielu parobków i najemników, którym nie dalibyśmy rady. Dla paru łyków rakii nie będę się narażał na niebezpieczeństwo. Ale to irytujące, że nikt się nami nie zajmuje. Czyżby uważali nas za włóczędzów?

- Hm. A czy jesteśmy kimś innym?

- Oczywiście, że jesteśmy, Jesteśmy bohaterami gór i lasów, którzy mają za zadanie pomścić

wyrządzoną im krzywdę.

- Zwykli ludzie mówią jednak „rozbójnicy”, a nie „bohaterowie”, co zresztą jest dla mnie rzeczą obojętną. A może w izbie nie ma nikogo tylko dlatego, że ci poczciwcy stoją za tymi ściankami, żeby podglądać nas przez szpary. Jeśli tak, to nie wyjdzie im to na zdrowie. Sprawdźmy!

Przybysze ruszyli wzdłuż ścian z plecionki. Kiedy doszli do ściany, za którą siedziałem, jeden z nich powiedział:

- Tu ~za tymi wiązkami łatwo mógłby się ktoś ukryć. Zaraz to wymacamy. Mój nóż jest wystarczająco długi.

Sposób ich zachowania się wskazywał wyraźnie, jakiego to pokroju ludzie. Urian wyciągnął nóż i dźgnął kilka razy pomiędzy wiązki wikliny, ale na szczęście za wysoko. Gdybym nie wpadł na pomysł, żeby usiąść, na pewno by mnie trafił.

- Nie ma nikogo - stwierdził z zadowoleniem mężczyzna. - Nikomu bym zresztą nie radził! Chodźmy!

Wrócili do izby gościnnej i głośno wołając domagali się obsługi. Wszedł oberżysta, pozdrowił ich i przeprosił w uprzejmych słowach, że nie mógł się pojawić od razu.

- Właśnie szykuję się do podróży - wyjaśnił. - Musieliście więc niestety poczekać. .

- Dokąd się wybierasz? - zapytał mężczyzna z procą.

- Do Tekirlik.

Ibarek był na tyle roztropny, że podał dokładnie przeciwny kierunek. Mimo to rzezimieszek dociekał dalej:

- Co tam będziesz robił? Wybierasz się tam w interesach?
- Nie, dla przyjemności. Co mam wam przynieść? ‘
- Rakiję. Przynieś jej jednak dużo. Jesteśmy spragnieni i chętnie zapłacimy.

Ci ludzie pili zatem wódkę, żeby ugasić pragnienie. Tak też można!

- Płacić? - odparł handzi z uśmiechem. - Jesteście dzisiaj moimi pierwszymi gośćmi, a z dawien dawna mam taki zwyczaj, że ca, którzy w tym dniu są u mnie pierwsi, dostają wszystko za darmo.

- Tak? A co to dzisiaj za dzień?

- Moje urodziny.

- Życzymy ci zatem szczęścia i tysiąc lat życia. A więc za to, co zjemy i wypijemy, nie musimy płacić?

- Oczywiście, że nie - uśmiechnął się Ibarek.

- W takim razie przynieś nam pełny dzban rakii. Napijesz się z nami.

- Nie mogę, bo zaraz muszę wyruszać. Zamierzam spędzić dzisiejszy dzień razem z moimi krewnymi, którzy mieszkają w Te-kirlik. Ale spełnię z wami toast.

Oddalił się, żeby przynieść wódkę.

- Ty - odezwał się rzezimieszek z hajduckim toporem - tra-ziła się nam gratka, nie?

- Pewnie - wyszczerzył z uciechy zęby drugi. - Ale się uruczymy.

- Kiedy sol~nizant dowie się po powrocie, ileśmy zjedli i wypili, nie będzie mógł powiedzieć, że nie umieliśmy jak trzeba uczcić jego urodzin.

Rad byłem, że oberżysta wymyślił dobry pretekst, żeby zatrzy-  
mać dłużej obydwu rzezimieszków. Teraz przyniósł dzban, który moim zdaniem był wystarczająco duży, by jego zawartością spało się  
dziesięciu mężczyzn. Do tego postawił na stole szklankę i chciał ją napełnić.

- Stój! - rozkazał procarz. - To naeżyńko w sam raz dla dzieci. A my jesteśmy mężczyznami i  
pijemy prosto z dzbana. Tego, co daje Allah, trzeba używać w całej pełni. Pociągnął dwa długie  
łyki, oderwał naczynie od ust, pociągnął jeszcze łyk, a potem zrobił minę, jakby popijał jakiś  
nektar. Jego kompan wziął z niego przykład, wypił nie mniejszą ilość, mlasnął językiem i podał  
dzban Ibarekowi.

-- Pij, przyjacielu! Ten orzeźwiający trunek nie ma sobie rów-nych na ziemi. Ale nie wypij za dużo, żebyśmy jako twoi goście nie byli pokrzywdzeni.

Handzi skosztował tylko i zapewnił:

- Nie będziecie pokrzywdzeni, możecie kazać, żeby wam na-pełniono dzban ponownie.
- Także wtedy; gdy ciebie już nie będzie?
- Ows~zem. Wydałem polecenie parflbkowi, który będzie was obsługiwał, żeby wam podał ws~ystko, czego zażądacie, o ile tylko jest.
- Jesteś pobożnym i godnym wyznawcą Proroka i wiesz żywot zasługujący na uznanie, za co anioł śmierci ułożył cię kiedyś na łonie Abrahama.
- Dziękuję wam. Teraz jednak już pójdę. A kiedy mnie nie będzie, zwracajcie się ze wszystkim do parobka.
- Gdzież on się chowa?
- Teraz jest na podwórzu. W domu nie ma nikogo. Ludzie są w polu, ale wkrótce wrócą.

Przebiegły oberżysta powiedział to, żeby umocnić ich w poczuciu bezpieczeństwa. Mieli być przekonani, że mogą rozmawiać swobodnie i głośno. ,

- W takim razie życzymy ci szczęśliwej podróży - rzekł wła-ściciel topora. - Wcześniej jednak chciałbym cię o coś zapytać.
- A mianowicie?
- Czy jakiś czas temu nie zajechali do ciebie trzej mężczyźni, trzej dostojni panowie?
- Hm! Zajeżdża da mnie wielu ludzi. Musielibyście mi tych trzech opisać bliżej.
- Nie jest to konieczne. Wystarczy, że ci powiemy, na jakich koniach jechali. To były trzy siwki.

- Ach, słusznie! Byli tutaj nie dalej niż wczoraj wieczór.
- Czy spali tutaj?
- Nie. Wprawdzie mieli taki zamiar, ale zasiedliśmy do małej gry w karty, która przeciągnęła się prawie do rana, a wtedy oni uznali, że lepiej od razu jechać dalej.
- Czy wymienili ci cel swojej podróży?
- Owszem.
- Może Ostromcza?
- O nie! Wybierali się do Dojran.
- Ach tak! Czy pojechali też w padanym kierunku?
- Naturalnie. Tak przecież powiedzieli. Dlaczego mieliby zmieniać zdanie? 298
- Słusznie! Zresztą pytałem o to tylko tak sobie. Ale to nie wszystko! Czy potem nie zajechali jeszcze do ciebie inni ludzie; którzy przybywali z tego samego kierunku?

Pytanie to odnosiło się do mnie i do moich towarzyszy. Wiedziałem, jak sam odpowiedziałbym na to pytanie. Ciekaw więc byłem, co odpowie Ibarek. W każdym razie najlepiej by było, gdyby przyznał, że byliśmy już u niego. A gdyby był bardzo przebiegły, mógłby powiedzieć; że pojechaliśmy za tamtymi trzema w kierunku Dojran. W ten sposób Ibarek wzbudziłby w pytających przekonanie, że tymczasem, to jest przez kilka dni, nie muszą się spodziewać z naszej strony żadnego niebezpieczeństwa. Nie sądziłem jednak, że będzie aż tak roztropny. Dlatego byłem przyjemnie zaskoczony dalszym przebiegiem rozmowy. Wbrew moim przewidywaniom handzi dowiadł, że potrafi być także bystry.

- Od wczoraj wieczór nie zawitali już do mnie żadni goście - oświadczył Ibarek. - Mówiłem wam już, że jesteście pierwsi.
- Hm! Ale ludzie, których mamy na myśli, z pewnością dotarli do Dabila.
- Może więc przejechali przez naszą miejscowość, nie zatrzymując się tutaj.
- Zapewne. To jest nam bardzo nie na rękę, gdyż chcielibyśmy ich dogonić. Koniecznie musimy z nimi porozmawiać.
- Czy byli to wasi znajomi?
- Nawet dobrzy przyjaciele.



- W takim razie musicie popędzić za nimi i nie możecie tutaj długo zabawić.
- Niestety! Tak chętnie uszanowalibyśmy twoją gościnność, kosztując twoich darów. Może spotkamy jeszcze tych czterech lu-dzi w Ostromczy.
- Było ich czterech?
- Tak.
- A jeden z nich jechał może na karoszu czystej krwi?
- Tak, tak! Widziałeś go?
- Oczywiście. I miał nawet dwie strzelby zamiast jednej?
- Zgadza się!
- A wśród trzech pozostałych był mały człowiek, który za-miast zarostu miał na brodzie dziesięć albo jedenaście długich cien-kich włosów?
- Dokładnie tak! A więc widziałeś ich. Ale gdzie, skoro nie zajechali do ciebie?
- Przed bramą. Stałem tam z moim sąsiadem, kiedy nadjechali.

Mieli zamiar zatrzymać się u mnie. Gdy pdwiedziałem im, że je-299 stem hand~zi, ten z ciemną brodą, który dosiadał araba, zapytał mnie, czy byli u mnie trzej mężczyźni, wszyscy na siwkach.

- Szejtan! Co mu odpowiedziałeś?
- Naturalnie prawdę.
- Oj, oj!
- Dlaczego biadasz?
- Tak mi się tylko wyrwało. Mów dalej!
- Człowiek ten zapytał mnie, kiedy było tutaj tych trzech, jak długo zabawili i dokąd pojechali.
- Ach, wyśmienicie! Co mu odpowiedziałeś?
- Wszystko, co wiedziałem. Powiedziałem mu, że ludzie, o któ-rych pytał, pojechali na południe do Dojran. Czy nie powinienem może tego robić?
- Ależ nie! Postąpiłeś bardzo słusznie. Co było potem?

- Jeździec powiedział, że musi szybko podążyć za nimi i dla tego nie może się zatrzymać u mnie. Wypytał się dokładnie o drogę, która prowadzi stąd do Dojran, po czym wszyscy odjechali galopem w kierunku Furkój. Pewnie bardzo im się śpieszyło.

- Zatem wiesz z całą pewnością, że pojechali na południe?

- Z taką samą pewnością, z jaką widzę ciebie przed sobą. Jeszcze przez długi czas tam stałem i patrzyłem za nimi, aż zniknęli za wzgórzem. Karosz tak mnie zachwycił, że nie mogłem od niego oderwać oczu.

- Tak, to wspaniały koń. Masz rację.

- Teraz i wy musicie pojechać do Dojran, skoro chcecie rozmawiać z tymi czterema mężczyznami.

- Owszem. Ale nie musimy się już śpieszyć. Ponieważ tam pojechali, wiemy, że będą na nas czekać.

- W takim razie rad jestem, że ich widziałem i rozmawiałem z nimi. Teraz jednak muszę już iść. Nie weźmiecie mi tego za złe, że nie mogę dłużej zostać z wami.

Na te słowa obaj zapewnili handziego w najuprzejmiejszy sposób o swej wdzięczności i pożegnali się z nim, jakby podarowali mu całą swoją miłość. Kiedy wyszedł, procar huknął pięścią w stół i zawołał:

- Ale mamy szczęście! Pozbyliśmy się już tego zmartwienia.

Nie pojechali do Ostromczy.

- Tak, możemy się z tego cieszyć. Bardzo mądrze ze strony Manacha el Barszy i Baruda el Amasada, że zmydlili oczy temu naiwnemu handziememu mówiąc, że wybierają się do Dojran! Teraz jadą tam te psie syny, które nas podsłuchiwały, ale na próżno będą ich szukać.

- Nigdy jeszcze nie byłem w Dojran i nie wiem, jak to daleko stąd.
- Myślę, że trzeba jechać siedem godzin. Przybędą tam dopiero ~ wieczorem. Rano zasięgną języka i wtedy pewnie się dowiedzą, że byli wodzeni za nos. W Ostromczy możemy się ich spodziewać nie weześniej niż pojutrze w południe. Możemy więc tutaj jeść i pić tyle i tak długo, jak nam się spodoba.
- A gdy oberżysta wróci dzisiaj?
- Nie przyjdzie mu to do głowy!
- Powinniśmy byli go jednak zapytać.
- Dlaczego?
- Gdybym wiedział, że wróci dopiero jutro, proponowałbym zo-stać tutaj cały dzień. Wszystko, czego zażądamy, dostaniemy za darmo. Coś takiego trzeba wykorzystać, ile się da.
- Niepotrzebnie się martwisz. Handzi tak czy owak zostanie tam do jutra.
- Tak sądzisz?
- Kiedy się obchodzi urodziny, główna uroczystość przypada na wieczór. -
- To prawda.
- A kiedy uczta dobiegnie końca, będzie już na pewno po pół-nocy. Czyżbyś sądził, że wtedy wsiądzie jeszcze na konia, żeby przez parę godzin jechać do domu?
- Masz rację - zgodził się drugi i pociągnął z dzbana potęż-ny łyk. - Handzi będzie jutro spał długo. Jego powrotu do domu należy się spodziewać nie wcześniej niż w południe. Możemy się więc tutaj rozgościć i zostać na noc. Tych przeklętych czterech ludzi nie ma się co obawiać i tym sposobem nie musimy się już śpieszyć.
- Dobrze! Zostańmy więc! Zasłużyliśmy na parę przyjemnych godzin. Kiedy myślę o przedwczorajszej nocy, wzbiera we mnie wściekłość. Ten człowiek, który dosiada karosza, który w dodatku jest ponoć chrześcijańskim psem, niewiernym, znajdował się w na-szych rękach, a my pozwoliliśmy mu uciec!
- Tak, to był niewybaczalny błąd. Jedno pchnięcie nożem, i gjaur byłby nieszkodliwy!
- Biada mu i jego towarzyszom, kiedy przybędą do Ostrom-czy! Przejadą się do piekła, wszyscy czterej!

- Hm! Nas dwóch ta sprawa w zasadzie nic nie obchodzi. Je-steśmy tylko posłańcami i za to nam płacą.

- Ale ten, kto mi płaci, jest moim przyjacielem i temu poma-gam. 301

- Przy zabójstwie też?

- Czemu nie, jeśli to przynosi pieniądze. Czy może to grzech zabić gaura?

- Nie, to nawet pożyte~czny uczynek. Kto zabija chrześcijani-na, wspina się dzięki temu o szczebel wyżej w kierunku siódmego nieba. Tak głosi stara nauka, której ludzie niestety nie chcą już słuchać. Ręka mnie swędzi, żeby wpakować kulę temu cudzoziem-cowi, kiedy pojawi się w Ostromczy.

- Zgadzam się z tobą.

- Pomyśl, jakie mielibyśmy z tego korzyści! Dobrze by nam za to zapłacono i wszystko, co by miał przy sobie, należałoby do nas. Sam jego koń wart byłby dla nas majątek. Zapłacono by nam za niego dużą sumę.

- Albo też ani grosza, bo obawiam się, że to nie my dostaniemy tego wspaniałego wierzchowca!

- Dlaczego?

- Manach el Barsza i Barud el Amasad będą tak samo mądrzy jak my.

- Hm! To prawda. Ale łatwo możemy ich przecież oszukać.

- W jaki sposób?

- Ukrywając przed nimi, że cudzoziemiec pojechał do Dojran.

Powiemy im tylko, że uciekł i prawdopodobnie skierował się do... do... do jakiejś miejscowości, której nazwę możemy jeszcze wy-myślić. A pojutrze pojedziemy w kierunku Dojran i zaczaimy się na niego.

- To świetny pomysł. Obawiam się tylko, że Manach i Barud nie dadzą się wywieść w pole.

- Musielibyśmy wtedy zabrać się do rzeczy w bardzo głupi sposób!

- Poza tym kto wie, ile to w ogóle potrwa, zanim ich znajdzie-my.

- Nie dłużej niż godzinę.

- Jestem przekonany, że nie będzie to takie proste. Wiemy tylko, że mamy się stawić w ruinie.

Ale tam możemy jeszcze długo szukać.

- Czyżbyś zapomniał, że mamy się zwrócić do starego Muba-reka?
- Pamiętam o tym. Ale po pierwsze nie wiadomo, czy przeka-zali mu naprawdę dokładnie miejsce swojego pobytu, a po drugie nie znamy tego starego.
- On też powinien mieć kopcze, tajną odznakę naszego zwią-zku. 302
- To jeszcze nie jest powód, żeby nam przekazywać każdą ta-jemnicę.
- W takim razie mamy hasło, które podał nam Barud el Ama-sad i przekaże też staremu Mubarekowi. Po nim stary pozna, że ma nam zdradzić lub pokazać miejsce pobytu ukrywających się. kE A więc znajdziemy ich natychmiast. Wcale się o to nie martwię. Nie wiadomo tylko, czy... ale spójrz, handzi wyjeżdża przez bramę! Wypij, żebyśmy się mogli przekonać, czy parobek rzeczywiście napełni nam dzban na nowo.

Pili i pili, i ku mojemu zdziwieniu, chciałbym niemal rzec prze-rażeniu, rzeczywiście opróżnili dzban. Wtedy jeden z nich pod-szedł do okna i zawołał, po czym zjawił się parobek, który otrzy-mał od swego pana niezbędne instrukcje.

Osobliwi goście usłyszeli od niego, że przyniesie im, czego zażą-dają, więc kazali mu najpierw napełnić dzban na nowo. Po dwóch dzbanach takiej raki nawet nosorożec musiałby się spić, tak więc byłem przekonany, że wkrótce zapadną w stan, w którym ich roz-mowa przestanie być dla mnie warta podsłuchiwania. Istotnie, kiedy przyniesiono im napełniony dzban, siedzieli obok siebie z rzadka się odzywając, patrzyli nieruchomo przed siebie i pili w krótkich odstępach czasu. Doszedłem do przekonania, że niczego więcej nie sposób się już od nich dowiedzieć, i postanowi-łem się oddalić.

# XV. WIELCE UDRFCZOI~TY SAPTIJE

Niezbyt byłem zadowolony z rezultatów podsłuchiwania. Cóż osiągnąłem? Wiedziałem teraz dokładnie, że Baruda el Amasada, Manacha el Barszy i zbiegłego wraz z nimi z Adrianopola więzien-nego dozorca należy szukać w ruinie w Ostromczy. Ale ruina mo-gła być bardzo rozległa. Może uciekinierzy bywali tam jedynie w nocy albo zgoła tyłka w określonych godzinach.

Następnie usłyszałem, że jest jakiś stary Mubarek, tak zwany

Święty, u którego wtajemniczeni wypowiadając jakieś hasło mogą się dowiedzieć, gdzie znajdują się trzej wymienieni mężczyźni. Ale kim był ów „święty”, który zajmował przypuszczalnie ważne stanowisko w hierarchi przestępczego związku? Gdzie można go było znaleźć? Też w ruinie? A jak brzmiało słowo, którym można się

303

było uwiarygodnić w jego oczach? Sądziłem, że łatwo będzie od-szukać „świętego”. Natomiast dowiedzenie siP hasła hvło z new-nością rzeczą trudną, jeśli nie niemożliwą. Może uda się jakoś zaskoczyć starega i tym sposobem wydrzeć z niego tajemnicę. B~łem przekonany, że abydwaj pijący w izbie gościnnej będą dla mnie do jutra nieszkodliwi. W krótkim czasie będą z pewnością tak zalani, że stracą zdolność logicznego myślenia. Przypuszczalnie nie będą już w stanie zamówić jedzenia i zostaną położeni w ja-kimś kącie, żeby się przespać i wytrzeźwieć po tęgim pijaństwie. Było to dla mnie bardzo korzystne, gdyż w ten sposób zbiegowie nie mogli zostać ostrzeżeni przed nami i czas od dzisiejszego popo-łudnia do jutra w południe - wcześniej bowiem nie należało się chyba spodziewać pijanych w Ostromczy - mogłem przeznaczyć na poszukiwanie trzech uciekinierów.

Teraz, kiedy nie było już co podsłuchiwać, wysunąłem się bez-szelestnie, czołgając się po ziemi, zza wiązek wikliny i przemkną-łem do sypialni. Pokój był zaryglowany od środka. Gdy zgodnie z miejscowym zwyczajem zaskrobałem w drzwi paznokciem, otworzył mi Halef. Razem z nim byli nasi towarzysze i parobek.

- Musieliśmy zaryglować drzwi, sihdi - wyjaśnił szeptem. - Hultajom mogło przyjść do~ głowy, żeby sprawdzić, czy kogoś tutaj nie ma.

- Bardzo słusznie. Gdzie są mieszkańcy domu?

- Ukryli się, bo handzi powiedział, że wszyscy są w polu.

- W takim razie ruszajmy w drogę. Ty idź przodem i staraj się, żeby nas nikt nie zauważył!

Parobek, do którego skierowane było to polecenie, poczekał, aż wyjdziemy, po czym zamknął drzwi, wyciągnął klucz i bezszelestnie ruszył przodem.

Drugi parobek, który obsługiwał gości, również był w pogotowiu. Wszedł do izby, gdzie popijali tamci, żeby głośną rozmową z nimi ściągać na siebie ich uwagę, dzięki czemu mogliśmy niepostrzeżenie wyjść z domu i znaleźć się na podwórzu. Stamtąd przeszliśmy szybko na tył budynku, a następnie parobek poprowadził nas kawałek w pała, gdzie czekał na nas Ibarek z kilkoma parobkami i naszymi końmi.

- Wreszcie! - powiedział. - Tobie czas się pewnie nie dłużył

; tak jak mnie. Teraz jednak ruszajmy już w drogę. Wsiadajcie na

konie!

I, - Wcześniej chciałbym zapłacić. Powiedz nam, ile jesteśmy

, winni!

304

- Wy mielibyście mi być coś winni? - zaśmiał się. - Nic, ani grosza!

- Nie możemy tego przyjąć!

- Ależ tak! Byliście moimi gośćmi.

- Nie. Przybyliśmy do ciebie bez zaproszenia i wszystko, cośmy zpieli i wypili, zamawialiśmy u ciebie.

- Efendi, czy chcesz mnie rozgniewać? Ty zamierzasz wyświadczyć mi nieocenioną przysługę, a ja miałbym żądać od ciebie pieniędzy za piwo i jaja? Nie uczynię tego w żadnym wypadku! Już przy pierwszym słowie przestałbym się upierać, lecz nie dałem od razu za wygraną jedynie ze względu na Halefa. Chciałem widzieć jego twarz, która bez przerwy ściągała się i dygotała. Pewnie obawiał się, że mimo wszystko zapłacę, i dlatego czym prędzej się wtracił:

- Sihdi, znasz Koran i wszystkie jego komentarze. Dlaczego postępujesz wbrew owym naukom objawionym przez anioła Gabriel? Czyż nie pojmujesz, że odtrącać otwartą, szczodłą rękę jest

czwem bezbożnym? Kto daje jałmużnę, daje ją Allahowi, a kto odtrąca dar, obraża Allaha. Mam nadzieję, że pażalujesz twardości swego serca i okażesz Prorokowi szacunek. Wsiadaj na konia i nie troszcz się o piastry, których nikt nie chce!

Wypowiedział te słowa z taką powagą i zapałem, jakby cho-dziło o potępienie lub zbawienie duszy. Śmiejąc się ustąpiłem i tyl-ko parobkom dałem bakszysz, kilka drobnych monet, z których bardzo się ucieszyli. A potem pojechaliśmy najpierw kawałek poza wioskP. rv następnie skręcić na drogę wiodącą do Ostromczy. Padaliśmy nią bardzo krótko. Kiedy wioska znalazła się za nami, zapytałem Ibareka:

- Czy to jedyna droga do Ostromczy?

- Ta jest najkrótsza. Inne są dłuższe.

- Poszukajmy takiej drogi! Tej chciałbym uniknąć.

- T~lacze~o?

- Ponieważ jutro, kiedy te dwa rzezimieszki podążą za nami...

- Jutro? - przerwał mi handzi.

- Tak, zamierzają u ciebie zostać tak długo, bo nie muszą nic płacić. Oczekują cię nie wcześniej niż jutro, ba ich zdaniem dziś wieczorem, w swaje urodziny, będziesz tego pił.

- A to łotry! Zrobię im niespodziankę i powiem, że wcale nie mam dzisiaj urodzin.

- Nie uczynisz tego. Również w twoim interesie leży, żeby ci dwaj nie dotarli do Ostromczy wcześniej niż jutro w południe. Zro-zumiesz to później. Kiedy potem wyruszą za nami, mogliby

20 W w~wozach Bałkanów 805 się przypadkiem dowiedzie~ć, że jednak pojechaliśmy do Ostromczy, a nie do Dojran. Mogłoby to zniweczyć wszystkie moje plany.

- Dobrze! Jeśli tak sobie życzysz, jedźmy inną trasą. Nieda-leko stąd odchodzi droga w lewo pomiędzy pola i łąki. Pojedziemy tak, żeby się znaleźć na gościńcu z Kusturlu.

Skręciliśmy zatem w bok. Jednakże to, co Ibarek nazwał gościń-cem, było wszystkim, tylko nie drogą. Po gruncie poznać było, że od czasu do czasu chodzą tędy ludzie, lecz o utartym szlaku nie mogło być mowy.

Po prawej i po lewej stronie rozciągały się pola uprawne, prze-ważnie tytoniowe. Dostrzegłem także parę małych, mizernych plantacji bawełny. Potem z kolei tereny nie nadające się pod upra-wę i



wreszcie las, przez który przejechaliśmy z braku lepszej ścieżki.

Do tej pory nie odzywaliśmy się do siebie, teraz jednak „ojciec zajazdu” nie potrafił już powściągnąć swojej ciekawości.

- Słyszałeś, jak rozmawiałem z tymi mężczyznami pijącymi rakiję? - zapytał.
- Nawet słowo nie uszło mojej uwagi.
- No i co, jesteś ze mnie zadowolony?
- Spisałeś się znakomicie. Muszę cię pochwalić.
- Rad jestem z tego. Niełatwo mi byia odgadnąć twoje ży~czenie.
- Wiem o tym i dlatego podwójnie ucieszyła mnie twoja bys-trość. Dowiodłeś, że jesteś szczwanym lisem.
- Efendi, nie posiadam się z radości, słysząc te słowa z twoich ust, gdyż twoja pochwała ma dziesięciokrotną wartość.
- Tak? Dlaczego?
- Bo jesteś uczonym, który zna wszystko, od słońca na niebie po ziarenko piasku, a poza tym bohaterem, którego nikomu jeszcze nie udało się zwyciężyć. Znasz cesarzy i królów, którzy darzą cię wielkim uznaniem, i podróżujesz pod opieką samego sułtana.
- Kto ci to powiedział?
- Jeden taki, który to wie.

Natychmiast domyśliłem się, że to mój mały Hadzi Halef znów zaczął się przechwalać. Nazywał siebie mym przyjacielem i opie-kunem, i im bardziej mnie wysławiał, tym większy był odblask, który musiał przy tym padać na niego. Jedno spojrzenie w jego stronę potwierdziło, że obawiając się burzy, zaraz na początku mowy Ibareka został nieco z tyłu.

To zaś, że handzi nie odpowiedział wprost na moje pytanie, było 306 dla mnie dowodem, iż Halef zabronił mu wymieniać swojego na-zwiska.

- Któż to taki, kto wie coś, o czym nawet ja nie mam pojęcia?
- dociekałem dalej.
- Nie wolno mi wymieniać jego nazwiska.

- Dobrze! W takim razie ja to uczynię. Czy powiedział ci, jak się nazywa?

- Tak, efendi.

- To bardzo długie nazwisko. Czy ten łotrzyk nie nazywa się czasem Hadzi Halef Omar... i tak dalej?

Iberek zmieszał się, zwlekając z odpowiedzią, lecz kiedy obrzuciłem go surowym spojrzeniem, przyznał:

- Tak, tak się nazywa.

- Cóż, w takim razie chcę ci powiedzieć, że okropny z niego łgarz.

- Efendi, mówisz tak przez skromność.

- Nie. Wybij to sobie z głowy! Wcale nie jestem skromny. Możesz to poznać choćby po tym, że zjadłem wspaniały omlet, nie płacąc za niego...

- Efendi, przestań! - wpadł mi w słowo.

- Nie, muszę mówić, żeby naprawić błąd tego Hadzi Halefa Omara. Kłamał jak najęty. Owszem, znam cesarzy i królów, ale tylko z imienia, i widziałem co prawda jednego czy drugiego, lecz oni wcale nie darzą mnie uznaniem. Nie znają nawet mojego nazwiska. Dla nich w ogóle nie istnieję.

Iberek spojrzał mi w oczy z taką miną, że bez trudu mogłem wywnioskować, iż dużo większą wiarę daje przechwałkom małego człowieka niż mojemu szczeremu wyznaniu.

- A co się tyczy mojej uczoności - ciągnąłem dalej - to wcale nie jest ona taka wielka. Ponoć znam wszystko, od słońca na niebie po ziarenko piasku? No cóż, ziarenko piasku znam tak samo jak każdy. Ale o słońcu wiem jedynie tyle, że ziemia krąży wokół niego, jaka nas dzieli od niego odległość, jaki ma obwód, jaki ma przypuszczalnie ciężar, jaką średnicę, jaki...

- Maszallah! Maszallah! - wykrzyknął mój rozmówca, spojrzał na mnie ze strachem i odciągnął swego konia od mojego.

- Dlaczego krzyczysz? - zapytałem.

- Naprawdę wiesz to? Wszystko, co teraz powiedziałeś?

- Oczywiście.

- Jaka odległość dzieli nas od słońca?
- Mniej więcej trzydzieści trzy miliony agacz.

a~^ 307

- O Allah, wallah, tallah! Efendi, boję się ciebie!

Wpatrywał się we mnie nieruchomym wzrokiem. Wtedy podjechał Halef, zatrzymał przy nas swego konia i rzekł:

- Och, mój sihdi wie jeszcze dużo więcej. Wie, że są takie gwiazdy, których w ogóle jeszcze nie widzimy, i że nie ma już pewnych gwiazd, które dostrzegamy jeszcze co noc. Sam mi to powiedział i wyjaśnił, ja jednak pozapominałem, gdyż moja głowa jest o wiele za mała na taką ilość słońc i gwiazd.
- Czy to rzeczywiście prawda? - wykrzyknął głośno Turek.
- Tak. Zapytaj go sam.

Usłyszawszy to Ibarek upuścił cugle na kolana, podniósł ręce do twarzy i trzymał je tak, że wszystkie dziesięć paznokci zwróconych było w moją stronę. W krajach śródziemnomorskich robi się tak, gdy człowiek chce się uchronić przed złym spojrzeniem i czarami.

- Nie! - zawołał przy tym. - Nie zapytam go. Nie chcę nic wiedzieć. Nie chcę się dowiedzieć niczego więcej. Niech Allah strzeże moją głowę od takich rzeczy i takich liczb. Pękłaby niczym stary mózdzierz, do którego napchano za dużo prochu. Lepiej jedźmy dalej!

Z powrotem pochwycił cugle i spiął konia, chcąc ruszyć z miejsca, a przy tym mruknął do mnie:

- A ty nazywasz Hadżiego łgarzem? Opowiedział o tobie jeszcze o wiele za mało!.

Uznałem za swój obowiązek przedstawić mu rzeczy we właściwym świetle.

- Ibarek - oświadczyłem - to, co słyszałeś ode mnie przed chwilą, wie w mojej ojczyźnie każde dziecko. ‘

Jednakże moje słowa nie odniosły zamierzonego skutku.

- Maszallah! - zawołał. - Dziękuję za taki kraj, w którym już dzieci muszą ważyć gwiazdy. Co za szczęście, że nie urodziłem się w Almanni! Szewc, od którego nauczyłem się warzyć piwo, nie mi o tym nie wspominał, i było to bardzo mądre z jego strony. Mówmy o czymś innym! Byłeś ze mnie zadowolony, co daje mi nadzieję na odzyskanie moich pieniędzy.

- Jeśli moja nadzieja mnie nie zawiedzie, otrzymasz je z po-wrotem.

- Nadzieja? Masz jedynie nadzieję?

- Tak. Cóż by innego?

- Myślę, że wiesz to dokładnie, efendi.

- Mylisz się:

- Nie, gotów jestem przysiąc, że wiesz to dokładnie. Kto umie na pustyni, w lesie i w polu czytać ślady ludzi, którzy już dawno

308 zniknęli, ten wie też dokładnie, gdzie są moje skradzione pieniądze.

Usłyszawszy te słowa, rozgniewałem się nie na żarty. Mały Hadzi swymi nie przemyślanymi przesadzonymi pochwałami łatwo mógł mnie wpakować w najgorszą kabałę.

- To naturalnie też ci powiedział Halef? - zapytałem Ibareka, po czym zwróciłem się do swego małego towarzysza:

- Halefie, dlaczego zostajesz z tyłu? Podjedź no tutaj!

- Co mam zrobić, sihdi? - zapytał usłuznie, mniej więcej tak jak pies, który wie, że jest wołany, żeby dostać lanie, a przy tym jednak merda ogonem.

- Masz dostać korbaczem, biczem z krokodylej skóry! Wiesz za co?

- Sihdi, nigdy nie uderzysz swego wiernego Halefa. Wiem

~4

o tym dobrze! ,i

- Na tym właśnie polega nieszczęście, że sądzisz, iż nie mogę e cię ukarać. Są jednak jeszcze inne kary niż chłosta. Kiedy my będziemy jeść pieczone kury, ty będziesz musiał obejść się smakiem! Powiedziałem to groźnym i zagniewanym tonem. Za pieczoną kurę oddałby pół życia! Halef jednak uśmiechnął się:

- Sihdi, wolałbyś sam nie jeść, a mnie dałbyś całą kurę.

- Milcz! Jeśli nic innego nie pomoże, odpędzę cię precz!

- Sihdi, wiesz przecież, że mimo to jechałbym za tobą. Jestem twoim towarzyszem. Razem cierpieliśmy głód i pragnienie, pociliś-my się i marzli, płakali i śmiali się - sihdi, dwóch takich ludzi bardzo trudno rozdzielić.

Pocziwy Hadzi miał oczywiście rację. Dobrze wiedział, co nastąpi, kiedy poruszy tę strunę. Mój gniew ucichł natychmiast.

- Ale przestań tak blagować, Halefie!

- Sihdi, czy to była blaga? Naprawdę o tym nie wiedziałem.

Ty jesteś jak trufla, która jest wielkim i kosztownym przysmakiem, ale chowa się w ziemi, żeby o niej nie gadano. Ja jeden cię znam, a ponieważ widzę, jak twoja twarz na powrót się roz-pogadza, moje serce znowu jest lekkie i radosne. Allah daje chmu-ry i Allah daje słońce. A człowiek musi brać, co daje Allah. Moja twarz rzeczywiście się rozpogodziła. Kto by zresztą potra-fił zachować powagę, gdy w tak dowcipny sposób porównuje się go z truflą. Musiałem się roześmiać, a mały Hadzi mi zawtórował. Za każdym razem była to niezawodna oznaka końca burzy, która zaczynała się od ciskania na niego gromów.

Pojechaliśmy dalej.

# Ze spojrzeń, jakie posyłał mi od czasu do czasu Turek, oraz

309 z faktu, że wciąż powstrzymywał nieco swego konia, zorientowa-łem się, iż czuje przede mną potężny strach.

Skończył się las i kłusowaliśmy teraz po rozległym równinnym ugorze, który dał naszym koniom pole do popisu. Wtedy cieka-wość handziega Ibareka obudziła się znowu.

- Efendi - zaczął - czy będę mógł jeszcze dziś wrócić do domu?
- Nie sądzę, gdyż chcesz przecież wziąć ze sobą swoje pie-niądze?
- Oczywiście.
- W takim razie będziesz chyba musiał pozostać dłużej. Naj-pierw musimy przecież dopaść złodziei, zanim będziemy mogli ode-brać im pieniądze.
- Ale ty wiesz, gdzie oni są!
- Nie daj się nabierać Hadziem. Wiem, że ukrywają się w Ostromczy, nic poza tym. Będę ich musiał poszukać.
- W takim razie zapytamy o nich.
- Nic by to nie dało. Zbiegowie wystrzegają się pewnie, żeby ich nikt nie widział.
- Wai! Więc my także ich nie znajdziemy!
- Może jednak znajdziemy. Mam ich trop.
- Tutaj na ziemi?

Ibarek słyszał od Halefa, że mam wprawę w czytaniu śladów. Teraz pomyślał zapewne, że coś takiego muszę mieć tutaj na zie-mi przed sobą.

- Nie - odpowiedziałem, wskazując przy tym na swoje czoło.
- Tutaj jest ślad, za którym będziemy podążać. Czy znasz może Ostromczę?
- Owszem. To przecież najbliższe miasto od mojej wioski.

- Czy jest tam góra, a na niej ruina?
- Cała kupa gruzów.
- Skąd one pochodzą?
- Dokładnie tego nie wiadomo. Bułgarzy powiadają, że mieli kiedyś wielkie królestwo i jeden z ich sławnych książąt mieszkał w tym zamku. Potem przyszli wrogowie, którzy zdobyli i zniszczyli twierdzę?
- Zapewne Turcy?
- Tak niektórzy sądzą. Inni powiadają, że to byli Grecy.
- Dla nas to nie ma znaczenia. Czy łatwo się dostać do tej ruiny na górze?
- Tak, bardzo łatwo.
- I wchodzenie na górę nie jest zabronione?

- Nie. Każdy może wejść. Niemniej jednak czynią to tylko nie-liczni.
- Dlaczego?
- Bo na górze mieszkają złe duchy.
- Ach tak! No cóż, przyjrzymy się im!
- Efendi, czyś ty oszalał?
- Bynajmniej. Zawsze pragnąłem zobaczyć takiego ducha. Te-raz cieszę się, że życzenie to ma się spełnić.
- Efendi, zaniechaj tego!
- Phi! Mimo to spróbuję.
- Zważ, że za dnia nie można znaleźć ducha!
- Nie będę go przecież szukał w dzień.
- O Allah! Chcesz wejść na górę w nocy?

~- Prawdopodobnie.

- W takim razie nie zejdziesz już nigdy na dół. Duchy cię za-biją!
- Ciekaw jestem, jak się do tego zabiorą.
- Nie drwij, efendi! Złe duchy niestety nie pytają o to, czy po-trafisz zmierzyć księżyc i gwiazdy. W ogóle nie będą o nic pytać, tylko złapią cię za czuprynę i przekręcą ci głowę, że będziesz miał twarz na plecach.
- Oho!
- Tak, tak! - zapewnił.
- Były już takie wypadki?
- Wiele!
- Na górze w ruinie?



- Tak. Pośród gruzów znajdowano rano ludzi, którzy mieli twarz przekreśloną na plecy.
- Czy ludzie ci byli w mieście znani?
- Nie. Zawsze to byli obcy. Tylko raz był to nowy policjant z Ostromczy. Mówił, że nie wierzy w duchy. Zatknął za pas nóż i pistolety i o zmroku wspiął się na górę. Następnego dnia leżał martwy tak samo jak inni. Twarz miał nabrzmiąłą i siną, a język wywieszony na brodzie.
- Dawno to było temu?
- Niespełna dwa lata. Sam widziałem tego szalenie odważnego człowieka.
- Kiedy jeszcze żył?
- Tak, a potem także jego zwłoki.
- Opisz mi je.
- Wyglądały okropnie!

- Czy to już cały opis? Szczególnie chciałbym się dowiedzieć, jak wyglądała jego szyja.
- Potwornie! Wyraźnie było widać, gdzie duchy wbiły swoje szpony.
- Jaki kształt miały ślady szponów?
- Przypominały długie, wąskie nabiegłe krwią odciski, z tyłu dwa, a z przodu cztery.
- Tak też myślałem.
- Widziałeś już kogoś zabitego przez duchy?
- Nie, nigdy. Duchy w mojej ojczyźnie nikogo nie zabijają.

Mają bardzo pokojową naturę. Dzielą się na trzy gatunki: łapidu-chy, pięknoduchy i lekkoduchy. Tylko pierwszy gatunek może być uciążliwy. Pozostałe są zupełnie nieszkodliwe.

- Jaka szczęśliwa jest twoja ojczyzna, że są tam tylko takie duchy! Nasze są o wiele gorsze. Od razu skręcają człowiekowi kark, powodując śmierć. Dlatego proszę cię na miłość Allaha, żebyś nie wchodził jednak nocą na tę złą górę, bo zniesiono by cię na dół jako trupa.
- Nie mówmy więc już o ruinie. Powiedz mi lepiej, czy znasz w Ostromczy człowieka, którego nazywają starym Mubarekiem?
- Jasne, że go znam.
- Czy ja też mógłbym się z nim zobaczyć?
- Jeśli jest w domu, to tak. Każdy może go odwiedzić.
- W takim razie ty też byłeś u niego?
- Często. Za jego lekarstwa zaniósłem mu niejednego piastra.
- Ach, czyżby więc był hekimem albo aptekarzem?
- On jest świętym.
- Ale święci nie handlują przecież lekarstwami?
- Dlaczego nie? Kto by mu tego zabronił? Przeciwnie, wszyscy się cieszą, że mamy tutaj Mubareka. Tam gdzie nie może pomóc żaden hekim ani aptekarz, on pomoże na pewno.

- A więc tobie także pomógł?
- Nawet często, mnie, moim ludziom, jak również mojemu by-dłu.
- Zatem jest lekarzem ludzi i zwierząt. To zdumiewające.
- Och, on sam jest jeszcze bardziej zdumiewający.
- Dlaczego?
- Ma przeszło pięćset lat.
- Nie wierzę.
- Nie mów tak, bo będziesz zgubiony!
- Czy to naprawdę takie niebezpieczne wyrażać się o nim ujemnie? 312
- Tak. Ma ducha, który wszędzie lata, żeby słuchać, co ludzie

;

mówią o starym Mubareku.

- Nadzwyczajne! Wiesz może, czy można zobaczyć tego ducha?
- Oczywiście! Ma go przecież przy sobie. To bardzo duży kruk, ‘~t:, . ~ i: : czarny jak noc.
- Hm! Czy nie ma też dużego czarnego kota?
- W rzeczy samej! Skąd o tym wiesz?

~ Tak tylko przypuszczam. Czy byłeś także w jego izbie, gdzie przygotowuje swoje lekarstwa? Czy nie widziałeś tam wypchanych ptaków i węży? I ropuch w słoikach? I nietaperzy, które wiszą pod sufitem?

Twą twarz Ibareka wyrażała coraz większe zdumienie.

- Efendi - zawołał - czyżbyś znał Mubareka?

- Nie.

- Ale wiesz, jak wygląda u niego.

~ To dlatego, że poznałem innych Mubareków.

- Czyżby każdy Mubarek miał taki pokój?

- Większość z nich ma takowe. Było też wielu, którzy twierdzili, że mają kilkaset lat. - Czy ten człowiek jest już u was długo?

- Nie. Dopiero od sześciu lat.

- Aha! A od kiedy mieszkają w ruinie złe duchy?

!I

- Och, one zawsze były.

-- I zawsze wykręcały ludziom szyje do tyłu?

- Nie. To zaczęło się dopiero przed kilku laty.

- Dziwne! Znasz może liczbę tych lat?

- Pierwszy, któremu duchy przekręciły iwarz na plecy, był Grekiem. Jeszcze w przeddzień chciał mi coś sprzedać, a następnego ranka leżał martwy poniżej ruiny. Od tamtego czasu, o ile mi wiadomo, upłynęło pięć albo sześć lat.

- A więc akurat tyle, ile Mubarek mieszka w Ostromczy. Czy ten święty ma może jeszcze jakieś inne szczególne właściwości?

- Owszem, nigdy nie je ani nie pije.

- A mimo to żyje?

- Mówi, że właśnie dlatego, że nic nie je i nie pije, dożył przeszło pięciuset lat. Allah nigdy nie je i dlatego jest wieczny. Mubarek nigdy też nie miał zębów, właśnie dlatego, że nigdy nie jadł.

- Zaczynam więc wierzyć, że jest wielkim świętym.

- Jest nim z pewnością. Allah go kocha i dlatego obdarzył go zdolnością znikania z ludzkich oczu.

313

- Naprawdę? Byłeś może kiedyś świadkiem, jak stał się niewidzialny?

- Tak sędzę.

- Opowiedz mi o tym!

- Wiedziałem, że syn mojego sąsiada jest chory i że ma do niego przyjść stary Mubarek. Mój harem skarżył się na ostre bóle głowy i chciał, żeby starzec przepisał mu jakiś amulet. Dlatego w czasie, kiedy miał przechodzić Mubarek, stanąłem przed bramą wjazdową. Gdy się pojawił, zawołałem na niego po imieniu, ale nie ! odpowiedział. Zawołałem na niego po raz drugi, a kiedy również nie odpowiedział, podszedłem do niego na drugą stronę drogi, pozdrowiłem go i rzekłem, że mój harem potrzebuje jego pomocy. Mubarek spojrział na mnie srodze rozgniewany i zapytał mnie, za kogo go uważam. A kiedy mu oświadczyłem, że jest sławnym świętym, wyśmiał mnie, ale w dalszym ciągu nie udzielił odpowiedzi i wszedł na podwórze sąsiada. Czekałem długo, lecz już się nie pojawił; z bramy wyszedł tylko o kulach jakiś kaleka, którego jednak nie widziałem wcześniej, żeby wchodził. Kiedy potem odwiedziłem sąsiada, żeby zapytać o świętego, powiedział, że w ogóle go u niego nie było. Przysięgałem, że widziałem go, jak wchodził, a sąsiad przysięgał, że był u niego tylko ten kaleka. Stary Mi.iba-rek natomiast zniknął. Co o tym sądzisz, efendi?

- Na razie nic.

- Dlaczego na razie?

- Żeby wyrobić sobie jakiś pogląd, trzeba by obserwować świętego przez dłuższy czas. Może jednak da się tę sprawę wyjaśnić w najprostszym sposobie.

- W jaki, efendi?

- Święty wszedł do twojego sąsiada od frontu, a wyszedł z tyłu.

- To niemożliwe. Podwórze mieści się od frontu, a za domem nie ma ogrodu ani żadnego wyjścia. Mógł wyjść jedynie przez bramę, przez którą widziałem, jak wchodził.

- Może się gdzieś ukrył?

- Ale gdzie? Domek sąsiada jest tak mały, że każdego, kto by się chciał tam schować, natychmiast by odkryto.

- W takim razie ta sprawa jest rzeczywiście w najwyższym stopniu tajemnicza. Nie potrafię jej

wyjaśnić.

- Można ją wyjaśnić, efendi, a nuanowicie tak, jak już mówi-łem. Mubarek potrafi znikać. Nie wierzysz w to? Cała ta historia była wielkim szwindlem. Ale czy miałem się - sprzeczać z handżim, który wydawał się mieć wprawdzie duże zdolności intelektualne, lecz mimo to tkwił głęboko w typowych 314 dla Orientu zabobonach? Może nawet byłoby dla sprawy lepiej, gdybym nie odwodził go od jego przekonania. Dlatego na wszelki wypadek zachowałem rezerwę.

- Kto nie zastanawiał się jeszcze nad podobnymi rzeczami, a po-za tym nie widział niczego w tym rodzaju, nie może w takim wy-padku powiedzieć ani tak, ani nie.

- Ja natomiast mówię tak - wtrącił się Haler, który wszystko słyszał, posyłając mi przy tym od czasu do czasu filuterne spoj-rzenie.

- Wierzysz w to? - zapytałem. - Dziwię ci się.

- Dlaczego, sihdi?

- Dlatego, że o ile mi wiadomo, też nie poznałeś jeszcze niko-go, kto miałby zdolność znikać z ludzkich oczu.

- Ja? Och, sihdi, w takim razie jesteś w błędzie!

- Czyżby? Kiedy zawarłeś tego rodzaju znajomość?

- Bardzo często, a ostatni raz dzisiaj.

Domyślałem się, że mały Hadzi znów zamierza spłatać jakiegoś figla. Dlatego też milczałem. Turek jednak natychmiast się zapa-lił. Sądząc, że może zdobędzie dowód na potwierdzenie swoich ba-jek, zapytał prędko:

- Dzisiaj? Czyżby w drodze?

- O nie!

- W takim razie pewnie u mnie?

- Odgadłeś.

- Allah! U mnie był ktoś, kto też tak szybko zniknął?

- Owszem, u ciebie.

- Czy ja też go widziałem?

- Naturalnie.
- Czyżby jeden z tych dwóch włóczęgów?
- Gdzieżby im to przyszło do głowy.
- No więc kto?
- Omlet. Wyraźnie widziałeś, jak wchodzi we mnie, a potem nagle zniknął.

Iberek zrobił najpierw zdumioną, potem zawiedzioną, a w końcu rozgniewaną minę i zawołał do małego człowieka:

- Hadzi Halefie, podobno byłeś w Mekce, mieście Proroka?
- Tak jest.
- Nie wierzę w to, ponieważ pobożny hadzi nie znajduje upodobania w takich drwinach z wiernego wyznawcy Proroka. Uważałem cię za porządnego, dobrego człowieka, a z ciebie kawał nicpo-nia, któremu tylko żarty w głowie.

- Posłuchaj, synu tej pięknej rzecznej doliny, czy wiesz, jak się nazywam?
- Słyszałem przecież.
- No więc jak?
- Halef.
- Halef to imię, którym mogą mnie określać tylko najbardziej zaufani przyjaciele. Dla innych natomiast nazywam się Hadzi Ha-lef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah. Zapamiętaj to sobie!
- Takiego długiego nazwiska nikt nie potrafi zapamiętać, a przynajmniej ja.
- Dowodzi to tylko tego, że twój rozum jest bardzo krótki.

Mam nadzieję, że jednak nie za krótki, by uchwycić rzecz następującą: Jestem pobożnym wyznawcą islamu, ale wiem, że życie nie może się składać z samych modłów. Allah chce, żeby jego dzieci się cieszyły. A więc to nie grzech pozwolić sobie na żart, który nikomu nie czyni krzywdy. Jeśli jednak z powodu takiego drobne-go żartu od razu nazywasz mnie nicponiem, to jest to dla mnie obrazą, którą właściwie można zmasać tylko krwią. Ponieważ jednak jesteś naszym gospodarzem i musimy ci być wdzięczni, przełknę tę gorzką pigułkę i ci wybaczę.

Wygłosił tę przemowę tak pociesznie, że handzi musiał się ro-ześmiać. Tym sposobem dokonało się pojednanie.

- Czy ty także uważasz moje zapatrywania za śmieszne? - za-pytał mnie Ibarek.
- O nie! Może spotkam starego Mubareka i wtedy niewykluczo-ne, że wyrobię sobie jakiś pogład. Właściwie gdzie on mieszka?
- Na górze.
- Ach! Czyżby przy ruinie?
- Nie przy, tylko w samej ruinie.
- To jest... tak, to oczywiście dla mnie bardzo wa'zne. A dla-czego zamieszkał na górze?
- Żeby zaklinać złe duchy.



- Czego jednak nie udało mu się niestety dokonać.
- Przeciwnie!
- Wszak duchy pojawiają się nadal i przekręcają ludziom twarz na plecy.
- Tylko niektóre z nich. Te duchy są bardzo potężne. Nikt, na-wet Mubarek, nie potrafi od razu ich wszystkich zmusić do znik-nięcia, zwłaszcza że jest tylko jedna noc'w roku, kiedy można dać radę duchom.
- Która to noc?

- Nie wiem. W każdą z tych nocy staremu udało się pokonać jednego ducha, czyli rocznie jednego.
- A więc w sumie sześć?
- Tak. Jeśli chcesz je zobaczyć, zostaną ci pokazane.
- Ach, zatem w dodatku je widać?
- Ich zwłoki.
- A więc awe duchy miały też ciała?
- Tak, w przeciwnym razie nie mogłyby się przecież ukazywać śmiertelnikom! Zwykle nie mają ciała, ale kiedy chcą być widzialne, wtedy potrzebują go, i właśnie w tym ciele można je schwytać” zatykając w nim wszelkie atwory, żeby nie mogły się już wydostać.
- To dla mnie coś nowego. Obejrzę sobie zwłoki tych sześciu duchów.
- Zaprowadzę cię do nich. Również na górę i do ruiny pójdę z tobą, jeśli tego zażadasz, ale tylko w dzień. W nocy nikt mnie nie skłoni do wejścia na górę.
- Może nikt nie będzie zresztą wymagał od ciebie takiego bo-haterstwa. Ale chciałbym cię jeszcze zapytać a coś innego. Czy byłeś już kiedyś w Radowicz?
- Tak, nawet bardzo często, i dalej też.
- Czy znasz miejscowość Szigancy?
- Byłem tam krótko tyłka raz. To mała miejscina, która leży pomiędzy dwiema rzekami.
- Znam nazwy obydwu tych rzeczulek. To Bregalnica i Sletowska. A znasz może tam niektórych ludzi?
- Niewielu.
- Może rzeźnika Czuraka?
- Jego nie znam.
- Szkoda! Chciałem dowieść się od ciebie czegoś na jego temat.
- Zapytajmy więc o niego w Ostromczy. Na pewno znajdę ko-goś, kto go zna.

- Lepiej zostaw to mnie! Należy się da tego zabrać wyjątkowa ostrożnie. Nikt n,ie może się dowiedzieć, że się nim interesuję. Dalej na północ w okolicy Szigancy ma się znajdować miejsce nazywane „Chatą w Wąwozie”. Czy słyszałeś już może tę nazwę?
- Możliwe, że słyszałem, ale nie mogę sobie przypomnieć.
- Niech więc będzie tak, jakbym cię o to nie pytał.
- Czyżby związana z tym była jakaś tajemnica?
- W rzeczy samej.
- Popatrz, zatem ty również masz tajemnice, tak samo jak stary Mubarek, którego siły cudotwórcze jeszcze cię zadziwią!

- Tak, tak! Czy on naprawdę jest taką niezwykłą istotą?
- Jeszcze jak! Na przykład jest taki suchy, że kiedy idzie, sły-chać, jak grzechoczą mu kości.
- Niemożliwe!
- Mówię prawdę. Każdy już to słyszał!
- Ty też, Ibareku?
- Ja też, na własne uszy!
- W takim razie jestem ciekaw, czy i ja usłyszę to grzechotanie.
- Z całą pewnością, jeśli się dobrze wsłuchasz.
- A jak się ubiera?
- Ma tylko trzy sztuki odzienia, a mianowicie stary szal jako pas zakładany na gołe ciało, stary szeroki kaftan i starą chustę okręcaną wokół głowy.
- Nie nosi żadnych butów ani sandałów?
- Nigdy, nawet w zimie.
- Nie wydaje się więc zwolennikiem zbytku w jakiegokolwiek postaci. - Ale stój, co to? Ktoś musi się tu ukrywać. Znaleźliśmy się w terenie porośłym rzadkimi kępami krzaków. Kary wydał parsknięcie, znak, że w pobliżu jest jakiś abcy czło-wiek.

Zatrzymałem konia i rozejrzałem się dokoła. Nikogo nie było widać. Moi towarzysze również się zawahali.

- Jedźmy dalej! - rzekł Turek. - Co nas to obchodzi, czy ktoś się tutaj ukrywa?
- Chciałbym wiedzieć, kto jest za nami - zaprotestowałem.
- Więc pewnie zechcesz go jeszcze poszukać?
- Nie. Mój koń mi to powie.
- Allah! Może go zapytasz, efendi?

- Oczywiście.
- A on ci odpowie?
- Jasno i wyraźnie.
- Tak samo jak oślica Balaama! Toż to prawdziwy cud!

A w moje cuda nie chcecie wierzyć!

- W tym wypadku nie jest to żaden cud, gdyż kary odpowiada mi nie w moim, tylko w swoim języku, o czym się zaraz przekonasz. Uważaj!

Rozmawialiśmy cicho. Popędziłem swego konia parę kroków do przodu, a on posłuchał mnie bez najmniejszego sprzeciwu. Również w lewo poszedł chętnie. Kiedy jednak patem skierowałem go w prawo, Rih parsknął kilka razy, strzygł uszami i wywijał ogonem w koło.

- Teraz widzisz! - wyjaśniłem handźiemu. - Z prawej strony ktoś jest. Powiedział mi to mój karosz. Sprawdzę. Spodziejając się prawie na pewno, że znajdę jakiegoś włóczęgę, wprowadziłem ogiera między krzaki. Po kilku krokach ujrzałem mężczyznę, którego zwietrzył mój koń. Nosił mundur i broń saptije, leżał sobie wygodnie w miękkiej trawie i palił czubuk. Jego zadowolona mina zdradzała, że żyje w najlepszej przyjaźni z Bogiem, światem i pewnie także z samym sobą. Nawet nieoczekiwane pojawienie się pięciu mężczyzn konno nie wytrąciło go, jak się zdaje, z równowagi. W każdym razie zaskoczyliśmy go na intensywnym zbijaniu bąków.

- Allah z tobą! - pozdrowiłem go.

- I z wami! - odpowiedział.

Ujrzał bowiem pozostałych, którzy pojawili się za mną.

- Kim jesteś, przyjacielu? - zapytałem.

- Policjantem sułtana, któremu poddany jest cały świat. Niech Allah go błogosławi!

- Słusznie! W takim razie część tego błogosławieństwa spada również na ciebie.

- Ale bardzo skromna! A i ta ezątka nie jest wypłacana punktualnie.

- Gdzie jesteś zatrudniony?

- W Ostromczy.

- Ilu masz tam kolegów?

- Jeszcze dziewięciu.

- A więc jest was dziesięciu saptije. Dużo macie pracy?

- Bardzo dużo. Ludzie są źli. Czyny niesprawiedliwych nie pozwalają nam zaznać snu ani spokoju. Dzień i noc jesteśmy na nogach, żeby tropić przestępstwa.

- Wydaje mi się, że właśnie cię zaskoczyliśmy na takiej bieganinie.

Pomimo tego szyderstwa nie dał się wyprowadzić z równowagi; tylko rzekł obojętnym tonem:

- Biegłem tak, że aż się spociłem, co prawda tylko w myśli.

Ale myśli są szybsze od ludzkich nóg. Dlatego lepiej gonić przestępców myślą niż na piechotę. Wtedy żaden nie umknie.

- Masz znakomite podejście do swych powinności.

- Tak, zawsze je traktuję poważnie, gdyż jest to mój obowiązek.

- I właśnie kogoś ścigałeś?

- Czy to cię jakoś dotyczy?

- Nie.

- Więc dlaczego pytasz?

- Ba mi się podobasz, a poza tym jesteś filozofem, od którego można się uczyć.
- Nie wiem dokładnie, kim jest ten Fajlesuf, ale pewnie go już kiedyś widziałem. Z twoich słów łatwo odgadnąć, że to mądry i zna-komity człowiek, gdyż powiadasz, że można się od niego uczyć. Dlatego cieszę się, że wyświadczasz mi zaszczyt, porównując mnie z nim. Masz dobre maniery i doskonale wiesz, jak się zachować. Pochodzisz stąd?
- Nie. Pochodzę z pewnego odległego kraju, który leży daleko na zachodzie.
- Ach, znam go! Nazywa się Hindustan.
- Jesteś wyśmienitym geografem, ale ja szukałem zachodu w innym kierunku.
- Nie, zachód leży w Hindustanie. To jedyny kraj, gdzie może leżeć zarhód; poza tym nigdzie nie ma dla niego miejsca. Ale skoro nie jesteś stąd, mój obowiązek wymaga, żebym cię zapytał o paszport. Masz takowy?
- W kieszeni.
- Pokaż mi go!

Ponieważ przy tym wezwaniu mężczyzna spokojnie leżał dalej i pociągał fajkę, zapytałem:

- Nie podejdziesz, żeby go obejrzyć?
- Nie, to się nie godzi. Nie mogę przecież obrażać swojej god-ności.
- Słusznie! Tyle że ja swajej też.
- W takim razie nasuwa się pytanie, czyja godność jest więk-sza. Tak czy owak moja.
- Dlaczego?
- Po pierwsze ja jestem policjantem, a ty cudzoziemcem. Po drugie twoja ojczyzna leży na jakimś zupełnie fałszywym zacho-dzie; muszę więc przyjąć, że wszystko u was jest fałszywe, pa-~szporty też. A po to, żeby obejrzyć fałszywy paszport, nie pod-niosę nawet palca, a tym bardziej całego ciała. Musiałem się głośno roześmiać.
- Jesteś urzędnikiem jedynym w swoim rodzaju. Twoje po-glądy na temat własnych obowiązków są tak doskonałe, że na-leżałoby przypuszczać, iż podsunął ci je sam Prorok.



- Jeśli tak uważasz, to zsiądź z konia i wylegitymuj się!

Rzeczywiście zsiadłem, wyciągnąłem srebrną monetę, wręczyłem mu ją i powiedziałem:

- Oto mój paszport.

Przyjrzał się monecie zrobił mile zdziwianą minę, po raz pierw-szy wyjął fajkę z ust i zawołał:

- Dziesięć piastrów! Prawdziwe?

- Przyjrzyj się bliżej!

- Nigdy w życiu nie przytrafiło mi się jeszcze coś takiego, nawet w Stambule. Efendi, twoje maniery są jeszcze lepsze, niż sądziłem. Osiągnąłeś najwyższy stopień ogłady, i wszystkie raje staną kiedyś przed tabą otworem.

- Uważasz więc, że ten paszport jest dobry?

- Bardzo dobry. Nie jest fałszywy, jak się początkowo obawiałem. A twoi towarzysze się nie wylegitymują?

- Nie jest to konieczne.

- W jakim sensie?

- Przyjrzyj się mojemu paszportowi dokładniej! Jest wystawiony na nas wszystkich.

- To nie w parządku. Padyszach powinien wydać rozkaz, żeby każdy cudzoziemiec z osobna musiał się legitymować takim paszportem.

- Może tak jeszcze uczyni. A zatem byłeś w Stambule?

- Mieszkałem tam wiele lat.

- Od kiedy jesteś tutaj?

- Dopiero od dwóch tygodni.

- W takim razie to zrozumiałe, że nie znasz jednego z moich towarzyszy, który mieszka w tych stronach. - To mówiąc wskazałem na handziega. - Widzisz więc, że nie wszyscy jesteśmy tu obcy. Czy pozwolisz nam teraz podróżować dalej? Wbrew swemu pytaniu miałem zamiar zatrzymać się dłużej.

Odpowiedział tak, jak się tego spodziewałem.

- Bardzo chętnie. Ale jeśli chcesz, możecie jeszcze zostać tu-taj trochę. Lubię rozmawiać z

ludźmi, których obejście przypada mi do gustu.

- Nie mniej spodobało mi się twoje zachowanie. Czy mógłbym się dowiedzieć, kim był ów człowiek, którego przedtem z takim zapałem ścigałeś w myśli?

- Chętnie wyświadczyłbym ci tę grzeczność; ale mówienie sprawia mi trudności.

- Nie odniosłem takiego wrażenia.

- A jednak! Kiedy się w myśli tak pędzi, człowiek się poci i traci ;dech w płucach. Czy nie masz czegoś, co ochłodziłaby mój rozgrzany język?

Właściwie zrozumiałem jego intencję, mimo to zapytałem:

# 21 W wąwozach Bałkanów 321

- Czego najchętniej używasz w tym celu?
- Najlepszy byłby zimny metal, na przykład kawałek; i srebra.

To chłodzi wyśmienicie.

- Jaki duży musiałby być ten kawałek?
- Bezzyk - pięć piastrów.
- W takim razie bez trudu będę mógł ci pomóc. Mam coś ta-kiego!

Wyciągnąłem pięciopias~trówkę i podałem mu. Schował ją do pasa zamiast położyć na swym gorącym języku i uśmiechnął się.

- Teraz łatwiej mi mówić. Bardzo to dziwna sprawa. Kto tego nie daświadczył, nie potrafi zrozumieć. Kiedy miesiącami trzeba czekać na swój żołąd, to niełatwo człowiekowi żyć, a także mówić, zwłaszcza gdy ktoś musi wykonywać takie skoki jak ja. Otóż mam ująć nie jednego, ale trzech prze~stępców.

- To wysokie wymaganie!

- Tak wysokie, że dziś ad samego rana leżę tutaj i zastana-wiam się, jak zabrać się do rzeczy, żeby schwytać tych łotrów. Czy to nie męczące?

- Bardzo.

- Mam jednak nadzieję, że w tych dniach przyjdzie mi do gło-wy jakiś dobry pomysł.

- Ale czy nie przypuszcza się, że ścigasz przestępców?

- Przecież ścigam!

- Tak, w myśli! Lecz chyba sądzi się, że ścigasz ich także na nogach.

- Nie, żaden rozsądny człowiek tak nie pomyś,li. Gdybym na-wet biegł od samego rana bez wytchnienia, byłbym teraz zmę-czony i zmordowany, a i tak nie złapałbym przestępców. Woląłem więc pałożyć się tutaj i zastanawiać się, jak daleko mogli już dotrzeć.

- Czy nie wiesz, dokąd uciekli?

- Kto by to wiedział? Powiedziano, że skierowali się w stronę Dojran. Kto jednak ma dość oleju w głowie, ten stwierdzi, że nie mogli zdradzić, dokąd się naprawdę udadzą po dokonanym przestępstwie.

- W tym punkcie masz całkowitą rację. Czy nie udzielono ci żadnych wskazówek?

- Ależ tak! Wszyscy trzej jada na siwkach i ukradli sto funtów oraz parę rzeczy ze złota. Teraz właśnie zastanawiam się nad tym, jak przy pomocy siwków i tych stu funtów dobrać się hultajom do skóry.

Powiedział to z taką pocieszoną autoironią, że omal nie roze-śmiałem się głośno.

- W takim razie pewnie wszyscy twoi kaledzy zajęci są tak samo jak ty i zastanawiają się nad tymi siwkami? - pytałem dalej.
- Ani im to w głowie, gdyż w ogóle o tyrn nie wiedzą.
- Czy naczelnik policji nie powiedział im o tym?
- Nie.
- A więc nie wysłał ich również za złodziejami?
- Nie.
- Powinien jednak to uczynić!
- Tak sądzisz? W tym punkcie saptije mudiri jest innego zda-nia. Wezwał mnie, bo jestem jego najlepszym i najbardziej by-strym tropicielem, i dał mi sześć dni do zastanowienia się nad tą sprawą. Mam nadzieję, że uda mi się tego dakonać tutaj. Dla-tego wycofałem się w adludne miejsce i teraz poważnie naradzam sZę ze sobą. Moi koledzy nie wiedzą o niczyrn, bo nie wolno tej sprawie nadawać rozgłosu. Gdyby złodzieje dowiedzieli się, że ich ścigamy, uciekaliby coraz dalej i nic byśmy wtedy nie wskó-rali.
- A jeśli do tego czasu wydadzą pieniądze?
- To znaczy, że taka była wola Allaha, i żaden mądry czło-waek nie będzie pratestował.

W trakcie całej swojej rozmowy z akim prawa widziałem, że Ibarek w środku aż kipi. Był święcie przekonany, iż cała policja jest na nogach, by pomóc mu odzyskać skradzione pieniądze. Te-raz ku swemu zdziwieniu musiał się przekonać, że tylko jeden policjant został poinformowany o sprawie, a w dodatku ten jeden dostał sześć dni czasu, ale bynajmniej nie na to, żeby sprowadzić złodziei, lecz żeby zastanowić się nad tym zadaniem! Człowiek ten udał się w odludne miejsce, gdzie wiódł sobie spokojny żywot, ~osłodzony jeszcze przez czubuk. I, jak się nie-frasobliwie wyraził, gonił złodziei w ~myśli.

Dla okradzonego było tego za wiele. Kilka razy chciał s~ię już włączyć do rozmowy, lecz pawstrzymały go od tego moje pro-szące gesty i spojrzenia.

Teraz nie mógł już jednak opanować swego gniewu. Ibarek ze-skoczył z konia, podszedł do pociągającego fajkę sługi sprawiedli-wości i zawo~łał:

- Co mówisz? Allah tak chciał?
- Owszem - patwierdził zapytany, niczego nie przeczuwając. zi^ 323
- Żeby pieniądze zostały wydane?
- Skoro zniknęły, to ta~k właśnie chciał.
- Tak! Pięknie! Wspaniale! A wiesz, gdzie pieniądze zostały skradzione?
- Wydaje mi się, że w Dabila.
- Mnie też się tak wydaje. A komu?
- Jakiemuś człowiekowi, który nazywa się Ibarek.
- Znasz go?
- Nie.
- Więc powinieneś go poznać!
- Niewykluczone! Kiedy przyprowadzę mu złodziei.
- Nie! Zaraz go poznasz! Otóż ja nazywam się Ibarek i jestem człowiekiem, którego okradziano!
- Ty? - zapytał saptije ze zdumieniem, nie ruszając się jed-nak z miejsca. - To dobrze! Cieszy mnie to! Muszę ci powiedzieć coś ważnego.
- Co mianowicie?
- W przyszło~ści nigdy nie chowaj pieniędzy tam, gdzie mogą je znaleźć złodzieje.
- Maszallah! Co za człowiek! Efendi, co ty na to? Co mam zrobić?

Te gniewne pytania skierowane były do mnie. Lecz nie zdą-żyłem na nie odpowiedzieć. Mój mały Hadzi pękał wprost ze złości, widząc zachowanie i niewzruszony spokój policjanta. Choć rzecz nie dotyczyła go osobiście, był człowiekiem nazbyt porywczym, żeby przyglądać się spokojnie takiej bezczelności. Już od dłuższego czasu wiercił się niecierpliwie w siodle. Teraz jednak zeskoczył z konia, stanął nad saptije i krzyknął:

- Co masz zrobić? Zaraz ci pokażę! Czy wiesz, jak trzeba się zachowywać w stosunku do dostojnego efendi z obcego kraju i je~go towarzyszy?

- Wiem dobrze, ale dlaczego tak na mnie ryczysz?

- Bo tego nie wiesz i dlatego, że zamierzam cię tego nauczyć.

W tej chwili wstawaj!

Halef wypowiedział te słowa rozkazującym tonem. Stróż bez-pieczestwa publicznego uśmiechnął się do niego z pogardą i prze-krzywił głowę.

- Co mówisz, mały człowieczku?

To określenie było rzecz jasna obrazą dla małego Hadziego. Nigdy jeszcze nie pozwolił się bezkarnie nazywać małym czło-wieczkiem.

- Kim jestem? - zapytał z wściekłością. - Małym człowiecz-

324 kiem? Pokażę ci, jaki jestem wysoki i długi, kiedy dołożyć do tego „:~..;” długość mojego bicia. Wstawaj, bo ci pomogę!

Wyszarpnął zza pasa bicz z krakodylej skóry.

Dopiero teraz spokój saptije z~tał zachwiany. Usiadł, uniósł groźnie ramię i ostrzegł:

- Odłóż bicz! Tego już nie zniosę, karle!

- Co? W dodatku jes~tem karłem? Poczekaj, karzeł zaraz ci dowiedzie, że bardzo dobrze będziesz znosił bicz. Masz - masz - mas~ - masz - masz!

Halef zamachnął się, po czym przy każdym „masz” na plecy ‘ mężczyzny spadał ze świstem rzemień.

Policjant siedział jeszcze przez kilka sekund, osłupiały ze zdu-mienia śmiałością Hadziega. Potem nagle skoczył na równe nagi, rycząc z wściekłości jak byk, i z pięściami rzucił się na Halefa. Spokojnie stałem z baku, opierając się ramieniem o siodło swo-jego konia. Saptije był silnym mężczyzną, ale ani mi było w gło-wie śpieszyć z pomocą memu Hadziemu. Znałem go. Teraz, kiedy wziął sprawę w swoje ręce, a raczej na swój bicz, doprowadzi ją także do końca. Wtrącanie się kogokolwiek, nawet mnie, uznałby za obrazę. A przekonany byłem o tym, że pomimo skromnej po-stury posiada większą siłę fizyczną i znacznie większy spryt niż policjant.

Chłostany pragnął rzucić szę na Halefa, lecz już po pierwszym kroku zato~czył się w tył, gdyż mały człowiek przywitał go ciosami na krzyż, następującymi po sobie tak szybko, że bicz tworzył po-



niekąd ścianę, przez którą przeciwnik w żaden sposób nie mógł się przedrzeć.

Spadał na niego grad uderzeń: na plecy, na ramiona, na ręce, na jego boki, biodra i uda. Razy oplatały formalnie jego ciało jak sieć. A przy tym mały Hadzi przezornie wystrzegał się zadawania ciosów w twarz i w agóle w głowę. Im mniej policjant mógł się bronić, tym głośniejsze stawało się jego wycie. W końcu stał zupełnie spokojnie, bez najmniejszego ruchu przyjmował ciosy i ryczał przy tym jak tygrys.

- No! - zawołał wreszcie Halef, opuszczając bicz. ~ Dostałeś zapłatę za dobrą radę, którą chciałeś dać okradzionemu, . Teśli masz jeszcze w mózgu więcej takich mądrości; to tylko powiedz! Na-leżnaść będzie wypłacana natychmiast: A jeśli po raz drugi miał-byś zamiar nazwać mnie karłem, to uczyn to, byle prędko. Mam jeszcze trochę czasu, żeby przedłużyć wypłatę!

Policjant nie odpowiadał. Wił się w bólach. Jego wściekłe spoj-rzenia przeszywały małego ezłowieka. Wyjąkał tylko kilka nie-325 zrozumiałych .dźwięków. Poteni jednak nagle przypomniał sobie, jak się zdaje, o godności swojego urzędu i stanu. Wyprostował się i zawołał:

- Cudzoziemcze, musisz być szalony! Jak możesz bić sługę suł-tana?

- Zamilcz! Wychłostałbym samego sułtana, gdyby ośmielił się zachować wobec nas tak jak ty. Kim ty właściwie jesteś? Żołnie-rzem, policjantem, sługą każdego poddanego! Nikim więcej, ni-kim!

Wyglądało na to, jakby Halef miał wielką ochotę puścić w ruch bicz po raz drugi. Do tego jednak wychłostany saptije nie chciał dopuścić. Dlatego starał się z wolna ustąpić ze swego sztywnego stanowiska.

- Urażaj dalej! I tak mnie nie możesz obrazić. Nasze przepisy nakazują nam być pobłażliwym dla ludu, kiedy...

- Dla jakiego ludu? - przerwał mu Hadzi. - Czy może my jesteśmy tym ludem?

- A czymże innym?

- Czymże innym? Jesteś ślepy? Spójrz na mnie! Czy nŻe widać po mnie, kim jestem?

- Niczego nie widzę!

- W takim razie jesteś ślepy i głupi. Powiem ci, kim jestem.

Otóż jestem Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Go~sarah! A jakie jest twoje imię?

- Nazywam się Selim - odparł urzędnik padyszacha.
- Selim! Tylko Selim?
- A jak miałbym się jeszcze nazywać? Selim wystarczy ~'.
- Selim wystarczy! Tak, tobie, który jesteś saptije i nikim więcej, może wystarczy!

Policjant nie wie~dział chyba, że wolni Arabowie mają zwyczaj dodawania da własnego ixnienia imion swoich przodków. Im dłuż-sze wtedy takie nazwisko, tym większa duma jego nosiciela.

- Czy uważasz, że policjant jest po prostu zupełnie nikim? - zawołał oćwiczony.
- Milcz! - odparł mały Hadzi. - Saptije, który nazywa się tylko Selim, nie ma pra.wa głosu. Spójrz, jacy ludzie tutaj stoją!

Wskazawszy Omara, ciągnął dalej:

- Ten to Omar ben Sadek ibn Szaban Ilf el Habadzi ben Abu aa Nazwiska zostały wprowadzone w Turcji po pierwszej wojnie światowej za sprawą reform Kemala Ataturka (przyp. tłum.)

Musa Dżafar es Sofi Otalan ibn Awisenna Ali Nafiz Abu Merwan el Hegali!

Następnie wskazał Osko i rzekł:

- A ten słynny wojownik nazywa się Osko Abd el Latif Mefari ben Mohammed Hassan el Dżaseris ibn Wahab Alfirat Biruni es Seirafi! Teraz już wiesz?

Musiałem zagryźć wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Oby-

dwaj rzecz jasna nie nazywali się tak. Ale chcąc zrobić wrażenie

mały Hadzi pozmyślał im całą resztę imion i przodków. W dodatku Halef robił to z taką powagą, a arabskie imiona spływały z jego ust z taką prędkością i płynnością, że policjant stał zupełnie osłupiały, jakby każde imię trafiało go niczym kula.

- Odpowiedz wreszcie! - zawołał Halef wzburzonym głosem. - Czy straciłeś mowę, człowieku zadowolony ze swego je-dynego Selima? Czy nie masz już żadnych imion, nie masz przodków? Jak się nazywał twój ojciec i dziad ojca twojego ojca? Czyż-by niczego w życiu nie działali lub, byli słabeuszami, że wstydzisz się podać nam ich imiona? A może ty się w ogóle nie urodziłeś, tylko pewnego pochmurnego dnia wyśliznąłeś się z pułapki na myszy? Spójrz na nas! To są mężczyźni!

Policjant w dalszym ciągu nie wiedział, co właściwie powinien odrzec. Zarzuty Hadziego spadały na niego jak grad.

- Spójrz także na tego człowieka! - ciągnął Halef, wskazując handziego. - Nie jest Arabem, lecz Turkiem, a mimo to nie nazywa się jedynie Selim, ale konakczy Ibarek, czyli Ibarek ajciec zajazdu. Skradziono mu sto funtów. A cóż można by ukraść~ć tobie, który nie posiadasz nic poza imieniem Selim?

- Oho! - odpowiedział wreszcie policjant. - Nie jestem też żebrakiem. Mam swój urząd i...

- Urząd! Nie wspominaj nawet o swoim urzędzie! Co to oznacza, widzieliśmy już. Twój urząd, jak się zdaje, polega na leżeniu w trawie i kradzeniu Allahowi dni oraz tygodni. Ale ja was le-

niów rozruszam. Pójdę do naczelnika policji i tak mu popędzę kota, że będzie się kręcił jak fryga! Rozkazuję ci natychmiast wyruszyć i pośpieszyć do miasta. Jeżeli w ciągu pół godziny nie znajdziesz się u saptije mudiri, każę cię utopić w najgłębszej wodzie, a potem jeszcze na dodatek rozstrzelać z armaty. My wybieramy się już w drogę. Nie myśl jednak, że wydałem ci ten rozkaz dla żartu! Traktuję to serio. Przekonasz się o tym. Saptije ze zdumienia aż otworzył usta.

- Co? - wydusił z siebie. - Ty chcesz mi wydać rozkaz, ty?

- Owszem! Czy nie słyszałeś?

„...i

32?

- Czyż możesz mi cokolwiek rozkazywać?

- Też pytanie! Oczywiście! Wszak ty jesteś tylko Selim, który nie ma nazwiska, ja natomiast jestem Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn...

- Przes~tań, przestań! - przerwał mu policjant, zakrywając rękami uszy. - Twoje nazwisko przypomina długiego węża, z którego strony człowiek musi się obawiać uduszenia. Tak, pójdę do miasta, i to natychmiast. Ale nie dlatego, że tak mi rozkazałeś, ale by złożyć na ciebie doniesienie u naczelnika. Pobiłeś sługę sułtana. Poniesiesz za to karę, jaka nie spotkała jeszcze nikogo w tych stronach.

Saptije pазbierał swoje rzeczy i zniknął za krzakami. Czy ~oba-wiał się nowego wybuchu aktywności ze strony mojego małego Hadziego, czy rzeczywiście łaknął zemsty za otrzymane baty? Zapewne jedno i drugie.

- Już biegnie do miasta! - rzekł Halef zadowolony z siebie. - Jak się spisałem, sihdi?

Spojrzał na mnie, jakby óczekiwał pochwały, lecz zamiast tego dostał ostrą burę.

- Źle, bardzo źle się spisałeś - odpowiedziałem z pó~vagą. - Popełniłeś już niejedno głupstwo, ale nigdy jeszcze takiego wiel-kiego jak teraz.

- Sihdi, mówisz to poważnie?

- Oczywiście.

- Ale ten leniwy nicpoń zasłużył przecież na karę!
- A czy do ciebie należało wymierzenie mu jej?
- Od kogóż innego miałby ją otrzymać?
- Od swego przełożonego.
- O Allah! Gdyby ten miał go wychłostać, na pewno obaj by przy tym zasnęli. Nie, kto chce działać, powinien działać szybko! Ten człowiek leżał sobie przed nami, jakby był pradziadem :~ułta-na, któremu muszą oddawać cześć wszyscy wierni i nie W erni paddani. Zepsułem mu tę przyjemność.
- Nie myśląc jednak o następstwach.
- Jakie to może mieć następstwa? Jeśli oskarży mnie przed naczelnikiem, łatwo się może zdarzyć, że i ten skosztuje mojego biczka.
- Halefie - ostrzegłem - wystarczy już tego! Policjant za-służył na karę, to prawda. Powinieneś jednak poczekać, co ja uczynię. Nie wiemy, jakie niebezpieczeństwa nas jeszcze czekają, było więc zupełnie niepojętą głupotą rabić sobie na dodatek wroga z po-licji. Ja potraktowałem tego człowieka drwiiną. Winienes po-

328

stąpić podobnie. Ty jednak wolałeś go wychłostać. Nie rozkaza-  
łem ci tego i dlatego niewiele będę się przejmował następstwami

;

twojego postępku. Nic mnie ta sprawa nie abchodzi. Niech ciebie boli głowa o ta, jak się z tego wyplątać! r” Wsiadłem na kania i odjechałem~n. Pozostali padążyli za mną bez Ili. słowa. Najniżej spuścił głowę Halef. Pewnie mu już zaświtało, że być może ściągnął na nas niemałe kłopoty.

Turek, który miał najwięcej powodów do gniewu, jechał w mil-czeniu przy moim boku. Dapiero po dłuższej chwili zdecydował się zapytać:

- Efendi, czy te następstwa rzeczywiście mogą być takie przy-kre dla Hadziego?
- Oczywiście.
- Ale pomożesz mu?

- Nie mam najmniejszego zamiaru! - oświadczyłem, ponieważ Halef słyszał moje słowa. -  
Dopuścił się oporu przeciwko władzy państwowej i uszkodzenia ciała sułtańskiego policjanta.  
Nie będę mógł go uratować, kiedy go schwytają.

- Niech zatem Hadzi Halef Omar ucieka!

- Halef może robić, co mu się podoba. Działał bez mojej zgody niczym mały chłopiec, który nie  
potrafi zdać sobie sprawy z następstw swego czynu. Teraz niech ponosi konsekwencje. Nie  
mogę mu pomóc.

Niełatwa mi było wypowiadać te twarde słowa. Być może bo-łały one bardziej mnie niż małego  
Hadziego. Uważałem jednak, że kiedyś należy dać mu taką nauczkę. Towarzyszył mi wiernie we  
wszelkich, i to jakich niebezpieczeństwach! Jakże często wraz ze mną narażał życie! Opuścił swoją  
ojczyznę, co więcej, swoją Hanneh, kwiat wszystkich niewiast. Serce miałem pełne wdzięczności  
dla niego. Ale zaczynał być nieostrożny. To, że powiadła nam się niejedna ryzykowna wyprawa, że  
mieliśmy szczęście i wybrnęliśmy za każdym razem z najgorszych nawet tarapatów, rozdmuchało  
jego wiarę we własne siły. Przypominał małego zadziornego pieska, który ma odwagę skoczyć do  
gardła najsilniejszemu nawet leanbergerowi. Wystarczyłoby jedno kłapięcie zębami ze strony  
olbrzyma, żeby go zabić. A teraz akurat zbliżaliśmy się do niebezpiecznych terenów  
sprzymierzeńców Szuta. Tutaj potrzebna była podwójna ostrożność.

W skrytości ducha cieszyłem się, że tak dzielnie wygrzmocił gnuśnego policjanta, i rzecz jasna byłem  
zdecydowany odwrócić od niego konsekwencje tego czynu. Uznałem jednak za wskazane ukrócić  
nieco jego przedsiębiorczość i zbyt ni pośpiech w działaniu.



## XVI. „ŚWI~TY”

Po pewnym czasie dotarliśmy do dragi wiodącej z Kusturlu do Ostromczy i ponownie skręciliśmy na prawo. Zbliżaliśmy się do jakiejś rzeczki, jadąc między polami tytoniu i bawełny. Wkrótce ujrzelśmy przed sobą wznoszącą się górę, u której pod-nóza z boku można było rozpoznać domy miasta. Na kapule wzniesienia dostrzegliśmy ciemną zieleń, spośród której wyzierały mury ruiny.

- To Ostromcza - wyjaśnił Turek.

- Zwana także Strumnica, od rzeki przepływającej w pewnej odległości od miasta - dodałem, wyczerpując w ten sposób całą swoją znajomość miejscowości.

Wtedy podjechał do mnie Halef. Widok miasta sprawił, że przypomniał sobie o następstwach swego nierozważnego czynu.

- Sihdi - zaczął.

Udałem, że nie słyszę.

- Sihdi!

Patrzyłem dalej na miasto.

- Nie słyszysz mnie - czy nie chcesz słyszeć?

- Słyszę cię.

- Sądzisz, że powinienem uciekać?

- Nie. ‘

- I tak bym tego nie zrobił. Wolałbym wpakować sobie kulę w łeb. A może sądzisz, że powinienem dać się zamknąć tutejszemu naczelnikowi policji?

- Jak sobie życzysz!

- Wolałbym jemu wpakować kulę w łeb!



- A wtedy zamknięto by cię już na dobre.
- W takim razie powiedz przynajmniej, co twoim zdaniem się zdarzy!
- Nie wiem. Trzeba poczekać.
- Tak, poczekajmy. Ale weźmiesz mnie pod swoją opiekę?
- Myślałem, że to ja jestem pod twą. Wszak nazywasz siebie moim przyjacielem i opiekunem!
- Sihdi, wybacz mi to! Tylko ty zawsze byłeś opiekunem!
- Nie, Halefie. Bardzo często byłem pod twoją opieką. Nie zapomnę ci tego, i dlatego zobaczymy, czy ci ludzie tutaj ośmielą się porwać na sławnego Hadzi Halefa Omara.
- Hamdulillah! Kamień mi spadł z serca, tak wielki i ciężki jak ta góra przed nami, u której podnóża leży miasto. Wszystko

330

mogę znieść, tylko nie to; że mój sihdi jest na mnie' zły. Gniewasz

się jeszcze? 4

- Nie.

Pełne miłości i oddania spojrzenie, jakie mi posłał; zapadło mi głęboko w serce. Jakież to wspaniałe mieć szczęście posiadania wiernego przyjaciela!

Coraz bardziej zbliżaliśmy się do miasta. Zanim dotarliśmy do pierwszych domów, a właściwie chat - przed samym wjazdem do miasta spostrzegliśmy żebraka, który siedział na przydrożnym kamieniu, żaloszny obraz nędzy i upadku.

Właściwie błędem byłoby powiedzieć, że siedział przy drodze, ponieważ nie siedział. Zdawało się, że żebrak nie może nawet siedzieć. Leżał na boku ze zgiętymi w kabłąk plecami, a obok niego leżały dwie kule. Gołe nogi miał owinięte szmatami i .obwiązane sznurkiem. Jedyne jego okryciem był jakiś stary łachman, w .pa-łowie chusta, a w połowie płaszcz; którym okręcił sobie biodra:

Do tej właśnie chusty chował przypuszczalnie wręczane mu datki:

chleb, owoce i inne rzeczy, gdyż ów swego rodzaju pas tworzył na jego ciele nienaturalne zgrubien'ie: Ciało to była chude i brązowo-zółte w brudnym odcieniu. Wyraźnie widać było że~bra; a obojczyki wystawały mu jak u k~ściotrupa. Głowę pokrywały zmierzwiłone; skołtuniłone włosy, które już pewnie od lat nie zaznały grzebie-nia. Twarz była nabrzmiła, lecz mimo to wykazywała

ostre rysy. Skóra miała sinawą barwę, jakby była przemrożona. Oczy spo-czywały głęboko w oczadołach.

Twarz ta zadziwiła mnie. Tkwiła w niej jakaś sprzeczność, lecz nie potrafiłem powiedzieć jakiego rodzaju. Sprawiała wrażenie apatycznej, tępej i głupiej. A mimo to wydawała się zdolna do odbijania gwałtownych emocji.

Nie widziałem jedn.k tego wszystkiego od razu, zauważyłem to dopiero później, gdy zatrzymaliśmy się przed żebrakiem, by wspo-móc go jakimś datkiem. Przyjrzałem mu się dokładnie, bo dowie-działem się od Ibareka, kim jest.

Otóż kiedy zobaczyliśmy go z daleka, handzi powiedział:

- To jest Busra, kaleka, o którym ci opowiadałem.

- Który był u twojego sąsiada, kiedy sądziłeś, że poszedł do niego święty.

- Tak, efendi.

- Czy potrzebuje datków?

- Tak. Nie może pracować, gdyż nie ma już rdzenia kręgo-wego. 331

- W takim wypadku Busra nie mógłby w ogóle żyć. Wydaje mi się, że ma tylko sparaliżowane nogi.

- Nie znam się na tym. Tak mówią ludzie. Chodzi o dwóch ku-lach, wlokąc za sobą nagi. Nie może nimi poruszać. Do tego jest niespełna rozumu i potrafi wypowiedzieć ledwie parę słów. Każdy mu coś daje. Jeśli zostaniesz tutaj dłużej, będziesz go ezęsto wi-dywał.

- A gdzie mieszka?

- Nigdzie. Je tam, gdzie coś dostanie, i śpi tam, gdzie upadnie ze zmęczenia. To nędzarz, któremu Allah na tamtym świecie do-łoży tego, czego mu odmówił tutaj.

Kaleka siedział odwrócony do nas plecami. Kiedy usłyszał od-głos kopyt naszych koni, podniósł się z wysiłkiem o kulach i obró-cił w naszym kierunku. Wtedy ujrzałem jego pozbawioną wyrazu, głupkowatą twarz. Jego oczy wydawały się puste, martwe i nic n~ie mówzące. Mężczyzna mógł mieć około czterdziestu lat, lecz trudno było na podstawie wyglądu przypisać mu jakiś określony wiek.

Poczułem litość dla nędzarza, nie przeczuwając nawet, jak znacz-ną wrogą rolę miał on jeszcze odegrać w stosunku do mnie. Zatrzy-maliśmy się przy nim. Żebrek wyciągnął do nas rękę i wyjąkał bez-dźwięcznym głosem, powtarzając jedno tylko słowo:



wałem. Były czasy, gdy źródło tryskało bardzo obficie, by potem jednak prawie zupełnie wyschnąć. Niekiedy było gorącej wody pod dostatkiem, a później znowu źródło zamierało całkowicie. Obecnie woda płynie ponoć bardzo skąpo.

Kiedy mieliśmy już przed nosem pierwsze domki lub raczej cha-ty, handzi zapytał:

- Efendi, masz może ochotę obejrzeć gorące źródła od razu teraz?
- A położone są gdzieś po dradze?
- Nie. Ale wystarczy zboczyć tylko parę kroków, żeby do nich dotrzeć.
- Więc zaprowadź nas do nich!

Ibarek skręcił w bok, po czym objechaliśmy kilka chat i nale-żących do nich ogródków, które bynajmniej jednak nie zasłu-gi-wały na to miano.

Dabiegło nas głośne skrzeczenie jakiejś kobiety.

- Tam jest źródło - pokazał nasz przewodnik.
- Przy którym odbywają się takie kłótnie?

333

- Tak. Musisz bowiem wiedzieć, że panuje przekonanie, iż woda ta jest dobrym, środkiem na pewne choroby. A kiedy teraz tryska jej mało, kobiety, które tu przyszły jej zaczerpnąć, kłóca się mię-dzy sobą.

Okrążyliśmy zagajnik oleandrów i zatrzymaliśmy się przed ter-mą.

Bieg wody wyznaczała strużka, której dno koloru ochry po-zwalało przypuszczać, że źródło jest żelaziste. Dziś było w nim bardzo mało wody. Wypływała z okrągłego zagłębienia w zie-mi pokrytego czerwonym osadem. Wydeptana wokół niego ziemia dowodziła, że bardzo często odwiedzano to miejsce. Na obrzeżu zagłębienia leżały duże głązy, przywiezione tutaj pewnie, żeby służyły do siedzenia.

Obecnie były przy źródle jedynie trzy osoby: dwie kobiety i dziewczynka w wieku około ośmiu lat.

„ Jedna z kobiet była dosyć dobrze, lecz niedbale ubrana i odzna-

czała się okazałą tuszą. To jej kłótny głos słyszeliśmy przed chwilą. Stała odwrócona do nas plecami i nie zauważyła naszej

+

obecności, bo w dalszym ciągu głośno wrzeszczała. y „. U jej stóp leżało kilka szmat i stary garnek z odłamanym uchem. Garnek przewrócił się i teraz wypływała z niego powoli gęsta szarobrazowa masa, której widok bynajmniej nie był kuszący.

Druga kobieta siedziała na jednym z kamieni. Odziana była

d; ubogo w miejscowy strój ludawy z szerokimi pludrami, a na tułów

zarzuconą miała jakąś przedpotopową chustę, która zakrywała rów-

nież ramiona i ręce. Poza tym wyglądała jednak na osobę dosyć

,

czystą, czystsza niż pierwsza kobieta, której, sądząc po jej ubraniu

wydawało się powodzić lepiej. Twarz miała wychudzoną. Bieda

;

wyryła na niej swoje smutne znaki. Dziecko u jej boku odziane było tylko w solidnie wypraną bawełnianą koszulę. Kłótniwa grubaska wyrzucała gniewne słowa z taką szybkością, że nie sposób było w ogóle nadążyć za potokiem jej wymowy. Wyraźnie rozróżniało się tylko podwójnie mocno akcentowane ř g y g ę łównie w rażenia. Żaden tra arz nie magłby poślugiwać si do-sadnie sz mi w zwiskami. A rz okładała pięściami to dru-~ł. j y y p y~ gą kobietę, to płaczące dziecko.

Na nasz widak atakowana wykonała ruch, który skłonił ksan-type do odwrócenia się. O Boże! Co za oblicze ujrzałem! W porównaniu z nim gęba wytatuowanego wyspiarza mórz południo-wych była czystym ideałem piękna. Korpulentna niewiasta wy-smarowała sobie twarz jakąś gęstą czerwoną masą i wyglądała 334 potwornie: Spozrzegłszy nas; odstała od drugiej kobiety i po-wstrzymała szumiący potok swojej mowy.

- Pokój z wami! - pozdrowiłem je.

- Na wieki wieków amen! - odpowiedziały obydwie niewia-sty:

Słowa te potwierdziły, że są wyznania chrześcijańskiego.

- Czy to jest źródła, które daje wyzdrowienie?

- Tak, efendi - odparła kobieta z oblepioną twarzą - źródło to jest słynne na cały kraj i daleko poza jego granicami. Do tej informacji dołączyła listę setki chorób, na które można tutaj znaleźć pomoc, i równie wielu cudów, jakie zdarzyły się podobno w tym miejscu. Wykazywała przy tym zadziwiający talent krasomówczy. Słowa płynęły strumieniem z jej warg i nie mogłem znaleźć najmniejszej luki, którą mógłbym wykorzystać, żeby wcisnąć się w ten wyłom z pytaniem. Nie pozostało mi nic innego, jak pozwolić jej się po prostu wygadać, co nastąpiło jed-nak dopiero po dłuższym czasie, kiedy to zapytała mnie o niezli-czone choroby, ułomności i wady, które mogły mnie przywieść tutaj. Bynajmniej nie oczekiwała jednak ode mnie żadnej odpo-wiedzi.

- O Allah! Maszallah! - wołał raz za razem Hadzi Halef Omar, załamując ręce.

Kobieta, jak się zdaje, przyjęła, że okrzyki te nie odnoszą się do potaku jej wymowy, lecz do wyliczonych zalet gorącego źródła, co skłoniło ją do kontynuowania tejże listy z prawdziwie imponującą elokwencją. Chcąc zmusić ją do milczenia, spiąłem lekko ostrogami boki swego konia, do czego nie był zresztą przyzwyczajony, więc stanął dęba.

Mówczyni umilkła, odskoczyła do tyłu i wydała okrzyk trwogi.

Wykorzystałem ten moment, żeby wreszcie dojść do słowa.

- Jak się nazywasz? - zapytałem.

- Mój mąż nazywa mnie Nahuda ~, a ochrzczona zostałam imie-niem Irena. Urodziłam się w Radowicz, podobnie jak mój ojciec. Moja matka umarła wkrótce po moim urodzeniu. Dziadkowie mieszkali na drugim brzegu rzeki...

Ponownie skłoni.łem karego do wspięcia się na tylne no~gi, gdyż

nie bez powodu obawiałem się, że niew2asta zechce wejść wraz ze

mną na drzewa rodowe swoich krewnych po czasy Matuzalema

i jeszcze wyżej. Na szczęście umilkła, a ja wykazałem się nie-

~ Fasola

zwykłą przytomnością umysłu, wykorzystując tę przerwę na wyjaśnienie:

- Droga Nohudo, muszę ci powiedzieć, że przybyłem tutaj z powodu osobliwego bólu głowy. Otóż czuję...

- Ból głowy? - wpadła mi prędko w słowo. - Efendi, słusznie, bardzo dobrze, że tu przybyłeś! Gdybyś wiedział, ile różnych głów, w liczbie wielu tysięcy, ozdrowiało tutaj ad... Kary naparł na nią teraz tak, że obrotna w języku „Fasola” znów zrobiła przerwę.

- Ból głowy tak mi dokucza - wyjaśniłem - że nawet dźwięk ludzkiego głosu przyprawia mnie o wielkie męczarnie. Bądź za-tem tak dobra i mów tylko wtedy, kiedy cię zapytam. Widzę po twojej twarzy, że w twojej piersi mieszka współczująca dusza. Dlatego sądzę, że spełnisz moją prośbę.

Musiałem uderzyć we właściwą strunę, gdyż przycisnęła oby-dwie dłonie do serca i wyszeptała stłumionym głosem:

- To prawda, efendi. Będę milczeć, jakbym leżała w grobie.

Będę adpowiadać tylko na twoje pytania. Twa biedna głowa nie będzie cierpieć żadnych bólów z mojego powodu.

Mały Hadzi zranił jakąś nieskańczenie wściekłą minę, co zdarzało mu się tylko wtedy, gdy musiał zebrać wszystkie swoje siły, żeby stłumić śmiech. Również po innych widać było, że powstrzymują się z najwyższym trudem.

- Najpierw, draga Nohudo, muszę cię poprosić o wybaczenie, że wam przeszkodziłem - ciągnąłem dalej. - Właśnie byliście w trakcie bardzo ożywionej rozmowy. Jakiż był jej przedmiot? Jej oczy znów zabłyśły gniewem. Wydawało się, że zamierza ponownie wybuchnąć, dlatego bolesnym gestem złapałem się za głowę.

- Nie bój się, efendi! - rzekła cicho Nohuda. - Nie rozpocznę kłótni na nowo, chcę ci tylko powiedzieć, że rozmawialiśmy o nim. To mówiąc wskazała na garnek.

- Co to jest?

- To mój garnek z klajstrem.

- Potrzebny ci ten garnek tu, przy źródle?

- Nawet bardzo!
- Dlaczego przychodzisz do gorącej wody?
- Niczym? Genczletir - dlaczego? Bo odmładza.
- Ach tak! Chcesz się odmłodzić? Przecież wcale tego nie potrzebujesz.
- Tak sądzisz? Bardzo jesteś łaskawy. Gdyby mój mąż też

336 tak uważał! Wiesz już, że nazywa mnie Fasolą, ale czasami mówg także na mnie „ty zwiędły strąku”. Czy to nie obraźliwe?

- Może nie mówi tego wcale w złej intencji. Pewnie uważa to słowo za pieszczotliwe imię.
- O nie! Znam go aż za dobrze. To bezwzględny człowiek, nie-ubłagany tyran... Złapałem się za głowę.
- Masz rację - przyznała. - Nie powinnam mówić głośno. Ale~ chcę mu pokazać i udowodnić, że nie jestem fasolą, a tym bar-dziej zwiędłym strąkiem. Dlatego dzień w dzień tutaj przychodzę^ i smaruję sobie twarz szlamem piękności.

Niełatwo było w tym momencie zachować powagę.

- Bardzo to roztropne z twojej strony - zgodziłem się. - Ale jak się przygotowuje ten szlam?
- Gotuje się na papkę różane płatki z mąką i wodą. Przynosi się to tutaj, miesza pół na pół z czerwonym osadem z dna źródła~ i smaruje tym twarz. Środek ten pomaga niezawodnie.
- Naprawdę?
- Z całą pewnością! Żadna brodawka; żadne znamię, żadna zmarszczka ani fałdka nie oprze się temu kłajstrawi. Dlatego tak się rozgniewałem, kiedy ta dziewczyna przewróciła mi garnek. Ale mam delikatne usposobienie, jak słusznie zauważyłeś, i dla— tego milczałam i wybaczę jej tę nieostrożność.
- Słusznie postąpisz. Łagodność jest największą ozdobą nie-wiasty, a małomówność podnosi jeszcze jej urok.
- Też tak mówię - stwierdziła.
- Tak, droga Nohudo, małomówność to najlepszy środek, żeby zachować urodę aż do późnych lat. Kiedy żadne namiętności nie~ szpecą twarzy, uroda może przetrwać w jej rysach. Z



pewnością. wiesz, co mędrzec Bahuwi powiada o kobiecie, która wciąż się kłóci i sprzecza.

- Nie, efendi, gdyż nigdy jeszcze nie rozmawiałam z tym mądrym człowiekiem.

- Otóż powiada on, że oblicze niewiasty poruszone gniewem przypomina brudny worek pełen żab i ropuch. Worek znajduje się w ciągłym ruchu, ponieważ te szkaradne zwierzęta nigdy nie siedzą spokojnie.

- Ma rację! Ja też zawsze tak myślałam i dlatego w głębi serca staram się zachować ciągły spokój. Ale mojemu mężowi to się nie podoba. Przeciwnie, życzy sobie, żebym była żywsza.

- Więc wyjaśnij mu tylko tę przypowieść o worku, a natych-

22 W wąwozach Bałkanów 33' miał się z tobą zgodzi. Widzę jednak, że maść na twojej twarzy wyschła. Będziesz musiała nałożyć nową.

- Zaraz, już to rabię! Dziękuję ci!

- Tylko nie mów przy tym! Twarz nie może się poruszać.

- Nie odezwę się nawet słowem.

Nohuda schwyciła garnek, zaczerpnęła garścią żółtoczerwonego osadu z dna źródła i dodała do reszty kłajstru, jaki pozostał jeszcze w naczyniu. Kiedy po gorliwym mieszaniu gołą ręką połączyła nierozdzielnie obydwie substancje, zeszkrobała sobie z twarzy auchą masę i nałożyła nową warstwę „szlamu piękności”. Widok ten sprawiał mym towarzyszom ogromną uciechę. A najzabawniejsze przy tym było to, że obydwójce w końcu jedynie zzeptaliśmy ze sobą, żeby oszczędzić cierpienia mej biednej głowie. Dopiero teraz miałem czas, żeby przyrzeć się bliżej drugiej kobiecie. Na widok jej zapadniętych policzków i głęboko osadzonych oczu wyrwało mi się pytanie:

- Adż-misin - jesteś gładna?

Nie odpowiedziała, lecz z wyrazu jej oczu można było wyczytać, że trafiłem w sedno.

- Hasta-misin - jesteś chora? Na co cierpisz?

- Efendi, cierpię na rwanie w stawach.

- Czy źródło to pomaga na tę dolegliwość?

- Tak, ono pomaga na wszystko.

- Jak nabawiłaś się tej choroby?

- Jestem zbieraczką ziół. Moi rodzice ochrztili mnie imieniem Masza, ale od ziół, które zbieram, nazywana jestem tylko Nebatja. Utrzymuję siebie i swaje dzieci ze zbierania ziół, które sprzedaję ~aptekarzowi. W każdą pogodę chodzę po lasach i polach. Nieraz aię przy tym przeziębiam, a teraz rwie mnie w stawach i rękami mogę paruszać tylko pośród wielkich bólów.

- Nie radziłaś się żadnego lekarza?

- Wszędzie mnie odprawiają, bo jestem biedna.

- Ale aptekarz, któremu sprzedajesz zioła, mógłby ci chyba przecież dać jakiś środek?

- Zrobił to. Ale środek nic nie pomógł. Z tego powodu aptekarz tak się rozgniewał, że nie wolno mi już z tym do niego przy-~chodzić.

- To niedobrze. Ale chyba jest tu jeszcze ktoś, kto leczy naj-różniejsze choroby, stary Miibarek. Nie poszłaś do niego? : To także robiłam. Niestety odprawił mnie, ba mnie nie-~awidzi.

- Mubarek cię nienawidzi? Czyżbyś go obraziła?

~38

- Nigdy.

- W takim razie nie ma powodu, żeby był da ciebie usposobio-ny tak nieżyczliwie.

- On jednak uważa, że ma powody, bo ja czasam,i... Patrz— cie, oto on!

Nebatja wskazała ręką w kierunku, z którego przybyliśmy. Z miejsca, gdzieśmy się znajdowali, można było objąć wzro— kiem całą drogę, która doprowadziła nas do miasta. W trakcie rozmowy omiotłem ją już spojrzeniem i rzuciłem także okiem na kamień, gdzie siedział sparaliżowany żebrak. Kaleka zniknął, za-uważyłem za to wysoką postać zbliżającą się z tamtej strony po-~ wolnym, pełnym godności krokiem.

Co się stało z żebrakiem? Przed naszymi oczyma znajdowała się otwarta przestrzeń. Było~by go widać, choćby skierował się~ w prawo lub w lewo, alba dalej prosto w głąb równiny. A gdyby poszedł w stronę miasta, tym bardziej musielibyśmy go zauważyć, zwłaszcza że kaleka a kulach może się posuwać dosyć wolno. O-~ jednak przepadł, zniknął bez śladu. Nie opodal kamienia, przy którym siedział, znajdowała się plantacja bawełny. Rośliny miały nie więcej niż metr wysokości. Żebrak nie mógł się za nimi ukryć” chyba żeby się położył. Tego jednak nie mógł zrobić, ba nie był w stanie podnieść się o własnych siłach. To nagłe zniknięcie dało mi. wiele do myślenia.

Tymczasem wspomniany człowiek powoli zbliżał się do nas:

Szedł ze spuszczoną głową, jakby wpatrywał się wyłącznie w ziemię. Kiedy Mubarek znalazł się na wysokości pierwszych domów, nie poszedł dalej drogą w kierunku chat tak jak my, lecz od razu skręcił w bok, zmierzając prosto w naszą stronę: Ponieważ nie sądziłem, żeby zboczył z drogi tylko dlatego, że tak był pogrążony w myślach, musiałem przyjąć, iż zbliża się do nas celowo. I właśnie teraz kobieta zwróciła nam na niego uwagę. Pozostali obrócili się w jego stronę.

- Tak, to Mubarek! - powiedział handzi Ibarek. - To on, efendi. Przyjrzyj mu się dokładnie!
- Już to zrobiłem.
- Zaraz będziesz mógł usłyszeć, jak mu grzechoczą kości.
- Mam nadzieję! Może wyświadczy nam także grzeczność i nagle zniknie.
- Jeśli zechce, może to uczynić - trwał w swojej zabobonnej wierze oberżysta.
- Powiedz mu, żeby to zmiął!
- Nie śmiem.

22^ 33~

- Dlaczego?
- Mubarek mógłby mi to wziąć za złe.
- Phi! Zna cię przecież!
- To nie ma żadnego znaczenia.
- I zarobił od ciebie dużo pieniędzy.
- Za to nas wyleczył. Nie jest nam nic winien.

I oto nadszedł stary „święty”, Minął nas bardzo wolno, nie odrywając oczu od ziemi. Obie kobiety przyjęły czołobitną postawę. Turek w geście pozdrowienia podniósł dłoń do czoła. Natomiast my pozostali z pazoru nie zwracaliśmy na niego uwagi. Zachowywałem się tak, jakbym nie widział starca, odwróciłem się nieco w bok, bacznie go jednak obserwowałem. Zauważyłem przy tym, że zerka ku nam spod spuszczonej powieki. Jego zamyślenie było więc tylko maską. Czy zawsze tak robił, czy też powinienem o zachowanie, to zezowanie ukradkiem odnieść do siebie? Z ciekawości wyłożyłem słuch, i rzeczywiście, kiedy przechodził obok, przy każdym jego kroku dało się słyszeć

ciche grzechatanie. Kogoś, kto nie całkiem pozbył się przesądów czy wręcz tkwił w za-vbobonach, mogło to istotnie przejąć lekką grozą. Mubarek ubrany był tak, jak to opisał hand'zi: bosa, na głowie :zawój zrobiony z jakiejś chusty, ciało zaś okryte jakimś starym kaftanem. Pas był zupełnie niewidoczny, ponieważ poły kaftana zachodziły z przodu na siebie. Mężczyzna był chudy, miał głęboko ~osadzone oczy podobnie jak żebrak, obak którego przejeżdżaliśmy aziedawno temu. Jego koścista twarz miała ziemistą barwę. Mocno ~wystające kości policzkowe, wpadnięte usta. Możliwe, że starzec nie miał w ogóle zębów. Okolica ust przypominała głęboko wciętą w twarz zatokę, pod którą wysuwał się daleko do przodu spiczasty podbródek, przez co nos rysował się podwójnie ostra. A więc to był ów słynny „święty”, którego Allah obdarzył ty-loma cudownymi zdolnościami. Przeszedł obok nas niczym jakiś dalajlama, dla którego inni ludzie są stworzeniami tak godnymi po-:gardy, że w ogóle ich nie dostrzega. Takżć jego - dziwnym spo-~obem odniosłem takie wrażenie - musiałem już kiedyś widzieć, i to w okolicznościach, które nie były raczej dla mnie przyjemne. To właśnie uczucie obudziło się we mnie.

Gdybym uważał, że „święty” nas zignoruje, amyliłbym się. Był już kilka kroków za nami, gdy nagle się odwrócił i jego świdrujące spojrzenie przesunęło się po naszej grupce; a potem rozległ się jego ~hrapliwy głos:

- Nebatja!

Zbieraczka ziół wzdrygnęła się.

:340

- Nebatja! Tutaj!

Palcem wskazującym wyznaczył miejsce przed sobą, mniej wię-cej tak, jak przywołuje się psa, który ma być zbity. Kobieta bojaźliwie padeszła do niego wolnym krokiem. Spojrzał na nią gro'znie i tak ostro, jakby chciał ją przeszyć na wylot swoim wzrokiem.

- Od jak dawna twój mąż nie żyje? - zapytał.

- Od trzech lat.

- Modliłaś się za jego duszę?

- Codziennie.

- Nie był wyznawcą naszego sławnego Proroka, którego imię jest zbyt święte, żebym je wymieniał wabec twoich uszu. Twój mąż należał do chrześcijan, którzy sami nie wiedzą, w co mają wie-rzyć, i dlatego dzielą się na wiele sekt i toczą ze sobą spory. Lecz Allah w swym

miłosierdziu postanowił, że także im wolna będzie wejść do najniższego raju. Za to twój mąż będzie się smażył w ogniu piekielnym!

Starzec wydawał się oczekiwać odpowiedzi, lecz kobieta milczała.

- Słyszałaś? - zapytał ze szczególnym naciskiem.

- Tak - odpowiedziała cicho zbieraczka ziół.

- I wierzysz w to?

Milczała.

- Musisz w to wierzyć, gdyż widziałem go osobiście. Dziś w no-cy anioł Allaha zabrał mnie ze sobą z ziemi i uniósł w krainę szczęśliwości. Daleko w dole pode mną znajdowało się piekło ze swymi ognistymi czeluściami. Dostrzegłem tam pośród wielu innych także twój mąż. Był przykuty do skały. Piekielne robactwo toczyło jego ciało, a języki płomieni lizały jego twarz. Słyszałem, jak ryczał z bólu. Wtem ujrzałem unoszącego się wysoko w górze i po-prosił, żeby ci powiedzieć, że pale wbite w skałę obok niego prze-znaczone są dla ciebie i dla twójgo potomstwa. Przerwał. Kobieta płakała.

Najchętniej uderzeniem pięści powaliłbym szarlatana na ziemię, lecz zachowałem spokój. Dłoń Halefa spoczywała na uchwycie bi-cza; co chwila zerkał to na „świętego”, to na mnie. Wystarczyłby gest z mójjej strony, a m~ały Hadzi przetrzepałby solidnie skórę sławnemu cudotwórcy.

- A teraz jeszcze jedno! - ciągnął dalej stary oszust. - Byłaś na policji? Nebatja spuściła głowę.

- Mam ci zapłacić odszkodowanie! Mam ci dać pieniądze, bo .

341 twój chłopiec kręci się koło mojego mieszkania? Zrób jeszcze je-den taki krok, a ześlę na ciebie wszystkie duchy ciemności, żeby cię dręczyły, dopóki życie z ciebie nie ujdzie! Zapamiętaj sobie to! Miibarek odwrócił się i odszedł.

- Allah! - powiedział Halef zgrzytając zębami. - Sihdi, po-zwól mi pojechać za tym łotrem i wygarbować mu skórę jak się należy.

- Na Allaha, zamilcz! - ostrzegł go Ibarek.

- Milczeć! Kto by potrafił milczeć, słysząc takie rzeczy?

- Mubarek słyszy każde słowo!
- ~mieszne!
- Spójrz! Tam siedzi jego sługa.

Iberek wskazał suche drzewo, na którym na gałęzi siedziała wrona.

- Czyś ty oszalał? - rozgniewał się Halef.
- Nie, ten ptak jest duchem, któremu an rozkazał nas podsłuchiwać, a potem powtórzyć mu każde słowo.
- A ja ci mówię, że ten ptak jest całkiem zwyczajną wroną!
- Mylisz się. Czyż nie widzisz, z jakim zaciekawieniem spo-gląda na nas?
- Naturalnie! Te ptaki są zawsze ciekawskie. Mam ochotę po-częstować go kulką.
- Nie rób tego! Oznaczałoby to twoją śmierć!
- Bzdura! - wyśmiał zabobonnego Turka Halef.
- Strzał trafiłby nie ptaka, tylko ciebie.
- Kiedy strzelam, moje kule nie lecą w odwrotnym kierunku.

I Halef rzeczywiście sięgnął po swoją strzelbę. Wtedy jednak podbiegły do niego wystarszone kobiety i zaczęły go prosić, żeby nie strzelał, ponieważ unieszczęśliwiłyby nie tylko siebie, ale nas wszystkich.

- Kobiety, czy wy w ogóle nie macie mózgu? - rozgniewał się mały Hadzi.
- Musisz nam uwierzyć, musisz! - prosiła zbieraczka zżół. - Inni też byli tacy nieostrożni i szalenie odważni. Gorzko tego po-żałowali.
- Czyżby? A co im się stało?
- Zachorowali...
- Zrządzenie Allaha!
- A jeden nawet oszalał...

- Obłęd tkwił w nim już przedtem.
- A kilku umarło...
- Bo śmierć toczyła już ich ciała,

342

- O nie, to dlatego, że targnęli się na ptaki „świętego”.

Ponieważ tym sposobem Halef znalazł się w centrum uwagi, nikt nie baczył na mnie. Stałem za swoim koniem, wymierzyłem do ptaka ze sztucera i nacisnąłem spust. Przerazone kobiety podniosły głośny wrzask. Maja kula przeszła wronę i uśmierciła ją natychmiast. Ptak leżał pod drzewem, nawet nie drgając w konwulsjach.

- Efendi, coś ty uczynił! - wykrzyknął Ibarek. - Możesz to przypłacić zbawieniem swojej duszy!

- Biegnij do niego! - odparłem obojętnym tonem. - Zatkaj ptakowi wszystkie otwory, żeby duch nie mógł z niego wyskoczyć! Wtedy da kolekcji zwłok duchów, którą zamierzasz mi pokazać, przybędzie jeden okaz więcej. Och, ale z was głupcy. Hadzi Halef zeskoczył z konia i przyniósł wronę. Pełno na niej było robactwa. Pokazał je Ibarekowi i kobietom, po czym rzekł:

- Jeżeli „święty” nie potrafi nawet uwolnić od wszy swojej służby, to w ogóle nic nie potrafi. Wstydźcie się! Czy słyszeliście kiedykolwiek o duchu, który miałby wszy? Gdzie to jest napisane? Prorok, ilekroć mówił o duchach, nigdy nie wspominał, że trzeba je czyścić.

Dowód na to, że wrona nie jest duchem, był równie krótki co oryginalny, lecz skutek odniósł lepszy i szybszy niż długa przemowa.

Troje wierzących w duchy spojrzało po sobie, potem popatrzyło na wronę, a w końcu Turek rzekł do mnie:

- Efendi, jakie jest twoje zdanie? Czy duch może mieć na sobie robactwo?
- I~nie.
- Ale to przecież zły duch.
- A jaki jest najgorszy duch?
- Szejtan.

- Słusznie! A teraz powiedz mi, czy Prorok lub któryś z jego następców nauczał, że władcy wszystkich złych duchów dokuczają wszy.

- Tego rzecz jasna nigdzie nie napisano. A insekty z pewnością spaliłyby się, gdyby wraz z diabłem znalazły się w piekle.

- Odkryłeś to z wielką przenikliwością. Teraz więc odpawiedz sobie sam na swoje pytanie!

To samo w sobie zabawne wydarzenie okazało się mieć dla nas większe znaczenie, niż mogłem przypuszczać. Mieszkańcy chat stojących za nami wszystko widzieli, i dopiero później dowiedziałem się, że wieść o tym rozeszła się po mieście latem błyskawicy. Ptak 343 „świętego” został zastrzelony przez jakiegoś abcego, który potem spokojnie się oddalił, nie nagabywany przez nikogo. To było nie-słychane! Kto nie zna siły zababonów na owych terenach, ten uważa coś takiego za rzecz prawie niewiarygodną. Do tego dochodziło po-ważanie, jakie potrafił sobie wyrobić Mubarek. Wszystko, co po-zostawało w związku z jega osobą, dla innych było tabu. Dowód Halefa poskutkowało. Kobiety oraz Ibarek poczuli się uspokojeni. Zbieraczka ziół niewaele zresztą miała spokoju, by za-stanawiać się nad śmiercią wrony. Sława, jakie~ wypowiedział do niej starzec, miały dla niej dużo większą wagę. Masza jako chrz~e-ścijanka pozostawała pod wpływem swojego popa, a żeby wiedzieć, co to oznacza, trzeba znać popów na Bałkanach. Duchowni ci wy-wodzą się z najniższych warstw ludności i otrzymują wykształce-nie, które pozostawia wiele da życzenia. Jaka więc musi być wiara tych, których dusze powierzane są opiece takich ludzi. Po nieszczę-snej kobiecie widać było, że jest zupełnie przybita wiadomością, że jej mąż smaży się w piekle i oczekuje tam również jej i jej dzieci.

Halef pocieszającym gestem poklepał ją po plecach:

- Nie martw się, Nebatja! Twój mąż jest w raju.

Obrzuciła małego człowieka badawczym spojrzeniem.

- Czyżbyś w to nie wierzyła? - zapytał.

- Skąd mógłbyś o tym wiedzieć?

- Widziałem go.

- Ty?

- Owszem - potwierdził Halef z powagą.

- Kiedy?

- Dziś w nocy. Na ziemię zstąpił anioł Allaha i zabrał mnie z tego świata. Uniósł mnie wysoko



ponad niebiosa, tak że wszystko mogłem widzieć. I wtedy ujrzałem twojego męża w raju...

- Jak ty możesz zaglądać do raju? - przerwała mu kobieta. - Nie jesteś wszak chrześcijaninem!

- A Mubarek może nim jest?

Ten argument trafił jej do przekonania.

- Ten stary aszust - ciągnął surowym tonem Halef - nie jest obeznany z niebem lepiej niż ja i każdy inny. Jeśli jednak uważasz, że liczy się tutaj jedynie słowo chrześcijanina, to zwróć się do tego efendi i zapytaj go. On będzie ci mógł udzielić wszelkich informacji.

Wskazał na mnie, i kobieta spojrzała pytająca w moją stronę.

- Módl się za swojego męża - powiedziałem jej. - To twój chrześcijański obowiązek. Natomiast Mubarek cię okłamał, gdyż

344 nie ma żadnego anioła, który by zabierał człowieka śmiertelnego do nieba, a potem na powrót sprowadzał go na ziemię. Fismo Święte naucza, że Bóg mieszka w światłości, do której nie ma dostępu żadne ziemskie stworzenie. Zobaczymy się jeszcze i wtedy poro-zmawiam z tobą o tej sprawie. Teraz zajmijmy się raczej twoją chorobą. Daremnie szukasz uzdrowienia tutaj przy źródle. Od kie-dy używasz tej wody?

- Już od przeszło roku.

- Czy twoje cierpienia zmniejszyły się?

- Nie, efendi.

- Widzisz więc, że mam rację. To źródło nie wyleczy cię z two-jej dolegliwości.

- Mój Boże! I co będzie ze mną i z moimi dziećmi? Niewiele już mogę pracować i głodujemy od dłuższego czasu. A teraz w do-datku upadła nadzieja związana z tą wodą!

Zaczęła gorzko płakać.

- Nie płacz, Masza! - pocieszałem ją. - Podam ci lepszy środek.

- Czyżbyś był hekimem?

- Tak, w przypadku tej choroby nawet hekimem baszi. Czy ni-gdy jeszcze nie słyszałaś o cudzoziemskich lekarzach przybywają-cych z Zachodu?
- Dosyć często. Podobno są bardzo mądrymi ludźmi i potrafią leczyć wszelkie choroby.
- No więc ja przybywam z Zachodu i wyleczę cię z twojej choroby. W jaki sposób s~tosowałaś tutejszą wodę?
- Siedziałam tu od rana do wieczora i robiłam sobie okłady.
- W ten sposób pogorszyłaś tylko swój stan. A co to za sprawa z twoim chłopcem, o którym wspomniał Mubarek?
- Ponieważ sama już ledwo mogę, wysyłałam Kostę na zbiera-nie ziół. Najlepsze zioła rosną na samej górze: macierzanka, gęsiów-ka, dzika mięta i jeszcze wiele innych. Ale Mubarek nie życzy so-bie, żeby je tam zbierać. Raz przepędził chłopca, a kiedy bieda zmusiła nas do tego, żeby ponownie zaryzykować, zrzucił Kostę ze skały, tak że mój syn złamał sobie rękę.
- A ty zaskarżyłaś go?
- Nie. Poszłam tylko na policję i poprosiłam o zapomogę. Tro-je pozostałych dzieci jest jeszcze małych i nie zna się na ziołach. Nie mogę ich wysyłać na zbieranie.
- Ale pewnie cię odprawiono?
- Tak. Saptije mudiri powiedział, że wystarczy, bym praco-wała. 345
- Czy powiedziałaś mu, że nie możesz pracować?
- Tak, lecz on kazał mnie wyprowadzić i zagroził mi bastona-dą, jeśli przyjdę znowu.
- Bastonada dla kobiety! Nie martw się jednak, otrzymasz za-pomogę.
- Efendi, mógłbyś to sprawić?
- Mam nadzieję.
- Byłabym ci bardzo wdzięczna i modliłabym się codziennie za ciebie.
- Powiedz mi najpierw, gdzie mieszkasz - ciągnąłem dalej.
- Tu zaraz niedaleko, w drugim domu.
- To się dobrze składa. Zaprowadź mnie tam, chcę zobaczyć twoją izbę. Moi towarzysze tymczas~em poczekają. Mój strzał do wrony przyciągnął sporo ciekawskich, którzy stali w pewnej odległości i teraz ze zduanieniem patrzyli, jak idę z Ne-batją do jej mieszkania. Kto zna brud i ubóstwo Półazji, ten uwie-rzy z pewnością, że w swoim stroju musiałem się tym ludziom

wydawać księciem.

- Nie mieszkam sama, efendi - wyjaśniła mi biedna zbiera-czka. - Razem ze mną mieszka jeszcze druga rodzina. Przeczuwałem, jaki widak ukaże się moim oczom, i to przeczu-cie spełniło się. Ujrzałem nie tyle izbę, ca norę bez podłogi, nie otynkowaną i tak wilgotną, że krople wisiały na ś~cianach, a wszy-stko pokryte było pleś~nią. W pomieszczeniu panował straszliwy smród. A w norze tej przebywało około dziesięciorga dzieci. Dwie małe dziury służyły za okna wpuszczając do środka nie więcej świa-tła, niż było konieczne, żeby rozpoznać twarze. Do tego do~chodziły śmierdzące koce i ubrania, nieapisanie nędzne sprzęty, jednym sło-wem: to było przerażające.

W jednym kącie siedziała stara kobieta i obgryzała jakiś jasny przedmiot. Przyjrzawszy się bliżej stwierdziłem, że to kawałek su-rowej dyni.

Nie opodal niej kucał chłopiec, który nosił rękę na temblaku. To był Kosta, syn Nebatji. Zabrałem go na zewnątrz przed drzwi budynku, żeby lepiej widzieć, i zdjąłem mu rękę z temblaka, chcąc sprawdzić opatrunek. Nie jestem lekarzem ani chirurgiem, a więc fachowcem w tej dziedzinie, zauważyłem jednak z zadowoleniem, że hekim, który nastawiał złamaną kończynę, nie był ignorantem. Swoją drogą Kasta wyglądał jak głodomór.

- Nie możecie tutaj rniezkać dłużej - powiedziałem do jego matki. - Tutaj nigdy nie wyzdrowiejesz. 346

- A dokąd mam pójść, efendi?

- Dokądkolwiek, byle tylko wynieść się stąd!

- Łatwa powiedzieć. Ledwo mnie stać na opłacenie tega mie-szkania.

- Więc postaram ci się o inne.

- Och, gdybyś zechciał to uczynić!

- Co prawda jestem tutaj obcy i dopiero co przybyłem, ale mam nadzieję, że będę ci mógł jednak pomóc.

- I zechcesz mi też dać środek na moje rwanie w stawach?

- Nie muszę ci go dawać. Sama możesz sobie go sprowadzić.

Najlepszym środkiem na twoją do~legliwość są liście brzozy.

- Czy to możliwe? Liście brzozy miałyby być dobre na tę bo-lesną chorobę?

- Jest tak, jak mówię. Doświadczyłem tego na sobie. Są ludy, które nie mają żadnych lekarzy i leczą swoje choroby tylko za pomocą takich prastych środków. To od nich nauczyłem się, że liście brzozy usuwają rwanie w stawach. Kiedy potem sam cierpiałem na tę dolegliwość, wypróbowałem ten środek i stwierdziłem, że działa wysmienicie.

- Jak się go stosuje?

- Trzeba poczekać, aż spadnie deszcz. Wtedy zrywa się mokre liście z gałęzi i prędko zanosi je do damy, żeby nie wyschły. Potem należy się położyć. Jeśli chare są nogi, to wkłada się je do worka napełnionego liśćmi i zawiązuje go powyżej bioder. Wkrótce człowiek zapada w sen i mocno się paci, więc trzeba się starannie przykryć. Krople potu z chorej kończyny i wody z liści formalnie kapie z worka. Człowiek śpi długo i głęboko. A kiedy się budzi, wstaje i stwierdza, że choroba, jeżeli była lekka, zniknęła. W cięższych przypadkach, takich jak twój, należy okład powtórzyć.

Masza słuchała mnie uważnie, po czym zapytała:

- Czy nie mażna by też przynieść liści, kiedy nie padało, a po-tem je zmoczyć?

- Nie. W takim wypadku okład nie adniesie pożądanego skutku.

To wyczerpująca kuracja. Dlatego przed przystąpieniem do niej nie powinnaś być wycieńczona z głodu.

Biedna kobieta ze smutkiem spuściła oczy:

- Efendi, kiedy nic nie mam, to nie mogę też nic jeść. Sama jeszcze mogłabym głodować, bylebym nie musiała patrzeć, jak moje dzieci cierpią niedostatek.

- Możemy temu zaradzić. Pewien mój dobry przyjaciel dał mi niewielką sumę, abym ją podarował jakiemuś godnemu tego daru biedakowi, gdybym spotkał takiego w czasie mej podróży. Jak my-34? ślisz: czy mam dać te pieniądze tobie, czy poczekać, aż nadarzy się inna okazja?

Zbieraczka ziół podniosła ku mnie błyszczący wzrok.

- Efendi!

Masza wyrzekła tylko to jedno słowo, lecz pobrzmiwał w nim ton ogromnej prośby, wstydu i wdzięczności.

- Więc jak, powinienem?
- A ile tego jest?
- Dwa funty.
- Funt? Nie znam czegoś takiego. Ile to byłoby para?
- Para? Ta o wiele więcej!
- Pewnie kilka piastrów?
- Dwa funty to dwieście piastrów.
- O Boże!

Nebatja chciała klasnąć w dłonie, lecz ból jej w tym przeszkodził.

- A ponieważ są to dwie sztuki złota, to kiedy je zechcesz rozmienić, będziesz musiała za nie dostać dwieście szesnaście piastrów. Z sakiewki z pieniędzmi, które były prezentem Hulama z ~dria-nopola, wyjąłem wymienioną sumę i chciałem ją wręczyć biedaczce. Ta jednak cfała się na jej widok.
- Efendi, żartujesz!
- Nie, traktuję to serio. Weź!
- Nie mogę.
- Kto ci zabrania?
- Nikt. Ale taki bogaty dar...
- Nic więcej nie mów! Człowiek, który dał mi tę sumę, jest zamożny. Proszę, schowaj te pieniądze, a kiedy zechcesz je rozmienić, idź do jakiegoś uczciwego człowieka. Kup żywności dla siebie i dzieci. Z bogom - z Bogiem! Jutra przyjdę znowu.

Wcisnąłem jej pieniądze w powykręcane dłonie i czym prędzej od~szedłem. Ruszyła za mną, lecz stanowczym gestem dałem jej znak, żeby została, i nie miała już odwagi iść za mną do czekają-

cych na mnie towarzyszy. Pojechaliśmy dalej. Dosiadając konia zauważyłem, że wokół zbieraczki ziół gromadzą się ciekawscy, z pewnością po to, żeby ją wziąć na spytki. Nie pożegnałem się z Nohudą, Fasolą, która chciała się odmłodzić. Pomimo oblepionej kłajstrem twarzy przyłączyła się do grupki ciekawskich widzów

- a tam nie miałem ochoty do niej podchodzić.

Od termy skręciliśmy teraz w wąską uliczkę, na której ro~gu spostrzegłem jakiegoś mężczyznę w łachmanach, który bacznie nam się przyglądał. Nie poświęciłem mu jednak większej uwagi, 348 jako że wszystkie osoby tutaj w mniejszym lub większym stopni~n wydawały mi się obszarpańcami.

Nie wiedziałem, dokąd nas zaprowadzi Ibarek. Zapytałem go~ więc o to, on zaś udzielił mi żądanej informacji:

- Zaprowadzę was do hanu „Et Tohr el ahmar”, gdzie powin-no wam się bardzo spodobać.

Uderzyła mnie nazwa zajazdu. Brzmiało to dokładnie tak, jak-byśmy się znajdowali w uliczkach jakiegoś niemieckiego miastecz-ka. Arabskie „Et Tohr el ahmar” znaczy bowiem „Pod Czerwonym Wołem”. Brzmiało to dla moich uszu równie mile jak „Ojczyste~ dźwięki” Gungla.

- Znasz handźiego? - zapytałem.

- Nawet bardzo dobrze - odparł z uśmiechem. - Handźi Baj-ro jest mianowicie moim szwagrem.

Rad byłem z tego, gdyż mogłem oczekiwać, że przyjaźń, jaką nas darzył Ibarek, przejdzie również na jego szwagra.

# XVII. NIEUDANE AR,ESZTOWANIE

Ostromcza - przynajmniej sądząc po tym, co ujrzeliśmy teraz

- nie przedstawiała nic szczególnego. Tureckie domy i chaty uka-zują ulicy zaopatrzone w gęste drewniane kraty okna górnej kon-dygnacji, a poza tym tylko gładkie mury. Drogi składają się z su-chego szlamu, z którego w gorące dni wzbijają się straszliwe tu-many kurzu, w słotę natomiast ludzie zapadają się głęboko w bło-to. Środkową część uliczek pokrywa często zaniedbany bruk. Pod tym względem jedno miasto jest tutaj podobne do drugiego. Kiedy przy jakiejś okazji obejrzałem się za siebie, ponownie spostrzegłem włóczęgę, który stał na wspomnianym rogu. WTóół się za nami bez pośpiechu, doszedłem więc do przekonania, że nas śledzi. Z jakiej przyczyny? Domyślałem się ~tego. Wreszcie Ibarek wskazał dużą otwartą bramę, nad którą rzucał się w oczy szyld z napisem „Et Tohr el ahmar”.

- To tutaj! - powiedział.

- Wjedźcie do środka! Ja natomiast udam, że zamierzam ruszyć w dalszą drogę.

- Dlaczego?

- Idzie za nami jakiś człowiek, któremu Mubarek z pewnością

34~

~lecił, żeby zwrócił uwagę, gdzie się zatrzymamy. Zamierzam mu teraz sprawić piękną niespodziankę:

Moi towarzysze skręcili w otwartą bramę, ja natomiast pojecha-łem jeszcze kawałek dalej. Nasze pajawienie się wywołało sens~a~cję. Wszędzie ludzie zatrzymywali się i patrzyli za nami. Mimo to przez cały czas miałem na oku śZedzącego nas człowieka. Obecnie ~skierowałem konia w bak i zatoczyłem mały łuk. Było to możliwe dlatego, że han znajdował się nie przy ulicy, ale przy małym pla~cyku. Ludzie stali jeszcze i spoglądali po części na otwartą bramę; przeważnie jednak na m~nie. Mój wspaniały karosz zdawał się przy-kuwać ich uwagę. Kazałem Rihawi poruszać się krokiem tanecz-nym i tym sposobem kierowałem go w stronę miejsca, gdzie stał podejrzany. Mężczyzna miał na sobie szerokie spodnie i krótki kaftan. Obydwie części garderoby łączył długi pas owinięty kilka ~azy wokół bioder.

Nagle wydałem gwizd, na który mój ogier ruszał najszybszym galopem. Posłuchał mnie i teraz, i wystrzelił jak z procy. Dał się ~łyszeć ogólny krzyk i wszyscy pierzchali na boki. Sądzone pew-nie, że koń poniósł. Szpieg tak był pochłonięty swoim zadaniem, że nie pomyślał od razu o ucieczce. Potem jednak ze strachu wy~zucił ramiona w górę i wrzasnął na całe gardło, ujrzawszy, że kary pędzi prosto na niego. Może chciał swym krzykiem odstra~szyć konia, bo na ucieczkę było już za późno. Oparł się bowiem ~ mur, wzdłuż którego przejeżdżałem galopem. Byłem już przy nim.

Przycisnął się całym ciałem do ściany, lecz pochyliłem się ~ siodła, schwyciłem go za pas i poderwałem w górę. Uniosłem ~go szerokim łukiem z prawej ponad głowę konia i przerzuciłem na lewą stronę, po czym przełożyłem go sobie przez kolana.

- Allah, Allah! - wrzeszczał, próbując się uwalnić.

- Zachowuj się spokojnie! - zawołałem do porwanego. - Bo „będzie po tobie!

Wtedy natychmiast zamknął usta, a na dodatek także oczy. Nie ‘był bohaterem.

Następnie skręciłem w stronę hanu i wjechałem klusem przez bramę. Na podwórzu stał Halef wraz z resztą towarzyszy. Obserwowali zdarzenie od początku, śmiali się na całe gardło, a teraz ~śpiesznie zamknęli skrzydła bramy i założyli wielki rygiel. Było to zresztą konieczne, gdyż do wejścia tłoczył się spory tłumek, ~chcąc się dowiedzieć, co ma znaczyć ta dziwna sprawa. Spuściłem więźnia na ziemię i sam zsiadłem z konia. U boku .Ibareka zbliżył ~ię ubrany na turecką modłę mężczyzna i pozdrowił mnie. Był to handzi Bajro. W ezasie kiedy wymieniałem; z nim zwyczajowe po-350 zdrowienie, mój współjeździec doszedł już z powrotem do siebie~ Nadał się, stanął obok i zapytał groźnie:

- Czemu mi to zrobiłeś? Mogłem przy tym wyzionąć ducha.

- Z pewnością nie byłaby czego żałować.

- Nie drwij! Czy wiesz, kim jestem?

- Nie, do tej pory jeszcze nie wiem.

- Jestem przewoźnikiem na rzece Wodocznicza.

- Pięknie! Żyjesz zatem poza bramami miasta na wodzie. Nie byłeś rad, że dla urozmaicenia mogłeś odbyć taką piękną prze-jażdżkę konno?

- Rad? Czyż prosiłem cię o to, żebyś mnie zabrał ze sobą?

- Nie, ale tak mi się spodobało.

- Złożę na ciebie daniesienie.

- Świetnie! - uśmiechnąłem się.

- I każę cię ukarać.

- Bardzo świetnie!



- Bezzwłocznie udasz się ze mną do saptije mudiri.
- Później, drogi przyjacielu! Teraz nie mam czasu!
- Nie mogę czekać. Muszę być przy swoim promie.
- A gdzie on jest?
- Nad Wodaczną.
- Przypuszczalnie niedaleko drogi do Kusturlu?
- Skąd ci to przyszło do głowy? Tam nie ma żadnej rzeki. Wadocznica płynie przecież na północ od miasta.
- Wiem o tym bardzo dobrze. Ale ów przewoźnik, który twierdzi teraz, że nie ma czasu, wystawał na rogu ulicy w południowo-
- wschodniej części miasta, a następnie szedł sobie spacerkiem za nami. Prawda ta, czy nie?
- Owszem. Ale co cię to obchodzi?
- Bardzo wiele, mój drogi. Dlaczego szedłeś za nami?
- Mogę sobie chodzić, za kim chcę.
- A ja mogę jeździć, z kim mam ochotę! Tym sposobem obaj postąpiliśmy według swojej woli.
- Jazda na koniu to zupełnie co innego. Mogłem sobie złamać kark.
- Może nie byłoby czego żałować.
- Efendi! Powiedz tak jeszcze raz, a wpakuję ci ostrze mię, -dzy żebra!

Spiegujący przewoźnik sięgnął groźnym gestem w kierunku pasa, gdzie tkwił w pochwie nóż.

- Zostaw to! - krzyknąłem na niego ostro. - Takiej zabawki nie ma się co obawiać.
- Tak? A kim ty jesteś, że pozwalasz sobie mnie obrażać?
- Jestem Kara ben Nen~si efendi hasretleri. Czy słyszałeś już kiedyś to nazwisko?

Wyprostowałem się przed nim na całą wysokość i starałem się w miarę możliwości robić wrażenie kogoś bardzo dumnego i władczego. To, że nadałem sobie tytuł hasreta, a więc ekscelencji, było więcej niż przesadą. Uważałem jednak, że koniecznie muszę się teraz trochę popisać jak mój mały

Hadzi. Nie miałem żadnej wła-~dzy nad tym szpiegiem, a mimo to chciałem go zmusić, żeby mi powiedział, kto polecił mu nas śledzić. Musiałem zatem go nastra-~szyć i w tym celu potrzebowałem jakiajś oficjalnej godności, której niestety nie posiadałem. Zaraz zresztą spostrzegłem, że uderzyłem we właściwą strunę, gdyż przewoźnik ukłonił się niska i odparł pokornie:

- Nie, sultanum, nigdy jeszcze nie słyszałem tego dostojnego nazwiska.
- Więc słyszysz je teraz, i już wiesz, kim jestem. I stosownie ~do tego masz się zachowywać! Sądziś, że lubię mieć za plecami azpiegów, którzy mnie śledzą?
- Hasret, nie rozumiem cię.
- Rozumiesz mnie bardzo dobrze. Odpowiedz! Kto polecił ci mnie śledzić, żeby dowiedzieć się, gdzie zsiądę z konia?
- Nikt, hasret. Szedłem za tobą wyłącznie z własnej inicja-tywy.
- Czy była to najkrótsza droga do rzeki?

Wyraźnie się stropił.

- No, odpowiedz! - naciskałem.
- Hasret, naprawdę się mylisz. Nadłożyłem drogi zupełnie nie-umyślnie!
- Fięknie! Zamierzam ci uwierzyć. Ale jeśli sądzisz, że to dla ~ciebie korzystne, to jesteś w błędzie. Przewoźnik, który powinien być przy swaim promie, a zamiast tego włóczy się okrężną drogą po ulicach Ostromczy; kogoś takiego nie potrzebujemy, gdyż nie rnożna na nim polegać. Wydam mudirowi rozkaz, żeby cię zdjął z tego stanowiska. Są inni, bardziej godni tego urzędu. Tego już się przeraził.
- Hasret, nie uczynisz tego! - zaczął błagać.
- Owszem, uczynię to; i to tym chętniej, że widzę wyraźnie, jak mnie okłamujesz.

Szpieg patrzył przez chwilę w ziemię, pa czym oświadczył z wa-han,iem:

- Efendi, będę szczery i wyznam ci, że szedłem za to~bą.

- Powiedz mi więc także, kto zlecił ci to zadanie.
- Nikt. Robiłem to z ciekawości.
- To kłamstwo!
- Nie, efendi.
- Przekonamy się! Kto raz skłamał, ten skłamię też po raz drugi.

I zwracając się do Halefa rozkazałem:

- Hadzi Halefie Omarze ago, sprowadź tu natychmiast dwóch saptije. Człowiek ten ma dostać bastonadę!
- Tak jest, sultanum! - odpowiedział mój mały towarzysz i wykonał ruch, jakby chciał czym prędzej odejść.
- Stój! - krzyknął wystraszony przewoźnik. - Ago, zostań tutaj! Wszystko wyznam!
- Za późno! Ago, pośpiesz się!

Wtedy mężczyzna osunął się na kolana i zaczął lamentować, uniósłszy ręce do góry:

- Tylko nie bastonadę, tylko nie bastonadę! Nie zdołam jej przetrzymać.
- Dlaczego?
- Moje stopy są takie miękkie i wrażliwe, bo przebywam dużo na wodzie.

Musiałem zacisnąć zęby, żeby się nie roześmiać. Bastonada jak wiadomo wymierzana jest na gołe podeszwy, a w jego wypadku ta położona nisko okolica ciała była zbyt delikatna na tak gwałtowne wrażenia. Gdyby uznać tę rację, należałoby w ogóle zrezygnować z karania, gdyż kara polega właśnie na zadawaniu fizycznego, psy-ehicznego lub moralnego bólu. Nie znaczy to bynajmniej, że je-stem zwolennikiem maltretowania podeszew moich bliźnich. Dla-tego też pouczyłem go życzliwie:

- Właśnie dlatego, że musiałbyś cierpieć przy tym podwójne bóle, powinieneś z podwójną ostrożność~cią unikać wszystkiego, co mogłoby skłonić zwierchność do wymierzenia ci kary. Ale akurat teraz mam godzinę litości i spróbuję kierować się łaską.
- Spróbuj, efendi, złożę przed tobą szczere wyznanie.

- Powiedz zatem, kto zlecił ci to zadanie.
- Mi. ibarek.
- Co ci zaproponował w zamian? Pieniądze?
- Nie. Święty nigdy nie daje pieniędzy. Obiecał mi amulet na obfity połów, gdyż jestem przewoźnikiem i zarazem rybakiem.
- A jak brzmiało jego polecenie?
- Miałem iść za tobą, a potem powiedzieć mu, gdzie mieszkasz.
- Kiedy i gdzie masz mu to przekazać?

### 23 W wąwozach Bałkanów 353

- Dziś wieczorem na górze w jego chacie.
- Czy można z nim jeszcze rozmawiać o tak późnej porze?
- Jest tylko dla tych, którym zlecił jakąś misję: Wystarczy je-dynie zapukać i wypowiedzieć słowo... Wystraszył się i nagle urwał.
- Dalej! - rozkazałem.
- Dalej już nic.
- Chcesz mnie znowu aklamać?
- O nie, efendi.
- A mimo to kłamiesz!

Przypomniałem sobie, co powiedział przed chwilą, a mianowicie, że Mubarek nigdy nie daje pieniędzy. Skoro wiedział to tak do-kładnie, to prawdopodobnie już nieraz wykonywał polecenia star-ca. Dlatego też pytałem dalej:

- Jeśli się puka zwyczajnie kółkiem u drzwi, nie atworzy?
- Nie.
- Ale jeśli wypowie się do tego określone słowo, zostanie si~ wpuszczonym? Przewoźnik

milczał.

- Mów. A może mam ci kazać otworzyć usta. Bastonada jest na to dobrym środkiem.

W dalszym ciągu spoglądał niezdecydowanym wzrokiem w ziemię. Lęk przed Mubarekiem wydawał się równie wielki, co strach przed bastonadą:

- Dobrze! Skoro nie potrafisz mówić, to konsekwencje tego możesz przypisać samemu sobie. Hadzi Halefie Omarze ago! Ledwo wymieniłem to nazwisko po raz drugi, przewoźnik przestał się namyślać i rzekł pokornie:

- Hasret, nie każ sprawadzać saptije! Wyznam ci wszystko.

Mubarek może się na mnie gniewać. Z jego powodu nie dam się zbić na kwaśne jabłko.

- Dlaczego miałby się na ciebie gniewać?

- Święty bardzo surowo zabronił mi o tym mówić.

- Czyżbyś zamierzał się przyznać, że powiedziałeś mi to słowo?

- Nie. Ani mi to w głowie. Ale ty sam mu a tym powiesz.

- Bądź spokojny. Nie mam najmniejszego powodu, żeby się wygadać, że wiem to od ciebie.

- Więc dowie się tego przez swoje ptaki.

Znow te ptaki. Stary oszust, jak się zdaje, wyjątkowo dobrze opanował sztukę wyzyskiwania ciemnoty tych ludzi na swoją korzyść.

- Nie ma tu przecież żadnych ptaków! Widzisz jakiegoś?

354

Rozejrzał się dokoła. Nie było widać żadnego kruka, kawki czy wrony.

- Nie. Nie wysłał żadnego ptaka, pewnie dlatego, że nie wiedział, gdzie się zatrzymasz.

- Mubarek mógłby przecież rozkazać któremuś z nich, żeby leciał za mną. Wtedy nie wprowadziłby

cię w kłopot, a ja nie mógł-bym kazać, żeby wymierzono ci bastonadę. Twój stary święty nie jest więc aż taki mądry, jak myślisz. Nie musisz zatem się go bać! Kiedy chce się przyjść do niego potajemnie, trzeba wypowiedzieć pewne słowo?

- Tak, efendi.
- Czy jest kilka takich słów dla różnych osób?
- Nie. Wszyscy znają tylko to jedno słowo.
- Jak ono brzmi?
- Syrdacz.

Hasło to zostało wybrane nie najgorzej, gdyż znaczy ono „zau-fany”.

- Czy to naprawdę właściwe słowo? A może sam je wymyśli-łeś?
- Nie, efendi! Jak mógłbym się odważyć?
- Okłamałeś mnie już dwukrotnie. Nie zasługujesz więc na zaufanie.
- Teraz mówię prawdę.
- Zaraz wystawię cię na próbę, zadając nowe pytanie. Czy czę-sto już spełniałeś poufne misje dla Mubareka?

Dopiero po chwili przyznał się:

- Tak, efendi.
- Jakie?
- Nie mogę tego powiedzieć.
- Nawet wtedy, gdybyś miał dostać bastonadę?
- Nawet wtedy, w żadnym wypadku.
- Dlaczego?
- Złożyłem nieodwołalną przysięgę. Wolałbym dać się zatłuc na śmierć niż pójść do piekła obarczony złamaną przysięgą. Powiedział to tonem najszczerzej prawdy. Dlatego też wykorzy-

stałem tę sposobność, żeby go zapytać:

- Znasz może słowo „En Nasr”?

- Tak.

Nie spodziewałem się, że wyzna to od razu.

- Jak je poznałeś?

- Tak samo jak obecne. Powiedział mi je Mubarek.

- W jakim celu było używane?

355

- Jako znak rozpoznawczy wśród jego znajomych.

- A teraz już nie?

- Nie, efendi.

- Dlaczego?

- Bo zostało zdradzone.

- Przez kogo?

- Tego nikt tutaj nie wie. Zostało zdradzone w Stambule.

- W jaki sposób?

- Nie mogę tego powiedzieć.

- Spokojnie możesz o tym mówić, gdyż wiem więcej, niż sądzisz. W Stambule był dom spotkań ludzi spod znaku „En Nasr”. Odkrył to pewien człowiek, który mieszkał tuż obok w domu piekarza. Nieprawdaż?

- Efendi, wiesz o tym? - zapytał ze zdumieniem.

- Och, wiem jeszcze dużo więcej. Dom się spalił, i wywiązała się walka.

- Wiesz wszystka dokładnie!
- Mogę cię nawet zapytać o „Ustę”. Słyszałeś o nim?
- Któż by nie znał tego potężnego pana?
- Widziałeś go osobiście?
- Nie.
- Czy wiesz, kim on jest?
- Też nie.
- Ani gdzie go można znaleźć?
- To wiedzą tylko wtajemniczeni.
- Myślę, że należysz do nich?
- O nie, efendi.

Przy tym przewoźnik spojrział na mnie z taką szczerością, że byłem przekonany, iż mówi prawdę.

- No cóż, kiedy mi dowiodłeś, że nie jesteś taki zły, jak musiałem początkowo sądzić, zamierzam ci darować bastonadę.
- Ale zamierzasz mnie tutaj zatrzymać?

To było więcej, niż mogłem oczekiwać. Moje przechwałki uczyniły niespodziewanie duże wrażenie. Zachowałem jednak surową minę i oświadczyłem:

- Właściwie powinienem kazać cię zamknąć. Ale ponieważ w końcu byłeś szczery, również i to będzie ci darowane. Jesteś wolny i możesz odejść.

Wtedy jego twarz zajaśniała radością.

- Hasret! Dusza moja pełna jest wdzięczności dla ciebie. Spełnij jeszcze moją jedną prośbę, a będę szczęśliwy!
- Jaka to prośba?



- Nie wspominaj Mubarekowi o tym, co ci powiedziałem.

Łatwo mogłem uczynić zadość temu życzeniu. Wszak leżało w moim własnym interesie, żeby starzec o niczym się nie dowiedział. Im mniej jego zdaniem wiedziałem z jego sekretów, tym większą miałem pewność, iż uda mi się go przechytrzyć. Zapewniłem więc przewoźnika, że będę milczał. Oddalił się bardzo zadowolony, że incydent ten skończył się dla niego szczęśliwie. Należy wspomnieć, że ostatnia część rozmowy toczyła się bez niepożądanych świadków. Handzi Bajro został odwołany do hanu i wziął ze sobą swego szwagra Ibareka. A więc żaden z nich nie słyszał tajnego hasła. Natomiast trzej, którzy pozostali, Halef, Osko i Omar, mogli je rzecz jasna poznać.

Następnie przekanałem się, obserwowany przy tym z zaciekawieniem przez gapiów, którzy weszli na podwórze przez na powrót szeroko otwartą bramę, że zadbano jak trzeba o nasze konie. Wydawało im się rzeczą niepojętą, jak jeździec w galopie mógł podnieść kogoś do siebie na siodło. A może moja osoba była dla nich ważna z innych powodów?

Na to ostatnie pytanie musiałem udzielić sobie twierdzącej odpowiedzi, gdy Halef poinformował mnie, że ktoś go zapytał, czy to ja jestem tym obcym hekimem baszi, który podarował chorej Nebatji przeszło dwieście piastrów i aśmielił się zastrzelić jednego z ptaków Mubareka. Ledwo znalazłem się w Ostromczy, a byłem już sławny. Wcale jednak nie było mi to na rękę. Im mniej o mnie mówiono i poświęcano mi uwagi, tym łatwiej mogłem wypełnić swe zadanie.

Obecnie udałem się do wnętrza domu. Urządzony był niemal tak samo jak han w Dabila, tyle że tutaj ściany składały się z suszonych na powietrzu surawych cegieł, Ibarek przypuszczalnie dobrze nas palecił, gdyż zaprowadzono nas do specjalnej izby, gdzie dostaliśmy najpierw wodę, żeby się obmyć z kurzu, a następnie, uwzględniając miejscowe stosunki, bardzo porządny posiłek. Obydwaj szwagrowie jedli razem z nami. Zasłon na piersi, jak się wyraził Halef, tym razem nie było. Ze zrozumiałych względów rozmowa zeszła na temat kradzieży, której bliższe okoliczności raz jeszcze zostały dokładnie omówione. Pomyślałem przy tym, że w ogóle jeszcze nie widziałem na oczy zbiegłego dozorcę więziennego, gdy tymczasem dobrze znałem pozostałych uciekinierów.

Dlatego też zapytałem Ibareka:

- Rozpoznałbyś tych trzech złodziei, gdybyś ich ujrzał znowu?

- Natychmiast.

- A więc przyjrzałeś im się dokładnie. Możesz mi opisać męż-

35'7 czynę, który pokazywał sztuczki karciane? Może uda się go spotkać, a nigdy go jeszcze nie widziałem.

- Och, tego łatwo rozpoznać! Ma na twarzy nieomylny znak, którego nie może usunąć: a mianowicie zajęczą wargę. W tym momencie wszedł do izby parobek i rozmawiał szeptem z handżim Bajro, który wyraźnie się stropił i spoglądał na mnie bezradnym wzrokiem.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Wybacz, efendi - odpowiedział Bajro. - Za drzwiami... jest kilku saptije.

- Przyszli tu z naszego powodu?

- No właśnie.

- Czego chcą?

- Aresztować was.

Allah akbar - Allah jest wielki! - zawołał Halef. - Niech wejdą! Zobaczymy, jak się sprawa przedstawia: czy oni nas, czy my ich.

- Tak - zgodziłem się. - Ale natychmiast każ osiodłać z po-wrotem nasze konie.

- Czyżbyście zamierzali uciekać? - spytał handżi.

- Ani nam to w głowie!

Bajro wyszedł, a przez otwarte drzwi wkroczyło do izby sześciu uzbrojonych po zęby saptije. Moje przewidywanie spełniło się. Był wśród nich Selim, z którym rozmawialiśmy w zaroślach poza miastem. Nie należało się temu dziwić, ponieważ jechaliśmy wol-no i zatrzymaliśmy się przy gorącym źródle. Saptije stanęli przy drzwiach, a nasz znajomy wystąpił naprzód. Zapewne uznał, że należy mu się satysfakcja w postaci przemawiania w imieniu wszystkich. Z wcześniejszej skłonności do kontemplacji nie pozostało, jak się zdaje, ani śladu, gdyż uderzając kolbą strzelby w podłogę, zawołał do nas z miną zwycięzcy:

- No!

Już to jedno słowa miało nas zmiażdżyć. Pobrzmiwał w nim bezmiar radości, wyższości, szyderstwa i zadowolenia. Ale żaden z nas się nie ruszył. Spokojnie jedliśmy dalej, jakbyśmy się umówili. Moi trzej towarzysze po prostu brali ze mnie przykład.

- No! - powtórzył bohater.

Kiedy i po tym wezwaniu nie nastąpiła żadna odpowiedź, pod-szedł o krok bliżej i zapytał groźnie:

- Czyżbyście nie słyszeli?

Tym razem dostał odpowiedź, której ani on, ani ja nie braliśmy w rachubę. Otóż mały Hadzi wstał, wziął duży drewniany pół-358 misek, na którym podano nam pyszną, ociekającą tłuszczem pilaw, stanął przed policjantem, podsunął mu wystarczającą jeszcze dla dziesięciu osób porcję i wypowiedział tylko jedna słowo:

- Bierz!

Przez chwilę patrzyli sobie nawzajem w oczy. W tym czasie zapach ulubionej potrawy wszystkich Turków wdarł się w nos saptije. Jego surowa twarz łagodniała coraz bardziej. Usta mimo-wolnie otworzyły się, nozdrza drgały, a na jego wargach zaczął igrać łaskawy uśmiech. Kańce wąsów podrygiwały - nie było dwóch zdań, pilaw zwyciężyła. Który turecki saptije potrafi się oprzeć ablanej tłuszczem górze ryżu z kawałkami mięsa! Flinta wysunęła się policjantawi z ręki, pochwycił półmisek, odwrócił się do swoich towarzyszy i zapytał:

- Istermitsinis - chcecie?

- Ewwet, ewwet - tak, tak! - odpowiedziało prędko pięć głosów.

- No więc siadajcie!

Pozostali oparli swaje karabiny a ścianę i przykucnęli obok ko-łegi. To była czysta przyjemność, patrzeć, jak poważnie i z god-nością kucają wokół półmiska z minami greckich mistrzów świata, sięgają palcami do góry ryżu, formują z niego w stulonych dło-niach kuleczki i wrzucają owe kulki w szeroko rozwarte usta. Halef usiadł z pawratem na swoim miejscu i zachował kamien-ną twarz. Wtedy wrócił do izby handzi Bajro. Ujrzawszy jednak mocno pracujące żuchwami i toczące kulki z ryżu towarzystwo, natychmiast zniknął znowu, gdyż zostając choćby sekundę dłu-żej, musiałby wybuchnąć głośnym śmiechem.

Kiedy pilaw zniknęła z półmiska, pełen godności saptije odniósł naczynie.

- Ejwallah - Bóg zapłać! - podziękował, odłożył półmisek na niski stalik, padniósł swoją broń,

nadał się ponownie i rzekł z miną rzymskiego dyktatora:

- No?

Teraz uznałem za stosowne mu odpowiedzieć.

- Czego chcecie? - zapytałem krótko.

- Was! - brzmiała jeszcze krótsza odpowiedź.

- Po co?

- Żeby was odstawić do saptije mudiri.

- A czego on chce?

- Wymierzyć wam karę - powiedział Selim przewracając oczami.

- Za co? - zapytałem uprzejmie.

359

- Za baty.

- Jakie baty?

- Te, które dostałem - zagrzmiał.

- W takim razie zostałeś już przecież ukarany! Do czego jeszcze my jesteśmy tam potrzebni?

Gdybyxn potrafił namalować minę, jaką zrobił teraz saptije, obraz ten byłby najcenniejszą pamiątką mojego pobytu w Turcji. Była ona wprost nie do opisanania. Stróż bezpieczeństwa publicznego stracił głowę, zupełnie stracił głowę. Wkrótce jednak przyszło mu na myśl, że powinien przecież coś powiedzieć. Przybrał posępną minę i zawołał:

- Pójdziecie z nami dobrowolnie?

- Nie.

- A więc pod przymusem?

- Nie - powtórzyłem z naczkciem.
- Allah, Allah! Więc jak?
- Wcale.

Odpowiedź ta zupełnie zbiła Selima z tropu. Nazwał siebie naj-bardziej bystrym z miejscowych policjantów, ale jest jednak róż-nica, czy ściga się w ~nyśli trzy siwki, czy chce się aresztować pięciu mężczyzn, którzy nie dają się wytrącić z równowagi żadnej policji ani zgoła nikomu. Uczynił więc, co uznał za najmądrzej-sze i co z pewnością było w ogóle najmądrzejsze w tej sytuacji: oparł się o ścianę i powiedział do jednego ze swych kolegów:

- Mów ty!

Wskazany wystąpił naprzód. On z kolei zabrał się do rzeczy zupełnie inaczej. Przypuszczalnie posiadał spore zacięcie do lekcji pagładowych, gdyż uniósł swoją flintę, podsunął mi kalbę prawie pod nos, po czym pokazał ją wszystkim dookoła i zapytał:

- Wiecie, co to jest?

Dla żartu odpowiedziałem mu:

- Tak.
- No więc co to jest?
- Kolba karabinu.
- Słusznie. A przy niej jest lufa, z której się strzela. Razu-miesz?
- Tak.
- Więc wszystko już wiecie!
- Bynajmniej; wiemy tylko, że z twojej flinty można strzelać.
- Tyle też wystarczy. Przyszliśmy tutaj po to, żeby was aresz-tować.
- Ach! Trzeba było powiedzieć to na początku!

# 36Q

- To rozumie się przecież samo przez się. Jeżeli natychmiast nie pójdziecie z nami, będziemy musieli użyć broni.

- Czyżby po to, żeby nas zastrzelić?

- Tak.

- No cóż, jesteśmy na to przygotowani. Zastrzelcie nas!

Podpaliłem swój czubuk, moi towarzysze zrobili podobnie, i pa-liliśmy dalej; policjanci natomiast gapili się na nas. Coś takiego nie zdarzyło im się jeszcze.

Następnie cała zabawa powtórzyła się: komendant złożył swój urząd. Obrócił się, dał szturchańca w bok innemu policjantowi i rzekł:

- Mów ty!

Chwat z miejsca był gotów pochwycić zwolnione berło. Wy-stąpił do przodu, przypuszczalnie z zamiarem wygłoszenia poważ-nej mowy. Nabierałem z wolna przekonania, że po kolei jeden drugiemu przekazywać będą komendę, aż w końcu wszyscy ra-zem, zniechęceni niepowadzeniami, wyniosą się. Tak pomyślnie nie miało się jednak ułożyć, gdyż akurat kiedy trzeci feldmarsza-łek otworzył usta, żeby zacząć, drzwi atworzyły się gwałtownie i pojawiła się twarz oraz mundur czausza 5p.

- Gdzie się chowacie?

- Tutaj!

- To widzę! Gdzie są ci ludzie?

- Tutaj!

To mówiąc opowiadający wskazał na nas.

- Dlaczego ich nie bierzecie?

- Nie chcą.

- Dlaczego ich nie zmusicie?

- Nie mogliśmy.

Pytania te i odpowiedzi padały tak szybko i płynnie, jakby były wyuczone na pamięć. Można było skonać ze śmiechu.

- A więc ja wam pokażę, jak zmusza się takich ludzi!

Sierżant podszedł bliżej i wyciągnął szablę. Toczył po nas oczy-ma przypominającymi kule, ukazując przy tym długie żółte zęby.

- Słyszeliście, hultaje, czego się od was chce? - krzyknął na nas. Nikt nie odpowiedział nawet słowem.

- Słyszeliście to? - ryknął czausz poczerwieniały na twarzy.

Wszyscy milczeli.

4e sierżant

361

- Czyście ogłuchli? - wrzasnął saptije załamującym się głosem.

Tak się wydawało, gdyż żadnemu z nas nawet nie drgnęła powieka. Doprowadziło to sierżanta do takiej pasji, że zupełnie stracił równowagę duchową. Zamierzył się szablą, żeby uderzyć mnie płazem, i krzyknął:

- Psi synu! Nauczę cię jeszcze mówić!

Szabla ze świstem przecięła powietrze - ale nie spadła na moje plecy, lecz na podłogę, a i czaus, rozejrzawszy się dokoła, stwierdził, że również siedzi na podłodze. Kiedy po chwili przeklinając zerwał się na nogi i chciał natrzeć na nas, nagle zatrzymał się i wytrzeszczył na nas oczy, Jakbyśmy byli duchami. W dalszym ciągu bowiem siedzieliśmy na swoich miejscach: spokojni, nieruchomi, sztywni i milczący niczym apostołowie na Górze Oliwnej. Jedynie ja się poruszyłem, gdyż musiałem mu wytrącić pięścią szablę z ręki, a następnie zadać cios, który powalił go na ziemię. Stało się to jednak tak błyskawicznie, że nie można by w tym czasie policzyć nawet do dwóch.

Sierżant policji przesunął po nas spojrzeniem, od jednego do drugiego, po czym zwrócił się do swoich ludzi i zapytał:

- Wcześniej też już byli tacy?
- Tak - odpowiedział nasz znajomy z zarośli.
- To jacyś wariaci!
- Z pewnością - zgodził się Selim.

Wśród tych pocziwców panowała zatem uszczęśliwiająca nie-mal jednomyślność. Spoglądali po sobie i kiwali głowami, i kto wie, jak długo jeszcze kiwaliby, gdybym w końcu nie wstał i nie podszedł do czasza, żeby się dowiedzieć:

- Kogo tutaj szukacie?

Jego twarz z miejsca się rozpogodziła, gdyż po tym pytaniu po-znał przynajmniej, że od biedy potrafimy mówić.

- Was - brzmiała krótka odpowiedź.
- Nas? Jak to możliwe? Mówiłeś przecież o psich synach i hul-tajach!

Przy tym utkwiałem w saptije tak przenikliwe spojrzenie, że zaczerwienił się, naprawdę się zaczerwienił.

- Któż to taki pragnie nas widzieć? - dociekałem dalej.
- Saptije mudiri.
- Dlaczego?
- Chce wam zadać kilka pytań.

Poznałem po minie czausza, że zamierzał nam udzielić zupełnie innej odpowiedzi, ale ta nie precyzyjnie mu się przez szerokie usta.



- To co innego. Przedtem ktoś mówił o ukaraniu. Idź zatem i zamelduj saptije mudiri, że natychmiast się zjawimy.
- Tego nie mogę zrobić, efendi! - odparł.
- Dlaczego?
- N!am was przyprowadzić. Muszę was nawet aresztować.
- Czyżby mudiri wiedział, kim je~steśmy?
- Nie, efendi.
- Więc biegnij szybko do mudira i powiedz mu, że nie jesteśmy ludźmi, którzy pozwolą się bez przeszkód aresztować.
- Tego tym bardziej nie mogę zrobić. Efendi, wyświadcz mi grzeczność i chodź ze mną! Panowie czekają już długo.
- Jacy panowie?
- Ławnicy.

Ach tak! No cóż, w takim razie przez wzgląd na tych panów bezzwłocznie wyruszę. Chodź!

Saptije z pewnością zupełnie inaczej wyobrażali sobie aresztowanie. Ruszyłem przodem na podwórze, za mną moi towarzysze, a za nimi policjanci. Na podwórzu stały nasze osiodłane konie. Sierżantowi chyba coś zaświtało. Zbliżył się bowiem do mnie i zapytał:

- Dlaczego idziecie na podwórze? Prosta droga nie prowadzi przecież tędy do stajni, ale przez bramę na zewnątrz.
- Nie martw się - odpowiedziałem. - Natychmiast obierzemy tę drogę.

Szybko podszedłem do swojego karosza i dosiadłem go.

- Stać! - zawołał. - Chcecie nam uciec. Złaż z konia! Nie pozwólcie wsiąść innym!

Jego ludzie chcieli złapać konie, a on sam schwycił mnie za nogę, żeby mnie ściągnąć na ziemię. Wtedy poderwałem karego do góry przednimi nogami i kazałem mu na tylnych zatoczyć koło. Czausz

musiał się puścić. ‘

- Ludzie, miejcie się na baczności! - ostrzegłem głośno. - Mój koń łatwo się płoszy.

Zmusiłem Riha do kilku skoków, tak że wpadł pomiędzy sapti-je, którzy z krzykiem rozpięchli się na boki. Tym sposobem moi przyjaciele zyskali czas, żeby dosiąść koni, a następnie wyjecha-liśmy galopem przez bramę.

- Gule, gule - bywaj! Do widzenia! - zawołałem do sierżanta.

- Dur, dur - stać, stać! - ryczał, rzucając się za nami w po-goń ze swoimi podwładnymi. - Nie pozwólcie im odjechać! Za-trzymajcie ich, to złodzieje, hultaje, rozbójnicy! Naturalnie było dość ludzi, żeby nas zatrzymać, gdyż wieść 363 o tym, że mamy zostać aresztowani, szybko razeszła się po Ostrom-czy i przyciągnęła spory tłumek. Jednakże dzielnym poddanym władcy wszystkich wiernych ani nie powstało w gławie porwać się na nas i tyxn samym trafić może pod kopyta naszych koni. Wprost przeciwnie, zmykali przed nami z krzykiem. Którą obrać drogę, aby dotrzeć do miejsca określanego w Niem-czech mianem „sąd okręgowy”, poznałem wyraźnie po tym, że uliczki prowadzące w tym kierunku zaludniły się osobami pragną-cymi wziąć udział w tej ciekawej rozprawie kryminalnej. Mimo to przejeżdżając obok jakiegoś starca, który bojaźliwie usunął się przed nami na bok, zapytałem:

- Gdzie mieszka kadi Ostromczy?

Wskazał w głąb ulicy, która wychodziła na nie zabudowany pla-cyk.

- Wjedź na ten plac, efendi! Po prawej stronie zobaczysz nad bramą półksiężyc z gwiazdą.

Zastosowaliśmy się do tej wskazówki i mijając ludzi, zdążają-cych w tym samym kierunku, dotarliśmy do długiego, wysokiego muru, pośrodku którego otwierała się wymieniona brama. Przez tę bramę wjechaliśmy na obszerne czworokątne podwórze, gdzie zastaliśmy sporą gromadę ciekawskich. Naprzeciwko bramy stał wzniesiony z muru pruskiego budynek sądu, będący zarazem bu-dynkiem mieszkalnym. Belki pomalowane były na zielono, a pły-ciny na niebiesko, co robiło w sumie dziwaczne wrażenie. Podwó-rze było brudne. Tylko jego część wzdłuż budynku pokrywało szerokie na kilka metrów coś, co z pewnością miało uchodzić za bruk. Ów chodnik wyglądał jednak tak, jakby został zerwany, by służyć jako materiał budowlany na jakąś barykadę. Przed drzwiami domu stał stary fotel, wyściełany mebel z przed-potopowych czasów. W pobliżu leżała ławka, z której na jednym końcu wystawały tylko dwie nogi. Parę sznurków i kilka wiązek grubych na kciuk kijów pozwalało przypuszczać, że mamy przed sobą urządzenie tutejszego wymiaru sprawiedliwości poświęcone bastonadzie. Stało przy nim kilku policjantów, a w pobliżu siedział nasz stary znajomy, a mianowicie kaleka Busra, którego mijaliśmy wjeżdżając do miasta.

Godna uwagi była twarz, jaką nam okazał. Pewnie był przekonany, że wejdziemy tu jako aresztanci. To, że przybyliśmy konno i bez policyjnej eskorty, nadało jego twarzy wyraz tak głupiego zdziwienia, że roześmiałbym się z tego, gdyby w jego płonących nienawiścią oczach nie dało się odkryć czegoś, co nie harmonizowało z jawnie okazywaną tępotą.

364

Zsiadliśmy z koni. Rzuciłem Osko swoje cugle i podszedłem do czekających saptije.

- Gdzie jest kodza baszi 47?

Wypowiedziałem to pytanie tonem wielkiego pana. Zapytany oddał mi honory wojskowe:

- W swoim mieszkaniu. Chcesz z nim rozmawiać?

- Tak.

- Więc zamelduję cię. Wymień mi swoje nazwisko i przedmiot sprawy.

- Sam mu to powiem.

Odsunąłem mężczyznę na bok i zwróciłem się do drzwi. W tej samej chwili jednak zostały już otwarte od środka i wyszedł z nich wysoki i suchy jak szczapa człowiek, pewnie jeszcze chudszy niż żebrak i stary Mubarek. Całą jego postać okrywał kaftan, który włókł się po ziemi, tak iż nie było widać stóp. Na głowie nosił turban z białego sukna. Szyję miał tak długą i cienką, że ledwo rnośła unieść głowę, gdyż głowa ta chwiała się na boki, w górę i w dół, jakby długi, ostro zarysowany nochał odczuwał jakieś szczególne ciągotki do nadmiernie rozwiniętej grdyki. Obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem małych, bezzęsyh i zaczerwienio-nych kaprawyeh oczu i zapytał:

- Z kim chcesz rozmawiać?

- Z kodzą baszi.

- To ja. Kim jesteś?

- Jestem cudzoziemcem, który ma powody, żeby zwrócić się do ciebie z pewną skargą.

Chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył, gdyż w tym momencie wbiegł przez bramę na czele swoich ludzi sierżant, zatrzymał się zdumiony na nasz widok i zawołał:

- Allah, Allah! To przecież oni!

Wraz z nim wtłoczyli się do środka ludzie i wciąż ich przybywała, lecz nikt się nie odzywał. Wszystko odbywało się tak spokojnie i bezszelestnie, jakbyśmy znajdowali się w meczecie. Miejsce, gdzie drewniana ławka wystawiała ku niebu swoje dwie nogi, było dla tych ludzi święte. Może niektórzy z nich byli już przypinani do tej ławki, a ich gołe stopy przywiązywane do drewnianych nóg. Takie wspomnienia mają zazwyczaj przemożną siłę.

Zamiast mi odpowiedzieć urzędnik zwrócił się do sierżanta:

- Jeszczeście go nie przyprowadzili? Czyżbyście chcieli dostać bastonadę zamiast niego? dosłownie „przywódca starszyny”, „sołtys”, „naczelnik” 47 365

Wtedy zdyszany jeszcze po szybkim biegu saptije wskazał na mnie i odrzekł:

- To przecież on, sultanum!

- Co, to on?

- Tak.

Kodża baszi obrócił się prędko z powrotem do mnie i zlustrował mnie od stóp do głów. Jego głowa kiwała się przy tym tak, jakby jej zadaniem życiowym było dowodzić poprzez ten ciągły ruch wahadłowy, że ziemia się kręci. Twarz jego przybrała surowy i posępny wyraz i zapytał opryskliwie:

- A więc to ty jesteś tym więźniem?

- Ja? Nie, nie jestem nim - odparłem spokojnie.

- Tak jednak mówi ten sierżant policji!

- Mówi nieprawdę. Widziałeś może, w jaki sposób dotarliśmy na podwórze?

- Tak, stałem przy oknie.

- W takim razie pewnie zauważyłeś, że siedzieliśmy na koniach.

Przybywam do ciebie dobrowolnie. Twoi saptije nadeszli dopiero po nas. Czy coś takiego nazywasz aresztowaniem? ~-. Tak. Przybyłeś wprawdzie trochę wcześniej, ale policja poszła was sprowadzić, i tym sposobem zostaliście aresztowani. Jesteście moimi więźniami.

- Pozostajesz w wielkim błędzie.
- Ja jestem kodża baszi - zawołał surowym tonem chudzielec
- i nigdy się nie mylę. Zapamiętaj to so~bie.

Tak groźnie kiwał przy tym swoją głową, że obawiałem się, iż zamierza nią we mnie rzucić. Naprawdę wyglądało to niepokojąco.

- No cóż, w takim razie dowiodę ci, że mimo to się mylisz - oświadczyłem z naciskiem. - Nie ma na świecie takiego kodży baszi, któremu bym pozwolił, żeby nazywał mnie swoim więźniem. Wystarczyło kilka szybkich kroków do mego konia i jednym skokiem znalazłem się w siodle. Moi towarzysze dosiedli swych wierzchowców równie prędko.
- Sihdi, wyjeżdżamy przez bramę? - zapytał Halef.
- Nie, zostajemy. Utoruję tylko drogę do bramy.

Wydawało się, jakby kary rozumiał mój zamiar. Tanecznymi krokami, przez cały czas posuwając się bokiem, dotarł do bramy i tak samo z powrotem, parskał przy tym i wierzgał kopytami do przodu i do tyłu, tak że obecny tłum czym prędzej zrobił miejsce i trwożliwie przywarł do murów.

- Szybko zamknijcie bramę! - nakazał sędzia swym podwładnym. 366
- Kto dotknie bramy, tego strącę na śmierć! - zagroziłem.

Żaden z policjantów nawet nie drgnął. Kodża baszi bezskutecznie powtórzył swój rozkaz. Wziąłem do ręki bicz z krokodylej skóry, a ta broń wydawała się ludziom zbyt niebezpieczna. Następnie podjechałem tak blisko urzędnika sądowego, że karosz parskał mu w twarz. Ten cofnął się i obronnym gestem wyciągnął przed siebie długie, chude ramiana.

- Na co ty sobie pozwalasz? Czy nie wiesz, gdzie jesteś i kim ja jestem? - krzyknął kadi.
- Wiem to dokładnie. Ty natomiast nawet się nie domyślasz, kogo masz przed sobą. Złożę na ciebie skargę u twojego przełożonego, u mahredża Salonik. Już on cię pouczy, jak powinieneś trak-tować dostojnych cudzoziemców.

W tych groźnych słowach sporo było przesady, na którą pazwoiłem sobie z uwagi na okoliczności.

Moje przechwałki odniosły jednak zamierzony skutek, gdyż kadi powiedział teraz o wiele uprzejmiej niż przedtem:

- Podróżujesz incognito? Nie wiedziałem o tym. Dlaczego nie powiedziałeś mi tego od razu?
- Bo jak dotąd nie pytałeś wcale o moje nazwisko ani o moje stosunki.
- Powiedz mi więc, kim jesteś!
- Później. Najpierw chcę się d<sup>o</sup>wiedzieć, czy rzeczywiście uważasz mnie za swojego więźnia. Dalsze postępowanie uzależniam od twojej odpowiedzi.

Wezwanie to wprawiło w kłopot kodzę baszi. Władca Ostromczy i okolic miałby odwołać swoje słowva! Spoglądał na mnie niepewnie i zwlekał z odpowiedzią. Jego głowa zaczęła się kiwać niebezpiecz-nie. Wyglądało na to, że szyja w każdej chwili gotowa się złamać.

- No więc, odpowiedz! W przeciwnym wypadku adjeżdżamy.
- Efendi - przynał w końcu - rzecz jasna nie byliście zwią-zani ani spętani, dlatego też zamierzam przyjąć, że nie jesteście aresztowani.
- Dobrze, tymczasem to mi wystarczy. Ale żeby ci już nie przysło czasem do głowy zmieniać zdanie! Złożyłbym skargę u ma-hredża.
- Znasz go?
- To, czy go znam, nie powinno cię nic obchodzić. Jeśli on i ja wiemy o tym, to wystarczy. A więc posłałeś po mnie. Wniosku-ję z tego, że chcesz mi coś przekazać. Gotów jestem cię wysłuchać. Można było się uśmieć obserwując miny, jakie robił sędzia. Wyglądało na to, że zamieniliśmy się rolami. Przemawiałem do 367 niego z góry, i to nie tylko w sensie przenośnym, ale też dosłow-nym, gdyż siedziałem w siodle. Na jego twarzy walczyły o pierw-szeństwo uczucia gniewu i zakłopotania. Spoglądał bezradnie to w jedną, to w drugą stronę, a w końcu odrzekł:
- Mylisz się. Nie kazałem ci powiedzieć, że chcę z tobą rozma-wiać, lecz poleciłem was aresztować.
- Naprawdę tak uczyniłeś? Wprost trudno mi w to uwierzyć.

Z Najwyższego Trybunału otrzymaliście przecież instrukcje, by działać ostrożnie i sprawiedliwie. Jakież był więc powód tego roz-kazu?

- Zmaltretowaliście jednego z moich saptije, a potem naraziłeś jednego z mieszkańców tutejszego okręgu na niebezpieczeństwo utraty życia.

- Hm! Słyszę, że nie przedstawiono ci tej sprawy zgodnie z prawdą. Ukaraliśmy pewnego policjanta, ponieważ na to zasłużył, i uratowałem życie przewoźnikowi, porywając go do siebie na sio-dło. Mój koń byłby go stratował, gdybym nie zachował się tak przytomnie.

- Brzmi to jednak zupełnie inaczej, niż mi doniesiono. Będę więc musiał zbadać, gdzie leży prawda.

- To badanie jest zbyteczne. Czyż nie pojmujesz, że twoje słowa są dla mnie obraźliwe? Ty zechcesz zbadać! A więc nie do-wierzasz moim wypowiedziom. Nie wiem, co mam sądzić o twojej uprzejmości i rozwadze.

Sędzia poczuł, iż zapędzony został w kozi róg, odpowiedział za-tem dość pokornie:

- Nawet jeśli masz rację, musi się adbyć dochodzenie, właśnie po to, by dowieść oskarżycielom, że masz rację.

- Zgadzam się na to.

- Więc zsiadaj! Natychmiast rozpocznę przesłuchanie.

Wszystko to mówione było tak głośno, że obecni mogli zrozu-mieć każde słowo. Teraz ludzie stłoczyli się bliżej nas, żeby jeszcze lepiej wszystko słyszeć i widzieć.

Wymieniali szeptem między sobą uwagi, a spojrzenia, które kie-rowali w naszą stronę, mówiły wyraźnie, że mają dla nas należyty respekt. Tak jak ja nikt chyba nie rozmawiał jeszcze z ich każdą baszi. Ów pełen godności urzędnik usiadł teraz na krześle, przy-brał postawę nakazującą możliwie największy szacunek i powtórzył swe poprzednie polecenie:

- Zsiadaj i każ również zsiąść swoim ludziom. Wymaga tego szacunek, jaki należy się zwierzchności. 368

- Podzielam w zupełności twój pogląd, ale nie widzę jeszcze żadnej zwierzchności.

- Co? Czy dobrze zrozumiałem? To ja jestem zwierzchnością!

- Naprawdę? Pozostaję więc przypuszczalnie w ogromnym błę-dzie. Kto jest sędzią pokoju w Ostromczy?

- Ja nim jestem. Piastuję obydwia urzędy.

- Czyżby ta sprawa podlegała sędziemu pokoju?

- Nie, kadiemu.

- A zatem mam jednak rację. Naib'~ nie może rozstrzygać żadnej sprawy zupełnie sam bez ławników. Kodża baszi może występować jako kadi, tylko wtedy, gdy obecni są prokurator, namiestnik, adwokat cywilny i pisarz sądowy. Powiedz mi, gdzie są teraz ci panowie! Widzę tylko ciebie.

Jego głowa zaczęła znawu chwiać się niebezpiecznie.

- Takie sprawy zwykłem też rozpatrywać sam - wyjaśnił.

- Jeśli mieszkańcy Ostromczy godzą się na to, to ich rzecz. Ja, jednak znam prawa padyszacha i domagam się, żeby były wypełniane. Żądasz ode mnie szacunku dla zwierzchności, której w ogóle tu nie ma.

- Każę sprowadzić tych ludzi - zapewnił urzędnik.

- Więc pośpiesz się! Nie mam dużo czasu.

- Mimo to będziesz musiał poczekać, gdyż nie wiem, czy uda się od razu znaleźć basz kiatiba 4s, a pełnomocnik pojechał do Ku-sturlu. Wróci pewnie dopiero za kilka godzin.

- To mi się nie podoba. Zwierzchności nie powinno się szukać.

Co pawie mahredź, kiedy mu o tym opowiem?

- Nie musisz mu o tym opowiadać. Będziesz zadowolony ze sposobu, w jaki zostaniecie potraktowani.

- Dlaczego? Jakie traktowanie masz na myśli?

- Nie wiesz tego? - zapytał kodża basz, gwałtownie kiwając głową.

- Nie.

- Muszę was zatrzymać tutaj, dopóki sąd się nie zbierze. Ale będziecie mieć tak dobrze, jak na to pozwolą warunki.

- Posłuchaj! Będziemy mieć tak dobrze, jak sami zechcemy.



Pragniesz nas zatrzymać tutaj, to znaczy, że bylibyśmy aresztowa-ni. Wiesz jednak, że nigdy się na to nie zgodzę.

- Ale wymaga tego prawo - upierał się kodża baszi.
- Wydaje mi się, że stworzyłeś sobie jakieś bardzo dziwne pra-

4s sędzia pokoju

49 najwyższy pisarz sądowy

24 W wawozach Baikanów 369'

wa, których ja jednak nie uznaję. Złożono u ciebie na mnie donie-sienie i oświadczam, że zgadzam się na rozpatrzenie tej sprawy przez sąd. A zatem jestem gotów stawić się przed sądem. Nie dam się jednak pozbawić wolności. Teraz wrócę do hanu i tam aczeki-wać będę na zawiadomienie.

- Nie mogę na to po~zwolić - rzekł kodża baszi i wstał z krze-sła.
- Jak zamierzasz temu przeszkodzić? - zapytałem.
- Jeśli mnie do tego zmusisz, będę musiał cię powstrzymać siłą.
- Phi! Przysłałeś już przecież po mnie swoich saptije. I co wskórali? Nic! Taki sam rezultat uzyskałbyś po raz drugi. Jeżeli jesteś mądry, to zaniechasz ośmieszania się przed swoimi ludźmi. Daję ci moje słowo, że nie myślę uciekać. Zaczekam i kiedy przyjdzie pora, stawię się na twoje wezwanie.

Sędzia zrozumiał chyba, że lepiej będzie uniknąć dalszych wy-stąpień, które mogłyby tylko zaszkodzić jego powadze. Po chwili zastanowienia odpowiedział mi:

- Ze względu na to, że jesteś dostojnym cudzoziemcem, zgodzę się na twoją propozycję. Ale muszę zażądać od ciebie uroczystej ~bietnicy, że nie uciekniesz.
- Daję ci ją!

Zachowałem niezbędną powagę, po czym urzędnik pozwolił nam się oddalić, udzieliwszy wcześniej z namaszczeniem paru napom-nień.

## XVIII. W RL TINIE ^S'~RSIdI~Z~'

Kiedy zbieraliśmy się do odjazdu, ludzie usłużnie zrobili nam ~niejsce. Osmański sędzia otacza się zwykle aurą despotycznej nie-omyślności. Stary kodża baszi nie stanowił chyba wyjątku od tej reguły. Dziś jednak autorytet jego został silnie zachwiany. O tym, że tak właśnie czuje, przekonałem się po mrocznym spojrzeniu, ja-kim nas obrzucił, zanim zniknął za swoimi drzwiami. I był jeszcze ktoś, kto nie był zadawolony z tymczasowego wy-niku postępowania sądowego, żebrak. Mimo woli spojrzałem na niego i mogłem się wręcz przestraszyć na widok piorunów, jakie 370 miotły w moją stronę jego ciemne oczy. Człowiek, który ma takie spojrzenie, nie może być przytępiony na umyśle. Zacząłem żywić przekonanie, że wystawiana na pokaz bezmyślność jest tylko ma-ską. Nienawiść tego człowieka do mnie wydawała się odczuciem świadomym i wewnętrznie umotywowanym. Widać to było po jego spojrzeniu. Co an miał do mnie? Gdzie już go spotkałem? Co mu zrobiłem?

Teraz byłem już pewny, że nie widzę go w tym mieście po raz pierwszy. Spotkaliśmy się już wcześniej. Ale kie~dy, gdzie i w ja-kich okolicznościach? Nie mogłem sobie tego przypomnieć, choć mocno się teraz nad tym zastanawiałem w drodze powrotnej do hanu. Budziło się we mnie coraz mocniejsze przekonanie, że w ja-kiś sposób zetnę się tutaj z żebrakiem. Nasunęło mi się przypuszczenie, iż pozostaje w jakimś związku z celem naszej obecności tutaj, i postanowiłem mieć go na oku.

Naturalnie Ibarek i jego szwagier Bajro bardzo się ucieszyli ze szczęśliwego jak dotąd rezultatu naszej sprawy kryminalnej. Py-tali, czy obawiam się dalszego ciągu rozprawy, na co zapewniłem ich, że ani mi to w głowie. Kiedy potem zapytałem Bajra, czy nie ma przypadkiem jakiegoś dyskretnego, zaufanego parobka, przy-prowadził mi mężczyznę, któremu poleciłem, by udał się szybko na dziedziniec kodży baszi i potajemnie obserwował żebraka. Za-leżało mi na dowiedzeniu się, czy tam zostanie, czy też się oddali. Słyszał to Halef. Wykorzystał pierwszą sposobność, gdy byliśmy sam na sam, i zapytał:

- Sihdi, dlaczego kazałeś obserwować kalekę? Masz względem niego jakieś zamiary?

- Nie. Sądzę raczej, że Busra ma względem nas jakieś plany.

- Dlaczego, sihdi?

- Czy nie zauważyłeś, jakim dziwnym wzrokiem patrzył na nas żebrak?

- Nie. Nie przyglądałem mu się.

- Więc zwróć uwagę, kiedy go spotkamy znowu. Nie magę się oprzeć wrażeniu, że zetknęliśmy się z nim już wcześniej.

- Gdzie?

- Tego niestety nie wiem. Zastanawiałem się już nad tym, ale nie przypominałem sobie. Musiało to być daleko stąd. ~ - Pewnie się mylisz, sihdi.

- Chyba nie.

- Jak człowiek kaleki miałby tutaj przyjść z tak daleka? On przecież ledwo może chodzić.

- Może tak tylko udaje.

- O nie. Po Busrze widać, w jakim jest nędznym stanie. Często wydaje się nam, że spotkaliśmy kogoś już wcześniej, a dzieje się tak tylko z tej przyczyny, że ludzie są do siebie podobni. Kiedy przechodził obok nas Mubarek, też miałem wrażenie, że już go kiedyś widziałem.
- Naprawdę? To jednak zastanawiające - zauważyłem ze zdziwieniem.
- Dlaczego?
- Bo ja myślę o Mubareku to samo - wyjaśniłem.
- W takim razie widzieliśmy już kiedyś kogoś, kto jest do niego bardzo podobny.
- Nie, Halefie. Musieliśmy go rzeczywiście spotkać. Powiedziały mi to jego spojrzenia, których nie potrafił ukryć. W jego wzroku był jakby strach. W ten sposób się zdradził.
- A mirno to zapewne się mylisz. Wiem, że i ja się myślę. Człowiek, którego błędnie rozpoznaję w Mubareku, miał długą brodę.
- Przypominasz sobie to?
- Tak, sihdi. Gdyby starzec miał taką brodę, byłby zupełnie podobny do tamtego mężczyzny.
- A gdzie widziałeś tego bradatego mężczyznę?
- Tego właśnie nie pamiętam - oświadczył Halef.
- To dziwne. Ale jakkolwiek jest, musimy się mieć na baczności przed żebrakiem i przed Mubarekiem. A może musimy się strzec tylko jednego człowieka.
- Sihdi, co chcesz przez to powiedzieć?
- Wydaje mi się, że Mubarek i żebrak to nie dwie różne osoby.

Naturalnie nie wiem, skąd przyszła mi do głowy ta myśl, ale nie daje mi ona spokoju i nie mogę się jej pozbyć.

Przerwano nam. Zjawił się Bajro i oznajmił, że każda baszi ro~ zesłał posłańców po mieście, ażeby zebrać potrzebnych urzędników na posiedzenie sądu.

- Wtedy zobaczysz także Miżbareka - dodał handzi.

- A co on ma z tym wspólnego?
- To przecież basz kiatib.
- Najwyższy pisarz sądowy? Któż nadał mu ten urząd?
- Kodża baszi. Obydwaj są przyjaciółmi.
- Oj, oj! Kiedy lis i wilk zawierają przymierze, nic dobrego z tego nie wynika.
- Czyżbyś uważał obydwu za złych ludzi?
- Dobrych na pewno nie.
- Efendi, bardzo się mylisz w tym względzie - stwierdził Bajro. 372
- Tak? Czyżbyś był lepszego zdania o waszym ko~dzy baszi?
- O nim nie. To człowiek gwałtowny i niesprawiedliwy. Ale posiada władzę i nic nie możemy mu zrobić. Co się jednak tyczy Miżbareka, to jest on dobroczyńcą całej o~kolicy. Jeśli nie chcesz sobie robić wrogów, nie możesz mówić o nim nic złego.
- A mnie wydaje się wprost przeciwnie, że jest on przekleń-stwem tej okolicy.
- Zważ, efendi, że to święty! - zaprotestował z powagą han-dzi.
- Może jakiś marabut? Nie!
- Mubarek leczy wszelkie choroby. Gdyby chciał, mógłby na-wet wskrzeszać zmarłych.
- Tak powiedział?
- Sam o tym zapewniał - odparł Bajro.
- W takim razie jest bezczelnym kłamcą.
- Efendi, nie mów tego przy nikim!
- Powiedziałbym mu to prosto w oczy, gdyby tak twierdził w mojej obecności.
- Byłbyś więc zgubiony. Ostrzegam cię!
- Dlaczego zgubiony? - zapytałem.
- Jak święty maże wybawić od śmierci, tak potrafi też o~ie-brać życie.
- A więc zabić?

- Nie. Mubarek wcale cię nie dotknie. Wypowie zaklęcie, i wte-dy będziesz musiał umrzeć.
- Zatem rzuci na mnie urok?
- Właśnie tak - potwierdził z naciskiem Bajro.
- Święty a zarazem czarownik! Jakże to ze sobą pogodzić?

Prorok potępił przecież wszelkie czary! Przeczycie sami sobie.

Ale nadchodzi twój parobek.

Służący zameldował, iż żebrak opuścił właśnie padwórze przed budynkiem sądu.

- Zwróciłeś uwagę, w którą stronę się oddalił?
- Tak. Kaleka wspina się powoli pod górę. Prawdopodobnie wybiera się do Mubareka.
- Często do niego chodzi?
- Bardzo często.
- Dlaczego „święty” go nie uzdro~wi?
- Skąd mogę wiedzieć? Pewnie ma swoje powody, że tego nie robi:
- Czy widziałeś już kiedyś obu, jak ro~zmawiali ze sobą?

Parobek zastanawiał się przez chwilę, po czym oświadczył ze zdumieniem:

- Nie, jeszcze nigdy.
- Skoro żebrak tak często go odwiedza, to pewnie rozmawiają ze sobą.
- Z pewnością, efendi. Ale to dziwne, że jeszcze nigdy nie widziałem ich razem.
- Tak, mnie też wydaje się to osobliwe. Może uda mi się znaleźć jakieś wyjaśnienie. Chciałbym zobaczyć, co porabia na górze żebrak. Czy to możliwe?
- Czy an może cię widzieć?
- Nie.
- W takim razie musiałbym cię zaprowadzić, gdyż nie znasz okolicy.
- Dobrze, zaprowadź nas!

Miał mi bowiem towarzyszyć Halef. Wziąłem larnetkę z torby u siodła i ruszyliśmy za parobkiem. Wyprowadził nas z podwórza do ogrodu, skąd wychodziło się od razu na nie zabudowaną przestrzeń. Tam wskazał na lewo.

- Spójrzcie, po tamtej stronie wspina się na górę kaleka. Biedak posuwa się bardzo powoli. Zanim dotrze na górę, upłynie chyba pół godziny. Do tego czasu dawno już będziemy na szczycie. Poprowadził nas na prawo, gdzie w górę zbocza ciągnęły się łańcuch gęste krzaki. Objąłem wzrokiem cały teren. Pad osłoną krzaków mogliśmy niepostrzeżenie dostać się na szczyt. Po drugiej stronie natomiast, tam gdzie szedł żebrak, znajdowały się plantacje melonów, można go więc było łatwo obserwować z daleka. Z tego powodu odesłałem parobka, gdyż mogłem się obejść bez jego przewodnictwa. Można się było spodziewać, że jego obecność może być dla nas przeszkodą.

Wspinaliśmy się szybko pod górę, trzymając się jednak jak najbliżej skraju zarośli, aby nie stracić z oczu żebraka. Kaleka wiedział, że doskonale widać go z dołu z miasta, i zachowywał się stosownie do tego. Wolniutko posuwał się o kulach do przodu i bardzo często odpoczywał. Po krótkim czasie dotarliśmy do lasu opadającego wieńcem szczyt wznieślenia. Pod osłoną drzew skręciłem w lewo, po czym uszedłszy kawałek obraliśmy dokładnie ten kierunek, w którym padał kaleka. Jeśli z niego nie zбочzył, musiał przechodzić obok nas. Usiadłem na miękkim mchu, a Halef zajął miejsce u mego boku.

- Sihdi, czy jest coś konkretnego, co chciałbyś teraz wysledzić?

- zapytał.



- Tak. Chciałbym wiedzieć, jak żebrak zamienia się w Muba-reka.
- Przekonasz się, że twoje oczekiwania się nie spełnią.
- To niewykluczone, ale nie sądze, żeby tak było. Kaleka Bu-sra z całą pewnością będzie tędy przechodził. Kiedy tylko się zbli-ży, ukryjemy się za drzewami i będziemy go śledzić z daleka. Musieliśmy poczekać jeszcze kilka minut, a następnie wycofaliś-my się. Gdy tylko żebrak dotarł na skraj lasu i zorientował się, że jest już pod osłoną drzew, tak iż nie można go zobaczyć z miasta, zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Uczynił to jak ktoś, kto ma powody, żeby być ostrożnym. Kaleka przypuszczalnie upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu, gdyż wyprostował zgarbioną po-stać i przeciągnął się. Następnie zanurzył się jeszcze kawałek w głąb lasu i wśliznął w małą gęstwinę. Widzieliśmy wszystko bardzo dokładnie. Oszust potrafił całkiem dobrze stać i chodzić również bez kul.
- Sihdi, chyba jednak masz rację - szepnął mały Hadzi. - Podejdziemy tam?
- Nie, zostajemy tutaj.
- Myślałem, że chcesz śledzić Busrę. A on pójdzie dalej.
- Nie, w tym gąszczu kaleka dokona swojej przemiany, a po-tem wróci do miasta jako Mubarek.
- A ja sądzę, że jako „święty” wejdzie na sam szezyt wznie-sienia, gdzie powinno się znajdować jego mieszkanie.
- Tego szarlatan nie robi, bo nie może sobie na to pozwolić z braku ezasu. Na pewno bardzo mu się śpieszy, żeby zdążyć na zebranie sądu. Dobrze tylko uważaj!

Wyciągnąłem lornetkę i skierowałem ją w miejsce, gdzie spodzie-wałem się zobaczyć oszusta. Słusznie! Jego co prawda nie mogłem dostrzec, ale gałęzie się poruszały. Za nimi właśnie był schowany. Po mniej więcej pięciu minutach wyłonił s,ię z gęstwiny - jako Miibarek.

- Allah akbar! - powiedział Halef. - Kto by pomyślał, sihdi, że masz rację!
- Ja tak pomyslałem. Zdarzają się przeczucia, po których po-znać, że się muszą spełniE. Ten „święty” jest wielkim grzeszni-kiem. Może nam się uda udowodnić mu to.
- Rzeczywiście wraca do miasta. Pójdziemy znowu za nim?
- Ani mi to w głowie. Trafiła się nam nazbyt dogodna spo-sobność, żeby przeszukać jego mieszkanie i ruinę.

- Masz rację, sihdi. Chodź! Pośpiesz~ny się.

- Nie tak szybko! Najpierw padkradniemy się do miejsca, gdzie dokonał swajej przemiany. Może dowiemy się tam, jak to robi. Starzec przeszedł kawałek skrajem lasu, a następnie wysunął się na otwartą przestrzeń, by pośpieszyć do miasta między plan-tacjami melonów.

Przemknęliśmy się do gęstwiny, nie znaleźliśmy jednak niczego.

Trawa i mech były zdeptane, lecz po~za tym nie dało się nic dostrzec.

Gdzie miał swoje kule?

- Mubarek nie mógł przecież sprawić, żeby zniknęły - rzekł Halef.

- Ma je pewnie przy sobie.

- Wtedy byłoby je przecież widać.

- Hm! Niekoniecznie. Może są zaopatrzone w zawiasy, tak że można je złożyć i nosić po~d kaftanem.

- Czy nie byłoby to dla niego uciążliwe?

- Natural~nie.

- Oszust mógł je tutaj ukryć lepiej.

- To jeszcze bardziej niewygodne. Za każdym razem, gdy chce się z powrotem zmienić w żebraka, musiałby wówczas wracać do schowka na kule. Jeśli natomiast no~si je przy sobie, może dokonać przemiany w dowolnym miejscu i o każdej porze.

- Sihdi, wszystko to wydaje mi się takie niezwykle, takie nie-pojęte, prawie jak bajka.

- Wierzę ci. W wielkich miastach Zachodu zdarzają się jeszcze całkiem inne rzeczy. I właśnie przypomniało mi się, że jego kości podobno grzechoczą. Chyba słyszałeś?

- Tak, sihdi. Ibarek mówił o tym. A potem, kiedy Mubarek przechodził obo~k nas, słyszałem, jak gr~zechoczą.

- To nie były kości, tylko kule.

- Allah! Wszystko teraz jasne.

- Już wtedy rzuciło mi się w oczy, że żebrak zniknął i że Mubarek nadszedł z tego samego kierunku, mimo że przedtem nie widzaeliśmy go tam. Teraz mam rozwiązanie tej zagadki. Pora już udać się na górę do jego chaty!

- Pójdiesz o~d razu prosta przez las?

- Nie. Skorzystamy ~z otwartej drogi. Z dołu przyjrzałem się, którądy prowadzi na górę, i zapamiętałem ją.

- Dlaczego chcesz dojść do ścieżki, na której będzie nas można zauważyć?

- Z trasy, którą starzec ruszył na dół, nie będzie mógł nas dostrzec. A jeśli ktoś inny zaobserwuje, że wchodzimy na górę, nie pociągnie to za sobą żadnych skutków. Poszukam śladów koni.

- Tu na górze?
- Owszem. Chyba że sądzisz, iż Barud el Amasad, Manach el Barsza i zbiegły do~zorca więzienny zostawili swoje konie gdzieś w mieście?
- Nie, na pewno nie - zgodził się Halef. - Z pewnością w ogóle się tam nie pokazali.
- Też tak uważam. Uciekinierzy wjechali na górę i tam ukryli się sami i umieścili gdzieś swoje konie.
- O ile już nie odjechali.
- Tych trzech jeszcze tam jest. Zamierzają przecież czekać tu-taj na obydwu braci, których rakija zatrzymała w hanie Ibareka. Mubarek na pewno ma dla nich jakąś kryjówkę. Najlepszymi i najpewniejszymi przewodnikami będą więc ślady końskich kopyt.
- Sądzisz, sihdi, że odkryjesz tropy?
- Taką mam nadzieję.
- Upłynęło już jednak tyle czasu.
- Nie szkodzi. Ci trzej ludzie to nie Indianie przyzwyczajeni do ukrywania swoich śladów.
- Tak, ty znasz się na czytaniu tropów i śladów. Ciekaw jestem, jak dokonasz tego tutaj.

Sam też byłem tego ciekaw i miałem o wiele mniej zaufania do swojej bystrości, niż okazałem to przed małym Hadżim. Kiedy się jedzie po pustej pustyni piaszczystej albo po ogromnej prerii, łatwiej jest odkryć jakiś ślad i podążać za nim niż w zabudowanej okolicy czy wręcz w pobliżu miasta. Poszliśmy skrajem lasu pod drzewami, aż natrafiliśmy na drogę wiodącą na szczyt wzniesienia. Nie była ta droga we właściwym sensie tego słowa. Nie była wydeptana, podłoże okazało się kamieniste. Tylko tu i ówdzie widać było jakąś kępkę trawy. Podążaliśmy powoli ścieżką i wypatrywałem odcisków kopyt. Niczego nie można było znaleźć. Czyż-by tych trzech nie korzystało w ogóle z tej drogi? Przybyli tutaj rano, i należało przypuszczać, że okrążyli miasto, aby ich nikt nie zauważył.

W ten sposób uszliśmy spory kawałek pod górę, aż wreszcie znalazłem pierwszy znak, że były tutaj kanie. Wyszły na ścieżkę z prawej strony, pomiędzy drzew. Wyraźnie widać było w miękkim gruncie odciski kopyt. Teraz mogliśmy posuwać się szybciej. Od tej pory nie brakowało już oznak, że jeźdźcy dalej podążali drogą. Wkrótce dotarliśmy na górę. Droga wychodziła na polanę, na której drugim końcu wznosiły się mury ruiny. Zbudowana z bełek i kamieni dosyć surowa chata przylegała do wysokiej, w połowie rozwalonej ściany.



- W tej chacie mieszka stary - rzekł Halef.
- Z pewnością.
- Wejdziemy do środka?

Natychmiast chciał wyjść spomiędzy drzew na polanę, lecz przytrzymałem go.

- Stój! Najpierw musimy się przekonać, że nie jesteśmy obserwowani. Poszukiwani ukrywają się tutaj. Jakże łatwo mogą nas zobaczyć, a wtedy cały nasz trud byłby daremny! Zostań tutaj! Przemknąłem skrajem polany do chaty i podszedłem do drzwi. Były zamknięte. Chociaż bacznie nasłuchiwałem i wypatrywałem, nikogo nie było. Z takim samym rezultatem obszedłem drugą stronę, po czym wróciłem do Halefa.

- Rzeczywiście nikt nas nie obserwuje - oświadczyłem. - Teraz należy odnaleźć kryjówkę trzech zbiegów. Konie muszą nas do nich zaprowadzić.

- Przecież nie masz tutaj zwierząt.

- Już my je znajdziemy.

Podłoże stanowiła naga skała. Na niej nie było żadnych śladów. Ale pod drzewami musieliśmy trafić na jakiś trop. Pośrodku polany znajdowało się natomiast źródło, które wypływało ze skały, nie miało jednak widocznego odpływu. Na obrzeżu występowała jakaś wątła roślinność. Podeszliśmy tam. Konie muszą być pojone i z pewnością wykorzystywano do tego celu to źródło. Zbadałem jego brzeg. Słusznie! Odnalazłem oskubaną na końcach trawę. Nad wodą leżał zerwany jaskier. Żółty kwiatek przypominał mi radzienną stronę.

- To kaczeniec - zauważył Halef. - Dlaczego mu się tak bacznie przyglądasz?

- Ma mi powiedzieć, kiedy pojono tutaj konie.

- Naprawdę ci to powie?

- Tak. Przyjrzyj się tylko dobrze temu kwiatu. Czy jest zwiędły?

- Nie, jest jeszcze całkiem świeży.

- Ponieważ leżał blisko zimnej wody; gdyby leżał z tej strony na skale, nie byłby już taki świeży.

Nitki pręcików już się pochyliły. Zerwano go przypuszczalnie około półtorej godziny temu. A zatem o tej porze były tutaj konie. Trzeba się teraz dowiedzieć, skąd przyszły i dokąd je z powrotem adprowadzono.

- Jak chcesz się tego dowiedzieć?

- Już znajdę jakiś sposób. Przed nami jest mur. Musimy więc odszukać otwory.

Najpierw podeszliśmy do chaty, gdzie rozdzieliliśmy się. Halef 378 zwrócił się w prawo, a ja w lewo, ażeby zbadać skraj polany, Spotkaliśmy się w punkcie położonym dokładnie po przeciwnej stronie. Ja nic nie znalazłem i on także nie. Na swoim wzroku mogłem polegać, na jego jednak mniej. Dlatego też przeszukaliśmy jeszcze raz jego odcinek. Grunt pad drzewami był tutaj z paczunku kamienisty.

- Dokładnie uważałem, sihdi - twierdził Halef. - Z tej strony konie nie przyszły.

Pośród drzew iglastych rosły też liściaste. Klon chylił nisko swoje gałęzie, i właśnie tutaj znalazłem to, czego szukałem. Wskazałem Halefowi jedną z dolnych gałęzi.

- Spójrz, co tutaj widzisz?

- Ktoś obkubał końce liści.

- To był koń, który obgryzał liście.

- Mógł to być także człowiek.

- Wątpię. Chodźmy dalej.

Ruszyliśmy dalej w tym kierunku. Wkrótce grunt stał się miększy i ujrzelśmy wyraźne odciski kopyt. Następnie dotarliśmy do wylotu w murze, za którym znajdował się otoczony czterema wysokimi ścianami plac. Wyglądało na to, że była tu kiedyś sala zamkowa. Otwór drzwiowy naprzeciw nas prowadził do drugiego, podobnego, tylko nieco mniejszego pomieszczenia, które posiadało trzy takie otwory. Wszedłem do środka. Na ziemi nie było widać żadnych śladów. Pierwsze dwa wyjścia lub wejścia prowadziły do małych zawalonych pomieszczeń. Trzecie zawiodło nas na większy plac, który przypuszczalnie był dawniej dziedzińcem. Plac wyłożony był brukiem.

I tutaj Halef, dumny ze swojej bystrości, pokazał mi nieomylny ślad - końskie łajno.

- Tu więc były - zatriumfował przyciszonym głosem. - Wiadysz, że ja też potrafię znajdować ślady?



- Owszem, podziwiam twoją bystrość. Ale od tej pory mów je-szcze ciszej. Z pewnością zbliżamy się do zwierząt, a, gdzie są one, tam prawdopodobnie znajdują się również jeźdźcy. Rozglądaliśmy się dokoła, ale daremnie. Dziedziniac wydawał się posiadać tylko jedno wejście, właśnie to, przez które weszliś-my do środka. Otaczające nas mury nie miały żadnych przerw. Ściana naprzeciwko porośnięta była cała gęstym bluszczem.

- Nie możemy iść dalej, bo dalej się nie da - powiedział Ha-lef. - Konie były tutaj, to prawda. Ale teraz zniknęły.

- Mam jednak co do tego wątpliwości. Zobaczmy!

Powoli obszedłem wszystkie cztery boki. Kiedy dotarłem do środka ściany z bluszczem, wydało mi się, że poczułem specyficzny za-pach wydzielany przez konie. Nawet w dużych, ruchliwych miastach, gdzie poli~cja sanitarna surowo pilnuje czystości, po samym zapachu rozpozna się te adzinki ulic, które służą jako postoje do-rozek. Ten właśnie zapach poczułem tutaj. Skmieniem wezwałem do siebie Halefa, który się ze mną zgadził. Po zbadaniu bluszczu okazało się, iż tak szczelnie zakrywa on wyjście, że bez pomocy pawonienia pewnie byśmy go nie odn~ależli. Długie wici bardzo łatwo dawało się rozsuwać. Kiedy zrobiliśmy to, ujrzeliśmy przed sobą małe pomieszczenie. Było puste. Weszliśmy do środka. Na wprost wejścia znajdował się drugi otwór, z którego dobiegało naszym uszu parskanie.

- Teraz bardzo ostrożnie! - szepnąłem. - Tam są k.ie. Weź w dłonie pistolety! Trzeba być przygotowanym na wszystko. Prze-stępcy będą się bronić.

- Weźmiemy ich do niewoli?

- Może.

- Albo ściągniemy policję?

- W zależności od sytuacji.

- Mam przy sobie rzemienie - zauważył Halef. - Możemy ich związać.

- Świetnie! Więc chadź! Ale po cichu!

Przemknęliśmy do wejścia i zajrzałem ostrożnie do środka. Sta-ły tam trzy siwki i ogryzały kolby kukurydzy, których im trochę rzucono. Wąski otwór w murze prowadził dalej. Wydało mi się, że słyszę stamtąd przytłumione głosy. Potem ro~zległ się głośny śmiech, i usłyszałem wyraźnie jakiś głos, nie mogąc jednak roz-różnić poszczególnych słów.

- Są tam! - szepnąłem do małego Hadziego. - Zostań tutaj!

Pójdę się rozejrzeć.

- Na Allaha, sihdi, miej się na baczności! - ostrzegł.

- Nie martw się! Jeśli padnie strzał, przyjdiesz mi na odsiecz!

Najchętniej bym się podczołgał, ale mogłoby to zaniepokoić ko-nie, natomiast wyprostowana postać z pewnością nie wzbudzi w nich strachu. Cichym krokiem ruszyłem więc dalej. Zwierzęta zobaczyły mnie. Jeden z koni parsknął niespokojnie. Będąc na miej-scu trzech mężczyzn, od razu bym rozpoznał to parsknięcie jako sygnał ostrzegawczy. Oni jednak nie zwrócili na to uwagi. Dotar-łem do przeciwległej ściany i przypadłem do ziemi. Przesuwając się powoli da przodu, przystawiłem głowę do wejścia. Było tam puste miejsce po wykruszonym kamieniu. Przez tę lukę mogłem zagłądać do środka, nie pokazując głowy.

Siedzieli tam wszyscy trzej. Manach el Barsza i Barud el Amasad odwrócenii do mnie plecami, dozorca natomiast twarzą w kierunku wejścia. Grali w karty, prawdopodobnie tą samą talią, której użyli, żeby odwrócić uwagę Ibareka o d kradzieży. Ich strzelby stały aparte w kącie, odłożyli także noże i pistolety. Obejrzawszy się za siebie, zobaczyłem Halefa stojącego dalej przy wejściu. Na moje skinienie podszedł do mnie. Znow parsknął któryś koń, lecz grający nie zwrócili na to uwagi. Halef przycupnął obok mnie i popatrzył przez szparę.

- Hamdulillah! - wyszeptał. - Mamy ich. Co uczynisz?
- Schwytnamy ich, bo nadarza się wspaniała okazja. Zgadzasz się?
- Oczywiście. Ale jak to zrobimy?
- Ty weźmiesz na siebie dozorcę więziennego, jak obydwu pozostałych.
- Dlaczego dwóch groźniejszych?
- Dam sobie z nimi radę.
- Zaczynaj więc! - szepnął z zapalem mały człowiek.
- Najpierw przygotuj rzemienie, żebyśmy je mieli od razu pod ręką.

Halef wysunął rzemienie z za pasa tak daleko, że mógł je szybko uchwycić. Wtem Barud el Amasad zerwał się rozgniewany na równe nogi:

- Co ty sobie myślisz! Nas nie oszukasz. Wiemy, że jesteś szulerem, i mamy oczy otwarte. Potasuj karty jeszcze raz!
- A może byśmy już skończyli? - zapytał Manach el Barsza.
- Po co zabierać sobie nawzajem pieniądze?
- Masz rację. To zresztą nudne, a odkąd Miibarek przyniósł tę niedorzeczną wiadomość, nie mogę się skupić na grze.
- Może się pomylił. .
- To niemożliwe. Opisaliśmy mu przecież tego cudzoziemca tak dokładnie, że musiał go od razu rozpoznać.

- Niech go Allah przeklnie! Co on ma do nas? Co myśmy mu zrobili? Niech nas zostawi w spokoju!

- Zostawi nas w spokoju! Jutro rano będzie trupem!

- Jeśli się powiedzie!

- Powiedzie się! Mubarek jest potężny. Doprowadzi jeszcze do tego, że te psie syny zostaną zamknięte. Wtedy pójdziemy tam w nocy i zabijemy ich.

- A jeśli nie zostaną zamknięci?

- To odwiedzimy naszych prześladowców w hanie. Mubarek

381 musi wyśledzić, kiedy nadarzy się po temu stosowna okazja. Zamieni się w żebraka.

Piękny plan, nie ma co! A więc mieliśmy zostać zabici! Mubarek był już tutaj i zawiadomił ich o naszym przyjeździe.

- Ciekaw jestem, jak ten li'rank wygląda - rzekł dozorca. - Jeśli boją się go tacy ludzie jak wy, to musi być niebezpiecznym przeciwnikiem.

- To szejtan, giaur, pies chrześcijański, który powinien się smażyć w najgłębszej otchłani dżehenny! - odpowiedział Manach el Barsza. - W Edirne gonił mnie przez dwadzieścia ulic i zaułków. Zrobiłem wszystko, żeby go zgubić, a mimo to mnie znalazł. Z tego małego zresztą, który mu towarzyszy, taki sam diabeł. Gdybyśmy go wtedy zakłuli nożami, w stajni w Edirne! Chciałbym wiedzieć, jacy są dwaj pozostałi. Ale umrzeć też muszą. Szatan ma ich pod swoją opieką, bo inaczej nie uszliby z Melnika żywi!

- Nasi przyjaciele musieli się tam bardzo głupio zabrać do rzeczy.

- Kto wie, posłańców jeszcze nie ma. W każdym razie nie pozostaje nam nic innego, jak poradzić sobie na własną rękę. Zresztą nieźle nam się to opłaci. Koń tego cudzoziemca wart jest tego, żeby ukatrupić wszystkich czterech. A jego broń jest podobno wyśmienita. Ledwo mogę się doczekać powrotu Mubareka. Jeżeli uda się nam dzisiaj pozbyć naszych prześladowców, uwolnimy się od wszelkich kłopotów. Z prawdziwą przyjemnością zatopię nóż w sercu tego łotra.

- Nic z tego!

To mówiąc wpadłem do śradka i jednym uderzeniem pięści po-ywaliłem Manacha na ziemię. Obydwaj pozostali przez kilka sekund wytrzeszczali na mnie oczy, nie mogąc się poruszyć z przerażenia. To wystarczyło. Złapałem Baruda za gardło i zadałem mu taki sam cios, po którym padł jak długi. Halef rzucił się na dozorcę, który ze strachu nawet nie pomyślał o obronie. Pomogłem

Halefowi go związać. Następnie położyliśmy plecami do siebie obydwu pozo-stałych, w ten sposób, że jeden miał głowę przy nogach drugiego. Obydwa ciała zostały potem skrepowane rzemieniem tak mocno, że bez pomocy kogoś trzeciego nie były w stanie się ruszyć. Wtedy przeszukaliśmy ich kieszenie i pasy, jak również leżące obok sio-dła. Znaleźliśmy wszystkie przedmioty skradziane Ibarekowi, a po-za tym jeszcze sporo innych. Manach el Barsza miał przy sobie znaczną sumę pieniędzy. Obydwaj ogłuszeni jeszcze się nie ruszali. Dozorca więzienny przyglądał się bez słowa, co robimy. Nie wi-382 dział nas nigdy wcześniej, ale domyślał się chyba, kim jeste-my.

Halef trącił go nogą i zapytał:

- Wiesz, łotrze, kim jesteśmy?

Zapytany milczał.

- Nie słyszałeś? Pytam cię, czy wiesz, kim jesteśmy. Odpo-wiedz, bo dostaniesz biczem!

- Wiem - burknął związa,ny d~azorca więzienny, obawiając się batów.

~ Tak, chciałeś nas poznać. Tak mówiłeś przed chwilą. A teraz twoje życzenie szybko się spełniło. Pewnie nie spodziewałeś się tego!

Barud el Amasad prędko doszedł do siebie, otworzył oczy i wpa-trywał się we mnie z przerażeniem.

- Wai! - wykrzyknął. - Teraz jesteśmy zgubieni!

- Owszern - roześmiał się Halef. - Jesteście teraz zgubieni.

Spotka was, szubrawcy, taki los, jakiegoście nam przeznaczyli. Chcie-liście nas zamordować.

- Nie, to nieprawda!

- Milcz! Wszystko sły5zeliśmy - ofuknął go mały człowiek.

- Inni chcieli to zrobić, nie ja!

- Kłam dalej! Dobrze wiemy, czego się trzymać.

Teraz również Manach el Barsza zaczął się ruszać, rzecz jasna tylko tyle, na ile pozwalały mu pęta. Spojrzał na nas i natychmiast zamknął oczy.

- No, nie umiesz nas po~zdrowić, poborco podatków z ~skub!

- zawołał Halef, wymierzając mu cios swoim biczem.

Manach el Barsza otworzył z powrotem oczy, przeniósł wzrok z Halefa na mnie i znowu na niego, po czym rozkazał:

- Rozwiążcie nas! Wypuście nas na wolność!

- Niech Allah broni! - adparł Hadzi z ponurą miną.

- Zapłacę wam.

~ Nie jesteś dość bogaty, żeby nas opłacić.

~ Jestem bardzo bogaty.

- Masz na myśli zrabowane ludziom pieniądze? Zostaną ci ode-brane.

- Nikt ich nie znajdzie.

- Więc będą leżały dalej. My ich nie potrzebujemy. Sihdi, co zrobimy z tymi łotrami? Odstawić ich do miasta nie możemy.

- Nie, niech leżą tutaj, dopóki po nich nie przyjdziemy.

- A nie będą mogli się w tym czasie uwolnić?

- Nie. Zadbamy o to, żeby przestępcy nie mogli się stąd ruszyć.
- Ale to, co znaleźliśmy przy nich, zabierzemy ze sobą?
- Zostawimy tutaj. Policja musi znaleźć wszystko tak, jak myśmy to zastali.

Wykorzystaliśmy uprząż trzech koni, żeby związać jeńców jeszcze mocniej, tak żeby nie mogli się w ogóle poruszyć. Po~djęliśmy jednak te środki bezpieczeństwa w taki sposób, żeby nie sprawiać mężczyznom dodatkowego bólu. Dozorca więzienny został przy~pasany w poprzek do obydwu pozostałych, uniemożliwiając tym samym wszystkim trzem zmianę pozycji, gdyby chcieli się przeto~czyć. Następnie wyszliśmy. Spętani nie odezwali się już słowem. Pogrożki byłyby zresztą śmieszne, a prośby do nas nie przema~wiały.

Kiedy znaleźliśmy się na polanie, Halef po~dszedł do domku Mu~bareka, żeby zobaczyć, czy dalej jest zamknięty.

- Człowiek ten mógłby nam spłatać niezłego figła, gdyby uwol~nił tych trzech łotrów - mruknął.
- Tego stary oszust nie zdoła dokonać.
- A co, sihdi, jeśli wróci do s~ojej chaty i pój~dzie da nich?
- Jeśli wróci na górę, my będziemy przy nim.
- Uważasz zatem za niemożliwe, że „święty” przyjdzie wcze~śniej od nas?
- Owszem. Stary będzie siedział u kodży bas~zi jak na rozza~rzonych węglach i czekał na nas. Nie wyjdzie stamtąd wcześniej, niż s~kończy się roz~prawa.
- Gdyby wiedział, co mu grozi.
- Już wkrótce oszust będzie zdemaskowany. Pośpieszmy się.

Robi się noc.

Dzień minął i słońce zniknęło na zachodnim krańcu horyzontu. Po przybyciu do hanu dowie~dzieliśmy się, że kodża baszi kazał sprowadzić handzi Ibareka. Ibarek jeszcze nie wrócił. Potem było już dwóch posłańców po nas. Do~nieśli oni, że sąd zebrał się już w komplecie.

- Trzymaj się dzielnie, efendi - napomniał mnie handzi Baj-ro. - Zastaniesz tam duże zgromadzenie. Podwórze jest nabite publicznością. Ludzie są ciekawi, jak będziecie się bronić.
- Pokazałem im już mniej więcej, jakie będzie moje zachowanie.
- Owszem, i dlatego są podwójnie ciekawi, chcąc widzieć człowieka, który nie boi się kody baszi.

Kiedy mieliśmy już wychodzić, zjawił się przewoźnik.



- Efendi - powiedział do mnie - przyszedłem tu po kryjomu, żeby zasięgnąć twojej rady. Nie wiem, jak mam się zachować.
- Masz może występo~wać przeciwko mnie jako świadek?
- Tak. Mubarek zmusza mnie do tego. W tym celu mnie odwie-dził.
- A co takiego masz zeznać przeciwko mnie?
- Że naraziłeś mnie na niebezpieczeństwo utraty życia i znal-tretowałeś tu na tym podwórzu.
- Zrobiłem to?
- Nie, efendi.
- A zatem Mubarek nakłania cię do fałszywych zeznań. Będzie miał za swoje.
- Efendi, nie wspo~minaj o tym! Później by się na mnie zemścił.
- Bądź spokojny! Nie będzie mógł saę zemścić.
- Czy to prawda?
- Tak. Wyznaj tylko całą prawdę! Mubarek nic ci nie może zrobić.
- W takim razie muszę szybko wracać. Wymknąłem się stam-tąd potajemnie. Powoli ruszyliśmy za nim.